

Nastanie nocy

**ASIMOV ISAAC SILVERBERG
ROBERT**



calibre 0.7.28

Isaac Asimov

Nastanie nocy

Gdyby gwiazdy świeciły przez jedną noc na tysiąc lat, jakże ludzie czciliby i wielbili, jak zachowywaliby przez pokolenia pamięć o mieście Boga!

EMERSON

Inny świat! Nie ma żadnego innego świata! Tutaj lub nigdzie - to cała rzeczywistość.

EMERSON

Pamięci szanownego Johna W. Campbella juniora i dwojga przerażonych dzieci z Brook-lynu, które, drżąc ze strachu, odbyły budzącą grozę pielgrzymkę do jego biura - jedno w 1938, a drugie w 1952 roku.

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żyjących bądź umarłych, jest czysto przypadkowe.

Powieść ta jest oparta na opowiadaniu Isaaca Asimova "Nastanie nocy", które ukazało się po raz pierwszy w magazynie "Astounding Science Fiction" w 1941 roku (na język polski przetłumaczył Tadeusz Jan Dehnel; pierwsza publikacja w antologii "Kryształowy szescian Wenus" wydanej przez "Iskry" w 1966 roku). Decyzja Autorów uległa zmianie niektóre imiona i nazwy.

Do Czytelnika

Kalgasz to zupełnie odmienny świat i nie chcielibyśmy, abyś myślał, iż jest taki sam jak Ziemia, nawet jeżeli zamieszkujących go ludzi opisujemy jako mówiących w zrozumiałym dla Ciebie języku i posługujących się znanymi Ci pojęciami. Te słowa należy rozumieć jedynie jako odpowiedniki terminów obcych - czyli jest to typowy zbiór odpowiedników, taki sam, jakiego używa autor powieści, gdy J(r)'0 cudzoziemscy bohaterowie porozumiewają się między sobą w swoim ojczystym języku, a on przekłada ich słowa na język czytelnika. Tak więc jeżeli mieszkańcy Kalgasza mówią o "kilometrach", "rekach", "samochodach" czy "komputerach", to mają na myśli własne jednostki odległości, własne kończyny chwytne, własne środki transportu, własne urządzenia przetwarzające informacje itd. Komputery na Kalgaszu niekoniecznie muszą być kompatybilne ze stosowanymi w Nowym Jorku, Londynie czy Sztokholmie, a słowo kilometr, którego używamy w tej książce, nie musi oznaczać jednostki odległości równej tysiącu metrom. Uznaliśmy jednak, że prościej i lepiej będzie wykorzystać znane terminy do opisywania zdarzeń na tamtym całkowicie odmiennym świecie, niż wymyślać długą listę kalgasjskich wyrazów. Innymi słowy, moglibyśmy opowiedzieć Ci, jak to jeden z naszych bohaterów zatrzymał się, aby strapać swe kanguzki przed wyjściem na siedmiowerkowa przechadzkę po głównej libiszy swojego rodzinnego subna, i cała treść książki mogłaby wyglądać równie obco i odległe. Wtedy jednak o wiele trudniej byłoby wyłowić sens tego, co opisujemy, a to nie wydawało nam się celowe. Istota tej opowieści nie leży bowiem w liczbie dziwacznych pojęć, które moglibyśmy wymyślić; zawiera się raczej w reakcji grupy ludzi nieco nas przypominających, żyjących w świecie trochę podobnym do naszego - we wszystkim, z wyjątkiem jednego, ważnego szczegółu - kiedy Ci ludzie stają w obliczu sytuacji, różniacej się całkowicie od tego, z czym kiedykolwiek borykali się mieszkańcy Ziemi. Wziawszy pod uwagę wszystkie okoliczności uznaliśmy, że lepiej opowiedzieć Ci, iż ktoś założył buty przed wyjściem na siedmiokilometrową przechadzkę, niż zasmiecać książkę kanguzami, werkami i libiszami.

Jeśli wolisz, możesz sobie wyobrazić, że w tekście pojawiają się "werki" wszędzie tam, gdzie jest mowa o "kilometrach", "glabery" tam, gdzie występują "godziny", a "śladoły" tam, gdzie są "oczy". Możesz też wymyślić własne terminy. Werki czy kilometry - wszystko to straci znaczenie w chwili, gdy pojawiają się gwiazdy.

I. A.

R. S.

Część pierwsza

Szarówka

Popołudnie jasniało blaskiem czterech słońc. Wielki złoisty Onos gorował wysoko na zachodzie, a niżej mały czerwony Dovim wylaniał się właśnie na horyzoncie. Jeśli spojrzano się w przeciwną stronę, można było zobaczyć błyszczące białe punkciki Treya i Patru, jasniejące na tle purpury wschodniej części nieba. Cudowne światło zalewało pofalowane równiny najbardziej na północ wysuniętego kontynentu Kalgasza. Biuro Kellaritana 99, dyrektora Miejskiego Instytutu Psychiatrii w Jonglorze, miało szerokie okna wychodzące na cztery strony świata, mogące w pełni oddać wspaniałość tego

zachwycającego widoku. Szirin 501 z Uniwersytetu Saryjskiego, który kilka godzin wcześniej przybył do Jongloru na pilne wezwanie Kelaritana, zastanawiał się, dlaczego nie jest w lepszym nastroju. Szirin miał pogodne usposobienie, dni czterech słonecznych zwykle jeszcze zwiększały jego i tak wysoką aktywność; lecz dzisiaj był podenerwowany i niespokojny, chociaż ze wszystkich sił starał się to ukryć. Przecież ostatecznie wezwano go do Jongloru jako eksperta w dziedzinie chorób psychicznych.

- Czy chciałby pan zacząć od rozmów z ofiarami? - zapytał Kelaritan. Dyrektor szpitala psychiatrycznego był wychudzonym, kościstym człowieczkiem o bladej cerze i zapadniętej klatce piersiowej. Szirin, rumiany i daleki od wychudzenia, żywił wrodzoną podejrzliwość wobec każdego dorosłego, który wazył mniej niż połowę tego co on sam. "Może to Kelaritan tak mnie wyprowadza z równowagi -

11

pomyślał Szirin. - Wygląda jak żywy kościotrup". - Czy też uważa pan, panie profesorze, że lepiej będzie najpierw poznać samemu Tunel Tajemnic? Szirin zdobył się na krotki śmiech, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to bardzo wymuszenie.

- Porozmawiam najpierw z paroma ofiarami - odparł. - W ten sposób nieco lepiej przygotowuje się na potworności tunelu.

Ciemne, okrągłe jak paciorki oczy Kelaritana błysnęły niepewnie. Głos zabrał Sibello 54, ugrzeczniony, ale stanowczy prawnik Jongloryjskiej Wystawy Stulecia.

- Alez, panie profesorze! - wykrzyknął. Potworności tunelu? To nieco przesadne określenie. Opiera się pan tylko na sprawozdaniach w prasie! Nazywa pan pacjentów ofiarami! Jak można ich tak określać?!

- Tego terminu użył doktor Kelaritan - stwierdził oschle Szirin.

- Jestem pewien, że doktor Kelaritan użył tego słowa w sensie najbardziej ogólnym. Zakłada ono bowiem coś, czego zaakceptować nie mogę.

W spojrzeniu, które Szirin rzucił prawnikowi, był zarówno niesmak, jak i zawodowy brak wszelkiego zaangażowania.

- O ile wiem, w wyniku przejazdu przez Tunel Tajemnic kilkoro ludzi zmarło - odpowiedział. - Czy tak?

- Owszem, było kilka zgonów. Nie ma jednak żadnego powodu, by sądzić, że ci ludzie zmarli właśnie w wyniku przejazdu przez tunel, panie profesorze.

- Doskonale rozumiem, dlaczego nie dopuszcza pan tej myśli do siebie, panie radco - odparł Szirin cierpko.

- Doktorze Kelaritan! - Sibello rzucił pełne wściekłości spojrzenie dyrektorowi szpitala. - Jeżeli badanie ma wyglądać w ten sposób, muszę zgłosić swój protest! Panski profesor Szirin ma tu występować w roli bezstronnego eksperta, a nie świadka oskarżenia!

Szirin zachichotał.

- Wyraziłem swój ogólny pogląd na prawników, nie zaś moją opinię o tym, co się stało lub nie stało w Tunelu Tajemnic.

12

- Doktorze Kelaritan! - wykrzyknął czerwony ze złości Sibello. - Panowie, proszę... - powiedział Kelaritan, przenosząc szybko wzrok z Szirina na prawnika i z prawnika na Szirina. - Postarajmy się nie występować przeciwko sobie. Moim zdaniem badania nasze mają wspólny cel. Jest nim odkrycie, co naprawdę zdarzyło się w Tunelu Tajemnic, aby te nieszczęsne... hm... przypadki się nie powtórzyły.

- Zgoda - rzucił Szirin pojednawczo. Uznał, że dogryzanie prawnikowi to strata czasu. Były ważniejsze rzeczy do zrobienia. Z uśmiechem zwrócił się do Sibella: - Nigdy właściwie nie interesowało mnie szukanie winnego, a tylko szukanie sposobów odwrócenia sytuacji, kiedy to ludzie chcą winnego znaleźć. Doktorze Kelaritan, obejrzyjmy teraz któregoś z pańskich pacjentów. Potem możemy zjeść obiad i przedyskutować wypadki, do których doszło w tunelu, tak jak je teraz widzimy, a po obiedzie chciałbym zobaczyć jeszcze jednego czy dwóch chorych...

- Obiad? - powtórzył Kelaritan, jakby to pojęcie było mu całkiem obce.

- Tak, obiad. Południowy posiłek. Jedzenie obiadu to mój stary zwyczaj, panie doktorze. Ale oczywiście poczekam. Z pewnością najpierw możemy odwiedzić któregoś z pacjentów.

Kelaritan kiwnal głowa. Potem zwrócił się do prawnika:

-Myśle, że zaczniemy od Harrima. Jest dzisiaj w zupełnie dobrej formie. Na tyle dobrej, że chyba zniesie badanie przez kogoś obcego.

-A co z Gistin 190? - zapytał Sibello.

-Ona nie jest tak silna jak Harrim. Niech profesor Szirin dowie się zasadniczych rzeczy od Harrima, a potem porozmawia z Gistin i... hm, może z Chimmilitem. To znaczy po obiedzie.

-Dziękuję - powiedział Szirin.

-Proszę tedy, panie profesorze...

Kelaritan wskazał oszklony pasaż prowadzący z biura do szpitala. Był to wysoki, napowietrzny chodnik z widokiem na trzysta sześćdziesiąt stopni dookoła - na niebo

13

i na niskie szarozielone wzgorza otaczające Jonglor. Światło czterech słońc wpadało tu ze wszystkich stron. Dyrektor szpitala zatrzymał się na moment, spoglądając najpierw w lewo, a potem w prawo, obejmując w ten sposób wzrokiem całą panoramę. Wydawało się, że poważne, zmęczone oczy dyrektora szpitala psychiatrycznego zapłonęły nagle młodzieńczym blaskiem w ciepłych promieniach Onosa i kontrastujących z nimi promieniach Dovima, Patru i Treya, które zlewały się razem, tworząc olśniewające widowisko.

-Coż za piękny dzień! - wykrzyknął Kelaritan z entuzjazmem, który dla Szirina był trochę niepokojący, wziawszy pod uwagę, że wyraził go ktoś tak opanowany i surowy jak ten psychiatra. - Wspaniale są te cztery słońca razem na niebie! Cudownie się czuje skapany w ich blasku! Ach, czasem zastanawiam się, co byłoby z nami bez naszych wspaniałych słońc!

-Dzień mamy rzeczywiście piękny - zgodził się Szirin. Faktycznie, i on poczuł się trochę lepiej.

2

Pol świata dalej jedna z koleżanek Szirina 501 z Uniwersytetu Saryjskiego również spoglądała w niebo, ale czuła jedynie przerażenie. Była to doktor Siferra 89 z Wydziału Archeologii, która przez ostatnie półtora roku prowadziła wykopiska na terenie starożytnego miasta Beklimot, leżącego na odległym półwyspie Sagikan. Zesztywniała ze zgrozy, obserwowała zbliżającą się katastrofę.

Tu niebo nie wyglądało przyjaźnie. W tej części świata jasno świeciły tylko Tano i Sitha; ich zimny blask nigdy nie przynosił radości, a jedynie smutek. Na tle głębokiego, ponurego błękitu nieba w tym dniu dwóch słońc była to złowroga, przytłaczająca iluminacja, rzucająca poszarpane, złowieszcze cienie. Można też było dojrzec Dovima, który

14

właśnie zaczął pisać się po niebie z prawej strony, tuż ponad szczytami odległych gór Horkkan. Jednak przycmiony blask małego czerwonego słońca był niewielką pociechą. Siferra wiedziała, że ciepłe żółte światło Onosa pojawi się wkrótce na wschodzie i rozjasni świat. Niepokoilo ją jednak coś znacznie poważniejszego niż chwilowy brak głównego słońca.

Do Beklimotu zbliżała się burza piaskowa, za kilka minut przetoczy się nad nimi, a wtedy wszystko może się wydarzyć. Wszystko. Burza może zniszczyć namioty, tace ze starannie posortowanymi znaleziskami archeologicznymi mogą zostać przewrócone, a ich zawartość rozsypana. W jednej chwili ekipa może stracić aparaty fotograficzne, sprzęt konieczny do wykopalisk, pracownice zestawione rysunki stratygraficzne i wszystko, nad czym tak długo pracowali.

Nawet gorzej. Wszyscy mogą zginąć.

I jeszcze gorzej. Ruiny starożytnego Beklimotu - kolebki cywilizacji, najstarszego znanego miasta na Kalgaszu - były w niebezpieczeństwie.

Rowy na otaczającej miasto aluwialnej równinie, które Siferra wykopała prowadząc badania, nie były zabezpieczone przed tak silną burzą. Jeżeli nadchodzący wiatr, już unoszący ogromne masy piasku, będzie wystarczająco silny, naniesie go jeszcze więcej i rzuci z ogromną siłą na kruche pozostałości Beklimotu - zetrze je, zniszczy, zagrzebie, a fundamenty potrzaska i rozrzuci po rozprazonej równinie.

Beklimot to historyczny skarb będący własnością całego świata. Siferra odsłaniając miasto naraziła je na prawdopodobne uszkodzenie, ale to było normalne w takich przypadkach ryzyko. Nie da się przeprowadzić żadnych wykopaliśk bez zniszczenia czegoś innego - na tym polega praca archeologa. Ale odsłonić samo serce równiny i mieć takiego pecha, by zostać zaskoczona przez najstraszliwszą w całym stuleciu burzę piaskową...

Nie, nie! To naprawdę zbyt wiele! Jeżeli w wyniku tego, co zrobiła, Beklimot zostanie zniszczony, jej imię będzie opluwane przez całe wieki.

15

A może nad tym miejscem wisi jakaś klątwa, o czym mówią przesadni ludzie? Siferra 89 zawsze z pogardą patrzyła na podobnych pomyłenców. Jednak te wykopaliśka, które - jak miała nadzieję - ukoronują jej karierę, od samego początku przyprawiły o ból głowy. A teraz groza zniszczeniem jej zawodowej kariery na resztę życia - jeżeli w ogóle to wszystko przeżyje. Przybiegł jeden z asystentów, Eilis 18. Był to niski, złyśty mężczyzna, wyglądający bardzo niepozornie w porównaniu z wysoką, wysportowaną Siferrą.

-Zamocowaliśmy już, co było można! - zawołał, z trudem łapiąc oddech. - Reszta jest w rekach bogów!

-Bogów? Jakich bogów, Eilisie, czy widzisz tu jakichś bogów? - spytała Siferra gniewnie.

-Ja tylko chciałem powiedzieć...

-Wiem, co chciałeś powiedzieć. Nieważne. Z przeciwnej strony nadszedł nadzorujący prace Tuwik 443 z szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

-Proszę pani, gdzie możemy się schować?! Tu nie ma żadnego bezpiecznego miejsca!

-Tuwiku, już ci mówiłam. Na dole pod urwiskiem.

-Zakopie nas tam! Zmiecie!

-Urwisko was ochroni, nie martw się - uspokajała go Siferra z pewnością siebie, której wcale nie czuła. - Idźcie tam! I przypilnuj, żeby wszyscy się tam znaleźli!

-A pani? Dlaczego pani tam nie idzie?

Spojrzała na niego z nagłym przestraszeniem. Czyżby myślał, że ma swoją prywatną kryjówkę, w której będzie bezpieczniejsza niż inni?

-Zaraz pojdę, Tuwiku! Idź już i nie zawracaj mi głowy! Po przeciwnej stronie drogi, w pobliżu szesciobocznego budynku z cegły, który poprzedni badacze nazwali Świątynia Słońca, pojawiła się zwałista postać Balika 338. Mrugając i zakrywając oczy przed zimnym światłem Tano i Sithy spoglądał w kierunku północy, skąd nadciągała burza piaskowa. Na twarzy miał wyraz udreki.

Balik pełnił funkcję głównego stratygrafa, ale także meteorologicznego eksperta ekspedycji. Do jego obowiązków należało opracowywanie raportów dotyczących warunków pogodowych i przewidywanie wszelkich możliwych odchylen.

Pod względem pogody na półwyspie Sagikan zazwyczaj nie działo się wiele - było to miejsce niezwykle suche, a deszcz padał raz na dziesięć czy dwadzieścia lat. Jedynym niezwykle wyjątkowym wydarzeniem klimatycznym, które się tam zdarzało, było przesunięcie w dominującym modelu prądów powietrznych, co uruchamiało cyklon, ale to nie zdarzało się częściej niż kilka razy w stuleciu.

Czy przygnębienie na twarzy Balika oznaczało wyrzuty sumienia, które musiał czuć, bo nie udało mu się przewidzieć nadciągającej burzy? A może był tak przerażony dlatego, że uswiadomił sobie całą grozę tego, co się miało zdarzyć?

Siferra pomyślała, że wszystko mogłoby być inaczej, gdyby mieli czas przygotować się do kataklizmu. Teraz dostrzegala te wszystkie znaki, które go zwiastowały, gdyby tylko zechciano je odczytać - najpierw niesłychanie suchy, nawet jak na warunki Sagikanu upał, zaraz potem martwa cisza zastąpiła normalny powiew od północy, następnie zaś dziwny, wilgotny wiatr nadszedł od południa. Kiedy zaczął wiać, ptaki khalla, osobliwe wychudzone stworzenia żywiące się padliną, które niczym wampiry nawiedzały okolice, natychmiast uciekły, jakby gonili je demony, i ukryły się wśród wydm zachodniej pustyni.

To trzeba było przyjąć jako znak. Ptaki khalla uciekające z krzykiem w krainę wydm.

Byli zbyt zajęci kopaniem, by zwracać uwagę na to, co działo się wokół. Zwykle zaprzeczanie faktom. Udawaj, że nie zauważasz znaków świadczących o nadchodzącej burzy, a burza pojdzie gdzie indziej.

A potem ta mała szara chmurka, która pojawiła się znikąd na dalekiej północy, ta brudna plama na ognistej tarczy pustynnego nieba, zwykle przejrzystego jak szkło...

"Chmura? Czy widzisz jakąś chmurę? Nie widzę żadnej chmury".

Znow zaprzeczanie faktom.

A teraz chmurka przekształciła się w olbrzymiego 2. Nastanie nocy 17 czarnego potwora, zasłaniającego połowę nieba. Wiatr wiał z południa, ale już nie był wilgotny; przypominał raczej powiew z rozpalonego pieca. Pojawił się jeszcze inny wiatr, silniejszy, dmący z przeciwnego kierunku. Jeden wiatr podsyczał drugi. A kiedy się spotkają...

-Siferra! - ryknął Balik. - Nadchodzi! Chowaj się!

-Idę! Idę!

Nie miała ochoty nigdzie się chować. Chciała biec od jednej strefy wykopaliisk do drugiej, wszystko jednocześnie ogarnąć spojrzeniem, przytrzymać mocno ściany namiotów, okryć ramionami drogocenne płyty fotograficzne, własnym ciałem osłonić odkryty w zeszłym miesiącu Dom Osmio-boczny, by uchronić znajdujące się tam, zapierające dech w piersiach mozaiki. Balik miał jednak rację. Tego szalenczego poranka Siferra zrobiła wszystko, aby zabezpieczyć teren wykopaliisk. Teraz pozostało jej jeszcze skulić się pod wysoką skalą i mieć nadzieję, że urwisko stanie się dla nich bastionem chroniącym przed rozszalałą burzą.

Pobiegła w tamtym kierunku. Długie, mocne nogi z łatwością niosły ją po wypalonym, skrzypiącym piachu. Siferra nie miała jeszcze czterdziestu lat; była wysoka, silna kobieta w pełni fizycznego rozkwitu i nigdy - aż do tej chwili - nie odczuwała niczego poza optymizmem w odniesieniu do każdego aspektu istnienia. I nagle wszystko zostało zagrożone: jej naukowa kariera, jej zdrowie, a nawet życie.

Wszyscy pozostali już siedzieli stłoczeni u podstawy urwiska za pośpiesznie skleconą zasłoną z drewnianych pali, na których rozciągnięto płachty nieprzemakalnego płotna.

-Posuncie się - powiedziała Siferra, torując sobie drogę.

-Proszę pani - jęknął Tuwik. - Niech pani sprawi, aby burza się odwróciła.

Jak gdyby była boginia o magicznej mocy! Siferra rozesmiała się szorstko. Nadzorca zrobił jakiś gest w jej kierunku. "Święty znak" - pomyślała Siferra.

Inni robotnicy, wszyscy z tej samej małej wioski leżącej tuż po wschodniej stronie ruin, wykonali ten sam gest

18

i zaczęli coś do niej mruzczyć. Modlitwy? Do niej? Upiorna chwila. Ci ludzie, podobnie jak ich ojcowie i dziadkowie, całe życie spędzili kopiąc w Beklimocie, zatrudnieni przez tego czy innego archeologa, cierpliwie odsłaniając starożytne budowle i przesiewając piasek w poszukiwaniu drobnych wytworów rak ludzkich. Prawdopodobnie przeżywali już burze piaskowe. Czy zawsze odczuwali takie przerażenie? Czy może w tej właśnie burzy było coś aż tak bardzo niezwykłego? - Już jest - odezwał się Balik. Zakrył twarz rekoma.

Nad nimi rozszalała się burza piaskowa.

Siferra stała, przez szparę w płotnie obserwując monumentalne cyklopowe mury miasta po drugiej stronie drogi, jak gdyby spojrzeniem chciała je ochronić przed zniszczeniem. Po chwili nadeszły podmuchy tak nieprawdopodobnie gorące, iż miała wrażenie, że za chwilę jej włosy, a nawet brwi zajmą się ogniem. Odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach.

Potem nadszedł piasek i nic już nie było widać.

Przypominało to zwykłą burzę, ale nie spadła ani jedna kropla wody. Cały czas rozlegał się huk, lecz nie były to grzmoty, tylko dudnienie niezliczonych drobinek piasku o ziemię. Przez ten dźwięk przebijały się inne: narastający szept, niepokojące skrobienie, delikatne bebnienie. Siferra wyobrażała sobie kaskady piasku grzebiące mury, grzebiące świątynie, grzebiące rozległe fundamenty dzielnic mieszkalnej, grzebiące obozowisko.

I grzebiace ich wszystkich.

Odwrocila sie twarza do sciany urwiska czekajac, az nadejdzie koniec. Nagle ku swemu zdumieniu i upokorzeniu stwierdzila, ze histerycznie szlocha, wstrzasana gwałtownym lkanem z glebi swego ciala. Nie chciala umierac. Oczywiscie, ze nie: ktos chcialby? Ale do tego momentu nie uswiadamiala sobie, ze moze byc cos gorszego od smierci.

Beklimot, najslawniejszy teren archeologiczny na swiecie, najstarsze znane ludzkosci miasto, kolebka cywilizacji ulegnie zniszczeniu - wylacznie w wyniku jej zaniedbania. Pracowali tutaj od poltora wieku, bo tak dawno odkryto

19

Beklimot, najslawniejsi archeologowie Kalgasza: najpierw największy z nich wszystkich Galdo 221, potem Marpin, Stinnupad, Szelbik, Numoin - dluga wspaniala lista - a teraz Siferra, ktora przez swa glupote pozostawila teren odsloniety i narazony na burze piaskowa. Dopoki Beklimot byl pogrzebany pod piaskami, jego ruiny przez tysiaciecia spaly spokojnie, zachowane w takim stanie, w jakim znajdowaly sie w dniu, kiedy opuscili go ostatni mieszkancy, zmuszeni do tego ostroscia zmieniajacego sie klimatu. Poczynajac od czasow Galdo wszyscy archeologowie, ktorzy tu pracowali, odkrywali jedynie niewielkie wycinki miasta i troszczyli sie, by ustawiac ekrany i ploty chroniace przed malo prawdopodobnym, ale wielkim niebezpieczenstwem burzy piaskowej. Az do tej chwili.

Naturalnie, ona tez ustawila ekrany i ploty, ale nie przed nowymi wykopaliskami, nie na terenie, gdzie skoncentrowala swe badania. Tam wlasnie byly najstarsze i najpiekniejsze budynki Beklimotu. A ona, niecierpliwa i wiedziona swym stalym, silnym pedem do posuwania sie ciagle naprzod, nie zrobila nawet elementarnych zabezpieczen. Oczywiscie, wtedy tak nie myslala, ale teraz, przy tym rozrywajacym jej uszy demonicznym ryku burzy piaskowej i czarnym, siejacy zniszczenie niebie...

"Rownie dobrze mogle tego nie przezyc - przemknelo jej przez glowe. - Nie bede wtedy musiala czytac tego wszystkiego, co o mnie napisza w ciagu najblizszych piecdziesieciu lat w podrecznikach archeologii".... Wspaniale wykopaliska Beklimotu, dostarczajace niezrównanych danych o rozwoju cywilizacji na Kalgaszu az do momentu, kiedy ulegly zniszczeniu w wyniku niefortunnych praktyk mlodej, ambitnej doktor Siferry 89 z Uniwersytetu Saryjskiego...

-Chyba juz sie konczy - szepnal Balik.

-Co sie konczy? - spytala.

-Burza. Posluchaj! Jest juz cicho.

-Pewnie jestesmy tak zagrzebani w piasku, ze nic nie slyszymy.

-Nie, Siferro. Nie jestesmy zagrzebani! - Balik pociagnal za plachte i udalo mu sie troche ja podniesc. Siferra

20

wyrzala na otwarta przestrzen miedzy urwiskiem a murem miejskim. Nie mogla uwierzyc wlasnym oczom.

Zobaczyla gleboki, przejrzysty blekit nieba i promien slonecznego swiatla. Nawet jezeli byl to tylko ponury, przenikliwy, bladly blask blizniaczych slonc, Tano i Sithy, dla Siferry stanowil on teraz najpiekniejsze swiatlo, jakie kiedykolwiek pragnela ujrzec.

Burza minela. Znow zapanowal spokoj.

Gdzie sie podzial piasek? Dlaczego wszystko nie zostalo zasypane piaskiem?

Miasto bylo doskonale widoczne: wielkie kamienne bloki murow, migotliwie polyskujace mozaiki, kanciasty, granitowy dach Swiatyni Slonc. Nawet wiekszosc ich namiotow - a prawie wszystkie, w ktorych przechowywala najcenniejsze znaleziska - znajdowala sie tam, gdzie byc powinna. Tylko oboz robotnikow zostal bardziej uszkodzony, ale to mozna bylo w ciagu kilku godzin naprawic.

Siferra oszolomiona, ciagle nie majaca odwagi uwierzyc w to, co zobaczyla, wyszla z ukrycia i rozejrzala sie wokol. Pod nogami nie czula lotnego piasku. Twarda, wypalona, ciemna warstwa znajdujaca sie na powierzchni widoczna byla rowniez w rejonie wykopalisk. W dziwaczny sposob wyszorowana, wygladala teraz troche inaczej, ale burza nie pozostawila na niej zadnych sladow.

-Najpierw przyszedl piasek - mowil Balik z namyslem - a za nim wiatr. Wiatr uniosl ten piasek, ktory na nas spadl i

przeniosł na południe. Stał się cud, Siferro! Tylko tak możemy to nazwać. Popatrz, wiatr stał z ziemi cała ta płytka, górna warstwa piasku. Czego erozja dokonałaby w pięćdziesiąt lat, stało się w jednej chwili, ale...

Siferra nie słuchała. Schwyciła Balika za ramię.

-Spójrz tam - powiedziała, patrząc gdzieś daleko od głównego terenu wykopaliisk.

-Gdzie? Co?

-Wzgórze Tombo! - pokazała palcem. Barczysty stratograf osłupiał.

-Bogowie! Pekło w środku!

21

Wzgórze Tombo było nieregularnym, niezbyt wysokim wzniesieniem, oddalonym o jakieś piętnaście minut drogi na południe od głównej części miasta. Od ponad stu lat, to znaczy od czasów drugiej ekspedycji wielkiego pioniera, Galda 221, nikt tam nie pracował, a i sam Galdo nie znalazł tam nic ciekawego. Uważano je za stos odpadków, na który mieszkańcy starożytnego Beklimotu wyrzucali kuchenne smieci - samo w sobie dosyć interesujące, ale absolutny drobiazg w porównaniu z tymi wszystkimi cudami, od których roilo się gdzie indziej na terenie wykopaliisk. Na wzgórzu Tombo skupiła się widocznie cała siła burzy - i to, czego nie zrobiły całe pokolenia archeologów, zostało dokonane nagle, właśnie teraz. Ze ściany frontowej wzgórza wyrwany został nierówny, zygzakowaty pas, odsłaniając, niczym jakąś okropną ranę, wewnątrz górnej części stoku. Ludziom o takim doświadczeniu, jak Siferra i Balik, wystarczyło jedno spojrzenie, aby ocenić wagę odkrycia.

-Miasto pod odpadkami - wymamrotał Balik.

-Myślę, że nie tylko jedno. Chyba cały ciąg - stwierdziła Siferra.

-Tak myślisz?

-Spójrz tam na lewo. Balik gwizdnął.

-Pod narożnikiem tych cyklopowych fundamentów to chyba mur w stylu kreskowym, prawda?

-Właśnie.

Siferze dreszcz przebiegł po plecach. Obejrzała się na Balika, równie jak ona oszłomionego. Oczy miał szeroko otwarte, twarz pobladła.

-W imię Ciemności - mruknął ochryple. - Coż my tu mamy, Siferro?

-Nie jestem pewna. Ale natychmiast zaczynam to badać. - Odwróciła się w stronę kryjówki pod urwiskiem, gdzie Tuwik i jego ludzie, ciągle skuleni z przerażenia, czynili święte znaki i mamrotali modlitwy, jak gdyby nie byli w stanie pojąć, że burza minęła i są już bezpieczni. -

22

Tuwiku! - ryknęła niemal z gniewem, wymachując rękami w jego kierunku. - Wylazcie stamtąd wszyscy! Mamy coś do zrobienia!

3

Harrim 682 był wielkim, masywnym mężczyzną około pięćdziesiątki, z potężnymi bicepsami i szeroką klatką piersiową; wszystko to pokrywała gruba, ochronna warstwa tłuszczu. Szirin, obejrzawszy go dokładnie przez okno szpitalnej sali, od razu wiedział, że z Harrimem dogada się natychmiast. -Zawsze brałem stronę ludzi, którzy są, powiedzmy, potężnie zbudowani - wyjaśnił Kellaritanowi i Sibellowi. - Rozumiecie, panowie, przez większą część życia sam taki byłem. No, nie zawsze aż tak umieszniony jak ten tutaj. - Szirin zaśmiał się z sympatią. - Cały ton w tłuszczu. Z wyjątkiem oczywiście tego - dodał, klepiąc się w głowę. - Kim z zawodu jest ten Harrim?

-Robotnikiem portowym - odrzekł Kellaritan. - Trzydzięci lat w dokach Jongloru. Bilet na otwarcie Tunelu Tajemnic wygrał na loterii. Wziął całą rodzinę. Wszyscy zostali w jakimś stopniu dotknięci, ale on najsilniej. To dla niego bardzo zenujące, taki silny mężczyzna i takie całkowite załamanie.

-Wyobrazam sobie. Wezme to pod uwagę. Chodźmy z nim porozmawiac.

Harrim siedział na łozku, z zainteresowaniem wpatrując się w wirującą kostkę rzucającą wielokolorowe światło na przeciwległą ścianę. Uśmiechnął się dość uprzejmie do Kelaritana, ale wydawało się, że na widok Sibella, kroczącego za dyrektorem szpitala, twarz mu sposepniała, a zobaczywszy Szirina złodowaciał całkowicie.

-Kto to? - zapytał Kelaritana. - Jeszcze jeden prawnik?

23

-Nie. Profesor Szirin 501 z Uniwersytetu Saryjskiego. Jest tu po to, aby pomóc ci dojść do siebie.-Ech - prychnął Harrim. - Jeszcze jeden inteligent. Coz dobrego którykolwiek z was dla mnie zrobił?

-Masz absolutną rację - odparł Szirin. - Jedyną osobą, która może pomóc Harrimowi, jest sam Harrim, prawda? Ty o tym wiesz i ja o tym wiem, a może uda mi się przekonać o tym ludzi ze szpitala. - Usiadł na brzegu łozka, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. - No, przynajmniej mają tu przyzwyczajone łozka. To musi być dobre, skoro nie zawałilo się pod nami dwoma... rozumiem, że nie lubisz prawników? Ja też, przyjacielu.

-To niedźni awanturnicy! Tylko oszustwa i podstęp. Kaza ci mówić nie to, co chcesz, bo twierdzą, że pomogą ci, jeśli powiesz tak i tak, a potem twe własne słowa obracają przeciwko tobie. W każdym razie mnie się tak wydaje.

Szirin spojrzał na Kelaritana.

-Czy jest absolutnie konieczne, żeby Sibello był przy tej rozmowie? Myślę, że poszłoby znacznie bardziej gładko bez niego.

Sibello zeszywniał.

-Jestem upowazniony do brania udziału w... - zaczął.

-Proszę - przerwał mu Kelaritan. To słowo wywarło większe wrażenie niż grzeczność, z jaką zostało wypowiedziane. - Szirin ma rację. Trzech gości to za dużo dla Harrima, przynajmniej dzisiaj. A pan już słyszał całą tę historię.

-No... - Sibello, którego twarz nagle poszarzała, zawahał się, po chwili jednak wyszedł.

Szirin ukradkiem dał znak Kelaritanowi, by usiadł w oddalonym końcu sali. Potem, zwróciwszy się do siedzącego na łozku mężczyzny, uśmiechnął się najzyczliwiej, jak potrafił, i rzekł:

-To było okropne, prawda?

-Pan to powiedział.

-Jak długo tu jesteś?

-Tydzień, dwa. - Harrim wzruszył ramionami. - Może trochę dłużej. Chyba nie wiem. Od czasu...

24

Zamilkł.-Wystawy Jongloryjskiej? - powiedział Szirin.

-Tak, od czasu tej przejazdki.

-To już dłużej niż tydzień czy dwa - stwierdził Szirin.

-Tak? - Od Harrima nagle powiało chłodem. Pacjent nie chciał słyszeć o tym, ile czasu spędził w szpitalu. Szirin zmienił taktykę.

-Założę się, że nigdy ci się nie śniło, iż nadejdzie dzień, w którym będziesz marzył o pojsciu do doków, co?

-Jasne! - Harrim się rozpogodził. - O rany, czegoż bym nie dał, żeby jutro znów przesuwac skrzynki. - Spojrzał na swoje ręce. Duże, mocne ręce, o grubych, spłaszczonych na czubkach palcach; jeden był skrzywiony od jakiegoś wypadku dawno temu. - Słabne od tego leżenia. Kiedy wrócę do pracy, będę do niczego.

-Coz cie tu w takim razie zatrzymuje? Dlaczego nie wstaniesz, nie założysz zwyczajnego ubrania i nie wyjdiesz?

Kelaritan ze swego kata poslal psychologowi nieme ostrzezenie. Szirin gestem nakazal mu byc cicho.

-Po prostu wstac i wyjsc? - Harrim rzucil na Szirina przerazone spojrzenie.

-Dlaczegoz by nie? Nie jestes wiezniem.

-Ale gdybym to zrobil... gdybym to zrobil... - Glos dokera sie zalamal.

-No, co by sie stalo, gdybys to zrobil? - spytal Szirin. Przez dluzszy czas Harrim milczal. Glowe mial spuszczone, brwi bolesnie sciagniete. Kilka razy zaczynal mowic, ale za kazdym razem urywal. Psycholog czekal cierpliwie. Wreszcie Harrim odezwal sie zduszonym i ochryplym glosem:

-Nie moge stad wyjsc, bo... bo... bo... - Chwile walczyll ze soba. - Ciemnosc - wydusil w koncu.

-Ciemnosc - powtorzyl Szirin.

To slowo zawislo miedzy nimi niczym cos ciezkiego, cos, czego mozna bylo niemal dotknac.

Harrim wygladal na zaklopotanego, nawet zawstydzzonego tym stwierdzeniem. Szirin przypomniał sobie, ze ludzie z jego sfery rzadko uzywali tego slowa w towarzystwie. Dla

25

Harrima bylo ono moze nie tyle nieprzyzwoite, co bluzniercze. Nikt na Kalgaszu nie lubil myslec o Ciemnosci, ale im mniej ktos byl wyksztalcony, tym grozniejsza wydawala mu sie mysl, iz moze nastapic dzien, w ktorym wszystkie szesc slonc jednoczesnie zniknie z nieba i nad swiatem zapanuje Ciemnosc. To bylo nie do pomyslenia - po prostu nie do pomyslenia.-Tak, Ciemnosc - rzekl Harrim. - Boje sie, ze jesli... jesli wyjde na dwor, znow znajde sie w Ciemnosci. To jest wlasnie to. Ciemno, znow wszedzie ciemno.

-Calkowite odwrocenie symptomow w ciagu kilku ostatnich tygodni - odezwal sie cicho Kelaritan. - Na poczatku bylo dokladnie odwrotnie. Nie mozna go bylo bez srodkow uspokajajacych wprowadzic do budynku. Najpierw ostry przypadek klaustrofobii, a po jakimis czasie calkowite przesuniecie na klaustrofilie. Myslimy, ze moze jest to oznaka powrotu do zdrowia.

-Mozliwe - powiedzial Szirin. - Ale jesli nie ma pan nic przeciwko temu... - Zwrocil sie lagodnie do Harrima: - Przejechales przez Tunel Tajemnic jako jeden z pierwszych, prawda?

-Zaraz pierwszego dnia. - W glosie Harrima zabrzmiala nutka dumy. - Zorganizowano loterie miejska. Setka ludzi wylosowala bezplatny przejazd. Musieli sprzedac z milion losow, a moj numer wyciagnieto jako piaty. Ja, zona, syn i dwie corki, wszyscy pojechalismy. Zaraz pierwszego dnia.

-Czy chcialbys mi powiedziec cos o tym, jak tam bylo?

-No - baknal Harrim. - Bylo... - Przerwal. - Nigdy, przenigdy nie bylem w ciemnosci. Nawet w ciemnym pokoju. Przenigdy. Nie interesowalo mnie to. Pamietam z dzieciinstwa, ze zawsze mielismy boze swiatelko w sypialni, a kiedy sie ozenilem i mialem juz svoj dom, oczywiscie rowniez tak bylo. Moja zona tez tak to odczuwa. Ciemnosc nie jest czyms naturalnym. To nie powinno nigdy sie zdarzac.

-Ale jednak wziales udzial w loterii.

-Tylko jeden raz. I pan wie, to bylo cos w rodzaju

26

zabawy. Cos specjalnego. Swieto. Wielka wystawa, piecset-lecie miasta, prawda? Wszyscy kupowali losy. I pomyslamem, ze to musi byc cos innego, cos naprawde dobrego, bo inaczej dlaczego by mieli w ogole to budowac? Kupilem wiec los. I kiedy wygralem, wszyscy w dokach mi zazdroscili, wszyscy chcieliby miec ten los, niektorzy nawet proponowali, ze go ode mnie odkupia... Powiedzialem im: "Nie, panowie, to nie jest na sprzedaz, to moj bilet, moj i mojej rodziny!" - Byles wiec bardzo podniecony perspektywa przejazdki w tunelu?-Tak, jasne, ze tak.

-I kiedy to zrobiles, kiedy przejazdka sie zaczela, jak to wygladalo?

-No... - Harrim zwilzyl wargi i wydawalo sie, ze spojrzeniem bladzi gdzies bardzo daleko. - Widzi pan, to byly takie male

wagoniki, bez dachu, w srodku tylko siedzenia z deseczek. Wsiadalo sie po szesc osob do kazdego, ale nam pozwolili jechac w piatke, zreszta wagonik byl pelny, nie moglby sie nikt dosiasc. A potem zaczeli grac i wagonik wjechal do tunelu. Bardzo wolno, tak, bardzo wolno, nie tak jak samochod na szosie, on sie raczej czolgal. I potem znalezlismy sie w tunelu. I potem... potem...

Szirin znow czekal.

-Mow dalej - odezwal sie po chwili, kiedy Harrim nie podejmowal watku. - Opowiedz mi o tym. Naprawde chce wiedziec, jak to wygladalo.

-I potem zapadla ciemnosc - powiedzial ochryple Harrim. Jego wielkie rece drzaly na samo wspomnienie. - Wie pan, ogarnela nas tak, jakby ktos rzucil na nas olbrzymi kapelus. Wszystko od razu stalo sie czarne. - Drzenie przeszlo w gwałtowne dygotanie. - Uslyszalem, ze moj syn Trinit sie smieje. Trinit to madry chlopak. Zaloze sie, ze myslal, iz ciemnosc to cos nieprzyzwoitego i dlatego sie smial. Kazalem mu, zeby sie zamknal, a wtedy jedna z moich corek zaczela troche plakac i powiedzialem jej, ze wszystko jest w porzadku, nie ma sie czym martwic,

27

bo to tylko pietnascie minut i powinna potraktowac to jako przygode, a nie cos, czego trzeba sie bac. A potem, potem... Znow zamilk. Tym razem Szirin nie nalegal.-Potem poczulem, jak to sie na mnie zaciska. Wszystko bylo ciemnoscia... ciemnoscia... Nie wyobraza pan sobie, jak to wygladalo... jakie to bylo czarne... jakie czarne... Ciemnosc... Ciemnosc...!

Harrim zadygotal gwałtownie, a z jego piersi do byl sie urywany, spazmatyczny szloch.

-Ciemnosc... Boze, ciemnosc...!

-Spokojnie, czlowieku. Tu nie ma sie czego bac. Popatrz na swiatlo sloneczne! Cztery slonca na niebie! Harrimie, uspokoj sie!

-Pozwoli pan, ze sie nim zajme... - Kelaritan podbiegl do lozka. W reku blysnela mu igla. Przytknal ja do niedzwiedziego ramienia Harrima, po czym rozlegl sie krotki syk. Pacjent ucichl prawie natychmiast. Opadl na poduszki z blegim usmiechem na twarzy. - Trzeba go teraz zostawic w spokoju - rzekl psychiatra.

-Ale wlasciwie dopiero zaczalem...

-Nic sensownego panu nie powie przez kilka najblizszych godzin. Mozemy rownie dobrze pojsc sobie na obiad.

-Aha, obiad - zgodzil sie Szirin bez entuzjazmu. Ku swemu zdziwieniu prawie wcale nie byl glodny. Chyba nie pamietal, kiedy ostatni raz tak bardzo nie mial apetytu. - I on jest u was jednym z najsilniejszych?

-Tak, jednym z najmniej rozchwianych.

-To jak w takim razie wygladaja inni?

-Niektorzy sa calkowicie katatoniczni. Inni przez caly czas potrzebuja srodkow uspokajajacych. Jak juz mowilem, w pierwszej fazie nie chcieli wchodzic do pomieszczen zamknietych. Kiedy wyjechali z tunelu, wydawalo sie, ze sa w doskonalym stanie. Tyle ze rozwinela sie u nich nagla klaustrofobia. Odmawiali wejścia do budynkow - wszelkich budynkow, wlacznie z palacami, zamkami, blokami mieszkalnymi, willami, chatami, szalasami, domkami kempingowymi i namiotami.

Szirin byl wstrzasniety do glebi. Napisal prace doktorska

28

o zaburzeniach spowodowanych ciemnoscia - dlatego poproszono go, by tu przyjechal - ale nigdy w zyciu nie slyszal o tak krancowych przypadkach.-W ogole nie chcieli wejsc do jakiegokolwiek pomiesz-'czenia? Gdzie wiec spali?

-Pod golym niebem. | - Czy probowano sila wprowadzic ich pod dach? \ - O tak, stosowano ten srodek. Reagowali wowczas silnym atakiem leku. Niektorzy chcieli popelnic samobojs-i two - podbiegali do scian i walili w nie glowa. Chorego, | wprowadzonego sila do budynku, niepodobna bylo utrzymac bez zastrzyku srodka uspokajajacego i kaftana bez:- pieczenstwa.

Szirin spojrzal na ogromnego dokera, ktory teraz spal, i potrzasnal glowa.

-Biedacy.

-To była pierwsza faza. Harrim znajduje się teraz w fazie drugiej, klaustrofobicznej. Przystosował się do pobytu tutaj i syndrom obrotów się o sto osiemdziesiąt stopni. Wie, że w szpitalu jest bezpieczny: tu cały czas pali się światło. Ale chociaż przez okno widzi słońca, boi się wyjść na zewnątrz. Myśli, że tam jest ciemno.

-Ależ to absurd! - wykrzyknął Szirin. - Tam nigdy nie jest ciemno.

W tym samym momencie, w którym to powiedział, poczuł się jak głupiec.

Kelaritan jednak przyjął to zupełnie normalnie.

-Wszyscy to wiemy, panie profesorze. Każdy zdrowy psychicznie człowiek to wie. Tylko że ci, którzy przeszli grozę Tunelu Tajemnic, nie są zdrowi psychicznie.

-Tak. Też tak uważam - przyznał Szirin zawstydzony.

-Później pan pozna kilku naszych innych pacjentów - odparł Kelaritan. - Może oni pozwolą panu spojrzeć na problem z szerszej perspektywy. A jutro pojedziemy na teren wystawy i pokazemy panu tunel. Oczywiście zamknęliśmy go, kiedy wynikły kłopoty, ale ojcowie miasta bardzo chcieliby znaleźć jakiś sposób, aby ponownie udostępnić ludziom te atrakcje. Myślę, że w Tunel

29

Tajemnic zainwestowano olbrzymie pieniądze. Ale najpierw powinniśmy zjeść obiad, prawda, panie profesorze? - Obiad, naturalnie - powtórzył Szirin jeszcze mniej entuzjastycznie niż poprzednio.

4

Wielka kopuła Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Saryjskiego, majestatycznie wznosząca się nad zalesionymi stokami Wzgórza Obserwatoryjnego, jasno błyszczała w świetle późnego popołudnia. Mała czerwona tarcza Dovima już się skryła za horyzont, ale Onos stał jeszcze wysoko na zachodzie, Trey i Patru zaś, przecinające pod ostrym kątem niebo na wschodzie, zostawiały błyszczące, jasne smugi światła na ogromnej powierzchni kopuły. Biney 25, szczupły mężczyzna o szybkich, nerwowych ruchach, niespokojnie przemierzał znajdujące się nieopodal obserwatorium małe mieszkanie, które dzielił z kontraktową partnerką, Raissa 717. Zaczął składać swe książki i papiery.

Raissa, rozciągnięta wygodnie na meblej, nieco podniszczonej zielonej kanapie, spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

-Wychodzisz? - spytała.

-Tak, do obserwatorium.

-Przecież jest jeszcze wczesnie. Zwykle nie zagladasz tam przed zachodem Onosa, a będzie świecił jeszcze kilka godzin.

-Dzisiaj mam umówione spotkanie, Raissa. Rzuciła mu ciepłe, uwodzicielskie spojrzenie. Obydwoje byli doktorantami - on na Wydziale Astronomii, ona zaś na Biologii - a kontraktowa para stanowili już od siedmiu miesięcy. Ich związek znajdował się co prawda w stadium rozkwitania, ale już powstawały pewne problemy. Biney pracował wieczorami, kiedy na niebie świeciły tylko mniejsze słońca. Ona czuła się najlepiej w pełnym blasku dnia, pod złotym światłem jasniejącego Onosa.

30

Ostatnio spędzał więcej czasu w obserwatorium i prawie nigdy się nie zdarzało, by obydwójce szli spać o tej samej porze. Biney wiedział, jak ciężka jest to dla niej próba. Zresztą równie ciężka i dla niego. Przeprowadzał badania orbity Kalgasza, co było pracą niezmiernie absorbującą, a poza tym zagłębiał się w rejony coraz trudniejsze, rzucające wciąż większe wyzwania i coraz bardziej przerazające. Żeby tylko Raissa miała jeszcze trochę cierpliwości - jeszcze kilka tygodni, może miesiąc lub dwa... - Czy nie mogłabyś dziś zostać jeszcze chwilę? - zapytała.

Serce skoczyło mu do gardła. Raissa spoglądała na niego tym swoim powłoczystym, zapraszającym spojrzeniem, któremu tak trudno było się oprzeć. Zresztą nie miał ochoty się opierać. Tylko że Imot i Faron będą czekać.

-Powiedziałem ci. Mam... - ...umówione spotkanie, tak. No coż, ja też. Z toba.

-Ze mna?

-Powiedziales wczoraj, ze mozesz miec troche wolnego czasu dzis po poludniu. Wiesz, liczyłam na to. Zorganizowalam sobie wszystko tak, aby tez miec wolny czas. Cala prace w laboratorium zrobilam rano, po to tylko...

"Coraz gorzej" - pomyslal Biney. Rzeczywiscie, przypomniał sobie, iz mowil cos o dzisiejszym popoludniu, kompletnie zapominajac, ze mial sie spotkac z dwoma studentami.

Raissa wydela wargi jakby w usmiechu - rodzaj sztuczki, ktora opanowala do perfekcji. Biney zapragnal zapomniec o Faronie i Imocie i natychmiast wziac ja w ramiona. Gdyby to zrobil, moglby godzinie sie spoznic. A moze nawet dwie.

Musial przyznac sam przed soba, ze rozpaczliwie chcial wiedziec, czy ich obliczenia potwierdzily jego wlasne.

Praktycznie rzecz biorac walczyly w nim dwa rownie silne pragnienia: pozostac z Raissa i poswiecic sie calkowicie rozwazaniom problemu naukowego o ogromnym znaczeniu. Chociaz powinien stawic sie punktualnie na spotkanie, zmieszany uswiadomil sobie, ze faktycznie umowil sie

31

takze z Raissa - i ze nie byla to tylko sprawa zobowiazania, ale i przyjemnosci.-Widzisz - powiedzial podchodzac do kanapy i biorac dziewczynę za reke. - Nie moze byc w dwoch miejscach naraz, prawda? I kiedy mowilem ci wczoraj to, co powiedzialem, zapomnialem, ze Imot i Faron przyjda do obserwatorium na spotkanie ze mna. Ale chcialbym zawrzec z toba ukklad. Pojde tam, zalatwie moja sprawe, a potem sie wymkne. Wroce tu za kilka godzin. Odpowiada ci to?

-Przeciez miales dzis wieczorem fotografowac asteroidy - znow wydela wargi, ale tym razem absolutnie bez usmiechu.

-Niech to licha! No to poprosze Tilande, zeby zrobila za mnie te fotograficzna robote. Albo Hikkinana. Albo kogokolwiek. Wroce, kiedy bedzie zachodzil Onos, obiecuje ci to.

-Obiecujesz?

-Tak, i tej obietnicy dotrzymam. - Scisnal jej dlon i usmiechnal sie szybko, filuternie. - Mozemy sie zalozyc. Dobrze? Nie gniewasz sie?

-No...

-Pozbede sie Farona i Imota najszybciej, jak bede mogl.

-Dobrze by bylo. - Kiedy znow zaczal zbierac papiery, dodala: - Nawiasem mowiac, co to za okropnie wazna sprawa zwiazana z Faronem i Imotem?

-Praca laboratoryjna. Studia nad grawitacja.

-Musze powiedziec, ze nie brzmi to dla mnie jak rzecz wielkiej wagi.

-Mam nadzieje, ze nie okaze sie rzecza wielkiej wagi dla kogokolwiek - westchnal Biney. - Ale wlasnie to chce sprawdzic.

-Chcialabym wiedziec, o czym mowisz. Spojrzal na zegarek i odetchnal. Pomyslal, ze moze tu jeszcze pozostac minuty lub dwie.

-Wiesz, ze ostatnio badalem ruch Kalgasza po orbicie Onosa, prawda?

-Oczywiscie.

32

-No tak, a pare tygodni temu natknałem sie na anomalie. Moje obliczenia nie zgadzaly sie z teoria powszechnego ciążenia. Naturalnie sprawdzilem je, ale wyszlo to samo po raz drugi. I po raz trzeci. I po raz czwarty. Zawsze ta sama anomalia, niezaleznie jaka zastosowalem metode obliczen.-Och, Bineyu, tak mi przykro. Tyle sie nad tym napracowales, by w koncu odkryc, ze twoje wnioski sa bledne...

-A co, jezeli sa sluszne?

-Przeciez wlasnie powiedziales...

-W tej chwili nie wiem, czy moje wyliczenia sa poprawne czy niepoprawne. Na tyle, na ile ja moge je ocenic, sa poprawne, ale trudno pojac, ze sie nie omylilem. Sprawdzalem i jeszcze raz sprawdzalem, i jeszcze raz, stosujac wszelkie mozliwe metody, aby upewnic sie, ze nie zrobilem bledu w obliczeniach. A wynik, jaki mi wychodzi, jest niemozliwy do przyjecia. Jedyne wyjasnienie, ktore mi sie nasuwa, to ze wyszedlem z mylnej przeslanki i od tego punktu robiac wszystko poprawnie, zawsze dochodzillem do tej blednej odpowiedzi, niewazne, jaka przyjmowalem metode sprawdzania rachunkow. Rownie dobrze moge nie dostrzegac jakiejś niescislosci u podstaw mojego zbioru zalozen. Na przyklad jezeli zaczniesz od nieprawidlowej liczby oznaczajacej mase planetarna, otrzymasz dla planety zla orbite, niezaleznie od tego, jak poprawna bylaby reszta twoich obliczen. Czy rozumiesz mnie?

-Do tej pory tak.

-Dlatego dalem to zadanie Faronowi i Imotowi i poprosilem, aby cala prace wykonali od poczatku, nie mowiac im, na czym polega problem. To bystre dzieciaki. Moge liczyc na nich, jesli chodzi o przyzwoita matematyke. I jezeli dojdzie do tego samego wniosku co ja, zaczynajac z punktu calkowicie wykluczajacego ewentualna pomylke w moim sposobie rozumowania, wtedy bede musial przyznac, ze moje wyniki mimo wszystko sa poprawne!

-Alez, Bineyu, przeciez one nie moga byc poprawne! Sam powiedziales, ze twoje odkrycia sa sprzeczne z prawem ciazenia! 3 - Nastanie nocy 33 - A jezeli prawo ciazenia sie myli, Raisso?

-Co? Co? - W jej oczach malowalo sie najwyzsze oslupienie.

-Czy widzisz teraz, gdzie lezy problem? - zapytal Biney. - Dlaczego musze natychmiast wiedziec, jakie wyniki otrzymali Imot i Faron?

-Nie, w ogole nic z tego nie rozumiem.

-Porozmawiamy o tym pozniej, obiecuje.

-Biney! - Zaczela ogarniac ja rozpacz.

-Musze isc. Wroce, jak tylko bede mogl. Na pewno.

Siferra zatrzymala sie na chwile, aby z namiotu, w ktorym magazynowali ekwipunek, zabrac miotelke i oskard. Burza przekrzywila namiot, ale poza tym byl wzglednie nie naruszony. Siferra zaczela gramolic sie po zboczach wzgorza Tombo, a Balik niezgrabnie wlokl sie tuż za nia. Mlody Eilis 18 wlasnie wylonil sie spod urwiska, ktore udzielilo im schronienia, i stal na dole gapiac sie na nich. Tuwik i jego ludzie stali troche dalej, takze obserwowali ich wspinaczke i ze zdumienia drapali sie po glowach.

-Uwazaj, Baliku! - ostrzegla Siferra, ktora wlasnie dotarla do brzegu wyzlobienia w zboczach. - Chce zrobic probne ciecie.

-Czy nie powinnismy najpierw tego sfotografowac, a potem...

-Powiedzialam ci, zebys uwazal - powtorzyla ostro. Wbila oskard w zboczach, rozsypujac deszcz ziemi i kamykow na jego glowe i ramiona.

Balik odskoczyl wypluwajac piasek.

-Przepraszam. - Siferra nawet nie spojrzala na niego. Po raz drugi uderzyla oskardem, poszerzajac uczynione przez burze wyzlobienie. Wiedziala, ze traktowanie jakiegokolwiek odkrycia w ten sposob nie jest najlepsza z technik. Jej nauczyciel, wspanialy stary Szelbik prawdopodobnie

34

przewraca sie w grobie. A tworca ich nauki, szacowny Galdo 221, bez watpienia smutno kreci glowa, spogladajac na nia ze swego szczytnego miejsca w panteonie archeologow. Z drugiej jednak strony obydwaj, Szelbik i Galdo, mieli szanse odkryc, co lezalo w srodku wzgorza Tombo, a nie zrobili tego. Jezeli byla teraz troche zanadto podniecona, zareagowala troche zbyt gwaltownie... coz, musza jej wybaczyć. Teraz, kiedy kleska, ktora miala przyniesc burza piaskowa, przedziwnym zbiegiem okolicznosci przerodzila sie w pomyslnosc, kiedy oczekiwane przez nia zburzenie jej kariery niespodziewanie przerodzilo sie w cos absolutnie odwrotnego, Siferra nie mogla powstrzymac sie od zajrzenia, co kryje sie w zboczach. Nie mogla. Absolutnie nie mogla.

-Popatrz - mruknela. Odrzucila juz zwaly ziemi zalegajace na wierzchu i zabrala sie do pracy miotelka. - Mamy tu wypalona warstwe, tuż na poziomie fundamentow tego cyklopowego miasta. Musialo zostac doszczetnie spalone. Ale

spojrz nieco nizej. To miasto w stylu kreskowym jest tuż pod linia ognia, po prostu położono monumentalne fundamenty na szczycie jeszcze starszego miasta...

-Siferro... - przerwał zaniepokojony Balik.

-Wiem, wiem. Pozwól mi tylko zobaczyć, co tutaj jest. Szybka próba i zaraz zaczniemy pracować jak należy. - Czula się tak, jakby od czubka głowy do stóp spływał po niej pot. Od intensywnego wypatrywania zaczęły ją boleć oczy. - Popatrz! Jesteśmy właściwie na szczycie, a już mamy dwa miasta. Śmiem twierdzić, że jeżeli przekroimy wzgórze trochę głębiej, gdzieś tu znajdziemy fundamenty z okresu kreskowego... tak! Tak! Tam! Na Ciemność, Baliku, patrz! Patrz!

Triumfalnie wskazała mu kierunek czubkiem oskarada. W pobliżu fundamentów budynku w stylu kreskowym widac teraz było następną ciemną linię popiołu drzewnego. Drugi po najwyższym poziomie został również zniszczony przez ogień, podobnie jak poziom cyklopowy. Najwyraźniej był umieszczony na ruinach jeszcze starszej osady.

35

Balika także ogarnęła gorączka. Zaczeli pracować razem, starając się odrzucić zewnętrzną część wzgórza w połowie drogi między podstawą a potrzaskanym szczytem. Eilis krzyczał do nich pytając, co też, w imię Kalgasza, oni tam robią, ale zignorowali jego wrzaski. Rozpaleni ciekawością, szybko przekopywali się przez warstwy nawianego piasku, posuwając się w głąb wzgórza dziesięć centymetrów, piętnaście, dwadzieścia...-Czy widzisz to, co ja widzę?! - wykrzyknęła po jakimś czasie Siferro.

-Tak, jeszcze jedna osada. Ale jak myślisz, jaki to styl architektoniczny?

-To dla mnie nowość. - Wzruszyła ramionami.

-Dla mnie też, ale z pewnością jest to coś bardzo archaicznego.

-Bez wątpliwości. W dodatku nie jest to jeszcze najbardziej archaiczna warstwa, jaka tu mamy. - Siferro spojrzała w dół, w kierunku bardzo odległej podstawy wzgórza. - Wiesz, Baliku, co myślę? Mamy tu pięć miast, sześć, siedem, może osiem, każde na szczycie poprzedniego. Ty i ja możemy spędzić resztę życia kopiąc w tym wzgórzu!

Spojrzała na siebie w zamysleniu.

-Lepiej zejdźmy teraz na dół i zrobmy parę zdjęć - powiedział Balik cicho.

-Tak, tak. Oczywiście. - Nagle poczuła się prawie spokojna. "Wystarczy tego wściekłego kopania i rozbijania - pomyślała. - Pora wrócić do profesjonalizmu. Pora podejść do tego wzgórza jak naukowiec, a nie jak poszukiwacz skarbow czy dziennikarz.

Niech Balik najpierw zrobi zdjęcia z każdej strony. Potem trzeba wziąć próbki ziemi z najwyższego poziomu i odpowiednio je oznakować, a potem przejść przez całą resztę standardowych procedur wstępnych.

Potem próbny row, śmiało przecięć przez wzgórze, dające jakieś pojęcie o tym, co tu naprawdę mamy.

A potem - mówiła do siebie - będziemy zdejmować z tego wzgórza warstwy po warstwie. Rozbierzemy je na części, odsuwając jedną warstwę, aby dostać się do następnej

36

i tak dalej, aż dojdziemy do dziewiczej ziemi... A kiedy to zrobimy, będziemy wiedzieć więcej o prehistorii Kalgasza niż wszyscy moi poprzednicy razem wzięci od czasu, kiedy archeolodzy po raz pierwszy przybyli do Beklimotu".

6

Panie profesorze - powiedział Kelaritan do Sziri-na - przygotowaliśmy wszystko do pańskiej inspekcji Tunelu Tajemnic. Proszę za jakąś godzinę wyjść przed hotel, stamtąd pana zabierzemy.-Zatem do zobaczenia za godzinę.

Pulchny psycholog odłożył słuchawkę i z powagą przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze naprzeciwko łózka.

Twarz, która na niego spoglądała, była mocno zakłopotana. Wyglądał na tak wynędzniałego i zmarnowanego, że musiał uszczyplić się w policzki, by sprawdzić, czy wciąż jeszcze są na miejscu. Tak, były tam, gdzie być powinny, znane mu, jego własne mięsiste policzki. Nie stracił na wadze ani grama. To tylko wyczerpanie psychiczne.

Spal zle - wlasciwie chyba prawie wcale nie spal - a od wczoraj ledwie skubnal odrobine jedzenia. Teraz rowniez nie czul sie glodny. Mysl o zejsci na dol i zjedzeniu sniadania nie wywoływala w nim zadnego wrazenia. Nie byc glodnym - bylo to dla niego uczucie calkowicie nowe.

Zastanawial sie, czy ten podly nastrój byl wynikiem wczorajszych rozmow z nieszczesnymi pacjentami Ke-laritana.

A moze po prostu przerazala go perspektywa przejechania przez Tunel Tajemnic?

Rozmowy z pacjentami z pewnoscia nie byly rzecza latwa. Z praca kliniczna dawno juz nie mial do czynienia, a przebywanie pomiedzy pracownikami uniwersyteckimi w Saro zmniejszylo ten profesjonalny dystans, który pozwala na przebywanie wsrod chorych i niepoddawanie sie

37

uczuciom smutku i wspolczucia. Szirin byl zaskoczony tym, jak bardzo okazal sie nieodporny i wrażliwy. Najpierw doker Harrim, z wygladu tak twardy, ze moglby zniesc wszystko. A mimo to pietnascie minut w Tunelu Tajemnic doprowadzilo go do takiego stanu, ze nawet wspomnienie tego przezycia wywolalo atak leku. Jakiez to ogromnie smutne!

A tych dwoje, ktorzy widzial po poludniu, bylo w jeszcze gorszym stanie. Gistin 190, nauczycielka, sliczna, drobna kobieta, z ciemnymi inteligentnymi oczami - nawet na chwile nie mogla przestac szlochac i chociaz na poczatku mowila normalnie i zrozumiale, jej opowiadanie wkrótce przeszlo w nieartykulowany krzyk, z ktorego udalo sie wylowic zaledwie pare zdan. Chimilit 97, uczen liceum, sportowiec, okaz fizycznej sprawnosci - Szirin zapewne niepredko zapomni, jak ow chlopiec zareagowal na widok popoludniowego nieba, kiedy zostaly odsuniete zaslony. Po zachodniej stronie jasno swiecila tarcza Onosa, a ten imponujaco zbudowany, przystojny chlopek zdolal z siebie wydusic tylko dwa slowa: "Ciemnosc... Ciemnosc...", po czym skulony probowal wpełznac pod lozko!

Ciemnosc... Ciemnosc...

"A teraz moja kolej udac sie na przejazdke przez Tunel Tajemnic" - pomyslal Szirin ponuro.

Oczywiscie, mogl odmowic. W jego umowie konsultacyjnej z Rada Miejska Jongloru nie bylo nic, na podstawie czego mozna by od niego wymagac ryzykowania zdrowia psychicznego. Przeciez byl w stanie wydac wiazaca opinie bez narazania sie na niebezpieczenstwo.

Cos wewnatrz niego buntowalo sie jednak przeciw takiemu tchorzostwu. Jezeli juz nie co innego, to zawodowa duma popychala go do tunelu. Byl tutaj po to, by zbadac zjawisko masowej hysterii i pomoc wypracowac sposoby nie tylko wyleczenia ofiar, lecz takze zapobiezienia podobnym tragediom w przyszosci. Jak wyjasni, co przytrafilo sie ofiarom, jezeli nie przeprowadzi dokladnego badania przyczyn tych zaburzen? Musial wejsc do tunelu. Wycofanie sie byloby czystym naduzyciem.

38

Nie chcial rowniez, aby ktokolwiek, nawet ci obcy ludzie w Jonglorze, mieli powod do oskarzania go o tchorzostwo. Dobrze pamietal uragania z czasow dzieciinstwa: "Thiscioch jest tchorzem! Thiscioch jest tchorzem!" Wszystko dlatego, ze nie chcial wspiac sie na drzewo, co po prostu przerastalo mozliwosci jego ciezkiego ciala o zle skoordynowanych ruchach. Thiscioch nie byl tchorzem. Szirin to wiedzial. Szirin byl z siebie zadowolony, wiedzial, ze jest czlowiekiem normalnym, zrownowazonym. Nie chcial, aby inni ludzie snuli w stosunku do niego jakies nieprawdziwe domysly tylko dlatego, ze z wygladu nie przypominal bohatera.

A poza tym mniej niz jeden na dziesieciu z tych, ktorzy przeszli przez tunel, wykazywalo oznaki zaburzen. Musieli wiec byc w jakis szczegolny sposob wrażliwi. "A ze ja jestem taki psychicznie zdrowy, taki zrownowazony - powtarzal sobie - nie ma powodu do obaw".

NIE MA...

POWODU...

DO OBAW...

Powtarzal to tak dlugo, az uspokoil sie niemal calkowicie. Mimo to schodzac na dol, aby poczekac na samochod ze szpitala, czul sie kims innym niz zwykle, kims roznym od codziennego, jowialnego Szirina.

Kelaritan juz go oczekival w towarzystwie Sibella i atrakcyjnej kobiety. Przedstawiono mu ja jako Yaritte 312, jedna z

grona inżynierów, którzy zaprojektowali tunel. Szirin przywitał się ze wszystkimi z szerokim uśmiechem na twarzy i serdecznie sciskając im dłonie, co - miał taką nadzieję - wyglądało przekonująco.

-Miły dzień na wycieczkę do wesołego miasteczka - zauważył, starając się, by zabrzmiało to pogodnie.

-Ciesze się, że pan tak to traktuje, panie profesorze. - Kelaritan spojrzał na niego dziwnie. - Czy pan dobrze spał?

-Dziękuję, bardzo dobrze... a raczej tak dobrze, jak było to możliwe po obejrzeniu wczoraj tych wszystkich nieszczęsnych ludzi.

39

-A więc, jeżeli chodzi o ich szansę powrotu do zdrowia, nie jest pan optymistą?-Chciałbym nim być - odpowiedział Szirin. Samochód gładko posuwał się w kierunku północnych dzielnic miasta.

-Mamy około dwudziestu minut jazdy do Wystawy Stulecia - rzekł Kelaritan. - Sama ekspozycja będzie zapewne jak zwykle zatłoczona, ale duża część terenu rozrywkowego została odgradzona, tak że nikt nie będzie nam przeszkadzał. Jak pan wie, tunel został zamknięty, kiedy okazało się, ile przynosi kłopotów.

-Ma pan na myśli wypadki śmiertelne?

-Oczywiście, po nich nie mogliśmy pozwolić na kontynuowanie przejazdów - stwierdził Sibello - ale musi pan wiedzieć, że rozważaliśmy możliwość zamknięcia tunelu znacznie wcześniej. Była to po prostu kwestia odpowiedzi na pytanie, czy ludzie, którzy doznali zaburzeń w wyniku przejazdu, rzeczywiście ucierpieli, czy też ulegli zbiorowej histerii.

-Naturalnie - odparł Szirin oschle. - Rada Miejska nie zechciałaby zamknąć tak dochodowej imprezy, jeżeli powód nie byłby wystarczająco ważny. Na przykład taki, że gromada klientów ze strachu pada trupem.

Atmosfera w samochodzie zrobiła się dość napięta.

Po dłuższej chwili odezwał się Kelaritan:

-Tunel nie był wyłącznie imprezą dochodową, panie profesorze, ale czymś, czego chciał doświadczyć na własnej skórze prawie każdy ze zwiedzających wystawę. Wiem, że codziennie trzeba było odsyłać z kwitkiem tysiące chętnych.

-Nawet mimo to, że już pierwszego dnia stało się jasne, iż niektórzy, tak jak Harrim i jego rodzina, wyjdą z tunelu z psychozą?

-Przede wszystkim dlatego, panie profesorze - odrzekł Sibello.

-Co?

-Proszę mi wybaczyć, jeżeli odniesie pan wrażenie, że wyjaśniam to, co stanowi pańska specjalność - mówił prawnik z namaszczeniem. - Chciałbym jednak panu

40

przypomnieć, że uczucie strachu jest fascynujące, kiedy stanowi element zabawy. Dziecko rodzi się z trzema instynktownymi lekami: przed nagłym hałasem, przed upadkiem i przed całkowitym brakiem światła. Dlatego czymś bardzo zabawnym jest wyskoczyć na kogoś i wrzasnąć "Uuu!" Dlatego kolejki gorskie w wesołych miasteczkach są takie popularne. I dlatego każdy chciał zobaczyć Tunel Tajemnic. Ludzie wychodzili z ciemności bez tchu, roztrzesieni, polzywi ze strachu, lecz w dalszym ciągu chętnie płacili za wstęp. Owszem, niektórzy wychodzili stamtąd w szoku, ale to jeszcze bardziej przyciągało innych.-Bo większość ludzi myślała, że okaza się na tyle twardzi, iż wytrzymają to, co tak wstrząsało innymi?

-Dokładnie tak, panie profesorze.

-Kilku ludzi wyjechało z tunelu nie w stanie głębokiego szoku, ale zwyczajnie martwych ze strachu! Jeżeli zarząd nie widział jeszcze powodu do natychmiastowego zamknięcia tunelu, to czy wiadomość o wypadkach śmiertelnych nie zniechęciła amatorów przejazdów?

-Wręcz przeciwnie, panie profesorze - odpowiedział Sibello z triumfującym uśmiechem na twarzy. - Zdziałał ten sam mechanizm psychologiczny, tylko jeszcze silniej. Przecież jeżeli ludziom o słabym sercu zachciało się przejechać przez

tunel, to sami ryzykowali - dlaczego więc dziwić się temu, co im się stało? Rada Miejska przedyskutowała tę sprawę szczegółowo i w końcu postanowiono posadzić przy wejściu lekarza, aby dokładnie przebadal każdego amatora przejazdu, zanim wsiądzie do wagonika. No i sprzedaż biletów jeszcze bardziej wzrosła.

-W takim razie dlaczego w ogóle zamknięto tunel? - zapytał Szirin. - Z tego, co mi pan powiedział, wynikałoby, że powinien być otwarty, bo przynosi ogromne zyski, kolejka chętnych ciągnie się z Jongloru do Kunabaru, tłumy ludzi wchodzi do środka z jednej strony, a z drugiej wypływa strumień trupów.

-Ależ, panie profesorze...!

-Dlaczego więc nie jest otwarty, skoro wypadki śmiertelne nikogo nie obchodzą?

41

-Problem wypłat ubezpieczeń - odrzekł Sibello.-Ach...! Tak, oczywiście.

-Wbrew temu, co pan przed chwilą powiedział, wypadków śmiertelnych było naprawdę niewiele - trzy, no, może pięć. Rodziny ofiar otrzymały odpowiednie odszkodowania i sprawy zamknięto. Nie zgony były dla nas problemem, ale głębokie zaburzenia tych, którzy przeżyli. Stało się jasne, że będa wymagać hospitalizacji przez długi czas - oczywiście oznacza to stały wydatek dla miejskiej kasy i podatników.

-Rozumiem. - Szirin ponuro skłania głowę. - Gdyby po prostu padli trupem, oznaczałoby to jednorazowy wydatek. Przekupić krewnych i sprawa załatwiona. Kiedy jednak instytucja publiczna musi płacić przez miesiące lub lata, cena może okazać się zbyt wysoka.

-Coż, może to trochę za ostro powiedziane - przyznał Sibello - ale dokładnie taka właśnie kalkulacja Rada Miejska zmuszona była przeprowadzić.

-Profesor Szirin chyba nie jest dziś w zbyt dobrym humorze - zwrócił się do prawnika Kelaritan. - Być może gniebi go myśl o przejeździe przez Tunel Tajemnic.

-Nie, absolutnie nie - odpowiedział psycholog natychmiast.

-Pan rozumie, naturalnie, że nie ma żadnej konieczności, aby pan...

-Jest - przerwał Szirin.

W samochodzie zapanowała cisza. Szirin posepnie spoglądał na zmieniający się krajobraz: dziwne, kanciaste drzewa o luskowatej korze, krzaki obsypane kwiatami o metalicznych barwach, dziwaczne, wąskie i wysokie domy o spadzistych dachach. Było coś odpychającego w tej prowincji - i w tych ugrzeczionych, cynicznych ludziach. Pomyslał, że byłby szczęśliwy znalazłszy się z powrotem w Saro.

Ale najpierw... Tunel Tajemnic...

Jongloryjska Wystawa Stulecia rozposcierala się na dużej przestrzeni parku we wschodniej części miasta. Było to jakby odrębne miasto, w pewnym sensie budziło podziw. Szirin zobaczył fontanny, arkady, błyszczące różowe i tur42 kusowe wieżowce z mieniącego się, twardego jak kamień plastiku. Wielkie hale wystawowe oferowały skarby sztuki z każdej prowincji Kalgasza, ekspozycje osiągnięć przemysłowych, ostatnie cuda nauki. Gdziekolwiek się odwrócił, coś niezwykłego i pięknego przykuwało jego spojrzenie. Tysiące, a może setki tysięcy ludzi spacerowały po błyszczących eleganckich bulwarach i alejach.

Szirin słyszał, że Jongloryjska Wystawa Stulecia to jeden z cudów świata, a teraz się przekonał, że to prawda. Możliwość zwiedzenia jej stanowiła rzadki przywilej. Raz na sto lat była otwierana na okres trzyletni, by upamiętnić rocznicę założenia miasta - i ta właśnie. Wystawa Piątego Stulecia, uważana była za najwspanialszą. Podczas jazdy po starannie utrzymanych terenach wystawowych Szirin poczuł nagle, że ogarnia go rodzaj pokrzepiającego podniecenia, którego już od dawna nie odczuwał. Miał nadzieję, że pod koniec tygodnia wygospodaruje trochę czasu na zwiedzenie ekspozycji na własną rękę.

Jego nastrój zmienił się jednak gwałtownie, kiedy samochód minal linię graniczną wystawy i podjechał do tylnej bramy prowadzącej na teren rozrywkowy. Tutaj, zgodnie z tym, co powiedział Kelaritan, duże przestrzenie zostały odgrózione liniami, przez które tłum rzucił wściekłe spojrzenia na Sibella, Kelaritana i Yarithte 312 prowadzących Szirina w kierunku Tunelu Tajemnic. Szirin słyszał gniewne wrzaski i ciche, chrapliwe pomruki, budzące niepokój, a może nawet strach.

Zrozumiał, że prawnik mówił prawdę: ci ludzie byli wściekli z powodu zamknięcia tunelu.

"Zazdrośczał - pomyślał Szirin ze zdumieniem. - Zobaczyli, że idziemy do tunelu i też chcą tam iść. Wiedzą, czym to grozi, i mimo wszystko chcą tam iść".

-Pojdziemy tedy - powiedziała Yaritta.

Fronton tunelu stanowiła olbrzymia budowla w kształcie piramidy, zweżająca się po bokach w niesamowitej, oszalamiającej perspektywie. Pośrodku była ogromna szescio-boczna brama, teatralnie przybrana w złoto i purpurę. Na bramie umieszczono kratę. Yaritta wyjęła klucz i otworzyła

43

małe drzwi po lewej stronie frontonu, przez które weszli do środka. Wewnątrz wszystko było już znacznie bardziej zwyczajne. Szirin ujrzał rząd metalowych poręczy ustawionych niewątpliwie po to, by powstrzymać czekających. Dalej był peron przypominający zwykły peron kolejowy, na którym stał rząd otwartych wagoników. A dalej...

Ciemność.

-Panie profesorze, czy mógłby pan najpierw to podpisać? - Szirin usłyszał głos Sibella, który podał mu jakiś papier.

Przyglądał się tanczącym, zamazanym literom.

-Co to jest?

-Zrzeczenie się roszczeń. Standardowy formularz.

-Tak, oczywiście. - Psycholog niedbale nabazgrał swe nazwisko, nawet nie próbując przeczytać podanego mu tekstu.

"Nie boisz się - powtarzał sobie. - Niczego się nie boisz".

Yaritta 312 wetknęła mu do ręki małe urządzenie.

-Przełącznik awaryjny - wyjaśniła. - Pełny czas przejazdu wynosi piętnaście minut, ale jeżeli pan uzna, że dowiedział się pan już wszystkiego, lub gdyby zaczął się pan czuć niedobrze, wystarczy nacisnąć zielony świecący przycisk i włączyć światła. Wagonik dojedzie do końca tunelu i zawróci do stacji.

-Dziękuję, ale wątpię, czy będzie mi to potrzebne.

-Powinien pan to mieć. Na wszelki wypadek.

-Planuję w pełni przeżyć doświadczenie przejazdu w tunelu - dodał, zachwycony własną pompatycznością.

"Przecież mogę nie wytrzymać" - uprzytomnił sobie. Nie zamierzał użyć przełącznika awaryjnego, ale prawdopodobnie głupota byłoby go nie wziąć.

Na wszelki wypadek.

Wszedł na peron. Kelaritan i Sibello spoglądali na niego w sposób aż nadto wyraźnie okazujący, co myślą. Niemal ich słyszał: "Ten tłusty, stary balwan będzie się trząsł jak galareta". A niech sobie myślą, co chcą!

44

Yaritta zniknęła. Zapewne poszła włączyć mechanizm uruchamiający pojazdy w tunelu. Tak, właśnie pojawiła się w budce kontrolnej wysoko na prawo, sygnalizując, że wszystko jest gotowe.

-Proszę wsiąść do wagonika, panie profesorze... - rzekł Kelaritan.

-Oczywiście. Oczywiście.

"Mniej niż jeden na dziesięciu doznawał zaburzeń - powtarzał sobie w myślach. - Najprawdopodobniej ludzie ci byli szczególnie wrażliwi na działanie ciemności. Ja nie jestem. Moja osobowość jest bardzo stabilna".

Wszedł do wagonika. Był tam pas bezpieczeństwa; zapisał go, mając kłopoty z dopasowaniem do swego obwodu.

Wagonik powoli, bardzo powoli zaczął się toczyć.

Czekała na niego ciemność.

"Mniej niż jeden na dziesięciu. Mniej niż jeden na dziesięciu".

Rozumiał syndrom ciemności. Był pewien, że ta wiedza go ochroni. Większość ludzi instynktownie boi się braku światła, ale nie oznacza to, że brak światła sam w sobie jest szkodliwy.

Szirin wiedział, że szkodliwa może być jedynie reakcja na brak światła. Należy zachować spokój. Ciemność to tylko ciemność, zmiana okoliczności zewnętrznych. Jesteśmy uwarunkowani tak, by jej unikać, bo żyjemy w świecie, w którym ciemność nie jest rzeczą naturalną, w którym ciągle jest światło, światło tak wielu słońc. Bywało, że świeciły cztery; zwykle było ich trzy, a prawie nigdy mniej niż dwa; a przecież już światło jednego wystarczało, aby rozproszyc ciemność.

Ciemność...

Ciemność...

CIEMNOSC...

Szirin już był w tunelu. Z tyłu za nim zniknęła ostatnia smuga światła i spoglądał teraz w bezkresną próżnię. Przed nim nie było nic. Nic. Dziura. Otchłan. Strefa totalnej bezświatłości. A on toczył się prosto w nią.

45

Poczuł, jak się poci na całym ciele. Walilo mu w skroniach. Podniósł rękę, ale choć trzymał ją tuż przed twarzą, nie mógł jej zobaczyć.

PRZELACZNIK AWARYJNY. PRZELACZNIK AWARYJNY.

Nie, absolutnie nie. Nie wolno. Siedział prosto, ze sztywnymi plecami i szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi tępo w nicosc, przez którą się przedzierał. Dalej, dalej i coraz głębiej. Pierwotny strach syczał i bulgotał w jego duszy tym intensywniej, im bardziej starał się go zdławić.

Powtarzał sobie, że poza tunelem w dalszym ciągu świeca słońca.

"To tylko chwilowe. Za czterdzieści minut i trzydzieści sekund stąd wyjde.

Czterdzieści minut i dwadzieścia sekund.

Czterdzieści minut i dziesięć sekund.

Czterdzieści minut..." Czy w ogóle się poruszał? Tego nie mógł stwierdzić. Może stał w miejscu; mechanizm pojazdu milczał, nie istniały żadne punkty odniesienia. "A co będzie, jeśli tu utkwilem? - pomyślał. - Po prostu utkwilem w ciemności, nie znam sposobu, by określić, gdzie jestem, co się dzieje, ile minęło czasu. Piętnaście minut, dwadzieścia, pół godziny? Dopóki nie dojdę do granicy, która wytrzymać może moją normalność, a potem..."

Przecież zawsze mogę użyć przelacznika awaryjnego.

Ale przypuszcmy, że nie działa. Że włączy go i światła się nie pojawia.

Chyba mogę to sprawdzić. Tak tylko, żeby zobaczyć..."

TLUSCIOCH TO TCHORZI! TLUSCIOCH TO TCHORZI!

"Nie, nie. Nawet go nie dotykaj. Jeżeli włączysz światła, nie będziesz w stanie z powrotem ich wyłączyć. Nie wolno ci użyć przelacznika, bo oni wszyscy się dowiedzą... bo oni się dowiedzą..."

TLUSCIOCH TO TCHORZI! TLUSCIOCH TO TCHORZI!

Nagle i dla siebie samego niespodziewanie odrzucił przelacznik gdzieś w ciemność. Rozległ się cichy brzek

46

w momencie, kiedy gdzieś upadł - gdzieś. I znowu cisza. Szirin poczuł w reku okropną pustkę. Ciemność...

Ciemność...

Nie było temu końca. Wpadał w otchłan bez dna. Przewracał się, wpadał i jeszcze raz wpadał w noc, w noc bez końca, pozerająca wszystko czern...

"Głęboko oddychaj. Zachowaj spokój".

A JEŻELI TO GROZI TRWAŁYMI ZMIANAMI W PSYCHICE?

"Zachowaj spokój - powtarzał sobie. - Nic ci nie będzie. Masz jeszcze przed sobą w najgorszym przypadku jedenastcie minut, a może tylko sześć lub siedem. Na zewnątrz świeca słońca. Szczęść lub siedem minut i już nigdy nie znajdziesz się w ciemności, nawet gdybyś miał żyć tysiąc lat. Ciemność..."

O, bogowie! Ciemność...

Spokojnie. Spokojnie. Szirinie, jesteś człowiekiem zrównoważonym. Jesteś bardzo zdrowy psychicznie. Byłeś zdrowy psychicznie, kiedy zanurzałeś się w to, i będziesz zdrowy, kiedy z tego wyjdiesz.

Tik-tak. Tik-tak. Tik-tak. Każda sekunda zbliża cię do wyjścia. Na pewno? Przecież ta jazda może się nigdy nie skończyć. Może tu zostać na zawsze. Tik-tak. Tik-tak. Tik-tak. Czy ja w ogóle się poruszam. Czy zostało mi jeszcze pięć minut, czy pięć sekund, czy ciągle jeszcze mijają dopiero pierwsza minuta?" Tik-tak. Tik-tak.

DLACZEGO MNIE STAD NIE WYPUSZCZA? CZY NIE MOGA SIĘ DOMYSLIĆ, JAK STRASZNIĘ CIERPIE?

"Nie chcą cię wypuścić. Nigdy cię nie wypuszczą. Zamierzają..." Nagły, przeraźliwy ból między oczami. Eksplozja bólu w czaszce.

CO SIĘ STAŁO?

Światło!

47

"Czy to prawda? Tak, tak. Bogu dzięki! Światło, naprawdę światło. Dzięki jakiegokolwiek bogu, który kiedykolwiek mógł istnieć".

Skonczyło się! Dotarł do końca tunelu! Wracał do stacji! Tak, z pewnością tak. Tak. Serce, którego uderzenia w piersiach jeszcze przed chwilą przypominały paniczny łomot, zaczęło wracać do normalnego rytmu. Oczy powoli przyzwyczajały się do normalnych warunków i widział już znane, zwyczajne rzeczy, błogosławione rzeczy, filary, peron, małe okienko w budce kontrolnej...

A także wpatrzonych w niego Sibella i Kelaritana.

Zawstydzil się swego tchórzostwa. "Zbierz się do kupy, Szirinie. Nie było tak źle. Nic ci nie jest. Nie leżysz na podłodze i nie ssiesz palca zawodząc wniebogłosy. Było to straszne, ale cię nie pokonało - naprawdę nie było to nic takiego, z czym nie mogłbyś sobie poradzić..." - Panie profesorze, proszę podać nam rękę. Do góry... do góry...

Wyciągnęli go, chwiejącego się, z wagonika i postawili na nogach. Szirin głęboko wciągnął powietrze w płuca. Przeciągnął ręką po czole ocierając pot.

-Ten mały przelacznik alarmowy - mruknął. - Zdaje mi się, że go gdzieś zgubiłem...

-Jak się pan czuje, panie profesorze? - zapytał Kelaritan. - Jak tam było?

Szirin się zatoczył. Dyrektor szpitala chwycił go pod ramię, pomagając odzyskać równowagę, ale psycholog odepchnął go z oburzeniem. Niech nie pomyśla, że te kilkanaście minut w tunelu tak na niego podziałało.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że podziałało. Choćby nie wiem jak się starał, nie mógł tego ukryć. Nawet przed sobą.

Uświadomił sobie, że żadna siła na świecie nie zmusiłaby go do powtórnego przejazdu przez tunel.

-Panie profesorze? Panie profesorze?

-Nic... mi... nie jest - wychrypiał.

-Mówi, że nic mu nie jest. - Jak przez mgłę dotarł do niego głos prawnika. - Odsuncie się. Dajcie mu spokój.

48

-Drża mu nogi - powiedział Kelaritan. - Zaraz upadnie.-Nie - zaprzeczył Szirin. - Nie ma mowy. Powtarzam wam, że czuje się dobrze.

Zachwiał się i pochylił, odzyskał równowagę i znowu się zachwiał. Z każdego pora w skórze płynął mu pot. Obejrzał się, zobaczył wlot tunelu i zadrzał. Odwracając się od ciemnej jamy unosił ramiona wysoko w górę, jak gdyby chciał ukryć między nimi twarz.

-Panie profesorze...? - Kelaritan był pełen wątpliwości.

Nie ma co udawać. To głupota, próżność i tępy upor - pozować na bohatera. Niech sobie pomyśla, że jest tchorem. Niech myśla, co chce. Te piętnaście minut to najgorszy koszmar, jaki przeżył. Wrażenie, jakie na niego wywarły, zapada w nim coraz głębiej, głębiej, głębiej...

-To było... mocne - rzekł. - Bardzo mocne. Olbrzymia siła zaburzająca.

-Ale zasadniczo czuje się pan dobrze? - skwapliwie zapytał Sibello. - Trochę wstrząsnięty, to prawda. Ktoż nie byłby wstrząsnięty, zanurzony w ciemność? Ale ogólnie w porządku. Wiedzieliśmy, że tak będzie. To tylko garstka, nieliczna garstka ludzi, u których występują jakieś...

-Nie - przerwał Szirin. Twarz prawnika przypominała mu olbrzymiego, skrzywionego w cynicznym uśmiechu krogulca. Niczym twarz demona. Nie mógł znieść jej widoku. Ale przyzwoita dawka prawdy podziela demona jak egzorcyzmy. "Nie warto bawić się w dyplomację - pomyślał Szirin. - Nie wtedy, kiedy rozmawiasz z demonami". - Nie jest możliwe, żeby ktokolwiek przez to przeszedł nie narażając się na poważne ryzyko. Jestem tego całkowicie pewien. Nawet najsilniejsza psychika może doznać wstrząsu, a słabsza zostanie po prostu zgnieciona. Jeżeli znowu otworzycie tunel, w ciągu sześciu miesięcy będziecie mieli pełne szpitale psychiatryczne we wszystkich prowincjach.

-Przeciwnie, panie profesorze...

-Niech pan nie mówi "przeciwnie"! Czy był pan 4 Nastanie nocy 49 w tunelu, panie Sibello? Nie, myślę, że pan się na to nie zdobył. A ja byłem! Pan mi płaci za ekspertyzę, więc proszę słuchać: tunel jest śmiertelnie niebezpieczną zabawką. To sprawa ludzkiej natury. Ciemność nie jest czymś, co większość z nas byłaby w stanie przetrzymać, i nigdy się to nie zmieni, dopóki słońca będą świecić na niebie. Sibello, niech pan zamknie tunel na zawsze. Człowieku, zamknij go na zawsze! Na zawsze!

7

Zostawiwszy skuter na wydziałowym parkingu tuż przy kopule obserwatorium, Biney podbiegł ścieżką prowadzącą do głównego wejścia olbrzymiego budynku. Zaczął właśnie wchodzić po szerokich kamiennych schodach, kiedy usłyszał, że ktoś z góry woła go po imieniu. Zaskoczony podniósł głowę.-Biney! A jednak przyszedłeś!

W wielkich drzwiach obserwatorium astronom zobaczył wysoką sylwetkę swego przyjaciela Teremona 762, dziennikarza "Kroniki Saro".

-Szukałeś mnie, Teremonie?

-Tak, ale powiedziano mi, że nie pokazesz się tutaj przez najbliższe kilka godzin. I właśnie kiedy wychodziłem, zobaczyłem cię. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

Biney podbiegł w górę kilka ostatnich stopni i obydwoj serdecznie się przywitani. Znal dziennikarza od trzech czy czterech lat, od momentu kiedy pojawił się on w obserwatorium po raz pierwszy, aby przeprowadzić wywiad z jakimś naukowcem na temat ostatniego manifestu zwariowanej grupy Apostołów Plomieni. Stopniowo stali się bliskimi przyjaciółmi, choć Teremon był jakieś pięć lat starszy i wywodził się z zupełnie innego środowiska, obracał się wśród ludzi mniej finezyjnych, nastawionych na sprawy bardziej przyziemne. Bineyowi podobało się to, że ma przyjaciela zupełnie niez zaangażowanego w rozgrywki uni50 wersyteckie; Teremon był rad, że zna kogoś, kto absolutnie nie jest zainteresowany wykorzystywaniem jego dziennikarskich wpływów.

-Czy coś się stało? - zapytał Biney.

-Nie, nic takiego. Chciałbym, byś jeszcze raz wystąpił w cyklu Głos Nauki. Mondior znowu wygłosił jedną ze swych mów na temat "Rozpocznij pokutę, zbliża się godzina sadu ostatecznego". Twierdzi teraz, że gotów jest podać godzinę zniszczenia świata. Jeżeli chcesz wiedzieć, nastąpi to dziewiętnastego theptara przyszłego roku.

-Szaleniec! Pisanie o nim to strata czasu. Dlaczego zresztą ktokolwiek zwraca uwagę na Apostolów? Teremon wzruszył ramionami.

-Fakt pozostaje faktem, Bineyu - ludzie go słuchają. Bardzo wielu ludzi, i jeżeli Mondior twierdzi, że koniec świata jest blisko, to trzeba, by ktoś inny powiedział:

"Nieprawda, bracia i siostry! Nie bójcie się! Wszystko jest w porządku" lub coś w tym rodzaju, co wywrze podobny efekt. Może liczyć na ciebie?

-Wiesz, że możesz.

-Dzisiaj wieczorem?

-Dzisiaj wieczorem? Do licha, to najgorszy z możliwych termin. Jak myślisz, ile by to zajęło czasu?

-Poł godziny? Trzy kwadransy?

-Widzisz, mam teraz tutaj pilne spotkanie - wyjaśnił Biney - dlatego przyszedłem przed normalnymi godzinami pracy. No i przysięgam Raissie, że wrócę biegiem do domu i poświęcę jej godzinę czy dwie. Ostatnio chodziliśmy własnymi drogami i prawie się nie widywaliśmy. A późnym wieczorem powinienem być znowu w obserwatorium i nadzorować wykonanie szeregu fotografii...

-Rozumiem - rzekł Teremon. - Wygląda na to, że wybrałem nie najszczęśliwszą porę. Nie ma sprawy. Tekst muszę dostarczyć jutro po południu. Może byśmy porozmawiali rano?

-Rano? - zapytał Biney tonem pełnym wątpliwości.

-Wiem, że wczesna pora jest dla ciebie czymś nie do pomyslenia, ale mogłbym się tutaj zjawić o wschodzie Onosa, kiedy skończysz pracę. Udzieliłbym ci krótkiego wywiadu, zanim pojedziesz do domu spać...

51

-No...-Bineyu, zrób to dla przyjaciela!

Biney spojrzał na dziennikarza znudzonym wzrokiem.

-Oczywiście. Nie na tym polega problem. Po prostu po całym wieczorze pracy mogę być tak nieprzytomny, że nie na wiele ci się przydam.

-O to się nie martw. Zauważyłem, że masz nadzwyczajną zdolność diabelnie szybkiego dochodzenia do siebie, kiedy spotykasz antynaukowy nonsens, z którym musisz się rozprawić. A więc jutro o wschodzie Onosa? W twoim biurze na pietrze?

-Dobra.

-Wielkie dzięki, chłopie. Jestem ci za to winien jednego.

-Nie ma o czym mówić.

Teremon zsalutował i zaczął schodzić po stopniach w dół.

-Pozdrow ode mnie najserdeczniej swoją piękną panią! - zawołał. - I do zobaczenia rano.

-Tak, do zobaczenia rano - powtórzył Biney.

Jak dziwnie to zabrzmiało! Nigdy nie umawiał się z nikim ani nie załatwiał żadnych spraw rano. Ale dla Teremona zrobi wyjątek. Oto co znaczy przyjazn.

Odwrocił się i wszedł do obserwatorium.

Przymione światło i cisza, swojski spokój wielkiego gmachu, w którym niepodzielnie królowała nauka, znane mu były niemal od pierwszych spędzonych dni na uniwersytecie. Wiedział jednak, jak złudny jest ten spokój. W tym potężnym budynku, podobnie jak i w innych miejscach na tym doczesnym świecie, stałe klebiły się wszelkiego rodzaju konflikty, poczynając od wzniosłych dysput filozoficznych, a kończąc na drobnych kłótniach, oczernianiu i zakulisowych intrygach. Astronomowie jako grupa społeczna nie byli bardziej cnotliwi niż inni.

Mimo to obserwatorium dla Bineya, a także dla większości jego kolegów, którzy tam pracowali, było czymś w rodzaju świątyni - wchodzić tu mogli pozostawiając za progiem kłopoty i mniej lub bardziej spokojnie poświęcić się szukaniu odpowiedzi na pytania stawiane przez wszechświat.

52

Szedł szybko długim głównym korytarzem, starając się, jak zwykle bezskutecznie, stłumić stukanie butów na marmurowej posadzce. Tak jak to robił niezmiennie za każdym razem, spojrzał na ustawione wzdłuż ścian po obu stronach gabloty tworzące stałą wystawę. Zawierały uswiecone eksponaty z historii astronomii. Były to prymitywne, niemal śmieszne lunety, których używali tacy pionierzy jak Chekkor i Stanta cztery czy pięć wieków temu. Były też poskrecane czarne kawałki meteorytów, które przez wieki spadały z nieba, enigmatyczni świadkowie tajemnic kryjących się poza chmurami. Były też pierwsze wydania wielkich map nieba i podręczników astronomicznych, jak też pozolki ze starości manuskrypty epokowych teoretycznych prac wielkich myślicieli.

Biney zatrzymał się na moment przed ostatnim z manuskryptów, który - w odróżnieniu od całej reszty - wyglądał na prawie nowy. Była to klasyczna kodyfikacja teorii powszechnego ciężenia wypracowana przez Athora 77 niedługo przed urodzeniem się Bineya, licząca więc sobie tylko wiek jednego pokolenia. Choć Biney nie należał do ludzi, których można by określić jako religijnych, spoglądał na ten plik papierów w sposób bardzo przypominający nabożną część, jego myśli zaś układały się w coś w rodzaju modlitwy.

Teoria powszechnego ciężenia była dla niego jednym z filarów kosmosu; być może filarem najważniejszym. Nie potrafił wyobrazić sobie, co by zrobił, gdyby ten filar upadł. A teraz zdawało mu się, że zaczął się on chwiać.

Na samym końcu korytarza, poza pięknymi, wykonanymi z brązu drzwiami, znajdowało się biuro profesora Athora. Biney zerknął w tamtą stronę i pośpiesznie przeszedł obok, kierując się schodami w górę. Czcigodny i ciągle budzący postrach dyrektor obserwatorium był ostatnią osobą, która chciałby w tym momencie widzieć.

Faron i Imot czekali na niego w Sali Map, gdzie umówili się na spotkanie.

-Przepraszam, że się trochę spóźniłem - powiedział

53

Biney. - Dzień dzisiejszy jak dotąd nie oszczędził mi kłopotów. Uśmiechnęli się do niego nerwowo niczym nastroszone sowy. "Jakże z nich dziwna para" - pomyślał, zresztą nie po raz pierwszy. Obydwaj pochodzili z jakiejś odległej rolniczej prowincji, Sithin czy może Gatamber. Faron 24 był niski i pulchny, o ruchach ocieziałych, prawie leniwych i ogólnie beztroskim, swobodnym sposobie bycia, a jego przyjaciel Imot - nieprawdopodobnie wysoki i chudy niczym drabina na zawiasach, do której doczepiono ramiona, nogi i twarz. Właściwie przydałby się teleskop, aby zobaczyć jego głowę sięgającą stratosfery. Imot był w tym samym stopniu spięty i skurczony, w jakim zrelaksowany był jego przyjaciel. A jednak zawsze trzymali się razem. Ze wszystkich kończących studia dyplomantów, w hierarchii organizacyjnej obserwatorium będących o szczebel niżej od Bineya, ci dwaj z pewnością wyróżniali się inteligencją.

-Nie czekaliśmy długo - natychmiast powiedział Imot. ' - Tylko dwie czy trzy minuty, panie doktorze - dodał Faron.

-Dzięki, ale jeszcze nie całkiem "doktorze" - sprostował Biney. - Muszę jeszcze przeprowadzić końcowe badania. Jak wam poszły obliczenia?

Zginając i wykrzywiając swe nieprawdopodobnie długie nogi Imot zapytał:

-Proszę pana, czy to obliczenia grawitacyjne? J Faron tracił go tak energicznie łokciem między zębra, że Biney zamarł oczekując trzasku łamanych kości.

-Tak. Mówiąc szczerze, Imot ma rację. - Uśmiechnął się blade do wysokiego młodzieńca. - Chciałem, by było to dla was czysto abstrakcyjne ćwiczenie matematyczne. Nie dziwie się jednak, że potrafiliście odgadnąć kontekst. Wpadliście na to dopiero po uzyskaniu wyniku, prawda?

-Tak, proszę pana - zapewnili obaj jednocześnie.

-Najpierw zrobiliśmy wszystkie obliczenia - dodał Faron.

54

-Potem przyjrzelismy się temu jeszcze raz i kontekst stał się oczywisty - rzekł Imot.-Aha. Tak, jasne - powiedział Biney. Te dzieciaki czasami były denerwujące. Tacy młodzi - sześć czy siedem lat młodszy od niego, ale on był asystentem profesora, a oni tylko studentami i zarówno dla niego, jak i dla nich ta bariera była nie do przebycia. Chociaż tacy młodzi, jak te gie mieli głowy! Nie był jednak zadowolony z tego, że odgadli, czego dotyczyły obliczenia. Tak naprawdę był bardzo niezadowolony. Za parę lat znajda się na tym samym co on wydziale, być może rywalizując o te same co on profesury, a to nie będzie zabawne. Teraz stara) się o tym nie myśleć.

Sięgnął po ich wydruk.

-Może spojrzeć? - zapytał).

Imot poda) mu wydruk dziko roztrzesionymi rękoma. Biney przebiegał oczami rzędy cyfr, najpierw spokojnie, potem z coraz większym zdenerwowaniem.

Przez cały rok rozpatrywał pewne implikacje teorii powszechnego ciążenia, która jego nauczyciel Athor doprowadził do takich szczytów perfekcji. Rozpracowanie orbitalnego ruchu Kalgasza i wszystkich jego sześciu słońc zgodnie z racjonalnymi zasadami si) przyciągania było wielkim sukcesem Athora, czymś, co leżało u podstaw jego znakomitej reputacji.

Biney, stosując nowoczesny sprzęt komputerowy, oblicza) niektóre aspekty orbity Kalgasza wokół głównego słońca, Onosa, kiedy ku swemu przerażeniu zauważył, że wyniki nie dają się gładko wpasować w założenia teorii powszechnego ciążenia. Teoria mówiła, gdzie na początku bieżącego roku Kalgasz powinien znajdować się w stosunku do Onosa, podczas gdy niezaprzeczalnym faktem było to, że znajdował się gdzie indziej.

Odchylenie było nieznaczne - kilka miejsc po przecinku - ale wcale nie było nieznaczne w szerszym ujęciu sprawy. Teoria powszechnego ciążenia była tak dokładna, że większość ludzi wolała nazywać ją prawem dążenia. Jej matematyczne podstawy uważano za nienaganne. W teorii,

55

która rości sobie prawo do wyjaśniania ruchu wszechświata w przestrzeni kosmicznej, nie ma miejsca nawet na najmniejsze odchylenia. Jest kompletna albo niekompletna nie dopuszcza się niczego pośredniego. A Biney wiedział że różnica kilku miejsc po przecinku w średnio rozwiniętych rachunkach rozrosnie się do nieprawdopodobnej otchłani w przypadku zastosowania rachunków bardziej ambitnych. Coż warta była cała teoria powszechnego ciążenia, jeżeli okazałoby się, że rozbieżność między pozycją obliczoną którą Kalgasz miał zajmować za sto lat, a pozycją rzeczywiście wynosiłaby całe pole długości orbity? Biney sprawdzał obliczenia aż do znudzenia. Wynik był zawsze ten sam.

W co w takim razie ma wierzyć?

W swoje obliczenia czy w mistrzowską konstrukcję umysłu Athora?

W swoją nieznacznie wiedzę astronomiczną czy w głęboki wgląd wielkiego Athora w budowę wszechświata?

Wyobraził sobie siebie stojącego na szczycie kopuły obserwatorium i krzyczącego: "Słuchajcie! Słuchajcie wszyscy! Teoria Athora jest nieprawdziwa! Mam tu liczby, które ją dyskwalifikują!", co zapewne spowodowałoby wybuch śmiechu, który zmiotłby go na drugi koniec kontynentu, kimże on jest, że śmie występować przeciw wielkiemu Athorowi? Kto uwierzyłby, że nieopierzony asystent może obalić prawo powszechnego ciążenia?

A jednak... a jednak...

Przebiegał oczami wydruki przygotowane przez Imota i Farona. Nie znalazł sposobu obliczeń na pierwszych dwóch stronach; dane dla studentów przygotował w ten sposób, że założenie, z którego liczby wynikały, nie było oczywiste, a oni podeszli do problemu w sposób, który każdy astronom próbujący obliczyć orbite planety uznałby za nietypowy. I tego właśnie oczekiwał Biney. Sposoby rutynowe(prowadziły do przerażających wniosków, on jednak wiedział zbyt wiele o całym zagadnieniu i to przeszkadzało mu wyzwolić się z rutynowego sposobu myślenia. Faron i Imo nie byli niczym ograniczeni w swoim rozumowaniu.

56

Podając za ich sposobem myślenia Biney zaczął dostrzegać niezbyt pocieszającą zgodność wyników. Na stronie trzeciej ich obliczenia zbiegły się z jego obliczeniami, a te znalazł już na pamięć. I od tego miejsca krok za krokiem wszystko biegło w ten sam uporządkowany sposób, prowadzący do tego samego zatrważającego, wstrząsającego, niepojętego, całkowicie nie nadającego się do przyjęcia wyniku końcowego.

Biney w osłupieniu spojrział na obojgu studentów.

-Czy jest jakaś możliwość, że gdzieś mogliście się pomylić? Na przykład ten ciąg cyfr tutaj wygląda dość podejrzanie.

-Ależ, proszę pana! - Imot był oburzony. Twarz miał czerwona, a jego długie ręce łopotały w powietrzu, jak gdyby żyły własnym życiem.

Faron zareagował spokojnie.

-Obawiam się, że wszystko jest w porządku, proszę pana. Od góry do dołu wszystko się zgadza.

-Tak. Myślę, że tak - odpowiedział Biney głucho. Starał się nie okazać udreki, jednak ręce mu tak drżały, że wydruki, które wciąż trzymał, trzępotały w powietrzu. Zaczął układać papiery na stole, ale złapał go skurcz nadgarstka, bardzo w stylu Imoty, i kartki posypały się na podłogę.

Faron ukląkł, aby je pozbić. Zakłopotany spojrział na Biney'a.

-Proszę pana, jeżeli to myślenie pana tak zdenerwowało...

-Nie. Absolutnie nie. Złe spałem, ot i tyle. Wy zrobiliście wspaniałą robotę, naprawdę wspaniałą. Jestem z was dumny. Zabrać się do takiego problemu... problemu, który nie ma żadnego odbicia w rzeczywistości, który faktycznie jest absolutnie sprzeczny z prawdą naukową, i tak metodycznie zmierzać do rozwiązania wymaganego przez podane dane, ignorując fakt, że przesłanka wstępna jest absurdalna - no, to jest wspaniała robota, godna podziwu demonstracja waszej siły logicznego rozumowania, eksperyment myślowy pierwszej klasy...

Dostrzegł, jak rzucają sobie szybkie spojrzenie. Ciekaw był, czy chociaż trochę udało mu się ich zwiść.

57

-A teraz wybaczcie, chłopcy - ciągnął - mam jeszcze jedno umówione spotkanie... Zwinawszy przekłete papiery w ciasny rulon wsunął je pod pachę i jak burza wypadł za drzwi. Prawie biegnąc dopadł do końca korytarza kierując się do zacisza swego małego gabinetu.

"Bogowie - pomyślał. - Bogowie, co ja zrobiłem? Co ja teraz pocznę?" Ukrył twarz w dłoniach i czekał, aż ucichnie mu łomot w piersi. Nie zanosilo się na to. Po chwili wstał i uderzył palcem w przycisk komunikatora na biurku.

-Połącz mnie z "Kroniką Saro" - powiedział do maszyny. - Z Teremonem 762.

Z komunikatora wydobył się długi, irytujący ciąg trzasków i pisków; potem usłyszał głos Teremona:

-Biuro raportu, Teremon 762.

-Tu Biney.

-Słucham? Nic nie rozumiem! Biney uswiadomił sobie, że był w stanie wydawać z siebie jedynie niewyraźne chrypienie.

-Tu Biney, powiedziałem! Chciałbym zmienić godzinę spotkania!

-Zmienić godzinę spotkania? Posłuchaj, chłopie, rozumiem, co czujesz myśląc o pracowaniu rankiem, bo ja czuję to samo, ale absolutnie nie mogę rozmawiać z tobą później niż jutro w południe, bo inaczej nie będę miał żadnego tekstu. Dostosuje się do ciebie, o ile tylko będę mógł, ale...

-Nie rozumiałem, Teremonie. Chcę widzieć się z tobą wcześniej, nie później.

-Co?

-Dzisiaj wieczorem. Powiedzmy o wpół do dziesiątej. Lub o dziesiątej, jeżeli byłoby ci tak wygodniej.

-Myślałem, że masz robić zdjęcia w obserwatorium.

-Do diabla ze zdjeciami! Musze sie z toba spotkac.

-Musisz?! Co sie stalo? Czy cos z Raissa?

-To nie ma nic wspolnego z Raissa. Wpol do dziesiatej? W Szesciu Sloncach?

58

-Tak, klub Szesc Slonc, wpol do dziesiatej - powtorzyl Teremon. - Jesteśmy umowieni. Biney przerwal polaczenie. Przez dluzsza chwile siedzial wpatrujac sie w lezacy przed nim rulon papierow i ponuro kiwal glowa. Czul sie odrobine lepiej niz poprzednio, ale tylko odrobine. Jesli zwierzy sie przyjacielowi, bedzie mu latwiej zniesc ciezar tego wszystkiego. Ufal Teremonowi calkowicie. Wiedzial, ze dziennikarze nie odznaczaja sie szczegolna lojalnoscia, ale Teremon byl przede wszystkim przyjacielem, a potem dziennikarzem. Nigdy sie nie zdarzylo, aby zawiodl jego zaufanie.

Biney nie mial pojecia, jaki ruch powinien teraz wykonac. Moze Teremon bedzie w stanie cos wymyslic. Moze.

Wyszedl z obserwatorium tylnymi drzwiami, wymykajac sie jak zlodziej. Nie smial ryzykowac mozliwosci spotkania z Athorem, co mogloby sie zdarzyc, gdyby wychodzil brama glowna. Mozliwosc natknecia sie na Athora, stancia z nim twarza w twarz wlasnie teraz bylaby dla niego nie do zniesienia.

Jazda skuterem do domu byla okropna. Caly czas sie bal, ze w kazdej chwili prawo ciazenia przestanie obowiazywac i on oderwawszy sie od ziemi poszybuje gdzieś w przestworza. W koncu jednak dotarl do malego mieszkanka, ktore dzielim z Raissa 717.

Az sie cofnela, kiedy go ujrzala.

-Biney! Jesteś błąd jak...

-Do licha, tak. - Przyciagnal ja do siebie i mocno przytulil. - Obejmij mnie - poprosil. - Obejmij mnie.

-Co ci jest? Co sie stalo?

-Powiem ci pozniej. Teraz tylko mnie obejmij.

8

Teremon byl w klubie Szesc Slonc juz kilka minut po dziewiatej. Pomyslal, ze na poczatek dobrze byloby zaserwowac Bineyowi cos mocniejszego, jakis szybki drink czy dwa,

59

po prostu, by mu troche podsmarowac komorki mozgowe. Glos astronoma brzmial okropnie, wygladalo na to, ze olbrzymim wysilkiem powstrzymywal sie od wybuchu hysterii. Teremon nie mial pojecia, co az tak okropnego moglo mu sie przydarzyc w odosobnieniu i ciszy obserwatorium, iz sie zalamal. Zdecydowanie mial jakis klopot i zdecydowanie potrzebował od niego, Teremona, pomocy, o ile ten byl mu w stanie jej udzielic. -Proszę Tano Special - powiedzial Teremon do kelnera. - Albo nie, niech bedzie podwojny. Tano Sitha w takim razie, dobrze?

-Podwojne biale swiatlo - powtorzyl kelner. - Juz podaje.

Wieczor byl cichy i cieply. Teremonowi, ktorego tu dobrze znano i traktowano jak specjalnego goscia, zawsze podczas cieplej pogody dawano stolik na tarasie, z widokiem na miasto. Swiatla w dole poblyskiwaly wesolo. Onos zaszedl godzinie lub dwie temu i na niebie widnialy tylko Trey i Patru. W miare jak zblizal sie ranek, wspinaly sie coraz wyzej, a ludzie, drzewa i domy rzucaly ostre, blizniacze cienie.

Patrzac na Treya i Patru Teremon zastanawial sie, ktore slonca zobaczy na niebie jutro. Ta olsniewajaca swietlna parada zmieniala sie codziennie. Oczywiscie Onos - zawsze mozna byc pewnym, ze Onos pokaze sie przynajmniej na czesc dnia przez caly rok - ale co poza tym? Dovim, Tano i Sitha - wtedy bylby to dzien czterech slonc. Teremon nie wiedzial na pewno. A moze tylko Tano i Sitha, a Onos pojawi sie jedynie na kilka godzin w poludnie? Bylby to ponury dzien. Pociagnal jeszcze lyk i przypomniat sobie, ze o tej porze roku Onos swieci dlugo. Prawdopodobnie wiec bedzie to dzien trzech slonc, chyba ze pojawi sie tylko Dovim i Onos.

Trudno bylo sie w tym wszystkim polapac...

Mogłoby zajrzec do kalendarza astronomicznego, ale w gruncie rzeczy nie był tym zainteresowany. Niektórzy ludzie zawsze wiedzieli, jakie jutro beda slonca - oczywiscie Biney był jednym z nich - lecz Teremon miał do tego

60

bardziej beztroskie podejscie. Dopoty, dopoki istniała pewność, że jakies slonce znajdzie sie jutro na niebie, Teremona nieszczegolnie obchodzilo ktore. A jakies zawsze tam bylo - z reguly dwa lub trzy, czasami cztery. Można bylo na to liczyc. Niekiedy pojawialo sie nawet piec. Przyniesiono mu drinka. Pociagnal duzy lyk i mruknal z zadowoleniem. Tano Special to wspaniala rzecz! Dobry, mocny biały rum z wysp Yelkareen, destylowany na wybrzezach Bagilaru, zmieszany z odrobina czegos jeszcze mocniejszego, przezroczywego i ostrego, a do tego kropla soku ze sgarrino dla zlagodzenia smaku - ach, cudowne! Teremon nie pil duzo, z pewnością nie tyle, ile przypisywano dziennikarzom w krazacych o nich opowiesciach, ale dzien uwazal za stracony, jezeli o spokojnym, mrocznym czasie po zajsciu Onosa nie mogli znalezc chwili na jedna lub dwie szklaneczki Tano Special.

-Chyba to lubisz - odezwal sie za nim znajomy glos.

-Biney! Jesteś trochę wcześniej!

-Dziesięć minut. Co pijesz?

-To co zwykle. Tano Special.

-Ja też chyba poproszę o drinka.

-Ty?! - Teremon osłupiał. Wiedział, że Biney pił tylko soki owocowe. Nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek widział, jak astronom zamawia coś mocniejszego.

Dzisiaj jednak Biney wygladal dziwnie - mizerny, wymeczony, zmarnowany. Oczy mu swiecily, jakby miał goraczkę.

-Kelner! - zawołał Teremon.

Biney po pierwszym hauscie z trudem złapał oddech, jakby spodziewał się dużo słabszego efektu, ale natychmiast pociagnal następny, długi lyk, a potem jeszcze następny. Teremon uznał, że naprawdę musiało się stać coś strasznego.

-Spokojnie - próbował powstrzymać przyjaciela. - Za pięć minut zaszumi ci w głowie.

-Juz mi szumi.

-Piles coś, zanim przyszedles?

-Nie, nie piłem. Przeżyłem szok. Wstrzas. - Biney

61

postawił szklaneczkę na stole i zapatrzył się niespokojnie na miejskie światła. Po chwili znów sięgnął po drinka i z roztargnieniem wychylił do dna. - Nie powinienem chyba zaraz prosić o następny, prawda? - Myśle, że nie. - Teremon lekko położył rękę na dłoni przyjaciela. - Co się z tobą dzieje, chłopie? Możesz mi powiedzieć?

-To... trudno wyjaśnić.

-No, chyba się trochę domyślam. Ty i Raissa...

-Nie! Powiedziałem ci już, że to nie ma z nią nic wspólnego. Nic!

-W porządku. Wierze ci.

-Chyba zamówię jeszcze jednego drinka.

-Za chwilę. Spokojnie. No, o co chodzi? Biney westchnął.

-Teremonie, wiesz, co to jest teoria powszechnego ciężenia?

-Jasne. Wprawdzie nie umiałbym powiedzieć, co ona dokładnie głosi - chyba tylko z dziesięciu ludzi na Kalgaszu naprawdę ją rozumie - ale oczywiście wiem, co to jest.

-Ty wierzysz w te głupoty? - Biney zaśmiał się chrapliwie. - Ze teoria powszechnego ciążenia jest tak skomplikowana, iż najwyżej dziesięciu ludzi rozumie jej zawile wyliczenia matematyczne?

-Tak mi zawsze mówiono.

-To, co ci mówiono, to ludowa mądrość ignorantów, Podstawowe zasady matematyczne mogę ci przedstawić w jednym zdaniu i z pewnością je zrozumiesz.

-Naprawdę tak uważasz?

-Pewnie. Posłuchaj, Teremonie: prawo ciążenia - to znaczy teoria powszechnego ciążenia - głosi, że istnieje siła łącząca wszystkie ciała we wszechświecie i że wielkość (tej siły między dwoma ciałami jest proporcjonalna do iloczynu ich mas podzielonego przez kwadrat odległości w jakiej ciała znajdują się od siebie. I tylko tyle.

-To wszystko?

-Wystarczy! Sformułowanie tego wymagało czterystu lat

62

-Czemu aż tyle? To, co powiedziałeś, wydaje się bardzo proste.-Tak, ale wielkie prawa nie powstają pod wpływem nagłego oświecenia, jak chcieliby wierzyć dziennikarze. Zazwyczaj to rezultat zbiorowych wysiłków naukowców z całego świata w ciągu długich stuleci. Odkąd Genowi 41 odkrył, iż to Kalgasz obraca się wokół Onosa, a nie odwrotnie - a było to około czterystu lat temu - astronomowie pracowali bez wytchnienia nad wyjaśnieniem, dlaczego sześć słońc ukazuje się na niebie i znika w sposób taki, a nie inny. Skomplikowane ruchy całej szóstki notowano, analizowano i roztrząsano. Teorie za teorią rozwijano, sprawdzano, jeszcze raz sprawdzano, modyfikowano, zarzucano, powracano do niej i przerabiano na coś innego. To była piekielnie żmudna praca.

Teremon w zamysleniu kiwał głową i skończył drinka. Dał znak kelnerowi, że zamawia jeszcze dwa. Pomyślał, że Biney jest znacznie spokojniejszy, kiedy mówi o sprawach naukowych.

-Okolo trzydziestu lat temu - ciągnął astronom - Athor 77 osiągnął szczyty perfekcji demonstrując, że teoria powszechnego ciążenia dokładnie tłumaczy orbitalne ruchy sześciu słońc. Było to osiągnięcie zdumiewające, jeden z największych wyczynów czystej logiki w dziejach nauki.

-Wiem, jakim szacunkiem darzysz tego człowieka - rzekł Teremon - ale co to ma wspólnego z...

-Zaraz ci wytłumaczę.

Biney wstał i podszedł do krawędzi tarasu, trzymając szklaneczkę w ręku. Przez jakiś czas stał w milczeniu, spoglądając na słońca, Treya i Patru. Teremonowi wydawało się, że Biney znowu jest podenerwowany. Nie odezwał się jednak. Po jakimś czasie astronom znowu pociągnął długi łyk i wciąż stojąc plecami do przyjaciela zaczął mówić.

-Problem wygląda tak. Kilka miesięcy temu zacząłem prace nad ponownym przeliczeniem ruchu Kalgasza wokół Onosa, używając dużego uniwersyteckiego komputera. Podąłem mu dane z ostatnich sześciu tygodni obserwacji

63

orbity Kalgasza i zadałem, żeby przewidział ruch planety do końca roku. Nie oczekiwałem żadnych niespodzianek. Myślałem, że przede wszystkim chciałem mieć jakiś pretekst do zabawy komputerem. Rzecz jasna, do tych kalkulacji wykorzystałem prawo ciążenia. - Odwrócił się nagle. Twarz miał trupio biała. - Teremonie, otrzymałem inne wyniki, niż powinienem. - Nie rozumiem.

-Orbita, którą podał komputer, nie zgadza się z hipotetyczną orbitą, której oczekiwałem. Nie opierałem się wyłącznie na czystym systemie Kalgasz-Onos, brałem pod uwagę zakłócenia, które powodują inne słońca. I otrzymałem - jak twierdzi komputer - prawdziwą orbitę Kalgasza, a jest ona całkowicie różna od orbity wykazanej przez teorię powszechnego ciążenia Athora.

-Powiedziałeś przecież, że korzystałeś z prawa Athora przy formułowaniu założeń - rzekł Teremon zaskoczony.

-Tak.

-Jak więc w takim razie... - Nagle Teremonowi zabłysły oczy. - O Boże, człowieku! Co za historia! Czy chcesz mi

powiedzieć, że nowy superkomputer, zainstalowany na Uniwersytecie Saryjskim kosztem lepiej nie wspominać ilu kredytów, jest nieprecyzyjny? Że jest to przypadek skandalicznego zmarnowania pieniędzy podatników? Że...

-Komputer jest w porządku, Teremonie. Możesz mi wierzyć.

-Jestes pewien?

-Całkowicie.

-Wiec... co...?

-Mogłem podać komputerowi mylne liczby. Komputer jest wspaniały, ale nie można oczekiwać prawidłowej odpowiedzi podając nieprawidłowe dane.

-No, to dlaczego jesteś taki zdenerwowany? Posłuchaj, chłopie, przecież rzecz ludzka jest popełniać błędy od czasu do czasu. Nie możesz być taki surowy w stosunku do siebie. Nie...

-Przed wszystkim musiałem być całkowicie pewien, że podałem komputerowi właściwe dane i że dałem mu też

64

poprawne postulaty teoretyczne do przetwarzania tych danych. - Biney ścisł szklaneczkę tak mocno, że drżała mu ręka. Teremon zauważył, że szklaneczka była pusta. - Jak powiedziałeś, jest rzecz ludzka od czasu do czasu popełniać błędy. Zwróciłem się więc do dwóch wybitnie zdolnych młodych dyplomantów i im dałem ten problem do opracowania. Dzisiaj podali mi swoje wyniki. To właśnie było to bardzo ważne spotkanie, z powodu którego nie mogłem się z tobą umówić. Teremonie, oni potwierdzili moje odkrycie. Wyszło im to samo odchylenie orbity, które otrzymałem ja. -Lecz jeżeli komputer miał rację, wówczas... - Teremon potrząsnął głową. - Wówczas co? Teoria powszechnego ciężenia jest błędna? Czy właśnie to chcesz powiedzieć?

-Tak.

Słowo to Biney wykrztusił z olbrzymim wysiłkiem. Wydawał się ogłuszony, zdruzgotany.

Teremon przyglądał mu się badawczo. Cała ta sprawa była dla Bineya z pewnością bardzo krepująca, jednak dziennikarz wciąż nie mógł pojąć, dlaczego wywarła na jego przyjaciela tak wielkie wrażenie.

Nagle zrozumiał wszystko.

-To Athor! Boisz się zranic Athora, prawda?

-Dokładnie tak - przyznał Biney, spoglądając na Teremona z wyrazem niemal patetycznej wdzięczności w oczach za to, że ten odgadł prawdę. Usiadł zgarbiony, ze spuszczone głową i rzekł stłumionym głosem: - On jest stary. Nie przeżyłby wiadomości, że ktoś zrobił wylom w jego wspaniałej teorii. Był dla mnie niczym drugi ojciec. Wszystko, co osiągnąłem przez ostatnie dziesięć lat, osiągnąłem dzięki niemu, dzięki jego zachętom, dzięki jego... można powiedzieć - miłości, i teraz tak się odplacam. To więcej niż zniszczenie dzieła jego życia. Teremonie, ja wbijam Athorowi noż w plecy!

-Czy rozważyłeś możliwość nieujawniania swego odkrycia? Biney wyglądał na zaskoczonego.

-Wiesz, że tego nie mogę zrobić. 5 - Nastanie nocy 65 - Tak, tak, wiem, ale czy o tym myślałeś?

-Czy myślałem o czymś nie do pomyslenia? Nie, oczywiście, że nie. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Co ja mam zrobić, Teremonie? Przypuszczam, że mogłbym wyrzucić te papiery i udawać, że nigdy nie miałem z tym wszystkim do czynienia. Ale to byłoby straszne. Tak więc mam tylko do wyboru albo gwałt na moim sumieniu naukowca, albo zniszczenie Athora. Zniszczenie człowieka, którego traktuje nie tylko jako główny autorytet mojej dziedziny wiedzy, ale jako mojego filozoficznego mistrza.

-Zastanów się więc, czy naprawdę jest mistrzem. Astronom otworzył szeroko oczy ze zdumienia i wściekłości.

-O czym ty mówisz?! - wykrzyknął.

-Spokojnie, spokojnie. - Teremon rozłożył ręce w uspokajającym geście. - Zdaje mi się, że jesteś w stosunku do niego okropnie unizony. Bineyu, jeżeli Athor rzeczywiście jest tak wielkim człowiekiem, za jakiego go uważasz, nie będzie przedkładał swej reputacji ponad naukową prawdę. Rozumiesz, o co mi chodzi? Teoria Athora nie jest wykuta ze stali,

podobnie jak żadna inna. Zawsze jest miejsce na jakieś ulepszenia. Zgadzasz się ze mną? Dawno temu powiedziałeś mi - i ja tego nigdy nie zapomnę - że nauka skonstruowana jest z twierdzeń, które stopniowo przybliżają się do prawdy. Oznacza to, że wszystkie teorie są przedmiotem stałego sprawdzania i modyfikacji, prawda? I jeżeli się w końcu okazuje, że nie są tej prawdy dostatecznie blisko, trzeba je zastąpić czymś, co znajduje się bliżej. Czy tak?

Biney drzał. Był bardzo blady.

-Teremonie, mogłbyś mi zamówić jeszcze jednego drinka?

-Nie. Posłuchaj, to jeszcze nie wszystko. Mówisz, że tak bardzo martwisz się o Athora - jest stary i pewnie słaby - że nie masz serca mu powiedzieć, iż znalazłeś ryse w jego teorii. W porządku. Jest to postawa kochającego i lojalnego ucznia. Pomysł jednak przez chwilę. Jeżeli obliczenie orbity Kalgasza jest aż tak ważne, ktoś przedzej

66

czy później na te ryse trafi i ten ktoś prawdopodobnie nie będzie tak delikatny wobec Athora. Może to być jego rywal czy bezpośredni wrog. Sam mi wiele razy mówiłeś, że każdy naukowiec ma wrogów. Czy nie byłoby lepiej, gdybyś sam poszedł do Athora i łagodnie, delikatnie powiedział mu o swoim odkryciu, niż żeby on sam znalazł coś na ten temat któregoś ranka, na przykład w "Kronice Saro"?-Tak - wyszeptał Biney. - Masz całkowitą rację.

-Pojdziesz więc do niego?

-Tak. Tak, myślę, że muszę. - Biney przygryzł wargę. - Taki jestem nieszczęśliwy z tego powodu, Teremonie. Czuje się jak morderca.

-Wiem. Nie będziesz jednak mordercą Athora, tylko wadliwą teorię. Wadliwym teoriom nigdy nie powinno się pozwalać na przetrwanie. Zarówno sobie, jak i Athorowi winien jesteś to, aby prawda wyszła na jaw. - Teremon się zawahał. Jakas nagle myśl przyszła mu do głowy. - Istnieje, oczywiście, jeszcze jedna możliwość. Jestem laikiem i ty pewnie będziesz się śmiać z tego pomysłu... ale może jest jakaś szansa, że mimo wszystko teoria ciążenia jest poprawna i poprawne są też komputerowe obliczenia orbity Kalgasza, tylko zaistniał jakiś zupełnie nowy czynnik, coś całkiem nie znanego, co spowodowało te rozbieżności w otrzymanych przez Ciebie wynikach?

-Przypuszczam, że może tak być - powiedział Biney bez entuzjazmu - ale kiedy zaczynasz wnikać w tajemnicze, nieznanne czynniki, wkraczasz do krainy fantazji. Dam ci przykład. Powiedzmy, że gdzieś tam jest niewidoczne słońce. Ma ono swoją masę i siłę grawitacyjną, ale my po prostu go nie widzimy. Ponieważ nie wiemy, że ono istnieje, nie włączyliśmy go do naszych obliczeń i dlatego wyniki wychodzą sfalszowane. Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

-No, dlaczegoż by nie?

-Dlaczego w takim razie nie pięć niewidocznych słońc? Dlaczego nie pięćdziesiąt? Dlaczego nie jakiś niewidoczny olbrzym, który popycha planety według swojego kaprysu? Dlaczego nie olbrzymi smok, którego oddech spycha Kalgasza z właściwej drogi? Nie możemy tego wykluczyć,

67

prawda? Widzisz, Teremonie, kiedy zaczynamy z "dlaczego nie", wszystko staje się możliwe i wszystko traci wtedy sens. Przynajmniej dla mnie. Ja mogę się zajmować tylko tym, o czym wiem, że jest realne. Możesz mieć rację mówiąc, że zaistniał jakiś nieznany nam czynnik i dlatego prawa grawitacyjne nie są nieważne. Mam taką nadzieję. Ale na tej podstawie nie mogę pracować naukowo. Mogę jedynie pojsć do Athora, a obiecuje ci, że to zrobię, i oznajmić mu, co wynika z komputerowych obliczeń. Nie śmiałbym zasugerować ani jemu, ani komukolwiek innemu, że cała wina za to zamieszanie ponosi dotychczas nie odkryty nieznany czynnik. Inaczej byłbym tak samo szalony, jak Apostołowie Plomieni, którzy twierdzą, że posiadli wiedzę w wyniku mistycznego objawienia... Teremonie, ja naprawdę chciałbym teraz jeszcze jednego drinka.-W porządku. A mówiąc o Apostołach Plomieni...

-Tak, pamiętam, prosiłeś mnie o opinię. - Biney zmęczonym gestem przeciągnął ręką po twarzy. - Tak, tak. Nie mogę cię zawieść. Ogromnie mi dziś pomogłeś... Co ci Apostołowie ostatnio wymyśliли? Zapomniałem.

-To Mondior 71 - wyjaśnił Teremon. - Sam wspaniały Najwyższy Nadety Bufon. Co on powiedział... niech no pomyśle - że bardzo blisko jest już czas, kiedy bogowie oczyszczą świat z grzechów, że może on podać dokładny dzień, ba, nawet godzinę, nadejścia sądu ostatecznego.

Biney jeknął.

-Co w tym nowego? Czyż od lat nie mówią tego samego?

-Tak, ale teraz zaczynają podawać więcej ciekawych szczegółów. Wiesz, Apostołowie twierdzą, że nie będzie to pierwszy przypadek zagłady świata. Nauczają, że bogowie celowo stworzyli ludzi niedoskonalszymi, by poddawać ich próbom, i że dali nam jeden rok - jeden z ich boskich lat, a nie naszych, mierzonych ludzką miarą - w którym mamy się poprawić. Jest to Rok Łaski i liczy sobie dokładnie dwa tysiące czterdzieści dziewięć naszych ludzkich lat. Za każdym razem, gdy Rok Łaski dobiegał końca, bogowie stwierdzali, że wciąż jesteśmy występni i grzeszni, niszczyli więc świat zsyłając płomienie ze świętych

68

miejsc na niebie znanych jako gwiazdy. Tak w każdym razie twierdzą Apostołowie.-Gwiazdy? - spytał Biney. - Czy oni mają na myśli słońca?

-Nie, gwiazdy. Mondior powiada, że gwiazdy w jakiś szczególny sposób różnią się od sześciu słońc... czy zwróciles kiedyś na to uwagę?

-Nie. Dlaczego, u licha, miałbym na to zwracać uwagę?

-Mniejsza z tym. W każdym razie kiedy Rok Łaski się skończy i na Kalgaszu nic się w sensie moralnym nie poprawi, te gwiazdy zesła rodzaj świętych płomieni, które nas spala. Mondior twierdzi, że działo się tak już wiele razy. Za każdym razem jednak bogowie okazują wielkoduszność - kiedy świat jest niszczone, łagodniejsi bogowie zawsze biorą górę nad surowszymi i ludzkość otrzymuje jeszcze jedną szansę. Ratuje się więc od zagłady najbardziej pobożnych i ustanawia nowy, nieprzekraczalny termin; ludzkość otrzymuje następne dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat na pozbycie się swoich przywar. Mondior powiada, że czas się już niemal wyczerpał. Od ostatniego kataklizmu minęło już prawie dwa tysiące czterdzieści osiem lat. Za jakies czterdzieści miesięcy wszystkie słońca znikną i z czarnego nieba te jego straszliwe gwiazdy wystrzela płomienie, które zmiota niegodziwych. Dokładnie w przyszłym roku, dziewiętnastego theptara.

-Czterdzieści miesięcy - powtórzył w zamysleniu Biney. - Dziewiętnastego theptara. Bardzo dokładnie to określa, prawda? Przypuszczam, że zna także godzinę, o której to się stanie.

-Tak, tak twierdzi. Dlatego potrzebuje oświadczenia kogoś związanego z obserwatorium, najlepiej twojego. W ostatnio wygłoszonym przemówieniu Mondior powiada, że dokładna data katastrofy można wyliczyć naukowo, że nie jest to zwykły dogmat przedstawiony w Księdze Objawień, ale jest to przedmiot takich samych obliczeń, jakie astronomowie stosują, kiedy... kiedy... -Teremon spojrzał niepewnie na przyjaciela.

-Kiedy obliczają ruchy słońca i naszego globu po ich

69

orbitach - dokonał za niego Biney. - Mam rację? - zapytał z goryczą.-No... tak - odparł zaskoczony Teremon.

-Może w takim razie jest jeszcze jakaś nadzieja dla świata, jeżeli Apostołowie nie potrafią zrobić tego lepiej od nas.

-Muszę mieć twoje oświadczenie, chłopie.

-Tak, wiem. - Na stoliku pojawiła się następna kolejka drinków. Biney objął dłonią szklaneczkę. - Spróbuj w ten sposób - powiedział po chwili. - "Głównym zadaniem nauki jest oddzielenie prawdy od nieprawdy w nadziei uzyskania wiedzy o tym, jak w istocie funkcjonuje wszechświat. Zastosowania prawdy w służbie nieprawdy my, uczeni, nie uważamy za działanie naukowe. Możemy obecnie przewidzieć ruchy słońca na niebie - lecz nawet używając naszych najlepszych komputerów nie jesteśmy w stanie przewidzieć woli bogów. I podejrzewam, że nigdy nie będziemy potrafili tego dokonać". Jak ci się to podoba?

Doskonale! Zobaczmy, czy dobrze to uchwyciłem. "Głównym zadaniem nauki jest oddzielenie prawdy od nieprawdy w nadziei... w nadziei..." Co było dalej?

Biney powtórzył słowo w słowo całą wypowiedź, jak gdyby długo przedtem nauczył się jej na pamięć.

Później jednym, zdumiewająco długim haustem wychylił swoją szklaneczkę do dna.

Wstał, uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczora i runął na stolik.

9

Athor 77 z kamienna twarza zaczął badać leżący przed nim na biurku plik wydruków, jakby były to mapy nigdy nie istniejących kontynentów. Był bardzo spokojny. Sam się dziwił, jak bardzo był spokojny.

70

-To niezmiernie ciekawe, Bineyu - powiedział powoli. - Niezmiernie, bardzo ciekawe. - Oczywiście, panie profesorze, zawsze istnieje możliwość, że nie tylko ja popełniłem zasadniczy błąd w obliczeniach, ale Imot i Faron również...

-Wszyscy trzej mielibyście przyjąć błędne założenia? Nie, trudno w to uwierzyć.

-Chciałem tylko wskazać, że taka możliwość istnieje.

-Proszę, daj mi chwilę pomyśleć - rzekł Athor.

Był późny poranek. Przez wysokie okno gabinetu dyrektora obserwatorium wpadały oslepiające promienie Onosa. Dovim był ledwo widoczny; sprawiał wrażenie małej czerwonej kropki poruszającej się wysoko w kierunku północnym.

Athor przesuwiał palcem po papierach, przekładając je tam i z powrotem na swoim biurku. I jeszcze raz tam i z powrotem.

"Jakie to dziwne, wszystko przyjąłem tak spokojnie - pomyślał. - Bineyu wygląda na poruszonego do głębi, podczas gdy ja właściwie nie zareagowałem prawie wcale. Może jestem w szoku" - przemknęło mu przez głowę.

-Tutaj, panie profesorze, jest obliczenie orbity Kal-gasza zgodnie z ogólnie przyjętymi w kalendarzu astronomicznym założeniami. A tu, na tym wydruku, jest orbita przewidziana przez nowy komputer...

-Proszę, Bineyu. Powiedziałem ci, że muszę pomyśleć. Bineyu sztywno skinął głową. Athor uśmiechnął się, co nie było dla niego rzeczą łatwą. Ten budzący trwóznym szacunek szef obserwatorium, wysoki chudy starzec o władcym wyglądzie, z imponującą grzywą gestych siwych włosów, tak dawno wszedł w rolę srogiego Tytana Nauki, że ogromna trudność sprawiało mu okazywanie zwykłych ludzkich reakcji. Zwłaszcza tu, w obserwatorium, gdzie każdy traktował go jak swego rodzaju polboga. W domu, z żoną i z dziećmi, a szczególnie z hałaśliwym stadkiem wnuków, był zupełnie innym człowiekiem.

A więc teoria powszechnego ciążenia nie jest całkowicie poprawna?

71

Nie! To niemożliwe! Każda cząstka jego umysłu buntowała się przeciwko temu. Koncepcja powszechnego ciążenia stanowiła podstawę zrozumienia struktury wszechświata. O tym Athor był przekonany. Athor to wiedział. Było to zbyt klarowne, zbyt logiczne, zbyt piękne, by mogło być błędne. Gdyby odrzucić powszechne ciążenie, cała logika kosmosu zamienia się w chaos.

Niemożliwe, niewyobrażalne.

Ale te liczby - ten przeklęty wydruk Bineya...

-Widzę, że jest pan rozgniewany - znowu wtrącił Bineyu - i chce powiedzieć, że w pełni rozumiem, jak bardzo ta sytuacja w pana uderza. Każdy byłby zły, gdyby pod znakiem zapytania stanął nagle dorobek całego jego życia...

-Bineyu...

-Niech mi pan tylko pozwoli dodać, panie profesorze, że zrobiłbym wszystko, żeby panu tego nie przekazać. Wiem, jest pan na mnie wściekły, ale mogę jedynie powiedzieć, że przed przyjściem tutaj długo i intensywnie nad tym myślałem. Chciałem to wszystko spalić i zapomnieć, że kiedykolwiek się do tego zabrałem. Jestem przerażony tym, co odkryłem, przerażony, że to ja właśnie...

-Bineyu... - Athor znowu mu przerwał złowieszczym tonem.

-Słucham?

-Tak, jestem na ciebie wściekły, ale nie z tego powodu, o którym myślisz.

-Panie profesorze...

-Po pierwsze, jestem rozgniewany tym gadaniem na mój temat, podczas gdy ja chcę tylko w spokoju przeanalizować

wnioski wynikające z twoich opracowań. Po drugie, i o wiele ważniejsze, gniewa mnie sama myśl, że choćby przez moment mogłeś się wahac, czy donieść mi o swoich odkryciach. Dlaczego tak długo zwlekałeś?

-Dopiero wczoraj zakończyłem sprawdzanie obliczeń.

-Wczoraj! Więc powinieneś być tutaj już wczoraj! Czy naprawdę chcesz przez to powiedzieć, Bineyu, że poważnie

72

rozważałeś możliwość zatajenia wszystkiego?! Ze po prostu wyrzuciłbyś swoje wyniki i nic nikomu nie powiedział?-Nie, panie profesorze - odrzekł niesmiało Biney. - Właściwie nigdy o tym nie myślałem.

-Chwała Bogu. Powiedz mi chłopcze, czy uważasz, iż tak bardzo jestem rozmiłowany w swej pięknej teorii, że chciałbym, aby jeden z moich najbardziej utalentowanych współpracowników bronił mnie przed przykrym prawdą o jej słabym punkcie?

-Nie, panie profesorze. Oczywiście, że nie.

-Więc dlaczego nie przybiegłeś z tą wiadomością w chwili, gdy zyskałeś pewność, że masz rację?

-Ponieważ... ponieważ, panie profesorze... - Biney chciał zapasc się pod ziemię. - Ponieważ wiedziałem, jak pana by to zdenerwowało. Ponieważ pomyślałem sobie, że może pan... że może pan tak się zdenerwować, iż ucierpi pańskie zdrowie. Dlatego też wstrzymałem się, porozmawiałem z kilkoma przyjaciółmi, przemyślałem moje położenie w tej sytuacji i zrozumiałem wreszcie, że tak naprawdę nie mam wyboru i muszę panu powiedzieć, iż teoria powszechna...

-Więc naprawdę sądzisz, że swa własna teorie Kocham bardziej od prawdy?

-Och, nie, nie, panie profesorze!

-Ale wiesz, chłopcze, tak właśnie jest! - Na twarzy Athora znowu pojawił się uśmiech, lecz tym razem zupełnie niewymuszony. - Może trudno w to uwierzyć, ale jestem takim samym człowiekiem, jak wszyscy inni. Teoria powszechnego ciążenia przyniosła mi wszelkie możliwe zaszczyty naukowe. Jest moja przepustka do nieśmiertelności, Bineyu. Dobrze o tym wiesz. I to, że trzeba wziąć pod uwagę możliwość błędu w tej teorii... ach, jest dla mnie potężnym wstrząsem! Uwierź mi. Oczywiście wciąż uważam, że moja teoria jest słuszna.

-Jeśli pan pozwoli - przerwał Biney z aż nadto widoczną konsternacją - sprawdzałem to raz, drugi, trzeci...

-Ja także jestem pewien, że wasze wyniki są prawidłowe.'

73

Ty, Faron i Imot nie popełnilibyście tego samego błędu. Nie, nie, powiedziałem już, że raczej wykluczam taką możliwość. Ale te liczby niekoniecznie obalają teorię powszechnego ciążenia.-Nie obalają? - Biney zamrugał powiekami.

-Oczywiście, że nie. - Athor czuł się coraz pewniej. Ogarnął go przypływ dobrego humoru. Sztuczny, grobowy spokój pierwszych kilku chwil ustąpił całkowicie odmiennemu rodzajowi opanowania, które zazwyczaj towarzyszy poszukiwaniu prawdy. - Bo co tak naprawdę mówi teoria powszechnego ciążenia? To jedynie, że każde ciało we wszechświecie wywiera pewną siłę na wszystkie inne ciała, proporcjonalnie do ich masy i odległości. A do czego próbowaliście dojść, posługując się tą teorią w obliczeniach orbity Kalgasza? Do tego tylko, by rozłożyć na czynniki pierwsze zjawisko oddziaływania grawitacyjnego, które różne ciała astronomiczne wywierają na naszą planetę, gdy podrozuje ona wokół Onosa. Czy nie tak?

-Tak, panie profesorze.

-Zatem nie ma potrzeby obalać teorii powszechnego ciążenia, przynajmniej nie na tym etapie. Należy natomiast najzwyczajniej w świecie przemyśleć raz jeszcze nasz obraz wszechświata, przyjacielu, i ustalić, czy nie pomijamy czasem czegoś, co powinniśmy włączyć do naszych obliczeń - mam tu na myśli jakiś tajemniczy czynnik, którego nie bierzemy pod uwagę, a który w zupełnie nieznany dla nas sposób wywiera oddziaływanie grawitacyjne na Kalgasza.

Brwi Bineya uniosły się ostrzegawczo. Młody asystent począł przyglądać się Athorowi wzrokiem świadczącym o całkowitym zdumieniu.

Potem zaczął chichotać. Z początku próbował się opanować zaciskając szczęki, lecz jego wysiłki poszły na marne. Skulił ramiona, chichot przerodził się w krotki atak zduszonego kaszlu; w końcu, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem, zakrył usta dłońmi.

Athor przyglądał mu się oszolomiony.

-Nie znany czynnik! - chichotał Biney. - Smok na niebie! Niewidzialny olbrzym!

-Smok? Olbrzym? O czym ty mówisz, chłopcze?

74

-Wczoraj wieczorem... Teremon 762... och, przepraszam, panie profesorze, naprawdę bardzo przepraszam... - Biney walczył o odzyskanie panowania nad sobą. Skurcz mięśni wykrzywił mu twarz. Zaciśnął powieki i odetchnął głęboko; odwrócił się na moment, a gdy ponownie spojrzał na Athora, niemal znowu był sobą. Zakłopotany powiedział: - Wczoraj wieczorem spotkałem się na kilka drinków z Teremonem 762 - wie pan, tym dziennikarzem - i opowiedziałem mu o moim odkryciu, a także o tym, jak czułem się zazenowany na myśl o przedstawieniu tych wyników panu, panie profesorze.- Poszedłeś z tym do dziennikarza?

-Do dziennikarza, któremu można w pełni zaufać. Jest moim bliskim przyjacielem.

-To wszystko kanalie, wierz mi, Bineyu.

-Panie profesorze, znam Teremona i wiem, że nigdy nie zrobiłby nic, co mogłoby mnie zranic czy obrazić. On właśnie powiedział mi, co mam zrobić, to znaczy namówił mnie, by tu koniecznie przyjść. Poza tym, chcąc dać mi nadzieję - rozumie pan, panie profesorze, jako pewną formę pocieszenia - powiedział mi to samo, co pan przed chwilą, że być może istnieje jakiś nieznany czynnik - tak to dokładnie określił: nieznany czynnik - który kłóci się z naszą dotychczasową wiedzą o orbicie Kalgasza. A ja zaśmiałem się i zacząłem tłumaczyć, że nie można powoływać się w tej sytuacji na jakies nieznane czynniki, że takie rozwiązanie jest najłatwiejsze. Zasugerowałem - oczywiście złośliwie - że jeżeli przyjelibymy podobną hipotezę, równie dobrze moglibymy powiedzieć sobie, że jest to jakiś niewidzialny olbrzym, który spycha Kalgasza z orbity, czy też oddech jakiegos ogromnego smoka. I oto proszę, pan rozumuje dokładnie w ten sam sposób - nie laik jak Teremon, ale największy astronom świata! Czy teraz rozumie pan, panie profesorze, jak głupio się czuję?

-Chyba tak - rzekł Athor. To wszystko stawało się trochę irytujące. Przesunął szybko rękę po swej okazalej siwej czuprynie i rzucił Bineyowi spojrzenie pełne gniewu zmieszanego ze współczuciem. - Miałeś rację mówiąc

75

swemu przyjacielowi, że fantazjowanie niewiele pomaga przy rozwiązywaniu jakiegokolwiek problemu. Ale nie można też odmówić wartości przypadkowym sugestiom laików. Z tego, co wiemy, wynika, że rzeczywiście istnieje jakiś nieznany czynnik, który oddziałuje na orbitę Kal-gasza. Musimy przynajmniej rozważyć taką możliwość, zanim wyrzucimy tę hipotezę na śmietnik. Myślę, że powinniśmy w tym celu zastosować miecz Thargola. Czy wiesz, co to jest?-Oczywiście, panie profesorze. Zasada oszczędności. Po raz pierwszy wysunięta przez średniowiecznego filozofa Thargola 14, który powiedział: "Należy przebić mieczem każdą hipotezę, która nie jest całkowicie konieczna" - czy coś w tym stylu.

-Bardzo dobrze, chłopcze. Choc, jak mnie tego uczono, brzmi to tak: "Jeśli zaproponuje się nam kilka hipotez, powinniśmy rozpocząć swoje rozważania od przebicia mieczem tej, która jest najbardziej złożona". Tutaj mamy do czynienia z jednej strony z hipotezą, że w teorii powszechnego ciążenia tkwi błąd, a z drugiej strony z hipotezą, która zakłada, że pominięciem przy dokonywaniu swoich obliczeń orbity Kalgasza pewien nieznany i prawdopodobnie nie dający się poznać czynnik. Jeśli przyjmujemy pierwszą z tych hipotez, wówczas cała nasza wiedza o budowie wszechświata rozpada się w nicosc. Jeżeli przyjmujemy drugą hipotezę, musimy jedynie zlokalizować ów nieznany czynnik, a wtedy zasadniczy porządek świata zostanie zachowany. Znacznie łatwiej jest spróbować znaleźć coś, co moglibyśmy przeczyć, niż wyjść z nowym powszechnym prawem, które rzadziłoby ruchami ciał niebieskich. A zatem pod mieczem Thargola pada hipoteza o tym, że teoria ciążenia jest błędna i zaczynamy nasze poszukiwania od posłużenia się łatwiejszym sposobem wyjaśnienia tego problemu. No, co ty na to, Bineyu?

-Zatem wcale nie obaliłem teorii powszechnego ciążenia! - Biney najwyraźniej promieniał.

-Przynajmniej na razie. Prawdopodobnie zdobyłeś

76

sobie miejsce w historii nauki, ale nie wiemy jeszcze, jako odkrywca czy też projektodawca. Miejmy nadzieję, że to drugie. A teraz, młody człowieku, musimy się poważnie zastanowić. - Athor 77 zamknął oczy i potarł skronie, czując nagły ból głowy. Zdał sobie sprawę, że długie lata upłynęły od czasu, gdy po raz ostatni współtworzył coś prawdziwie naukowego. Przez minione osiem czy dziesięć lat niemal całkowicie pochłonięty był sprawami administracyjnymi obserwatorium, ale powiedział sobie, że umysł, który stworzył teorie powszechnego ciążenia, z pewnością ma jeszcze kilka pomysłów w

zapasie. - Najpierw chciałbym się przyjrzeć z bliska twoim obliczom - powiedział. - A potem, przypuszczam, także przeanalizować swoją własną teorię.

10

Główna siedziba Apostolów Plomieni stanowił surowy, imponujący wieżowiec z błyszczącego złotego kamienia, wznoszący się jak Isniacy oszczep nad rzeką Seppitan, w eleganckiej dzielnicy Birigam w Saro. Teremon ocenił, że ten strzelisty wieżowiec jest bez wątpienia jednym z najkosztowniejszych budynków w całej stolicy. Nigdy przedtem nie przyszło mu to na myśl, lecz Apostołowie Plomieni musieli być z pewnością niezmiernie bogaci. Posiadali własne stacje radiowe i telewizyjne, wydawali czasopisma i gazety, mieli też ten ogromny wieżowiec. Prawdopodobnie ich majątek był dużo większy, tyle że nie rzucało się to w oczy. Zastanawiał się, jak to możliwe - w jaki sposób gromada fanatycznych purytańskich mnichów zdołała położyć łapę na tyłu setkach milionów kredytów?

Uświadomił sobie, że tak znani przemysłowcy, jak Bottiker 888 czy Vivin 99 byli przecież jawnie zwolennikami nauk Mondiora i jego Apostolów. Nie zaskoczyłoby go, gdyby dowiedział się, że Bottiker, Vivin i inni im podobni szczerze wspierają skarbiec Apostolów.

77

Jeśli ta organizacja była choćby w dużym przybliżeniu tak wielką, jak twierdzili Apostołowie - mówili, że istnieją dziesięć tysięcy lat! - i gdyby przez wszystkie te stulecia mądrze inwestowali swoje pieniądze, to nie ulegało wątpliwości, że wiele mogli osiągnąć dzięki cudowi kumulacji odsetek. Mogą być wari miliardy. Mogą potajemnie posiadać połowę Saro. "Warto by było w to wniknąć" - pomyślał Teremon.

Wszedł do przestronnego, akustycznego korytarza wielkiego wieżowca i z lekiem rozejrział się wokół. Choć nigdy przedtem tutaj nie był, słyszał jednak, że jest to budynek urządzony z nadzwyczajnym przepychem zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Lecz wszystko, co słyszał, nie przygotowało go wystarczająco na taki widok.

Wypolerowana posadzka z wielobarwnego marmuru rozciągała się tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Ściany pokryte były błyszczącymi złotymi mozaikami w abstrakcyjne wzory, wznoszącymi się ku lukowym sklepieniom; wysoko nad głową azurowe świeczniki, utkane ze złota i srebra, rzucały wokół migoczący deszcz światła.

Naprzeciwko wejścia Teremon zobaczył coś, co wydawało się modelem wszechświata, stworzonym najwyraźniej w całości ze szlachetnych kamieni i drogocennych kruszców: olbrzymie, zawieszane w powietrzu kule, przedstawiające sześć słońc, zwisały z sufitu, przytrzymywane niewidzialnymi drutami. Każda świeciła tajemniczo - złotawy snop rzucała największa z nich, która musiała być Onosem, bladoczerwony promień dobywał się z kuli Dovima, chłodny, niebieskobiały z pary Tano-Sitna i łagodniejszy biały z Patru i Treya. Siódma kula, będąca zapewne Kalgaszem, płynęła w powietrzu powoli między nimi, przypominając unoszący się balon, a jej kolor zmieniał się, w miarę jak oświetlał ją coraz to inny układ słońc.

Podczas gdy Teremon stał przyglądając się wszystkiemu ze zdumieniem, jakiś głos, dochodzący nie wiadomo skąd, zapytał:

-Czy mogłbyś się przedstawić?

-Nazywam się Teremon 762. Mam umówione spotkanie z Mondiosem.

78

-Proszę, Teremonie 762, wejdź w drzwi tuż po twojej lewej stronie. Tuż po swojej lewej stronie Teremon nie widział jednak żadnych drzwi. W tym momencie fragment pokrytej mozaikami ściany bezszelestnie rozsunał się na boki, ukazując małe, okrągłe pomieszczenie, bardziej przypominające przedpokój niż komnatę Mondiora. Ściany pokryte były zielonymi draperiami z aksamitu, a oświetlała je pojedyncza prega bursztynowego światła.

Teremon wzruszył ramionami i wszedł do wnętrza. Drzwi się natychmiast zamknęły i pokój wyraźnie zaczął się poruszać. To była winda! Wznosiła się. Teremon był tego pewien. Bardzo powolutku sunęła wciąż wyżej i wyżej. Minęła niemal wieczność, nim winda się zatrzymała i drzwi otworzyły się raz jeszcze.

Na dziennikarza czekała jakaś postać odziana w czarną szatę.

-Proszę tedy.

Wąski korytarz przeszedł po chwili w coś w rodzaju poczekalni, gdzie niemal całą ścianę zajmował portret Mondiora 71. Gdy Teremon podszedł bliżej, portret wyjaśniał, jakby ożył. Zdawało się, że ciemne, głębokie oczy Mondiora patrzyły prosto

na dziennikarza, a surowa twarz Najwyższego Apostola nabrała świetlistego, wewnętrznego blasku, który czynił go niemal pięknym.

Teremon zniósł to spojrzenie raczej spokojnie, ale nawet on - twardy dziennikarz - stracił nieco pewności siebie na myśl o tym, że już wkrótce będzie przeprowadzał wywiad z osobą przedstawioną na portrecie. Mondior w radiu czy telewizji to jedno - po prostu szalony kaznodzieja, starający się przekazać jakieś absurdalne posłanie. Lecz Mondior z krwi i kości, budzący grozę, hipnotyzujący, tajemniczy - jeśli ten portret miał być jakąś wskazówką - mógł okazać się kims zupełnie innym. Teremon postanowił mieć się na baczności.

-Proszę, niech pan wejdzie do środka - zaproponował odziany w czarną szatę mnich. Ściana po lewej stronie obrazu się odsunęła. Wewnątrz

79

widac było gabinet urządzonej z surowością klasztornej celi. Nie było w nim nic prócz pustego biurka z pojedynczego bloku wypolerowanego kamienia i ustawionego przed nim niskiego krzesła bez oparcia, wyciętego z kłosa jakiegoś niezwykłego, szarego drewna w czerwone pasy. Za biurkiem siedział człowiek budzący respekt samym swym wyglądem. Odziany był w czarną szatę Apostolów z kapturem obszytym czerwonym paskiem. Wyglądał imponująco. Nie był to jednak Mondior 71.

Wnosząc ze zdjęć i wystąpień w telewizji, Mondior miał sześćdziesiąt pięć, a może siedemdziesiąt lat i emanowała z niego pewnego rodzaju intensywna męska siła. Jego włosy były gęste i lekko krecone, czarne z wyraźnymi białymi pasmami; miał pełną, miesistą twarz, szerokie usta, wydatny nos i mocno zarysowane kruczoczarne brwi, podkreślające ciemne przenikliwe oczy. Ten mężczyzna był młody, z pewnością przed czterdziestką, i również wydawał się potężny i bardzo męski, choć w zupełnie inny sposób. Był bardzo chudy, miał pociągłą twarz o ostrych rysach i ściągniętych ustach. Spod kaptura na czoło wymykały się kędzierzawe włosy w kolorze ceglasto-czerwonym, oczy zaś kryły w sobie zimny, bezlitosny błękit.

Nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten należał do grona wysokich urzędników organizacji, ale Teremon miał się spotkać z Mondiosem.

Dopiero dziś rano, po napisaniu artykułu o ostatnim sensacyjnym wystąpieniu Apostolów, postanowił dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego tajemniczego kultu. Wszystko, co mówili kiedykolwiek, uważał za nonsens, ale zaczęło wyglądać na to, że ten nonsens jest interesujący, wart nieco dokładniejszego opisu. Czy można sobie wyobrazić łatwiejszy sposób, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej, niż pojechać wprost do ich przywódcy? Oczywiście, zakładając, że jest to możliwe. Zadzwoił i ku swemu zaskoczeniu usłyszał, że może zostać przyjęty przez Mondiora 71 jeszcze tego samego dnia. Wydawało się to zbyt łatwe.

80

Teraz zaczął sobie zdawać sprawę, że tylko łatwe się wydawało. -Nazywam się Folimun 66. - Człowiek o szczupłej, wyrazistej twarzy mówił cicho, tonem łagodnym, nienapas-tliwym, wolnym od grzmiącej retoryki Mondiora. Teremon podejrzewał jednak, że, wbrew pozorom, jest to głos kogoś, kto przywykł, by go słuchano. - Jestem adiutantem do spraw kontaktów z prasą w okręgu centralnym naszej organizacji. Z prawdziwą przyjemnością odpowiem na pańskie pytania.

-Miałem się spotkać z samym Mondiosem - powiedział Teremon.

-Może mnie pan uważać za głos Mondiora. - Chłodne oczy Folimuna 66 nie zdradzały żadnej oznaki zaskoczenia.

-Zrozumiałem, że to będzie audyencja prywatna.

-I taka jest. Wszystko, co zostanie powiedziane do mnie, staje się udziałem Mondiora; wszystko, co pochodzi ode mnie, jest słowem Mondiora. Powinien to pan zrozumieć.

-Jednakże zapewniono mnie, że będę miał możliwość porozmawiać z Mondiosem. Nie mam wątpliwości, że to, co pan mówi, jest miarodajne, lecz nie takich informacji szukam. Chciałbym sobie wyrobić zdanie, jakiego rodzaju człowiekiem jest Mondior, jakie są jego poglądy na inne sprawy poza przepowiadaniem zniszczenia świata, co on myśli w kwestii...

-Nie pozostaje mi nic innego, jak powtórzyć to, co już powiedziałem. - Folimun przerwał dziennikarzowi łagodnie. - Proszę przyjąć, że ja jestem głosem Mondiora. Jego Światobliwość nie będzie mógł dzisiaj przyjąć pana osobiście.

-Więc wolalby przyjechać tu ponownie innego dnia, gdy Jego Światobliwość...

-Niech mi wolno będzie poinformować pana, że Mondior nigdy nie jest osiągalny dla prywatnych wywiadów. Nigdy. Obowiązki Jego Światobliwosci są zbyt nagłace, szczególnie teraz, gdy zaledwie miesiące dzieli nas 6 - Nastanie nocy O I od Czasu Plomieni. - Folimun nagle usmiechnął się usmiechem nadspodziewanie ciepłym i ludzkim, być może chcąc tym samym złagodzić wrażenie wywołane odmową i melodramatycznie brzmiącym określeniem Czas Plomieni. Niemal delikatnie dodał: - Przypuszczam, że zaszło nieporozumienie. Nie zdawał pan sobie sprawy z tego, iż spotka się pan z rzecznikiem Mondiora, nie zaś z samym Najwyższym Apostołem. Ale tak być musi. Jeśli więc nie chce pan ze mną rozmawiać, przykro mi, że niepotrzebnie się pan fatygował przychodząc tutaj. Jednak czy dziś, czy kiedykolwiek indziej nie znajdzie pan tu bardziej kompetentnego ode mnie źródła informacji.

Znow ten uśmiech. Był to uśmiech człowieka, który chłodno i bez skrupułów zamykał dziennikarzowi drzwi przed nosem.

-Rozumiem - powiedział Teremon po chwili zastanowienia. - Widzę, że nie mam wyboru. Mogę porozmawiać z panem lub z nikim. Dobrze, porozmawiajmy. Jak dużo mam czasu?

-Ile tylko pan sobie życzy, choć to pierwsze spotkanie będzie musiało być stosunkowo krótkie. Ostatecznie - znow szeroki, dziwny, niemal figlarny uśmiech - przed sobą mamy wszystkiego czternastcie miesięcy, a ja w tym czasie mam też do zrobienia kilka innych rzeczy.

-Wyobrazam sobie. Mówi pan czternastcie miesięcy? A co potem?

-Wnoszę, że nie czytał pan Księgi Objawień.

-Ostatnio rzeczywiście nie.

-Proszę. - Folimun wyjął z jakiegoś zakamarka swego na pozór pustego biurka cienki tom w czerwonej oprawie i podsunął go Teremonowi. - To dla pana. Mam nadzieję, że znajdzie pan tu dużo duchowej strawy. Tymczasem streszcze panu główny wątek, który, zdaje się, najbardziej pana interesuje. W dużym skrócie - dokładnie za czterysta osiemnastcie dni, licząc od dziś, to jest dziewiętnastego theptara przyszłego roku, czeka nasz wygodny, znajomy świat wielkie przeobrazenie. Szczęść słońce wejdzie do Jaskini

82

Ciemności i zniknie, ukaza się nam gwiazdy, a cały Kalgasz stanie w płomieniach. Zabrzmiało to bardzo zwyczajnie. Tak mogłoby mówić o prawdopodobnym oberwaniu chmury jutro po południu, czy też o spodziewanym w przyszłym tygodniu kwitnieniu jakiejś rzadkiej rośliny w Miejskim Ogrodzie Botanicznym. Cały Kalgasz w płomieniach. Szczęść słońce wchodzących do Jaskini Ciemności. Gwiazdy.

-Gwiazdy? - zdziwił się Teremon. - Co to takiego?

-Stanowią narzędzia w rękach bogów.

-Czy mogłoby pan powiedzieć coś bliższego na ich temat?

-Natura gwiazd będzie dla nas aż nadto przejrzysta - stwierdził Folimun 66 - to tylko kwestia czterystu osiemnastu dni.

-Gdy skończy się obecny Rok Laski - dopowiedział Teremon. - Dziewiętnastego theptara przyszłego roku.

-Więc jednak znane są panu nasze nauki. - Najwyraźniej Folimun był przyjemnie zaskoczony.

-Do pewnego stopnia. W każdym razie słuchałem kilku ostatnich przemówień Mondiora. Wiem też o cyklu dwóch tysięcy czterdziestu dziewięciu lat. A zdarzenie, które nazywa pan Czasem Plomieni? Sądzę, że również nie może mi pan przedstawić przypuszczalnego opisu i tego zjawiska?

-Znajdzie pan coś na ten temat w piątym rozdziale Księgi Objawień. Niech pan teraz tego nie szuka, mogę panu zacytować: "A z gwiazd spłynęły Niebiańskie Plomienie zesłane przez bogów, a gdzie dotknęły, miasta Kalgasza obracały w ruiny i nie zostało śladu człowieka ani dzieł Jego".

-Nagły, straszliwy kataklizm. - Teremon pokiwał głową. - Dlaczego?

-Wola bogów. Przestrzegali nas przed występami i dali wiele lat, byśmy mogli się nawrócić. Czas ten nazywamy Rokiem Laski, rokiem trwającym dwa tysiące czterdziestu dziewięć lat ludzkich, o czym, jak mi się wydaje, już pan wie. Obecny Rok Laski dobiega już niemal końca.

-I myśli pan, że wtedy wszyscy zostaniemy zmieceni z powierzchni ziemi, czy tak?-Nie wszyscy, ale z pewnością większość. Nasza cywilizacja ulegnie zniszczeniu. Ci nieliczni, którzy przeżyją, stana przed ogromnym zadaniem odbudowy. Jest to zatem, czego zdaje się pan być świadom, pewien smutny, powtarzalny cykl w dziejach ludzkości. To, co wkrótce ma nastąpić, nie będzie jednak pierwszą próbą bogów, której ludzkość nie sprostала. Nieraz byliśmy już powaleni, a teraz jesteśmy bliscy przegranej po raz kolejny.

"Ciekawe - pomyślał Teremon. - Ten Folimun wcale nie wydaje się wariatem".

Pomijając jego dziwaczna szata, mógłby równie dobrze być jakimś młodym człowiekiem interesu, siedzącym w swym gustownie urządzonej biurze - na przykład bankierem udzielającym pożyczek lub opiniującym inwestycje. Nie ulegało wątpliwości, że był inteligentny. Mówił poprawnym językiem, jasno i pewnie. Nie wygłaszał tyrad ani też nie unosił się w zapamiętaniu. Jednak rzeczy, które głosił tak jasno i pewnie, stanowiły stek niedorzecznych bzdur. Kontrast między tym, o czym Folimun mówił, a sposobem, w jaki to wypowiadał, był trudny do zrozumienia.

Siedział spokojnie, rozluźniony, oczekując na kolejne pytanie dziennikarza.

-Będzie z panem szczerzy - odezwał się Teremon po chwili. - Jak wielu ludziom, tak i mnie trudno jest zaakceptować coś tak wielkiego, jeśli jest przekazane po prostu jako objawienie. Potrzebuje niezbitych dowodów. Pan mi ich nie daje. Mówi pan, że powinienem w to uwierzyć. Nie istnieje żaden namacalny dowód, który można zaprezentować - tak przynajmniej twierdzą - ale lepiej, żebyśmy po prostu wam uwierzyli, ponieważ usłyszeliście to wszystko od bogów, a wiecie, że oni was nie okłamują. Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego, mimo wszystko, powinienem wam uwierzyć? Sama wiara nie wystarcza takim ludziom jak ja.

-Dlaczego myśli pan, że nie ma dowodów? - spytał Folimun.

84

-A sa? Inne niż sama Księga Objawień? Dowód pośredni nie jest dla mnie żadnym dowodem.-Wie pan, że jesteśmy bardzo wiekowa organizacja.

-Dziesięć tysięcy lat, jak wieś niesie.

-To liczba umowna. - Przez wąskie usta Folimuna przemknął krótki uśmiech. - Prawdopodobnie nieco wyolbrzymiona, aby wywołać odpowiedni efekt w społeczeństwie. Między sobą przyjmujemy po prostu, że pochodzimy z czasów prehistorycznych.

-Zatem pańskie ugrupowanie ma co najmniej dwa tysiące lat.

-Nieco więcej. Wywodzimy się jeszcze sprzed ostatniego kataklizmu, działamy zatem co najmniej dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat. Prawdopodobnie dużo więcej, ale nie mamy na to dowodów, przynajmniej nie takich, które byłyby dla pana do przyjęcia. Sądymy, że Apostołowie mogą mieć za sobą kilka cykli zniszczenia, czyli prawdopodobnie co najmniej sześć tysięcy lat. Tak naprawdę liczy się tylko to, że mieliśmy swój początek przed ostatnim kataklizmem. Jako organizacja działamy bez rozgłosu dłużej, niż trwa obecny Rok Łaski. Jesteśmy zatem w posiadaniu bardzo konkretnych, szczegółowych informacji o katastrofie, która nas czeka. Wiemy, co się zdarzy, gdyż wiemy, co zdarzyło się wielokrotnie przedtem.

-Lecz jednocześnie nikomu nie chcecie wyjawiać informacji, które jak twierdzą, są w waszym posiadaniu. Żadnego świadectwa, żadnych dowodów.

-To, co możemy światu przekazać, zawarte jest w Księdze Objawień.

I tak na okrągło. Do niczego to nie prowadziło. Teremon wiedział już dosyć. Z całą pewnością miał do czynienia z jednym wielkim oszustwem. Wielkim fałszerstwem, prawdopodobnie obliczonym na wyludzenie pokaznych wkładów od naiwnych ludzi pokroju Bottikera czy Vivina i innych bogaczy, rozpaczliwie próbujących kupić sobie jakiś sposób ucieczki przed groźbą przeznaczenia. Pomimo oczywistych oznak szczerości i inteligencji Folimuna albo sam był ochoczym współspiskowcem w tym gigantycznym dziele

85

oszukanczej fantazji, albo też po prostu jedna z wielu ofiar oszustw Mondiora.-No, dobrze - powiedział dziennikarz. - Załóżmy na razie, że w przyszłym roku istotnie zdarzy się jakaś ogólnoswiatowa katastrofa, której szczegółowy scenariusz

zna wasza grupa. Czego zatem chcecie od pozostałych? Zeby tłumnie przychodzili do waszych swiatyn, by blagac bogow o litosc?

-Na to jest juz o wiele za pozno.

-Wiec nie ma juz nadziei? W takim razie po co w ogole zawracacie sobie glowe, by nas ostrzec?

Folimun usmiechnal sie ponownie, ale juz bez cienia ironii.

-Z dwoch powodow. Po pierwsze, rzeczywiscie chcemy, by ludzie przychodzili do naszych swiatyn, nie w celu wplyniecia na decyzje bogow, ale zeby wysluchac naszych nauk w kwestii moralnosci i zwyczajnej ludzkiej przyzwoitosci. Uwazamy, ze w tych dziedzinach mamy do przekazania cenne poslanie. Po drugie - i jest to o wiele pilniejsze - chcemy przekonac ludzi o realnosci zagrozenia, aby powzieli jakies srodki dla wlasnej obrony. Najgorszych skutkow katastrofy mozna uniknac. Mozna poczynic pewne kroki w celu oddalenia calkowitej zaglady naszej cywilizacji. Tak, plomieni uniknac nie sposob, to prawda - ludzka natura jest, jaka jest, a bogowie przestrzegali; czas ich zemsty sie zbliza - lecz w ogolnym szalenstwie i przerazeniu znajduje sie tacy, ktorzy przezyja. Zapewniam pana, ze my, Apostolowie, z pewnoscia bedziemy wsrod nich. Bedziemy tu, jak bylismy dotad, by poprowadzic ludzkosc w nowy cykl odrodzenia. Ofiarowujemy pomoc - w milosci i milosierdziu - kazdemu, kto zechce ja przyjac, kto zlaczy sie z nami w przygotowaniach do obrony przed zblizajacym sie chaosem. Czy wydaje sie to panu szalenstwem? Czy zatem jestesmy jedynie grupa niebezpiecznych pomyslcow?

-Gdybym tylko mogl zgodzic sie z pana podstawowym zalozeniem... - Ze w przyszłym roku nadejda plomienie? Zgodzi sie pan. Jestem tego pewien. Pozostaje jeszcze kwestia, czy

86

zdecyduje sie pan wystarczajaco wczesnie i stanie sie jednym z tych, ktorzy przezyja, jednym ze stozow naszego dziedzictwa, czy tez dopiero w chwili zaglady, w chwili wlasnej smierci uwierzy pan, ze mowilismy prawde.-Ciekaw jestem, co bedzie pierwsze - powiedzial Teremon.

-Niech mi pan pozwoli miec nadzieje, ze w dniu, w ktorym ten Rok Laski osiagnie swoj kres, bedzie pan po naszej stronie - rzekl Folimun. Nagle wstal i wyciagnal do Teremona reke. - Musze juz isc. Jego Swiatobliwosc Najwyzszy Apostol oczekuje mnie za kilka minut. Ale jestem pewien, ze jeszcze nieraz bedziemy rozmawiac. Wystarczy, ze powiadomi mnie pan dzien wczesniej, a nawet mniej - postaram sie byc do pana dyspozycji. Juz teraz niecierpliwie oczekuje na kolejna nasza rozmowe. Moze zabrzmie to dziwnie, ale mam przeczucie, ze pan i ja jestesmy stworzeni, aby ze soba scisle wspolpracowac. Czuje, ze mamy wiele wspolnego.

-Czyzby?

-W kwestii wiary na pewno nie. W kwestii checi przezycia i pomocy w przezyciu innym - bezsprzecznie tak. Przypuszczam, ze przyjdzie taki czas, gdy bedziemy sie nawzajem potrzebowac i polaczymy sily w walce z nadchodzaca Ciemnoscia. Wlasciwie jestem tego pewien.

"Oczywiscie - pomyslal Teremon. - Lepiej, zebys od razu wzial miare na moja czarna szate".

Ale nie bylo sensu obrazac Folimuna jakakolwiek nie-grzecznoscia. Kult Apostolow Plomieni, jak widac, rozrastal sie z dnia na dzien. Teremon wyczul wspanialy material na reportaz; Folimun zas byl czlowiekiem, na ktorego w duzej mierze bedzie sie musial zdac przy jego pisaniu.

Dziennikarz wsunal egzemplarz Ksiegi Objawien do swej teczki i wstal.

-Zadzwonie do pana za kilka tygodni, po dokladnym przestudiowaniu tekstu. Wtedy bede chcial spytac pana tez o inne rzeczy. A z jakim wyprzedzeniem powinienem zadzwonic w sprawie audiencji u Mondiora 71?

87

Nie tak latwo bylo zlapac Folimuna w sidla.-Jak juz wyjasnilem, praca Jego Swiatobliwosci od teraz az po Czas Plomieni jest na tyle doniosla, ze nie bedzie niestety osiagalny dla wywiadow indywidualnych. Jest mi bardzo przykro. Nie mam zadnych mozliwosci, by to zmienic. - Folimun wyciagnal reke. - Nasze spotkanie sprawilo mi prawdziwa przyjemnosc.

-Mnie rowniez - powiedzial Teremon.

-Doprawdy? - Folimun sie rozesmial. - Te pol godziny spedzone na rozmowie z szalencem? ekscentrykiem? fanatykiem? zaslepionym wyznawca?

-Nie pamietam, abym uzyl takich slow.

-Nie zdziwilbym sie jednak, gdyby mi powiedziano, ze mial je pan na mysli. - Apostol poslal Teremonowi kolejny ze swych rozbrajajacych usmiechow. - Jednak mialby pan po czesci racje. Otoz jestem zaslepionym wyznawca. Chyba tez fanatykiem. Lecz nie szalencem. Nie ekscentrykiem. Moge jedynie zalowac, ze taka jest prawda. Pan tez bedzie zalowal.

Na pozegnanie pomachal Teremonowi reka. Mnich, który go tu przyprowadzil, oczekiwal juz po drugiej stronie drzwi z zamiarem wskazania drogi do windy.

"Osobliwe pol godziny - pomyslal dziennikarz. - I nie tak znowu owocne. W pewnym sensie teraz wiem o Apostolach mniej, niz zanim tu przyszedlem".

Wciaz zdawalo mu sie, ze sa jedynie przesadnymi dziwakami. Bylo az nadto widoczne, ze nie dysponowali chocby strzepem dowodu na to, ze w najblizszej przyszosci oczekiwal swiat jakis kataklizm. Nie mogli jednak rozstrzygnac, czy byli jedynie glupcami, czy tez zwyczajnymi szalbierzami, chcacymi napelnic swoje portfele.

To wszystko bylo wiece zagniatwane. Fanatyzm i pury-tanizm Apostolow zupełnie mu nie odpowiadalo. A jednak, a jednak... ten Folimun, ich rzecznik, wydawal sie osoba nadspodziewanie ciekawa. Byl inteligentny, wymowny, a nawet, na swój sposob, rozsadny. W dodatku cechowalo go cos w rodzaju poczucia humoru, co bylo pewna niespodzianka i przemawiac moglo jedynie na jego korzysc.

88

Teremon nigdy dotad nie slyszal o maniaku czy fanatyku, który bylby zdolny do chocby cienia drwiny z samego siebie. Chyba ze bylo to czescia rutynowej procedury w kontaktach Folimuna z prasa - moze z rozmyslem staral sie on stworzyc pewien obraz osoby, który pociagalby ludzi podobnych do Teremona."Uwazaj - powiedzial dziennikarz do siebie - Folimun czegos od ciebie chce".

Ale to bylo normalne. Dzieki swej pozycji w gazecie mial wielkie wplywy. Doslownie kazdy probowal go wykorzystac.

"Zobaczmy jeszcze, kto kogo wykorzystal" - pomyslal Teremon.

Jego kroki rozlegaly sie glosnym echem, gdy szybko przemierzal wielki hol siedziby Apostolow, aby wyjsc w blask rozswietlonego trzema sloncami popoludnia.

Teraz z powrotem do redakcji "Kroniki". Kilka pobożnych godzin przeznaczonych na blizsza analize Ksiegi Objawien, a pozniej bedzie juz czas, by zaczac myslec nad jutrzejszym felietonem.

11

Byla juz pelnia letniej pory deszczowej, gdy Szirin 501 pewnego popoludnia wrocil do Saro. Zazywny psycholog wyszedl z samolotu wprost w potezna ulewe, która zmienila pas startowy w wielkie jezioro. Szare strugi deszczu, niesione gwałtownymi porywami wiatru, przemieszczaly sie niemal poziomo. Szare... szare... wszystko szare...

W tym mroku jednak gdzieś w gorze musialy znajdowac sie slonca. Slabe swiatlo z zachodu to prawdopodobnie Onos, po przeciwnej stronie nieba Szirin rozpoznawal zimna poswiata Tano i Sithy. Pokrywa chmur byla tak gesta, ze dzien zdawal sie ponury. Nieznosnie ciemny, jak dla Szirina, który - wbrew temu, co powiedzial swym

89

gospodarzom z Jongloru - wiaz odczuwal skutki pietnastominutowej przejazdki przez Tunel Tajemnic. Predzej podjalby dziesiedniowy post, niz przyznal sie do tego Kelaritanowi, Sibellowi czy komukolwiek innemu; jednak w tunelu rzeczywiscie zblizyl sie do niebezpiecznego punktu.

Przez nastepne trzy, cztery dni po tej probie Szirin sam doswiadczył namiastki - tylko namiastki - klaustrofobii, która odeslala tak wielu mieszkancow Jongloru do szpitali psychiatrycznych. Zdarzalo mu sie, ze gdy przebywal w pokoju hotelowym pracujac nad swym raportem, nagle ogarnialo go uczucie, jakby zamykala sie nad nim Ciemnosc. Musial wtedy wstac, wyjsc na taras albo nawet udac sie na dlugi spacer po hotelowym ogrodzie. Musial? No, moze niekoniecznie, ale wydawalo sie to wskazane. Bardzo wskazane. I zawsze czul sie potem lepiej.

Ciemnosc nawiedzala go takze niekiedy podczas snu. Oczywiscie, boze swiatelko w jego pokoju pozostawalo wlaczone - zawsze tak bylo; nie znal nikogo, kto postepowalby inaczej - i od czasu przejazdki w tunelu uzywal tez dodatkowego bozego swiatelka na wypadek, gdyby przypadkiem w pierwszym wyczerpala sie bateria, choc wedlug wskaznika mogla

nieprzerwanie pracować jeszcze przez pół roku. Mimo to zmorzony snem Szirin miał nieodparte wrażenie, że sypialnia zepchnięta została w zupełnie czarne, bezświetne otchłanie, w prawdziwą, całkowitą Ciemność. Budził się drżący i spocony, przekonany, że wciąż znajduje się w Ciemności, chociaż przyjazne promyki dwóch bożych światełek po obu stronach łóżka wyraźnie temu przeczyły.

Teraz zaś trzeba zejść z pokładu samolotu do tej ponurej, mrocznej krainy. To przyjemne uczucie znaleźć się z powrotem w domu, ale życzyłby sobie nieco więcej słonecznego światła. Musiał pokonać lekką niedyspozycję - a może nie taka lekka - gdy przyszło mu wejść do pleksiglasowego rekawa łączącego samolot z terminalem. Nie podobało mu się, że zainstalowano rekaw. Uważał, że powinien na razie unikać zamkniętych przestrzeni, nawet jeśli miałby z tego

90

powodu zmoknąć. Lepiej być na zewnątrz, pod otwartym niebem, pod przynoszącym spokój ducha światłem (jakkolwiek niewyraźnym w tej chwili czy ukrytym w chmurach) przyjaznych słońc. Uczucie mdłości jednak ustąpiło. Do momentu gdy Szirin odebrał bagaż, radość z powrotu do rodzinnego Saro zdołała wziąć górę nad efektami spotkania z Ciemnością.

Przed halą odbioru bagażu czekała już na niego w samochodzie Liliat 221. To jeszcze bardziej poprawiło mu samopoczucie. Liliat była szczupła, ładna, czterdziestoletnia kobieta, pracownikiem Wydziału Psychologii. Zajmowała się głównie eksperymentami nad zachowaniem zwierząt w labiryntach, a więc dziedziną, która nawet w części nie pokrywała się z zakresem badań prowadzonych przez niego. Znali się od jakichś dziesięciu czy piętnastu lat. Szirin prawdopodobnie zaproponowałby jej małżeństwo już dawno temu, gdyby był choć trochę typem człowieka nadającego się do założenia rodziny, ale nie był; ona zresztą też nie, przynajmniej sądząc z tego, co czasem wspominała na ten temat. Związek, który ich łączył, wydawał się odpowiadać im obojgu. - Ze też na przyjazd do domu ze wszystkich możliwych niedźnych dni przyszło mi wybrać właśnie ten... - powiedział siadając obok niej i pochylając się, by złożyć na jej policzku krotki, przyjacielski pocałunek.

-Pada od trzech dni. I mówią, że jesteśmy skazani na taką pogodę przez kolejne trzy, aż do następnego dnia Onosa. Sądzą, że do tego czasu wszyscy się potopimy. Wyglądasz, jakbyś stracił nieco na wadze w czasie pobytu w Jonglorze.

-Naprawdę? Wiesz, północna kuchnia niezupełnie mi odpowiada...

Nie spodziewał się, że zauważy to od razu. Mezczy/na tak postawny jak on powinien móc zrzucić pięć czy siedem kilogramów tak, by nie wywoływało to powszechnych komentarzy. Liliat jednak zawsze była spostrzegawcza. Możliwe, że zrzucił nawet nieco więcej niż siedem

9^

kilogramów. Od dnia przejazdu w tunelu po prostu prawie nic nie jadł. On! Aż trudno mu było uwierzyć, jak mało jadł.- Dobrze wyglądasz - powiedziała Liliat. - Zdrowo, krzepko.

-Naprawdę?

-Co nie znaczy, bym sądziła, iż powinien być chudy, przynajmniej nie w tym wieku. Ale nic ci się nie stanie, jeśli zrzucisz parę kilo. Dobrze się bawiles w Jonglorze?

-No...

-Odwiedziłaś wystawę?

-Tak. Wspaniała. - Nie był w stanie zdobyć się na więcej entuzjazmu. - Liliat, co za deszcz!

-W Jonglorze nie padało?

-Przez cały czas było bezchmurnie i sucho. Tak jak wtedy, gdy wyjeżdżałem z Saro.

-Coż, Szirinie, pory roku się zmieniają. Nie można się ludzić, że ta sama pogoda utrzyma się przez całe pół roku. Gdy codziennie wschodzi zupełnie inny układ słońc, nie ma co się spodziewać, że aura pozostanie niezmienna przez dłuższy czas.

-Trudno mi orzec, czy przemawiasz jak meteorolog, czy jak astrolog - mruknął Szirin.

-Ani jedno, ani drugie. Jak psycholog. Nie masz zamiaru opowiedzieć mi o swej podróży? Zawahał się.

-Wystawa jest wspaniała. Szkoda, że jej nie widziałas. Niemal cały czas ciężko pracowałem. Tam, na północy, mają niezły ambaras... myślę o tym Tunelu Tajemnic.

-Czy to prawda, że ludzie w nim umierają?

-Kilku rzeczywiście umarło, a wielu wychodzi z niego z urazami, zaburzeniami orientacji, z objawami klaustrofobii. Badalem kilku z nich. Kuracja będzie trwała wiele miesięcy. Niektórzy w ogóle nie powrócą do zdrowia. Tunel był jednak otwarty przez wiele tygodni.

-Mimo tych problemów?

-Zdaje się, że nikomu nie zależało na jego zamknięciu, w najmniejszym zaś stopniu ludziom, którzy wystawa

92

zarządzają. Im chodziło jedynie o sprzedaż biletów. A zwiedzający byli tej ciemności bardzo ciekawi. Ciekawi ciemności, czy możesz to sobie wyobrazić, Liliat?! Pełni entuzjazmu stawali w kolejce, by narazić swe zdrowie psychiczne na niebezpieczeństwo! Oczywiście, wszyscy byli przekonani, że im nic złego przydarzyć się nie może. I tak było w istocie, w wielu wypadkach. Ale nie we wszystkich... Ja też wybrałem się na przejazd tunelem.-Ty?! - zdziwiła się Liliat. - No i jakie odniosłeś wrażenia?

-Paskudne. Dużo bym dał, aby tylko nie musieć przejść przez to ponownie.

-Jak widac, wyszedłeś bez szwanku.

-Jak widac - zgodził się Szirin ostrożnie. - Mogę równie dobrze wyjść bez szwanku po połknięciu pół tuzina żywych ryb, ale prawdopodobnie nie chciałbym zrobić tego po raz drugi. Powiedziałem im, żeby zamknęli ten przeklęty tunel. Takie było moje osobiste zdanie i myślę, że się do niego zastosują. My, Liliat, po prostu nie zostaliśmy stworzeni, by znosić Ciemność. Minuta, może dwie - potem zaczynamy się łamać. To rzecz wrodzona, jestem o tym przekonany; miliony lat ewolucji ukształtowały nas takimi, jakimi dziś jesteśmy. Ciemność stanowi najbardziej nienaturalną rzecz na świecie. I jeszcze ten pomysł, żeby sprzedawać ją ludziom w formie rozrywki... - wzdrygnął się. - No, byłem w Jonglorze, ale już jestem z powrotem. Powiedz, co słychać na uniwersytecie?

-Niewiele. Jak zwykle jakieś głupie, drobne sprzeczki, ciągle rady wydziału, wniosły, pełne oburzenia oświadczenia na temat takiego czy innego palącego problemu społecznego... sam dobrze wiesz, jak to jest. - Liliat na chwilę zamilkła. Zaciśnięła mocno obie dłonie na kierownicy prowadząc samochód przez głębokie kaluze, które potworzyły się na autostradzie. - W obserwatorium daje się najwyraźniej wyczuć jakieś dziwne poruszenie. Szukał cię twój przyjaciel Biney 25. Mówił niewiele, ale zdaje mi się, że pracują nad zmianą jednej ze swych kluczowych teorii. Wszyscy są bardzo wzburzeni. Czy możesz sobie wyobrazić,

93

że badania prowadzi nie kto inny, tylko sam stary Athor? Myślałam, że jego mózg skostniał już z tysiąc lat temu... Biney przyszedł z jakimś dziennikarzem, którego felietony podobno cieszą się dużym wzięciem. Nie zwracałam na niego większej uwagi, ale jeśli dobrze pamiętam, nazywa się Teremon 762.-Jest bardzo znany. Rodzaj podzegać, choć nie potrafie dokładnie określić, w jaki rodzaj spraw się angażuje. Dużo czasu spędza z Biney'em.

Szirin zanotował sobie w pamięci, żeby zadzwonić do młodego astronoma, jak tylko się rozpakuje. Już od blisko roku Biney mieszkał z jego siostrzenicą Raissa 717 i Szirin amatersko interesujący się astronomią zaprzyjaźnił się z nim, o ile było to możliwe biorąc pod uwagę dzielącą ich różnicę ponad dwudziestu lat.

Athor znowu zajął się pracą teoretyczną! Kto by przypuszczał! Ale czego właściwie mogła ona dotyczyć? Czyżby jakiś parwienuszek opublikował dziełko atakujące prawo powszechnego ciężenia? Nie, nikt by się nie odważył.

-A ty? - zapytał Szirin. - Nie powiedziałas mi dotąd ani słowa o tym, co robiłaś przez ten czas, gdy mnie nie było.

-Jak myślisz? Może skakałam na lotni w gorach? Uczestniczyłam w spotkaniach Apostołów Plomieni? A może zapisałam się na kurs nauk politycznych? Czytałam książki. Wykładałam. Prowadziłam eksperymenty. Czekalam, aż wrócisz. Myślałam, jaki obiad ugotować na twoje powitanie. Czy aby na pewno nie jesteś na diecie?

-Oczywiście, że nie. - Na moment dotknął jej ręki z czułością. - Przez cały czas myślałem tylko o tobie, Liliat.

-Jestem tego pewna.

-I nie moge sie juz doczekac obiadu.

-Przynajmniej to nie ulega watpliwosci. Nagle zaczelo padac jeszcze mocniej. Deszcz fala przeslonil przednia szybe samochodu. Liliat musiala calkowicie skupic uwage, by nie zjechac z drogi. Mijali Panteon, wspaniala Katedre Wszystkich Bogow. Nie robila jednak

94

wspanialego wrazenia teraz, gdy strumienie deszczu splywaly po jej ceglanej fasadzie. Ulewa wciaz przybierala na sile, niebo pociemnialo jeszcze bardziej. Szirin skulil sie ze strachu przed mrokiem i szukajac ukojenia skierowal wzrok ku jasno swiecacych na desce rozdzielczej swiatelkom kontrolnym.

Nie czul sie dobrze w zamknietej przestrzeni samochodu. Pragnal wyjsc na zewnatrz, w bezkresne pola, bez względu na pogode. Istne szalenstwo. Przeciez w mgnieniu oka przemoklby do suchej nitki.

"Mysl o czyms wesolym - powtarzal sobie. - Mysl o czyms cieplym i pogodnym. Mysl o sloncach, o zlotym blasku Onosa, cieplym swietle Patru i Treya, a nawet o chlodnych promieniach Sithy i Tano czy slabych czerwonych Dovima. Mysl o dzisiejszym obiedzie. Liliat przygotowala prawdziwa uczte na powitanie. Jest wspaniala kucharka..." Zdal sobie sprawe, ze wcale nie odczuwal glodu. Nie moglo byc inaczej w ten okropny, szary dzien... taki szary... taki szary...

Liliat byla bardzo czula na punkcie swoich umiejetnosci kulinarnych, szczegolnie gdy gotowala dla niego. Zdecydowal, ze zje wszystko, cokolwiek przed nim postawi, nawet gdyby musial sie do tego zmusic. Smieszna sprawa, on, Szirin, wielki lakomczuch, myśli o zmuszaniu sie do jedzenia!

Rozesmial sie glosno.

-Co cie tak smieszy? - zapytala Liliat.

-Ach... hm... myslalem o tym, ze Athor powrocil do pracy naukowej - odpowiedzial pospiesznie. - Po wielu latach zadawalania sie pozycja Jego Wysokosci Cesarza Astronomii i zajmowania sie sprawami czysto administracyjnymi. Bede musial zaraz zadzwonic do Bineya. Co takiego, u licha, dzieje sie w obserwatorium?

95

12

Dla Siferry 89 byl to trzeci dzien po powrocie na Uniwersytet Saryjski. Wciaz padalo. Jakze mila odmiana po suchym, pustynnym klimacie polwyspu Sagikan. Od tak dawna nie widziala deszczu, ze niemal oslupiala ze zdumienia, iz woda moze spadac z nieba. Na Sagikanie kazda kropla wody byla niezmiernie cenna. Z największa dokladnoscia wyliczano jej zuzycie, a potem odzyskiwano wszystko, co sie dalo odzyskac. A tutaj lala sie z niebios niczym z olbrzymiego zbiornika, który nigdy nie wyschnie. Siferra miala wielka ochote rozebrac sie do naga i biegac po wspanialych trawnikach miedzy gmachami uniwersytetu, pozwalajac, by deszcz splywal po jej ciele nie konczacych sie cudownym strumieniem i wreszcie zmyl z niej przeklety kurz pustyni.

Z pewnoscia wszyscy chcieliby to zobaczyc. Ta chlodna, niedostepna, pozbawiona uczuc Siferra 89 biega nago w strugach deszczu! Warto byloby tak pobiegac, chocby po to jedynie, by doznac radosci na widok ich zdumionych twarzy wyzierajacych z kazdego okna uniwersytetu.

"Co za glupoty przychodza mi do glowy - pomyslala Siferra. - Zupelnie nie w moim stylu".

Miala duzo do zrobienia. Nie tracila czasu, od razu zabrala sie do pracy. Wiekszosc probek, ktore pobrala z wykopalisk na terenie Beklimotu, plynelo statkiem handlowym. Nie nalezalo sie ich spodziewac przed uplywem kilku tygodni, ale trzeba bylo uszeregowac wykresy, zakonczyc szkice, przeanalizowac stratygraficzne zdjecia Balika, przygotowac do laboratorium radiologicznego przywiezione probki gleby i zrobic mnostwo innych rzeczy. A na koniec pozostawaly jeszcze tabliczki z Tombo, o ktorych miala rozmawiac z profesorem Mudrinem 505 z Wydzialu Paleo-grafn.

Tabliczki z Tombo! Znalezisko znalezisk, największe odkrycie w ciagu tego poltora roku! Przynajmniej w opinii Siferry. Oczywiscie, wiele zalezalo od tego, czy ktos bedzie w stanie je odczytac. Musi naklonic Mudrina do zajecia sie

96

ich analiza. Tabliczki te byly co najmniej fascynujace, ale mogly tez miec epokowe znaczenie. Istniala mozliwosc, ze zrewolucjonizuja cala dotychczasowa wiedze o czasach prehistorycznych, dlatego tez nie powierzyla ich spedytorom, lecz

przywiozła z Sagikanu osobiscie. Uslyszała pukanie do drzwi.-Siferra? Siferra, jestes tam?

-Prosze, wejdz, Baliku.

Barczysty stratograf byl przemoczony do suchej nitki.

-Co za wstretna ulewa - wymamrotal, otrzasajac krople deszczu z ubrania. - Nie wyobrazasz sobie, jak zmoklem, choc przeszedlem jedynie przez dziedziniec z Biblioteki Ulanda.

-A ja kocham deszcz! Dla mnie moglby padac wiecznie. Po tych wszystkich miesiacach prazenia sie na pustyni - tym ciaglym piasku w oczach, kurzu w gardle, skwarze, suszy - niech pada!

-Widze jednak, ze przebywasz glownie pod dachem. Tak jest latwiej doceniac uroki deszczu, gdy patrzysz sobie z przytulnego, suchego pokoju. Znowu sie tym bawisz?

Wskazal na szesc wyszczerbionych, poobijanych tabliczek z twardej czerwonej gliny, ktore Siferra ustawila na blacie biurka, dzielac je na dwie grupy po trzy: w jednym rzedzie kwadratowe, a nizej w drugim prostokatne.

-Sa piekne, prawda? - Siferra promieniala radoscia. - Nie daja mi spokoju. Wciaz na nie patrze, jakby mogly stac sie zrozumiale przez to tylko, ze wystarczajaco dlugo im sie przygladam.

Balik pochylil sie nad biurkiem i pokiwal glowa.

-Bezsensowne gryzmoly. Z tym jedynie mi sie to kojarzy.

-No wiesz! Zidentyfikowalam juz wyrazne slady grup wyrazowych, choc paleograf ze mnie zaden. Spojrz, widzisz tutaj te grupe szesciu znakow? Tutaj sie powtarza. I te trzy oddzielone klinami...

-Czy Mudrin juz je widzial?

-Jeszcze nie. Poprosilam go, zeby wstapil do mnie nieco pozniej. 7 - Nastanie nocy 7 / - Wiesz, ze wieśc o naszym odkryciu jednak przedostala sie na zewnatrz? Mam na mysli te osady miejskie w Tombo.

-Co?! Kto...? - Siferra spojrzala na Balika ze zdumieniem.

-Jeden ze studentow. Osobiscie stawialbym na Welo-rana, choc Eilis podejrzewa, ze to Sten. Tak chyba musialo sie stac, prawda?

-Ostrzegalam ich, zeby nic nie mowili o...

-To jeszcze dzieci, Siferro, wyrosniete dzieci, dziewietnascie lat i pierwsze powazne kopanie! I ekspedycja przypadkiem napotyka cos zupełnie zdumiewajacego - siedem dotychczas nikomu nie znanych miast prehistorycznych, zbudowanych jedno na drugim, ktore maja bogowie racza wiedziec ile tysiecy lat?..

-Dziewiec miast, Baliku.

-Siedem czy dziewiec to i tak bardzo duzo. Wedlug mnie jest ich siedem - usmiechnal sie Balik.

-Wiem, ze tak myslisz, ale jestes w bledzie. Powiedz tylko, kto o tym rozpowiada na wydziale?

-Hilliko. I Brangin. Slyszałem, jak dzis rano rozmawiali. Musze ci powiedziec, ze sa niezwykle sceptyczni. Sceptyczni cala dusza. Kazdy z nich uwaza, ze to zupełnie nieprawdopodobne, by zachowala sie w tym rejonie chocby jedna osada starsza od Beklimotu, a co dopiero dziewiec czy siedem, czy tez ile ich tam jest.

-Nie widzieli zdjec. Nie widzieli wykresow. Nie widzieli tabliczek. Nie widzieli niczego, a juz maja o tym wyrobione zdanie! - Oczy Siferry plonely niepohamowanym gniewem. - Co oni w ogole wiedza? Czy kiedykolwiek chocby dotkneli stopa polwyspu Sagikan? Czy byli w Beklimocie chocby jako turysci? A maja czelnosc wydawac opinie na temat znaleziska, o ktorym jeszcze nic nie napisano, ktore nawet nieformalnie nie zostalo jeszcze poddane pod dyskusje na wydziale!

-Siferro...

-Chcialabym ich obydwu obedrzc ze skory! Welorana i Stena zreszta tez. Wiedzieli, ze maja trzymac jezyk za zebami. Do czego ci dwaj zmiierzaja, lamiac prawo pierw98 sze nstwa, chocby nawet slownie? Ja im pokaze! Sciagne ich tutaj i dowiem sie, ktory z nich jest odpowiedzialny za przeciek tej historii do Hillika i Brangina, i jesli ten szczeniak myśli sobie, ze

kiedykolwiek zdobędzie doktorat na tym uniwersytecie...

-Siferro, proszę - powiedział Balik łagodnie. - Wyciekasz się nie wiadomo na co.

-Nie wiadomo na co? Naruszono moje prawo pierwszeństwa...

-Nikt nie naruszył żadnych twoich praw. Dopóki sama się na ten temat nie wypowiesz, pozostanie to tylko plotka. Co do Welorana i Stena - tak naprawdę nie wiemy, czy rzeczywiście któryś z nich się wygadał, a nawet jeśli to zrobił, pamiętaj, że ty też kiedyś byłaś młoda.

-Tak - przyznała Siferra. - Trzy epoki geologiczne temu.

-Nie opowiadaj głupstw. Jesteś młodsza niż ja, a mnie przecież trudno określić jako sędziwego starca.

Siferra obojętnie pokiwała głową. Spojrzała w kierunku okna. Nagle deszcz przestał wydawać się taki przyjemny. Wszystko na zewnątrz było szare, niepokojąco szare.

-Jednak słyszę, że nasze odkrycia już są kontrowersyjne, choć jeszcze nie ogłoszono ich drukiem...

-One muszą być kontrowersyjne. Siferro, tym, co znaleźliśmy na wzgórzu, pokrzykujemy plany wszystkim wokół - nie tylko na Wydziale Archeologii, ale też na Historii, Filozofii, nawet Teologii, wszystkim to dotyczy. I możesz być pewna, że będa walczyli w obronie wyrobionych przez siebie poglądów na rozwój cywilizacji. Czy sama byś nie walczyła, gdyby ktoś przyszedł do ciebie z radykalnie nową propozycją, która zagroziłaby wszystkiemu, w co dotąd wierzyłaś? Siferro, bądź realistką! Od początku wiedzieliśmy, że wokół naszego odkrycia rozpęta się prawdziwa burza.

-Chyba masz rację. Nie byłam przygotowana, że zaczniesz się tak od razu. Jeszcze nawet nie zdążyłam się rozpakować.

-O to właśnie chodzi. Tak nagle się to wszystko

99

wydarzyło, że nie miałas jeszcze czasu się odprezyc. Posłuchaj, mam pomysł. Przed powrotem do etatowych obowiązków akademickich mamy przecież prawo wznac trochę wolnego. Czemu ty i ja nie mielibyśmy uciec przed deszczem i urządzić sobie razem jakichś krótkich wakacji? Powiedzmy, pojechać do Jongloru, by obejrzeć wystawę? Właśnie rozmawiałem wczoraj z Szirinem - wiesz, dopiero co stamtąd wrócił i mówi...Siferra rzuciła w kierunku Balika spojrzenie pełne niedowierzania.

-Coś ty powiedział?

-Mówiłem o wakacjach. Ty i ja.

-Baliku, czy ty mnie czasem nie podrywasz?

-Chyba można by to tak nazwać. Ale czy należy się temu dziwić? Nie jesteśmy sobie tak znowu obcy. Znamy się jeszcze z czasów studenckich. Właśnie wróciliśmy po wielu miesiącach spędzonych wspólnie na pustyni.

-Wspólnie? Owszem, pracowaliśmy przy tych samych wykopaliskach. Ty miałaś swój namiot, ja swój. Nigdy nic między nami nie było. I teraz ni stąd, ni zowad...

Na zazwyczaj powściągliwej twarzy Balika pojawiły się oznaki konsternacji i rozdrażnienia.

-Siferro, to nie to samo, co gdybym prosił cię o rekę. Zaproponowałem tylko krótką wycieczkę na wystawę do Jongloru, pięć czy sześć dni, trochę słońca, jakiś przyzwoity hotel w kurorcie zamiast namiotu rozbitego na środku pustyni, kilka kolacji przy muzyce, jakieś dobre wino... - Rozłożył ręce w geście irytacji. - No wiesz, Siferro, czuje się przy tobie jak jakiś głupi uczeń.

-Tak się właśnie zachowujesz. Baliku, nasze stosunki były czysto zawodowe. Niech nadal takie pozostaną, dobrze?

Już miał odpowiedzieć, jednak przemyślał to jeszcze raz, tylko zacisnął mocno wargi.

Przez dłuższy czas przyglądali się sobie skrepowani.

Siferra czuła się jak ogluszona. Spotykały ją same przykre niespodzianki - wiesz o tym, że pozostali pracownicy wydziału wyrobili już sobie zdanie na temat znaleźisk

z Tombo, a teraz ta nietaktowna proba Balika uwiedzenia jej. Uwiedzenia? Powiedzmy, nawiązania z nią pewnego rodzaju intymnego kontaktu. I jak wydawał się kompletnie zdziwiony jej odmowa! Zastanawiała się, czy kiedyś przypadkiem, nieumyślnie nie sprawiała wrażenia, że zachęca go w jakiś sposób, pozwalając domyślać się uczuć, które nigdy nie istniały.

Nie, nie. Uznała, że nic takiego nie miało miejsca. Nie przejawiała żadnego zainteresowania podróżami do kurortów i saczeniem wina w nastrojowo oświetlonych restauracjach z Balikiem czy kimkolwiek innym. Miała swoją pracę. To jej wystarczało. Przez z górą dwadzieścia lat, od czasu gdy była nastolatka, mężczyźni zabiegali o jej względy i mówili, jaka jest piękna, cudowna, fascynująca. Chyba wtedy to jej pochlebiali. Lepiej być uważaną za piękną i fascynującą niż brzydką i nudną, ale nie była zainteresowana mężczyznami. Nigdy. Nie chciała być. Jak przykre jest to skrepowanie, które wkradło się między nich z winy Balika, teraz, gdy wciąż mają przed sobą tyle pracy, związanej z uporządkowaniem przywiezionego z Beklimotu materiału - ich dwoje, pracujący obok siebie...

Rozległo się ponowne stukanie do drzwi. Siferra była wdzięczna losowi za wybawienie z niezrecznej sytuacji.

-Kto tam?

-Mudrin 505 - odpowiedział drzazgający głos.

-Proszę wejść, panie profesorze.

-Pojde już sobie - stwierdził Balik.

-Zostan. On przyszedł tu, żeby zobaczyć tabliczki. Czyż nie są to w równej mierze twoje tabliczki, jak moje?

-Siferra, przepraszam, jeśli...

-Nie ma o czym mówić.

Mudrin był trzeszącym się, zasuszonego staruszkiem, który dawno przekroczył wiek emerytalny, lecz wciąż pracował na uniwersytecie. Nie wykładał już, tylko prowadził dalej swoje badania paleograficzne. Spoglądał zza grubych szkieł okularów łagodnymi szarzielonymi oczami, łzawiącymi od ciągłego ślęczenia nad spłowiałymi rękopisami. Siferra

wiedziała, że łzawe spojrzenie było mylące - te oczy potrafiły dostrzec najdrobniejsze nawet szczegóły, przynajmniej jeśli chodzi o starożytne inskrypcje.-Ach, więc to są te słynne tabliczki - rzekł Mudrin. - Wiesz, od kiedy mi o nich powiedziałas, nie mogłem myśleć o niczym innym. - Ale nie od razu podszedł do biurka, by je obejrzeć. - Czy możesz mi najpierw udzielić wszystkich informacji o kontekście znaleziska?

-Proszę, to jest zdjęcie zrobione przez Balika. - Siferra wręczyła mu olbrzymie, połyskujące powiększenie. - Wzgórze Tombo, stary kopiec-smietnik na południe od Beklimotu Wielkiego. Tak to wyglądało, gdy otworzyła go burza piaskowa. I wtedy wykopalismy row tu, na dole, a potem jeszcze głębiej, tutaj - aż odsłoniłismy to wszystko. Czy widzi pan te ciemne linie?

-Wegiel drzewny? - spytał Mudrin.

-Wlasnie. Tutaj jest linia ognia, spalone cale miasto. Teraz przechodzimy tu nizej i widzimy druga grupe fundamentow, i druga linie ognia. I jesli spojrzemy tutaj... i tutaj...

-Co tu mamy? - Mudrin przygladal sie fotografii przez dluzsza chwile. - Osiem kolejnych osad?

-Siedem - rzucil Balik.

-Wedlug mnie dziewiec - powiedziala oschle Siferra - ale zgadzam sie, ze dosyc trudno jest ocnic, im dalej w dol, w kierunku podstawy wzgorza. Zeby to wyjasnic, bedzie nam potrzebna analiza chemiczna i badania radiograficzne. Nie ulega watpliwosci, ze na tym terenie miala miejsce cala seria pozarow. A mieszkancy Tombo za kazdym razem budowali i odbudowywali, wciaz od nowa.

-Jesli tak jest w istocie, ta osada musi byc niewyobrazalnie stara - stwierdzil Mudrin.

-Moim zdaniem teren ten byl zamieszkanym przez co najmniej piec tysiecy lat. Bys moze duzo wiecej - dziesiec czy pietnascie tysiecy. Nie dowiemy sie, dopoki w pelni nie zostanie odkryty najglebszy poziom, lecz z tym trzeba bedzie poczekać do nastepnej wyprawy. Albo do jeszcze kolejnej.

102

-Piec tysiecy lat. Czy to mozliwe? - Zeby zbudowac, odbudowac, a potem po raz kolejny odbudowac? Minimum piec tysiacleci.-Ale zadna dotychczas odkopana na swiecie osada nie jest choc w przyblizeniu rownie stara! - Mudrin z niedowierzaniem krecil glowa. - Sam Beklimot ma mniej niz dwa tysiace lat, prawda? I uwazamy go za najstarsza ze znanych nam osad na Kalgaszu.

-Najstarsza ze znanych - przyznala mu racje Sifer-ra. - Ale czemu nie zaryzykowac twierdzenia, ze istnieja jeszcze starsze od niej? Znacznie starsze? To zdjecie daje odpowiedz na panskie pytanie. Oto osada, ktora jest bezsprzecznie starsza od Beklimotu - relikty stylu bek-limockiego mozna znalezc na poziomie szczytowym, a przeciez pod nim jest jeszcze wiele starszych. Beklimot wydaje sie osada bardzo niedawna, jesli wziac pod uwage historie ludzkosci. Osada w Tombo - ktora juz pewnie byla uwazana za starozytna, zanim jeszcze istnial Beklimot - musiala plonac wielokrotnie, za kazdym razem byla jednak odbudowywana, i tak przez setki pokolen.

-Bardzo pechowe miejsce - zauwazyl Mudrin. - Trudno powiedziec, by bylo ukochane przez bogow, prawda?

-W koncu mieszkancy musieli to spostrzec - wtracil Balik.

-Tak! - Siferra pokiwała głową. - Wreszcie musieli chyba dojść do wniosku, że nad tym wzgórzem ciąży kłątwa. Chyba dlatego zamiast odbudować miasto po ostatnim pożarze, wzniesli nieco dalej Beklimot. Przedtem zapewne bardzo długi czas mieszkali w Tombo. Byliśmy w stanie wyroznić style architektoniczne dwóch najwyższych osad - proszę spojrzeć tutaj, to styl cyklopowy okresu środkowego Beklimotu, a później kreskowanie z okresu protobeklimockiego. Trzeciego miasta od góry, a w zasadzie tego, co po nim pozostało, nie jestem w stanie z niczym skojarzyć. Czwarte jest jeszcze dziwniejsze i bardzo surowe w kształtach, choć w porównaniu z piątym wydaje się wyrafinowane. Po piątym poziomie zaczyna się już taki

103

galimatias, że trudno rozróżnić, które miasto jest które. Każde z nich jednak oddziela od pozostałych linia ognia; przynajmniej tak to sobie wyobrażamy. A tabliczki...-No właśnie, tabliczki! - Mudrin drzał z emocji.

-Kilka tych kwadratowych znaleźliśmy w trzecim pokładzie. Prostokątne pochodziły z piątego. Nie staram się nawet zabrać do ich rozszyfrowania, ale, oczywiście, nie jestem paleografem.

-Jakby to było cudownie - odezwał się Balik - gdyby te tabliczki zawierały pewnego rodzaju zapis zniszczenia i odbudowy miast Tombo, i...

Siferra rzuciła w jego kierunku piorunujące spojrzenie.

-Jakby to było cudownie, gdybys zechciał zachować te swoje pobożne życzenia dla siebie!

-Przepraszam, Siferro - rzekł Balik chłodno. - Wybacz, że jeszcze oddycham.

Mudrin nie zwrócił uwagi na ich sprzeczke. Stał przy biurku Siferry, przez dłuższy czas nisko pochylał głowę nad kwadratowymi tabliczkami, potem nad prostokątnymi.

-Zdumiewające! - wykrzyknął wreszcie. - Nie do wiary!

-Czy potrafi je pan odczytać? - spytała Siferra.

-Odczytać? - Staruszek zachichotał. - Oczywiście, że nie. Czy spodziewasz się cudu? Ale widzę tu pewne grupy wyrazowe.

-Tak, ja też je zauważyłam.

-I zdaje się, że rozpoznaje pewne litery. Ale nie na starszych tabliczkach - są sporządzone w jakimś nieznany mi piśmie, możliwe, że w sylabicznym, jak na alfabetyczne bowiem zbyt wiele w nim różnych znaków. Natomiast tabliczki kwadratowe wydają się napisane w bardzo prymitywnej odmianie pisma beklimockiego. Widzisz, to tutaj to kampa, jestem

nawet skłonny pojsć o to o zakład, a to zdaje się nieco zniekształcona forma litery pirion... to jest pirion, nie uważasz? Siferro, powinienem poświęcić im trochę czasu. Przy moim własnym sprzecznie oświetleniowym, moich aparatach fotograficznych i skanerach. Czy mogę wziąć je ze sobą?

104

-Wziąć je? - zdziwiła się Siferro, jakby Mudrin co najmniej poprosił ją o pozyczenie kilku palców.-To jedyny sposób, żeby móc je odcyfrować.

-Myśli pan, że to się uda?

-Nie mogę dać żadnej gwarancji, ale jeśli ten znak oznacza pirion, a tamten kampa, powinienem zatem znaleźć też inne pokrewne litery i przynajmniej przedstawić ich transliterację. Czy potrafimy zrozumieć ten język zaraz po odczytaniu pisma, trudno powiedzieć. Wątpię jednak, abym posunął się bardzo daleko z tymi tabliczkami prostokątnymi, chyba że odkryjesz jakąś dwujęzyczną, która mogłaby posłużyć jako pomoc w znalezieniu właściwego podejścia do tego starszego pisma. Ale pozwól mi spróbować, Siferro. Pozwól mi spróbować.

-Proszę, niech je pan weźmie.

Troskliwie zebrała tabliczki i odłożyła z powrotem do pojemnika, w którym przywiozła je aż z Sagikanu. Bolało ją, że musi się z nimi rozstać, ale Mudrin miał rację. Nie był w stanie nic zrobić przy pobieżnym oglądzie; musiał je poddać analizie laboratoryjnej.

Patrzyła ze smutkiem, jak trzesący się staruszek wychodzi z pokoju z cennym zawiniątkiem przycisniętym do zapadniętej piersi. Teraz ona i Balik zostali znowu sami.

-Siferro, wracając do naszej rozmowy...

-Powiedziałam ci, że nie ma o czym mówić. Ja już o wszystkim zdążyłam zapomnieć. Nie masz nic przeciwko temu, że zabiorę się do pracy?

13

I jak to przyjął? - spytał Teremon. - Przypuszczam, że lepiej, niż się spodziewałeś.-Był absolutnie cudowny - powiedział Biney. Znajdowali się na tarasie klubu Szesc Słońc. Na razie deszcze się skończył i nastal wspaniały wieczór, dziwnie przejrzysty jak zawsze po dłuższym okresie opadów. Na

105

zachodzie świeciły Tano i Sitha, jasniejsze niż zwykle, białe i upiorne, a po przeciwnej stronie mrocznego nieba polyskiwał, niczym mały klejnot, czerwony Dovim.-Nie dał po sobie

nic poznać - opowiadał dalej Bi-ney - unosił się tylko w chwili, gdy dotarło do niego, że niewiele brakowało, bym uległ pokusie wyciszenia całej sprawy, mając na względzie jego uczucia. Odsadził mnie od czci i wiary - tak jak na to zasługiwałem. Ale najśmieszniejsze było... Kelner! Kelner! Poproszę jeden Tano Special dla mnie i jeden dla mojego przyjaciela. Niech beda podwojne!

-Widzę, że zacząłeś pić jak szewc - zauważył Te-remon.

Bi-ney wzruszył ramionami.

-Tylko gdy zachodzę tutaj. Jest coś w tym tarasie, widoku na miasto, ogólnej atmosferze...

-Tak to się zaczyna. Coraz bardziej ci się to podoba, dochodzisz do przyjemnych skojarzeń między konkretnym miejscem i pić, po chwili eksperymentujesz z wypiciem jednego czy dwóch kieliszków gdzieś indziej, potem trzech...

-Teremonie! Mówisz jak Apostoł Plomieni! Oni zdaje się również uważają pić za grzech?

-Oni wszystko uważają za grzech, ale pić jest nim na pewno. I to właśnie jest w tym takie cudowne, nieprawdaz, przyjacielu? - Teremon się rozesmiał. - Opowiadałeś mi o Athorze.

-Właśnie. Rzecz wielce zabawna. Czy pamiętasz jeszcze swój pomysł, że jakiś nie znany czynnik mogłoby powodować odchylenia orbity Kalgasza?

-Owszem, niespodziewany olbrzym z nieba. Sapiący i buchający ogniem smok.

-Otoż to. Athor jest dokładnie tego samego zdania!

-Myśli, że w niebie mieszka smok?

-Nie opowiadaj bzdur - Bi-ney parsknął śmiechem - ale że należy uwzględnić jakiś nie znany czynnik, to tak. Ciemne słońce, a może jakies inne ciało niebieskie położone tak, że nie sposób je zobaczyć, ale które mimo to oddziałuje na Kalgasza z określoną siłą przyciągania...

106

-Czy aby nie ma w tym zbyt dużo fantazji? - spytał Teremon.-Oczywiście, że jest. Athor przypomniał mi jednak te stara historie o mieczu Thargola. Posługujemy się nim - oczywiście w znaczeniu przenośnym - aby gdy mamy do wyboru dwie hipotezy, wybrać tę mniej złożoną. Prościej jest szukać niewidocznego słońca, niż wyjść z całkowicie nową teorią powszechnego ciężenia. Stąd też...

-Ciemne słońce? Ale czy przypadkiem te dwa pojęcia nie są sprzeczne? Słońce to źródło światła. Jeśli jest ciemne, jakże może być słońcem?

-To tylko jedna z mozliwosci, ktore Athor podsunal do rozwazenia. Niekoniecznie traktuje ja powaznie. Przez ostatnie kilka dni rzucalismy jedynie roznymi pojeciami astronomicznymi w nadziei, ze jedno z nich okaze sie wystarczajaco sensowne, by pomoc nam w znalezieniu wyjasnienia dla... Spojrz, kto przyszedl. - Biney wskazal na wysokiego grubasa, ktory wlasnie wchodzil do klubu. - Szirin! Szirin! Chodz tu i napij sie z nami.

Psycholog przeszedl ostroznie przez waskie drzwi.

-Bineyu, czyzbys popadl w jakies nowe nalogi?

-Niezupełnie. Teremon narazil mnie na kontakt z Tano Special i obawiam sie, ze w tym zasmakowalem. Znasz Teremona, prawda? Pisce felietony w "Kronice Saro".

-Chyba nie bylo okazji. - Szirin wyciagnal reke do dziennikarza. - Wiele o tobie slyszalem. Jestem wujem Raissy 717.

-Profesor psychologii! - Teremon przypomnial cos sobie. - O ile sie nie myle, byl pan na Wystawie Stulecia w Jonglorze?

Szirin spojrzal zaskoczony.

-Znasz wszystkie nowinki, chlopcze, prawda?

-Staram sie. - Podeszedl kelner. - Co mamy dla pana zamowic? Tano Special?

-To dla mnie za mocne - powiedzial Szirin. - I troche za slodkie. Moze macie neltigir? - spytal kelnera.

-Jongloryjski koniak? Nie jestem pewien. Gdybym jednak znalazl, jak go mam panu podac?

107

-Czysty - Szirin odwrocil sie do Teremona i Bi-neya. - Zasmakowal mi, gdy bylem w Jonglorze. Na polnocy jedzenie jest okropne, ale przynajmniej potrafia tam wydestylowac przyzwoity koniak.-Slyszalem o jakimś zamieszaniu w związku z wystawa - rzekl Teremon. - Pewien klopot w wesolym miasteczku... przejazdka przez ciemnosc, ktora przywodziła ludzi do szalenstwa, doslownie do utraty zdrowych zmyslow...

-Otoz to. Tunel Tajemnic. Z tego wlasnie powodu tam pojechalem jako konsultant wezwany przez miasto i jego prawnikow, poproszony o opinie.

-Czy to prawda - Teremon pochylil sie w strone psychologa - ze ludzie w tym tunelu umierali w szoku, a wladze mimo to pozwalaly, aby nadal byl otwarty?

-Kazdy mnie o to pyta. Owszem, bylo kilka przypadkow smiertelnych, ale w zaden sposob nie wplynely one na popularnosc przejazdki. Co wiecej, ludzie chcieli podjac ryzyko. I wielu

z nich wychodziło stamtąd oblakanych. Sam też przejechałem przez Tunel Tajemnic. - Psycholog wzdrygnął się na to wspomnienie. - Teraz jest już nareszcie zamknięty. Ostrzegłem ich, że jeśli tego nie zrobią, staną w obliczu konieczności wybulenia milionów kredytów w procesach o odszkodowanie; powiedziałem, że absurdem było spodziewać się, iż ludzie będą w stanie znieść ciemność o takim stopniu intensywności. Uznali to za logiczne.

-Rzeczywiście mamy nieco neltigiru, proszę pana - przerwał kelner, stawiając kieliszek ciemnozłotego koniaku na stoliku przed Szirinem. - Jest tylko jedna butelka, więc radziłbym pić powoli.

Psycholog pokiwał głową i przechylił kieliszek wypijając niemal połowę, zanim jeszcze kelner odszedł od stolika.

-Proszę pana, powiedziałem...

-Słyszałem, co pan powiedział. - Szirin uśmiechnął się do kelnera. - Następny będzie już pił powoli. - Zwrócił się do Bineya. - Podobno gdy przebywałem na północy, w obserwatorium miało miejsce jakies poruszenie. Liliat mi o tym mówiła, ale nie potrafiła jasno wytłumaczyć, o co chodziło. Wspomniała chyba o jakiejś nowej teorii...

108

-Właśnie o tym rozmawialiśmy z Teremonem. - Biney wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Nie, żadna nowa teoria. Zakwestionowanie tej już znanej. Dokonywałem pewnych obliczeń związanych z wyznaczeniem orbity Kalgasza i... Szirin przysłuchiwał się tej historii z coraz większym zdziwieniem.

-Teoria powszechnego ciężenia jest niesłuszna?! - wykrzyknął, gdy Biney był dopiero w połowie. - Na Boiga, człowieku! Czy chcesz przez to powiedzieć, że jeśli odstawie swój kieliszek, to może się on unieść do nieba? Zatem lepiej, bym najpierw wypił do dna! - Tak też zrobił.

Biney wybuchnął śmiechem.

-Teoria wciąż jeszcze obowiązuje. Po prostu próbujemy matematycznie uzasadnić fakt rozbieżności naszych wyników z obowiązującą teorią; a raczej powinienem powiedzieć - Athor próbuje, on bowiem przewodzi pracom, i zdumiewa nas styl, w jakim się za to zabrał.

-O ile się nie myle, nazywa się to dopasowywaniem danych - dodał Teremon.

-Dla mnie to brzmi podejrzanie - powiedział Szirin. - Nie podobają ci się wnioski, Bineyu, więc szukasz, co by tu zmienić w wynikach obliczeń, czyż nie tak? Żeby tylko wszystko pasowało, nie przebierając w środkach?

-No, niezupełnie...

-Przyznaj się, przyznaj! - Szirin ryczał ze śmiechu. - Kelner! Jeszcze jeden neltigir! I jeszcze jeden Tano Special dlai mojego niemoralnego młodego przyjaciela! Teremonie, może ci zaproponować coś do picia?

-Bardzo proszę.

Szirin podjął temat tym samym jowialnym tonem co poprzednio.

-Bineyu, przeżyłem duże rozczarowanie. Dotąd myślałem, że to tylko my, psychologowie, naginamy wyniki do teorii i nazywamy to nauką. Wydaje się to bliższe temu, czego można by się spodziewać po Apostołach Plomieni. - - Szirin! Przestani!

109

-Apostołowie też twierdzą, że są naukowcami - wtracił Teremon. Biney i Szirin umilkli z zaciekawieni.

-W ubiegłym tygodniu, zanim jeszcze zaczął padać deszcz, przeprowadziłem wywiad z jednym z ich najważniejszych ludzi - ciągnął dziennikarz. - Miałem nadzieję spotkać się z Mondiosem, ale w zamian dostałem jakiegoś Folimuna 66, ich człowieka od kontaktów z prasą, bardzo interesującego, niezwykle bystrego i przekonującego. Przez pół godziny starał się wytłumaczyć mi, że Apostołowie mają wiarygodny dowód na to, że w przyszłym roku dziesiętnastego theptara słońca zniknie, a my wszyscy pograzymy się w ciemności, doznając przy tym pomieszania zmysłów.

-Cały świat zamieniony w wielki Tunel Tajemnic, czy o to chodzi? - Szirin znów wybuchnął śmiechem. - Wiecie, nie mamy tylu szpitali psychiatrycznych, aby pomieścić wszystkich ludzi, ani wystarczającej liczby psychiatrów do opieki nad nimi. Poza tym psychiatrzy też zwariują.

-A co, jeszcze nie zwariowali? - spytał Biney.

-Trafna uwaga - stwierdził Szirin.

-Ale nie szalenstwo jest w tym wszystkim najgorsze - mówił dalej Teremon. - Zdaniem Folimuna niebo pokryje się czymś, co Apostołowie nazywają gwiazdami. Będą one miotać płomienie i podpalać świat. My zaś zmienimy się w stada mamroczących do siebie pomyłenców, włączających się po miastach, które będą płonąć na naszych oczach. Na szczęście to jedynie majaki Mondiora.

-A jeśli nie? - Szirin nagle wytrzeźwiał. Jego okrągła twarz wydłużyła się w zadumie. - A jeśli w tym coś jest?

-Co za koszmarny pomysl - jeknal Biney. - Chyba wymaga to kolejnego drinka.

-Jeszcze nie skonczyles tego, ktory masz przed soba - przypomniał mlodemu astronomowi Szirin.

-No to co? I tak wymaga to kolejnego drinka. Kelmer! Kelner!

14

Athor 77 poczul ogarniajace go pulsujacymi falami zmeczenie. Dyrektor obserwatorium stracil poczucie czasu. Czy to mozliwe, ze spedzil za biurkiem nieprzerwanie szesnascie godzin? I wczoraj tak samo. I przedwczoraj...Przynajmniej tak twierdzila Nailda. Przed chwila wlasnie z nia rozmawial. Twarz jego zony na ekranie byla napieta, sciagnieta i bezsprzecznie zmeczona.

-Nie chcesz przyjsc do domu odpoczac? Athorze, sleczysz nad tym cala dobe.

-Naprawde?

-Wiesz przeciez, ze nie jestes juz taki mlody.

-Nie jest tez ze mnie zaden starzec, Naildo. Ta praca jeszcze dodaje mi sil. Po dziesieciu latach przygotowywania sprawozdan z budzetu i czytania prac naukowych innych ludzi wreszcie zabralem sie znowu do prawdziwej roboty. To cudowne uczucie. Zona zdawala sie jeszcze bardziej zaklopotana.

-Ale ty, Athorze, w twoim wieku nie musisz prowadzic badan naukowych. Masz juz wyrobiona reputacje.

-Czyzby?

-Twoje imie zawsze juz bedzie slawne w historii astronomii.

-Lub nieslawne - powiedzial glucho.

-Athorze, nie bardzo rozumiem, co chcesz...

-Naildo, pozwol, ze jednak zostane. Uwierz mi, ze nie mam zamiaru zaslabnac przy biurku. Czuje sie mlodszy robiac to, co robie. I jest to praca, ktora tylko ja moze wykonac. Jesli to brzmi glupio, niech i tak bedzie, ale jest absolutnie konieczne, bym...

-Tak, oczywiscie - westchnela. - Tylko nie szarzu, bardzo prosze.

Czy szarzowal? Zastanowil sie. Tak, to nie ulegalo watpliwosci. Nie mial jednak innego wyjścia. W tych sprawach nie mozna szczedzic swego czasu. Trzeba podejsc do nich z pelnym zaangażowaniem. Kiedy konstruowal teorie powszechnego ciazenia, pracowal po

szesnascie,

111

osiemnascie, dwadziescia godzin na dobe przez wiele tygodni, spiac tylko wtedy, gdy padal ze zmeczenia. Ucinat sobie krotkie drzemki, budzil sie gotowy i pelen zapalu do pracy, a jego mozg wciaz jeszcze kipial rownaniami, ktore przed chwila pozostawil nie dokonczone. Ale mial wtedy jakies trzydziesci piec lat. Teraz - prawie siedemdziesiat. Nie mozna bylo zaprzeczyc, wiek dawal sie we znaki. Bolala go glowa, czul suchosc w gardle, serce glosno lomotalo w piersiach. Pomimo panujacego w gabinecie ciepla czul, ze konce jego palcow sa zimne i drza ze zmeczenia. Rwalo go w kolanach. Kazda czesc jego ciala protestowala przeciwko wysilkowi, do ktorego sie zmuszal.

"Jeszcze tylko chwile - przyrzekl sobie - i juz pojde do domu.

Jeszcze tylko chwile.

Postulat osmy..." - Panie profesorze?

-O co chodzi? - zapytal.

Zmeczenie w jego glosie musialo chyba zmienic to pytanie w opryskliwe burkniecie, poniewaz gdy sie obejrzal, zobaczyl w drzwiach mlodego Imota, wykonujacego dziwaczna serie dzikich skurczow i drgawek, jakby tanczyl po rozzarzonych weglach. W oczach studenta pojawilo sie przerazenie. To prawda, ze Imot zawsze wydawal sie oniesmielony w obecności dyrektora obserwatorium - tyczylo sie to wszystkich wokol, nie tylko studentow, i Athor byl do tego przyzwyczajony. Wzbudzal groze i dobrze o tym wiedzial. Ale to juz bylo ponad miare. Imot wpatrywal sie w niego z nie ukrywany przerazeniem zmieszany z czyms, co mozna by wziac za wyraz zdziwienia. Wyraznie walczył ze soba, by odzyskac glos i wreszcie powiedzial ochryple:

-Oto obliczenia, ktorych pan sobie zyczyl.

-Ach tak, tak. Podaj mi je.

Reka Athora mocno sie trzesla, gdy wyciagnal ja po przyniesione przez Imota wydruki. Obaj zamarli na ten widok. Dlugie kosciste palce byly sine jak u trupa i drzaly tak gwałtownie, ze nawet Imot, znany ze swych niezwyklych tikow nerwowych, nie mogli im dorownac. Athor chcial

112

opanowac drzenie, lecz reka odmowila mu posluszenstwa. Rownie dobrze moglby pragnac, by Onos przemierzyl niebo w przeciwnym kierunku. Z wysilkim chwycil papiery i cisnal je na biurko. -Panie profesorze, jesli moge cos panu przyniesc...

-Masz na myśli lekarstwo? Jak smiesz sugerować...

-Myślałem jedynie o czymś do jedzenia albo do picia - tłumaczył Imot ledwo słyszalnym szeptem. Wycofał się powoli, jakby w obawie, że Athor nagle ryknie i skoczy mu do gardła.

-Ach, rozumiem. Nie, dziękuję. Czuje się znakomicie. Znakomicie!

-Tak, panie profesorze.

Student wyszedł. Athor przymknął na chwilę oczy, wziął trzy czy cztery głębokie oddechy. Usiłował zachować spokój. Obliczenia, o dokonanie których poprosił Imota, były niemal z pewnością ostatnim potrzebnym mu potwierdzeniem. Teraz pozostało pytanie, czy zdąży wykonać pracę, zanim ona wykonać jego.

Spojrzał na wyliczenia Imota. Przed nim na biurku świeciły trzy monitory. Na tym po lewej stronie widniała wykreslona płonąca czerwienią orbita Kalgasza, wyliczona tradycyjną metodą według teorii powszechnego ciążenia. Na monitorze po prawej stronie linia płomiennej zolci przedstawiała orbitę już skorygowaną, którą otrzymał Biney, posługując się w tym celu nowym komputerem uniwersyteckim i najnowszymi obserwacjami obecnej pozycji Kalgasza. Na monitorze środkowym można było zobaczyć obydwie orbity nałożone jedna na drugą. W ciągu ostatnich pięciu dni Athor sformułował siedem różnych postulatów, które mogłyby wyjaśnić przyczyny odchylenia orbity teoretycznej od obserwowanej i teraz był w stanie jednym naciśnięciem klawisza przywołać każdy z tych siedmiu postulatów na monitorze środkowym.

Problem tkwił jednak w tym, że żaden z owych siedmiu postulatów nie miał najmniejszego sensu i Athor o tym wiedział. W każdym błęd krył się już u podstaw - we wstępnym założeniu tak sformułowanym, aby pozostawiało 8 - Nastanie nocy li J w zgodzie z wynikami obliczeń. Niczego nie można było udowodnić, niczego potwierdzić. Jakby przypuszczał, że w każdym przypadku, na pewnym etapie rozumowania, po prostu wkroczy nagle jakaś dobra wroźka i czarami tak dopasuje siły oddziaływania grawitacyjnego, że powód odchylenia od razu stanie się oczywisty. Tego właśnie Athor szukał. Niestety, musiałaby to być prawdziwa wroźka.

Zatem postulat osmy...

Zaczął wprowadzać do komputera obliczenia Imota. Drżące palce nie chciały go słuchać i kilkakrotnie popełniał błąd; jego umysł był jednak wciąż sprawny i sygnalizował natychmiast, że został wcisnięty zły klawisz. Za każdym razem wracał i korygował pomyłkę. Z nadmiernego wysiłku zdarzyło mu się dwukrotnie stracić na moment przytomność. Zmuszał się jednak, by kontynuować pracę.

"Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który może tego dokonać - powtarzał sobie. - Musisz wytrzymać".

Wydawało się to głupie, egocentryczne i trochę szalone. Bardzo możliwe, że mijalo się nawet z prawdą, ale, w tym stanie wyczerpania, nie potrafił przyjąć innego założenia nad to, iż jest niezastąpiony. W jego i tylko w jego głowie spoczywały wszystkie zasadnicze koncepcje, zmuszał się więc, by iść naprzód tak długo, aż dotrze do ostatniego ogniwa w łańcuchu. Tak długo, aż...

Już.

Ostatnie obliczenia Imota zostały wprowadzone do komputera.

Athor nacisnął klawisz, w wyniku czego na środkowym monitorze pojawiło się złożenie obu orbit, po czym nacisnął inny klawisz i ten nowy wynik został porównany z istniejącymi już modelami.

Łsniąca czerwona elipsa, która stanowiła podstawową orbitę teoretyczną, zachwiała się, zmieniła położenie i nagle zniknęła z ekranu. To samo stało się z żółtą przedstawiającą orbitę obserwowaną. Teraz pozostała już na monitorze tylko jedna linia, głęboki, intensywny oranż. Wynik złożenia dwóch, przystających do siebie z dokładnością do dziesiętnych części milimetra, symulowanych orbit.

114

Athor zaczerpnął powietrza. Przez dłuższą chwilę przyglądał się ekranowi, po czym ponownie zamknął oczy i pochylił głowę nisko na blat biurka. Pomarańczowa elipsa niczym płonąca obroż palila go pod powiekami. Doznał dziwnego uczucia triumfu połączonego z przerażeniem.

Miał już odpowiedź, której szukał; był pewien, że jego hipoteza jest teraz w stanie obronić się nawet podczas najgruntowniejszej analizy. Mimo wszystko teoria powszechnego ciążenia wciąż obowiązywała: epokowej linii rozumowania, której zawdzięczał sławę, nie trzeba już było obalać.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że znany mu model systemu słonecznego był w istocie rzeczy błędny. Ten nieznany czynnik, którego szukali, ow niewidzialny olbrzym, smok na niebie, rzeczywiście istniał. Zdaniem Athora było to wysoce niepokojące, nawet jeśli ocalało jego sławna teoria. Przez wiele lat sądził, że w pełni rozumie rytm niebios, teraz natomiast wydawało mu się oczywiste, że jego wiedza była niepełna, że gdzieś w środku znanego wszechświata istniała wielka niewiadoma, że rzeczywistość nie wyglądała tak, jak zawsze w to wierzył. W jego wieku trudno było się z tym pogodzić.

Po chwili podniósł głowę. Na ekranie monitora nic się nie zmieniło. Wystukał jeszcze kilka pytań kontrolnych i wciąż to samo. Zamiast dwóch widział tylko jedną orbitę.

"Doskonale - powiedział do siebie. - Zatem wszechświat nie jest całkiem taki, jak myślałeś. A skoro tak, czas już, byś zmienił poglądy. Pewne jest bowiem, że nie zmienisz

wszechswiata".

-Imot! - zawolal. - Faron! Biney! Chodźcie tutaj wszyscy!

Pierwszy przy drzwiach zjawil sie pulchny, niewysoki Faron, za nim sztywny Imot, a potem juz cala reszta Wydzialu Astronomii - Biney, Tilanda, Klet, Simbron i kilku innych. Staneli w samym wejsciu do jego gabinetu. Athor, widzac wyraz przerazenia na ich twarzach, zrozumial, ze musial wygladac strasznie - wymizerowany, z blednym wzrokiem, siwymi wlosami sterczacymi na

115

wszystkie strony, blada twarza... Bez watpienia przypominal starca o krok od zapasci. Nalezalo najpierw rozwiac ich obawy. Nie byl to czas na melodramat. Powiedzial spokojnie:

-To prawda, ze jestem bardzo zmeczony i dobrze o tym wiem. Byc moze wygladam jak jakis zamorski diabel, ale mam tu cos godnego uwagi.

-Pomysl na soczewke grawitacyjna? - podsunal Biney.

-Soczewka grawitacyjna to koncepcja zupełnie nonsensowna - odrzekl Athor lodowatym tonem. - Podobnie z wypalonym sloncem, zagieciem przestrzeni, strefa masy negatywnej i innymi rownie fantastycznymi pojeciami, ktorymi bawilismy sie przez caly tydzien. To wszystko bardzo ladne pomysly, lecz nie wytrzymuja krytycznej analizy. Choc jeden z nich spelnia i ten warunek.

Obserwowal, jak sluchacze powoli coraz szerzej otwieraja oczy ze zdumienia.

Odwrociwszy sie do monitora zaczal ponownie wypisywac dane liczbowe postulatu osmego. Zmeczenie gdzies ulecialo. Tym razem juz nie mylil klawiszy, nie czul tez bolu. Przeniosl sie w stan, w ktorym nie znane jest pojecie wyczerpania.

-W tym postulacie - powiedzial - zakladamy istnienie ciemnego ciala niebieskiego, podobnego do Kalgasza, ktore umieszczone jest nie na orbicie Onosa, lecz samego Kalgasza. Ma ono znaczna mase, w rzeczywistosci dorownuje ona masie Kalgasza, i jest zrodlem oddziaływania grawitacyjnego powodujacego perturbacje orbity naszej planety, na ktore zwrocil uwage Biney.

Athor przycisnal kilka kolejnych klawiszy i na ekranie ukazal sie graficzny schemat systemu slonecznego: szesc slonc i Kalgasz wraz z jego postulowanym satelita.

Odwrocil sie, by zobaczyc twarze sluchaczy. Spogladali po sobie w zaklopotaniu. Mimo ze byli co najmniej o polowe mlodsi, musieli miec takie same jak on trudnosci z rozumowa i emocjonalna akceptacja pomyslu, ze we wszechswiecie znajduje sie jeszcze jedno cialo,

ktorego wplywu nie mozna zaniedbac. A moze po prostu uwazaja

116

go za stetryczalego starca, ktory mogl przeciez sie pomylic w obliczeniach.-Wylczenia liczbowe, lezace u podstaw postulatu osmego, sa jak najbardziej prawidlowe - rzekl Athor. - Za to recze. Postulat ten rowniez wyszedl zwyciesko ze wszystkich przeprowadzonych przeze mnie testow.

Prowokujaco patrzyl na zebranych, na kazdego z nich po kolei, jakby przypominal, ze to on - Athor 77 - dal swiatu teorie powszechnego ciazenia i ze byl wciaz w pelni wladz umyslowych.

-Dlaczego wiec, pana zdaniem, nie zauwazyliśmy dotad tego satelity? - niesmialo spytal Biney.

-Z dwoch powodow - odpowiedzial Athor ze spokojem. - Podobnie jak Kalgasz, to ciało niebieskie nie swieci, blyszczy jedynie swiatlem odbitym. Zalozmy, ze jego powierzchnia w przewazajacej czesci zbudowana jest ze skal o odcieniu blekitnym - mozliwosc, ktorej, geologicznie rzecz ujmujac, nie sposob wykluczyc. Wowczas swiatlo odbite przez to ciało bedzie nalezalo do niebieskiej czesci widma, co przy nieustannym blasku szesciu slonc oraz rozpraszajacym dzialaniu atmosfery Kalgasza sprawi, iz obiekt ten bedzie dla nas zupełnie niewidoczny.

-A w dodatku orbita tego satelity jest bardzo wydłużona, prawda, panie profesorze? - odezwal sie Faron.

-Wlasnie - Athor wcisnal kolejny klawisz. - Przyjrzyjmy sie temu blizej. Jak widzicie, nasz nie znany i niewidzialny satelita krazy wokol nas po bardzo splaszczonej orbicie eliptycznej, a co za tym idzie, w czasie kazdego okrazenia przez wiele lat znajduje sie od nas w bardzo duzej odleglosci. Wprawdzie nie na tyle daleko, aby nie wplywal w zauwazalny sposob na nasza orbite, wystarczajaco daleko jednak, aby na co dzien nie mozna bylo zobaczyc gołym okiem owej bladej, skalistej bryly, a szansa odkrycia jej nawet przy uzyciu teleskopu byla rownie niewielka. Skoro nie mozemy zobaczyc go gołym okiem, trzeba by niesamowitego zbiegu okolicznosci, abysmy odkryli go podczas obserwacji astronomicznych.

-Ale, naturalnie, teraz juz mozemy zaczac go szu117 kac - powiedziala Tilanda 191, ktorej specjalnoscia byla astrofotografia.

-Tak, oczywiscie. - Athor widzial, ze powoli zaczynaja rozumiec i myslec podobnie jak on. Wszyscy, bez wyjatku. Znal ich na tyle dobrze, by wiedziec, ze nie ma wsrod nich szydercow. - Choc mozna przypuszczac, ze poszukiwania beda trudniejsze, niz sie tego spodziewacie. To jakby szukac igly w stogu siana, ale moge was zapewnic, ze praca ta nie pojdzie na mame.

-Jedno pytanie, panie profesorze - powiedział Biney.

-Slucham.

-Powiedzmy, że orbita jest tak wydłużona, jak zakłada to panska teoria, a więc nasz satelita - nazwijmy go tymczasowo Kalgasz Dwa - przez znaczną część swego okresu obiegu znajduje się od nas w olbrzymiej odległości. Jeśli tak jest w istocie, to przy innym położeniu na orbicie powinien się znaleźć bardzo blisko nas. Nawet jeżeli satelita krążyłby po orbicie niemal idealnie kołistej, jego odległość od ciała centralnego ulegałaby drobnym wahaniom, natomiast w przypadku gdy ta orbita ma kształt wielkiej i bardzo spłaszczonej elipsy, owa różnica między największą i najmniejszą odległością od ciała macierzystego musi być ogromna.

-Tak, to byłoby logiczne - zgodził się Athor.

-Zatem, panie profesorze - kontynuował Biney - jeśli założymy dalej, iż Kalgasz Dwa przez cały okres istnienia współczesnej nauki astronomicznej był tak od nas oddalony, że jesteśmy w stanie wykryć jego obecność jedynie metodami pośrednimi, mierząc jego wpływ na orbitę naszej planety; czy więc nie zgodziłby się pan, że prawdopodobnie teraz właśnie następuje powrót z najdalszego położenia? Że obecnie musi się do nas zbliżać?

-Jedno niekoniecznie wynika z drugiego - wtracił Imot, machając bezładnie ramionami. - W tej chwili nie mamy żadnego pojęcia ani w którym miejscu swej orbitalnej wędrowki się znajduje, ani jak długo trwa jego pełny obieg wokół Kalgasza. Okres obiegu może równie dobrze liczyć sobie dziesięć tysięcy lat i możliwe, że Kalgasz Dwa, po

118

ostatnim zbliżeniu w czasach prehistorycznych, czego nikt już nie pamięta, wciąż jeszcze się od nas oddala. - To prawda - przyznał Biney. - Rzeczywiście, nie potrafimy powiedzieć, czy się do nas zbliża, czy oddala. W każdym razie nie w tej chwili.

-Ale musimy spróbować go zobaczyć - powiedział Faron. - Tilanda ma rację. Choćby nawet wszystkie wyliczenia się zgadzały, trzeba spróbować odszukać Kalgasza Dwa metodą obserwacji. Gdy już go znajdziemy, możemy zacząć obliczać jego orbitę.

-Chyba uda się wyliczyć parametry jego orbity na podstawie perturbacji, jakie wywołuje w ruchu Kalgasza - odezwał się Klet, najlepszy matematyk na wydziale.

-Zgadza się - wtraciła Simbron, kosmograf. - Moglibyśmy wywnioskować, czy się zbliża, czy oddala od nas. Bogowie! A jeśli właśnie kieruje się ku nam? Coż by to było za zdumiewające zjawisko! Spowita mrokiem planeta, przecinająca w poprzek niebo - przelatująca między nami i promienistymi kulami słońca! Może nawet na parę godzin zakryłaby światło jednego z nich!

-Niezwykłe zjawisko - zaduma) się Biney. - Należałoby to chyba nazwać zaćmieniem. Chodzi mi o efekt wizualny, który pojawia się w chwili, gdy pewien obiekt dostaje się pomiędzy obserwatora i rzecz, na którą on patrzy. Czy to jednak możliwe? Słońca są przecież ogromne - jakże więc Kalgasz Dwa mógłby ukryć przed naszym wzrokiem jedno z nich?

-Byłoby to zupełnie możliwe, gdyby zbliżył się do nas wystarczająco blisko - powiedział Faron. - Mogę sobie wyobrazić sytuację, w której...

-Oczywiście, czemu by nie rozpatrzyć wszystkich możliwych scenariuszy? - Athor przerwał studentowi tak obcesowo, że wszyscy obecni skierowali na niego wzrok. - Bawcie się tym pomysłem. Roztrzasajcie go na wszystkie sposoby i zobaczcie, co z tego wyniknie.

Nagle poczuł, że nie może zostać tu ani chwili dłużej. Musiał natychmiast wyjść.

Ożywienie, które odczuwał od momentu, gdy udało mu

119

się dopasować ostatni element lamigłówki, pierzchno gdzieś. Ogarnęło go straszliwe, nieczłowieckie zniecierpliwienie, jakby miał co najmniej tysiąc lat. Rece mu drżały od ramion aż po czubki palców, plecy przeszywał nieznosny ból. Teraz już wiedział, że przekroczył granice wytrzymałości. Najwyższy czas, by młodszy naukowiec wyreczyli go w tym przedsięwzięciu. Wstając z fotela stojącego naprzeciw monitorów, wykonał jeden niepewny, chwiejny krok w kierunku środka pokoju, zebrął wszystkie siły, by nie upaść, i powoli, dostojnie przeszedł obok pracowników obserwatorium.

-Idę do domu - powiedział. - Powinienem się trochę przespacerować.

15

Czy mam rozumieć, Siferro, że ogień strawił te osady dziewięć razy z rzędu? - spytał Biney. - I za każdym razem została odbudowana? - Zdaniem Balika, mojego kolegi, tych osad, ułożonych jedna na drugiej, tworzących razem wzgórze Tombo, jest tylko siedem - odpowiedziała archeolog. - Właściwie może mieć rację. Na najniższych pokładach wszystko jest dokładnie wymieszane. Nieważne jednak, ile dokładnie ich jest - siedem czy dziewięć - nie zmienia to bowiem ogólnej zasady. Proszę bardzo, spojrz na te wykresy. Sporządziłam je na podstawie moich notatek z prac wykopaliskowych. Oczywiście, zrobiliśmy tylko wykop przygotowawczy, szybkie cięcie przez całe wzgórze, przyszłej ekspedycji zostawiając badanie drobiazgowo. Odkryliśmy to wzgórze za późno, żeby zrobić coś więcej, ale te szkice z pewnością dadzą ci jakieś wyobrażenie. Czy ten temat cię nie nudzi? Jesteś naprawdę zainteresowany?

-To dla mnie absolutnie fascynujące. Czy sądzisz, że jestem aż tak zajęty astronomią, że nie zwracam uwagi na inne dyscypliny? Poza tym archeologia i astronomia czasami

ida ze soba w parze. O ruchach slonc na niebosklonie dowiedzielismy sie przeciez badajac starozytne pomniki astronomiczne, ktore wy wlasnie odkopujecie tu i owdzie na calym swiecie. Niech sie temu przyjrze z bliska. Siferra zaprosila go do siebie, chcac przedyskutowac problem, ktory - jak powiedziala - niespodziewanie pojawil sie w toku jej badan. Biney byl zaintrygowany, poniewaz nie potrafil zrazu zrozumiec, w jaki sposob astronom moze pomoc w pracy archeologowi, pomijajac to, co wlasnie powiedzial o archeologii i astronomii, zazebiajacych sie niekiedy ze soba. Zawsze jednak ciesyl sie na kazda okazje spotkania Siferry.

Poznali sie piec lat temu, gdy dzialali razem w miedzywydzialowej komisji, ktora opracowywala plan rozwoju biblioteki uniwersyteckiej. Mimo ze od tamtej pory Siferra wiekszosc czasu spedzala za granica prowadzac wykopaliska, to kiedy byla w kraju, spotykali sie od czasu do czasu na obiedzie. Biney uwazal, ze jest inspirujaca, madra, blyskotliwa i w pewien ozywczy sposob szorstka. Co ona w nim widziala - nie mial pojecia; byc moze inteligentnego partnera do rozmowy, ktory nie wdawal sie we wspolzawodnictwo i intrygi, zatruwajace zycie na Wydziale Archeologii. Ponadto w sposob oczywisty jej nie pozadal.

Siferra rozwinela ogromne arkusze cienkiego, przypominajacego pergamin papieru, na ktorych widnialy, narysowane olowkiem, wielkie diagramy. Obydwoje nachylili sie nad nimi.

Biney mowil prawde, archeologia go fascynowala. Bedac jeszcze chlopcem uwielbial czytac ksiazki wielkich badaczy starozytnosci, takich jak Marpin, Szelbik i oczywiscie Galdo 221. Uwazal wtedy odlegla przeszlosc za niemal rownie ciekawy temat do rozwazan co odlegle przestrzenie w kosmosie.

Raissa nie byla zachwycona ta jego przyjaznia z Siferra. Z pewna doza gniewu kilkakrotnie dawala mu do zrozumienia, ze to raczej sama Siferra byla objektem jego fascynacji, a nie dziedzina jej badan. Biney uwazal zazdrosc Raissy za zupelny absurd. Oczywiscie Siferra byla kobieta

atrakcyjna - byloby falszem udawac, ze tak nie jest - lecz byla jednoczesnie nieugiecie chlodna uczuciowo i kazdy mezczyzna na uniwersytecie o tym wiedzial. Poza tym byla od Bineya o blisko dziesiec lat starsza. Mimo jej urody Biney nigdy nie mial wzgledem niej zadnych intymnych zamiarow. - Na poczatek mamy tu przekroj calego wzgorza - powiedziala Siferra. - Dla kazdego zamieszkanego poziomu sporzadzilam tutaj osobny szkic. Najmlodsza osada znajduje sie, rzecz jasna, na samym szczycie. Sa tam ogromne kamienne sciany - w architekturze nazywa sie to stylem cyklopowym - ktore wydaja sie typowe dla kultury Beklimotu w fazie jej pelnego rozwoju. Ta linia tutaj, na poziomie scian cyklopowych, stanowi pas pozostalosci wegla drzewnego - pas wystarczajaco rozlegly, by

swiadczyl o wielkim pozarze, ktory prawdopodobnie strawil cale miasto do szcztetu. A tutaj, ponizej poziomu cyklopowego i linii ognia, znajduje sie nastepna wiekiem osada.

-Ktora zbudowana zostala w innym stylu.

-Wlasnie. Widzisz, w jaki sposob narysowalam te kamienie ze scian? Jest to przyklad tak zwanego stylu kreskowego, charakterystycznego dla wczesnej kultury Beklimotu lub tez kultury, ktora sie w Beklimocie rozwinela. Obydwa te style mozna spotkac w ruinach z ery Beklimotu, otaczajacych wzgorze Tombo. Ruiny glowne sa pochodzenia cyklopowego, tu i owdzie mozna tez znalezc kilka odkrywek ze sladami kreskowania, zwanych proto-Beklimotem. A teraz, prosze, popatrz tutaj, na granice osady kreskowania ze znajdujacymi sie powyzej ruinami cyklopowymi.

-Kolejna linia ognia? - spytal Biney.

-Otoz to, kolejna linia ognia. Poziomy siedlisk ludzkich i wegla drzewnego ulozone sa tak, jak w dobrym prze-kladancu - poziom siedliska ludzkiego, poziom ognia, nastepny poziom siedliska, nastepny poziom ognia. Pozwol mi zatem teraz powiedziec, jak do tego doszlo. Otoz za

122

czasow ludow stosujacych styl kreskowania mial miejsce mszczacy ogien, ktory ogarnal znaczna czesc polwyspu Sagikan, zmuszajac mieszkancow osady Tombo i innych pobliskich osad do opuszczenia swych domostw. Po pewnym czasie ludzie powrocili i zabrali sie do odbudowy, ale zastosowali juz zupełnie nowy, bardziej wypracowany styl architektoniczny, ktory z powodu olbrzymich kamieni, spelniajacych role budulca, nazywamy stylem cyklopowym. Potem jednak przyszedl kolejny ogien i zmiotl cyklopowe osade z powierzchni ziemi. Wowczas tamtejsi mieszkancy zdecydowali sie zaprzestac budowania miast na wzgorzu Tombo i tym razem do odbudowy wybrali inne, znajdujace sie w poblizu siedlisko, ktore znane jest pod nazwa Beklimot Wielki. Przez dlugi czas uwazalismy, ze Beklimot Wielki byl pierwszym w historii ludzkosci prawdziwym miastem, ktore powstalo z rozrzuconych wokol niego mniejszych osad kreskowych okresu protobeklimockiego. Tombo mowi nam zatem, ze przed Beklimotem Wielkim istnialo w tej okolicy co najmniej jedno wazne miasto cyklopowe.-A siedlisko Beklimotu Wielkiego nie wykazuje zadnych sladow zniszczenia ogniem? - zapytal Biney.

-Nie. Zatem nie bylo go jeszcze w chwili, gdy splonelo miasto na szczycie Tombo. W koncu cala kultura Beklimotu upadla i opuszczono sam Beklimot Wielki, ale z innych przyczyn, zwiazanych ze zmianami klimatycznymi. Ogien nie mial z tym nic wspolnego. Zdarzylo sie to prawdopodobnie tysiac lat temu. Wydaje sie jednak, ze ogien, ktory zniszczyl najwyzej polozona osade Tombo, musial byc tam znacznie wczesniej. O kolejny tysiac lat wstecz. Badania izotopu C¹⁴ w probkach wegla drzewnego, kiedy juz je otrzymamy z laboratorium, z pewnoscia dadza nam bardziej konkretne dane chronologiczne.

-A ile lat liczy sobie osada kreskowa?

-Zgodnie z powszechnie przyjętym w archeologii przeswiadczeniem znalezione gdzieś na połwyspie Sagikan budowle kreskowe są jedynie o kilka pokoleń starsze od siedliska w Beklimocie Wielkim. Jednak po odkopaniu Tombo zmieniam na ten temat zdanie. Według

123

mnie osada kreskowa, znajdująca się na tym wzgórzu, jest o dwa tysiące lat starsza od leżących nad nią budynków cyklopowych.-Dwa tysiące...? I mówisz, że istnieją pod nią jeszcze inne osady?

-Spojrz na wykres. Oto numer trzy - typ architektury nigdy dotychczas nie widzianej, zupełnie innej od stylu kreskowego. Potem kolejna linia ognia. Osada numer cztery. I znowu linia ognia. Numer pięć. Kolejna linia ognia. Dalej numery sześć, siedem, osiem, dziewięć - albo też tylko numery sześć i siedem, jeśli obserwacje Balika są prawidłowe.

-I każda z osad została zniszczona przez wielki pożar! - wykrzyknął Biney. - Nadzwyczajne! Nieublagany cykl zniszczenia powracającego na to miejsce raz za razem.

-Nadzwyczajne jest to - powiedziała Siferra tonem dziwnie ponurym - że każda z tych spalonych osad istniała w przybliżeniu tyle samo czasu co inne. Warstwy osadnictwa są zadziwiająco podobne do siebie pod względem grubości. Oczywiście, wciąż czekamy na wyniki analizy laboratoryjnej, ale nie sądzę, bym się mogła pomylić. Zresztą obliczenia Balika są podobne do moich. Jeśli zatem nie jesteśmy w błędzie, patrząc na wzgórze Tombo przyglądamy się minimum czternastu tysiącom lat prehistorii. I co jakiś czas, w okresie tych czternastu tysięcy lat, ogromne fale ognia przewalały się przez to wzgórze z niezwykle regularnością - taki pożar miał miejsce niemal dokładnie co dwa tysiące lat!

-Co takiego?!

Bineyowi przeszedł dreszcz po plecach. Umysł astronoma zaczął wysnuwać różnego rodzaju nieprawdopodobne i niepokojące wnioski.

-Poczekaj - powiedziała Siferra. - Jest jeszcze coś. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej plik polyskujących zdjęć.

-Są to zdjęcia tabliczek z Tombo. Oryginały zabrał profesor Mudrin 505, paleograf. Próbuje je odcyfrować. Wykonane są z wypalanej gliny. Te trzy znaleźliśmy na

124

poziomie trzecim, a te na piątym. Zapisane są niezwykle prymitywnym pismem, inskrypcje na tych wcześniejszych są tak stare, że nawet Mudrin nie jest w stanie ich ugryźć. Potrafił

juz jednak wstepnie odcyfrowac kilkadziesiat slow z tabliczek poziomu trzeciego, ktore napisane sa we wczesniejszej formie pisma beklimockiego. Na tym etapie moze on jedynie powiedziec, ze stanowia zapis zniszczenia miasta przez ogien - dzieło gniewnych bogow, ktorzy od czasu do czasu uwazaja za konieczne ukarac ludzkosc za jej nikczemnosc.-Od czasu do czasu?!

-Wlasnie tak. Czy czegos ci to nie przypomina?

-Apostolowie Plomieni! Na Boga, Siferro, cos ty znalazla?

-Zadaje sobie to pytanie od momentu, gdy Mudrin przyniosl mi pierwsze fragmentaryczne transkrypcje. - Siferra odwrocila sie i Biney po raz pierwszy zobaczyl jej nieprzytomne oczy, napieta i sciagnieta twarz. Wygladala niemal jak oblakana. - Czy rozumiesz teraz, dlaczego poprosilam cie, zebys tu przyszedl? Nie moge o tym rozmawiac z nikim z wydzialu. Nie wiem, co robic. Jesli cos z tego wyjdzie na jaw, Mondior 71 i zgraja jego pomyslcow od razu oglosi, ze oto odkrylam niezbity dowod archeologiczny na trafnosc ich szalonych teorii.

-Tak sadzisz?

-A jakze inaczej? - Siferra wskazala na szkice. - Oto dowod na niszczaaca dzialalnosc ognia powtarzajaca sie, z grubsza biorac, w dwutysiacletnich odstepach przez wiele tysiecy lat. I do tego te tabliczki... wyglada na to, ze sa prehistoryczna wersja Ksiegi Objawien. Wszystko razem stanowi jesli nie ostateczne potwierdzenie tyrad Apostolow, to przynajmniej namacalna, racjonalna podbudowe dla ich calej mitologii.

-Powtarzajace sie pozary na terenie pojedynczego siedliska nie musza jeszcze oznaczac, ze mialo miejsce ogolnoswiatowe spustoszenie - zaoponowal Biney.

-Niepokoi mnie ta cyklicznosc. Jest zbyt regularna i zbyt bliska temu, o czym mowi Mondior. Przegladalam te

125

Ksiege Objawien. Czy wiedzialas, ze polwysep Sagikan to dla Apostolow miejsce swiete? Uswiecona kraina, na ktorej - jak twierdza - kiedys bogowie ukazywali sie swemu ludowi. Dlatego tez zgodnie z rozumem - slyszysz, zgodnie z rozumem! - powtorzyla Siferra gorzko sie usmiechajac - bogowie zachowali Sagikan, by ostrzec ludzkosc przed zaglada, ktora nadejdzie, jesli w pore nie zaniechamy swych wystepkow. Biney patrzyl na nia oszolomiony.

Tak naprawde niewiele wiedzial o Apostolach i gloszonych przez nich naukach. Nigdy nie interesowaly go tego rodzaju patologiczne fantazje, byl tez zbyt zajety wlasna praca naukowa, by zwazac na niepowazne, apokaliptyczne przepowiednie Mondiora.

Teraz jednak przypomniał sobie rozmowe, ktora przeprowadzil przed kilku tygodniami z Teremonem w klubie Szesc Slonc. "...Nie bedzie to pierwszy przypadek zaglady swiata...

bogowie celowo stworzyli ludzi niedoskonalszymi i dali nam jeden rok - jeden z ich boskich lat, a nie naszych mierzonych ludzka miara - w którym mamy się poprawić. Jest to Rok Łaski i liczy sobie dokładnie dwa tysiące czterdzieści dziewięć naszych ludzkich lat".

Nie. Nie. Nie. To głupota! Czcze gadanie! Szalenstwo!

I jeszcze: "Za każdym razem, gdy Rok Łaski dobiegał końca, bogowie stwierdzali, że wciąż jesteśmy występni i grzeszni, niszczyli więc świat, zsyłając płomienie... Tak w każdym razie twierdzą Apostołowie".

Nie! Nie!

-Biney? - Siferra patrzyła na niego z niepokojem. - Czy dobrze się czujesz?

-Tylko się zastanawiam - odpowiedział. - Na Ciemność, to prawda! Dałabym Apostołom ostateczny dowód!

-Niekoniecznie. Ludzie trzeźwo myślący nadal mogliby podważać pomysły Mondiora. Zniszczenie Tombo przez ogień - nawet powtarzające się zniszczenie Tombo, następujące z niezaprzeczalną regularnością co blisko dwa tysiące lat - nie jest jeszcze żadnym dowodem, że ten

126

ogień dokonał zniszczenia całego świata lub też że nieuchronne jest ponowne jego przyjscie. Dlaczego by przeszłość miała koniecznie powtórzyć się w przyszłości? Ludzie trzeźwo myślący stanowią jednak wśród ogółu mniejszość, to oczywiste. Pozostali uwierza odpowiednio podanej przez Mondiora interpretacji moich odkryć i natychmiast wpadną w panikę. Na pewno słyszałeś, że, zdaniem Apostołów, kolejny wielki, ogólnoswiatowy pożar dotknie nas w przyszłym roku? - Tak - rzekł ochryple Biney. - Wiem od Teremona, że wskazali już nawet konkretny dzień. Ten cykl liczy sobie dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat i obecny rok jest dwa tysiące czterdziestym osmym, zatem za jakies jedenaste czy dwanaście miesięcy, gdyby wierzyć Mondiorowi, niebo pokryje się czernią i zstąpi na nas ogień. Ma to chyba być dziewiętnastego theptara.

-Teremon? Ten dziennikarz?

-Tak. To mój przyjaciel. Interesuje się Apostołami i przeprowadza od pewnego czasu wywiady z jednym z ich najwyższych kapłanów czy kims takim. Teremon powiedział mi...

Nagle Siferra złapała Bineya za ramię i zacisnęła palce z niezwykłą siłą.

-Biney, musisz mi obiecać, że nie wspomnisz mu o tym ani słowem!

-Teremonowi? Oczywiście, że nie! Twoje odkrycia nie zostały przecież jeszcze

opublikowane. Nie byłbym wobec ciebie w porządku, gdybym komukolwiek o tym mówił!
Ale bez wątplenia jest to człowiek o nieposzlakowanej uczciwości.

Jej żelazny chwyt nieco się rozluźnił.

-Czasami różne rzeczy mówi się między przyjaciółmi nieoficjalnie, Bineyu, ale pamiętaj, nie ma żadnego "nieoficjalnie", gdy rozmawiasz z kims takim jak Teremon. Jeśli będzie widział powód, by zrobić z tych informacji użytek, wykorzysta je bez względu na wszystko, co ci przyrzekł. Choćby ci się wydawał nie wiem jak uczciwy.

-Być może...

127

-Uwierz mi! I gdyby Teremon dowiedział się, co odkryłam, idę o zakład, że w dzień później przeczytałbyś o tym w "Kronice Saro". W sensie zawodowym byłabym skończona. Mówiono by o mnie jako o naukowcu, który dostarczył Apostołom dowodów dla ich absurdalnych twierdzeń. Apostołowie budzą we mnie odrazę. Nie mam zamiaru służyć im żadną pomocą ani wsparciem, a już z pewnością nie chce, aby myślano, że stoję publicznie w obronie ich obłakanych pomysłów.-Nie martw się - powiedział Biney. - Nie pisze ani słowa.

-Mam nadzieję. Jak już mówiłam, byłabym skończona. Wrocłam na uniwersytet po nowe fundusze na badania. Już teraz moje znaleziska z Tombo są powodem kontrowersji na wydziale, ponieważ kwestionują utartą opinię o Beklimocie jako najstarszym centrum miejskim. Ale jeśli na domiar złego Teremon w jakiś sposób zwiąże moje nazwisko z Apostołami Plomieni...

Biney prawie nie słuchał. Rozumiał sytuację Siferry i oczywiście nie mógł działać na jej szkodę. Teremon nie usłyszy z jego ust niczego, co miałoby jakikolwiek związek z jej badaniami.

Jego myśli podążyły jednak ku innym, bardziej kłopotliwym sprawom. Wciąż powracały w jego pamięci fragmenty rozmowy z Teremonem na temat nauk Apostołów.

"...Za jakies czterdzieści miesięcy wszystkie słońca znikną...

...gwiazdy wystrzela płomienie z czarnego nieba...

...dokładna data katastrofy można wyliczyć naukowo...

...czarne niebo...

...wszystkie słońca znikną..." - Ciemność! - wymamrotał Biney chrapliwie. - Czy to możliwe?

Siferra wciąż jeszcze mówiła. Swym wybuchem przerwał jej w połowie zdania.

-Bineyu, ty mnie wcale nie słuchasz!

-Co? Ale słucham! Właśnie mówiłaś, że nie powinienem Teremonowi nic o tym wspominać, ponieważ za 128 szkodziłoby to twojej reputacji i... i... Siferro, czy moglibyśmy dokończyć tę dyskusję kiedy indziej? Dzisiaj wieczorem albo jutro po południu? Kiedy tylko ci odpowiada. W tej chwili muszę pójść do obserwatorium.

-Nie zatrzymuje cię zatem - odparła chłodno.

-Proszę, nie zrozum mnie źle. To, co od ciebie usłyszałem, wydaje mi się niezmiernie interesujące i ważne, choć nie potrafię jeszcze ocenić na ile. Ale muszę coś sprawdzić. Coś, co ma bezpośredni związek z naszą dyskusją.

Siferra przyjrzała mu się uważnie.

-Jesteś cały rozpalony. Masz błędny wzrok. Wydajesz się taki dziwny... Twoje myśli są gdzieś daleko stąd. O co chodzi?

-Później ci powiem - rzucił od progu. - Później! Przysięgam.

16

O tej porze obserwatorium już właściwie opustoszało. Zostali tylko Faron i Tilanda. Na szczęście nigdzie nie widac było Athora 77. "To dobrze - pomyślał Biney. - Staruszek był wystarczająco wyczerpany opracowaniem idei Kalgasza Dwa. Niepotrzebny mu kolejny stres". Wspaniale się złożyło, że zostali właśnie Faron i Tilanda. Faron miał umysł bystry i niczym nie skrepowany, dokładnie taki, jakiego teraz Biney potrzebował. Z kolei Tilanda, która spędziła wiele lat przy teleskopie i aparacie fotograficznym, badając przestrzeń kosmiczną, być może będzie umiała dostarczyć niezbędnych Bineyowi materiałów.

-Przez cały dzień zajmuje się wyłącznie wywoływaniem klisz - odezwała się Tilanda usłyszawszy Bineya. - Nic z tego. Daje głowę, że nie ma na niebie nic poza sześcioma słońcami. Czy nie wydaje ci się, że ten wielki człowiek w końcu oszalał?

-Moim zdaniem jego umysł jest równie wnikliwy, jak był dotychczas. 9 - Nastanie nocy 129 - Ale te zdjęcia... Od kilku dni obserwuje wybiorczo każdy kwadrat nieba. Program obejmuje dosłownie wszystko. Zwołnic przesłone, obniżyc o kilka stopni, zwołnic przesłone, obniżyc, zwołnic. I tak bez przerwy. Człowiek systematycznie przeczesuje wszechświat i sam zobacz, co dostaje w zamian - plik zdjęć zrobionych absolutnej pustce!

-Tilando, skoro nieznany satelita jest niewidzialny, nie można go zobaczyć. Logiczne, prawda?

-Mozliwe, ze jest niewidzialny dla oka. Ale aparat fotograficzny powinien...

-To na razie niewazne. Potrzebuje twojej pomocy przy sprawach czysto teoretycznych, zwiazanych z nowa teoria Athora.

-Jesli jednak nieznan satelita to nic wiecej jak pobożne zyczenie...

-Moze sie zdarzyc, ze pobożne zyczenie sie zmaterializuje - ucial Biney. - Iz pewnoscia nie bedzie nam przyjemnie, gdy nagle zwali sie nam na glowe. Pomozesz mi czy nie?

-No...

-Wspaniale. Chce, zebys przygotowala symulacje komputerowe dla ruchow szesciu slonc w okresie ostatnich czterdziestu dwuch wiekow.

-Czterech tysiecy dwustu lat? - Tilanda spojrzala z niedowierzaniem. - Czy dobrze zrozumialam?

-Wiem, ze nie dysponujesz az tak dawnymi rejestrami ruchow slonc, ale nieprzypadkowo powiedzialem o symulacjach komputerowych. Masz wiarygodne dane z ostatnich stu lat.

-Nawet starsze.

-Tym lepiej. Zbierz je i przedstaw ich symulacje w czasie, zarowno wstecz, jak i wprzod. Niech komputer powie ci, jaki byl uklad szesciu slonc kazdego dnia przez ostatnie dwadziescia jeden wiekow, i jaki bedzie przez nastepne dwadziescia jeden. Jesli sama nie potrafisz, jestem pewien, ze Faron z przyjemnoscia pomoze ci napisac ten program.

-Jakos sobie poradze - lodowatym glosem odrzekla

130

Tilanda. - Moze jednak raczysz mi powiedziec, o co tu wlasciwie cho'dzi? Rozkrecamy interes z kalendarzami astronomicznymi? Nawet one dotychczas poprzestawaly na zaledwie kilku latach danych slonecznych. Wiec co ty kombinujesz?-Pozniej ci powiem - rzucil Biney. - Obiecuje.

Gdy odchodzil od jej biurka, byla jeszcze pelna gniewu. Przeszedl przez obserwatorium do gabinetu dyrektora, gdzie zajal miejsce przy trzech komputerach, na ktorych Athor sporzadzal uprzednio obliczenia do teorii Kalgasza Dwa. Przez dluzsza chwile przypatrywal sie w zadumie srodkowemu monitorowi, ktory przedstawial orbite Kalgasza zaklocona wplywem hipotetycznego Kalgasza Dwa.

Dotknal klawisza i na monitorze ukazala sie intensywnie zielona linia, przewidywana orbita Kalgasza Dwa. Ogromna, wydłużona elipsa nalozyla sie na mniejsza i zbliżona do okregu

orbite Kalgasza. Przyglądał się jej przez moment, po czym uderzył w klawisze, by przywołać na ekran sześć słońc. Patrzył na nie w zamysleniu przez blisko godzinę, próbując ułożyć je w różnych konfiguracjach - Onos z Tano i SJitha, to znowu Onos z Treyem i Patru, Onos i Dovim z Treyem i Patru, Dovim z Treyem i Patru, Dovim z Tano i Sitha, Patru i Trey osobno...

To oczywiście ustawienia typowe.

A co z nietypowymi?

Tano i Sitha osobno? Nie, to wykluczone. Związek między pozycją na niebie systemu podwójnych słońc a położeniem Nizszych słońc był taki, że na tej polkuli Tano i Sitha nigdy nie mogły ukazać się na niebie, jeśli jednocześnie był widoczny Onos lub Dovim lub oba te słońca razem. "Może setki czy tysiące lat temu było to realne - pomyślał z powątpiewaniem. - Z pewnością jednak nie teraz".

Trey z Patru i Tano z Sitha?

Też nie. Te dwie grupy podwójnych słońc znajdowały się po przeciwnych stronach Kalgasza; za każdym razem, gdy na niebie była jedna para, druga zazwyczaj pozostawała niewidoczna. Czasami udawało się jednak pojawić

131

wszystkim czterem, ale gdy takie koniunkcje miały miejsce, zawsze Onos był na niebie. To słynne dno pięciu słońc, które na przeciwnej polkuli tworzyły równie charakterystyczne dni Dovima. Ale działo się tak tylko raz na kilka lat. Trey bez Patru? Tano bez Sithy?

Technicznie możliwe. Gdy jedna z tych par podwójnych słońc znajdowała się w pobliżu widnokręgu, przez krótki czas jedno słońce przebywało powyżej horyzontu, a drugie poniżej. Jednak nie stanowiło to w układzie słońc wydarzenia znaczącego, a jedynie przejściowe odchylenie. Podwójne słońca trzymały się nadal razem, choć chwilowo rozdzielała je linia widnokręgu.

Wszystkie sześć słońc jednocześnie?

Wykluczone!

Wiecej - nie do pomyslenia!

A jednak przyszło mu to do głowy. Biney wzdrygnął się na samą myśl. Jeśli wszystkie sześć słońc znajdowałyby się jednocześnie na firmamencie, wówczas jakiś rejon drugiej polkuli zostałby całkowicie pozbawiony światła słonecznego. Ciemność! Ciemność! Ale ciemności zupełnie na Kalgaszu nie znano, istniała wyłącznie jako pojęcie abstrakcyjne. Absolutnie nie mogło być mowy o tym, żeby sześć słońc kiedykolwiek zeszło się razem i zraacza część

swiata pograzyla sie w bezswietlnej otchlani. Czy rzeczywiscie nie moglo?

A moze jednak?

Biney rozwalal teraz i te straszliwa mozliwosc Wydawalo mu sie, ze ponownie slyszy niski glos Teremona, wyjasniajacego mu teorie Apostolow:

"...wszystkie slonca znikna...

...gwiazdy wystrzela plomienie z czarnego nieba..." Pokiwal glowa. Cala jego wiedza o ruchach slonc na niebie buntowala sie na mysl o tym, by po jednej stronie Kalgasza mialo sie zebrac wszystkie szesc sloni.; jednoczesnie. Niemozliwe, graniczyloby to z cudem. A Biney w cuda nie wierzyl. Przy obecnym ukladzie slonc zawsze musialo sie znalezc jedno lub dwa, ktore o dowolnej porze oswietlalyby kazda czesc Kalgasza.

132

Zatem hipoteza z szescioma sloncami z jednej i ciemnoscia z drugiej strony upadla. Co pozostalo?

Samotny Dovim. Male czerwone slonce, zupełnie samo na niebie.

To sie juz dzarzal, choc niezbyt czesto. Podczas tych sporadycznych dni pieciu slonc, kiedy to Tano, Sitha, Trey, Patru i Onos laczyly sie ze soba na tej samej polkuli, wtedy po drugiej stronie swiata pozostawal tylko Dovim. Biney zastanawial sie, czy czasem nie byl to moment, w ktorym nastepowala Ciemnosc.

Czy samotny Dovim mogl promieniowac na tyle slabo, ze jego chlodna czerwono-fioletowa poswiata mozna bylo mylnie wziac za Ciemnosc?

Nie mialo to jednak zadnego sensu. Nawet maly Dovim powinien zapewniac wystarczajaco duzo swiatla, by uchronic ludzi przed lekiem. W dodatku dni z samotnym Dovimem na niebie dzarzaly sie w roznych czesciach swiata raz na kilka lat. Byly to zjawiska niecodzienne, ale w zadnym przypadku nie az takie nadzwyczajne. Jesli widok jedyne go na niebie, malego i mrocznego zrodla swiatla powodowalby u ludzi wielki wstrzas psychiczny, na pewno wszyscy ze zgroza oczekiwaliby kolejnego przyjscia samotnego Dovima, co jak pamietal, mialo nastapic za okolo dwanascie miesiecy. W rzeczywistosci nikt nie zaprzatal sobie tym glowy.

Lecz jesli Dovim bylby sam na niebie i cos by sie stalo, cos niezwyklego, co mogloby przeslonic i tak juz slabe swiatlo...

Obok jego fotela stanela Tilanda.

-W porzadku - powiedziala szorstko - mam juz te twoje symulacje systemu slonecznego.

Cztery tysiące dwięście i nieskonczenie więcej lat wstecz. Faron pomógł mi dokonać odpowiednich obliczeń i ułożyliśmy program, który na twoje życzenie może kontynuować symulację, zarówno idąc do przodu, jak i cofając się w czasie.

-Doskonale. Wrzuc to teraz na mój komputer, dobrze? Faronie, chciałbym, żebyś tu podszedł.

133

Krepy, niski student stanął obok. W jego ciemnych oczach plonęła ciekawość. Bardzo chciał wiedzieć, czym się teraz Biney zajmuje, ale przestrzegając etykiety panującej na wydziale, więc nie odezwał się ani słowem czekając, co powie stojący wyżej w hierarchii. -Widzisz na ekranie zaproponowana przez Athora orbite hipotetycznego Kalgasza Dwa - zaczął Biney. - Można przyjąć, że jest ona prawidłowa, tłumaczy bowiem dokładnie wszystkie perturbacje naszej orbity, tak przynajmniej twierdzi Athor, a on z pewnością wie, co mówi. Mam tu też - to znaczy będzie miał, kiedy Tilanda upora się z transferem danych - ułożony przez was program na wieloletnie ruchy systemu słonecznego. Teraz mam zamiar spróbować wyznaczyć współzależność między obecnością na niebie tylko jednego słońca i znacznym zbliżeniem się Kalgasza Dwa do naszej planety, tak by... - ...by mógł pan wyliczyć częstotliwość zaciemnień - dokończył Faron. - Czy tak?

Bystrość chłopca rozśmieszyła Bineya, ale też nieco zenowała.

-Rzeczywiście. Jak widzę, ty też myślisz o zaciemnieniach.

-Po raz pierwszy pomyślałem o nich, kiedy Athor powiedział nam wszystkim o Kalgaszu Dwa. Simbron wspomniała wtedy, że ten dziwny satelita mógłby przez pewien czas zasłaniać światło innych słońc, a pan powiedział na to, że wtedy mielibyśmy do czynienia z zaciemnieniem. Zacząłem zastanawiać się nad różnymi możliwościami. Ale Athor przerwał mi, zanim zdolałem cokolwiek powiedzieć. Stwierdził, że jest zmęczony i musi pojsć do domu.

-I od tamtego czasu nikomu nic nie mówiles?

-Nikt mnie nie pytał.

-No to teraz masz swoje pięć minut. Przenieś wszystko z mojego na twój komputer i zaczniemy szukać każdy na własną rękę. Chodzi mi o znalezienie bardzo szczególnego przypadku, gdy Kalgasz Dwa przebywa w punkcie największego zbliżenia do Kalgasza, a na niebie znajduje się tylko jedno słońce.

134

Faron skinął głową. Biney zauważył, że student zmierzał do swego komputera znacznie szybciej, niż zwykł się poruszać. Biney nie spodziewał się skończyć jako pierwszy. Faron słyszał przecież ze swej szybkości w obliczeniach. Chodziło jednak głównie o to, by każdy z

nich pracował nad tym problemem oddzielnie, by móc porównać odrębnie uzyskane wyniki. Tak więc gdy po chwili Faron parsknął triumfalnie i zerwał się, chcąc coś powiedzieć, Biney w rozdrażnieniu pokazał mu gestem ręki, żeby siedział cicho, po czym sam wrócił do pracy. Zabrało mu to dalsze dziesięć długich jak wieczność, krepujących minut.

Potem na ekranie zaczęły się pojawiać jakieś cyfry.

Jeśli prawidłowe były wszystkie założenia, które wprowadził do komputera - dokonane przez Athora obliczenia masy i toru orbity nieznanego satelity oraz wyliczenia zmian w położeniu szesciu słońc na niebie, wykonane przez Tilande - to istniało raczej znikome prawdopodobieństwo nadejścia Ciemności. Ciemność mogłaby nastąpić jedynie pod warunkiem, że Dovim znalazłby się na niebie sam. Nie zanosilo się jednak, aby Kalgasz Dwa miał duże szanse przesłonić Dovima. Dni samotnego Dovima były przecież bardzo rzadkie. Biney wiedział więc, że prawdopodobieństwo takiego dnia akurat w momencie, gdy Kalgasz Dwa wędrując po swej długiej orbicie znalazłby się gdzieś w pobliżu Kalgasza, było nieskonczenie małe.

Zawahał się.

Może jednak nie takie małe?

Spojrzał uważnie na pojawiające się na ekranie liczby. Wydawało się, że mimo wszystko istniała nikła szansa zbieżności. Obliczenia nie były jeszcze pełne, ale z każdą chwilą, gdy komputer wyszukiwał kolejne koniunkcje Kalgasza z Kalgaszem Dwa na przestrzeni badanych czterech tysięcy dwustu lat, ta możliwość coraz bardziej się przybliżała. Za każdym razem, gdy Kalgasz Dwa powracał po swojej orbicie i wchodził w sąsiedztwo Kalgasza w dniu samotnego Dovima, na monitorze pojawiały się wciąż

135

nowe liczby, jako że komputer przetwarzał wszystkie astronomiczne możliwości. Biney przyglądał się temu z rosnącym przerażeniem i niewiarą. A jednak! Wszystkie trzy ciała ustawiły się we właściwy sposób. Kalgasz-Kalgasz Dwa-Dovim!

Tak! To było możliwe! Kalgasz Dwa mógł stać się przyczyną całkowitego zaciemnienia Dovima, gdyby ten był na niebie jedynym słońcem!

Jednak konfiguracja ta należała do niezwykle rzadkości. Dovim musiał być jedynym słońcem na tej polkuli, jednocześnie znajdując się w maksymalnej odległości od Kalgasza, a Kalgasz Dwa musiał być w odległości minimalnej od Kalgasza. Pozorna średnica Kalgasza Dwa byłaby wtedy siedmiokrotnie większa od średnicy Dovima. To wystarczyło, by zakryć światło Dovima na ponad poł dnia, tak że każdy punkt na planecie dostalby się we władanie Ciemności. Komputer wyliczył, że tak niezwykle rzadkie zdarzenie mogło mieć miejsce jedynie raz na...

Bineyowi zaparło dech w piersiach. Nie chciał w to uwierzyć.

Odwrocił się do studenta. Okrągła twarz młodzieńca była biała z przerażenia.

-Ja już skończyłem i mam wynik - powiedział Biney ochryple - podaj mi najpierw swój.

-Zacmienie Dovi-ma przez Kalgasza Dwa, okresowość dwóch tysięcy czterdziestu dziewięciu lat.

-Tak. - Biney westchnął ciężko. - Dokładnie to samo. Raz na dwa tysiące czterdziestu dziewięć lat.

Poczuł lekki zawrót głowy. Wydawało mu się, że wszechświat zawirał wokół niego.

Raz na dwa tysiące czterdziestu dziewięć lat. Dokładnie tyle, ile - według Apostołów Plomieni - trwał Rok Łaski. Ta sama liczba, która podana była w Księdze Objawień.

...WSZYSTKIE SŁONCA ZNIKNA...

...GWIAZDY WYSTRZELA PŁOMIENIE Z CZARNEGO NIEBA...

Nie wiedział, co te "gwiazdy" mogły znaczyć. Siferra

136

odkryła jednak pewne wzgórze na półwyspie Sagikan, gdzie ogień niszczył miasta z zadziwiającą regularnością, raz na mniej więcej dwa tysiące lat. A jeśli rezultaty szczegółowej analizy izotopu węgla C^{14} ustala długość okresu między kolejnymi pożarami na wzgórzu Tombo właśnie na dwa tysiące czterdziestu dziewięć lat? ...Z CZARNEGO NIEBA... Biney bezradnie spojrzał na studenta, który stał w drugim końcu pokoju.

-Kiedy przypada następny dzień samotnego Dovi-ma? - spytał.

-Za jedenastę miesięcy i cztery dni - odrzekł Faron pośpiesznie. - Dziewiętnastego theptara.

-Tak - powiedział Biney. - Ten sam dzień, o którym mówi Mondior 71, kiedy to niebo stanie się czarne, a ogień bogów zstąpi na Kalgasza i zniszczy naszą cywilizację.

17

Po raz pierwszy w życiu modlił się z całej duszy, by jego obliczenia okazały się błędne - mówił Athor. - Obawiam się jednak, że bogowie nie dadzą mi tej łaski. Stoimy w obliczu nieublaganej konkluzji, o której strach nawet myśleć. Rozejrzał się po pokoju, spoglądając na każdego ze słuchaczy z osobna. Obecni byli młody Biney 25, Szirin 501 z Wydziału Psychologii, Siferra 89, doktor archeologii.

Niemal nadludzkim wysiłkiem Athor ukrywał przed nimi swe zmeczenie i narastająca rozpacz. To, czego dowiedział się w ciągu ostatnich tygodni, zdruzgotowało go. Usiłował ukryć to nawet przed sobą samym. Ostatnio zdarzało mu się czasami myśleć, że żyje już zbyt długo, marzył wtedy, by pozwolono mu udać się na zasłużony odpoczynek już rok czy dwa lata temu. Bronił się jednak przed podobnymi myślami. Zawsze cechowała go żelazna wola i siła ducha. Walczył, aby je zachować szczególnie teraz, gdy upływ

137

czasu sprawił, że jego żywotność zmalała, nie godził się, by te cechy odeszły w cień.-O ile pamiętam - zagadnął Szirina - zajmuje się pan badaniem ciemności?

-Tak to chyba można nazwać. - Zazwyczaj psycholog wydawał się ubawiony. - Moja praca doktorska dotyczyła zaburzeń psychicznych związanych z ciemnością, ale badania nad ciemnością to tylko część mojej pracy. Interesują mnie różne typy masowej hysterii - irracjonalne reakcje ludzi na zbyt silne bodźce. Długa lista ludzkich dziwactw - z tego właśnie żyje.

-Doskonale - powiedział Athor chłodno. - Niech i tak będzie. Biney 25 twierdzi, że jest pan na tym uniwersytecie liczącym się autorytetem w dziedzinie Ciemności. Właśnie przedstawiliśmy na ekranie monitora krótką demonstrację naszego odkrycia. Zakładam, że pojmujesz pan jego znaczenie.

Stary astronom nie potrafił się powstrzymać od protekcyjnego tonu. Szirin jednak nie wydawał się tym dotknięty.

-Zdaje mi się, że coś niecoś rozumiem - odpowiedział spokojnie. - Otoż, zgodnie z pana słowami, na orbicie Kalgasza mamy do czynienia z niewidzialnym dla ludzkiego oka, tajemniczym ciałem astronomicznym o wielkości naszej planety. Pana zdaniem ciało to, a ściśle mówiąc jego siła przyciągania, odpowiedzialna jest za pewne, wykryte przez Bineya, odchylenia od teoretycznej orbity Kalgasza. Jak na razie wszystko się zgadza?

-Tak.

-Okazuje się - kontynuował Szirin - że to ciało mogłoby czasami dostać się między nas a jedno z naszych słońc. Nazywacie to zaciemnieniem. Jednakże na jego płaszczyźnie obrotów leży tylko jedno słońce, które mogłoby ulec zaciemnieniu. Tym słońcem jest Dovim. Wykazano, że zaciemnienie nastąpi tylko wtedy, gdy... - Szirin zawahał się i zmarszczył czoło - gdy Dovim będzie przebywał na niebie samotnie i wraz z tak zwanym Kalgaszem Dwa ustawi się w ten sposób, że Kalgasz Dwa całkowicie

138

zakryje jego tarczę. Tym samym nie dotrze już do nas żadne światło. Czy nadal mówię do rzeczy?-Pojął to pan doskonale.

-Tego sie wlasnie obawialem. Mialem nadzieje,ze moze cos zle zrozumialem.

-A efektem zacmienia...

-Wlasnie. - Szirin wzial gleboki oddech. - To zacmienie, ktore zdarza sie, bogom niech beda dzieki, tylko raz na dwa tysiace czterdziesti dziewiec lat, spowoduje na Kalgaszu dlugotrwalý okres powszechnej Ciemnosci. Kazdy kontynent, w zaleznosci od szerokosci geograficznej, pograzy sie w Ciemnosci na - jak to pan mowil? - jakies dziewiec do czternastu godzin.

-Zatem, jesli pan pozwoli - powiedzial Athor - jakie jest panskie zdanie, jako doswiadczonego psychologa, na temat wplywu tego zjawiska na umysl czlowieka?

-Skutkiem bedzie obled - orzekl bez wahania Szirin. W pokoju zapadla martwa cisza.

-Powszechny obled, prawda? - odezwal sie w koncu Athor.

-Bardzo mozliwe. Powszechna Ciemnosc, powszechny obled. Moim zdaniem ludzie odczuja to w roznym stopniu, poczawszy od przejsciowej dezorientacji i depresji, az po calkowita i trwala utrate wladz umyslowych. Naturalnie, im wieksza jest rownowaga psychiczna czlowieka, tym mniej prawdopodobne, by mogl sie on calkowicie zalamac z powodu braku swiatla. Przypuszczam jednak, ze nikt nie wyjdzie zupełnie bez szwanku.

-Nie rozumiem - wtracil Biney. - Coz moze byc w Ciemnosci takiego, co przywodziłoby ludzi do obledu?

-Po prostu nie jestesmy do tego stworzeni. - Szirin usmiechnal sie dobrotliwie. - Wyobraz sobie swiat tylko z jednym sloncem. Poniewaz ten swiat obraca sie wokol swej osi, kazda polkula oswietlona bedzie swiatlem jedynie przez pol dnia, a przez nastepne pol pograzy sie w calkowitej ciemnosci.

Biney mimo woli skulil sie z przerazenia.

139

-Czy teraz juz rozumiesz?! - wykrzyknal Szirin. - Ty nie chcesz nawet o tym slyszec! Lecz mieszkancy takiej planety z czasem przywykna do codziennej dawki ciemnosci. Bardzo mozliwe, ze beda wtedy uwazali godziny spedzone przy dziennym swietle za pogodniejsze i ciekawsze, a na ciemnosc zareaguja wzruszeniem ramion, traktujac ja ze spokojem jako rzecz zwyczajna i codzienna, cos, co trzeba przespac w oczekiwaniu na przyjscie poranka. Jednak z nami jest inaczej. My rozwijalismy sie w nieustannym swietle slonecznym, o kazdej godzinie dnia, przez caly rok. Jesli na niebie nie ma Onosa, sa na nim na przyklad Tano, Sitha i Dovim albo Patru i Trey. Nasz umysl, nawet nasza fizjologia przyzwyczajone sa do ciaglego swiatla. Bez jego obecnosci trudno nam zniesc chocby krotka chwile. Przypuszczam, ze kiedy spisz, boze swiatelko w twoim pokoju jest wlaczone?-Oczywiscie -

przytaknął Biney.

-Oczywiście? Dlaczego oczywiście?

-Dlaczego...? Przecież każdy spi przy włączonym bożym światełku!

-Do tego właśnie zmierzam. Powiedz mi jedno, kolego - czy kiedykolwiek dotąd miałes do czynienia z Ciemnością?

Biney oparł się o ścianę obok ramy dużego obrazu i zastanowił się.

-Nie - powiedział wreszcie. - Ale wiem, jak to jest. Zwykły... hm... - Niezdecydowanie poruszył palcami, po czym się rozpromienił. - Zwykły brak światła. Jak w jaskini.

-Czy byłeś kiedyś w jaskini?

-W jaskini? Nie, nigdy nie byłem.

-Tak też sądziłem. Ja spróbowałem kiedyś, dawno temu, gdy zaczynałem moje badania nad zaburzeniami wynikłymi z ciemności. Uciekłem stamtąd w popłochu. Wchodziłem w głąb, poki majaczyła jasna plama otworu jaskini. Potem ogarnęła mnie ciemność. - Szirin zachichotał. - Nigdy nie przypuszczałem, że osobnik mojej tuszy potrafi biec tak szybko.

Biney spojrzał zaczepnie.

140

-Przypuszczam, że gdybym już raz zaryzykował, nie rzuciłbym się do ucieczki. Psycholog zmierzył młodego astronoma pobłażliwym wzrokiem. - Śmiało powiedziane! Podziwiam twoją odwagę, przyjacielu. - Odwrócił się do Athora. - Czy pozwoli mi pan przeprowadzić mały eksperyment psychologiczny?

-Proszę bardzo.

-Dziękuję. - Szirin znowu zwrócił się do Bineya. - Proszę zasłonić; okno, kolego.

-Po co? - zdziwił się Biney.

-Proszę tytko, byś zaciągnął zasłony. Potem przyjdź tu i usiądź obok mnie.

-Skoro nalegasz...

Przy oknach zwisały ciężkie czerwone draperie. Athor nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek były zaciągane, a przecież ten pokój był jego gabinetem od blisko czterdziestu lat. Biney, wzruszywszy ramionami, szarpnął za sznur zakończony chwością. Czerwona kotara przesłaniała z wolna szerokie okno. Mosiężne kolka zgrzytały sunąc po kamieniu.

Przez chwile widac bylo jeszcze czerwona poswiata zachodzacego Dovima i pokoj pograzyl sie w mroku.

Wśród ciszy sluchac bylo ciezkie kroki. Biney przystanal w polowie drogi od okna.

-Nie widze ciebie - wyszeptal.

-Idz po omacku - zduszonym glosem poradzil Szirin.

-Nie widze ciebie! - Mlody astronom oddychal chrapliwie. - Nic nie widze!

-A czego sie spodziewales? Taka jest Ciemnosc. - Szirin odczekal jeszcze chwile. - No, dalej. Przeciez znasz rozklad pokoju, trafilbys nawet z zamknietymi oczami. Proszę, podejdz tu i usiadz.

Ponownie rozlega sie kroki, chwiejne, niepewne. Szurnelo krzeslo.

-Juz jestem - - glos Bineya odezwal sie piskliwie.

-Jak sie czujesz?

-Ja... no... niezle.

-Uwazasz, ze to jest przyjemne?

141

Długa pauza.-Nie.

-Nie?

-Ani troche. Jest strasznie. Jakby sciamy... - zajaknal sie - jak gdyby sciany mnie przygniataly. Chce je odepchnac... ale daleko mi jednak do obledu. Wlasciwie chyba powoli zacznam sie z tym wrazeniem oswajac. - Swietnie. A ty, Siferro?

-Chwilowa ciemnosc znosze obojetnie. Czasami zdarza mi sie czolgac w roznych podziemnych korytarzach. Nie moze jednak powiedziec, zebym za tym przepadala.

-A pan, profesorze...?

-Ja tez ledwo zyje. Zdaje sie, ze dowiodl pan swego - powiedzial ostro dyrektor obserwatorium.

-Pieknie. Odslon zaslony, Bineyu.

W ciemnosci sluchac bylo ostroznie stawiane kroki, szelest zaslony, ktora poruszył Biney,

szukając sznura, a potem przyjęty z ulgą szmer rozsuwającej się na boki kotary. Pokój żalało czerwone światło Dovima. Biney z okrzykiem radości spojrział na najmniejsze z sześciu słonec.

Szirin wierzchem dłoni otarł krople potu z czoła.

-To było tylko kilka minut w ciemnym pokoju - powiedział drżącym głosem.

-Można wytrzymać - rzucił bez troski Biney.

-Tak, w ciemnym pokoju można wytrzymać. Przez krótką chwilę. Słyszeliście pewno o Wystawie Stulecia w Jonglorze? O skandalu związanym z Twnelem Tajemnic? Bineyu, opowiedziałem ci te historie rok temu, pewnego letniego wieczora w klubie Szesciu Słonec, kiedy byliśmy tam razem z tym dziennikarzem, Teremonem.

-Tak. Pamiętam. Chodzi o ludzi, którzy w wesołym miasteczku przejeżdżali przez ciemność i wychodzili z niej obłąkani.

-Przejeżdżali przez pozbawiony światła tunel długi tylko na kilometr. Wchodziło się do otwartego wagonika i telepało wśród ciemności przez piętnaście minut. Niektórzy ludzie biorący udział w tej przejeździe umierali ze strachu. Inni wychodzili z niej z trwałymi zaburzeniami umysłowymi.

142

-Dlaczego? Co się im stało? - To samo co tobie. Kiedy zasunales żalony, miałeś wrażenie, że ściany pokoju wali się na ciebie. Psychologowie używają specjalnego terminu na określenie leku związanego z brakiem światła. Jest to reakcja instynktowna, z którą każdy człowiek się rodzi. Ten lek nazywamy klaustrofobią, ponieważ brak światła zawsze jest związany z zamkniętą przestrzenią, a zatem obawa przed jednym jest jednocześnie obawą przed drugim. Rozumiesz?

-A tamci ludzie z tunelu, którym odbilo?

-Tamci ludzie z tunelu, którym, używając twego określenia, odbilo, byli po prostu słabi. Nie mieli wystarczającej odporności psychicznej, by przezwyciężyć ogarniającą ich w ciemności klaustrofobię. To olbrzymie przeżycie. Uwierz mi na słowo. Ja także jechałem tunelem. Ty przed chwilą tylko kilka minut przebywałeś bez światła i już byłeś mocno wytrącony z równowagi. A wyobraź sobie cały kwadrans.

-Czy oni później wyzdrowieli?

-Niektórzy. Inni ulegli obłędowi na tle klaustrofobii i błądą cierpieć przez wiele lat, być może do końca życia. Ich utajony lek przed Ciemnością i zamkniętymi przestrzeniami się ujawnił i z tego, co na razie wiemy, utrwalił. Niektórzy, jak powiedziałem, zmarli w wyniku doznanego

szoku. Ci już nigdy nie wyzdrowieją, prawda? Oto do czego może doprowadzić piętnaście minut bez światła.

-Tak, pewnych ludzi. - Biney się nie poddawał. Jego czoło z wolna pokryło się zmarszczkami. - Nadal nie uważam, by to musiało się skończyć dla wszystkich tragicznie. A już w moim przypadku z pewnością nie.

Szirin westchnął z rozdrażnieniem.

-Wyobraź sobie Ciemność. Wszędzie Ciemność. Gdziekolwiek spojrzysz, żadnego światła. Domy, drzewa, pola, ziemia, niebo - wszystko czarne! I do tego gwiazdy, jeśli słuchać kazań Apostołów - gwiazdy, cokolwiek one są. Czy potrafisz to objąć wyobraźnią?

-Potrafie - oznajmił Biney jeszcze bardziej wojowniczo.

143

-Kłamstwo! - Szirin w naglej pasji walnął pięścią w stół. - Tak ci się tylko zdaje! Nie jesteś w stanie tego ogarnąć. Twój mózg jest zbudowany tak, że nie pojmujesz... Zaraz, jesteś przecież matematykiem, prawda? Czy potrafisz naprawdę objąć umysłem pojęcie nieskończoności? Wieczności? Nie! Możesz tylko o tym mówić. Sprowadzić je do równań i udawać, że abstrakcyjne liczby są rzeczywistością, kiedy tak właściwie są jedynie znakami na papierze. Jestem natomiast pewien, że gdy swym umysłem starasz się objąć pojęcie nieskończoności, dość szybko zaczyna ci się krecić w głowie. Czujesz niepokój. Podobnie z tą odrobiną Ciemności, której właśnie doświadczyłeś. A kiedy to coś naprawdę się zdarzy, twój umysł stanie przed zjawiskiem, którego nie będzie mógł pojąć. I wtedy, Biney, zwariujesz. Całkowicie i trwale. To nie podlega dyskusji. W pokoju znowu zapanała przeraźliwa cisza.

-Czy taki jest pański ostateczny wniosek? Powszechny obłęd? - zapytał Athor po dłuższej chwili.

-Choroby psychiczne okaleczą co najmniej siedemdziesiąt pięć procent populacji. Być może osiemdziesiąt pięć procent. A nawet sto procent.

-Potworne. - Athor potrząsnął głową. - Przerazające. Niewyobrażalne nieszczęście. Choć muszę przyznać, że w pewnym sensie myślę podobnie jak Biney - wierzę, iż jakos przez to przebrniemy, a skutki będą mniej katastrofalne, niż wskazywałaby na to pańska opinia. W moim wieku nie mogę powstrzymać się od optymizmu, nadziei...

-Czy mogę coś powiedzieć, panie profesorze? - rzuciła nagle Siferra.

-Oczywiście! Po to pani tu jest. Siferra wstała i przeszła na środek pokoju.

-Do pewnego stopnia czuję się zaskoczona, że w ogóle zostałam tutaj zaproszona. Kiedy

po raz pierwszy rozmawiałam z Bineyem na temat moich odkryć z polwyspu Sagikan, błagałam go, żeby te wiadomości zachował dla siebie jako ściśle poufne. Balam się o moja reputację naukową, ponieważ wiedziałam, że odkryte przeze mnie dane, po dokonaniu pewnych zmian, mogłyby z łatwością

144

posłużyć za poparcie dla najbardziej irracjonalnego, najstraszliwszego, najbardziej niebezpiecznego ruchu religijnego, istniejącego w naszym społeczeństwie. Naturalnie mówię o Apostołach Plomieni. Potem, po niedługim czasie, gdy Biney przyszedł do mnie ze swymi odkryciami, zdałam sobie sprawę, że muszę ujawnić, co wiem. Mam tu zdjęcia i wykresy moich wykopalisk na wzgórzu Tombo, niedaleko osady Beklimot na polwyspie Sagi kan. Bineyu, ty już je widziałeś, więc gdybyś był tak dobry i podał je profesorom Athorowi i Szirinowi... Siferra odczekała, aż obejrzeliby materiały i powróciła do swego wyводу. - Łatwiej będzie zrozumieć te wykresy, jeśli porówna się wzgórze Tombo do układanego warstwami olbrzymiego tortu. Każda warstwa to starożytna osada zbudowana na swojej bezpośredniej poprzedniczce - najmłodsza, oczywiście, na szczycie wzgórza. Ta tutaj jest przykładem miasta z tak zwanej kultury beklimockiej. Poniżej znajduje się miasto, zbudowane - jak sądzimy - przez tych samych ludzi, ale na wcześniejszym etapie ich cywilizacji. W sumie co najmniej siedem osad z różnych okresów, może nawet więcej.

Każdy z tych okresów, panowie, dobiegł końca, ponieważ osada została zniszczona przez ogień. Widzicie zapewne ciemne granice między poziomami. Są to linie ognia - pozostałości węgla drzewnego. Zgadując intuicyjnie, ile czasu te miasta potrzebowały, by powstać, rozwinąć się i ostatecznie upaść, doszłam do wniosku, że każdy z tych wielkich pożarów zdarzał się w odstępach mniej więcej dwóch tysięcy lat, przy czym ostatni z nich miał miejsce około dwóch tysięcy lat temu, nieco przed rozwinieciem się kultury beklimockiej, którą uważamy za początek czasów historycznych.

Tak się składa, że węgiel drzewny w szczególny sposób nadaje się do badania metodą radioaktywnego izotopu C^{14} która pozwala nam dość dokładnie określić wiek danej osady. Od kiedy moje materiały z Tombo dotarły do Saro, w naszym wydziałowym laboratorium wciąż prowadzono 10 - Nastanie nocy 145 analizę radiologiczną i właśnie teraz otrzymaliśmy wyniki. Mogę je przedstawić z pamięci. Najmłodsza z osad w Tom-bo została zniszczona przez ogień dwa tysiące pięćdziesiąt lat temu, przy możliwości błędów statystycznego w granicach dwudziestu lat. Węgiel drzewny z osady niżej ma cztery tysiące sto lat, z dokładnością do plus minus czterdziestu lat. Trzecia osada od góry została zniszczona przez ogień sześć tysięcy dwieście lat temu, z dokładnością do sześćdziesięciu lat. Czwarta osada w dół wykazuje wiek węgla C^{14} osiem tysięcy trzystu lat, przy błędzie rzędu plus minus osiemdziesięciu lat. Piąta...

-Wielkie nieba! - wykrzyknął Szirin. - Czy wszystkie odstępów czasu między nimi są podobne?

-Wszystkie. Pozary zdarzały się w odstępach nieco ponad dwóch tysięcy lat. Pomimo ryzyka pewnych niedokładności, które są nie do uniknięcia przy datowaniu węglem radioaktywnym, istnieje jednak duże prawdopodobieństwo, że miały one miejsce precyzyjnie co dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat. Zgodnie z tym, co wykazał Biney, jest to dokładnie częstotliwość występowania zaćmień Doviama. Jak również - dodała Siferra niewesoło - czas trwania tego, co Apostołowie Plomieni nazywają Rokiem Łaski, który ma się zakończyć zniszczeniem świata przez ogień.

-Tak, w wyniku powszechnego obłędu - głucho powiedział Szirin. - Kiedy nastąpi Ciemność, ludzie będą pragnęli światła. Jakiegokolwiek światła. Pochodnie. Ogniska. Będą palić wszystko. Meble. Domy.

-Nie - zaprotestował Biney słabym głosem.

-Pamiętaj, ci ludzie nie będą przy zdrowych zmysłach. Będą postępować jak małe dzieci, choć zachowają ciała i szczątki rozumu człowieka dorosłego. Będą umieli posługiwać się zapalkami. Nie będą natomiast pamiętać, jakie skutki może przynieść rozniecanie pożarów.

-Nie - powtórzył Biney rozpaczliwie. - Nie. Nie! - To już nie był wyraz niewiary.

-Można by przyjąć - dodała Siferra - że pożary w Tombo miały jedynie zasięg lokalny. Regularność, z jaką się powtarzały na przestrzeni tak długiego okresu, byłaby

146

wówczas czystym zbiegiem okoliczności. Zjawisko to ograniczałoby się tylko do tego jednego miejsca, może nawet jako praktykowany tam swoisty rytuał oczyszczenia. Nie można by temu zaprzeczyć, skoro nigdzie indziej na Kalgaszu nie znaleziono dotąd żadnych osad starożytnych, które byłyby porównywalne wiekiem do sagikanskich. Jednak obliczenia Bineya wszystko zmieniły. Teraz wyraźnie już widac, że co dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat świat pogrąża się w Ciemności. Tak jak mówi profesor Szirin, na całym świecie ludzie rozpalali ogień, a że nie potrafili nad nim zapanować, przekształcał się w pożary. Z tego samego powodu i w podobny sposób, jak miało to miejsce w przypadku miast Tombo, w okresie pożarów ulegały zniszczeniu wszystkie osady ludzkie na całym świecie. Stąd też z ery prehistorycznej nie pozostało nam nic poza wzgórzem Tombo. Apostołowie Plomieni mówią, że jest to miejsce święte, miejsce, gdzie bogowie ukazywali się swemu ludowi. - I może teraz ukazują się po raz kolejny - enigmatycznie rzekł Athor - podsuwając nam dowody na pożary z minionych epok.

-Panie profesorze - Biney spojrzał na niego ze zdziwieniem - czy zaczyna pan wierzyć naukom Apostołów?

W uszach Athora słowa Bineya zabrzmiały tak, jakby młody astronom otwarcie zarzucał mu szalenstwo. Minęła chwila, zanim zdobył się na odpowiedź, jednak jego głos zabrzmiał nad podziw spokojnie:

-Czy im wierze? Nie. Choc przyznam, Bineyu, ze wzbudzaja moja ciekawosc. Co wiecej, z lekiem stawiam sobie pytanie: a jesli Apostolowie maja racje? Mamy obecnie dokladne dane o tym, ze Ciemnosc rzeczywiscie zapada w odstepach dwoch tysiecy czterdziestu dziewieciu lat, o czym napisano w Ksiedze Objawien. Z kolei profesor Szirin mowi, ze gdyby do tego doszlo, swiat by oszalal. Mamy rowniez dowod doktor Siferry na to, ze przynajmniej pewien niewielki skrawek swiata naprawde raz za razem popadal w obled, przy czym tamtejsze domy pochlanial ogien wlasnie co dwa tysiace czterdziesti dziewiec lat. Teraz zbliamy sie do konca kolejnego cyklu.

147

-Co wiec pan proponuje, panie profesorze? - spytal Biney. - Czy powinniśmy przylaczyc sie do Apostolow? Athor jeszcze raz musial zwalczyc narastajacy gniew.-Nie, Bineyu. Powinnismy po prostu przyjrzec sie blizej ich wierzeniom i pomyslec, jaki mozemy z tego zrobic uzytek.

-Zrobic uzytek?! - niemal jednoczesnie wykrzykneli Szirin i Siferra.

-Wlasnie tak! Zrobic uzytek! - Athor zlozyl przed soba wielkie wychudle dlonie i odwrocil sie, by widziec twarze wszystkich obecnych. - Czy nie rozumiecie, ze przetrwanie cywilizacji moze zalezec wylacznie od nas czworga? Do tego sie to przeciez sprowadza, prawda? Moze to zabrzmie melodramatycznie, ale my czworo znalezlismy cos, co zaczyna wygladac na niezaprzeczalny dowod, ze oto wlasnie nadchodzi koniec swiata. Powszechna Ciemnosc, powszechny obled, ogolnoswiatowy pozar, miasta w plomieniach, spoleczenstwo w rozpadzie. Istnieje juz i dziala inna grupa, ktora, na podstawie nie wiadomo jakiego dowodu, przepowiada te sama katastrofe - z dokladnoscia co do dnia.

-Dziewietnastego theptara - powiedzial polglosem Biney.

-Wlasnie, dziewietnastego theptara. Dzień, w którym Dovim jako jedyny będzie świecił na niebie - i jeśli się nie mylimy, pojawi się również Kalgasz Dwa, nagle stanie się widoczny, ogarnie niebo i zasłoni sobą wszelkie światło. Tego dnia, jak mówią nam Apostolowie, ogień pochłonie nasze miasta. Skąd wiedza? Słupy traf? Zwykła mistyfikacja?

-Pewne fragmenty ich nauk nie mają żadnego sensu - wtracił Biney. - Na przykład mówią, że na niebie pojawiają się gwiazdy. Co to znaczy "gwiazdy"? Skąd one nadejda?

-Nie mam pojęcia. - Athor wzruszył ramionami. - Ten fragment może być jakaś bajka. Ale wydaje się, że mają oni pewnego rodzaju rejestry minionych zaciemnień, na podstawie których zbudowali swe obecne straszliwe przepowiednie. Powinnismy sie dowiedziec czegos wiecej o tych rejestrach.

148

-Dlaczego my?- spytal Biney.-Poniewaz my, naukowcy, ludzie o okreslonym autorytecie,

możemy odegrać rolę przywódców w czekającej nas walce o ocalenie cywilizacji - rzekł Athor. - Społeczeństwo ma pewną szansę ochrony przed zagładą tylko wtedy, jeśli tu i teraz odkryjemy istotę niebezpieczeństwa. Jak na razie jednak Apostołów słuchają jedynie ludzie naiwni i ciemni. Większość ludzi inteligentnych i myślących racjonalnie patrzy na nich podobnie jak my - jako na dziwaków, głupców, szaleńców, może oszustów. Powinnismy zatem przekonać Apostołów, by podzielili się z nami swoją wiedzą z zakresu astronomii i archeologii, jeśli w ogóle takową posiadają. I wtedy ogłosimy to publicznie. Ujawnimy nasze odkrycia, podbudowując je materiałami otrzymanymi od Apostołów. W istocie zawrzemy z nimi przymierze przeciwko chaosowi, który - jak wspólnie sadzimy - wkrótce nadejdzie. W ten sposób możemy zwrócić uwagę wszystkich warstw społeczeństwa, począwszy od tych najbardziej naiwnych, aż po najbardziej sceptycznych.

-Więc chce pan, panie profesorze, żebyśmy przestali być naukowcami i weszli w świat polityki? - spytała Siferra. - Wcale mi się to nie podoba. To nie leży w zakresie naszych kompetencji! Głosuje, by przekazać nasze materiały rządowi i pozwolić mu...

-Rządowi?! - obruszył się Biney. - Bzdura!

-Biney ma rację - wtracił Szirin. - Znam ludzi z rządu. Stworzą komitet, wydadzą raport i w końcu odłożą ten raport do szuflady, potem zaś powołają kolejny komitet, żeby dokopał się do tego, co odkrył poprzedni, następnie zorganizują referendum i... Nie, my nie mamy na to czasu. Na nas spoczywa obowiązek zabrania głosu w tej sprawie. Ja jestem ekspertem w dziedzinie przewidywania skutków, jakie może wyrzucić Ciemność na ludzkie umysły. Wy, astronomowie, macie dowód matematyczny na to, że Ciemność już wkrótce nadejdzie. Ty, Siferro, widziałas, co uczyniła Ciemność z minionymi cywilizacjami.

149

-Ale czy mamy dość odwagi, by zwrócić się do Apostołów? - powątpiewał Biney. - Czy przez kontakt z nimi nie narazimy się na zarzut nieodpowiedzialności? - Otoż to - powiedziała Siferra. - Musimy się trzymać od nich z daleka! Athor zmarszczył brwi.

-Prawdopodobnie macie rację. Prawdopodobnie było naiwnością z mojej strony sugerować, że moglibyśmy nawiązać z tymi ludźmi coś na kształt współpracy. Wycofuje swoją propozycję.

-Chwileczkę, panie profesorze... - Bineyowi wpadł do głowy pewien pomysł. - Mam przyjaciela - znasz go, Szirinie, to ten dziennikarz, Teremon - który kontaktował się już z pewnym wysokim przedstawicielem Apostołów. Myślę, że zdołałby zaaranżować jakieś tajne spotkanie pana profesora z tym Najwyższym Apostołem. Mogłby pan wybadac tych ludzi i przekonać się, czy rzeczywiście wiedzą coś istotnego - w ten sposób zdobylibyśmy kolejne dowody potwierdzające naszą hipotezę. A gdyby się okazało, że nic nie wiedzą, zawsze przecież możemy zaprzeczyć, że takie spotkanie miało w ogóle miejsce.

-Jest to sensowna propozycja - rzekł Athor. - Chciałbym się z nimi spotkać, chociaż nie dla własnej przyjemności. Przyjmuje, że nikt z was nie ma żadnych zastrzeżeń co do mojej wyjściowej propozycji? Zgadza się ze mną, iż my czworo musimy powziąć pewne kroki w związku z naszym odkryciem?

-Teraz się zgadzam - powiedział Biney. Spojrzał na Szirina. - Nadal mam zamiar przetrwać Ciemność, ale wszystko, co zostało tu dzisiaj powiedziane, skłania mnie do uwierzenia, że wielu innych tej Ciemności nie przeżyje. Ulegnie zagładzie cała cywilizacja... chyba że zaczniemy działać.

Athor pokiwał głową.

-Wspaniale. Porozmawiaj więc ze swym przyjacielem, ale miej się na baczności. Wiesz, co myślę o prasie. Nie lubię dziennikarzy nie mniej niż Apostołów. Mimo to bardzo ostrożnie daj swemu koledze do zrozumienia, że

150

chciałbym się prywatnie spotkać z Apostołem, którego pozna).-Dobrze, panie profesorze.

-Pan, profesorze Szirinie, zbierz całą dostępną literaturę na temat skutków długotrwałego przebywania w Ciemności i przyniesie ją do mnie.

-Nie sprawi mi to najmniejszego kłopotu.

-A pani, doktor Siferro, czy może przedstawić zrozumiałe dla laików sprawozdanie z wykopaliisk w Tombo z wyeksponowaniem każdego, choćby najmniejszego dowodu na powtarzalność tych pożarów?

-Nie wszystko jest jeszcze gotowe, panie profesorze. Pozostały materiały, o których dzisiaj nie wspominałam. Na czole Athora pojawiła się głęboka zmarszczka.

-O co chodzi?

-O gliniane tabliczki z wrytymi napisami znalezione w trzecim i piątym poziomie od góry. Profesor Mudrin podjął się niezwykle trudnego zadania odczytania inskrypcji. Według jego wstępnej opinii tabliczki zawierają ostrzeżenia kapłanów przed zbliżającym się pożarem.

-Pierwsze wydanie Księgi Objawień! - wykrzyknął Biney.

-Możliwe... - Siferro rozesmiała się, choć w jej śmiechu nie słychać było wesołości. - Mam nadzieję otrzymać tłumaczenie tekstów w najbliższym czasie. I wtedy dostarczę panu kompletny materiał, panie profesorze.

-Wspaniale - rzekł Athor. - Potrzebujemy wszystkiego, co tylko uda nam się zdobyć. Będzie

to praca naszego zycia. - Spojrzal z powaga na kazdego z nich po kolei. - Jest jednak jeszcze jedna wazna kwestia: chce, byscie pamietali, ze moja gotowosc do spotkania z Apostolami nie oznacza, iz zamierzam w jakikolwiek sposob przysporzyc im ogolnego szacunku. Mam jedynie nadzieje, ze dowiem sie od nich czegos, co pomoze nam przekonac swiat o nadchodzacej katastrofie. Nic wiecej. W przeciwnym razie zrobie wszystko co w mojej mocy, by sie od nich zdystansowac. Mierzi mnie mistycyzm. Nie wierze ani troche ich gadaninie - chce po prostu wiedziec, skad

151

wysnuli wniosek o katastrofie. I zyczylbym sobie, by reszta z was byla rownie ostrozna w kontaktach z nimi. Czy wyrazilem sie jasno?-To jest jak sen - westchnal Biney.

-Koszmarne sen - dodal Athor. - Kazda czastka mojej duszy krzyczy, ze to nieprawda, ze to czcze fantazje, ze swiat po dziewietnastym theptara trwac bedzie nadal i nie stanie mu sie zadna krzywda. Niestety, wyniki obliczen sa nieublagane. - Wyrzeczal przez okno. Onos zniknal juz z nieba, a Dovim byl jedynie malym punktem na horyzoncie. Nastal wieczor, swiat wygladal posepnie w przycmionych, nieprzyjemnych promieniach Patru i Treya. - Nie ma juz miejsca na watpliwosci. Ciemnosc nadejdzie. Moze owe gwiazdy, czymkolwiek sa, naprawde zaczną swiecic. Zaplona pozary. Zbliza sie koniec znanego nam swiata. Koniec swiata!

Czesc druga

Zmierzch

18

Chyba troche przesadziles, Teremonie - powiedzial Biney. Narastalo w nim napiecie. Zblizal sie wieczor, wieczor zacmienia, od tak dawna przez niego oczel^wwany z lekiem i drzeniem serca. - Athor jest wsciekly na ciebie. Wprost w glowie sie nie miesci, ze tu dzisiaj przyszedles. Wiesz przeciez, ze zabronil ci przebywac w budynku obserwatorium, a tym bardziej me masz prawa zjawiac sie wlasnie dzis wieczorem. Latwo zrozumiec Athora, biorac pod uwage wszystko, co o nim ostatnio pisales...-Sam widzisz, ze potrafie go uciszyc! - Dziennikarz zachichotal.

-Nie badz tego taki pewien! Nazwales go w swym felietonie zgrzybialym pomylencem, pamietasz? Staruszek jest w zasadzie opanowany i twardy jak stal, ale w sytuacjach krancowych potrafi okazac zadziwiajacy temperament.

-Sluchaj, chlopie - Teremon wzruszyl ramionami - zanim stalem sie slawnym dziennikarzem, bylem zwyklym reporterkiem, co to specjalizuje sie w nieosiagalnych wywiadach, takich prawdziwie nieosiagalnych. Cale lata doprowadzalem ludzi do szalu, byle tylko zdobyc temat. Kazdego wieczora wracalem do domu z guzami, podbitym okiem, czasem zlamana jedna czy druga koscia. W zamian jednak zyskalem zaufanie do siebie. Jakos sobie

poradze z Athorem.

-Doprowadzając ludzi do szalu? - Biney spojrzal znacząco w górę, w kierunku kalendarza zawieszzonego na ścianie korytarza. Polyskującymi zielonymi literami

155

obwieszczał datę: 19 THEPTARA. Dzień najważniejszy, dzień, o którym myśleli bezustannie wszyscy w obserwatorium, miesiąc po miesiącu. Dla wielu, może nawet dla większości mieszkańców Kalgasa ostatni dzień pozostawania przy zdrowych zmysłach. - Chyba przyznasz, że nie jest to najzwyklejsze sformułowanie w takim dniu. Teremon się uśmiechnął. - Może masz rację. Zobaczymy. - Wskazał na zamknięte drzwi gabinetu Athora. - Kto tam teraz jest?

-Athor, oczywiście. I Tilanda - moja koleżanka, astronom. Danit, Simbron, Hikkinan - też pracownicy obserwatorium. To już chyba wszyscy.

-A Siferra? Mówiła, że tu będzie.

-Nie ma jej jak dotąd.

Na twarzy Teremona pojawił się wyraz zaskoczenia.

-Co ty powiesz? Kiedy kilka dni temu zapytałem ją, czy wybierze Sanktuarium, roześmiała mi się w twarz. Uparła się, aby oglądać zaciemnienie właśnie stąd. Nie mogę wcale uwierzyć, że zmieniła zdanie. Ta kobieta nie boi się niczego. Możliwe jednak, że w ostatniej chwili robi jeszcze porządek w swoim biurze.

-Bardzo prawdopodobne.

-A Szirin? Jego też tu nie ma?

-Nie. Jest w Sanktuarium.

-Ten nasz pułkownik przyjaciel nie należy do najodważniejszych, co?

-Przynajmniej ma na tyle odwagi, by się do tego przyznać. Raissa też jest w Sanktuarium, podobnie zona Athora, Nailda, i prawie wszyscy, których znam, oprócz nas - kilku ludzi z obserwatorium. Mądrzej byś postąpił, Teremonie, gdybyś sam się tam znalazł. Za kilka godzin, kiedy nadejdzie tu Ciemność, jeszcze pozwalasz, że tego nie zrobisz.

-Apostoł Folimun 66 powiedział mi mniej więcej to samo ponad rok temu, tyle że zapraszał mnie do swojej świątyni. Przyjacielu, jestem przygotowany, by stawić czoło nawet największym zagrożeniom, jakie potrafią nam zesłać bogowie. Dzisiejszy wieczór stanowi wspaniały temat,

ktorego nie moglbym przeciez opisac, schowany w jakiejś kryjowce pod ziemia, prawda?-
Teremonie, jutro nie ukaze sie zadna gazeta, w ktorej moglbys zamiescic swoja relacje.

-Tak myslisz? - Teremon zlapal Bineya za ramie i przyciagnal ku sobie. Niskim, drzacym z
emocji glosem zapytal: - Bineyu, powiedz szczerze, czy ty naprawde myslisz, ze cos tak
niezwyklego jak noc zapadnie wlasnie dzisiaj?

-Tak.

-Bogowie! Chyba nie mowisz tego powaznie?

-Powaznie jak nigdy w zyciu, Teremonie.

-Nie wierze. Wydajesz sie taki opanowany, taki zrownowazony, taki odpowiedzialny. A
mimo to z obliczen astronomicznych, bedacych niezaprzeczalnie czysta spekulacja, z jakichs
kawalkow wegla drzewnego, wykopanych na pustyni odleglej stad o tysiace kilometrow, z
jakichs szalenczych bajan grupy fanatykow o oblakanych oczach wyciagnales wnioski
stanowiace najbardziej zwariowany stek apokaliptycznych bzdur, jaki kiedykolwiek...

-To nie jest wariactwo - stwierdzil Biney spokojnie. - To nie sa bzdury.

-Zatem dzis rzeczywiscie nastapi koniec swiata?

-Tak. Swiata, ktory znamy i kochamy. Teremon puscil ramie Bineya i zirytowany gwaltownie
zamachal rekami.

-Bogowie! Nawet ty! Sluchaj, od ponad roku usiluje choc troche w to wszystko uwierzyc, ale
nie potrafie, po prostu nie potrafie. Niezaleznie od slow twoich czy Athora, Siferry, Folimuna
66, Mondiora czy tez...

-Po prostu poczekaj - rzekl Biney. - Jeszcze tylko kilka godzin.

-Ty to mowisz szczerze - powiedzial Teremon ze zdumieniem. - Na wszystkich bogow,
jestes rownie wielkim dziwakiem jak Mondior. Bzdury! Powtarzam: bzdury!... A teraz
wprowadz mnie do gabinetu Athora, dobrze?

-Ostrzegam, on nie chce cie widziec.

-Juz to slyszalem. Mimo wszystko chce tam wejsc.

Teremon nigdy się nie spodziewał, że kiedyś przyjdzie mu przyjąć pozycję wroga wobec naukowców z obserwatorium. Po prostu, w ciągu miesięcy bezpośrednio poprzedzających dziewiętnasty theptara, tak potoczyły się sprawy. Uznał, że zawiniła tu dziennikarska uczciwość. Biney był przecież jego wieloletnim przyjacielem; profesor Athor - bezsprzecznie wielkim astronomem; Szirin - człowiekiem zawsze wesolym, bezpośrednim i sympatycznym; Siferra - kobieta atrakcyjna i interesująca, a przy tym znakomitym archeologiem. Wcale nie miał ochoty stawiać się w pozycji wroga tych ludzi.

Musiał jednak pisać to, w co wierzył. A w głębi swej duszy wierzył, że zespół obserwatorium był w każdym calu równie postrzelony jak Apostołowie Plomieni i równie jak oni niebezpieczny dla ładu społecznego.

Wykluczone, aby miał się zmusić do traktowania ich słów poważnie. Im dłużej kreślił się po obserwatorium, tym bardziej wydawało mu się to wszystko zwariowane.

Niewidzialna i najwidoczniej niewykrywalna planeta szybująca na niebie po orbicie, która co kilka dekad zbliżała ją do Kalgasza? Taki układ słońc, że tym razem, gdy przybędzie niewidzialna planeta, pozostanie nad głową jedynie Dovim? Światło Dovima zasłonięte, a świat rzucony w Ciemność? I w rezultacie wszyscy zwariują? Nie, nie, na to się nie da nabrac!

Teremonowi wydawało się to równie głupie jak brednie, które od wielu lat wbijali ludziom do głowy Apostołowie Plomieni. Jedynym dodatkiem, dorzuconym przez Apostołów, było pojawienie się tajemniczego zjawiska znanego jako gwiazdy. Nawet ludzie z obserwatorium byli na tyle przyzwoici, by przyznać, że nie są w stanie wyobrazić sobie, czym są gwiazdy. Apostołowie głosili, że to niewidzialne ciała niebieskie, które ukazywały się nagle, gdy Rok Łaski dobiegał końca i na Kalgasz zstępował gniew bogów.

-Niemożliwe! - powiedział mu Biney pewnego wieczora w klubie Szesc Słońc. Wtedy od daty zaciemnienia

158

dzieliło ich jeszcze pół roku. - Zaciemnienie i Ciemność - tak. Gwiazdy - nie. We wszechświecie nie istnieje nic poza naszym światem, szescioma słońcami, jakimiś nie znaczącymi asteroidami i Kalgaszem Dwa. Jeśli istnieją także gwiazdy, dlaczego nie potrafimy tego stwierdzić? Dlaczego nie możemy wykryć ich, obserwując perturbacje orbitalne, tak jak wykryliśmy Kalgasza Dwa? Nie, Tere-monie, jeśli rzeczywiście gdzieś tam istniałyby gwiazdy, wówczas teoria powszechnego ciążenia musiałaby być fałszywa. A wiemy, że teoria jest prawdziwa. "Wiemy, że teoria jest prawdziwa". Tak powiedział Biney. Czy nie przypominało to słów Folimuna: "Wiemy, że Księga Objawień jest księgą prawdy"?

Na początku, kiedy Biney i Szirin pierwsi opowiedzieli mu o rodzacym się w nich przekonaniu, że świat ogarnie niszczycielska Ciemność, Teremon, po części sceptyczny, a

po czesci przejezy groza i pozostajacy pod wrazeniem ich apokaliptycznych wizji, robil co mogli, zeby pomoc.

-Athor chce sie spotkac z Folimunem - powiedzial mu Biney. - Probuje sie dowiedziec, czy Apostolowie maja jakies starodawne rejestry astronomiczne, ktore moglyby potwierdzic nasze odkrycie. Czy mozesz jakos zaaranzowac spotkanie?

-Zabawny pomysl - odrzekl na to Teremon. - Surowy w swych ocenach naukowiec prosi o spotkanie z rzecznikiem sil nienauki, antynauki. Ale zobacze, co sie da zrobic.

Ku swemu zdumieniu nie natrafil na najmniejsze trudnosci. Zamierzal przeprowadzic kolejny wywiad z Folimunem. Uzyskal audiencje w dniu nastepnym.

-Athor? - zdziwil sie Folimun, kiedy dziennikarz przekazal mu prosbe Bineya. - Dlaczego profesor Athor chce ze mna rozmawiac?

-Moze zamierza zostac Apostolem - zartobliwie zasugerowal Teremon. Folimun sie rozesmial.

-Niezbyt prawdopodobne. Z tego, co o nim slyszalem, wynika, ze predzej by sie pomalowal na czerwono i poszedl nago na spacer po Saro glownym bulwarem.

159

-Coz, moze sie nawrocil... - odrzekl Teremon. Po prowokujacej pauzie dodal ostroznie: - Wiem na pewno, ze on i jego pracownicy odkryli jakies dane, ktore moglyby sklaniac do poparcia tezy, iz dziewietnastego theptara Ciemnosc zawladnie swiatem. Folimun pozwolil sobie na minimalna, starannie kontrolowana oznake zainteresowania, niemal niedostrzegalne uniesienie brwi.

-Jakze fascynujace, o ile prawdziwe - powiedzial chlodno.

-Jesli chce pan potwierdzenia, powinien pan zobaczyc sie z nim osobiscie.

-Mozliwe, ze tak wlasnie zrobie.

I rzeczywiscie tak zrobil. Mimo wielu staran Teremonowi nie udalo sie nigdy dowiedziec, jaki byl wynik tego spotkania. Odbylo sie w cztery oczy, a po jego zakonczeniu zarowno Athor, jak i Folimun nie powiedzieli na ten temat ani slowa. Biney, glowne ogniwo laczone Teremona z obserwatorium, potrafil przedstawic wylacznie mgliste przypuszczenia.

-Z pewnoscia wiazalo sie to ze starodawnymi rejestrami astronomicznymi, ktore -jak uwaza szef- znajduja sie w posiadaniu Apostolow. Tyle tylko moge ci powiedziec. Athor przypuszcza, ze przekazuja je z pokolenia na pokolenie od wiekow, moze nawet od czasu sprzed ostatniego zacamienia. Niektore fragmenty Ksiegi Objawien napisane sa dawno juz

zapomnianym językiem.

-Masz na myśli dawno zapomniany belkot. Nikt dotąd nie pojął, o co tam chodzi.

-No, ja oczywiście też tego nie rozumiem, ale według opinii pewnego całkiem poważnego filologa fragmenty mogą być w istocie tekstami prehistorycznymi. A jeśli Apostołowie potrafią w jakiś sposób odcyfrować ten język? I zachowują tę wiedzę dla siebie, ukrywając dane astronomiczne zawarte w Księdze Objawień? Być może tego właśnie szuka Athor.

-Chcesz przez to powiedzieć, że najwybitniejszy astronom naszych czasów, prawdopodobnie wszech czasów, czuje potrzebę skonsultowania się w tej kwestii z banda

160

rozhisteryzowanych fanatyków? - Teremon nie posiadał się ze zdumienia. Biney wzruszył ramionami. -Wiem jedynie, że Athor nie darzy szacunkiem Apostołów i ich nauk, podobnie jak ty, ale uznał, że spotykając się z twoim przyjacielem Folimunem może uzyskać coś ważnego.

-To nie jest żaden mój przyjaciel! Mam z nim kontakt czysto zawodowy.

-No, nazywaj to jak chcesz... - zaczął Biney.

-Pozwól sobie powiedzieć - przerwał mu Teremon; sam się temu dziwił, lecz wzbierał w nim prawdziwy gniew - że jeśli się okaże, iż zawarłicie z Apostołami jakiś pakt, to ja wcale nie będę szczęśliwy z tego powodu. Moim zdaniem Apostołowie są uosobieniem Ciemności - najczarniejszych, najbardziej nienawistnych reakcyjnych idei. Jeśli da się im wolna ręka, kazał nam wszystkim znowu żyć w czasach średniowiecznych umartwień, cnoty i biczowania. Dzieje się wystarczająco źle, gdy opętani przez nich wariaci wrzaskliwie rozgłaszają obłakancze, niedorzeczne przepowiednie, zakłócając tym samym spokój, ale jeśli człowiek o prestiżu Athora zamierza tych plotących brednie nikczemników dowartościować, zaszczyścić, włączając ich majaki do nauki, zacznie być od tego momentu bardzo, ale to bardzo podejrzliwy w stosunku do wszystkiego, przyjacielu, co pochodzi z waszego obserwatorium.

Na twarzy Bineya widac było konsternację.

-Teremonie, gdybyś tylko wiedział, z jaką pogardą Athor wyraża się o Apostołach, jak niewiele go obchodzi, co propagują...

-Wiem dlaczego raczy się z nimi spotykać?

-Sam przecież rozmawiałeś z Folimunem!

-To inna sprawa. Czy tego chcesz, czy nie, obecnie Folimun znalazł się na pierwszych stronach gazet. Moim zadaniem jest wiedzieć, co dzieje się w jego głowie.

-Moze Athor podziela twoj punkt widzenia - rzucil Biney zapalczywie.

Na tym postanowili zakonczyc rozmowe, dyskusja bowiem zaczynala sie zamieniac w klotnie, a zaden z nich 11 - Nastanie nocy 161 tego nie chcial. Poniewaz Biney naprawde nie wiedzial, jakiego typu porozumienie zawarli ze soba Athor i Foli-mun - jesli w ogole sie dogadali - Teremon uwazal, ze nie ma zbytniego sensu dalsze nagabywanie przyjaciela w tej kwestii.

Pozniej jednak zdal sobie sprawe, ze rozmowa z Bineyem miala miejsce dokladnie w chwili, gdy jego stosunek do Bineya, Szirina i reszty ludzi z obserwatorium zaczal sie zmieniac. Zaszla w nim przemiana z sympatyzujacego i zaciekawionego widza w szyderczego i pelnego pogardy krytyka. Choc sam doprowadzil do spotkania dyrektora obserwatorium z Apostolem, teraz wydawalo mu sie ono katastrofalnym w skutkach ustepstwem, naiwna kapitulacja ze strony Athora przed silami reakcji i slepej ignorancji.

Nigdy tak naprawde nie byl w stanie przekonac sie do teorii naukowcow, mimo wszystkich "dowodow", ktore mu przedstawili. Z poczatku, gdy w "Kronice Saro" zaczely sie ukazywac pierwsze doniesienia o zblizajacym sie zacamieniu, w swych felietonach przyjal pozycje neutralna.

Zaskakujace oswiadczenie - tak to nazwal - i przerazajace, o ile prawdziwe. Jak zupełnie slusznie mowi profesor Athor 77, kazdy dluzszy okres ogolnoswiatowej Ciemnosci stanowilby kleske, jakiej ludzkosc jeszcze nie zaznala. Lecz prosze, oto z drugiej strony swiata nadeszla tego ranka odmienna opinia. Heranian 1104, Nadworny Astronom Imperialnego Obserwatorium Krolewskiego w Kanipilitiniuk, "z calym naleznym szacunkiem dla wielkiego Athora 77" zapewnia, ze "nadal brak jest bezsprzecznych dowodow na to, iz satelita, tak zwany Kalgasz Dwa, w ogole istnieje, a juz tym bardziej, ze jest w stanie spowodowac takie zacamienie, jakie przepowiada zespol z Saro. Musimy pamietac, ze slonca - nawet tak male jak Dovim - sa nieporownywalnie wieksze od jakiegokolwiek wedrujacego w przestrzeni kosmicznej satelity i uwazamy za wysoce nieprawdopodobne, aby ow satelita mogl zajac na niebosklonie dokladnie taka pozycje, jaka konieczna jest do przechwycenia calego promieniowania slonecznego, mogacego do nas dotrzec..."

162

Pozniej, trzynastego umilitara, mialo miejsce wystapienie Mondiora 71, w ktorym Najwyzszy Apostol z duma oglosil, ze najwiekszy na swiecie czlowiek nauki udziлил swego poparcia slowu Ksiegi Objawien.-Glos nauki jest teraz jednym z glosem niebios! - wolal Mondior. - Ostrzegam was jednak: nie pokladajcie juz nadziei w cudach czy sennych marzeniach. Przyjdzie, co przyjsc musi. Nic nie moze uratowac swiata przed gniewem bogow, nic poza odstapieniem od grzechu, zaniechaniem zla i podazaniem sciezka cnoty i prawosci.

Halasliwa wypowiedz Mondiora wytracila Teremona ze stanu neutralnosci. Bedac lojalny wobec Bineya, pozwolil sobie na moment potraktowac hipoteze o zacamieniu calkiem serio.

Teraz zaczął ją traktować wyłącznie jako sensacje w sam raz na sezon ogorkowy - wymysł nadętych, samooklamujących się naukowców, zaslepionych entuzjazmem dla mnóstwa pośrednich dowodów i przypadkowo wyciąganych wniosków; naukowców pragnących uzasadnić najbardziej bezsensowną, obłędną ideę, jaką mógł stworzyć ludzki umysł.

Następnego dnia Teremon w swym felietonie pytał:

Czy nie zastanawiacie się, jakim sposobem Apostołowie Plomieni zdołali nawrócić profesora Athora 77 na swą wiarę? Dziwne, że właśnie ten starzec, nestor światowej astronomii, stanął w jednym szeregu z naiwnymi, popierającymi tych przyobleczonych w mnisie szaty i kaptury dostawców frazesów i zakłec. Czyżby pewien srebrnousty Apostoł pozbawił rozumu tak wybitnego naukowca za pomocą czarów? A może po prostu, jak zasłyszeliśmy z szeptów krazących po drugiej stronie porośniętych bluszczem murów Uniwersytetu Saryjskiego, wymagany wiek emerytalny dla pracowników naukowych ustalono o kilka lat za wysoko?

A to był dopiero początek.

Teremon wiedział teraz, jaka ma spełnić rolę. Gdyby ludzie zaczęli sprawę zaciemnienia traktować poważnie, na całym świecie mnożyłyby się przypadki złamania nerwów, nawet bez nastania Ciemności.

Jesliby dopuścić do sytuacji, że wszyscy uwierzą, iż

163

złagada nadejście dziesiętnastego theptara wieczorem, to dużo wcześniej na ulicach zapanuje panika, powszechna histeria, nikt nie będzie przestrzegać prawa i porządku, nastąpi długi okres ogólnej destabilizacji. Ludzmi owdłanie strach. A potem, gdyby dzień, którego tak się obawiano, nastąpił i odszedł bezboleśnie, bogowie racza wiedzieć jakie by to wywołało skutki. Teremon wyznaczył sobie zadanie skruszenia owego strachu przed nadejściem nocy, Ciemnością, sadem ostatecznym, i realizował je wysmiewając te bzdury bezlitośnie. Zatem gdy Mondior grzmiał, że oto zbliża się zemsta bogów, Teremon 762 zareplikował w pogodnym tonie opisując, jaki byłby świat, gdyby Apostołom udało się zreformować społeczeństwo - opowiadał o ludziach idących na plażę, spowitych w sięgające do kostek stroje kąpielowe, o długich sesjach modlitw, przerywających co chwila rozgrywki sportowe, o wszystkich znaczących książkach, klasycznych sztukach i wodewilach zmienionych tak, by wyeliminować najmniejszy choćby ślad bezbożności.

Kiedy Athor i jego zespół opublikowali wykresy ukazujące ruch na niebie nie widzianego dotąd i najwyraźniej nie dającego się zobaczyć Kalgasza Dwa, przedstawiające tajemnicze spotkanie satelity z bładoczerwonym światłem Dovima, Teremon pozwolił sobie na sympatyczny komentarz o smokach, niewidzialnych olbrzymach i innych potworach z mitologii brykających wśród chmur.

Gdy Mondior szafował wokół autorytetem naukowym Athora 77 jako argumentem świadczącym o poparciu osobistości świeckich dla nauk Apostolów, Teremon zareplikował pytaniem, na ile poważnie można traktować ową autorytet, jeśli Athor jest teraz, w sposób oczywisty, równie obłakany jak sam Mondior.

Kiedy Athor wezwał - była to część programu obrony przed skutkami katastrofy - do gromadzenia zapasów żywności, informacji naukowo-technicznych i w ogóle wszystkiego, co tylko byłoby potrzebne rodzajowi ludzkiemu po wybuchu powszechnego obłędu, Teremon zasugerował, że w niektórych miejscach już zapanował po 164 wszechny obłęd i zamieszczył własną listę koniecznych artykułów, które należy ukryć w piwnicy: ...otwieracze do konserw, pinezki, kilka egzemplarzy tabliczki mnożenia, karty do pokera... Pamiętajcie, zapiszcie swoje imię na kawałku tekturki i przywiążcie do prawego nadgarstka, w razie gdybyście po nadejściu Ciemności zapomnieli, jak się nazywacie. Na lewym nadgarstku przywiążcie tekturkę z napisem: "Aby sobie przypomnieć moje imię, patrz kartka na drugim nadgarstku"...

Jeszcze Teremon nie skończył pracy nad tym tematem, a już jego czytelnicy nie mogli się zdecydować, kto był bardziej niepočitalny - hałasliwi w głoszeniu sadu bożego Apostolowie Plomieni, czy też pełni patosu, łatwowierni naukowcy z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Saryjskiego. Jedno było pewne: dzięki Teremonowi prawie nikt nie wierzył, że dziewiętnastego theptara wieczorem wydarzy się coś nadzwyczajnego.

20

Athor czuł, że zaraz wybuchnie. Z furii patrzył na młodego dziennikarza. Hamował się najwyższym wysiłkiem woli. - Pan tutaj? Na przekór wszystkiemu, co powiedziałem? Co za bezczelność!

Teremon stał z wyciągniętą ręką, jakby naprawdę spodziewał się, że Athor ją uściskie. Po chwili opuścił dłoń i przyglądał się dyrektorowi obserwatorium z zadziwiającą beztroską.

- Okazuje pan wyjątkowy tupet przychodząc tu dziś wieczorem - powiedział Athor głosem drżącym od z trudem powstrzymywanej pasji. - Zdumiewa mnie, że ma pan jeszcze czelność pokazywać się nam na oczy.

Stojący w kacie pokoju Biney zwilżył suche wargi koniuszkiem języka.

- Panie profesorze, mimo wszystko... - usiłował wtrącić.

165

- Ty go tutaj zaprosiłeś? Przecież wyraźnie zabroniłem... - Panie profesorze...

- Zrobiła to doktor Siferra - powiedział Teremon. - Nalegała usilnie, bym przyszedł. Jestem tu na jej zaproszenie.

-Siferra? Bardzo w to watpie. Zaledwie kilka tygodni temu mowila mi, ze uwaza pana za nieodpowiedzialnego glupca. Wyrazala sie o panu jak najgorzej. - Athor rozejrzal sie wokol. - A wlasnie, gdzie sie ona podziewa? Miala byc tutaj, prawda? - Odpowiedziala mu cisza. Athor zwrocil sie do Bineya: - To ty przyprowadziles tego dziennikarza. Jak mogles zrobic cos podobnego?! To nie jest dobry moment na niesubordynacje. Dzis wieczorem obserwatorium jest zamkniete dla przedstawicieli prasy. A dla tego konkretnego czlowieka zamkniete jest juz od dawna. Natychmiast go wyprowadz!

-Panie profesorze - odezwal sie Teremon - jesli tylko pan pozwoli wytлумaczyc powod mojego...

-Moj panie - przerwal mu Athor - nie sadze, by cokolwiek, co pan teraz powie, mialo jakies znaczenie wobec panskich codziennych felietonow. Przez ostatnie dwa miesiace prowadzil pan wielka kampanie prasowa przeciw staraniom moim i moich kolegow, zmierzajacym do tego, by przygotowac swiat w obliczu grozby, ktora niechybnie nadchodzi. Uzyn pan wszelkich chwytow, aby szkalowac i osmieszac personel obserwatorium. - Chwycil z biurka numer "Kroniki Saro" i pogrozil nim dziennikarzowi. - Nawet pan, znany z zuchwalstwa, powinien sie zawahac, zanim przyszedl tu do mnie z prosba o zgode na relacjonowanie dzisiejszych wydarzen w tym szmatlawcu. Ze wszystkich dziennikarzy - wlasnie pan!

Athor cisnal gazete o podloge, odszedl do okna i splotl rece za plecami.

-Ma pan natychmiast wyjsc - warknal przez ramie. - Bineyu, wyrzuc go stad.

W skroniach mu pulsowalo. Musial zapanowac nad gniewem. Nie mogl sobie pozwolic, aby cos odwracalo jego uwage od majacego wlasnie nastapic kataklizmu.

Posepnie zapatrzył sie na wiezowce Saro. Nakazal sobie

166

spokoj, maksymalny spokoj, na jaki mogl sie zdobyc tego wieczora. Onos chylil sie nad widnokregiem. Pobladl i znikal wsrod oblokow. Athor obserwowal powolny zachod najjasniejszego z szesciu slonc.

Wiedzial, ze nie zobaczy go juz nigdy jako czlowiek przy zdrowych zmyslach.

Nisko na niebie, daleko za miastem, na drugim krancu horyzontu widac bylo chlodne, blade swiatlo Sithy. Nie sposob bylo nigdzie dostrzec blizniaczego slonca Sithy, Tano - juz zaszlo, szybujac teraz przez niebo przeciwnej polkuli, ktora wkrotce bedzie przezywala niezwykle zjawisko dnia pieciu slonc. Sitha takze szybko znikal z oczu. Jeszcze chwila, a i on zajdzie.

Athor za plecami slyszal szept Bineya i Teremona.

-Czy ten czlowiek wciaz tu jest? - spytal zlowieszczo.

-Panie profesorze, mysle, ze powinien pan wysluchac tego, co ma do powiedzenia - odparl Biney.

-Tak myslisz? Uwazasz, ze powinienem go wysluchac? - Athor pokrecil glowa, oczy blyszczaly mu zlowrogo. - O nie, Bineyu. Nie, to on mnie wyslucha! - Wladczym gestem skinal na dziennikarza. - Podejdz tu, mlody czlowieku! Bedzie pan mial material do reportazu.

Teremon, ktory i tak nie kwapil sie do wyjscia, powoli podszedl do starego astronoma.

Athor wskazal niebo.

-Sitha za moment zajdzie - nie, juz zaszedl. Za kilka chwil Onos takze zniknie. I z szesciu slonc zostanie tylko Dovim. Widzi pan?

Pytanie bylo zbytne. Tego wieczora czerwone karlowate slonce wydawalo sie jeszcze mniejsze niz zwykle, mniejsze, niz je Teremon kiedykolwiek widzial. Niemal osiagnelo zenit. Na horyzoncie gasly jasne promienie zachodzacego Onosa i czerwony blask Dovima spowijal krajobraz niezwykla tragiczna poswiata w kolorze krwi.

Zwrocona w gore twarz Athora ubarwiona byla czerwonym swiatlem Dovima.

-Za niespelna cztery godziny nastapi kres znanej nam

167

cywilizacji - powiedzial stary astronom. - Stanie sie tak dlatego, ze - jak pan widzi - na firmamencie zostalo tylko jedno slonce. - Zmruzyl oczy patrzac na horyzont. Ostatnie promienie Onosajuz zniknely. - Samotny Dovim! Jeszcze cztery godziny, a wszystko sie skonczy. Niech pan to opublikuje, prosze bardzo! I tak nikt juz tego nie przeczyta.-A jezeli mina te cztery godziny i kolejne cztery, i nic sie nie stanie? - zapytal cicho Teremon.

-Niech pana o to glowa nie boli. Wydarzen bedzie dosyc!

-Byc moze. A jesli mimo wszystko nie nastapi nic nadzwyczajnego? Athor opanowal narastajacy znowu gniew.

-Jesli pan sam stad nie wyjdzie, a Biney odmowi wyprowadzenia pana, zadzwonie po straznikow i... Nie. To ostatni wieczor cywilizacji, zachowujmy sie jak kulturalni ludzie. Ma pan, mlody czlowieku, piec minut, zeby powiedziec, z czym pan tutaj przyszedl. Gdy ten czas uplynie albo zezwole, zeby pan tu pozostal i ogladal zacmienie, albo tez wyjdzie pan z wlasnej woli. Zrozumiano?

Teremon wahal sie tylko przez moment.

-Zgoda.

-Piec minut. Proszę mówić. - Athor wyjął z kieszeni zegarek.

-Wspaniale! Zatem czy robi to panu jakas różnicę, gdybym spisał relacje naoczego świadka z czekających nas wydarzeń? Jeśli pańskie przewidywania się sprawdzą, moja obecność tutaj nie będzie miała najmniejszego znaczenia - świat się skończy, jutro nie ukaza się żadne gazety, tak więc nie będę mógł wyrzucić panu jakiegokolwiek krzywdy. A przypuścmy, że nie będzie żadnego zaciemnienia. Staniecie się obiektem takiego posmiewiska, jakiego jeszcze ten świat nie widział. Czy nie sądzi pan, że rozsradniej byłoby mieć przyjaznego przesmiewcę?

Athor odchrząknął.

-Ma pan na myśli siebie?

-Oczywiście! - Teremon niedbale usadowił się na najwygodniejszym krzesle i założył nogę na nogę. - Moje

168

felietony może bywają czasami zbyt ostre, zgoda, ale kiedy to tylko możliwe, w sytuacji wątpliwej raczej skłaniam się ku zdaniu naukowców, biorę waszą stronę. Biney jest moim przyjacielem. On pierwszy podsunął mi przypuszczenie, że coś się dzieje i - jak może pan sobie przypomina - z początku byłem zycyliwie zainteresowany wynikami pańskich badań. Tak, z początku. Panie profesorze, pytam -jak pan, jeden z największych naukowców w historii, może odrzucać świadomość, że obecny wiek jest czasem zwycięstwa rozumu nad przesadą, faktu nad fantazjami, wiedzy nad ślepy m strachem? Apostołowie Plomieni są absurdalnym anachronizmem. Księga Objawień to stek zawitych bzdur. Wie o tym każdy inteligentny, nowoczesny człowiek. I stąd ludzie są zaniepokojeni, nawet zdenerwowani widząc, jak naukowcy zmieniają front i mówią, że ci fanatycy głoszą prawdę. Oni...-Nic podobnego, młody człowieku - przerwał A-thor. - Mimo że część danych dostarczyli nam Apostołowie, nasze wnioski nie zawierają nic z ich mistycyzmu. Fakty są faktami i nie można zaprzeczyć, że te tak zwane bzdury głoszone przez Apostolów opierają się po części na faktach. Pozwól sobie pana zapewnić, że odkryliśmy to ku naszemu własnemu zmartwieniu. Ogłosiliśmy jednak ich mity z tajemniczości i zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, aby oddzielić ich zupełnie uzasadnione ostrzeżenia o nadchodzącej katastrofie od niedorzecznego i trudnego do zaakceptowania programu przemiany i zreformowania społeczeństwa. Jestem pewien, że Apostołowie nienawidzą nas dzisiaj bardziej nawet niż pan.

-Ja nie palam do was nienawiscia. Usiłuje jedynie zwrócić uwagę pana profesora, że opinia publiczna jest w kiepskim nastroju. Ludzie są zli.

-Niech sobie beda! - rzucił astronom i drwiaco wydał wargi.

-A co przyniesie jutro?

-Nie będzie zadnego jutra!

-A jeśli jednak będzie? Przyjmijmy takie założenie - choćby tylko dla potrzeb dyskusji. Wówczas ten gniew może stać się groźny. Jak wiadomo, cały świat finansowy

169

już od kilku miesięcy odczuwa tendencję spadkową. Giełda papierów wartościowych załamała się już trzykrotnie, a może pan tego nie zauważył? Inwestorzy są rozsądni i w gruncie rzeczy nie wierzą, że nastąpi koniec świata, ale przypuszczają, że inni inwestorzy mogą tak pomyśleć, stąd też co sprytniejsi wyprzedają akcje, zanim jeszcze zacznie się panika - i tym samym nadają jej impet. Później zaś odkupują akcje z powrotem i znowu sprzedają, jak tylko ustabilizuje się rynek, ponownie zaczynając cały cykl spadkowy od początku. A jak pan myśli, co stało się z gospodarką? Szary człowiek też panu nie uwierzył, ale jest zdania, że na wszelki wypadek lepiej odłożyć na później zakup nowych mebli. Woli trzymać pieniądze przy sobie albo ulokować je w żywności i amunicji. Meble mogą poczekać. Panie profesorze, zdaje pan sobie sprawę, do czego zmierzam? Kiedy minie cała histeria, biznesmeni rozpoczną na pana nagonkę. Podniosą krzyk, że w interesie całego świata leży zwalczanie - zechce pan wybaczyć - szarlatanów przebranych za poważnych naukowców, gdyż mogą zachwiać światową gospodarką, szermując podejrzanymi hipotezami. Posypia się na was gromy. Athor słuchał obojętnie. Piec minut dobiegło już prawie końca.

-A co pan sugeruje, by opanować sytuację?

-Co sugeruje? - Teremon uśmiechnął się szeroko. - Myślałem o tym, by od jutra działać jako pański nieoficjalny rzecznik prasowy. Chce przez to powiedzieć, że mogłbym pokierować opinią publiczną - tak jak dotychczas - by napięcie rozładować humorem, czasem niezbędna drwina. Wiem, wiem... przyznaje, że będzie to przykre, bo wyjdziecie na idiotów. Ale jeśli spowoduje, że ludzie zaczną się z was śmiać, złość pojdzie w niepamięć. W zamian proszę jedynie o wyłączne prawo do relacjonowania dzisiejszych wydarzeń w obserwatorium.

Athor milczał.

-Panie profesorze! - wybuchnął Biney. - Warto się nad tym zastanowić. Braliśmy pod uwagę wszystkie możliwości prócz szansy, może jednej na milion, może jednej na miliard, że do naszej teorii czy obliczeń wkradł się błąd. A jeśli tak jest w istocie...

170

Zgrupowani wokół astronomowie zareagowali pomrukiem, który zdał się Athorowi pomrukiem zgody. Bogowie, czyżby odwracał się od niego cały wydział? Dyrektor

obserwatorium skrzywił się jak ktoś, kto czuje w ustach przykra gorycz i nie może się jej pozbyć. -Pozwolic panu na pozostanie z nami po to tylko, by mógł pan nas bardziej osmieszyć? Widocznie uważa pan, młody człowieku, że wkroczyłem już w wiek starczy!

-Wyjaśniłem, że moja obecność w obserwatorium nic nie zmieni - odparł Teremon. - Jeśli zaciemnienie nastąpi, jeśli istotnie nadejdzie Ciemność, to z mojej strony może się pan spodziewać jedynie najwyższego szacunku i chęci pomocy, w razie gdyby sprawy przyjęły zły obrot. A jeśli mimo wszystko nic się nadzwyczajnego nie zdarzy, jestem gotów zaoferować swe usługi w nadziei ochrony pana, panie profesorze, przed gniewem ludzi, którzy...

Przerwał mu kobiecy głos.

-Niech mu pan pozwoli zostać, panie profesorze. Athor rozejrział się. Nie zauważona przez niego do pokoju weszła Siferra.

-Przepraszam, że się spóźniłam. W ostatniej chwili mieliśmy na Wydziale Archeologii pewien kłopot, który był przyczyną małego zamieszania, i... - wymieniła z Teremonem przelotne spojrzenie, po czym dokonała, zwracając się do Athora: - Niech pan się nie gniewa, panie profesorze. Wiem, jak bezlitosnie z nas szydził. Poprosiłam go jednak, aby tu dziś wieczorem przyszedł i przekonał się, że to my mieliśmy rację. On jest... moim gościem, panie profesorze.

Athor na chwilę przymknął oczy. Gość Siferry! Tego już było za wiele. Czemu by nie zaprosić też Folimuna? A może Mondiora?! Stracił jednak zapal do dalszej dyskusji. Czasu było coraz mniej. A ponadto nikt z pozostałych nie miał nic przeciwko temu, by Teremon był tu w czasie zaciemnienia.

Czy miało to jakieś znaczenie?

Czy cokolwiek miało teraz znaczenie?

-Niech pan zostanie - powiedział Athor z rezygnacją. - Ale proszę nie przeszkadzać nam w wypełnianiu

171

obowiązków. Zrozumiano? O ile to możliwe, będzie się pan trzymał na uboczu. Niech pan również pamięta, że jestem odpowiedzialny za wszystko, co się tu dzieje i, pomimo pańskich opinii wyrażonych w felietonach, wymagam lojalnej współpracy i pełnego szacunku...

21

Siferra podeszła do Teremona i powiedziała cicho: -Nie spodziewałam się, że tu dziś

przyjdiesz.

-Dlaczego? Zostałem przecież zaproszony.

-Oczywiście. Byles jednak tak brutalny w kpinach, jakie o nas wypisywales w tych felietonach - tak barbarzyński...

-Chcialas powiedziec nieodpowiedzialny? Zaczerwienila sie.

-To tez. Nie wyobrazalam sobie, ze bedziesz smial stanac przed Athorem po tych wszystkich okropienstwach, jakie o nim mowiles.

-Nie tylko stanalem przed nim. Jesli sie okaze, ze jego smiale przewidywania byly trafne, padne przed nim na kolana i pokornie bede blagal o przebaczenie.

-A jesli jego przewidywania nie okaza sie trafne?

-Wtedy bede mu potrzebny - powiedzial Teremon. - I wam wszystkim. Wlasnie w tym miejscu powinienem byc dzis wieczorem.

Siferra spojrzala na dziennikarza ze zdumieniem. Zawsze potrafil powiedziec cos zaskakujacego. Nie zdolala go jeszcze rozgryzc. Oczywiście, czula do niego niechec - to nie wymagaloby wyjasnienia. Wszystko, co bylo z nim zwiazane, jego sposob mowienia i ubierania sie, jej zdaniem uderzaly popolitoscia i brakiem gustu. On sam byl symbolem nieogladzonego, brutalnego, odrazajacego swiata zza uniwersyteckich murów, ktorego nie znosila.

A jednak, a jednak...

Teremon potrafil wprawiac ja w mimowolny podziw. Byl twardy, to po pierwsze, nieugiety w osiaganiu celu.

172

Potrafila to docenic. Byl bezposredni, wrecz szorstki, stanowil jaskrawy kontrast dla falszywych, wyrachowanych, zadnych wladzy ludzi na uniwersytecie, ktorzy zewszad ja otaczali. Byl tez niewatpliwie inteligentny, choc zdecydowal sie wykorzystywac swa wnikliwosc i dociekliwosc w pracy na blahym, nic nie znaczącym polu, jakim bezsprzecznie jest dziennikarstwo. Z szacunkiem odnosila sie do jego ogromnej fizycznej energii - byl wysoki, dobrze zbudowany i najwyrazniej w znakomitej kondycji. Siferra nigdy nie miala uznania dla cherlakow. Bardzo dbala, by do nich nie nalezec. Wlasciwie zdala sobie sprawe - choc bylo to nieprawdopodobne i dla niej bardzo zenujace - ze w pewnym sensie ja pociagal. Przyciaganie sie przeciwnostw? Tak, tak, to bylo najbardziej trafne wytлумaczenie. Ale niezupełnie prawdziwe. Siferra wiedziala bowiem, ze mimo powierzchownych roznic miala wiecej cech wspolnych z Teremo-nem, niz byla sklonna

przynac.

Zakłopotana spojrziała w kierunku okna.

-Juz sie sciemnia - powiedziala. - Jeszcze nie widzialam, zeby bylo tak ciemno.

-Przerazona? - spytal Teremon.

-Ciemnoscia? Nie, raczej tym, co nastapi pozniej. Ty chyba tez.

-Tym, co nastapi pozniej? - powtorzil dziennikarz. - Przypuszczam, ze wzejdzie Onos, zaswieci tez kilka innych slonc i w ogole wszystko bedzie tak jak dotad.

-Wydajesz sie tego pewien. Teremon rozesmial sie glosno.

-Odkad jestem na tym swiecie, Onos wschodzil kazdego ranka. Dlaczego mialbym watpic, czy wzejdzie jutro?

Siferra pokiwala glowa. Znow zaczal ja denerwowac swoim prostactwem. Trudno uwierzyc, ze jeszcze przed chwila wydawal sie pociagajacy.

-Onos jutro wzejdzie - powiedziala chlodno - i oswietli takie zniszczenia, jakich osoba o twojej ograniczonej wyobrazni najwidoczniej nie jest zdolna przewidziec.

-Wszystko w ogniu? I wszyscy chodza po plonacym miescie belkocac i sliniac sie jak idioci?

173

-Dowody archeologiczne wskazuja...-Tak, pozary, powtarzajace sie masakry, ale tylko w jednym malym siedlisku, tysiace kilometrow stad i tysiace lat temu. - Teremon nagle sie ozywil. - A gdzie sa twoje dowody archeologiczne na epidemie obledu? Czy z tamtych pozarow nie wyciagasz zbyt daleko idacych wnioskow? Skad mozesz wiedziec, czy nie byly to pozary rytualne, spowodowane przez w pelni rozumnych ludzi w nadziei, ze zdolaja przywolac slonca i odpedzic Ciemnosc? Pozary, ktore, oczywiscie, za kazdym razem rozprzestrzenialy sie i powodowaly rozlegle zniszczenia, ale ktore nie byly w zaden sposob zwiazane z jakimis uposledzeniem umyslowym ogolu ludzkosci!

Siferra zachowala spokoj.

-Jesli juz mowisz o powszechnym uposledzeniu umyslowym, to wiedz, ze na to tez istnieje dowod archeologiczny - powiedziala chlodno.

-Jaki dowod?

-Teksty tabliczek. Dopiero dzis rano zakonczylysmo odczytywanie; korzystalismy z danych filologicznych, ktore udostepnili nam Apostolowie Plomieni...

-Apostolowie Plomieni! Cudownie! - Teremon parsknal smiechem. - Wiec ty tez jestes Apostolem! Co za wstyd, Siferro. Kobieta o takiej jak ty figurze... coz, od teraz bedziesz sie musiala opatulac w jedna z ich strasznych, bezkszaltnych, grubych szat.

-Ty blaznie! - Siferre na te bezczelnosc zalala fala wscieklosci i obrzydzenia. - Nie stac cie na nic innego, tylko na szyderstwo? Jestes tak przekonany o swojej wlasnej racji, ze oczywiste fakty zbywasz nedzna kpina,! Niewiarygodne...

Odwrocila sie i szybko przeszla przez pokoj.

-Siferro! Siferro, poczekaj...

Udala, ze nie slyszy. Jej serce pulsowalo gniewem. Zrozumiala teraz, ze popelnila straszliwa pomyлке, zapraszajac tu Teremona. Pomyлке, ktora w rzeczywistosci nie miala z nim nic wspolnego.

Pomyslala, ze wszystkimu zawinil Biney.

To wlasnie Biney kilka miesiecy temu przedstawil jej

174

Teremona w klubie na Wydziale Archeologii. Dziennikarz i mlody astronom znali sie juz od dawna i Teremon czesto radzil sie Bineya w sprawach naukowych, ktore byly akurat poruszane w prasie. Wtedy powszechne zainteresowanie budzily przepowiednie Mondiora 71 o koncu swiata, co mialo nastapic dziewietnastego theptara, czyli za niespelna rok. Oczywiscie, nikt na uniwersytecie nie darzyl Mondiora i jego Apostolow najmniejszym nawet szacunkiem, ale prawie w tym samym czasie Biney ujawnil zaobserwowane nieprawidlowosci w orbicie Kalgasza, a Siferra zdala relacje z odkryc na wzgorzu Tombo z pozarow nastepujacych co dwa tysiace lat. Obydwa odkrycia byly przerazajaco zbiezne z proroctwami Apostolow.

Wydawalo sie, ze Teremon wie wszystko o Tombo. Siferra i Biney rozmawiali w klubie, a tu raptem wszedl ten dziennikarz i Biney bez zadnego uprzedzenia powiedzial po prostu:

-Siferro, poznaj mego przyjaciela. Teremonie, to doktor Siferra z Wydzialu Archeologii.

-Tak, tak, wiem - odpowiedzial pospiesznie Teremon. - Spalone jedna po drugiej osady na starozytnym wzgorzu.

-Wiec slyszal pan o tym? - Siferra chlodno sie usmiechnela.

-Powiedzialem mu - rzekl szybko Biney. - Pamietam, obiecalem nie pisnac ani slowa, ale jak juz pokazalas to wszystko Athorowi, Szirinowi i reszcie, pomyslam sobie, ze nie zrobie nic zlego, jesli mu powiem - o ile kaze mu przysiac dochowanie tajemnicy... Chce przez to

powiedziec, Siferro, ze ufam temu czlowiekowi i bylem calkiem pewien...

-Daj juz spokoj, Bineyu! - Siferra z trudem opanowala rozdraznienie. - Nie powinienes nic mowic, ale wybaczam ci.

-Nic sie nie stalo - wtracil Teremon. - Biney kazal mi zlozyc uroczysta przysiege, ze nie bede o tym pisal. I nic nie napisalem, choc to absolutnie fascynujace! Ile lat ma ta osada na spodzie? Jakies piecdziesiat tysiecy?

-Gdzies okolo pietnastu tysiecy. To i tak duzo, skoro

175

Beklimot - slyszal pan zapewne o Beklimocie? - liczy sobie w przyblizeniu dwa tysiace lat, a przyjelismy uwazac go za najwcześniejsza osade na Kalgaszu. Czy zamierza pan pisac o moich odkryciach?-Wlasciwie nie mialem takiego zamiaru. Powiedzialem juz, ze dalem Bineyowi slowo, no i uznalem, ze jest to chyba zbyt abstrakcyjne dla czytelnikow "Kroniki", nadto odlegle od ich spraw codziennych. Teraz mysle, ze to wspanialy temat. Jesli zechcialaby sie pani ze mna spotkac i przekazac mi szczegoly...

-Raczej nie - odparla Siferra.

-Czego mi pani odmawia? Nie chce sie pani ze mna spotkac czy przekazac mi szczegolow?

Jego natychmiastowa, bezceremonialna riposta rzucila na te rozmowe zupełnie nowe swiatlo. Siferra ku swemu zaskoczeniu zrozumiala, ze dziennikarza pociaga jej urok. Zdala sobie sprawe, ze Teremon musial podejrzewac, iz miedzy nia i Bineyem istnial romans - przeciez spotkal ich siedzacych razem w klubie - a gdy w koncu zdecydowal, ze nic ich nie laczy, odwazyl sie zaproponowac jej randke.

"To jego problem" - pomyslala sobie i obojetnie powiedziala:

-Jeszcze nie opublikowalam swych prac o Tombo w przegladach naukowych. Do tego czasu nic nie powinno sie przedostac do prasy codziennej.

-Calkowicie to rozumiem. A jesli obiecami, ze bede przestrzegal daty wydania pani pracy, czy wczesniej bylaby pani sklonna przejrzec ze mna swoje materialy?

Spojrzala na Bineya. Coz byla warta obietnica dziennikarza?

-Mozesz mu zaufac - rzekl Biney. - Juz ci mowilem, jest bardzo slowny jak na ten fach.

-Nie wiem, czy to wystarczajaca rekomendacja - wtracil Teremon ze smiechem. - Mam jednak dosc rozumu, by dotzymac slowa, kiedy chodzi o pierwszenstwo w wydaniu publikacji naukowej. Gdybym zbyt wczesnie wyskoczyl z pani historia, Biney juz by

dopilnowal, zeby na calym uniwersytecie moje nazwisko mieszano z blotem. Mialbym sie z pyszna, przeciez niektore z moich najciekawszych tematow w duzej mierze zaleza od kontaktow z uczonymi. Czy moze zatem liczyc na wywiad z pania? Powiedzmy, pojutrze?

I tak to sie zaczelo.

Teremon byl bardzo przekonujacy. Ostatecznie zgodzila sie zjesc z nim obiad i powoli, zrecznie wydusil z niej szczegoly dotyczace wykopalisk w Tombo. Pozniej tego zalowala; spodziewala sie zobaczyc na drugi dzien glupi, sensacyjny artykul w "Kronice Saro", ale Teremon dotrzymal slowa i nic na ten temat nie napisal. Poprosil jednak, by pokazala mu swe laboratorium. Znow sie zgodzila, on zas przegladal wykresy, zdjecia i probki popiolu. Zadawal inteligentne pytania.

-Nie masz zamiaru o mnie pisac, prawda? - spytala nerwowo. - Teraz, gdy juz to wszystko obejrzales?

-Zlozylem obietnice. I jej dotrzymam. Z chwila gdy powiesz mi, ze twoje odkrycia zostana wkrótce opublikowane w jednym z przegladow naukowych, bede uwazal, iz uzyskalem prawo do opisanie calej tej historii. Co bys powiedziala na obiad jutro wieczorem w klubie Szesc Slonc?

-No, nie wiem...

-Wiec pojutrze?

Siferra rzadko bywala w miejscach typu Szesc Slonc. Nie chciala nikomu czynic zludnych nadziei.

Teremonowi jednak nielatwo bylo odmowic. Dziesiec dni ja namawial - grzecznie, zabawnie i sprytnie - az wreszcie osiagnal cel. Umowila sie z nim na randke. Coz, pomyslala, ze moze pozwolic sobie na pewna zmiane, odejsc od monotonii swej pracy. A on byl taki przystojny... Spotkali sie w Szesciu Sloncach, gdzie jak sie okazalo, wszyscy dobrze go znali. Podano im drinki, obiad, wysmienite wino z prowincji Thamian. W rozmowie zrecznie przeskakiwal z tematu na temat: troche o jej zyciu, jej fascynacji archeologia, wykopaliskach w Beklimocie. Dowiedzial sie, ze nie wyszla za maz i nie miala zamiaru tego uczynic. Rozmawial z nia o Apostolach, ich szalonych przepowiedniach, zaskakujacym zwiazku jej znalezisk z Tombo z twierdzeniami Mondiora. Wszystko, co mowil, bylo wielce taktowne, blyskotliwe, interesujace. Byl czarujacy - i zarazem bardzo podstepny. 12 - Nastanie nocy 177 Pod koniec kolacji spytal ja - grzecznie, zabawnie i sprytnie - czy moglby towarzyszyac jej w drodze do domu. Na to juz nie pozwolila.

Wcale go to nie zrazilo. Po prostu zaproponowal, by znowu gdzies razem poszli.

Trwalo to jakies dwa miesiace. Spotkali sie jeszcze ze dwa czy trzy razy. Za kazdym razem powtarzal sie ten sam schemat: kolacja w jakimis eleganckim lokalu, interesujaca

rozmowa, w koncu delikatnie sformulowana propozycja, by nie szła spac samotnie. Za kazdym razem rownie delikatnie sie wykrecała. Zastanawiała sie, jak dlugo potrwa ta niewinna pogon, która stala sie przyjemna zabawa. Nadal nie miała ochoty pojsc z nim do lozka, ale - i to bylo dziwne - nie miała tez specjalnej ochoty, by nie pojsc z nim do lozka. Od dawna niczego podobnego nie czula w stosunku do zadnego mezczyzny.

Wtedy pojawila sie pierwsza seria felietonow, w których Teremon zdradzil teorie obserwatorium, podal w watpliwosc pelnie wladz umyslowych Athora, przyrownal przepowiednie naukowcow o zamienieniu do urojen Apostolow Plomieni.

Początkowo Siferra nie wierzyła. Czy był to jakiś kawał?

Przyjaciel Bineya - a właściwie teraz jej przyjaciel - przypuszcza tak bezpardonowy atak?

Minelo pare miesiecy. Ataki trwaly nadal. Nie miała od Teremona zadnych wiesci.

W koncu nie mogła juz dluzej milczec.

Zadzwonila do niego do redakcji.

-Siferra! Co za niespodzianka! Mozesz mi wierzyc lub nie, ale miałem dzis po poludniu do ciebie zadzwonic, zeby spytac, czy bylabys zainteresowana pojsciem do...

-Nie bylabym - przerwala mu. - Co ty wyprawiasz?

-Wyprawiam?

-Mowie o felietonach o Athorze i obserwatorium. Przez dluzszy czas po drugiej stronie panowala cisza. Wreszcie Siferra uslyszala:

-Jestes zdenerwowana.

-Zdenerwowana? Jestem wsciekla!

-Wydaje ci sie, ze bylem zbyt ostry? Posluchaj, Siferro, kiedy piszesz dla ogromnej rzeszy prostych ludzi, czasem

178

az za prostych, musisz pisac jasno, czarno na bialym, albo ryzykujesz, ze nie zrozumieja. Nie moge tak po prostu napisac, ze wedlug mnie Athor i Biney sa w bledzie. Musze napisac, ze sa pomylencami.-Od kiedy to uwazasz, ze sa w bledzie? A co na to Biney?

-No...

-Piszesz na ten temat od wielu miesiecy, teraz jednak wykonales zwrot o sto osiemdziesiat

stopni. Czytajac twoje artykuly mozna dojsc do wniosku, ze wszyscy na uniwersytecie sa zupełnie szalonymi uczniami Mondiora. Jesli szukales kogos, z kogo moglbys sobie stroic zarty, czy nie mogles rozejrzec sie gdzieś poza uniwersytetem?

-To nie sa tylko zarty, Siferro - powiedzial Teremon spokojnie.

-Wierzysz w to, co piszesz?

-Tak. Szczerze. Jestem przekonany, ze nie bedzie zadnego kataklizmu. I oto Athor uruchamia alarm przeciwpozarowy w zatloczonym teatrze. Moimi zartami, pogodnym wysmiewaniem sie z tego i owego probuje powiedziec ludziom, ze niekoniecznie musza go traktowac powaznie - niech nie wpadaja w panike, nie krzycza ze strachu...

-Ależ, Teremonie, pozary beda miały miejsce! A ty swoim szyderstwem prowadzisz niebezpieczna gre kosztem dobra ogolu. Posluchaj mnie: widzialam popioly dawnych pozarow, pozarow odleglych o tysiace lat. Wiem, co sie wydarzy. Plomienie nadejda. Nie mam co do tego zadnych watpliwosci. Ty takze widziales dowody. I mimo to dzialasz w sposob najbardziej destrukcyjny, jaki mozna sobie wyobrazic. Okrutny, glupi i pelen nienawisci. I całkowicie nieodpowiedzialny.

-Siferro...

-Sadzilam, ze jestes czlowiekiem inteligentnym. Teraz widze, ze jestes dokladnie taki sam jak pozostali.

-Sifer...

Przerwala polaczenie.

I tak juz pozostalo. Nie zmienila swojego zdania o Teremonie, nie odpowiadala, kiedy dzwonic, az do pewnej chwili na kilka tygodni przed owym fatalnym dniem.

179

Na poczatku theptara Teremon zadzwonic po raz kolejny i Siferra odezwala sie, nie wiedzac, ze to on.-Nie odkladaj sluchawki - powiedzial szybko. - Daj mi tylko minute.

-Wolalabym nie.

-Sluchaj, Siferro. Mozesz mnie nienawidzic z calej duszy, ale chce, zebys wiedziala, ze nie jestem okrutny ani glupi.

-A ktoz to powiedzial?

-Ty to powiedzialas kilka miesiecy temu, kiedy ostatni raz rozmawialismy. Ale to nie tak. Ja wierze we wszystko, co napisalem w moich felietonach na temat zacmienia.

-Zatem rzeczywiscie jestes glupcem... a moze blaznem. Nie wiem, czy stanowi to jakas roznicę i czy na pewno na korzysc. To zreszta nic nie zmienia.

-Widzialem dowody i myslalem o nich. Uwazam, ze wy wszyscy zbyt szybko wyciagacie wnioski.

-Coz, przekonamy sie o tym dziewietnastego - odrzekla chlodno. - Zaluje, ze nie potrafie wam uwierzyc, bo ty, Biney i pozostali jestescie tak wspanialymi ludzmi, szczerze oddanymi sprawie, cudownymi, i tak dalej. Ale nie potrafie. Jestem sceptykiem z natury. Bylem nim przez cale zycie. Nie potrafie przyjac zadnego dogmatu, ktory ludzie probuja mi wmowic. Zdaje sie, ze to duza wada - to sprawia, ze wydaje sie powierzchowny. Byc moze rzeczywiscie jestem powierzchowny, ale przynajmniej jestem szczerzy. Po prostu mysle, ze nie bedzie zadnego zacmienia, szalenstwa czy pozarow.

-To nie dogmat, Teremonie, a hipoteza.

-Wybacz, to tylko gra slow. Przepraszam, Siferro, jesli poczulas sie obrazona czymś, co napisalem, ale nic na to nie moze poradzić.

Przez chwile milczala. W jego glosie cos ja osobliwie wzruszylo. W koncu powiedziala:

-Dogmat, hipoteza, jakkolwiek to nazwiemy, zostanie zweryfikowane juz za kilka tygodni. Dziewietnastego wieczorem bede w obserwatorium. Przyjdz wiec, zobaczymy, kto z nas ma racje.

-Czy Biney nic ci nie powiedzial? Athor uznal mnie persona non grata na terenie obserwatorium!

180

-Czy cos takiego kiedykolwiek cie powstrzymalo?-On sie nie zgadza nawet na rozmowe ze mna. Rozumiesz, chce mu cos zaproponowac, cos, co bedzie mu pomocne po dziewietnastym, kiedy okaze sie, ze jego ostrzezenia byly opowiadaniem glodnych kawalkow i rozwscieчени ludzie zaczną sie domagac jego glowy. Jednak wedlug Bineya nie ma duzej nadziei, by zechcial ze mna rozmawiac, na pewno wiec nie pozwoli, bym przyszedl akurat tego wieczora.

-Przyjdz jako moj gosc. Moj przyjaciel. - Skrzywila sie wymawiajac to slowo. - Athor bedzie zbyt zajety, by zwrocic na to uwage. Chce, zebys znalazl sie w obserwatorium, kiedy niebo stanie sie czarne i zaplona pierwsze pozary. Chce zobaczyc twoja twarz. Chce sie przekonac, Teremonie, czy jestes rownie doswiadczony w przeprosinach jak w uwodzeniu.

22

To bylo trzy tygodnie temu. Teraz, zirytowana, uciekajac od Teremona, Siferra przebiegla

na druga strone pokoju i dostrzegla Athora, stojacego samotnie i przegladajacego plik wydrukow komputerowych. Wielokrotnie przerzucal kolejne strony jakby w nadziei, ze w gestych kolumnach liczb znajdzie cos, co zawiesi wykonanie wyroku na swiat. Podniosl wzrok i zobaczyl Siferre. Zaczerwienila sie.-Panie profesorze, bardzo przepraszam za to, ze zaprosilam tego czlowieka po wszystkim, co napisal o nas, o panu, o... - Spuscila glowe. - Myslam, ze bedzie sie mogl wiele nauczyc, przebywajac miedzy nami w chwili, gdy... gdy... Coz, mylilam sie. On jest jeszcze bardziej plaski i glupi, niz to sobie wyobrazalam. W zadnym wypadku nie powinnam go byla zapraszac.

-Teraz to juz nie ma znaczenia - odparl stary astronom slabym glosem. - Jesli tylko nie bedzie mi wchodzil w droge, nie dbam o to, czy tu jest czy nie.

181

Jeszcze kilka godzin, a juz nic nie bedzie mi robilo roznicy. - Wskazal na niebo. - Tak ciemno! Tak bardzo ciemno! A to dopiero poczatek... Zastanawiam sie, gdzie sie podzieli Faron i Imot. Widziala ich pani? Nie? Hm... Kiedy pani tu weszla, powiedziala nam pani, ze w ostatniej chwili mieliscie na wydziale jakis klopot. Mam nadzieje, ze to nic powaznego.- Tabliczki z Tombo zniknely.

-Zniknely?!

-Byly oczywiscie zamkniete w sejfie artefaktow. Juz mialam wychodzic, kiedy wstapil do mnie profesor Mudrin. Szedl wlasnie do Sanktuarium, ale chcial jeszcze cos sprawdzic w swoim tlumaczeniu, wprowadzic jakies nowe pojecie. Otworzyliśmy wiec sejf i... nie znalezlismy ich. Ulotnily sie, wszystkie szesc. Naturalnie, mamy kopie, ale mimo wszystko... to byly oryginaly, autentyki pochodzace z czasow starozytnych...

-Jak to sie moglo stac?

-Czy to nie jest oczywiste? - W glosie Siferry zabrzmiala gorycz. - Wykradli je Apostolowie. Prawdopodobnie chca ich uzyc jako pewnego rodzaju swietych talizmanow, po tym jak... jak nadejdzie Ciemnosc i swiat stanie w ogniu.

-Czy sa jakies slady?

-Nie jestem detektywem, panie profesorze, chyba jednak nie mamy dowodow, ale to musiala byc sprawka Apostolow. Chcieli je miec od chwili, kiedy uslyszeli, ze znajduja sie w moich rekach. Ach, w zadnym wypadku nie powinnam byla mowic o nich Apostolom! W ogole zaluje, ze komukolwiek wspomnialam o tych tabliczkach!

-Moje dziecko - Athor ujal ja za rece - nie powinna sie pani tak denerwowac.

"Moje dziecko"! Przyjrzała mu się zaskoczona. Nikt jej tak nie nazywał od dwudziestu pieciu lat! Zdusiła w sobie złość. Bądź co bądź, profesor miał już swoje lata. Próbowal jedynie być

wobec niej uprzejmy.

-Niech je sobie wezma, Siferro - mowil dalej. - Teraz nie stanowi to zadnej roznicy. Za sprawa czlowieka, ktory tam stoi, nic juz zreszta nie robi roznicy, prawda?

182

Wzruszyła ramionami.-Mimo to obrzydzenie mnie ogarnia na sama mysl, ze jakis zlodziej w szacie Apostola weszyl w moim gabinecie... wlamal sie do mojego sejfu... ukradl rzeczy, ktore wykopalam wlasnymi rekoma. To jakby gwalt na moim ciele. Czy pan potrafi to zrozumiec, panie profesorze? Ograbienie mnie z tych tabliczek - to prawie gwalt.

-Rozumiem, jak bardzo jest pani zdenerwowana - powiedzial Athor tonem wskazujacym, ze tak naprawde nic nie rozumial. - Prosze spojrzec... o, tam. Jak jaskrawo swieci Dovim. A juz za chwile wszystko pokryje Ciemnosc.

Zdobyła sie na niewyraźny uśmiech i odwróciła od niego wzrok.

Wokół niej wszyscy krazili z miejsca na miejsce, cos sprawdzali, o czyms dyskutowali, podbiegali do okna, szeptali. Co pewien czas ktos w pospiechu przychodzil, by przekazac jakies nowe dane z kopuly obserwatorium. Wsrod tych astronomow czula sie jak ktos zupełnie obcy. Była bezgranicznie smutna i zrozpaczona. "Widocznie fatalizm Athora zostawil we mnie jakies slady" - pomyslala. Profesor wydawal sie przygnebiony, zagubiony. To zupełnie nie bylo do niego podobne.

Chciala mu przypomniec, ze tego wieczora to nie swiat sie skonczy, a jedynie obecny cykl w rozwoju cywilizacji. Ci, ktorzy sie schowali, wyjda z ukrycia i zaczną wszystko od poczatku, wszystko odbudują, tak jak sie to juz dzarżalo razy kilkanascie - a moze dwadziescia czy sto - od poczatku istnienia cywilizacji na Kalgaszu.

Uznala jednak, ze nie ma sensu mowic o tym Athorowi. Osiagnelaby prawdopodobnie tak samo mizerne rezultaty jak on, kiedy staral sie ja pocieszyc po utracie tabliczek. Mial dotad nadzieje, ze caly swiat wystarczajaco przygotowuje sie na wypadek katastrofy, a okazalo sie, ze tylko nieliczni zwrocili uwage na ostrzeżenia. Jedynie ta garstka, ktora schronila sie w Sanktuarium, badz we wszelkich innych kryjowkach i schronach, jakie mogly w tym czasie powstac...

Podszedl do niej Biney.

-Rozmawialem wlasnie z Athorem. Zginely tabliczki?

-Otoz to, zginely. Ukradziono je. Wiedzialam, ze

183

nigdy nie powinnam sie godzic na zadne kontakty z Apostolami.-Myslisz, ze to oni je ukradli?

-Jestem tego pewna! Jak tylko istnienie tabliczek z Tombo wyszlo na jaw, przeslali mi wiadomosc, ze maja informacje, ktore moglabym wykorzystac. Nie mowilam ci? Pewnie zapomnialam. Chcieli ukladu podobnego do tego, ktory Athor zawarl z tym najwyzszym kaplanem, czy tez kim on tam jest, Folimunem 66. "Zachowalismy wiedze o starym jezyku - powiedzial Folimun. - O jezyku, ktorym mowiono w poprzednim Roku Laski". Najwidoczniej mieli jakies teksty, slowniki, alfabety starego pisma, byc moze znacznie wiecej.

-I Athor zdolal je od nich pozyskac, czy tak?

-Niektore z nich. W kazdym razie wystarczajaco duzo, by potwierdzic, ze Apostolowie rzeczywiscie maja astronomiczne rejestry poprzedniego zacmienia - wystarczajaco duzo, jak ocenil Athor, by udowodnic, ze swiat co najmniej raz przeszedl juz taki kataklizm.

Opowiedziala Bineyowi, jak Athor dal jej kopie tych kilku fragmentow tekstow astronomicznych, ktore otrzymal od Folimuna, a ona przekazala je profesorowi Mud-rinowi. Okazaly sie bardzo przydatne przy tlumaczeniu inskrypcji z Tombo. Siferra uchylala sie od wypozyczenia tabliczek Apostolom, przynajmniej nie na ich warunkach. Apostolowie twierdzili, ze znaja klucz do starszego pisma glinianych tabliczek i byc moze byla to prawda. Folimun jednak nalegal, zeby raczej to ona dala mu do skopiowania i odczytania wlasciwe tabliczki, nizby to on mial jej przekazac material do ich odcyfrowania. Nie chcial sie zadowolic samymi kopiami inskrypcji. Musialy to byc oryginalne artefakty albo rezygnowal ze wspolpracy.

-Ale na to sie nie zgodzilas - stwierdzil Biney.

-Oczywiscie! Tabliczki nie powinny opuszczac terenu uniwersytetu. "Dajcie nam klucz do odczytania tego pisma - powiedzialam Folimunowi - a my przekazemy wam kopie tekstow tabliczek. Wtedy bedziemy mogli sprobowac tlumaczenia kazdy z osobna".

Folimun odmowil. Kopie tekstow nie byly mu przydatne,

184

poniewaz z latwoscia mogly zostac uznane za falszerstwo. Odmawial tez stanowczo przekazania archeologom wlasnych dokumentow. Twierdzil, ze stanovia materialy sakralne, ktore moga byc udostepniane jedynie Apostolom. Chcial, aby dac mu tabliczki, obiecujac w zamian ich tlumaczenie, ale nikt z zewnatrz nie mial prawa ogladac tekstow znajdujacych sie w jego posiadaniu.-Wlasciwie przez chwile bylam nawet sklonna przylaczyc sie do Apostolow - powiedziala Siferra - tylko po to, by miec dostep do klucza.

-Ty? Apostolem Plomieni?

-Tylko zeby pozyskac ich material tekstowy. Ale ten pomysl budzil we mnie odrazę. Odmowilam Folimunowi. Mudrin musial sie trudzic z tlumaczeniami bez pomocy dokumentow, jakie mogli miec Apostolowie. Stawalo sie oczywiste, ze tabliczki mowia o jakimś kataklizmie, ktory bogowie zeslali na swiat - tlumaczenia Mudrina byly jednak dosc fragmentaryczne, niepewne i mgliste.

Coz, chociaz trudno jej sie bylo z tym pogodzic, teraz z duzym prawdopodobienstwem mogla przyjac, ze Apostolowie zdobyli jednak drogocenne znaleziska z Tombo. W nadchodzacych chaosie oni mieliby sie obnosic z tymi tabliczkami - jej tabliczkami! - jako jeszcze jednym dowodem swego uswiecenia i madrosci.

-Przykro mi, Siferro, ze twoje tabliczki zniknely - powiedzial Biney - ale byc moze istnieje ewentualnosc, ze to jednak nie Apostolowie je ukradli. Ze gdzieś sie znajduje.

-Na to nie licze. - Siferra usmiechnela sie smutno i odwrocila glowe, by spojrzec na szarzejace niebo.

Na pocieche mogla w najlepszym razie przyjac sposob myslenia Athora, ze oto za chwile nastapi koniec swiata i nic juz nie ma znaczenia. Byla to slaba pociecha. W glebi duszy walczyła z wszelkimi podobnymi radami dyktowanymi przez rozpacz. Nalezy myslec o tym, co bedzie pojutrze - o przetrwaniu, o odbudowie, o walce i jej zwycieskim zakonczeniu. Nie bylo sensu popadac w zwatpiecie jak Athor i godzic sie na upadek ludzkosci, wzruszac ramionami i tracic wszelka nadzieje.

Nagle jej ponure medytacje przerwal czyjs wysoki tenor.

185

-Czesc wszystkim! Czesc, czesc, czesc!-Szirin! - wykrzyknal Biney. - Co ty tu robisz? Pulchna twarz przybysza rozjasnila sie szerokim usmiechem.

-Skad ta atmosfera jak w rodzinnym grobie? Chyba nie zawodza was nerwy? Athor byl skonsternowany.

-Co pan tu robi, profesorze? - spytal zrzekliwie. - Myslalem, ze spokojnie siedzi pan w Sanktuarium.

Szirin rozesmial sie i opadl na krzeslo calym swym ciezaem.

-Do diabla z Sanktuarium! Okropnie nudny przybytek! Wole byc tutaj, gdzie bedzie goraco. Nie sadzi pan chyba, ze jestem wyprany z ciekawosci? Przejechalem przez Tunel Tajemnic, moge przezyc jeszcze jedna dawke Ciemnosci. I chce zobaczyc te gwiazdy, o ktorych gadaja Apostolowie. - Zatarl rece i podjal powazniejszym tonem: - Mroz na dworze. Wiatr taki, ze glowy urywa. Dovim wcale nie grzeje.

Siwowlosy dyrektor obserwatorium zgrzytnal zębami w nagłym rozdrażnieniu.

-Dlaczego pan ryzykuje zamiast siedzieć w bezpiecznym miejscu? Co tutaj po panu?

-Co tutaj po mnie? - Szirin z komiczną rezygnacją rozłożył ręce. - W Sanktuarium psycholog zda się psu na bude. Przynajmniej teraz. Nie mogłbym ludziom tam ukrytym w niczym pomóc. Zaszyci pod ziemią są bezpieczni. Jest im dobrze. Nie ma się co o nich martwić.

-A jeśli w czasie Ciemności wtargnie tam tłum? Szirin zaśmiał się głośno.

-Bardzo wątpie, czy ktoś, kto nie wie, gdzie znajduje się wejście, nawet w biały dzień znalazłby Sanktuarium, a co dopiero kiedy zajdą wszystkie słońca. A jeśli tłum tam wtargnie, to coż, beda potrzebowali ludzi energicznych, dzielnych i zdolnych do walki. A ja? Jestem na to o dwadzieścia kilogramów za ciężki. Po co więc miałbym tłoczyć się tam z nimi? Wole być tutaj.

Słowa Szirina dodały Siferze otuchy. Ona także ten wieczór Ciemności zdecydowana była spędzić w obserwatorium zamiast w Sanktuarium. Może była to czysta

186

zuchwałość, może idiotycznie przesadna pewność siebie, ale wiedziała na pewno, że mogła przetrwać te godziny zaciemnienia - a nawet nadchodzące gwiazdy, jeśli w mitach była choć krzta prawdy - i zachować pełnię swych władz umysłowych. Dlatego właśnie zdecydowała się osobiście doświadczyć tego, co miało nastąpić. Teraz się okazało, że Szirin, który nie był uosobieniem odwagi, myśli podobnie. Mogło to oznaczać, iż według niego wpływ Ciemności wcale nie będzie aż tak przytłaczający, jak to przez wiele miesięcy głosił w swych ponurych prognozach. Sama przecież słyszała jego relacje o Tunelu Tajemnic i o spustoszeniu, jakiego dokonywał w ludziach. Nawet w nim samym. A jednak tu był. Musiał widocznie dojść do przekonania, że przynajmniej niektórzy ludzie okaza się bardziej odporni, niż się spodziewał.

A może po prostu był lekkomyślny? Może dziś wieczorem wolał raczej postradać zmysły, aniżeli pozostać w pełni władz umysłowych, by po kataklizmie borykać się z niezliczonymi i nie dającymi się nawet przewidzieć problemami...

Nie, nie. Znowu popadała w niezdrowy pesymizm.

Odsunęła te myśli od siebie.

-Szirin! - Teremon podszedł, by przywitać się z psychologiem. - Pamiętasz mnie? Teremon 762.

-Oczywiście, że pamiętam, Teremonie! - Szirin wyciągnął rękę. - Ostatnio, chłopcze, byłeś na nas strasznie cięty! Było, minęło, dziś wieczorem możemy chyba puścić w niepamięć

twoje wybryki.

-To on niech odejdzie w niepamięć - mruknęła Siferra pod nosem. Rzuciła dziennikarzowi pełne wstretu spojrzenie i cofnęła się o kilka kroków.

Teremon uściskał Szirinowi dłoń.

-Miałeś być w Sanktuarium? Zdziękło już tu dziś słyszałem, ale nadal nie mam pojęcia, co to właściwie jest.

-Coż - westchnął Szirin - zdołaliśmy przekonać przynajmniej paru ludzi. Uwierzyli w słuszność naszego proroctwa na temat... hm... zagłady, jak to efektownie nazwaliśmy, i ta garstka zdecydowała się podjąć odpowiedź nie działania. Są to przeważnie rodziny personelu obserwatorium, pracownicy uniwersytetu i ich najbliżsi, a także kilku ludzi z zewnątrz. W sumie ze trzy setki. Jest tam moja bliska znajoma Liliat 221 i gdyby nie moja piekielna ciekawość, ja też powinienem się tam znaleźć.

-Rozumiem. Ci ludzie mają pozostać w ukryciu przez czas trwania Ciemności. Nie zobaczą... no... gwiazd i ocalają, kiedy reszta świata zwariuje.

-Dokładnie tak. Apostołowie też mają jakąś kryjówkę. Trudno powiedzieć, ilu jest w niej ludzi - w najlepszym dla nas przypadku tylko kilku, choć bardziej prawdopodobne, że tysiące. Później, gdy skończy się Ciemność, wyjdą z ukrycia jako dziedzice tego świata.

-Zatem grupa ludzi z uniwersytetu ma być dla nich przeciwwaga? - domyślił się Teremon. Szirin skinął głową.

-Tak, choć nie będzie to wcale proste, przy oblakaniu niemal całej ludzkości, przy pożarach, jakie ogarną wielkie miasta, przy być może ogromnej hordzie Apostołów ustanawiających własny porządek na tym, co jeszcze z tego świata zostanie - tak, nielato im będzie przetrwać. No, ale tymczasem mają jedzenie, wodę, schronienie, broń...

-Mają więcej - dodał Athor. - Mają zarejestrowaną całą wiedzę astronomiczną, wszystko prócz informacji, które zdołamy jeszcze dzisiaj zebrać. Właśnie dokumenty będą szalenie istotne dla następnego cyklu i one muszą przetrwać. Na resztę możemy machnąć ręką.

Teremon gwizdnął przeciągle.

-Jesteście zatem zupełnie pewni, że wszystko zdarzy się dokładnie tak, jak to przewidzieliście!

-Czy moglibyśmy zakładać coś innego? - szorstko spytała Siferra. - Kiedy zrozumieliśmy, że nie można uniknąć katastrofy...

-Jasne - przerwał dziennikarz. - Musieliscie się do niej odpowiednio przygotować, ponieważ

jestescie w posiadaniu Prawdy. Podobnie jak w posiadaniu Prawdy sa Apostolowie. Co zas sie tyczy wydarzen tego wieczoru,

188

chcialbym choc w polowie byc ich tak pewien, jak wy wszyscy, posiadacze Prawdy. Siferra poslala mu piorunujace spojrzenie.

-A ja chcialabym, zebys dzis wieczorem blakal sie po plonacych ulicach! Ale nie... nie, ty bedziesz bezpieczny tutaj! Nie zasluzyles sobie na to!

-Uspokoj sie, Siferro. - Szirin wzial Teremona pod ramie i powiedzial cicho: - Przyjacielu, nie ma teraz sensu nikogo prowokowac. Chodz, porozmawiajmy gdzies, gdzie nie bedziemy nikomu przeszkadzac.

-Dobry pomysl - zgodzil sie Teremon. Jednakze nie zrobil nawet jednego kroku w kierunku wyjscia. Przy stole rozpoczela sie partia szachow stochastycznych, a Teremon stal, obserwujac z widocznym zdumieniem, jak szybko i w pelnej ciszy gracze wykonuja kolejne ruchy. Byl zdziwiony ich umiejetnoscia koncentracji w chwili, gdy - jak wierzyli - juz za kilka godzin mial nastapic koniec swiata.

-Chodz - powtorzyl Szirin.

Wyszli na korytarz, a zaraz potem podazyl za nimi Biney.

"Co to za nieznosny czlowiek!" - myslala Siferra. Wpatrywala sie w blyszczaca, plonaca czerwono kule Dovima. Czy przez ostatnie kilka minut niebo nie zrobilo sie jeszcze ciemniejsze? "Nie, nie, to niemozliwe. Tylko tak sie wydaje. Dovim wciaz swieci".

Teraz, gdy Dovim byl jedynym sloncem, niebo wygladalo jakos dziwnie. Nigdy dotad nie widziala, by mialo tak gleboki odcien purpury. Wciaz jednak daleko bylo do pelnej ciemnosci - ponuro, tak, ale wystarczajaco jasno, by wszystko widziec wyraznie pomimo stosunkowo slabego swiatla jednego malego slonca.

Znow przypomniala sobie o zaginionych tabliczkach. Odpedzila jednak te mysl.

"Szachisci mieli dobry pomysl - powiedziala sobie. - Usiasc i odpoczac. Poki jeszcze mozna".

23

Szirin poprowadzil Teremona do sasiedniego pokoju. Byly tam wygodniejsze krzesla, a takze grube czerwone zaslony w oknach i rudy dywan na podlodze. W ceglasmym swietle Dovima wydawalo sie, ze wszystko jest jedna duza plama zaschnietej krwi. Psycholog zdziwil sie, widzac tu dzis Teremona, po tych jego szyderczych felietonach, po tym jak

zdecydowanie zrazal ludzi do kampanii Athora na rzecz ogolnokrajowej gotowosci. W ostatnich tygodniach, za kazdym razem gdy tylko padalo imie Teremona, Athor nieomal wpadal w szal. Dlaczego nagle zlagodnial i pozwolil dziennikarzowi zostac w obserwatorium na czas zacamienia?

Bylo to dziwne i troche niepokojace. Moglo oznaczac, ze silna osobowosc starego astronoma zaczela sie powoli kruszyc, ze nie tylko jego gniew, ale rowniez wewnetrzny system wartosci zamiera w obliczu nadchodzacej katastrofy.

Wlasciwie Szirin sam byl zaskoczony, ze znalazl sie w obserwatorium. To byla decyzja powzieta w ostatniej chwili, nagly impuls, jakich rzadko doswiadczal. Liliat byla przerazona. On tez byl nieco przerazony. Jeszcze nie zapomnial leku, jaki wywolalo w nim kilkanascie minut spedzonych w Tunelu Tajemnic.

W koncu jednak zdal sobie sprawe, ze musi byc tu teraz, podobnie jak wtedy musial przejechac przez tunel. Dla innych mogl nie byc niczym wiecej jak tylko dbajacym o wlasna wygode obzartuchem, ktory dawno osiadl na laurach, lecz pod tymi zwalami tluszczu pozostawal naukowcem. Studia nad reakcjami ludzi na ciemnosc zajmowaly go od samego poczatku kariery zawodowej. Jak wiec moglby na czas najglosniejszego od ponad dwoch tysiecy lat przypadku ciemnosc schowac sie w bezpiecznym, podziemnym bunkrze?

Nie, musial byc tu. Jako naoczny swiadek zacamienia. Musial czuc, jak Ciemnosc obejmuje swiat w swe posiadanie.

Gdy zamkneli za soba drzwi, Teremon wyznal z niespodziewana szczeroscia:

190

-Zaczynam powatpiewac, czy mialem racje, bedac takim sceptykiem.-Nalezaloby sie nad tym zastanowic.

-Tak. Ten samotny Dovim na niebie i ta czerwona poswiata... Wiesz co? W tej chwili dalbym dziesiec kredytow za przyzwoita porcje bialego swiatla. Mocny Tano Special. Chcialbym tez zobaczyc Tano i Sithe. A jeszcze lepiej Onosa.

-Onos wzejdzie rano - odezwal sie Biney, ktory tylko co wszedl do pokoju.

-Tak, ale czy my to zobaczymy? - spytal Szirin i natychmiast usmiechnal sie szeroko, co mialo zlagodzic wymowe tych slow. Zwrocil sie do Bineya: - Nasz przyjaciel dziennikarz ma ochote na kropelke alkoholu.

-Athor dostalby chyba ataku serca. Wszystkim przykazywal, by dzisiejszego wieczora byli trzezwi.

-Wiec nie mozna dostac nic poza woda? - zapytal Szirin.

-No...

-Daj spokoj, Bineyu. Athor tu nie przyjdzie.

-Prawdopodobnie masz racje.

Biney na palcach podszedl do najblizszego okna, przykucnal i z szafki pod parapetem wyciagnal butelke czerwonego plynu, ktory przy potrzasnieniu zabulgotal apetycznie.

-Mam nadzieje, ze Athor nic o tym nie wie - mruknal astronom wracajac do stolu. - Prosze bardzo! Jest tylko jedna szklanka. Szirinie, dajmy ja gosciowi. My bedziemy pic z butelki. - Bardzo ostroznie napelnil malenka szklaneczke.

-Zmieniles sie, chlopie - zauwazyl Teremon ze smiechem. - Kiedy cie poznalem, za nic w swiecie nie tknalbys alkoholu.

-Tak bylo kiedys. Teraz jest inaczej. Mamy ciekawe czasy, Teremonie. Szybko sie ucze. Mocny drink moze bardzo pomoc przetrwac takie czasy.

-Podobno - zgodzil sie Teremon. Skosztowal. Bylo to czerwone wino, cierpkie i mlode, prawdopodobnie tanie, pochodzace z ktorejs z poludniowych prowincji. Wlasciwie nalezalo sie tego spodziewac, ze Biney, wieloletni abstynent,

191

nie znajdujacy sie na trunkach, kupi akurat cos w tym rodzaju. No, ale lepsze to niz nic. Biney wypil potezny lyk i podal butelke Szirinowi. Psycholog przylozyl ja do ust i pociagnal dlugi haust. Mruknal z zadowoleniem, oblizal sie i odstawiajac butelke powiedzial do Bineya:

-Athor jest dzis jakis nieswoj. Mam na mysli chocby uznanie okolicznosci specjalnych. O co tu chodzi?

-Chyba martwi sie o Faron i Imota.

-O kogo?

-Dwoch dyplomantow. Mieli tu byc przed kilkoma godzinami i jeszcze sie nie pokazali. Athorowi brakuje rak do pracy, poniewaz wszyscy pracownicy, oprócz rzeczywiscie niezbednych, ukryli sie w Sanktuarium.

-Nie myslisz chyba, ze zdezerterowali? - wtracil Teremon.

-Kto? Faron i Imot? Oczywiscie, ze nie! To nie w ich stylu. Wszystko by oddali, zeby tylko byc tu dzisiaj i dokonywac pomiarow, kiedy nastapi zacmienie. Moze w Saro doszlo do jakichs zamieszek i nie moga wydostac sie z miasta? - Biney wzruszyl ramionami. - Coz, na pewno predzej czy pozniej sie pojawia. Gdyby jednak nie bylo ich tu w chwili, gdy

zaczniemy sie zbliczac do fazy krytycznej, wowczas, przy nawale zadan, moga wyniknac pewne trudnosci. Chyba tym wlasnie martwi sie Athor.

-Nie bylbym tego taki pewien - rzekl Szirin. - Owszem, pewnie sie klopocze tymi zaginionymi mlodziencami, ale jest jeszcze cos innego. Nagle sie postarzal. Jest zmeczony. Nawet pokonany. Kiedy widzialem go ostatnio, byl pelen energii, pelen pomyslow na odbudowe spoleczenstwa po zamieniu - prawdziwy Athor o zelaznej woli. Teraz widze smutnego, zmeczonego starca, ktory po prostu czeka na nadejscie konca. Nawet nie wyrzucil Teremona za drzwi.

-Probował - wpadł mu w słowo dziennikarz - ale Biney go od tego odwiódł. Z pomocą Siferry.

-No prosze! Czy znales, Bineyu, kogos, kto bylby w stanie odwiesc Athora od czegokolwiek? Dalej, podaj mi butelke.

-Byc moze to moja wina - zasugerowal Teremon. -

192

We wszystkich felietonach atakowalem jego plan utworzenia w calym kraju schronow typu Sanktuarium. Jesli on naprawde wierzy, ze za kilka godzin nastanie ogolnoswiatowa Ciemnosc i ze caly rodzaj ludzki nagle postrada zmysly...-Tak wlasnie uwaza - rzekl Biney. - Podobnie jak my wszyscy.

-Zatem fakt, ze rzad nie potraktowal powaznie jego przewidywan, musial odczuc jako druzgocaca porazke. I ja, na rowni z innymi, jestem za to odpowiedzialny. Dlatego nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby sie okazalo, ze to jednak wy mieliscie racje.

-Nie pochlebiaj sobie, Teremonie. - Szirin lekcewazaco machnal reka. - Nawet gdybys pisal piec felietonow dziennie, wszystkie wzywajace do ogromnego ruchu na rzecz powszechnej gotowosci, rzad i tak nic by nie zrobil. Co wiecej, moglby potraktowac ostrzezenie Athora jeszcze bardziej sceptycznie, dowiedziawszy sie, ze ma on po swojej stronie dziennikarza tak znanego z roznych kampanii prasowych.

-Dzieki za wyrazy uznania. Czy zostalo jeszcze troche wina? - Teremon spojrzal w kierunku Bineya. - Siferra tez mnie potepia. Jej zdaniem jestem zbyt nieodpowiedzialny w slowach.

-Byl taki czas, kiedy wydawala sie naprawde toba zainteresowana - zauwazyl Biney. - Nawet sie zastanawialem, czy ty i ona... no...

-Nie - powiedzial Teremon z usmiechem. - Niezupelnie. A teraz to sie juz nigdy nie zdarzy, choc przez chwile bylismy bardzo dobrymi przyjaciolmi. Niezwykle fascynujaca kobieta. A co z ta jej teoria cyklicznego rozwoju cywilizacji?

-Nic, jeśli wierzyć temu, co mówią niektórzy ludzie z jej wydziału - odparł Szirin. - Odnoszą się do tego z prawdziwą pogardą. Wszyscy mieli oczywiście swój wkład w opracowanie obowiązującej teorii, gdzie twierdzi się, że Beklimot był pierwszym ośrodkiem miejskim i że jeśli spojrzymy wstecz o kilka tysięcy lat, to w ogóle nie znajdziemy żadnych elementów świadczących o cywilizacji, 13 - Nastanie nocy 17 3 a świat zamieszkiwały jedynie prymitywne, zarosnięte dzikusy.

-Jak zatem wyjaśnia fakt powtarzających się na wzgórzu Tombo katastrof?

-Naukowcy przekonam, że wiedza, jak to było naprawdę, potrafią wytłumaczyć wszystko, co stanowiłoby jakiegokolwiek zagrożenie dla ich teorii - zauważył Szirin. - Spróbuj tylko lekko tracić jakiegos pewnego siebie naukowca, a zobaczysz, iż pod zewnętrzną maską jest on w niektórych sprawach bardzo podobny do Apostoła Plomieni. Różni się tylko ubiorem. - Siegnął po butelkę, która beczynnym spoczywała w reku Teremona, i znowu pociągnął długi łyk. - Niech idą do diabła. Nawet taki jak ja laik jest w stanie zrozumieć, że odkrycia dokonane przez Siferre w Tombo wywracają naszą wiedzę o prehistorii do góry nogami. Nie ma co dyskutować, czy naprawdę przez te wszystkie tysiące lat miały miejsce powtarzalne pożary. Należy się zastanowić, dlaczego te miasta płonęły.

-Ostatnio poznałem mnóstwo tłumaczyjących to teorii - powiedział Teremon. - Wszystkie mniej lub bardziej fantastyczne. Ktoś z uniwersytetu w Kitro dowodził, że co kilka tysięcy lat przypada okres ognistych deszczów. Do naszej redakcji przyszedł list od kogoś, kto twierdzi, że jest astronomem amatorem i udowodnił, iż Kalgasz od czasu do czasu przechodzi przez jedno ze słońc. Wiem, że proponowano jeszcze bardziej szalone rozwiązania.

-Jest tylko jedna teoria, która naprawdę ma sens - rzekł Biney spokojnie. - Pamiętaj o mieczu Thargola. Powinno się odrzucać hipotezy, których słuszności można dowiedzieć jedynie wprowadzając mnóstwo nowych, abstrakcyjnych czynników. Nie ma żadnej znanej przyczyny, która powodowałaby, że z nieba co jakiś czas spada deszcz ognia; jest również oczywistym absurdem mówienie o przechodzeniu przez słońca. Natomiast teoria zaćmienia opiera się na solidnych, naukowych podstawach. Przemawiają za nią matematyczne wyliczenia orbity Kalgasza, oparte na prawie powszechnego ciążenia.

-Tak, teoria zaćmienia nie jest pozbawiona sensu. Nie ma co do tego wątpliwości. Zresztą już wkrótce przekonamy

194

się o -tym na własnej skórze - stwierdził Teremon. - Spróbuj jednak sam do tego, co powiedziałeś, zastosować miecz Thargola. Teoicja zaćmienia nie precyzuje przecież, że zaraz potem miałyby koniecznie nastąpić olbrzymie pożary. -Nie - przyznał Szirin. - Tę teorię zaćmienia nie precyzuje. Ale to podpowiada zdrowy rozsądek. Zaćmienie przyniesie Ciemność. Ciemność przyniesie obłęd. A obłęd przyniesie płomień, które pochłonią kolejne

dwa tysiąclecia ludzkich wysiłków. Jutro to wszystko obróci się w nic. Jutro nie ostanie się; żadne miasto na Kalgaszu.

-Gadasz jak Apostołowie - rzucił Teremon ze złością. - Kilka miesięcy temu coś bardzo podobnego słyszałem od Folimuna 66. I o ile sobie przypominam, powiedziałem wam o tym w klubie Szesc Slonc. - Wyrzucił za okno, podając wzrokiem przez zalesione zbocza Wzgorza Obserwatoryjnego dalej, ku krwisto migoczącym na horyzoncie wieżowcom Saro. Krótkie spojrzenie na Dovima sprawiło, że poczuł się nieswojo. Stojące w zenicie, skarlłowaciale i złowrobnie słońce ledwo się zarzyło czerwonym światłem. Dziennikarz z uporem ciągnął dalej: - Nie rozumiem, o czym mówisz. Miałbym oszaleć tylko dlatego, że na niebie nie ma słońca? A nawet jeśli oszaleje... tak, nie zapomniałem jeszcze tych nieszczęślików z Tunelu Tajemnic... nawet jeśli zwariuje i wszyscy in ni też, w jaki sposób może to zaszkodzić miastom? Czy sadzisz, że wysadzimy je w powietrze?

-To samo i ja mówiłem na początku - wtracił Bi-ney - zanim zacząłem się nad tym zastanawiać. Gdybyś znalazł się w Ciemności, czego byś nade wszystko pragnął? Czego domagałby się każdy nerw twego ciała?

-Myślę, że światła.

-Tak! - wybuchł Szirin. - Właśnie tak! Światła!

-I co z tego?

-A jak zdobędziesz światło?

-Przekrecając kontakt. - Teremon wskazał przycisk na ścianie.

-Tak jest! - Szirin zachichotał szyderczo. - I bogowie w swojej nieskończonej dobroci dostarczą ci tyle prądu, ile tylko zechcesz, ponieważ elektrownia, oczywiście wście, nie pracuje - generatory nai;le się zatrzymują, ich obsługa potyka się i nawołuje do siebie w ciemnościach, to samo zresztą dzieje się z kontrolerami linii przesyłowych. Nadasz za mną? Teremon sztywno skłonił głowę.

-Skąd wziąć światło, kiedy stana elektrownie? - pytał dalej Szirin. - Może z bożych światełek? Wszystkie zasilane są z baterii. Ale założmy, że nie masz pod ręką bożego światełka. Znajdujesz się na ulicy w Ciemności, a boże światełko czeka w domu, tuż obok twego łóżka. A ty pragniesz światła. Więc coś podpalasz, prawda, mój Teremonie? Czy kiedykolwiek widziałeś pożar lasu? A może zdarzyło ci się pojechać na wycieczkę z namiotem i gotować zupę nad ogniskiem? Dobrze wiesz, że ciepło to nie jedyny skutek ognia. Daje on również światło i ludzie doskonale zdają sobie z tego sprawę. W czasie trwania Ciemności błądka szukać światła i z pewnością je znajda.

-Błądka zatem palić drewno... - zaczął Teremon bez większego przekonania.

-Beda palic wszystko, co tylko im wpadnie w reke. Czuja potrzebe swiatla. O drewno nielatwo na ulicach miast. Spala wiec to, co najblizej. Stos gazet? Czemu nie? "Kronika Saro" da przez chwile troche swiatla. A co ze skrzynkami, w ktorych leza gazety na sprzedaz? Spalic je! Spalic ubrania. Spalic ksiazki. Spalic dachy. Wszystko spalic. Ludzie zdobeda swiatlo, ale ka zde skupisko miejskie stanie w plomieniach! Stad pozary, pa nie redaktorze. I kres swiata, w ktorym pan zyl.

-O ile zacmienie w ogole przyjdzie... - Teremon byl nieustepliw.

-Naturalnie, ja tez nie wiem tego na pewno. Nie jestem przeciez astronomem. Ani Apostolem. Jednak stawiam na zacmienie.

Popatrzył Teremonowi prosto w oczy. Ich spojrzenia sie spotkaly, jak gdyby ta rozmowa byla jedynie personalna rozgrywka, walka wlasnych ambicji. Teremon wycofal sie bez slowa. Oddychal chrapliwie, nierowno. Drzacymi rekoma scisnal skronie.

Z sasiedniego pokoju dobiegły odglosy naglej wrzawy.

196

-Chyba slyszes glos Imota - rzekl Biney. - Faron pewnie tez juz jest. Chodzmy, dowiemy sie, co ich zatrzymalo.-Chodzmy - mruknal Teremon. Wzial gleboki oddech i potrzasnal glowa. Napiecie zmalalo. Na moment.

24

W obserwatorium wrzalo. Wszyscy skupili sie wokol Faron i Imota, ktorzy zdejmujac plaszczes odpowiadali na grad pytan. Athor precisnal sie przez tlumek i rozgniewany stana przed przybyszami.

-Czy zdajecie sobie sprawe, ze zacmienie sie juz niemal rozpoczelo? Gdzie byliscie tak dlugo?

Faron 24 usiadl i zatarl rece. Okragle, pulchne policzki mial czerwone od mrozu. Jakos dziwnie sie usmiechal i byl podejrzanie spokojny, zupełnie jakby zazył jakis narkotyk.

-Nigdy go takiego nie widzialem - szepnal Biney do psychologa. - Zawsze byl bardzo grzeczny, taki sobie skromny student, okazujacy szacunek autorytetom. Nawet mnie. A teraz...

-Sza, sluchaj! - uciszyl go Szirin. Faron zaczal mowic:

-Wlasnie skonczyliśmy z Imotem nasz maly, wariacki eksperyment. Probowalismy skonstruowac urzadzenie, za pomoca ktorego bylismy w stanie symulowac pojawienie sie Ciemnosci i gwiazd i zawczasu sprawdzic, jak to bedzie wygladalo.

Wśród słuchaczy rozszedł się pomruk niedowierzania.

-Gwiazdy? - zaniepokoił się Teremon. - Wiecie, co to są gwiazdy? Jak na to wpadliście?

-Czytając Księgę Objawień. - Faron wciąż uśmiechał się głupio. - Wydaje się zupełnie zrozumiałe, że gwiazdy są czymś bardzo jasnym - jak słońca, ale mniejszym - czymś, co pojawia się na niebie, kiedy Kalgasz wchodzi w Jaskinię Ciemności.

197

-Bzdury! - rzucił ktoś. - Niemożliwe!

-Księga Objawień! Na tej podstawie robili badania naukowe! Trudno uwierzyć...

-Spokoj! - przerwał Athor. W jego oczach pojawił się nagły wyraz zainteresowania, błysk dawnego wigoru. - Mów dalej, Faronie. Jak wyglądało to wasze urządzenie? Na czym miało polegać doświadczenie?

-Pomyśl przyszedł nam do głowy parę miesięcy temu - zaczął Faron - i pracowaliśmy nad nim w wolnych chwilach. Imot w centrum miasta znalazł budynek z dachem w kształcie kopuły - zdaje się, że jakiś magazyn. Zresztą wszystko jedno. Kupiliśmy go.

-Za co? - wtracił Athor oskarżycielsko. - Skąd wzięliście pieniądze?

-Z naszych kont w banku - mruknął wysoki i koscisty Imot 70. - Dom kosztował dwa tysiące kredytów. - Zaczął się usprawiedliwiać: - Coż z tego? Jutro dwa tysiące kredytów nie będzie niczym więcej jak dwoma tysiącami skrawków papieru.

-Naturalnie! - przytaknął Faron. - Kupiliśmy więc dom i od góry do dołu wyłożyli czarnym aksamitem, żeby uzyskać możliwie najdoskonalszą ciemność. Potem w suficie dachu wywierciliśmy małe dziurki i przykryli je metalowymi pokrywkami, które za jednym nacisnięciem przelącznika można było jednocześnie usunąć. Nie robiliśmy tego sami. Zatrudniliśmy stolarza, elektryka i kilku innych - pieniądze nie grały roli. Chodziło o to, żeby do wnętrza przez dziury w dachu przechodziło światło, dzięki czemu uzyskalibyśmy wrażenie gwiazd.

-A raczej tego, czym są gwiazdy w naszym wyobrażeniu - poprawił Imot.

Zapadła pełna napięcia cisza. Nikt nawet nie odetchnął. Wreszcie Athor rzekł surowo:

-Nie mieliście żadnego prawa robić we własnym zakresie... Faron spieszył się wyrazić.

-Wiemy, panie profesorze, ale, szczerze mówiąc, obydwaj uważaliśmy, że to eksperyment dość niebezpieczny.

198

Gdyby doświadczenie się udało, mogliśmy nawet oszaleć - wnosząc z tego, co mówił profesor Szirin, wydawało się to wielce prawdopodobne. Uznaliśmy, że musimy sami zaryzykować. Planowaliśmy, że jeżeli zachowamy zdrowe zmysły, rozwiniemy w sobie odporność na właściwe zjawisko, a potem powtorzymy eksperyment ze wszystkimi pracownikami obserwatorium. Niestety, w ogóle nic nam nie wyszło.-Dlaczego? Co się stało? Tym razem odpowiedział Imot:

-Zamknaliśmy się w środku i przyzwyczaili wzrok do ciemności. To potworne wrażenie! W zupełnej ciemności człowiek ma uczucie, że wala się na niego ściany i sufit. Przetrwaliśmy to i przekreciliśmy wyłącznik. Pokrywki odskoczyły i w gorze zabłysły punkty światła...

-I co?

-Nic! To było nienormalne. Na ile zrozumieliśmy Księgę Objawień, doświadczaliśmy wówczas efektu obserwacji gwiazd na tle Ciemności. Ale nic się nie wydarzyło! Patrzyliśmy na podziurawiony dach i przeswitujące przez otwory światło. Próbowaliśmy wielokrotnie, lecz zupełnie bez skutku. Stąd to nasze spóźnienie.

Znow zapanowała cisza. Wszystkie oczy skierowały się na Szirina, który stał bez ruchu, z otwartymi ustami.

Pierwszy przemówił Teremon.

-Szirinie, wiesz chyba, co to oznacza dla zbudowanej przez ciebie teorii? - zapytał z uśmiechem ulgi.

-Nie tak szybko, Teremonie! - Szirin podniósł rękę. - Daj mi chwilę do namysłu. Te tak zwane gwiazdy, które skonstruowali chłopcy... czas ich przebywania w ciemności... - Urwał. Wszyscy wciąż patrzyli na niego. Po chwili strzelił palcami, a gdy podniósł głowę, w jego oczach nie było już ani zaskoczenia, ani wątpliwości. - Oczywiście...

Nie dokonał. Tilanda, która pod kopułą wywoływała szybko migawkowe zdjęcia nieba, wbiegła do pokoju, wymachując rękami w sposób godny najbardziej podekscytowanego Imota.

-Panie profesorze! Panie profesorze! Athor odwrócił się.

199

-O co chodzi?-Właśnie zauważyliśmy... przyszedł na górę, pod kopułę... nie uwierzy pan, panie profesorze...

-Powoli, moje dziecko. Co się stało? Kto przyszedł? Z korytarza dały się słyszeć odgłosy szamotaniny i nagły brzek. Biney zerwał się na równe nogi, gwałtownie otworzył drzwi i stanął jak wryty.

-Niech to diabli! - krzyknął.

Danit i Hikkinan, którzy powinni wraz z Tilanda pracować pod kopułą, znajdowali się na korytarzu. Walczyli z gibkim, atletycznie zbudowanym mężczyzną 450 trzydziestce, o dziwnych, kreconych rudych włosach, szczupłej, wyrazistej twarzy i zimnych niebieskich oczach. Wciągnęli go do pokoju obezwładnionego, z rekoma mocno wykreconymi do tyłu.

Intruz ubrany był w ciemną szatę Apostołów Plomieni.

-Folimun 66! - wykrzyknął Athor.

-Folimun! - zawtorował astronomowi Teremon. - W imię Ciemności, co ty tu robisz?

-Nie w imię Ciemności przychodzę tu dziś do was, lecz w imię światła - chłodno, władczo odpowiedział Apostoł. Athor spojrział na Tilandę ze zdziwieniem.

-Skąd on się tu wziął?

-Mówiłam już, panie profesorze. Byliśmy zajęci fotografowaniem, kiedy go usłyszeliśmy. Zwyczajnie, wszedł do pokoju i stanął za nami. "Gdzie jest Athor? - spytał. - Muszę się zobaczyć z Athorem".

-Wezwijcie strażników - polecił Athor z twarzą pociemniałą z gniewu. - Obserwatorium miało być dziś wieczorem zamknięte. Chce wiedzieć, jakim sposobem udało się temu człowiekowi przedostać przez wartownię.

-Przecież to jasne! - zakrzyknął wesóło Teremon. - Ma pan paru Apostolów na liście plac. Gdy przyszedł Apostol Folimun i poprosił ich o otwarcie bramy, pokornie usłuchali.

Athor rzucił w kierunku dziennikarza groźne spojrzenie, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że stary astronom uznał sugestię Teremona za bardzo prawdopodobną.

W jednej chwili wszyscy - Siferra, Teremon, Biney, Athor i reszta - okrzykli Folimuna i patrzyli na niego ze zdziwieniem.

200

Apostol oznajmił ze spokojem: - Jestem Folimun 66, pierwszy adiutant Jego Świątobliwości Mondiora 71. Przyszedłem tu dziś nie jako przestępca[^] choć zdajecie się tak sądzić, lecz jako wysłannik Jego Świątobliwości. Czy mogłbyś, Athorze, przekonać tych dwóch nadgorliwców, by mnie uwolnili?

Athor wykonał nerwowy ruch ręką.

-Puszczcie go - polecił.

-Dziękuję. - Folimun roztarł ręce i poprawił szatę. Następnie sklonił się Athorowi z wdzięcznością - choć może był to pokłon szydercy? W zachowaniu Apostoła wyczuwało się jakieś szczególne napięcie.

-Co tu robisz? Czego chcesz? - spytał Athor.

-Przypuszczam, że niczego, co mogłbyś mi dać dobrowolnie.

-Zapewne masz rację.

-Nasze spotkanie przed paroma miesiącami, Athorze, toczyło się w bardzo napiętej atmosferze; powiedziałbym, że było podobne do spotkania władców dwóch wrogich sobie królestw. Ja dla ciebie byłem niebezpiecznym fanatykiem. Ty dla mnie - przywódca bandy bezbożnych grzeszników. A mimo to byliśmy w stanie dojść w pewnej sprawie do porozumienia. W tej mianowicie, że wieczorem dziesiętnastego theptara nad Kalgaszem zapadnie Ciemność i pozostanie tu przez wiele godzin.

Athor rzucił Apostolowi gniewne spojrzenie.

-Przejdź do konkretów, Folimunie, o ile potrafisz. Rzeczywiście za parę minut zapadnie Ciemność, zatem nie mamy dużo czasu.

-Według mnie Ciemność zostanie zesłana na nas z woli bogów - zaczął Folimun. - Według ciebie nastanie jedynie w wyniku bezdusznego ruchu obiektów astronomicznych. Zgodziliśmy się na to, aby się nie zgadzać. Niech tak będzie. Przedstawiłem ci wówczas

pewne materiały, które od czasu poprzedniego Roku Łaski znajdowały się w posiadaniu Apostołów, tabele ruchów słońca na niebie i inne, znacznie bardziej złożone dane. W zamian obiecales udowodnić zasadniczą prawdę naszej wiary i sprawić, by ten dowód poznali ludzie Kalgasza.

201

-I dokładnie tak zrobiłem. - Athor spojrzał na zegarek. - Czego jeszcze chce ode mnie twój mistrz? Ja wywiązałem się z umowy. Folimun uśmiechnął się blade, ale nie odpowiedział.

W pokoju zapanowało poruszenie.

-To prawda, że poprosiłem go o dane astronomiczne - rzekł Athor rozglądając się wokół. - Dane, którymi dysponowali tylko Apostołowie. Rzeczywiście, zostały mi one przekazane. I jestem za to wdzięczny. Przyznaje, że w zamian, w pewnym sensie, zgodziłem się ogłosić matematyczne potwierdzenie podstawowego dogmatu Apostołów o dziewiętnastym theptara jako dniu nadejścia Ciemności.

-Nie musieliśmy ci niczego dawać, Athorze - zabrzmiała wyniosła odpowiedź. - Naszym głównym celem nie było, jak się wyraziłeś, potwierdzenie dogmatu. Do tego wystarcza Księga Objawień.

-Zgoda, dotyczy to jednak zaledwie garstki wyznawców waszego kultu - stwierdził oschle astronom. - Nie udawaj, że nie rozumiales moich intencji. Zaproponowałem ci przedstawienie naukowego potwierdzenia waszych wierzeń. I je przedstawiłem!

W oczach fanatyka zapalily się gniewne błyski.

-O, tak, przedstawiłeś - z lisią przebiegłością. Twoje pseudowywody rzekomo potwierdzają naszą wiarę, jednocześnie jednak czynią ją najzupełniej zbędną. Ciemność i gwiazdy ukazałeś jako zjawiska naturalne, pozbawiłeś je prawdziwego znaczenia. To bluźnierstwo!

-Jeśli nawet, wina nie leży po mojej stronie. Takie są fakty. Ja mogę je jedynie stwierdzać.

-Twoje tak zwane fakty to oszustwo i złudzenie. Athorowi z wściekłości wystąpiły czerwone plamy na twarzy.

-Skąd ty możesz o tym wiedzieć?

-Po prostu wiem! - odpowiedział Folimun z absolutną pewnością głębokiej wiary.

Sędziwy astronom spurpurowiał jeszcze bardziej. Biney chciał podejść, ale powstrzymał go machnięciem ręki.

-Czego więc Mondior od nas żąda? Jak mi się zdaje,

uwaza nadal, ze probujac przekonac swiat o koniecznosci powziecia okreslonych dzialan przeciw grozbie powszechnego szalenstwa, przeszkadzamy mu w zagarnieciu wladzy po zamieniu. Coz, nasze wysilki pozostaja jak na razie bez rezultatu. Moze to bedzie dla niego jakas pociecha.-Same proby wyrzadzily juz dosc szkod. Dzis chcecie jeszcze te sytuacje pogorszyc.

-Skad ty mozesz wiedziec, co zamierzamy dzis zrobic? - zapytal Athor.

-Wiemy, ze nigdy nie porzuciles nadziei na manipulowanie pospolstwem - odpowiedzial Folimun spokojnie. - Poniewaz nie zrealizowales swego zamyslu przed nadejsciem Ciemnosci i plomieni, zamierzasz uczynic to potem, wyposazony w zdjecia dokumentujace przejscie swiatla dziennego w Ciemnosc. Pragniesz ludziom, ktorzy ocaleja, przedstawic racjonalne wytлумaczenie tego zjawiska i odlozyc w bezpieczne miejsce rzekome dowody twoich przekonan, aby - gdy nadejdzie koniec nastepnego Roku Laski - twoi nastepcy ze swiata nauki mogli pokierowac ludzkoscia na tyle, by oparla sie Ciemnosci.

-Ktos tu zwariowal - szepnal Biney. Folimun ciagnal dalej:

-Wszystko to wymierzone jest w Mondiora 71. Przeciez to wlasnie Mondior 71 zostal ustanowiony prorokiem bogow, tym, który ma poprowadzic ludzkosc przez zblizajacy sie czas proby.

-Przejdz do sedna sprawy - lodowatym tonem rzekl Athor.

Folimun skinal glowa.

-A zatem, po prostu, nalezy polozyc kres waszym nierozwaznym i bluznierczym probom pozyskania informacji za pomoca szatanskich przyrzadow. Moge jedynie ubolewac, ze tych instrumentow nie zniszczylem wlasnymi rekoma.

-A wiec to zamierzales, przychodzic tutaj? Niewiele bys zdzialal. Wszystkie nasze dane, z wyjatkiem tych, które wlasnie teraz zamierzamy uzyskac, ukryte sa juz w bezpiecznym miejscu i nikt nie zdola ich uszkodzic.

-Wydobadz je! Zniszcz!-Co?

-Zniszcz wszystko, co zrobiles! Zniszcz swe przyrzady! W zamian za to dopilnuje, zeby zarowno tobie, jak i wszystkim twoim ludziom zapewniono odpowiednia ochrone przed skutkami chaosu, który z pewnoscia zapanuje po Zmierzchu.

Tym razem w pokoju zapanowala wesolosc.

-Szalony - rzucił któryś z naukowców. - Absolutnie niepoczytalny.

-Bynajmniej - odparł Folimun. - Pobożny, tak. Oddany sprawie, której nie możecie pojąć, tak. Ale nie szalony. Zapewniam was, że jestem przy zdrowych zmysłach. Ten człowiek - wskazał na Teremona - może o tym zaświadczyć, a jest on znany ze swego sceptycyzmu. Swoją sprawę przedkładam jednak ponad wszelkie inne. Dzisiejsza noc ma zasadnicze znaczenie dla historii świata, wraz z nastaniem switu nastąpi bowiem triumf Laski. Stawiam ultimatum. Macie dziś zaprzestac swych grzesznych prób racjonalnego wytłumaczenia nadchodzącej Ciemności i przyjąć Jego Światobliwość Mondiora 71 za prawdziwy głos woli bogów. Kiedy nastanie ranek, pojdziecie między ludzi wykonywać zadania określone przez Mondiora i nikt już więcej nie usłyszy o waszych zacmieniach, orbitach, prawie powszechnego ciążenia czy innych tego typu bzdurach.

-A jeśli odmowimy? - Athor był wyraźnie rozbawiony zarozumiałstwem Folimuna.

-Wtedy gromada gniewnych ludzi, prowadzona przez Apostolów Plomieni, podejdzie pod to wzgórze i zniszczy wasze obserwatorium oraz wszystko, co się w nim znajduje - odparł chłodno Folimun.

-Dostyc tego - zdecydował Athor. - Wezwijcie strażników. Niech wyrzucą stąd tego człowieka.

-Macie dokładnie godzinę - rzekł Folimun nie okazując niepokoju. - Potem Święta Armia przypuści atak.

-On blefuje - rzucił nagle Szirin.

Astronom jakby tego nie słyszał. Powtórzył po raz drugi:

-Wezwijcie strażników. Niech go stąd wyrzucą!

204

-Profesorze Athorze, co pan, do diabła, wyprawia?! - zawołał psycholog. - Jeśli go pan wypuści, wyjdzie tylko po to, by podjudzać ludzi! A ten człowiek umie to robić jak nikt inny. Czy pan nie rozumie, że spotęgowanie chaosu jest celem działania Apostolów Plomieni? - Co zatem pan proponuje, profesorze Szirinie?

-Zamknąć go. Wrzucić do jakiegoś schowka, zamknąć na kłódke i trzymać tam przez cały czas trwania Ciemności. To najgorsza rzecz, jaką możemy mu zrobić. Zamknięty na klucz nie zobaczy Ciemności ani gwiazd. Nie trzeba wielkiej znajomości fundamentalnych zasad wiary Apostolów, żeby zdać sobie sprawę, iż być ukrytym przed gwiazdami w chwili, gdy się one pojawiają, oznacza dla niego utratę niesmiertelnej duszy. Zamknijmy go. Nam zapewnimy bezpieczeństwo, a jemu wymierzymy karę, na jaką zasłużył.

-Nie! - krzyknął z nagłą wściekłością Folimun. - Kiedy wszyscy postradacie zmysły, nie będzie nikogo, kto mógłby mnie stamtąd wypuścić. To jak kara śmierci. Wiem równie dobrze jak wy, co oznacza nadejście gwiazd - wiem o tym znacznie więcej niż wy. Oszalejecie wszyscy, nikt nie będzie pamiętał, że jestem zamknięty w schowku. Grozi mi uduszenie albo powolne konanie z głodu! Tego się właściwie mogłem spodziewać po zespole... naukowców. - W jego ustach wyraz ten zabrzmiał jak obelga. - Ale to wam się nie uda! Powziąłem już pewne środki ostrożności, dając moim zwolennikom do zrozumienia, żeby zaatakowali obserwatorium dokładnie za godzinę, chyba że przyjdzie i rozkaze inaczej. Zatem uwięzienie mnie w niczym wam nie pomoże. Sami na siebie ściągniecie zagładę, a wówczas moi ludzie mnie uwolnią i razem, radośnie, w zachwycie, będziemy oglądać nadejście gwiazd. - Na skroniach Folimuna nabrzmiały żyły. - A potem, jutro, kiedy wy staniecie się gromadą belkoczących szalenców, przeklętych na zawsze za swoje nieczyste czyny, my rozpoczniemy tworzenie nowego, cudownego świata.

Szirin spojrzał niepewnie na Athora, ale astronom wahał się z decyzją.

-Co o tym myślisz? - wyszeptał Biney do stojącego obok Teremona. - Błefuje?

205

Dziennikarz nie odpowiedział. Był blady jak ściana.-Spojrzcie!

Reka, która wskazała na niebo za jego plecami, drżała, głos był ochryply, zdławiony.

Wszyscy wstrzymali oddech. Oczy spoglądających śladem wyciągniętej ręki Teremona znieruchomiały w niemej trwodze.

Dovim był z jednej strony okrojony!

25

Znikoma smuga czerni, nie szersza niż paznokiec, urastała w oczach przerażonych widzów do symbolu zagłady. Teremona sam widok tego małego łuku ciemności poraził ze straszliwą siłą. Drgnął, przyłożył rękę do czoła i odwrócił się od okna. Czuł się poruszony do głębi duszy tym niewielkim ubytkiem w tarczy Dovina. Teremon sceptyk... Teremon przesmiewca... Teremon trzeźwy analityk ludzkich urojeń...

BOGOWIE! JAK BARDZO SIĘ MYLIŁEM!

Gdy się odwrócił, napotkał wzrok Siferry. Stała po drugiej stronie pokoju. W jej oczach widział pogardę - a może była to litosć? Zmusił się, by wytrzymać jej spojrzenie i pokiwał smutno głową, jak gdyby z całą pokorą, na jaką było go stać, mówił "Wszystko zawałem i przepraszam. Przepraszam. Przepraszam". Wydało mu się, że zobaczył jej uśmiech. Może rozumiała, co próbował wyrazić.

Po chwili osłupienia w pokoju zapanował zamęt. Wszyscy zaczęli gorączkowo biegać tu i tam, a zaraz potem zamęt ustąpił miejsca ożywionej metodycznej działalności.

Astronomowie wrócili do wyznaczonych zadań: niektórzy pognali na górę do kopuły obserwatorium, aby obserwować zaciemnienie przez teleskopy, inni do komputerów, jeszcze inni dopadli podrecznych urządzeń do rejestracji zmian tarczy Doinia. W szczytowym momencie brakło czasu na wzruszenie. Byli przecież uczonymi, którzy mieli do wykonania

206

określona praca. Teremon, stojący na uboczu, rozejrzył się za Bineyem i ostatecznie znalazł go siedzącego za klawiaturą, wściekle rozwiązującego jakiś problem. Nie było ani śladu Athora. Przy boku Teremona pojawił się Szirin i beznamiętnie powiedział:

-Pierwszy kontakt musiał nastąpić pięć do dziesięciu minut temu. Trochę za wcześnie, ale przypuszczam, że pomimo wszelkich starań w obliczeniach było mnóstwo niedokładności. - Uśmiechnął się. - Odejdź od tego okna.

-Dlaczego? - spytał Teremon, który znów stał odwrócony, by patrzeć na Doinia.

-Athor się wściekł - szepnął psycholog. - Z powodu tego zamieszania z Folimunem przegapił pierwszy kontakt. Lepiej nie stój tutaj, bo jak Athor będzie przechodził, bardzo możliwe, że spróbuje wyrzucić cię za okno.

Teremon skinął głową i usiadł. Szirin spojrzał nań ze zdziwieniem.

-Do licha! - zawołał. - Cały się trzęsiesz.

-Co? - Teremon obliznął zeschnięte wargi i spróbował się uśmiechnąć. - To fakt, nie czuję się najlepiej. Psycholog spoważniał.

-Chyba nie zawodzi cię nerwy?

-Nie! - wykrzyknął Teremon ze złością. - Daj mi trochę czasu. Słuchaj, Szirinie, chciałem uwierzyć w te wszystkie bajdurzenia o zaciemnieniu, ale nie mogłem, naprawdę nie mogłem. Wydawało mi się to po prostu metną, makabryczną fantazją. Chciałem uwierzyć z powodu Bineya, z powodu Sifery i - choć może zabrzmieć to dziwnie - nawet z powodu Athora, ale nie mogłem. Az do tej chwili. Daj mi trochę czasu. Muszę się oswoić z tą myślą. Ty miałeś na to wiele miesięcy. Na mnie wszystko się zwałilo naraz.

-Rozumiem, co czujesz - powiedział ostrożnie Szirin. - Teremonie, masz jakąś rodzinę - rodziców, żonę, dzieci?

-Nie. - Dziennikarz pokręcił przecząco głową. - O nikogo nie muszę się kłopotać. Mam siostrę, ale jest teraz o trzy tysiące kilometrów stąd. Nie kontaktowałem się z nią od paru lat.

-No tak, a co z toba?-Nie rozumiem...

-Moglbys sprobowac dostac sie do Sanktuarium. Tam z pewnoscia znalazloby sie dla ciebie troche miejsca. Chyba jeszcze nie jest za pozno - zadzwonie i powiem, ze tam idziesz, a oni otwarliby dla ciebie brame.

-Wiec sadzisz, ze umieram ze strachu?

-Sam powiedziales, ze nie czujesz sie najlepiej.

-Owszem, ale jestem tu po to, by napisac reportaz. Nie zamierzam rezygnowac.

Na twarzy psychologa pojawil sie slaby usmiech.

-Rozumiem, duma zawodowa.

-Mozna tak powiedziec - przyznal Teremon ze znuzeniem. - Poza tym to wlasnie ja w znacznym stopniu podkopalem opracowany przez Athora program przygotowan. Czyzbys o tym zapomnial? Czy naprawde sadzisz, ze moglbym schronic sie w tym samym Sanktuarium, z ktorego sie przedtem wysmiewalem?

-Nie pomyslamem o tym.

-Ciekawe, czy jest tu gdzies jeszcze schowane to wstretne wino. Potrzebuje drinka jak nigdy w zyciu...

-Sza! - Szirin trafil Teremona lokciem. - Sluchaj! Dziennikarz spojrzal w kierunku wskazanym przez Szi-rina. Przy oknie stal Folimun 66 z wyrazem ekstazy na twarzy. Mowil cos do siebie monotownie, spiewnie. Tere-monowi scierpla skora.

-Co on mowi? - wyszeptal. - Mozesz to zrozumiec?

-Cytuje piaty rozdzial Ksiegi Objawien. Badz cicho i sluchaj!

Glos Apostola wzmozl sie, zadzwieczala w nim nuta uniesienia.

"Oto nadeszly dni, kiedy slonce Dovim trzymalo coraz dluzej i dluzej samotna straz na niebiosach; i mijaly obroty, az nastal czas, ze przez cale pol obrotu ono jedno, skurczone i zimne, swiecilo nad Kalgaszem.

I oto ludzie gromadzili sie na placach i drogach, by radzic, bo zdumiewali sie na ow widok, a dziwny strach

i pustka ogarnęły ich dusze. Myśli mieli zmacone, a języki pomieszane, albowiem dusze ludzi oczekiwały nadejścia gwiazd. A w mieście Trigon, w samo południe, wystąpił Yendret 2 i rzekł meżom Trigonu: >>Biada wam, grzesznicy! Gardzicie ścieżkami cnoty, ale bliski jest dzień zapłaty. Oto nadchodzi Jaskinia, nawet już nadeszła, by pochłonąć Kalgasza i wszystko, co się na nim znajduje<<.

A gdy jeszcze mówił, wargi Jaskini Ciemności zamknęły się nad Dovimem, tak że nikt na Kalgaszu nie mógł go dojrzec. Głosny był krzyk i lament, i wielki strach poraził ludzkie dusze.

I w owej chwili Ciemność Jaskini opadła na Kalgasza całym swym straszliwym ciężarem i w żadnym jego zakątku nie było już światła. A ludzie stali się jak ślepi i nie widzieli stojącego obok, choć czuli jego oddech na swej twarzy.

I oto w owej czerni pojawiły się nieprzeliczone zastępy gwiazd, a ich blask był jako blask wszystkich bogów zgromadzonych na sąd, a ich nadejście zwiastowała muzyka tak cudowna, że nawet liście drzew odmieniły się w języki wołające ku niebiosom w zachwyceniu.

I oto w owej chwili dusze opuściły ludzkie ciała i uciekły ku gwiazdom, a oni sami stali się jak dzikie zwierzęta, zaprawde jak drapieżne bestie, i z głośnym wyciem przebiegali mrocznymi ulicami miast Kalgasza.

A z gwiazd spłynęły Niebianskie Plomienie zesłane przez bogów, a gdzie dotknęły, miasta Kalgasza obracały w ruiny i nie zostało śladu człowieka ani dzieła jego.

A wtedy..." Ton głosu Folimuna nieznacznie się zmienił. Apostołowi nawet powieka nie drgnęła, a jednak najwyraźniej zdał sobie sprawę ze skupionej uwagi słuchaczy. Gładko, bez pauzy na oddech, przeszedł na wyższą nutę. Mówił teraz płynniej, melodyjniej.

Teremon zmarszczył brwi w zdziwieniu. Nie mógł zrozumieć ani słowa, choć w recytacji nie zmieniło się nic poza 14 - Nastanie nocy 209 nieznacznym przesunięciem akcentów i drobna różnica w wymawianiu samogłosek.

-Może Siferra potrafiłaby go zrozumieć - rzekł Szi-rin. - To pewnie język liturgiczny, dawny język poprzedniego Roku Łaski, z którego miała być ponoc przetłumaczona Księga Objawień.

Teremon zmierzył psychologa badawczym spojrzeniem.

-Duzo wiesz na ten temat, prawda? Co on mówi?

-Istotnie, trochę się ostatnio tym interesowałem, ale nie na tyle, by pojąć wszystko. Mogę tylko zgadywać, o czym on mówi... Zdaje się, że mieliśmy go zamknąć w jakiejś komorce?

-Dajmy spokój. Jakie to ma teraz znaczenie? Nastala jego wielka chwila. Niech sie nia nacieszy. - Teremon odsunal do tyłu krzeslo i przygladzil dlonia włosy. Jego rece juz sie nie trzesly. - Dziwne - powiedzial. - Teraz, kiedy wszystko sie zaczelo, ja nie czuje najmniejszego zdenerwowania.

-Nie?

-A powinienem? - spytal Teremon. Do jego glosu wkradla sie nuta szalenczej wesolosci. - Przeciez nie moge nic zrobic, zeby powstrzymac bieg wypadkow, prawda? Wiec mam zamiar zwyczajnie przeczekac. Czy sadzisz, ze gwiazdy rzeczywiście sie ukaza?

-Nie mam pojecia - przyznal Szirin. - Moze Biney by wiedzial.

-Albo Athor.

-Athora juz lepiej o nic nie pytaj! - Psycholog sie rozesmial. - Wlasnie przechodzil tedy i rzucil ci spojrzenie, od ktorego powinienes pasc trupem.

Teremon skrzywil sie z niesmakiem.

-Wiem, bede musial zniesc mnostwo upokorzen, kiedy to wszystko sie skonczy. Jak myslisz, Szirinie? Czy bezpiecznie jest ogladac takie przedstawienie na niebie?

-Kiedy nastanie Ciemnosc...

-Nie chodzi mi o Ciemnosc. Jakos sobie z nia poradze. Ale gwiazdy...

-Gwiazdy? - powtorzil Szirin ze zniecierpliwieniem. - Juz ci mowilem, nie wiem o nich nic.

-Prawdopodobnie nie sa az tak przerazajace, jak przedstawia je Ksiega Objawien. Jesli przeprowadzony

210

przez tych dwoch studentow eksperyment z podziurawionym dachem cokolwiek znaczy... - rozlozil dlonie, jakby w nich wlasnie mogla znajdowac sie odpowiedz. - Jak myslisz, czy ludzie moga sie uodpornic na dzialanie Ciemnosci i gwiazd? Szirin wzruszyl ramionami. Wskazal na skrawek podlogi u swych stop. Dovim minal juz zenit i kwadrat rdzawego swiatla, ktory rysowal na podlodze kontury okna, przemiescil sie o metr w kierunku srodka pokoju, gdzie wygladal niczym kaluza krwi, slad jakiejs potwornej zbrodni. Tere-mon zamyslil sie gleboko. Raz jeszcze zerknal na slonce.

Ciemny rabek rozrosl sie w czarna plame zakrywajaca trzecia czesc tarczy Dovima. Teremon zadygotal. Kiedys zartowal z Bineyem o smokach na niebie. Teraz zdawalo mu sie, ze ten smok przyszedl, polknal juz piec slonc i z zapalem pozera jedyne, jakie jeszcze

pozostal.

Psycholog podjal po chwili:

-W Saro prawdopodobnie ze dwa miliony ludzi probuje natychmiast przylaczyc sie do Apostolow. Zaloze sie, ze urzadza przed sztabem glownym Mondiora gigantyczny wiec nawroconych... Czy sadze, ze mozna sie uodpornic na dzialanie Ciemnosci? Coz, przeciez to wlasnie mamy stwierdzic, prawda?

-Na pewno mozna. Jak bowiem Apostolowie zdolaliby przekazywac Ksiege Objawien z cyklu na cykl, a przede wszystkim, u licha, jak to sie stalo, ze ona w ogole na Kalgaszu powstala? Na pewno mozna sie w jakis sposob uodpornic. Gdyby wszyscy oszaleli, kto by ja napisal?

-Bardzo mozliwe, ze czlonkowie tej tajemniczej sekty ukrywali sie w chwili nastania Ciemnosci, tak jak niektorzy z nas robia to dzis.

-To nie takie proste. Ksiega Objawien powstala jako relacja naocznego swiadka, a wiec chyba mieli bezposrednie doswiadczenia z gwiezdnyim obledem - i go przetrwali.

-Coz... - rozwalal psycholog - trzy kategorie ludzi mogly zniesc katastrofe stosunkowo dobrze. Po pierwsze ci, ktorzy w ogole nie zobaczyli gwiazd - a wiec niewidomi albo pijani w sztok od poczatku do konca zacamienia.

211

-Oni sie nie licza. Nie sa naocznymi swiadkami.-Chyba masz racje. Druga kategoria to male dzieci. Dla nich swiat w ogole jest tak nowy i dziwny, ze nie przestrasza sie ani Ciemnosci, ani gwiazd. Bylyby to dla nich dwa kolejne osobliwe zjawiska w tym bezgranicznie zaskakujacym swiecie. Rozumiesz, prawda?

-Chyba tak. - Teremon pokiwal glowa niezdecydowanie.

-Wreszcie jednostki o umysle zbyt prymitywnym, by cokolwiek moglo go zaburzyc. Wlasnie ci prostacy o znikomej wzraliwosci moga przetrwac zacamienie bez szwanku. Przypuszczalnie wzrusza tylko ramionami i zaczekaja, az wzejdzie Onos.

-Zatem Ksiege Objawien napisali jacys prymitywni prostacy? - spytal Teremon ze smiechem.

-Bynajmniej. Mogly ja spisac jedne z najbystrzejszych umyslow nowego cyklu, ale opieraly sie na ulotnych wspomnieniach dzieci oraz niedorzecznym, bezladnym belkocie na wpol oszalalych glupcow uzupelnionym relacjami prostakow.

-Dobrze, ze Folimun tego nie slyszy.

-Oczywiscie na przestrzeni lat tekst ulegal duzym i czestym zmianom. Mozliwe tez, ze byl przekazany z jednego cyklu na drugi tak, jak to Athor i jego ludzie maja nadzieje zrobic z tajemnica grawitacji. Chodzi mi glownie o to, ze nie moze byc niczym innym, jak tylko poteznym przeklamaniem, nawet jesli oparty jest na faktach. Wezmy na przyklad ten eksperyment z dziurami w dachu, o ktorym mowili Faron i Imot - ten, który nie odniosl zadnego skutku.

-No wlasnie, jak to wytлумaczyc?

-Powodem, dla ktorego nie od... - Szirin przerwal i podniosl sie raptownie. - Oho!

-Co sie stalo? - zapytal Teremon.

-Athor tu idzie. Spojrz tylko na jego twarz! Teremon odwrocil sie. Stary astronom zmierzal w ich kierunku niczym jakis msciwy duch ze sredniowiecznego mitu. Byl blad jak papier, oczy mu plonely, a twarz wykrzywial grymas przerazenia. Poslal jadowite spojrzenie Folimunowi, który wciaz stal samotny w rogu przy oknie,

212

a kolejnym spojrzeniem obrzucil Teremona. Podszedl do Szirina.-Ostatni kwadrans spedzilem przy komunikatorze. Rozmawialem z Sanktuarium, ludzmi z Miejskiej Strazy Porzadkowej i z centrum Saro.

-I?

-Ten czlowiek, ten dziennikarz moze byc z siebie dumny. Jego starania odniosly skutek. W miescie zapanowal kompletny chaos. Zamieszki, rozboje, ogarniete panika tlumy...

-A Sanktuarium? - zaniepokoil sie Szirin.

-Bezpieczne. Zgodnie z planem sa szczelnie zamknieci i pozostana w ukryciu co najmniej do switu. Nic im nie grozi... ale miasto, Szirinie... nie masz pojecia... - Mowienie sprawialo astronomowi trudnosc.

-Panie profesorze - odezwal sie Teremon - niech pan uwierzy, glęboko zabije...

-Nie czas na to! - rzucil niecierpliwie Szirin. Polozyl reke na ramieniu Athora. - Jak sie pan czuje? Nic panu nie jest?

-Czy to wazne? - Athor podszedl do okna, jakby chcial dojrzec zamieszki. - W chwili gdy rozpoczelo sie zacmienie - rzekl posepnie - ludzie zdali sobie nagle sprawe, ze wszystko zdarzy sie dokladnie tak, jak to przewidzielismy - my i Apostolowie. Zaczela sie histeria. Wkrotce wybuchna pozary. I zapewne na obserwatorium przypusci atak motloch Folimuna. Co robic, profesorze Szirinie? Prosze podsunac mi jakas mysl!

Psycholog pochylił głowę i na dłuższą chwilę utkwil wzrok w czubkach swych butów. Bebnął palcami po brodzie. Wreszcie podniósł wzrok.

-Co robic? - powtorzył szorstko. - A co tu jest do roboty? Nic. Zamknijmy bramy i miejmy nadzieje, ze wszystko sie dobrze skonczy.

-A gdybysmy tym fanatykom powiedzieli, ze zabijemy Folimuna, jesli sprobuja sie tu wedrzec?

-Zabilby go pan? Athor sie zmieszal.

-No... chyba...

213

-Nie - odpowiedzial za niego Szirin - Nie zabilby pan.-Ale gdyby im zagrozić...

-Nie, nie. To fanatycy. Oni juz wiedza, ze Folimun jest naszym zakladnikiem. Prawdopodobnie wrecz spodziewaja sie, ze go zabijemy, kiedy tylko zaatakują obserwatorium, i wcale ich to nie odstrasza. A pan wie, ze i tak by pan tego nie zrobil.

-Oczywiscie, ze nie.

-No wlasnie. Kiedy nastapi calkowite zacmienie?

-Za niespelna godzine.

-Musimy zaryzykowac. Minie sporo czasu, zanim Apostolowie zgromadza tłum - i zaloze sie, ze nie bedzie to tłum fanatykow, raczej masa zwyczajnych mieszczuchow podburzonych przez garstke Apostolow, ktorzy obiecaja im natychmiastowe dostapienie laski, zbawienie czy cokolwiek innego - minie jednak sporo czasu, zanim ich tu przyprowadza. Wzgorze Obserwatoryjne oddalone jest o dobre osiem kilometrow od miasta.

Szirin wyrzal przez okno. Teremon stanal obok i skierowal wzrok w dol zbocza, gdzie pola uprawne ustepowaly miejsca koloniom bialych domkow na przedmiesciach. Znajdujaca sie za nim metropolia byla niewyraźna plama, mgla w gasnacym blasku Dovima. Krajobraz tonal w tajemniczym, przerażajacym swietle.

-Tak, dotarcie tutaj zabierze im troche czasu - powiedzial Szirin nie odwracajac glowy. - Zamknijmy drzwi, pracujmy dalej i modlmy sie, zeby najpierw przyszlo calkowite zacmienie. Kiedy zaswieca gwiazdy, nawet Apostolowie nie beda w stanie kierowac tłumem.

Dovim byl przeciety na pol. Linia podzialu wyginala sie lekko ku wciaz jeszcze jasnej czesci czerwonego slonca. Jakby opadala nieublaganie gigantyczna powieka.

Teremon stal bez ruchu. Przestal slyszec nikly gwar, dobiegajacy z pokoju za nim, odczuwal

Jedynie głęboka cisza pobliskich pol. Nawet owady zamilkły, śmiertelnie Jrzerazone. Cienie stawały się coraz bardziej niewyraźne. wiatr wydawał się jedną plamą zakrzepłej krwi.

-Nie patrz tak długo - usłyszał szept Szirina.

-Na słońce?

214

-Na miasto. Na niebo. Nie boję się, że zniszczysz sobie wzrok. Chodzi o twój umysł, Teremonie.-Mój umysł jest w porządku.

-Oby tak dalej. Jak się czujesz?

-No... - Teremon zmrużył oczy. Nieco zaschło mu w gardle. Przesunął palcem wzdłuż wewnętrznej strony kołnierzyka. Ciasny. Ciasny. Jak gdyby jakaś ręka zaciskała mu się na gardle. Odchrząknął, ale nie doznał żadnej ulgi. - Może małe trudności w oddychaniu - przyznał.

-Trudności w oddychaniu to jeden z pierwszych symptomów klaustrofobii. Kiedy poczujesz ucisk wokół klatki piersiowej, mądrze zrobisz odwracając się od okna.

-Chcę obserwować, co się dzieje.

-Doskonale. Doskonale. Zatem rob, co ci się żywnie podoba.

Teremon otworzył szeroko oczy i kilka razy odetchnął głęboko.

-Nie wierzysz, że mogę to znieść, prawda? - zapytał.

-Niczego już nie wiem na pewno, Teremonie - Szirin westchnął ze znużeniem. - Wszystko zmienia się z minuty na minutę... A oto nasz Biney!

26

Astronom stanął między oknem a dwojgiem ludzi w kacie i przesłonił sobą światło. Szirin nagle poczuł się nieswojo.-Co słychać, Biney? - zagadnął.

-Czy mogę się przysiąść? Dokonałem już wszystkich obliczeń i nie mam nic do roboty aż do całkowitego zaćmienia. - Biney urwał i zerknął na Apostoła. Folimun z uwagą studiował małą, oprawną w skórę książkę, którą wyciągnął z rekawów swej szaty. - Chyba mieliśmy go gdzieś zamknąć?

-Zdecydowaliśmy inaczej - rzekł Teremon. - Czy nie wiesz, gdzie się podziały Siferra? Dopiero co ja widziałem, a teraz gdzieś znikła.

-Jest na gorze, pod kopula. Chciala popatrzec przez

215

duzy teleskop. I tak nie zobaczy tam niczego, czego nie mozna dostrzec gołym okiem.-
Pewnie chce obejrzec Kalgasza Dwa - domyslil sie Teremon.

-A co tam jest do ogladania? Ciemnosc w Ciemnosci. Obserwujemy efekt jego obecności,
kiedy przesuwa sie przed tarcza Dovima, ale sam Kalgasz Dwa - to tylko okruch nocy na
nocnym niebie.

-Noc... - zadumal sie Szirin. - Jak to obco brzmi.

-Juz nie tak obco - zauwazyl Teremon. - Zatem w ogole nie mozna zobaczyc tego
wedrujacego satelity, nawet przez duzy teleskop?

Biney wygladal na zaklopotanego.

-Rozumiesz, nasze teleskopy w obecnych warunkach nie zdaja egzaminu. Sa przydatne do
obserwacji slonecznych, ale niech tylko napotkaja cos ciemnego... - Pokiwal glowa.
Sciagnal ramiona do tylu i z duzym wysilkiem probowal nabrac do pluc nieco powietrza. -
Nie ma jednak watpliwosci, ze Kalgasz Dwa istnieje. To dziwne pasmo Ciemnosci, ktore
przemieszcza sie miedzy nami i Dovimem, to wlasnie Kalgasz Dwa.

-Bineyu, czy masz jakies trudnosci w oddychaniu? - spytal Szirin.

-Troche. - Astronom pociagnal nosem. - Zdaje sie, ze to katar.

-A moze raczej lekki atak klaustrofobii?

-Tak sadzisz?

-Jestem zupełnie pewien. Czy czujesz jeszcze cos dziwnego?

-Tak - przyznal Biney. - Mam wrazenie, jakbym trafil wzrok. Kontury zaczynaja sie
rozmywac i... krotko mowiac, nie widze tak wyraznie jak dotychczas. Poza tym jest mi
zimno.

-Och, to nie zlodzenie. Naprawde jest zimno. - Teremon sie skrzywil. - Palce u nog mam tak
lodowate, jak gdybym podrozowal po calym kraju w chlodni.

-W tej chwili powinniśmy przede wszystkim odwrócic uwage od odczuwanych przez nas
objawow - stwierdzil psycholog kategorycznie. - Musimy myslec o czyms innym.

216

Teremonie, tłumaczyłem ci przed chwilą, dlaczego doswiadczenie tych dwóch studentów z dziurami w dachu nic nie dało. -Dopiero zacząłeś o tym mówić. - Teremon skulił się, objął rekoma kolana i przytulił do nich brode. "Teraz, kiedy pozostało już tak niewiele czasu do całkowitego zaciemnienia, powinienem ich przeprosić i pojsc na gore w poszukiwaniu Siferry - pomyślał. - Ale nie mogę, brak mi sił. A może po prostu boję się jej spojrzeć w twarz?" - Właśnie chciałem zasugerować - podjął watek Szirin - że Faron i Imot popełnili błąd odczytując dosłownie Księgę Objawień. Prawdopodobnie przypisywanie pojęciu gwiazd jakiegoś fizycznego znaczenia nie ma żadnego sensu. Niewykluczone, że ludzki umysł w absolutnej i długotrwałej Ciemności odczuwa nieodpartą potrzebę światła, stwarza je więc w wyobraźni. W takim przypadku gwiazdy stanowiłyby tylko iluzję.

-Innymi słowy - Teremon dał się wciągnąć w temat - uważasz, że gwiazdy są skutkiem szalenstwa, a nie jedną z jego przyczyn? Po co więc astronomowie robią teraz zdjęcia?

-Może po to, by udowodnić, że gwiazdy to tylko złudzenie. Albo by dowiedzieć czegoś wręcz przeciwnego. Coz...

Biney przysunął bliżej krzesło. Ożywił się nagle.

-Cieszę się, że poruszyłeś ten temat - zaczął. - Sam się nad gwiazdami zastanawiałem i przyszła mi do głowy nader interesująca myśl. Oczywiście, to tylko niepoważne spekulacje i nie mam zamiaru ich rozwijać w żadną teorię. Niemniej warto chyba je rozważyć. Czy chcecie posłuchać?

-Czemu nie? - Szirin rozsiadł się wygodniej.

Biney ociągał się nieco. Z niesmiałym uśmiechem zaczął:

-A zatem przypuśćmy, że we wszechświecie mogą istnieć inne słońca. Teremon powstrzymał się, by nie wybuchnąć śmiechem.

-Mówiłeś, że to niepoważne spekulacje, ale nie wyobrazałem sobie...

-Nie, to wcale nie jest aż tak głupie. Nie chodzi mi o inne słońca gdzieś blisko, których jakos tajemniczo nie

217

jestesmy w stanie dostrzec. Mówię o słońcach tak odległych, że ich światło jest zbyt słabe, byśmy je mogli wykryć. Gdyby znajdowały się w pobliżu, byłyby może równie jasne jak Onos czy Tano i Sitha, ale z wielkiej odległości światło, które emitują, zdaje się nam jedynie małym świecącym punkcikiem, który jest niedostrzegalny w ciągłym blasku naszych sześciu słońc. -A co z prawem powszechnego ciążenia? - spytał Szirin. - Czyżbyś nie zwrócił na to uwagi? Przecież te inne słońca siła przyciągania zakłócałyby orbite naszej planety, podobnie jak robi to Kalgasz Dwa, i te perturbacje astronomowie musieliby zauważyć!

-Trafna uwaga - powiedział Biney. - Załóżmy jednak, że te słońca są naprawdę bardzo daleko - może o cztery lata świetlne stąd albo nawet więcej.

-Ile lat ma rok świetlny? - spytał Teremon.

-Nie ile. To miara odległości. Rok świetlny to odległość, jaką pokonuje światło w ciągu jednego roku, co stanowi ogromną liczbę kilometrów, ponieważ światło rozchodzi się z wielką prędkością. Obliczyliśmy ją w przybliżeniu na dwadzieścia dziewięć tysięcy kilometrów na godzinę, a podejrzewam, że gdybyśmy dysponowali lepszymi instrumentami, odkrylibyśmy, że prędkość światła jest nawet większa. Ale nawet szacując ją na dwadzieścia dziewięć tysięcy kilometrów na godzinę, możemy obliczyć, że Onos znajduje się o dziesięć minut świetlnych stąd, Tano i Sitha w odległości około jedenasto-krotnie większej, i tak dalej. Zatem słońce oddalone od nas o kilka lat świetlnych... no, to byłoby naprawdę daleko. Z powodu tak wielkiej odległości perturbacje, jakie te słońca mogą powodować w ruchu Kalgasa, są znikome i dlatego nie jesteśmy w stanie ich wykryć. Dobrze, powiedzmy więc, że jest wiele słońc wszędzie wokół nas na sklepieniu niebieskim w odległości czterech do ośmiu lat świetlnych... przypuśćmy - dziesięć czy dwadzieścia takich słońc.

Teremon gwizdnął.

-To dopiero pomysł na wspaniały artykuł w "Dodatku Weekendowym"! Dwadzieścia słońc we wszechświecie, w odległości ośmiu lat świetlnych! Bogowie! Cały nasz

218

wszechświat jest kruszyną! Wyobraź sobie - Kalgasz i jego słońca jedynie małym, nic nie znaczącym przedmiotem prawdziwego wszechświata! A myśleliśmy, że jesteśmy wszystkim, tylko my i nasze sześć słońc, zupełnie sami w kosmosie!-To tylko szalone przypuszczenia - usprawiedliwiał się. Biney - ale mam nadzieję, że rozumiecie, dokąd zmierzam. Podczas zaciemnienia, kiedy nie będzie docierało do nas światło słoneczne, te dziesięć czy dwadzieścia słońc nagle stałoby się widoczne. Ze względu na wielką odległość wydawałyby się małe, podobne do licznych świecących kropek. No i widzielibyśmy gwiazdy, pojawiające się nagle punkty świetlne, od dawna obiecywane nam przez Apostołów.

-Apostołowie mówią o "niezliczonych zastępach" gwiazd - przypomniał Szirin. - Nie brzmi mi to jak dziesięć lub dwadzieścia, raczej jakieś kilka milionów, prawda?

-Poetycka przesada. - Biney wzruszył ramionami. - We wszechświecie po prostu nie ma dość miejsca dla miliona słońc, nawet gdyby się stykały, stłoczone jedno przy drugim.

-Poza tym - podsunął Teremon - kiedy już dojdziemy do dziesięciu lub dwudziestu, czy naprawdę możemy wtedy uchwycić rząd wielkości? Ide o zakład, że tuzin gwiazd zdalby się liczyć nie do policzenia - tym bardziej jeśli przypadkiem towarzyszyłoby temu zaciemnienie, a wszystkim by odbiło od samego patrzenia na Ciemność. Są przecież prymitywne plemiona,

które na określenie liczb mają w swym języku tylko trzy słowa - „Jeden”, „dwa” i „dużo”.
Możliwe, że my jesteśmy nieco rozumniejsi. Dziesięć czy dwadzieścia potrafimy pojąć, lecz
dalej wszystko wydaje się nam po prostu „niezliczone”. - Zadrzał z przejęcia. - Pomyśl tylko!
Tuzin słońc!

-Mam jeszcze inny pomysł - rzekł Biney. - Równie oryginalny. Czy kiedykolwiek przyszło ci
do głowy, jaka nieskomplikowana sprawa byłaby grawitacja, gdybysmy tylko mieli
wystarczająco prosty system? Wyobraźmy sobie wszechświat, w którym istniałoby tylko
jedno słońce i jedna planeta. Planeta krąży po doskonałej elipsie i pojecie siły

219

przyciągania staje się na tyle oczywiste, że można je uznać za aksjomat. W takim świecie
astronomowie odkryliby prawo grawitacji i bez teleskopu. Wystarczyłaby obserwacja gołym
okiem.-Ale czy taki system byłby dynamicznie stabilny? - zapytał Szirin z powatpiewaniem
w głosie.

-Oczywiście! Teoretycy nazywają to układem pojedynczym. Został opracowany
matematycznie, mnie jednak interesują głównie jego implikacje filozoficzne.

-Przyjemnie jest pomyśleć o czymś takim - przyznał Szirin. - Całkowita abstrakcja, coś jak
gaz doskonały czy zero absolutne.

-Oczywiście masz rację - zgodził się Biney. - Rozważając ten problem musimy dojść do
wniosku, że na takiej planecie nie mogłoby powstać życie. Nie docierałoby do niej dosyć
ciepła i światła, a gdyby jeszcze się obracała wokół własnej osi, przez połowę doby trwałaby na
niej całkowita Ciemność. Szirinie, kiedyś poprosiłeś mnie, żebym wyobraził sobie taką
planetę, pamiętasz? Planety, której mieszkańcy byłiby w pełni przystosowani do panujących
na przemian dnia i nocy. Zastanawiałem się nad tym. Na takiej planecie nie byłoby żadnych
mieszkańców! Niepodobna, by życie - całkowicie zależne od światła - rozwinęło się w tak
ekstremalnych warunkach. Połowa okresu każdego obrotu spędzona w Ciemności! Nie, nic
nie może egzystować w takich warunkach. A skoro już przy tym jesteśmy - mówiąc
wyłącznie hipotetycznie, system pojedynczy byłby...

-Poczekaj chwilę - wtracił Szirin. - Łatwo powiedzieć, że nie rozwinęłoby się tam życie.
Skąd o tym wiesz? Co jest tak zupełnie niemożliwe w koncepcji, że życie rozwinie się w
miejscu, które przez połowę doby pogrążone jest w Ciemności?

-Już ci mówiłem, Szirinie. Życie jest całkowicie zależne od światła. Dlatego też w świecie,
gdzie... - Życie tutaj jest całkowicie zależne od światła. Co to ma wspólnego z planetą,
która...

-To wynika z rozumowania!

-To wynika z błędnej metody rozumowania! - odparował Szirin. - Definiujesz życie jako

takie a takie zjawisko, które występuje na Kalgaszu, a potem próbujesz twierdzić, że w świecie zupełnie niepodobnym do Kalgasza życie byłoby...

Nagle Teremon wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem. Szirin i Biney spojrzeli na niego z oburzeniem.

-Co cię tak rozśmieszyło? - zapytał Biney.

-Wy dwaj. Astronom i psycholog prowadzący żartobliwą dyskusję o biologii. To pewnie ten słynny interdyscyplinarny dialog, wielki ferment intelektualny, o którym tak dużo słyszałem i z którego znany jest Uniwersytet Saryjski. - Dziennikarz wstał. Niecierpliwie się już od jakiegoś czasu, a długa rozprawa Biney'a na abstrakcyjne tematy rozdrażniła go jeszcze bardziej. - Wybaczcie. Muszę rozprostować nogi.

-Całkowite zaciemnienie jest już blisko - zaznaczył Biney. - Chyba nie chciałbyś być sam, kiedy to się stanie.

-Trochę tylko się przespaceruję i zaraz wracam - zapewnił Teremon.

Zanim zrobił pięć kroków, Biney i Szirin powrócili do swojej dyskusji. Teremon uśmiechnął się. "To dobry sposób na obniżenie napięcia" - pomyślał. Wszyscy znajdowali się pod ogromną presją. Bądź co bądź każde tyknięcie zegara przybliżało świat do pełnej Ciemności... do...

Do gwiazd?

Do szalenstwa?

Do czasu Niebieskich Plomieni?

Teremon wzruszył ramionami. Przez kilka ostatnich godzin przeszedł prawdziwą huśtawkę nastrojów, teraz jednak czuł dziwny, niemal fatalistyczny spokój. Zawsze wierzył, że jest panem swego losu, że jest w stanie kształtować swe życie; myślał w ten właśnie sposób udało mu się dostać w takie miejsca, gdzie inni dziennikarze nie mieli żadnych szans trafić. Teraz nie panował nad niczym i dobrze o tym wiedział. Niech przyjdzie Ciemność, niech przyjdą gwiazdy, niech przyjdą plomienie - wszystko się zdarzy, czy on tego chce, czy nie chce. Nie ma sensu spalać się w nerwowym oczekiwaniu. Odpierz się, usiądź wygodnie, czekaj, patrz, co się dzieje. I wierz, że przeżyjesz to całe zamieszanie, jakie łąka chwila nastąpi.

221

-Idź pan na górę do kopuły? - usłyszał jakiś głos. Przymrużył oczy w półmroku. Był to ten mały, pucołowaty dyplomant z Wydziału Astronomii - Faron, tak się chyba nazywał? - Tak, idę na górę - powiedział Teremon, choć właściwie nie zmierzał do żadnego określonego celu.

-Ja tez. Chodźmy tam razem, zaprowadź pana. Krete metalowe schody piły się spiralnie w górę do wysoko sklepionego najwyższego pietra ogromnego budynku. Faron sapiąc stapał ciężko, chwiejnie, a zaraz za nim lekkim krokiem szedł Teremon. Był już raz pod kopułą obserwatorium, wiele lat temu/ kiedy Biney chciał mu coś pokazać, ale z tej wizyty pamiętał bardzo niewiele.

Faron pociągnął do siebie ciężkie rozsuwane drzwi i weszli do środka.

-Przyszedłes przyjrzeć się gwiazdom z bliska? - spytała Siferra. Stała tuż przy wejściu, obserwując pracujących astronomów.

Teremon poczerwieniał. Siferra była ostatnia osoba, która chciałby w tej chwili spotkać. Za późno przypomniał sobie, że przecież Biney powiedział mu, dokąd poszła. Pomimo zagadkowego uśmiechu, który posłała mu, kiedy zaczęło się zaciemnienie, nadal obawiał się zadła jej szyderstwa, gniewu o domniemana zdradę zespołu naukowców.

Nie okazywała jednak żadnej urazy. Może teraz, kiedy świat pograżał się w Jaskini Ciemności, uznała, że wszystko, co wydarzyło się przed zaciemnieniem, nie miało już znaczenia, że wobec nadchodzącej katastrofy niczym są wszelkie pomyłki, wszelkie kłopoty, wszelkie grzechy.

-Niezwykle miejsce! - skomentował Teremon.

-Zdumiewające, prawda? Co nie znaczy, żebym wiele wiedziała o tym, co się tu dzieje. Ten duży solaroskop jest nastawiony na Dovima - choć, jak mi mówiono, to bardziej aparat fotograficzny niż teleskop, nie można tak po prostu przez niego spojrzeć i zobaczyć nieba, a mniejsze teleskopy są wyostrzone na większą odległość, by zarejestrować pojawienie się gwiazd...

-Czy już je widac?

222

-O ile wiem, nie - powiedziała Siferra. Teremon pokiwał głową. Rozejrzył się. Było to serce obserwatorium, sala, gdzie miała miejsce rzeczywista penetracja nieba. Było to też najciemniejsze pomieszczenie, w jakim kiedykolwiek przebywał - oczywiście niezupełnie ciemne; wzdłuż zakrzywionej ściany umocowano w podwojnym szeregu kinkiety z brązu, ale lampy dawały niewiele światła. W panującej szarości Teremon widział wielką metalową rurę wycelowaną ku górze i znikającą w przeszklonym dachu. Przez dach zobaczył niebo. Miało teraz przerazająco intensywny kolor purpury. Okrojony Dovim był wciąż widoczny, jednak wydawało się, że małe słońce wycofało się na ogromną odległość.

-Jak wszystko dziwnie wygląda - szepnął Teremon. - Nigdy jeszcze nie widziałem podobnego nieba. Jest ciężkie - jak jakiś gruby koc.

-Koc, który okryje nas wszystkich.

-Siferro, boisz się?

-Oczywiście. A ty?

-Tak i nie. Nie chce udawać bohatera, wierz mi, ale nie jestem nawet w części tak zdenerwowany jak godzinę czy dwie temu. Raczej odretwiąły.

-Chyba wiem, o co ci chodzi.

-Athor mówi, że w mieście są już jakieś rozruchy.

-To dopiero początek. Teremonie, nie mogę przestać myśleć o popiołach. Popiołach ze wzgórza Tombo. Te wielkie kamienne płyty, fundamenty cyklopowego miasta - i u ich podstaw wszedzie popioły.

-A niżej popioły jeszcze starsze.

-Tak - westchnęła Siferra.

Teremon zauważył, że się do niego przybliżyła. Zrozumiał, że uraza, która czuła do niego przez ostatnie miesiące, gdzieś się ulotniła, a Siferra - czy to możliwe? - zaczęła odwzajemniać zainteresowanie, jakim ją niegdyś darzył. Był zbyt doświadczonym mężczyzną, aby nie rozpoznać charakterystycznych tego objawów.

"No tak - pomyślał. - Świat zmierza ku końcowi i właśnie teraz Siferra odrzuciła maskę obojętnej Królowej Śniegu".

223

Ktoś bardzo wysoki podszedł do nich niezgrabnie, wymachując długimi ramionami. - Jak dotąd ani śladu gwiazd - rzucił na powitanie i zachichotał. To był Imot, jeden z dwóch dyplomantów. - Może w ogóle ich nie zobaczymy. Wszystko okaże się niewypałem, jak ten eksperyment, który razem z Faronem przeprowadziliśmy w starym magazynie.

-Wciąż widac spora część Dovima - stwierdził Teremon. - Daleko jeszcze do całkowitej Ciemności.

-Mówisz, jakbyś nie mógł się jej doczekać - powiedziała Siferra.

-Chciałbym, żeby już skończyło się to oczekiwanie.

-Hej! - krzyknął któryś z naukowców. - Siadł mój komputer! - Światła...! - wołał ktoś inny.

-Co się dzieje? - spytała Siferra.

-Awaria zasilania - wytłumaczył Teremon. - Taki przebieg wypadków przewidział Szirin. Stanęła elektrownia. Pierwsza fala obłakanych szaleje po mieście.

Rzeczywiście, przycmione światła w kinkietach zgasły. Najpierw bardzo pojasniały, jakby doszło do nagłego wzrostu napięcia, potem przygasły; znowu pojasniały, choć nie tak jak przed chwilą, i osłabły. Załedwie się zarzyły. Teremon poczuł, że dłoń Siferry mocno zaciska się na jego ręce.

-Zgasły - powiedział ktoś.

-Komputery też... Włączyc zasilanie awaryjne! Hej! Zasilanie awaryjne!

-Szybko! Solaroskop się nie rusza! Przysłona aparatu fotograficznego nie działa!

-Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleli? - zapytał Teremon.

Ale najwyraźniej pomyśleli. Gdzieś z głębi budynku dochodziło dudnienie generatora i po chwili monitory komputerów zamigotały na nowo. Lampy wzdłuż ścian pozostawały jednak wciąż ciemne, widocznie podłączone były do innego obwodu.

Obserwatorium pograżyło się w niemal zupełnej ciemności.

Kobieca dłoń wciąż spoczywała na ręce Teremona.

224

Dziennikarz rozważał, czy nie objąć Siferry ramieniem i przytulić dla dodania otuchy. Wtedy dał się słyszeć głos Athora.-Niech ktoś weźmie to ode mnie! Zaraz opanujemy sytuację.

-Co mamy od niego wziąć? - spytał Teremon.

-Athor przyniósł światło - oznajmił Imot. Teremon się obejrzał. W mroku trudno mu było cokolwiek dostrzec, ale już po chwili oczy jakos się przyzwyczaiły. Athor trzymał kilka długich, grubych polan. Spoglądał znad wiązki na członków zespołu.

-Faron! Imot! Pomozcie mi!

Młodzi mężczyźni podbiegli do dyrektora obserwatorium i odebrali od niego ciężar. W absolutnej ciszy Imot podawał polana, a Faron zapalał, jak gdyby odprawiał jakiś uświęcony obrzęd religijny. Kiedy dotykał płomieniem zapalki górnego końca polana, ogień przez chwilę drżał niepewnie i migotał, aż nagły błysk z trzaskiem rozjaśnił żółtym światłem pomarszczoną twarz Athora. Spontaniczny okrzyk radości wstrząsnął kopułą. Nad polanem unosił się wysoki chwiejny płomień.

-Ogień? Tutaj? - zastanowił się Teremon. - Może należałoby raczej użyć bożych światełek?

-Myslelismy o nich - powiedziala Siferra - lecz boze swiatelka sa zbyt slabe. Dobrze do sypialni - maly, przyjazny towarzysz w przejsciach przez okres snu - jednak w tak duzym pomieszczeniu...

-Na dole tez zapalaja pochodnie?

-Chyba tak.

-Jesli nawet wy, aby powstrzymac Ciemnosc, uciekacie sie do czegos tak prymitywnego jak ogien - Teremon potrzasnal glowa - nic dziwnego, ze miasto dzisiaj splonie. Swiatlo bylo blade, bardziej przytmione niz nikly blask Dovima. Plomyki drgaly. Na scianach pojawily sie migotliwe, tanczace cienie. Pochodnie kopcily straszliwie, wydzielajac swad spalenizny. Dawaly jednak zolte swiatlo.

"Jest cos radosnego w tym zolтым swietle po niemal czterech godzinach spedzonych w ponurych promieniach znikajacego Dovima" - pomyslal Teremon. 15 - Nastanie nocy 2.2, J Siferra ogrzewala rece przy najblizszym plomyku, nie baczac na sadze, osiadajace na skorze szarymi drobinami.

-Pieknę! Pieknę! - mrużala do siebie w uniesieniu. - Nie zdawalam sobie dotychczas sprawy, jakim cudownym kolorem jest zolty.

Teremon przygladal sie pochodniom z duza doza podejrziwosci. Zmarszczyl nos czujac zjelczaly odor.

-Z czego sa zrobione? - zapytal.

-Z drewna - odpowiedziala Siferra.

-Niemożliwe! One sie przeciez w ogole nie pala. Gorne dwa centymetry sa juz zweglone, a plomien z niczego strzela w gore.

-W tym cale piekno. To naprawde doskonale urzadzenie produkujace sztuczne swiatlo. Wykonalismy ich kilkaset sztuk, ale wiekszosc oczywiscie jest w Sanktuarium. Rozumiesz - Siferra strzepnela sadze ze swych poczernialych dloni - bierzesz zdrewnialy rdzen grubej trzciny wodnej, dokladnie go suszysz i moczysz w tluszczu zwierzecym. Następnie podpalasz i tluszcz powoli, stopniowo plonie. Te pochodnie beda sie palic bez przerwy przez blisko pol godziny. Pomyslowne, prawda?

-Cudowne! - stwierdzil Teremon bez entuzjazmu. - Bardzo nowoczesne. Imponujace.

Nie mogl pozostac w tym pomieszczeniu ani chwili dluzej. Ten sam niepokoј, ktory nakazal mu opuscic Szirina i Bineya, teraz ogarnal go ponownie. Pochodnie zbyt dymily, a przez otwor w kopule wpadal do wnetrza silny podmuch zimnego powietrza, nieprzyjemny, chlodny powiew. Lodowate dotkniecie nocy. Zadrzal. Zalowal, ze tak szybko skonczyli z

Szirinem i Bineyem butelke tego podlego wina.

-Wracam na dol - powiedziala Siferra. - Nie ma tu nic do ogladania, jesli nie jest sie astronomem.

-Doskonale. Pojde z toba.

W migoczącym zoltych swietle zobaczyl, jak na jej twarzy pojawia sie wyrazny, bynajmniej nie zagadkowy usmiech.

27

Spiralnymi metalowymi schodami, dudniacymi z kazdym ich krokiem, zeszli do pomieszczenia nizej. Tu rowniez lampy zgasly, ludzie zapalili pochodnie. Bmey pracowal przy trzech komputerach naraz, przetwarzajac dane nadchodzace z teleskopow zainstalowanych na gorze. Pozostali astronomowie takze byli zajeci, ale Teremon nie rozumial, co robia. Szirin blakal sie miedzy nimi, zupełnie zagubiony. Folimun przesunal swe krzeslo bezposrednio pod pochodnie i powrocil do czytania, poruszajac ustami w monotonnym monologu inwokacji do gwiazd. Teremonowi przebiegaly przez glowe jakies frazy, oderwane fragmenty artykulu do jutrzejszego wydania "Kuriera Saro". Juz wczesniej tego wieczora uruchamial w wyobrazni maszynie do pisania - przyzwyczajenie zawodowe, bardzo praktyczne i pozytywne, ale obecnie zupełnie bezsensowne. Bylo absurdem wyobrazac sobie, ze jutro ukaze sie kolejne wydanie "Kroniki".

Wymienili z Siferra spojrzenia.

-Niebo - szepnela.

-Tak, zauwazylem.

Znow zmienilo odcien. Bylo jeszcze bardziej mroczne - straszliwszy, gleboki, fioletowoczerwony kolor, jakby jakas ogromna rana w sklepieniu niebios broczyła krwia.

Powietrze jak gdyby zgestnialo. Niemal namacalny polmrok wypelnial pokoj. Tanczace wokol pochodni kregi zoltego swiatla odcinaly sie ostro od wszechobecnej szarosci. Podobnie jak na gorze, tak i tutaj czuc bylo swad palacego sie tluszczu. Teremona draznilo nawet syczenie pochodni podobne do chichotu, czy tez ciche odglosy krokow Szirina krazacego wokol stolu.

Coraz trudniej bylo cokolwiek zobaczyc, nawet przy swietle pochodni.

"Zaczyna sie - pomyslal Teremon. - Czas Ciemnosci. Nadejście gwiazd".

Przez moment mial ochote poszukac jakiejś przytulnej kryjowki i schowac sie w niej do czasu, gdy bedzie juz po wszystkim. Trzymac sie z dala, unikac widoku gwiazd,

skulic sie i przeczekac, az wszystko powroci do normy. Po chwili zastanowienia uznal jednak, ze nie byl to najlepszy pomysl. Przeciez w kryjowce - jakimkolwiek ciasnym zamknietym pomieszczeniu - tez panowalby mrok. Zamiast w bezpiecznej przystani, znalazlby sie w gabinecie grozy, o wiele bardziej przerazajacym od sal obserwatorium. A poza tym, jesli mialo zdarzyc cos wielkiego, cos, co na nowo ukszaltuje historie swiata, Teremon nie chcial w tym czasie siedziec z glowa ukryta w ramionach. Byloby to tchorzostwo i glupota; zalowalby swego postepku do konca zycia. Nigdy nie byl czlowiekiem, ktory uciekal przed niebezpieczenstwem, zwlaszcza jesli widzial w nim jakis ciekawy temat dla siebie. No i byl po prostu wystarczajaco pewny siebie, by wierzyc, ze zniesie wszystko, cokolwiek sie zdarzy - zostalo tez w nim dosc sceptycyzmu, aby przynajmniej troche watpic w nadejście czegos waznego.

Stal bez ruchu, przysluchujac sie urywanym oddechom Siferry, szybkim i plytkim jak u kogos, kto za wszelka cene stara sie zachowac spokoj.

Wtedy uslyszal cos jeszcze - ledwo uchwytnie echa dzwieku, ktore zapewne przeszlyby niepostrzezenie, gdyby nie zalegajaca w pokoju smiertelna cisza i nienaturalne skupienie uwagi Teremo?na wyczekujacego na calkowite zacmienie.

Dziennikarz zamarl, wytezyl sluch, wstrzymal oddech. Po chwili ostroznie ruszyl do okna i wyjrzal na zewnatrz.

Cisze rozdarl jego przerazony krzyk:

-Szirin!

W pokoju zawrzalo. Wszyscy podniesli glowy, zerwali sie z miejsc. Natychmiast zjawil sie przy nim psycholog. Potem Siferra. Nawet Biney, pochylony nad komputerami, oderwal sie od pracy.

Na niebie Dovim byl juz tylko tlaca sie drzazga, posylajaca Kalgaszowi ostatnie, tragiczne spojrzenie. Od strony miasta wschodni horyzont ginal w Ciemnosci, a droga laczata Saro z obserwatorium przypominala brudnoczer-wona linie. Drzewa rosnace po obu stronach autostrady stracily swa odrebnosc i zlaly sie w zwarta czarna mase.

Uwage przyciagala glownie sama autostrada, po ktorej sunela z wolna inna, nieskonczenie grozniejsza czarna

masa, pelznac po zboczach Wzgorza Obserwatoryjnego niczym nieublagana bestia.-
Patrzcie! - wykrzyknal Teremon chrapliwie. - Niech ktos zawiadomi Athora! Szalency z miasta! Ludzie Folimuna nadchodza!

-Ile jeszcze do całkowitego zaciemnienia? - spytał Szirin.

-Kwadrans - odpowiedział Teremon ochryple. - Oni beda tu za piec minut.

-Nie szkodzi. Pracujcie dalej! - Glos Szirina brzmial mocno, zdecydowanie, rozkazujaco, jakby psycholog w krytycznym momencie zdolal odkryc w sobie glebokie poklady wewnetrznej sily. - Powstrzymamy ich. Obserwatorium to istna forteca. Siferro, idz na gore i powiedz Athorowi, co sie dzieje. Bineyu, pilnuj Folimuna. Powal go i usiadz na nim, jesli bedzie trzeba, ale nie pozwol mu uciec. Teremonie, chodz ze mna.

Psycholog po chwili byl juz za drzwiami. Teremon podazyl .za nim. Schody biegly w dol waskimi, kretymi lukami wokol srodkowego szybu, nikly posrod szarego mroku.

Sila rozpedu pokonali pietnascie metrow. W gorze zniklo blade, zolto migoczace swiatlo z otwartych drzwi. Z dolu nacierala zlowroga czern.

Szirin zatrzymal sie, chwycil pulchna dlonia za piers. Oczy wyszly mu z orbit, nie mogli wydobyz z siebie glosu, jedynie kaslal sucho. Drzal ze strachu na calym ciele. Bez wzgledu na to, z jakiego wewnetrznego zrodla czerpal przed chwila energie, teraz to zrodlo wydawalo sie juz wyczerpane.

-Brak... mi... tchu... - zdolal wykrztusic. - Zejdz... sam. Sprawdz, czy wszystkie drzwi sa zamkniete... Teremon zrobil kilka krokow w dol i odwrocil sie.

-Poczekaj! - zawolal. - Wytrzymasz chwile?

Jemu tez brakowalo tchu. Wdychal i wydychal powietrze z najwyzszym trudem. Na mysl o samotnym zejsci u w dol zaczela wzbierac w nim panika.

A jesli straznicy zostawili glowne drzwi otwarte?

Nie tlumu sie obawial. Raczej...

Ciemnosci.

229

Teremon zdal sobie sprawe, ze bal sie Ciemnosci!-Zostan tu - powiedzial do Szirina, ktory i tak nie mogli ruszyc sie z miejsca, skulony w ataku dusznosci. - Zaraz wroce.

Rzucil sie w gore przeskakujac po dwa stopnie naraz. Serce walilo mu jak mlotem - bynajmniej nie z wysilku. Wpadl do sali i wyrwal ze stojaka pochodnie. Zaskoczona Siferra spojrzala na niego szeroko otwartymi oczami.

-Isc z toba? - spytala.

-Tak. Nie, nie!

Wybiegl. Pochodnia cuchnela, dym gryzl w oczy, oslepial, ale Teremon sciskal w reku luczywo z taka radoscia, jakby chcial je ucalowac. Gdy znow popedzil w dol po schodach, plomien umykal do tyłu.

Szirin ani drgnal. Kiedy Teremon sie nad nim pochyлил, podniosl powieki i jeknal glucho. Dziennikarz potrzasnal go za ramie.

-Wez sie w garasc. Mamy swiatlo.

Trzymal skwierczaca pochodnie koncami palcow i pomagajac isc chwiejacemu sie na nogach psychologowi. ruszyl w dol. Czul sie bezpiecznie w jasnym kregu swiatla.

Na parterze wszystko bylo czarne. Teremon znow poczul ogarniajacy go lek. Na szczescie pochodnia rozswietlala mu droge przez Ciemnosc.

-Straznicy... - powiedzial Szirin.

Gdzie oni sie podziali? Wszyscy uciekli? Na to wygladalo. Nie, bylo jednak paru straznikow, ktorym Athor kazal strzec wejścia. Stloczeni w rogu, z oczami bez wyrazu, z wywieszonymi jezykami, trzesli sie jak galareta. Po pozostalych nie bylo ani sladu.

-Trzymaj! - polecil szorstko Teremon podajac pochodnie Szirinowi. - Juz ich slychac.

Z zewnatrz dobiegaly strzepy ochrypnych nieartykulowanych wrzaskow.

Szirin mial racje. Obserwatorium przypominalo fortece. Wzniesiono je w ubieglym stuleciu, w szczytowym okresie okropnego neogawotanskiego stylu architektury; w zamysle budowniczych mialo byc przykladem nie tyle piekna, co uzytecznosc i trwalosci.

230

Okna zabezpieczone byly grubymi na trzy centymetry kratami, zatopionymi gleboko w betonowe podklady. Scian, bedacych przykladem solidnej murarskiej roboty, nie mogloby nadwerezyc nawet trzesienie ziemi. Glowne drzwi wykonane zostaly z ogromnego debowego kloca, dodatkowo w roznych miejscach wzmoconego zelaznymi cwiekami. Teremon sprawdzil rygle. Byly zasuniete.

-Przynajmniej nie wejda tak po prostu do srodka, jak to zrobil Folimun - zauwazyl, z trudem chwytajac powietrze. - Ale posluchaj ich! Juz tam sa.

-Musimy cos zrobic.

-Nie stojcie tak! - rzucil Teremon w kierunku straznikow. - Pomozcie mi przesunac skrzynie pod drzwi! I trzymajcie te pochodnie z dala ode mnie. Dusze sie dymem!

Skrzynie wypełnione były książkami, przyrządami optycznymi, jakimis rupieciami - zawierały istne muzeum astronomii. Bogowie jedynie raczyli wiedzieć, ile mogły ważyć, ale w tej krytycznej chwili w Teremona wstąpiła jakaś nadludzka siła, bo dzwigał je w górę, jakby były lekkie niczym piórka. Przy pomocy Szirina zaciągał je na miejsce. Kiedy rzucał ciężar na podłogę, słychać było przewracającą się w środku skrzyni lunety i inne przyrządy. Brzeczalo tłuczone szkło.

"Biney mnie zabije - pomyślał Teremon. - On odnosi się do tych soczewek z balwochwalczym uwielbieniem".

Nie był to jednak czas na subtelności. Z trzaskiem rzucał pod drzwi jedną skrzynię po drugiej i po kilku minutach zbudował barykadę, która - jak miał nadzieję - powstrzymałaby tłum, w razie gdyby zdołał się przedrzeć przez brame.

Gdzieś zza barykady niewyraźnie rozlegało się łomotanie piściami w drzwi. Wrzaski... krzyki...

To wszystko było jak upiorny sen.

Tłum wyruszył z Saro wiedziony nadzieją zbawienia, obiecywanego przez Apostołów Plomieni pod warunkiem zniszczenia obserwatorium. W zapadającej Ciemności ludzi opętał strach. Nie było czasu, by starać się o pojazdy, bronie, przywódcę lub jakąś organizację. Pieszko ruszyli na obserwatorium, aby je szturmować gołymi rękoma.

231

I oto przybyli na miejsce. Ostatnie błyski Dovima, ostatnie rubinoczerwone krople słonecznego światła saczały się na ludzkosc, której pozostał jedynie wszechogarniający powszechny strach. -Wracamy na górę! - rzucił Teremon. W głównej sali nie było już nikogo, astronomowie poszli na najwyższe piętro. Teremona zdziwił niesamowity spokój, jaki panował pod kopułą. Wszyscy zamarli w bezruchu, jakby zainscenizowali żywy obraz. Imot usadowił się w małym, odchylanym foteliku za stołem kontrolnym gigantycznego solaroskopu, jak podczas cwieczornych badań astronomicznych. Inni skupili się wokół mniejszych teleskopów, a Biney wydawał polecenia schrypniętym, pełnym napięcia głosem.

-Niech każdy wyostri obraz. Istotne jest, by uchwycić Dovima na moment przed całkowitym zaćmieniem, po czym zmienić klisze. Proszę, ty... ty... po jednym do aparatu. Im więcej zrobimy zdjęć, tym lepiej. Oczywiście wszyscy pamiętajcie czas... czas nasświetlania?

Odpowiedział mu cichy szmer potakiwania.

Biney przetarł dłoń o oczy.

-Czy pochodnie jeszcze się palą? Nieważne, widzę! - Wyprostował się na krześle. - I

pamiętajcie, nie... nie szukajcie efektownych ujęć. Kiedy ukaza się gwiazdy, nie tracie czasu próbując złapać w obiektywie dwie... dwie naraz. Jedna wystarczy. I... i jeśli ktoś poczuje, że źle z nim, niech odejdzie natychmiast od aparatu.

Szirin szepnął Teremonowi:

-Zaprowadź mnie do Athora. Nie widzę go. Dziennikarz nie odpowiedział. Niewyraźne sylwetki astronomów chwiały się i zamazywały. Pochodnie przypominały żółte plamy. W pokoju panował przenikliwy chłód. Teremon poczuł, jak przez moment - tylko przez moment - kobieca dłoń musnęła jego rękę, lecz nie mógł zobaczyć Siferry.

-Ciemno! - jęknął. Psycholog wyciągnął rękę.

-Athor! - Zatokował się do przodu. - Athor! Teremon chwycił go za ramię.

232

-Poczekaj. Zaprowadzę cię. Udaj się jakos przez pokój. Zamknął oczy, żeby nie widzieć Ciemności. Usiłował nie myśleć o narastającym w nim chaosie.

Nikt ich nie słyszał, nikt nie zwracał na nich uwagi. Szirin potknął się i zatoczył na ścianę.

-Athor!

-To ty, Szirinie?

-Tak, tak. Athor?

-O co chodzi? - Bez wątpliwości był to głos starego profesora.

-Chciałem tylko panu powiedzieć... Niech się pan nie martwi tłumem... drzwi są wystarczająco mocne, by ich powstrzymać.

-Tak, tak, oczywiście - bąknął Athor. Teremonowi zdało się, jakby astronom był o wiele kilometrów stąd.

Cale lata świetlne.

Nagle ktoś wpadł między nich z impetem. Ramionami młocił na prawo i lewo. Teremon pomyślał, że to Imot czy nawet Biney, ale kiedy musnęło go szorstkie sukno szaty Apostoła, rozpoznał Folimuna.

-Gwiazdy! - krzyczał Apostoł Plomieni. - Oto nadchodzą gwiazdy! Zejdźcie im z drogi!

"Próbuje dotrzeć do Bineya - domyślił się Teremon - żeby zniszczyć szatanskie przyrzady".

-Uwazajcie! - zawolal.

Biney jakby nie slyszal. Wciaz pochylal sie nad komputerami, ktore uruchamialy aparaty fotografujace zapadajaca Ciemnosc.

Teremon chwycil Folimuna za szate i szarpnal. Nagle na jego gardle zacisnely sie kleszcze palcow. Miotal sie jak oszalaly. Przed soba mial tylko cienie. Nawet podloga pod stopami zdawala sie niematerialna. Poczul przeszywajacy bol. To Folimun uderzyl go kolaniem w brzuch. Teremon steknal, sparalizowany bolem omal nie upadl.

Ale po pierwszym momencie, w ktorym nie mogl zlapac tchu, wrocila mu energia. Chwycil Folimuna za ramiona, obrocil i zacisnal reke na jego gardle. W tej samej chwili uslyszal drzacy glos Bineya.

233

-Mam! Mam! Wszyscy do aparatow!W jednej chwili Teremon zrozumial to, w co az dotad nie mogl uwierzyc. Przed oczami przeplywal mu caly swiat pograzony w chaosie, wyjacy z przerazenia.

Odczul w niepojety sposob, ze oto ostatnia nic slonecznego swiatla pocieniala, a potem nieodwolalnie sie urwala.

Jednoczesnie uslyszal przerywany oddech Folimuna, gleboki ryk zdumionego Bineya i dziwaczny, cichy okrzyk Szirina, jego histeryczny chichot, ktory zamarl jak nozem ucial.

I naraz za murami gmachu zapanowala cisza - glucha smiertelna cisza.

Rozluznil chwyt i Folimun osunal sie na podloge. Teremon zajrzal Apostolowi w oczy, lecz zobaczyl w nich pustke - patrzyly w gore, odbijajac bladozolte swiatlo pochodni. Na ustach Folimuna ujrzal babelek piany i uslyszal wydobywajacy sie z jego gardla niski, zwierzeczy skowyt.

Urzeczony groza skierowal wzrok ku mrozacej krew w zylach czerni nieba.

I wtedy zobaczyl gwiazdy!

Nie dziesiec czy dwadziescia, jak przewidywal Biney w swej zalosnej teorii! Tysiace gwiazd swiecilo z niewiarygodna moca, jedna przy drugiej, jedna przy drugiej, jedna przy drugiej, bezkresne mrowie, tworzace z firmamentu oslepiajaca tarcze straszliwego swiatla. Tysiace poteznych slonc zablysko przytlaczajacym dusze przepychem, ktorego lodowata obojetnosc byla zimniejsza od mroznego wiatru szalejacego po przerazajacym, ponurym swiecie.

Podcinaly korzenie jego bytu. Mlocily mu mozg niczym cepy. Ich potworne swiatlo bylo jak milion olbrzymich gongow rozlegajacych sie w tej samej chwili.

O BOZE! O BOZE, BOZE, BOZE.

Nie mogli oderwać oczu od ich piekielnego światła. Patrzył przez otwór w kopule, zeszywniały, z każdym mięśniem napiętym do ostatecznych granic. W bezradnym podziwieniu i przerażeniu wbił wzrok w ową tarczę, która z taką wściekłością wypełniła niebo. Poczul, jak pod wpływem tej bezustannej zjadłej napęczenia mózg mu się skurczył w niewielką lodową kulkę, stukająca po wydrążonej dyni, która była jego czaszka. Nie mogli oddychać. Z żył odpływała krew. Wreszcie zdołał zamknąć oczy.

Opadł na kolana. Dyszał ciężko i mamrotał pod nosem, walczyć o odzyskanie panowania nad sobą.

Potem chwiejnie wstał na nogi. Brak mu było tchu. Gardło miał ściśnięte, a wszystkie mięśnie skurczone bolesnie pod wpływem grozy i zwykłego, nieznośnego strachu. Niejasno zdawał sobie sprawę z bliskiej obecności Siferry, ale na próżno starał się przypomnieć sobie, kto to jest. Starał się przypomnieć sobie, kim jest on sam. Z dołu dobiegło miarowe bebnienie, przerażające walenie w drzwi. Dzika, tysiącglowa bestia chciała wdrzeć się do środka...

Nie miało to znaczenia.

Nic nie miało znaczenia.

Popadał w obłęd i zdawał sobie z tego sprawę. Gdzieś głęboko w nim krzyczała jeszcze resztką świadomości, próbując zwalczyć beznadziejną powódź czarnego przerażenia. Straszliwie było odchodzić od zmysłów i być tego świadomym - wiedzieć, że za krótką chwilę on, Teremon, będzie tu fizycznie, lecz wszystko, co najistotniejsze, umrze, zatoni w czarnej otchłani obłędu. Taka była Ciemność - mrok, chłód, przeznaczenie. Jasniejące mury wszechświata waliły się, a ich mordercze czarne gruzy miażdżyły, dusiły, scierały na proch.

Zderzył się z kims pełznącym na czworakach. Odsunął się w bok. Położył rękę na umęczonym gardle i zataczając się zmierzał ku płomieniom pochodni, które wypełniały jego obłąkany wzrok. - Światła! - krzytał. - Światła! Gdzieś niedaleko płakał Athor, zanosił się płaczem niczym przerażone dziecko.

-Gwiazdy... - szlochał. - Tyle gwiazd... Nie wiedzieliśmy! Nic nie wiedzieliśmy! Myśleliśmy, że sześć gwiazd to już wszechświat, a tu wszędzie gwiazdy i Ciemność na zawsze, na wieki wieków, i pękają ściany. Nie wiedzieliśmy nic, nie mogliśmy wiedzieć i nie dowiemy się...

Stracona przez kogoś pochodnia upadła i zgasła. Momentalnie spadł na nich wstrząsający majestat obojętnych gwiazd.

235

Z dołu dochodziły krzyki, wrzaski i brzek tłuczonego szkła. Rozszalały, nieokiełznany tłum

wdarł się do obserwatorium. Teremon spojrzal wokół. W straszliwym świetle gwiazd zobaczył osłupiałych naukowców, z przerażenia slaniających się na nogach. Zdolał wyjść na korytarz. Tam ogarnęła go nagle fala mroźnego powietrza, napływająca przez otwarte okno. Stał czując, jak uderza go w twarz, i śmiał się cicho z arktycznego chłodu.

-Teremon?! - zawołał ktoś za nim. - Teremon?! Śmiał się dalej.

-Patrz! - usłyszał swój głos. - Tam są te gwiazdy. A tam są te płomienie.

Za oknem, na horyzoncie, od strony Sary, narastała szkarłatna luna. Jasniała, przybierała na sile. Nie był to jednak blask wschodzącego słońca.

Znow nastąpiła długa noc.

Część trzecia

Świt

28

Pierwszą rzeczą, którą Teremon uświadomił sobie po długim okresie trwania w całkowitej nieswiadomości, była obecność czegoś ogromnego i żółtego, wiszącego ponad nim. Była to olbrzymia złota kula światła. Blask z niej był taki, że raził w oczy aż do bólu. Wysyłała pulsujące fale gorąca.

Skulił się, schylił nisko głowę i zakrył oczy, chcąc zasłonić się przed nawalą światła i ciepła płynącego z nieba. "Jaka siła to utrzymuje? - zastanawiał się. - Dlaczego kula nie spada?"

Jeśli spadnie, spadnie na mnie.

Gdzie się przed tym ukryć? Jak się obronić?" Bał się poruszyć, ledwie osmielał się myśleć. Po dłuższej chwili z najwyższą ostrożnością uchylił powieki. Gigantyczny, jasniejszy obiekt tkwił wciąż na swoim miejscu. Nawet nie drgnął. Najwyraźniej nie zamierzał spadać.

Teremon zaczął dygotać pomimo gorąca.

Doszedł go cierpki, duszący śwad. Dym. Coś się paliło, i to całkiem blisko.

"To niebo - pomyślał. - Niebo się pali".

ZŁOTA KULA PODPALIŁA ŚWIAT.

Nie, nie... Dym miał inną przyczynę. Przypomniałby sobie w jednej chwili, gdyby tylko zdołał rozproszyc delikatną mgiełkę spowijającą umysł. To nie złota kula spowodowała ogień. Nawet jej tu nie było, kiedy wybuchł. To te inne rzeczy, te zimne, błyszczące, białe obiekty, które wypełniały niebo aż po same krańce - one to uczyniły, one zesłały płomienie.

Jak sie nazywaly? Gwiazdy."Tak - pomyslal. - Gwiazdy".

Cos zaczal sobie przypominac, ale znow chwycily go dreszcze, przenikliwe, konwulsyjne drzenie.

Przypomnial sobie chwile, gdy pojawily sie gwiazdy i jego mozg skamienial, pluca przestaly pompowac powietrze, a dusza przerazliwie skurczyla sie w panicznym strachu.

Ale gwiazdy odeszly. Zamiast nich byla na niebie ta swietlista, zlota kula. Swietlista, zlota kula?

ONOS.

Tak sie nazywala. Onos, slonce. Glowne slonce. Jedno z szesciu slonc. Tak. Teremon usmiechnal sie do siebie. Wszystko zaczynalo sie z powrotem ukladac. Onos byl czastka nieba, a gwiazdy nie. Slonce, zyczliwe slonce, dobry, cieply Onos. Onos powrocil. Swiat mial sie wiec calkiem dobrze, nawet jesli jego czesc byla w plomieniach.

Szesc slonc? Ale gdzie sie podzialo piec pozostalych?

Pamietal nawet ich nazwy: Dovim, Trey, Patru, Tano, Sitha - to piec. Z Onosem szesc. Widzial Onosa, byl dokladnie ponad nim, wypelnial chyba polowe niebosklonu. Ale gdzie sa inne? Wstal niepewnie. Nadal troche obawial sie tego goracego, zlotego obiektu wiszacego nad nim. Lekal sie, ze kiedy podniesie glowe, dotknie go i splonie. Nie, to nie mialo najmniejszego sensu. Onos byl dobry. Onos byl zyczliwy.

Teremon usmiechnal sie. Spojrzal dookola. Zadnych wiecej slonc?

Bylo jeszcze jedno. Bardzo daleko i bardzo male. To slonce nie bylo przerazajace jak gwiazdy czy ognisty, gorejacy glob nad glowa. Po prostu radosna, biala plamka na niebie, nic wiecej. Tak mala, ze moglby schowac ja do kieszeni, oczywiscie gdyby tylko zdolal jej dosiegnac.

"Trey - pomyslal. - To jest Trey. Czyli jego brat Patru powinien byc gdzies w poblizu.

Tak, tak. Jest tam. Troche nizej, na samym krancu nieba, tuz przy Treyu, na lewo. No chyba, ze to jest Trey, a to drugie to Patru.

Coz, nazwy i tak nie maja znaczenia. Niewazne, ktore

jest ktore. Razem to Trey i Patru. A ten olbrzym to Onos. Trzy pozostale slonca musza byc gdzie indziej, skoro ich nie widze. A ja nazywam sie...

TEREMON.

Tak, własnie. Jestem Teremon". Jeszcze liczba. Stal zmarszczywszy brwi i usilowal ja sobie przypomniec, swoj kod rodzinny, to bylo własnie to, numer, który pamietal przez cale zycie, ale jaka to byla liczba? Jaka?

762.

Tak.

NAZYWAM SIE TEREMON 762.

Potem przyszla kolejna, juz bardziej zlozona mysl:"Jestem Teremon 762 z >>Kroniki Saro<<".

To stwierdzenie sprawilo, ze poczul sie troche lepiej, aczkolwiek nadal pelne bylo tajemniczych slow.

Saro? Kronika?

Prawie wiedzial, co znaczyly te dwa slowa. Prawie. Zanucil je sobie: "Kronika, Kronika, Kronika... Saro, Saro, Saro..." "Sprobuje przejsc kawalek" - zdecydowal. Postawil niepewny krok, potem nastepny i jeszcze nastepny. Szedl nieco chwiejnie, rozgladajac sie wokol. Znajdowal sie na wzgorzu, gdzies za miastem. Ujrzal droge, krzaki, drzewa, po lewej stronie jezioro. Czesc krzakow i drzew byla polamana, a ich galezie sterczaly pod dziwacznym katem lub lezaly na ziemi, zupełnie jakby niedawno przez okolice przechodzili giganci, depczac wszystko po drodze.

Z tylu za nim wznosil sie duzy, okragly budynek. Z zewnatrz byl poczernialy, jakby ktos usilowal wokol podlozyc ogien, ale wygladalo na to, ze kamienne mury oparly sie plomieniom. Z dziury w dachu wydobywal sie dym. Zobaczyl na schodach kilku ludzi. Lezeli w Nieladzie jak porzucone lalki. Posrod krzakow spostrzegl innych, a jeszcze innych - przy sciezce biegnacej w dol zbocza. Kilku poruszalo sie nieznacznie, ale wiekszosc byla nieruchoma.

Spojrzal w przeciwna strone. Na horyzoncie widnialy wiezowce wielkiego miasta. Spowijal je calun klebiacego sie dymu. Kiedy zmruzył oczy, zdalo mu sie, ze widzi jezyki ognia w oknach najwyzszych budynkow, choc rozum 16 - Nastanie nocy 241 podpowiadal mu, iz niemozliwoscia bylo dostrzec taki szczegol. Miasto lezalo o wiele kilometrow stad.

"Saro" - pomyslal nagle.

"Tam wychodzi >>Kronika<<. Tam pracuje. Tam mieszkam.

A ja jestem Teremon. Teremon 762. Z >>Kroniki Saro<<".

Wolno potrzasnal glowa, jak ranne zwierze, probujace rozbudzic sie z apatii i odretwienia. Stan, w jakim sie znajdowal, doprowadzal go do szalenstwa. Nie mogl poprawnie myslec ani swobodnie poruszac sie wsrod wspomnien. Gorejace swiatlo gwiazd niczym zaslona odgradzalo go od jego wlasnej pamieci.

Cos jednak zaczynalo sie wydostawac na zewnatrz. Fragmenty przeszlosci, jaskrawe i wyraziste, skrzace sie oblednym blaskiem, tanczyly w jego mozgu. Silil sie, by zatrzymac je na chwile wystarczajaco dluga do ogarniecia ich rozumem.

I wtedy pojawil sie obraz pokoju. To byl jego pokoj, zawalony stosami gazet i szpargalow, z dwoma komputerami i pudelkiem listow, na ktore nie odpisal. Nastepny pokoj - sypialnia, dalej mala kuchnia. Prawie nigdy z niej nie korzystal. "To jest mieszkanie Teremona 762, znanego dziennikarza z >>Kroniki Saro<< - pomyslal. - Panie i panowie, Teremona nie ma akurat w domu. W tej chwili stoi u stop ruin Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Saryjskiego i probuje zrozumiec..." Ruiny...

Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu...

-Siferra?! - krzyknal. - Siferro, gdzie jestes?!

Cisza. Zastanawial sie, kim byla Siferra. Najwidoczniej kims, kogo znal, zanim ruiny staly sie ruinami. Imie wydostalo sie na powierzchnie z glebi jego udreczonego umyslu.

Znow przeszedl kilka niepewnych krokow. Na sciezce lezal jakis czlowiek. Oczy mial zamkniete. W dloni trzymal wypalona pochodnie. Jego szata byla podarta.

Spal? Czy moze umarl? Teremon ostroznie dotknal go stopa. Nie zyl. To bylo dziwne, ci wszyscy martwi ludzie lezacy wokol. Przeciez normalnie nie spotyka sie tylu

242

trupow w takim miejscu. Tak samo martwo wygladal przewrocony samochod nie opodal, podwoziem zwroconym patetycznie ku niebu. Spomiedzy kol leniwie unosila sie smuzka dymu.-Siferra?! - zawolal ponownie.

Wydarzylo sie cos straszego! To jedno zdawalo sie calkiem oczywiste, choc poza tym nie bylo juz nic oczywistego. Raz jeszcze skulil sie i objal glowe dlonmi. Przypadkowe fragmenty pamieci wirowaly coraz wolniej, przeplywaly majestatycznie niczym gory lodowe na Wielkim Oceanie Poludniowym. Gdyby tylko mogl zlozyc kilka z tych dryfujacych kawalkow razem, zmusic je, aby ulozily sie we wzor, ktory mialby jakis sens.

Powtorzyl to, co juz udalo mu sie odtworzyc. Imie. Nazwa miasta. Nazwy szesciu slonc. Gazeta. Mieszkanie.

Wczorajszy wieczor...

Gwiazdy...

Siferra... Biney... Szirin... Athor... imiona...

Nagle luzne fragmenty zaczely ukladac sie w logiczne zwiazki.

Strzepy wspomnien z niedawnej przeszlosci zbieraly sie ponownie w wieksze grupy. Z poczatku nie mialo to jeszcze sensu, bo kazda grupa byla zupełnie niezalezna od innych i Teremon nie byl zdolny ulozyc ich w zaden uporządkowany ciag. Im bardziej probowal, tym bardziej wszystko sie znowu gmatwalo. Kiedy to wreszcie zrozumial, zaprzestal prob zmuszenia swego umyslu do czegokolwiek.

"Tylko spokojnie - powtarzal sobie. - To przyjdzie samo".

Zrozumial, ze w jego mozgu byla gleboka rana. Nie czul guzow ani obrazow z tym glowy, ale wiedzial, ze w jakis sposob to sie stalo. Wszystkie jego wspomnienia zostaly pociete, jakby ktos msciwie rozsiekal je na tysiace kawalkow, a potem je zmieszal i rozrzucil jak fragmenty skomplikowanej ukladanki. Teraz z kazda chwila przychodzilo ukojenie. Z kazda chwila jego umysl, cale jestestwo, ktore bylo Teremonem 762 z "Kroniki Saro", potwierdzalo swoja tozsamosc, skladajac go na powrot w calosc.

"Spokojnie, trzeba poczekac. To przyjdzie samo".

243

Zaczerpnal powietrza w pluca, na chwile zatrzymal, a potem wolno wypuscil. Znow wdech. Moment przerwy, wydech. Wdech... wydech. Wdech... wydech. Oczami wyobrazni ujrzal wnetrze obserwatorium. Teraz juz sobie przypomnial. Byl wieczor. Na niebie swiecilo jedynie male czerwone slonce - Dovim, tak wlasnie sie nazywalo. Wysoka kobieta - Siferra. Gruby mezczyzna to Szirin, ten szczuply, spokojny, mlody czlowiek to Biney, a gniewny starzec o siwych wlosach nadajacych mu wyglad patriarchy to slynny astronom, dyrektor obserwatorium Ithor? Uthor? Athor? Wlasnie, Athor.

Zblizalo sie zacmienie. Ciemnosc. Gwiazdy.

Tak, tak. Teraz wszystko plynelo juz razem. Powracaly wspomnienia. Tlum idacy na obserwatorium, prowadzony przez fanatykow w czarnych szatach. Apostolowie Plomieni, tak ich zwano. Jeden z tych fanatykow byl wewnatrz budynku. Folimun. Nazywal sie Folimun 66.

Pamietal.

Moment zacmienia. Nagle i wszechogarniajace nadejscie nocy. Swiat wkroczyl w Jaskinie Ciemnosci.

Gwiazdy...

Szalenstwo... krzyki... tłum...

Teremon wzdrygnął się na to wspomnienie. Hordy obłąkanych z przerażenia ludzi z Saro rozwalające masywne drzwi, wdzierające się do obserwatorium, tratujące się wzajemnie w gorączce niszczenia bluznierczych instrumentów naukowych i bluznierczych naukowców, którzy zaprzeczali istnieniu bogów...

Teraz, kiedy wspomnienia wróciły falą, niemal zalał, że je odzyskał. Szok, którego doznał, gdy po raz pierwszy ujrzał oslepiające światło gwiazd... ból rozsadzający czaszkę... przedziwne, potworne eksplozje zimnej energii ściągające się w jego polu widzenia. Wtargnięcie tłumy... moment zbiorowego szalu... walka, aby uciec... Siferra przy nim, Biney i tłum rozlewający się wokół jak wezbrana rzeka, rozdzielający ich, porywający w przeciwnych kierunkach.

W jego mózgu mignął obraz starego Athora o szklistych oczach, dzikich i błyszczących szalenstwem, stojącego na krześle w majestatycznej pozie i z furją rozkazującego

244

napastnikom opuścić budynek, jakby był nie dyrektorem obserwatorium, ale jego udzielnym władcą. Biney stojący tuż obok, szarpiący Athora za ramię i przynaglający do ucieczki. Potem scena się rozplynęła. Nie był już w wielkiej sali. Teremon ujrzał siebie biegnącego korytarzem, przedzierającego się do schodów, szukającego wzrokiem Siferry, jakiegokolwiek znajomej twarzy...Niespodziewanie wyrosł przed nim Apostol, fanatyczny Folimun 66, i zagroził mu drogę pośrodku chaosu. Śmiał się, wyciągał rękę w ironicznym geście fałszywej przyjaźni. Po chwili i Folimun gdzieś zniknął, a Teremon mknął wściekle dalej, w dół spiralnymi schodami, potykał się i upadał, przelazł po plecach ludzi z miasta, zaklinowanych na parterze tak szczelnie, że nie mogli się poruszyć. Był dopaść drzwi! Jakos znalazł się na zewnątrz, ogarnął go chłód nocy. Stał z odkrytą głową, drząc w Ciemności, która nie była już ciemnością, gdyż teraz rozświetlała ją potworne, odrazające, niewyobrażalnie lodowate światło tysięcy bezlitosnych gwiazd, które wypełniały niebo.

Nie było przed nimi schronienia. Nawet z zamkniętymi oczami widziało się ich straszliwy blask. Ciemność była niczym w porównaniu z nieublaganym ciśnieniem firmamentu rozjarzonego upiornym blaskiem, światłością tak jasną, że huczała na niebie niczym grom.

Teremon pamiętał uczucie, że niebo, gwiazdy i cały świat zaraz na niego runą. Padł na kolana i zakrył głowę rekoma, mimo iż zdawał sobie sprawę z daremności tego gestu. Wokół widział przerażenie, ludzi miotających się wśród krzyku i wrzasku. Ognie płonącego miasta strzelały wysoko ponad horyzont. Tak, to było przerażające, lecz nie mogło się równać z chłostającymi biczami strachu spadającymi z nieba - z nieublaganych, okrutnych gwiazd, które zaatakowały świat.

Koniec. Wszystko potem było już puste, nie zawierało żadnych treści, aż do momentu przebudzenia, kiedy spojrzał w górę, ujrzał na niebie Onosa i zaczął składać potrzaskane kawałki swego umysłu.

"Nazywam się Teremon 762 - powtórzył sobie w myślach. - Mieszkalem w Saro i pisałem artykuły do gazety".

245

Nie było już Saro. Nie było żadnej gazety. Świat dobiegł kresu. Ale on wciąż żył i miał nadzieję, że jego umysł powraca do normalności. Co dalej? Dokąd pojsc?

-Siferra?! - krzyknął.

Nikt mu nie odpowiedział. Raz jeszcze powłokł się droga w dół wzgórza, mijając polamane drzewa, powywracane i spalone samochody, rozrzucone ciała. Jeżeli tak wygląda tutaj, to co dzieje się teraz w mieście?

"Mój Boże! - pomyślał znowu.

O wszyscy bogowie! Cożecie nam uczynili?!"

29

"Czasami warto być tchorzem" - powtarzał sobie Szirin, odryglowując drzwi magazynu w piwnicy obserwatorium, gdzie spędził okres Ciemności. Nadal czuł się niepewnie, ale nie miał wątpliwości, że pozostał przy zdrowych zmysłach. Był tak normalny, jak zawsze. Na zewnątrz panował chyba spokój. Co prawda magazyn nie miał okien, ale u szczytu jednej ze ścian biegła krata, przez którą wpadało wystarczająco dużo światła, aby nabrał pewności, że nastal już poranek i ponownie wzeszły słońca. Miał nadzieję, że szalenstwo już minelo i może bezpiecznie wyjść z ukrycia.

Wytknął głowę na korytarz. Ostrożnie rozejrzał się dookoła.

Najpierw poczuł dym. Był to przykry, gryzący i zatechły zapach, wilgotny i zwietrzały, jaki nieomylnie oznacza dym z ognia już ugaszonego. Nie dość, że obserwatorium było zbudowane z kamienia, to jeszcze miało niezwykle efektywny system spryskiwaczy, który z całą pewnością zadziałał natychmiast, kiedy motloch podłożył ogień.

Motloch! Szirin wzdrygnął się na samo wspomnienie.

Gruby psycholog wiedział, że nigdy nie zapomni chwili, w której tłum zaatakował obserwatorium. Ten obraz będzie

246

go przesładował do końca życia - złe, powykrzywiane twarze, oczy plonące obłędem, wycie i krzyki wściekłości. Ci ludzie utracili równowagę zmysłów, zanim nadeszło całkowite zaciemnienie. Do szalenstwa przywiodła ich nie tylko zapadająca Ciemność, ale także podburzająca, zrezygnowana agitacja Apostołów Plomieni, tryumfujących w chwili spełniania się proroctwa. Na wezwanie Apostołów ludzie przybyli tysiącami, aby wypełnić zniechęconych naukowców w ich własnym gnieździe. I oto byli: wdzierali się przez bramy, wymachiwali pochodniami, drągami, palkami, wszystkim, czym można było bić, tłuc, walić. To paradoks, ale właśnie przybycie tłumu sprawiło, że Szirin wziął się w garść. Przeszedł załamanie, gdy wraz z Teremonem po raz pierwszy zeszli na dół, aby zabarykadować drzwi. Kiedy schodzili, czuł się świetnie, nawet dziwnie beztrosko; jednak potem rzeczywistość Ciemności dotarła do niego jak powiew trującego gazu i powaliła całkowicie. Siedział na schodach bezwładnie, sparalizowany strachem, mając przed oczami podróż przez Tunel Tajemnic i uświadamił sobie, że tym razem nie będzie to trwało tylko kilka minut, ale wiele nieznosnie długich godzin.

Coż, Teremon wyciągnął go jakos z tego stanu i kiedy wrócili pod kopułę obserwatorium, Szirin zdołał nieco odzyskać panowanie nad sobą. Wtedy przyszło całkowite zaciemnienie i... gwiazdy. Choć Szirin odwrócił głowę w momencie, gdy pierwsze błyski niepojętego światła wdarły się przez otwór w dachu obserwatorium, nie potrafił w pełni uwolnić się od tego przerażającego widoku. Natychmiast poczuł, jak znika całe jego opanowanie, a delikatna struktura jego umysłu zaczyna się chwiać...

Wtedy zjawiał się motloch i Szirin wiedział, iż gra nie toczy się już o to, czy pozostanie przy zdrowych zmysłach - stawka było życie. Jeśli chciał przetrwać tę noc cało, nie miał wyboru, musiał zebrać się w sobie i znaleźć bezpieczną kryjówkę. Gdzieś ulotnił się jego naiwny plan, aby obserwować nastanie Ciemności chłodnym okiem pozbawionego emocji naukowca, za którego się uważał. Niech ktoś inny bada to zjawisko, on, Szirin, zamierzał się ukryć.

247

Jakos udało mu się przebyć drogę do piwnicy, do tego przytulnego składziku, z przytulnym malutkim bożym światełkiem, rzucającym słaby, ale krzepiący blask. Zaryglował drzwi i mógł to wszystko przeczekać. Nawet zdrzemnął się nieco.

Teraz był ranek. A może popołudnie. Jedno było pewne - ta koszmarna noc dobiegła końca i wszystko się uspokoiło, przynajmniej w pobliżu obserwatorium. Na palcach wyszedł na korytarz, zatrzymał się nasłuchując, po czym zaczął mozolnie pisać po schodach.

Wszędzie cisza. Kaluże brudnej wody ze spryskiwaczy. Cuchnące opary zastalego dymu. Przystanął i po namyśle zdjął toporek strażacki z uchwytów na ścianie. Wątpił, czy kiedykolwiek zdołałby użyć tego narzędzia przeciwko żywej istocie, ale noszenie siekiery mogło przynieść korzyści, jeśli jego przewidywania były słuszne i świat ogarnął chaos.

Teraz w gore, na parter. Odemknal drzwi piwnicy - te same, ktore w nocy po oszalalej ucieczce na dol z hukiem zatrzasnal za soba - i wyrzjal na zewnatrz.

Jego oczom ukazal sie potworny widok.

Wielki hol obserwatorium byl pelen ludzi. Lezeli rozrzuconi po podlodze, w przypadkowych miejscach, jak gdyby przez cala noc trwala tu monstualna pijacka orgia. Ci ludzie jednak nie byli pijani. Tylko martwi mogli spoczywac w tak upiornych, nienaturalnych pozach. Niektorzy lezeli plasko, ulozeni jak zwoje dywanow w stosy wysokosci dwoch, trzech ludzi. Ci tez wygladali na martwych lub konajacych. Inni, choc najwyrazniej zywi, siedzieli popiskujac i skomlac jak zbite zwierzeta.

Wszystko, co niegdys ozdabialo hol - instrumenty badawcze, portrety wielkich astronomow, szczegolowe mapy nieba z wykresami ruchow slonc - zostalo sciagniete i spalone lub po prostu przewrocone i podeptane. Szirin mogl dostrzec zweglone i sponiewierane szczatki sterczace gdzieniegdzie sposrod stloczonych cial.

Glowne drzwi byly otwarte. Do wnetrza wpadaly cieple i niosace nadzieje promienie slonca. Szirin ostroznie torowal sobie droge do wyjścia.

Wtem uslyszal czyjs glos.

248

-Profesor Szirin?Odwrocil sie wymachujac toporkiem tak gwaltownie, ze sam niemal zasmial sie ze swej udawanej wojowniczosci.

-Kto mnie wolal?

-To ja, Imot.

-Kto?

-Imot. Nie pamieta mnie pan?

Ach, tak. Imot. Chudy, niezdarny dyplomant z Wydzialu Astronomii, pochodzacy z jakiejs zapadlej wioski. Szirin dostrzegl go, na pol schowanego w jednej z wnek. Mial twarz ubrudzona sadza i popiolem, potargane ubranie i wygladal na oszolomionego i wstrzasnietego, ale poza tym chyba nic mu nie dolegalo. Podeszedl kilka krokow i Szirin zauwazyl, ze poruszal sie znacznie mniej komicznie niz zwykle, nie wymachiwal rekoma, nie przekrzywial dziwacznie glowy.

"Strach robi z ludzmi dziwne rzeczy" - pomyslal Szirin i zapytal:

-Czy ukrywales sie tu przez cala noc?

-Kiedy pojawiły się gwiazdy, próbowałem wydostać się z budynku, ale utknąłem tutaj. Czy widział pan Faroną, panie profesorze?

-Twego przyjaciela? Nie, nie widziałem nikogo.

-Trzymaliśmy się razem, ale w tym scisku i przepychaniu... Nikt nie panował nad tłumem... - Imot zdobył się na gorzki uśmiech. - Myślałem, że spała cały gmach, ale włączyły się spryskiwacze. - Wskazał na ludzi leżących wokół. - Czy sądzi pan, że oni wszyscy nie żyją?

-Część z nich tylko doznała pomieszania zmysłów. Ujrzeni gwiazdy.

-Ja też je widziałem przez moment - rzekł Imot. - Tylko przez moment.

-Jak wyglądały? - zapytał Szirin.

-Nie widział ich pan, panie profesorze? Czy też po prostu pan nie pamięta?

-Byłem w piwnicy. Ciepłej i zacisznej. Imot wygiął swą długą szyję spoglądając w górę, jakby na suficie sali wciąż błyszczały gwiazdy.

-Były straszliwe. Wiem, że to panu nic nie mówi, ale

249

nie znajduje innego słowa, by to wyrazić. Patrzyłem na nie tylko przez dwie, może trzy sekundy, ale czułem, jak mój umysł zawirował i jak odskakuje pokrywa mojej głowy, więc odwróciłem wzrok. Nie należę do specjalnie odważnych, panie profesorze.-Ja też.

-Jednak ciesze się, że miałem te dwie czy trzy sekundy. Gwiazdy są przerażające, ale także bardzo piękne. W każdym razie dla astronoma. W niczym nie przypominały tych mizernych iskierek, które razem z Faronem uzyskaliśmy w naszym nonsensownym eksperymencie. Tak, musimy znajdować się dokładnie w środku niewyobrażalnie wielkiej gromady gwiazdnej. Szóstka naszych słońc tworzy zwarta grupę, jedno są nieco bardziej odległe od Kalgasza, inne mniej, ale ogólnie wszystkie znajdują się dosyć blisko. Dalej - pięć, dziesięć lat świetlnych od nas, a może jeszcze więcej - jest ta gigantyczna sfera gwiazd, czyli innych słońc, tysiące słońc, kolosalna kula słońc całkowicie zamykająca nas w swoim środku. W zwykłych warunkach tego nie widzimy, bo nieustannie dociera do nas światło naszych słońc. Jest dokładnie tak, jak to opisał Biney. Mówię panu, Biney to wybitny naukowiec. Kiedyś będzie większym astronomem niż profesor Athor... Pan w ogóle nie widział gwiazd, panie profesorze?

-Tylko bardzo przelotnie - rzekł Szirin jakby z zalem - a potem pobiegłem się ukryć...
Słuchaj, chłopcze, musimy stąd iść.

-Chciałbym w pierwszej odszukać Faroną.

-Jezeli nic mu sie nie stalo, jest na zewnatrz. W przeciwnym razie nie mozesz mu w niczym pomoc.

-Moze lezec na spodzie ktoregos ze stosow cial...

-Chyba nie bedziesz tu myszkowac niepokojac tych ludzi. Sa wciaz w szoku. Jesli ich sprowokujesz, wiem dobrze, co uczynia. Najbezpieczniejsza rzecz jest sie stad wyniesc. Sprobuj dotrzec do Sanktuarium. Jesli nie jestes glupi, powinienes pojsc ze mna.

-Ale Faron...

-Dobrze - zgodzil sie Szirin z westchnieniem. - Poszukajmy Farona, Bineya, Teremona, Athora... kogokolwiek z uniwersytetu.

250

Nie mialo to najmniejszych szans powodzenia. Nie znalezi nikogo znajomego, choc przez Jakies dziesiec minut szukali wsrod stosow martwych, nieprzytomnych czy polprzytomnych ludzi. Ich twarze byly przerazajaco zniekształcone przez strach i szalenstwo. Niektorzy poruszali sie, kiedy zaklocono im spokoj, i zaczynali wydawac grozne pomruki. Jeden chwycil za siekiere Szirina i psycholog musial go odepchnac kopniakiem. Niemozliwoscia bylo wejsc na wyzsze pietra budynku - schody byly zatarasowane cialami, ze scian sypal sie tynk. Na podlodze zebraly sie kaluze blotnistej wody. Ostry, przenikliwy swad byl nie do zniesienia.-Mial pan racje - powiedzial w koncu Imot. - Chodmy stad.

Szirin pierwszy wyszedl w swiatlo dnia. Po przezyciach minionych godzin zlocisty Onos stanowil najpiekniejszy widok we wszechswiecie, choc-az psycholog stwierdzil, ze jego oczy odwykly od tak jaskrawego swiatla po dlugim okresie Oernosci. Blask slonca opadl na niego jak mlot. Szirin p'-zez kilka chwil stal ze zmruzonymi oczami i czekal, az wzr^k znnow sie przyzwyczai do swiatla. Po pewnym czasie mogl sie juz "ozejrzec i zamarl ze zgrozy.

-Potwo-ne - wymamrotal Imot.

Jeszcze wiecej cial. Oblakani chodzacy w kolko, podspiewujacy. Spalone samochody na poboczu drogi. Krzewy i drzewa potrzaskane na kawalki niczym po przejsciujakichs slepych monstrualnych mocy. W oddali upiorny slup brunatnego dymu unoszacy sie nad dachami Saro.

Chaos, choc s i jeszcze raz chaos.

-A wiec tak wyglada koniec swiata - powiedzial cicho Szirin. - I oto my, ty i ja, dwoje ocalalych. - Zasmial s'e gorzko. - Dziwna z nas para: ja dzwigam na brzuchu z piecdziesiat kilogramow za duzo, a ty o piecdziesiat za malo. Ale najwazniejsze, ze zyjemy. Zastanawiam sie, czy Teremon zdolal ujsc z zyciem. Jesli komukolwiek mialoby sie udac, to na pewno jemu. Na ciebie lub siebie nie postawilbym zlamanego grosza... Sanktuarium jest

w polowie drogi miedzy nrastem a obserwatorium. Powinnismy tam dojsc w pol godziny, jezeli tylko nie wpadniemy w klopoty. MFSZ, wez to.

251

Wygrzebal gruba gumowa palke lezaca obok jednego z ludzi, ktorzy napadli na obserwatorium, i rzucil ja Imotowi. Mlodzieniec chwycil ja niezgrabnie. Utkwil w niej zdumiony wzrok, jakby nie mial pojecia, co to moze byc.-Co mam z tym zrobic? - spytal w koncu.

-Udawaj, ze uzyjesz jej, aby zmiadzyc czaszke kazdemu, kto bedzie nas niepokoil. Dokladnie tak, jak ja udaje, ze zmuszony do obrony, uzyje tego toporka. I zrobie to, jezeli zajdzie taka koniecznosc. Imocie, swiat sie zmienil. Chodzmy. Miej oczy i uszy szeroko otwarte.

30

Ciemnosc wciaz panowala nad swiatem, a gwiazdy zalewaly Kalgasz strumieniami diabolicznego swiatla, kiedy Siferra 89 potykajac sie wyszla ze zdewastowanego obserwatorium.Na wschodzie horyzont rozjasniala bladorozowa poswiata jutrzejki - pierwszy zwiastun slonc wracajacych na niebios.

Siferra stala na trawniku. Szeroko rozstawila nogi, glowe odrzucila do tyln i gleboko wciagalala powietrze w pluca.

Jej umysl byl pograzony w odretwieniu. Nie miala pojecia, ile godzin uplynelo od czasu, gdy niebo poczernialo, a gwiazdy eksplodowaly na nim z grzmiotem miliona trab. Przez cala noc blakala sie po korytarzach obserwatorium, oszolomiona, niezdolna odszukac drogi do wyjscia. Walczyla z szalencami tloczacymi sie ze wszystkich stron. Nie dawala jej spokoju mysl, ze sama rowniez ulegla szalenstwu. Jedynym jej celem stalo sie przezycie. Tlukla po czepiajacych sie jej rekach, parowala opadajace palki uderzeniami swojej, ktora wyrwala jakiemus lezacemu mezczyznie, kryla sie przed tabunami maniakow przebiegajacych z rykiem korytarze w grupach po szesciu, osmiu, tratujacych kazdego na swojej drodze.

Wydawalo sie jej, ze do obserwatorium wtargnely miliony ludzi z miasta. Gdziekolwiek sie obrocila, widziala na252 brzmialo twarze, szeroko otwarte oczy, rozdziawione usta, wywieszzone jezyki, palce zakrzywione jak szpony.

Niszczyla wszystko. Nie miala pojecia, gdzie jest Biney czy Teremon. Mgliscie pamietala Athora - jego grzywa siwych wlosow gorowala ponad dziesiecioma czy dwudziestoma wyjacymi bandytami; potem profesor znikl jej z oczu, zmieciony przez tlum.

Poza tym Siferra nie pamietala juz nic zbyt wyraznie. Przez caly czas trwania zacmienia biegala tam i z powrotem, jednym korytarzem w gore, innym w dol, jak szczur miotajacy sie w labiryncie. Nigdy dobrze nie znala rozkladu obserwatorium, ale wydostanie sie z budynku

nie powinno być dla niej aż tak trudne - gdyby była przy zdrowych zmysłach. Teraz jednak, gdy gwiazdy razily ją bezlitosnie z każdego okna, czuła, jakby jej mózg przeszywała ostra szpila. Nie mogła zebrać myśli. Nawet na chwilę. Zupełnie nie mogła. Zdolna była jedynie do ucieczki na oslep wśród mamroczących, gapiących się i popychających ją szalenców. Lokciami torowała sobie drogę poprzez zwarte gromady obcych ludzi w lachmanach, desperacko i zupełnie bezskutecznie poszukując jakiegos wyjścia. I tak mijala godzina po godzinie, a Siferra miała wrażenie, jakby była uwieziona w nie kończącym się śnie.

W końcu wydostała się na zewnątrz. Nie miała pojęcia, jak się tam znalazła. Nagle, tuż przed sobą, zauważyła drzwi w końcu korytarza, który - była tego pewna - przemierzała już tysiące razy. Pchnęła je, a kiedy ustąpiły, uderzył ją chłodny powiew świeżego powietrza. Zataczając się wyszła z budynku.

Miasto płonelo. W oddali widziała ogień - jaskrawa, wściekłe czerwona plama na tle czarnego nieba.

Ze wszystkich stron dochodziły ją przeraźliwe wrzaski, dziki śmiech, szloch.

Nieco poniżej, na stoku wzgórza, jakiś ludzie bezmyślnie próbowali powalić drzewo - szarpali za gałęzie, ciągneli z całych sił, starali się wyrwać korzenie z ziemi. Nie miała pojęcia, po co to robili. Oni pewnie też nie.

Na parkingu obserwatorium inni ludzie wywracali samochody. Siferra zastanowiła się przez moment, czy ktoryś

253

z pojazdów nie należał do niej. Nie mogła sobie przypomnieć. W ogóle nie pamiętała zbyt wiele. Odszukanie w pamięci nawet własnego imienia stanowiło prawdziwy wysiłek. -Siferra - powiedziała na głos. - Siferra 89. Siferra 89. Spodobalo jej się brzmienie tego słowa. To było ładne imię. Nosila je jej matka, a może babka. Naprawdę, nie była pewna.

-Siferra 89 - powtórzyła jeszcze raz. - Jestem Siferra 89.

Spróbowała przypomnieć sobie swój adres. Niestety, przez jej umysł przesuwał się jedynie szereg nic dla niej nie znaczących liczb.

-Spójrz na gwiazdy! - krzyknęła jakaś kobieta przebiegając obok. - Zobacz gwiazdy i umrzyj!

-Nie - odpowiedziała Siferra spokojnie. - Dlaczego miałabym umierać?

Mimo wszystko spojrzała na gwiazdy. Już niemalże przyzwyczaiła się do ich widoku. Przypominały jasne światełka - bardzo jasne - położone na niebie tak blisko siebie, że zdawały się zlewać w jedną wielką plamę światła, rodzaj błyszczącej draperii rozpostartej

na niebiosach. Jeśli patrzyła dłużej niż sekunde czy dwie, ulegała złudzeniu, że potrafiłaby rozróżnić osobne punkciki światła, jasniejsze od tła, pulsujące przedziwną energią. Mimo wysiłku nie mogła patrzeć na nie więcej niż pięć, sześć sekund; później siła tego pulsującego światła zaczynała ją przytłaczać - dzwoniło jej w uszach, twarz płonęła; musiała opuszczać głowę i rozcierać palcami zaognione miejsca pomiędzy oczami, tętniące siedlisko dokuczliwego bólu.

Minęła parking, nie zważając na szalenstwo wokół. Po przeciwnej stronie brukowana droga schodziła w dół płaskim stokiem Wzgórza Obserwatoryjnego. Z jakiegoś ciągle funkcjonującego obszaru jej mózgu wyłoniła się informacja, że droga ta prowadziła z obserwatorium do głównej części uniwersytetu. W oddali Siferra dojrzała teraz coś wyższe budynki uniwersyteckie.

Na dachach niektórych z nich tancyły płomienie. Palila się dzwonnica, teatr, Gmach Osiągnięć Studenckich.

"Powinnas ocalić tabliczki" - powiedział jakiś głos wewnątrz niej, który rozpoznała jako swój własny.

254

Tabliczki? Jakie tabliczki?"Tabliczki z Tombo".

Ach tak, oczywiście. Była archeologiem, czyż nie? Tak, tak. Archeologowie zaś poszukiwali starych przedmiotów. Ona kopala w jakimś odległym miejscu. Sagimot? Beklikan? Coś w tym rodzaju. I odnalazła tabliczki z pradawnymi napisami. Stare przedmioty. Skarby archeologiczne. Niezwykle ważne skarby. W miejscu zwanym Tombo.

"Jak sobie radzę?" - spytała sama siebie.

Nadeszła odpowiedź: "Radzisz sobie świetnie".

Siferra uśmiechnęła się zadowolona. Z każdą chwilą czuła się coraz lepiej. Pomyślała, że różowe światło switu przywraca jej siły. Nadchodził ranek - słońce, Onos, wstępowało na niebo. Wraz z pojawieniem się Onosa gwiazdy straciły nieco ze swej jasności, stały się mniej przerażające. Szybko gasły. W końcu te na wschodzie zostały przycmione przez potężniejszego Onosa. Nawet na przeciwległym krancu nieba, gdzie wciąż królowała Ciemność i gwiazdy tłoczyły się jak małe rybki w akwarium, część mocy jakby uleciała z ich groźnego blasku. Teraz Siferra już mogła patrzeć w górę nieprzerwanie przez kilka chwil bez obawy, że głowa zacznie jej bolesnie pulsować. Czuła się mniej zagubiona. Teraz wyraźnie pamiętała, gdzie mieszka i pracuje, a nawet co robiła poprzedniego wieczora.

W obserwatorium... z przyjaciółmi, astronomami, którzy przewidzieli zaćmienie...

Zaćmienie...

Tak, właśnie to robiła poprzedniego wieczora. Czekala na zacmienie. Na Ciemnosc. Na gwiazdy.

Na plomienie. I one nadeszly. Wszystko potoczylo sie zgodnie z przewidywaniami. Swiat plonal, tak jak juz tyle razy wczesniej - podpalony nie wola bogow ani moca gwiazd, ale rekoma zwyklych mezczyzn i kobiet oszalalych z powodu gwiazd, pograzonych w panice, ktora popychala ich do desperackich prob przywrocenia normalnego, dziennego swiatla wszelkimi dostepnymi srodkami.

Pomimo chaosu, panujacego wszedzie dokola, Siferra

255

pozostawala spokojna. Jej nadwerezony umysl, odretwialy i oglupiony, nie byl w stanie w pelni zareagowac na kataklizm wywolany przez Ciemnosc. Szla wciaz przed siebie droga prowadzaca w kierunku glownego dziedzinca uniwersyteckiego, widziala sceny przerazajace, ruiny i spustoszenia, i nie odczuwala zupełnie nic, nie zalowala tego, co zostalo zniszczone, nie obawiala sie rowniez ciezkich czasow, ktore niechybnie mialy nadejsc. Zbyt mala czastka jej umyslu wrocila do normy, aby byla zdolna do takich uczuc. Czula sie jak postronny obserwator, spokojny i obojetny. Wiedziala, ze tamten plonacy budynek to nowa biblioteka uniwersytecka, ktora sama pomagala projektowac. Ale ten widok nie wzbudzil w niej zadnych emocji. Rownie dobrze mogla spacerowac po jakimims miescie sprzed dwoch tysiecy lat, ktorego zaglada byla sprawa jedynie drugorzecznych zapiskow historycznych. Czy ronilaby lzy nad taka zamierzchla ruina? Tak samo nie plakala teraz, gdy wokol plonal uniwersytet. Znajdowala sie obecnie w samym jego srodku, odtwarzajac w pamieci znajome sciezki. Czesc budynkow palila sie, inne nie. Jak lunaticzka skrecila w lewo mijajac administracje, w prawo za sala gimnastyczna, znowu w lewo przy gmachu matematyki, zygzakiem obeszla budynki geologii i antropologii, zmierzajac do swojej siedziby, na Wydzial Archeologii. Drzwi wejsciowe staly otworem. Weszla do srodka.

Wnetrze wygladalo niemal tak samo jak dawniej. Niektore z gablot w korytarzu byly rozbite, jednak nie przez rabusiow, gdyz chyba wszystkie artefakty pozostaly na swoim miejscu. Drzwi windy zostaly wyrwane z zawiasow. Tablica ogloszen lezala na podlodze obok schodow. Wszystko inne wydawalo sie nietkniete. W gmachu panowala glucha cisza. Nie bylo tu nikogo.

Jej gabinet znajdowal sie na drugim pietrze. Weszla na schody. Na polpietrze natknela sie na starszego mezczyzne lezacego twarza do gory.

-Wydaje mi sie, ze cie znam - rzekla Siferra. - Jak sie nazywasz?

Nie odpowiedzial. Mial otwarte oczy, ale nie bylo w nich blasku.

256

-Czy jestes martwy? Odpowiedz mi: tak czy nie. - Siferra dotknela palcem jego policzka. - Mudrin, tak sie nazywasz. Albo raczej nazywales. No coz, i tak byles bardzo stary. - Wzruszyła ramionami i poszła wyzej. Drzwi jej gabinetu byly uchylone. W srodku zobaczyla jakiegos czlowieka. Takze wydal sie jej znajomy; ale ten zyl, dziwnie skulony przykucnal pod kartoteka. Byl poteznym mezczyzna o szerokich ramionach i wystajacych, silnie zarysowanych kosciach policzkowych. Jego twarz swiecila od potu, a oczy blyszczaly jak w goraczce.

-Siferra? Ty tutaj?

-Przyszlam po tabliczki. Tabliczki sa bardzo wazne. Trzeba je chronic.

-Tabliczki? - Podniosl sie z podlogi i zrobil kilka niepewnych krokow w jej strone. - Ich juz nie ma! Ukradli je Apostolowie, pamietasz?

-Nie ma?

-Nie ma. Jak twego rozumu. Stracilas rozum, prawda? Twe oczy sa puste. W twojej glowie nie ma zadnej mysli. Widze to wyraznie. Nawet nie wiesz, kim jestem.

-Jestes Balik. - To imie pojawilo sie bezwiednie na jej ustach.

-A wiec jednak pamietasz?

-Balik. Tak, a Mudrin lezy na schodach. On jest martwy, wiesz o tym?

-Tak przypuszczalem. - Balik wzruszyl ramionami. - Niezadlugo wszyscy bedziemy martwi. Caly swiat oszalal. Ale po co ci to tłumacze? Przeciez ty tez jestes szalona. - Jego wargi drzaly. Trzesly mu sie rece. Zachichotal idiotycznie i zacisnal szczeki, by sie opanowac. - Bylem tu przez cala Ciemnosc. Pracowalem do pozna i kiedy swiatlo zaczelo slabnac... moj Boze! - westchnal. - Gwiazdy. Gwiazdy. Rzucilem na nie tylko jedno szybkie spojrzenie. Potem wcisnalem sie pod biurko i tam przeczekalem caly ten czas. - Podeszedl do okna. - Teraz wschodzi Onos. Najgorsze zapewne sie skonczylo. Czy miasto plonie?

-Przyszlam po tabliczki - powiedziala znowu Siferra.

-One przepadly. Rozumiesz? Prze-pad-ly - powtorzyl dobitnie. - Nie ma ich tutaj. Skradziono. 17 - Nastanie nocy 2, J I - W takim razie wezme wykresy. Musze chronic wiedze.

-Ty chyba calkiem zwariowalas, co? Gdzie bylas, w obserwatorium? Napatrzylas sie na gwiazdy, tak?

Zachichotal znowu i zaczal zblizac sie do niej. Siferra wykrzywila twarz z obrzydzenia. Poczula silny zapach jego potu, ostry i nie do zniesienia. Cuchnal tak, jakby nie kapal sie od tygodnia. Wygladal zas, jakby nie spal przez miesiac.

-Chodz - powiedzial, gdy odsunela sie od niego. - Nie zrobie ci krzywdy.

-Baliku, chce dostac wykresy.

-Oczywiscie, dam ci je. Takze zdjecia i wszystko. Lecz najpierw chce ci dac cos innego. Chodz, Siferro.

Chwycil ja za reke i przyciagnal do siebie. Poczula jego dlonie na swych piersiach i szorstkosc jego policzka na twarzy. Ten zapach byl nie do zniesienia. Narastala w niej wscieklosc. Jak smial dotykac jej w ten sposob? Odepchnela go z odraza.

-No, Siferro, nie rob tego! Uspokoj sie. Badz grzeczna. O ile wiem, jestesmy tylko my dwoje na swiecie. Ty i ja. Bedziemy zyc w lesie, polowac na male gryzonie, zbierac orzechy i jagody. Tak, myśliwi i zbieracze, a pozniej wynajdziemy rolnictwo. - Zasmial sie. Jego oczy wydawaly sie zolte w tym dziwnym swietle. Podobnie jego skora. Znowu ja zlupal pozadliwie, jedna reka chwycil jej piers, druga przesuwal po jej plecach w kierunku bioder. Poczula jego oddech na szyi. Obwachiwal ja glosno jak zwierze. Poruszal rytmicznie biodrami, ich uderzenia budzily w niej odraze. Rownoczesnie popychal ja do tylu, w kat pokoju.

Nagle Siferra przypomniała sobie o palce, która znalazła noca gdzieś w obserwatorium. Ciagle trzymala ja bezmyslnie w rece. Szybkim ruchem uniosla palke w gore i uderzyla jej koncem w szczeke Balika. Mocno. Glowa odskoczyla mu w tyl, zeby zaklekotaly.

Puscil ja i chwiejnie cofnal sie pare krokow. Szeroko otworzyl oczy z bolu i ze zdziwienia. Krew z przygryzionej wargi sciekala mu po brodzie.

-Ach ty suko! Dlaczego mnie uderzylas?

-Dotknales mnie.

-Rzeczywiscie, do diabla, dotknałem cie! I w sama

258

pore. - Rozcieral szczeke. - Sluchaj, Siferro, odloz ten kij i przestan patrzec na mnie w ten sposob. Jestem twoim przyjacielem, twoim sprzymierzencem. Swiat zmienil sie w dzungle. Zostalismsy tylko my dwoje. Potrzebujemy sie nawzajem. Nie jest teraz bezpiecznie chodzic w pojedynke. Nie stac cie na takie ryzyko. Znow sie zblizyl. Chcial ja objac. Pozadal jej.

Uderzyla ponownie.

Tym razem zamachnela sie od tylu i grzmotnela go w policzek, tuz przy skroni. Uslyszala swist palki i tepe uderzenie. Balik zachwial sie, z glowa na pol odwrocona popatrzyl na nia w calkowitym zdumieniu i zatoczyl sie, ale zdolal utrzymac na nogach. Uderzyla go po raz

trzeci, nad uchem, z szerokiego zamachu i z całej siły. Upadł. Siferra zadala cios jeszcze raz w to samo miejsce i poczula, ze palka napotyka znacznie mniejszy opor. Powieki mu opadly, wydal ciche, dziwaczne westchnienie, jakby uszlo z niego powietrze, i osunal sie w kat pod sciane, z glowa nienaturalnie przekrzywiona na bok.

-Nigdy wiecej nie dotykaj mnie w ten sposob - rzekla Siferra, tracajac go czubkiem palki.

Balik nie odpowiedzial. Nawet nie drgnal.

Przestal ja obchodzic.

"Teraz tabliczki" - pomyslala, czujac zupelny spokoj.

Nie, tabliczek nie ma. Tak powiedzial Balik. Skradzione. Teraz przypomniala sobie. Rzeczywiscie je skradziono. Zniknely tuz przed zamieniem. Wiec dobrze, zatem wykresy. Te wszystkie precyzyjne rysunki wzgorza Tombo. Kamienne sciany, popioly na poziomie fundamentow. Zamierzchle pozary, podobne do tych, ktore w tym momencie pustoszyly Saro.

Gdzie sa te rysunki?

Ach, tutaj. W szafce z wykresami, czyli na swoim miejscu.

Siegnela do srodka, chwycila plik podobnych do pergaminu papierow, zwinela je i wsunela pod pache. Teraz przypomniala sobie o lezacym mezczyznie i zerknela na niego, ale Balik sie nie poruszył. I nie wygladalo na to, by kiedykolwiek jeszcze mial to zrobic.

Wyszla z gabinetu, potem schodami na dol. Profesor

259

Mudrin, sztywny, rozciagniety bez ruchu, wciaz byl tam, gdzie go znalazla - na polpietrze. Siferra wyminela go i podazyla na parter. Nastal juz ranek. Onos wspinal sie wytrwale, a gwiazdy wygladaly teraz blado na tle jego jasnosci. Powietrze wydawalo sie swiezsze i czystsze, choc z wiatrem wciaz naplywal gesty dym. W oddali zauwazyla grupe mezczyzn wybijajacych okna w budynku matematyki. Chwile pozniej i oni ja dostrzegli. Zaczeli wykrzykiwac ochryple jakies bezwladne slowa. Paru z nich rzucilo sie w jej strone.

Bolaly ja piersi w miejscu, gdzie scisnal je Balik. Nie chciala, aby dotykaly jej inne rece. Odwrocila sie i pomknela za gmach archeologii, przedarla sie przez krzaki po drugiej stronie okrazajacego go chodnika, przeciela na ukos trawnik i znalazla sie przed zwalistym szarym budynkiem, w ktorym rozpoznala siedzibe Wydzialu Botaniki. Za nim lezal maly ogrod botaniczny, a jeszcze dalej na stoku wzgorza, przy krawedzi lasu otaczajacego caly teren uniwersytecki - ar-boretum.

Kiedy spojrzala za siebie, wydalo sie jej, ze wciaz widzi goniacych ja mezczyzn, ale nie byla tego pewna. Biegiem wyminela gmach botaniki i z latwoscia przeskoczyla przez niskie ogrodzenie otaczajace ogrod botaniczny.

Jakis mezczyzna z kosiarka pomachal w jej strone. Byl ubrany w oliwkowy uniform ogrodnikow uniwersyteckich. Metodycznie kosil krzewy, idac tam i z powrotem przez srodek ogrodu, pozostawiajac za soba szeroki pas zniszczenia.

Siferra obeszla go dalekim lukiem. Z tego miejsca juz blisko bylo do arboretum. Czy ciagle jeszcze ja gonili? Nie chciala tracic czasu na sprawdzanie. Tylko biec, biec, bez ustanku biec - to bylo najlepsze, co mogla zrobic. Jej dlugie, silne nogi niosly ja lekko miedzy rzadami rowno posadzonych drzew. Poruszala sie miarowym tempem. Dobrze bylo tak biec, biec, biec.

Potem dotarla do zapuszczonej czesci arboretum, gdzie rosly cierniste, ciasno splatane krzewy. Bez wahania zaglebila sie w ten gaszcz wiedzac, ze nikt nie bedzie jej tam scigal. Galezie drapaly ja po twarzy, rozdzieraly ubranie.

260

Gdy przeciskala sie przez jakis gesty odcinek, wypuscila z reki rulon wykresow i wynurzyła sie po przeciwnej stronie juz bez nich. "Trudno - pomyslala. - One juz i tak nic nie znacza".

Ale w koncu musiala odpoczac. Dyszac ciezko, nie mogac zlapac tchu z wyczerpania, przeskoczyla maly strumien plynacy na granicy arboretum i upadla na skrawek chlodnego zielonego mchu. Nikt jej nie gonil. Byla sama.

Spojrzala w gore, miedzy korony drzew. Zlote swiatlo Onosa zalewalo niebo. Gwiazd nie bylo juz widac. Noc wreszcie sie skonczyla, a wraz z nia koszmar.

"Nie - przemknelo jej przez glowe. - Koszmar dopiero sie zaczyna".

Dziwne odretwienie, ktore dreczylo ja przez cala noc, ustepowalo. Poczula wzburzenie; przerazenie i mdlosci. Po godzinach psychicznego rozszczepienia na nowo poczynala ogarniac rozumem fakty, mogla zestawic wydarzenia w logiczny ciag, aby pojac ich sens. Myslala o zrujnowanym uniwersytecie, plomieniach gorujacych nad odleglym miastem, o blakajacych sie wszedzie szalencach, zniszczeniach, chaosie.

Balik. Obrzydliwy grymas na jego twarzy, gdy usilowal ja oblacic. Zdumione spojrzenie, kiedy go uderzyla.

ZABILAM DZISIAJ CZLOWIEKA.

JAK JA MOGLAM COS TAKIEGO ZROBIC?!

Zaczęła dygotać. Przerazające wspomnienia wypalały jej umysł: odgłos, który wydała palka, gdy go uderzyła, sposób, w jaki Balik zatoczył się do tyłu., kolejne ciosy, krew, jego zmiadzona głowa... Człowiek, 'c. którym pracowała przez półtora roku, cierpliwie przekopując ruiny Beklimotu, padł jak ubite zwierzę pod śmiertelnymi ciosami jej palki. I ten jej całkowity spokój, gdy nad nim stała - satysfakcja, że zdołała go powstrzymać od dalszego naprzykrzania się jej. To było chyba najohydniejsze ze wszystkiego. Potem Siferra wytłumaczyła sobie, że nie zabiła Balika, a jedynie szalencę ukrytego w jego ciele, szalencę sliniacego się i miotającego dzikie spojrzenia, gdy chwycił ją i chciał zgwałcić. Ani też ona nie była prawdziwą Siferrą, kiedy dzierżyła w dłoniach palke, ale Siferra-zjawa, Siferra-snem, poruszająca się jak lunatyczka przez okropności switu.

261

Teraz jednakże powracała do normalności. Wreszcie zaczynały docierać do niej konsekwencje nocnych zdarzeń. Nie tylko śmierć Balika - odpychała od siebie poczucie winy - ale śmierć całej cywilizacji. Usłyszała jakies głosy w oddali, od strony uniwersytetu. Ochryple zwierzęce wycie tych, których świadomość została zniszczona przez gwiazdy całkowicie i nieodwołalnie. Rozejrzała się za palką. Czyżby i ja zgubiła podczas panicznej ucieczki przez arboretum? Nie, jednak nie. Była tuż obok. Chwyciła ją i zerwała się na równe nogi.

Las zdawał się ją przyzywać. Odwróciła się i zagłębiła w chłodny, mroczny cień.

Biegła tak długo, na ile tylko starczyło jej sił. Coż innego jej pozostało? Tylko biec, biec wciąż przed siebie.

31

Było późne popołudnie trzeciego dnia od zaciemnienia. Bmey utykając schodził cichą polną drogą prowadzącą do Sanktuarium; siedł wolno i ostrożnie, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Na niebie świeciły trzy słońca, a gwiazdy dawno już wróciły do swej odwiecznej kryjówki. Jednak świat zmienił się nieodwołalnie w ciągu tych trzech dni. Podobnie jak Biney. Dla młodego astronoma był to pierwszy dzień powrotu do pełni władz umysłowych. Co robił przez poprzednie dwa dni? Nie wiedział. Cały ten okres zlewał się w niewyraźną plamę, znaczoną przez wschody i zachody Onosa, z innymi słońcami przemierzającymi co jakiś czas niebo. Gdyby ktoś powiedział n m, że to był czwarty, piąty czy szesty dzień od katastrofy, nie potrafiłby zaprzeczyć.

Bolały go plecy, lewa noga była jednym wielkim siniakiem, a twarz znaczyły liczne strupy. Był cały obolały, choć wszechogarniające cierpienie, jakie przeżywał w pierwszych godzinach, zdążyło ustąpić miejsca tepemu bolowi dochodzącemu z różnych części ciała.

Co się z nim działo? Gdzie przebywał?

262

Pamiętał walke w obserwatorium. Wiele by dal, zeby jej nie pamietac. Wyjaca i ryczaca horda oszalalych ludzi z miasta wylamujaca drzwi... na czele garstka Apostolow w charakterystycznych szatach, ale glownie byli to zwykli ludzie, prawdopodobnie dobrzy, prosci i nudni, ktorzy spedzali cale zycie robiac dobre, proste i nudne rzeczy utrzymujace cywilizacje w ruchu. Nagle cywilizacja stanela w miejscu, a ci wszyscy zwykli i mili ludzie w mgnieniu oka przeistoczyli sie we wsciekle bestie. Chwila, kiedy tlumnie wtargneli do budynku, byla potworna. Tlukli aparaty, ktore wlasnie zarejestrowaly bezcenne dane o zacmieniu, sciagneli z dachu obserwatorium wielki solaroskop, unosili komputery wysoko nad glowami, aby roztrzaskac je o podloge...

Ponad wszystkim gorowal profesor Athor niby polbog, rozkazujac im opuscic budynek... Rownie dobrze mozna by rozkazywac morzu, by sie cofnelo.

Biney pamietal, jak blagal starego profesora, aby poszedl z nim, uciekl, gdy byla jeszcze szansa.

-Zostaw mnie, mlody czlowieku! - krzyknal Athor. Widocznie nawet go nie poznawal. - Precz z rekoma!

Dopiero wtedy Biney zrozumial to, co powinien dostrzec wczesniej - Athor postradal zmysly, a mala czastka jego swiadomosci, ktora jeszcze funkcjonowala racjonalnie, zarliwie pragnela smierci. Athor stracil wole przetrwania, dalszej egzystencji w nowym koszmarnym swiecie, w epoce barbarzynstwa, ktora miala nastac po zacmieniu. "To bylo najtragiczniejsze ze wszystkiego - myslal Biney. - Profesor Athor stracil chec do zycia, wielki astronom poddal sie w obliczu zaglady cywilizacji".

Pozniej - ucieczka z obserwatorium. Ostatnim dosyc wyraznym wspomnieniem byl widok glownego pomieszczenia obserwatorium z Athorem znikajacym pod mrowiem napastnikow, a potem zwrot i blyskawiczny skok do bocznych drzwi, na czworakach w dol droga ewakuacyjna, tylnym wyjsciem na zewnatrz, na parking...

Tam czekaly na niego gwiazdy w calym swym straszliwym splendorze.

Przekonany o swych racjach, co - jak sie pozniej

263

zorientowal - bylo najwyzsza glupota lub moze pewnoscia siebie graniczaca z arogancja, Biney nie docenil ich potegi. W momencie gdy sie ukazaly, byl w obserwatorium zbyt zajety praca, aby ulec ich sile. Ledwie je zarejestrowal jako godne uwagi zjawisko, ktore zamierzal szczegolowo zbadac w wolnej chwili, i powrocil do swych zajec. Ale tam, na zewnatrz, pod bezlitosnym sklepieniem otwartego nieba, gwiazdy porazily go pelnia swej mocy. Byl jak ogluszony. Nieublagane, lodowate swiatlo tysiecy slonc runelo na niego i rzucilo na kolana. Pelzal na czworakach, dlawiac sie strachem i ciezko chwytajac powietrze. Rece trzesly mu sie w goraczce, serce lomotalo, a po rozpalonej twarzy splywaly struzki potu. Pozostal w

nim jeszcze coś z naukowca, co zmusiło go do podniesienia oczu ku firmamentowi, w kierunku kolosalnego blasku nad głową, aby go zbadać, zarejestrować i opisać, ale już po kilku sekundach musiał odwrócić wzrok.

Pamiętał to wszystko: wysiłek, aby spojrzeć na gwiazdy, niepowodzenie, własna niemoc.

Reszta ginęła w mroku. Dzień lub dwa - jak się domyślał - błądził po lesie. Głosy w oddali, rechoczący śmiech, chrapliwe, pełne fałszów śpiewy. Strzelające na horyzoncie płomienie, wszędzie cierpki zapach dymu. Strumyk, w którym zamoczył twarz, bystra woda obmywająca mu policzki. Okrazające go stado niewielkich zwierząt - jak później stwierdził, nie były dzikie, tylko zdziżały po ucieczce od ludzi - ujadających, jakby chciały rozerwać go na strzepy. Jagody zerwane z krzaka. Wspinaczka na drzewo, by ogolonic je ze złotych, soczystych owoców, upadek, głuche uderzenie o ziemię i długie godziny cierpienia, zanim zdołał się podnieść i ruszyć dalej.

Nieoczekiwana, zaciekle walczyła w najgłębszym, najciemniejszym zakamarku lasu - smigające piści, łokcie brutalnie wbijane pod zebra, dzikie kopniaki, potem uderzenia kamieniami, nieludzkie rzeźnię, twarz jakiegoś mężczyzny tuż przy jego twarzy, oczy płonące czerwono, zawzięte zmagania, oni obaj przewalający się po ziemi... jego ręka dosięgająca ciężkiego kamienia i uderzająca jednym, decydującym ruchem...

264

Godziny. Dni. Majaczenie w malignie... Wreszcie, rankiem trzeciego dnia, powracająca świadomość tego, kim był i co się stało. Myśl o Raissie, jego kontraktowej partnerce, o obietnicy, że odnajdzie ją w Sanktuarium, gdy tylko zakończy prace w obserwatorium.

Sanktuarium - gdzie to, u licha, było?

Mózg Bineya funkcjonował już całkiem dobrze i odtworzył, że miejsce schronienia pracowników naukowych leżało w połowie drogi między uniwersytetem a Saro, na rozległych rolniczych terenach, usianych falistymi równinami i trawiastymi łąkami. Znajdował się tam stary akcelerator cząstek - wielki podziemny bunkier, opuszczony przez Wydział Fizyki kilka lat wcześniej, kiedy wybudowano nowe centrum badawcze na Wzgórzach Saryjskich. Przygotowanie pustych betonowych sal dla krótkotrwałego pobytu kilkuset ludzi nie nastreżało większych trudności, a że komora akceleratora była zawsze dla bezpieczeństwa chroniona przed dostępem osób niepowołanych, z łatwością można było obronić to miejsce przed inwazją ludzi z miasta, gdyby rzeczywiście postradali zmysły w czasie zaciemnienia.

Chcąc znaleźć Sanktuarium, Biney musiał najpierw się zorientować, gdzie sam przebywał. A ponieważ przez co najmniej dwa dni błąkał się bez celu, w posepnym odretwieniu, mógł znaleźć się gdziekolwiek.

Wczesnym rankiem zupełnie przypadkowo wyszedł na skraj lasu i znalazł się

niespodziewanie w miejscu, które niegdyś było elegancka dzielnica willowa. Obecnie panował tu zatrważający nieład; jak okiem sięgnąć samochody stłoczone na ulicach, porzucone przez właścicieli, którzy nie mogli już dłużej prowadzić, gdzieś trupy leżące na chodniku pod czarną chmurą much. Nic nie wskazywało, by ktoś pozostał przy życiu.

Cale przedpołudnie spędził na mozolnym marszu podmiejską szosą wzdłuż szeregow poczerniałych, opuszczonych domów, nie rozpoznając jednak żadnego znajomego miejsca. W południe, kiedy pojawiły się Trey i Patru, wszedł przez otwarte drzwi do jednego z domów i posilił się tym, co jeszcze nadawało się do zjedzenia. Z kuchennego kranu nie

265

wyciekła ani kropla, ale w piwnicy znalazł zapas butelkowanej wody i wypił, ile tylko zdołał. Resztę zużył do mycia. Potem skierował się kretą drogą na wzgórze, w uliczce przestronnych i okazałych bloków mieszkalnych, obecnie do cna wypalonych. Z wieżowca na samym szczycie wzgórza nie pozostało nic, jedynie taras widokowy ozdobiony różowo-niebieskimi płytkami, niegdyś bez wątpienia bardzo piękny, ale teraz zeszpecony grubą warstwą szerniałych, spietrzonych gruzów rozrzuconych po jego łsniacej powierzchni. Przedostał się nań z trudem i spojrzał na równinę w dole.

Powietrze było nieruchome. Nie latały samoloty, brak było ulicznego gwaru, niesamowita cisza zdawała się aż dudnić wokół.

Nagle Biney poczuł, że wie, gdzie jest, i wszystko trafiło na swoje miejsce.

Po lewej stronie widoczny był uniwersytet: grupa murowanych budynków, z których wiele szpecily czarne smugi sadzy, a część robiła wrażenie całkowicie zniszczonych. Za nimi, na wzniesieniu, znajdowało się obserwatorium. Biney rzucił tam szybkie spojrzenie i odwrócił wzrok, ciesząc się w duchu, że z tej odległości nie sposób było ocenić jego stanu.

Na prawo w oddali leżało Saro, łsniące w blasku dnia. Stąd wyglądało na całkiem nietknięte, ale wiedział, że mając lornetkę dostrzegłby z pewnością wybite szyby, zwałone budynki, tłące się zgłiszczą, z których unosiły się wstęgi dymu - bliźny po pozodze, która wybuchła z nastaniem nocy.

Na wprost przed nim, w dole, między miastem a terenem uniwersyteckim, rozposcierał się las, po którym błądził w malignie. Sanktuarium jest na jego drugim krancu; niewykluczone, że w ciągu ostatnich dwóch dni przechodził o kilkaset metrów od jego wejścia, nic o tym nie wiedząc.

Mysł o powrocie do lasu nie usmiechała mu się zbyt. Niewątpliwie było tam nadal pełno szalenców, rzeżymieszków, zdziczałych zwierząt domowych - wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw. Jednak ze swej dogodnej pozycji na

szczyt wzgorza dostrzegł drogę, przecinającą las i ciąg ulic prowadzących do niej. "Wystarczy trzymać się drogi - pomyślał - a wszystko będzie dobrze". Tak też zrobił. Onos był wciąż na niebie, gdy zakończył swój marsz przez las i skręcił w małą polną drożkę, która jak wiedział, prowadziła do Sanktuarium. Popołudniowe cienie zaczynały się już nieco wydłużać, kiedy dotarł do zewnętrznej bramy. Pamiętał, że musi ją przebyć, potem zejść długą leśną drogą, która doprowadzi go do drugiej bramy, a następnie wokół pary przybudówek do właściwego wejścia do podziemi.

Zewnętrzna brama, wysoka zapora z metalowej siatki, została otwarta na oścież. Nie wrożyło to nic dobrego. Czyżby zdziwały tłum zdołał wdrzeć się także tutaj?

Nie zauważył jednak żadnych śladów zniszczeń. Wszystko było tak, jak być powinno, jedynie brama stała otworem. Przekroczył ją zaintrygowany i wszedł w dół leśną drogą.

Przynajmniej wewnętrzna brama była zamknięta.

-Nazywam się Biney 25 - powiedział do niej, podając także swój uniwersytecki numer identyfikacyjny. Mijały chwile, które wydłużały się w minuty, i nic się nie działo. Zielone oko skanera nad jego głową wydawało się działać - dostrzegł obiekt przesuwający się tam i z powrotem, lecz obsługujące go komputery pewnie straciły zasilanie albo zostały doszczętnie zniszczone. Odczekał chwile. Potem jeszcze jedna. W końcu rzekł:

-Nazywam się Biney 25 - i po raz drugi podał swój kod identyfikacyjny. - Mam prawo tu wejść. - W tym momencie przypomniał sobie, że samo imię i kod nie wystarczą. Trzeba podać jeszcze hasło.

Ale jak brzmiało? Wpadł w panikę. Nie mógł sobie przypomnieć. Za nic, za żadne skarby. Co za absurd! Wreszcie znalazł drogę tutaj i nie mógł się dostać do wnętrza przez swoją własną głupotę!

Hasło... hasło...

Miało coś wspólnego z katastrofą. "Zacmienie"? Nie, nie to. Zachodził w głowę, lecz z obolałym mózgiem pracował z trudem. "Kalgasz Dwa"? To mu nie pasowało. "Dovim"? "Onos"? "Gwiazdy"?

Był coraz bliżej. W tym momencie nadeszło rozwiązanie.

-Noc! - krzyknął triumfalnie. Przez dłuższą chwilę wciąż nic się nie działo, lecz potem, gdy już wydawało się, że usnęło tysiąc lat, brama rozwarła się przed nim. Kreta ścieżka wokół przybudówek dotarł do owalnych metalowych wrot Sanktuarium, wpuszczonych w ziemię

pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kolejne zielone oko studiowało go badawczo. Czy powinien od nowa podać identyfikację? Najwidoczniej.

-Nazywam się Biney 25 - powiedział, przygotowując się na następne dłuższe oczekiwanie.

Brama natychmiast zaczęła się odsuwać. Spojrzał w dół, na betonową podłogę przedsionka Sanktuarium.

Stała tam Raissa 717. Ledwie dziesięć metrów od niego.

-Biney! - zawołała i rzuciła się ku niemu. - Och, Biney, Biney...

Od czasu gdy dwa lata temu stali się kontraktowymi partnerami, nigdy nie rozstawali się na dłużej niż osiemnastie godzin. Teraz spędzili osobno kilka dni. Przyciągnął Raisse do siebie, objął mocno i minęło trochę czasu, zanim wypuścił ją z ramion.

Zdał sobie sprawę, że nadal stoja w otwartych wrotach Sanktuarium.

-Powinnismy chyba wejść do środka i zamknąć bramy? - zapytał. - Ktoś mógł mnie śledzić. Nie przypuszczam wprawdzie...

-To bez znaczenia. Nikogo prócz nas tu nie ma.

-Co?!

-Wszyscy odeszli - wyjaśniła Raissa. - Wczoraj, zaraz po wschodzie Onossi. Chcieli, żebym poszła z nimi, ale zostałam, żeby czekać na ciebie.

Biney gapił się na nią nic nie rozumiejąc.

Dostrzegł teraz, jaka była blada i zmęczona. Wychudła i zmizemiała. Jej niegdys Isniace, puszyste włosy wisiały w posklejanych kosmykach. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte. Postarzali się o pięć lub dziesięć lat.

-Raisso, ile czasu minęło od zaciemnienia?

-Dzisiaj jest trzeci dzień.

-Trzy dni. To mniej więcej tyle, ile zakładałem. - Jego głos wzbudził dziwne echa. Biney rozejrzał się po

268

Sanktuarium. Pusta podziemna komora, oświetlona u sufitu linia żarówek, rozciągała się daleko w głąb. Jak okiem sięgnąć nikogo. Tego się nie spodziewał. Według planu wszyscy mieli tu czekać w ukryciu do czasu, gdy będzie można bezpiecznie wyjść na powierzchnię.-

Dokad oni poszli? - spytał ze zdumieniem.

-Do Amgando - odpowiedziała Raissa.

-Park Narodowy Amgando? Przecież to setki kilometrów stąd! Oni chyba poszaleli! Wychodzić z ukrycia i iść do jakiegoś miejsca przez poł kraj! Czy masz pojęcie, Raissa, co się dzieje na zewnątrz?

Park Amgando był rezerwatem położonym daleko na południe, gdzie żyły dzikie zwierzęta i gdzie zazdrośnie strzeżono rodzimej roślinności.

Biney pojechał tam raz z ojcem, jeszcze jako chłopiec. Było to prawie zupełnie odludzie, przecięte zaledwie kilkoma szlakami turystycznymi.

-Przypuszczali, że tam będzie bezpieczniej - powiedziała Raissa.

-Bezpieczniej?!

-Rozeszła się wieść, że wszyscy, którzy pozostali normalni i chcą wziąć udział w odbudowie społeczeństwa, mają się zebrać w Amgando. Przypuszczalnie ze wszystkich stron kraju tysiące ludzi - przeważnie z innych uniwersytetów oraz z rządu - zdążają do rezerwatu. - Świetnie. Ta zgraja profesorów i polityków zadepcze park. Kiedy wszystko inne uległo zniszczeniu, czemu nie zniszczyć także ostatniego ocalałego skrawka natury, który nam pozostał?

-To nieistotne. Najważniejsze, że park Amgando jest w rękach ludzi zdrowych psychicznie, że pozostał enklawa cywilizacji wśród totalnego oblędu. Oni wiedzieli o nas, prosili, byśmy się do nich przyłączyli. Przeprowadziliśmy głosowanie i dwie trzecie było za tym, aby iść.

-Dwie trzecie - rzekł Biney głucho. - Ci ludzie kompletnie poszaleli, chociaż nie widzieli gwiazd. Pomyśl, porzucić Sanktuarium i wyruszyć w pięćsetkilometrową wędrowkę - a może to osiemset kilometrów? - przez kompletny chaos, jaki panuje na zewnątrz. Dlaczego nie

269

poczekać miesiąca, sześciu miesięcy, nawet dłużej? Mieli dość jedzenia i picia, mogli przetrwać tu rok. - Mówiliśmy to samo, ale wtedy ci przybysze z Am-gando stwierdzili, że właśnie teraz jest właściwy moment. Gdybyśmy zaczekali jeszcze kilka tygodni, walesające się grupy oszalałych ludzi mogłyby się zorganizować w armie dowodzone przez lokalnych kacyków i wtedy to z nimi mielibyśmy do czynienia po wyjściu. A gdyby czekać jeszcze dłużej, prawdopodobnie Apostołowie Plomieni zdolaliby ustanowić nową, silną władzę, z własną armią i policją, i schwytano by nas od razu, jak tylko zrobilibyśmy pierwszy krok poza Sanktuarium. "Trzeba iść teraz albo nigdy - zakończyli ludzie z Amgando. - Lepiej spotykać się z rozproszonymi, oszłomionymi bandytami, działającymi niezależnie, niż z

zorganizowanym wojskiem". Wszyscy zdecydowali więc wyruszyć w drogę.

-Wszyscy... a ty?

-Ja chciałam zaczekać na ciebie.

-Skąd wiedziałas, że przyjdę? - Ujął ją za rękę.

-Powiedziałas, że przyjdiesz, gdy tylko skończysz fotografować zaciemnienie. Ty zawsze dotrzymujesz słowa.

Biney był jak nieobecny. Jeszcze nie otrząsnął się po wiadomości, że Sanktuarium jest puste. Miał nadzieję tu odpocząć, wyleczyć obolałe ciało i złożyć w całość rozbite przez gwiazdy psychiki. Co mieli teraz zrobić? Założyć gospodarstwo, tylko we dwoje żyć w tej pustej betonowej krypcie? Czy też na własną rękę próbować dostać się do Amgando? Biney doszedł do wniosku, że decyzja opuszczenia Sanktuarium miała jakiś wariacki sens, założywszy jakikolwiek sens zbierania się w Amgando. Jeśli tak, to lepiej odbyć podróż teraz, kiedy w kraju panuje zamęt, niż czekać, aż pojawia się nowe polityczne twory zarządzane przez Apostołów, czy też dać czas zwykłym zbojom, by zebrali się w bandy i zaczęli czyhać przy głównych traktach. Liczył, że po przybyciu do Sanktuarium zastanie tu przyjaciół, wtopi się w społeczność znanych sobie ludzi i powoli odzyska pełnię sił po przeżytym szoku. "Jakże byłem naiwny!" - pomyślał.

-Raisso, czy masz pojęcie, co się teraz dzieje na zewnątrz?

270

-Otrzymywaliśmy raporty przez komunikator, ale w pewnym momencie jego kanały przestały funkcjonować. Najwyraźniej miasto zostało prawie doszczętnie spalone, a uniwersytet w znacznym stopniu zniszczony - tak właśnie jest, prawda? - O ile wiem, tak. - Biney skinął głową. - Uciekłem z obserwatorium zaraz po opanowaniu go przez tłum. Athor został zabity, jestem tego pewien. Zniszczono cały sprzęt - przepadły wszystkie nasze dane o zaciemieniu...

-To straszne!

-Udało mi się wydostać tylnym wyjściem. I od razu gwiazdy uderzyły mnie jak tona kamieni. Dwie tony. Raisso, nie masz pojęcia, co ja przeżyłem. Właściwie to ciesze się, że nie wiesz. Przez parę dni byłem niespełna rozumu, blakalem się po lesie. Nie obowiązują już żadne prawa. Każdy dba o siebie. Chyba kogoś zabiłem w walce. Zwierzeta domowe dziczeją - je również gwiazdy doprowadziły do obłędu - i są przerażające.

-Biney...

-Wszystkie domy są spalone. Dzisiaj rano przechodziłem przez to oryginalne osiedle na

wzgorzu, na południe od lasu - Zakątek Onosa, tak je chyba nazywano? Zniszczenia są niewiarygodne. Nigdzie nie ma żywej duszy. Wraki samochodów, trupy na ulicach, zrujnowane domy - mój Boże, Raissa, co za noc szalenstwa! A obłęd wciąż trwa.

-Ty wydajesz się normalny. Jesteś wstrząsnięty, ale nie...

-Stuknięty? Byłem stuknięty. Od momentu gdy wyszedłem na światło gwiazd aż do dzisiaj, kiedy się ocknałem. W końcu wszystko zaczęło mi się układać w głowie. Myślę, że z większością innych ludzi jest znacznie gorzej. Z tymi, którzy nie byli na to emocjonalnie przygotowani nawet w najmniejszym stopniu, po prostu spojrzeli w górę i... łup!... słońca zniknęły, świecą gwiazdy. Tak jak mówił twój wuj Szirin - będzie cała gama rozmaitych reakcji, od krótkotrwałej dezorientacji do totalnego i trwałego obłędu.

-Szirin był z tobą w obserwatorium w czasie zaciemnienia, prawda? - spytała Raissa cicho.

271

-Tak.-A potem?

-Nie wiem. Byłem zajęty, nadzorowałem fotografowanie zaciemnienia. Nie mam pojęcia, co się stało z Szirinem. Nie widziałem go od czasu, kiedy wtargnął motloch.

Raissa westchnęła i uśmiechnęła się blade.

-Może wślizgnął się w zamieszaniu. On już taki jest - bierze nogi za pas, kiedy wyczuje niebezpieczeństwo. Nie zniosłabym, gdyby stało mu się coś złego.

-Raissa, coś złego przytrafiło się całemu światu. Być może Athor miał rację: lepiej po prostu dać się zmieść i unieść w dal. W ten sposób nie musisz stawiać czoła powszechnemu obłędowi i chaosowi.

-Biney, nie wolno ci tak mówić!

-Rzeczywiście, nie wolno. - Podszedł do niej i delikatnie pogłaskał ją po plecach. Pochylił się i czule szepnął jej do ucha: - Raissa, co teraz zrobimy?

-Myślę, że nietrudno zgadnąć. Pomimo wszystko rozesmiał się głośno.

-Miałem na myśli, co zrobimy potem.

-Tym będziemy się martwić potem - powiedziała Raissa.

32

Teremon rzadko kiedy wyjeżdżał w plener. Był mieszkańcem w każdym calu. Trawa, drzewa, świeże powietrze, czyste niebo w zasadzie mu nie przeszkadzały, ale też nie

pociągaly za bardzo. Przez lata jego zycie toczylo sie w ustalonym wielkomijskim trojkacie; niezmiennie przemierzal znajoma trase, wyznaczona trzema punktami - jego malym mieszkankiem, redakcja "Kroniki" i klubem Szesc Slonc. Nagle stal sie mieszkancem lasu. Najdziwniejsze, ze prawie mu sie to spodobalo. To, co obywatele Saro nazywali lasem, bylo w istocie niewielka resztko prastarej puszczy. Dosc szeroki pas

272

poroslej drzewami ziemi zaczynal sie na poludniowo-wschodnim krancu miasta i ciagnal jakies dwadziescia kilometrow wzdluz poludniowego brzegu rzeki Seppitan. Niedgys puszcza rozposcierala sie na obszarze polowy prowincji, niemalze do wybrzeza, ale znaczna jej czesc wycieto pod uprawe, pozniej calkiem niemala na podmiejskie dzielnice mieszkaniowe, a i Uniwersytet Saryjski piecdziesiat lat temu uszczknal niezly kawalek na swa nowa siedzibe. Wkrotce potem uczelnia, by nie zostac wchlonieta przez rozwijajace sie miasto, podjela starania o przekształcenie tego, co zostalo, w rezerwat. A poniewaz w Saro przez wiele lat obowiazywala zasada, ze uniwersytet zwykle dostawal wszystko, czego zazadal, ostatni skrawek dawnej puszczy pozostal nienaruszony. I tu wlasnie przebywal obecnie Teremon.

Pierwsze dwa dni byly bardzo ciezkie. Czul sie nadal czesciowo otumaniony - byl to efekt patrzenia na gwiazdy - i nie potrafil ulozyc zadnego planu dzialania. Podstawowa sprawa bylo pozostanie przy zyciu.

Miasto plonelo - dym snul sie wszedzie wokol, powietrze drgalo z goraca, z niektorych dogodnych miejsc mozna bylo nawet dojrzec jezyki plomieni tanczace po dachach - oczywiscie nie bylo mowy, by tam wracac. W zamecie po zacmieniu Teremon, gdy tylko chaos w jego umysle nieco ucichl, zaczal po prostu schodzic ze wzgorza, na ktorym polozony byl uniwersytet, i tak dotarl do granicy lasu.

Najwyrazniej wielu ludzi uczynilo to samo. Niektorzy wygladali na wykladowcow czy studentow, inni stanowili prawdopodobnie pozostalosc tlumu szturmujacego obserwatorium w noc zacmienia, a reszta - jak domyslal sie Teremon - to mieszkancy przedmiesc, ktorzy opuscili swe domostwa, kiedy wybuchly pozary.

Widyl tych ludzi w lesie. Wydawalo mu sie, ze ich rownowaga psychiczna jest zachwiana w co najmniej takim stopniu jak jego wlasna. Wiekszosc sprawiala znacznie gorsze wrazenie, niektorzy calkowicie stracili rozum i nie byli zdolni do samodzielnego zycia.

Nie tworzyli zadnych zorganizowanych grup. Przemierzali swe tajemne lesne szlaki samotnie, a czasem po dwoch 18 Nastanie nocy 2, /J lub trzech; najwieksza grupa, jaka Teremon widzial, liczyla osiem osob, ktore - sadzac po wygladzie i ubraniu - tworzyly jedna rodzine.

Zatrwarzajace byly spotkania z tymi naprawde szalonymi. Mieli nieprzytomne spojrzenia,

otwarte usta, powalane ubrania, a slina sciekala im po brodach. Snuli sie lesnymi przecinkami jak zywe trupy, mowili do siebie, podspiewywali, czasem pelznac na czworakach wyrywali kepy darni i sciolki. Byli wszedzie. "Caly las to jeden wielki zaklad dla oblakanych - myslal Teremon. - A prawdopodobnie i caly swiat".

Ludzie najbardziej dotknieci pojawieniem sie gwiazd nie stanowili w zasadzie zagrozenia, przynajmniej dla innych. Byli zbyt rozbici psychicznie, aby przewidziec korzysci mogace plynac z zachowania agresywnego, a jednocześnie ich koordynacja ruchowa ucierpiala na tyle, ze nic zlego nie mogli nikomu zrobic.

Jednak byli tez inni, niezupełnie szaleni - na pierwszy rzut oka mogli wydawac sie calkiem normalni - i dopiero oni stanowili wielkie niebezpieczenstwo.

Ci, jak szybko zrozumial Teremon, dzielili sie na dwie kategorie. Do pierwszej nalezeli ludzie, ktorzy nie zywili do nikogo wrogich uczuc, ale ulegli historycznej obsesji, ze Ciemnosc i gwiazdy moga powrocic. To byli podpalacze.

Najpewniej przed katastrofa ci ludzie wiedli porzadne i ustabilizowane zycie - kochajacy swe rodziny, uczciwi, pracowici, mili i sympatyczni sasiedzi. Dopoki Onos pozostawal na niebie, byli calkowicie opanowani, ale z chwila, gdy glowne slonce zaczynalo znikac na zachodzie i zblizal sie wieczor, lek przed Ciemnoscia opanowywal ich zupełnie i desperacko szukali czegos do podpalenia. Niewazne czegos. Czegokolwiek. Dwa, trzy inne slonca mogly byc nadal w gorze po zachodzie Onosa, ale swiatlo mniejszych slonc nie wystarczalo, by usmierzyc oszalaly strach tych ludzi przed Ciemnoscia.

To oni spalili do szczetu swoje wlasne miasto. Z rozpaczny podpalili ksiazki, gazety, meble, dachy domow. Teraz, rzuceni do lasu przez zaglade miasta, usilowali podkladac ogien takze tutaj. Bylo to jednak znacznie trudniejsze

274

zadanie. Las rosl bujnie i gesto, a zbitya sciane drzew obficie nawadnialo mnostwo strumieni splywajacych do rzeki, biegnacej wzdluz jego granicy. Odlamane galezie nie palily sie dobrze, a chrust i opadle liscie, stanowiace sciolke lesna, zwilgotnialy po ostatnich deszczach. To, co nadawalo sie do spalenia, odnaleziono bardzo szybko i zuzyto na ogniska, nie probujac wzniecic zadnych wiekszych pozarow; juz na drugi dzien ten zapas prawie sie wyczerpal. Podpalacze, ograniczeni w swych dzialaniach przez warunki lesne i wlasne zamroczone umysly, nie odnosili wiec, jak dotychczas, wiekszych sukcesow. Udalo im sie jednak mimo wszystko wywolac pare sporych pozarow lasu, ktore na szczescie wygasly po paru godzinach, strawiwszy caly latwopalny material znajdujacy sie w ich zasiegu. Lecz wystarczyloby kilka dni suchej, upalnej pogody, aby ludzie ci zdolali puscic z dymem cala okolice, tak jak zrobili to w Saro.

Druga kategoria niezupełnie normalnych ludzi wedrujacych po lesie stanowila w opinii

Teremona znacznie bardziej bezpośrednio zagrożenie. To byli ci, którzy zatracili wszelkie zahamowania i normy społeczne. Bandyty, rzezimieszki, mordercy, psychopaci, maniakalni zbrojcy poruszali się po cichych lesnych ścieżkach niczym krwiożercze bestie, uderzając kiedy tylko mieli na to ochotę, zabierając wszystko, co chcieli, mordując każdego nieszczęśnika, który wzbudził ich złość.

Absolutnie każdy mieszkaniec lasu miał szkliste spojrzenie, część ze zmęczenia, inni ze wątpliwości, a jeszcze inni z szaleństwa. Spotykając kogoś nie sposób było orzec, na ile był niebezpieczny. Nikt nie mógł na pierwszy rzut oka ocenić, czy zbliżająca się osoba jest tylko jednym z pomylenców, oszłomionych i zszokowanych, a więc nieszkodliwych, czy też należy do drugiej kategorii, osobników pełnych morderczej furii, atakujących nie stad, nie zowad każdego napotkanego bez żadnego powodu.

Człowiek szybko się uczył, że należy mieć się na baczności, gdy nadchodził ktoś bunczucznie i wyzywająco kroczący przez las. Każdy stanowił potencjalne zagrożenie. Można było z kims przyjacielsko rozmawiać, porównując

275

wrażenia z przeszłości po zaciemieniu, kiedy nagle ten ktoś potrafił obrazić się o przypadkową uwagę czy też dojść do wniosku, że podoba mu się jakiś szczegół twojego ubrania, lub też po prostu poczuć ślepa nienawiść do twojej twarzy i ze zwierzęcym wyciem rzucić się na ciebie w beznadziejnym okrucieństwie. Niektórzy z tych ludzi niewątpliwie już wcześniej byli zwykłymi kryminalistami. Kiedy społeczeństwo się rozpadło, oni nie musieli już mieć żadnych zahamowań. Teremon podejrzewał jednak, że inni byli łagodnymi i spokojnymi ludźmi do czasu, gdy stracili rozum na widok gwiazd. Wtedy nagle opadły z nich wszelkie normy cywilizowanego świata. Zapomnieli o zasadach, które czyniły możliwym życie w społeczeństwie. Stali się znowu jak małe dzieci, egocentryczni, zajęci tylko własnymi potrzebami, ale mieli siłę dorosłych i uporczywość obłąkanych.

Jeżeli chciało się przeżyć, należało unikać tych, o których w sposób pewny lub wysoce prawdopodobny można było, że są śmiertelnie niebezpieczni. Pozostawało wznosić modły, aby jak najszybciej pozabijali się nawzajem, przez co świat stałby się bezpieczniejszy dla mniej zapalczywych.

W ciągu dwóch dni Teremon trzy razy spotkał szalenców należących do tej kategorii. Pierwszy z nich, wysoki, smukły mężczyzna z niesamowitym, diabolicznym uśmiechem, czatował przy strumieniu, który Teremon chciał przekroczyć, i zażądał od dziennikarza opłaty za przejście.

-Powiedzmy, twoje buty. A może wolisz zegarek?

-A może usuniesz mi się z drogi? - zasugerował Teremon i tamten wpadł w szal.

Chwyciwszy palke, której Teremon wcześniej nie zauważył, wydał jakiś okrzyk wojenny i

zaatakował. Nie było czasu na żadną obronę, Teremon mógł tylko schylić się w momencie, gdy napastnik ze straszliwą siłą zamachnął się swą maczugą.

Słyszał, jak pałka swisnęła mu tuż nad głową. Trzasnęła w drzewo za nim, uderzając w pień z potworną siłą - tak potężną, że efekt uderzenia przenosił się na ramię napastnika, któremu z bólu zaparło dech w piersiach, a bron wypadła z bezwładnej dłoni.

276

Teremon natychmiast skoczył na niego, chwycił za okaleczoną rękę i wykrecił ją gwałtownie do góry z bezlitosną siłą. Szalencie rzeźca zgwałcił się w pole i z jękiem padł na kolana. Teremon nie puścił. Pchnął go w dół, aż jego głowa znalazła się w strumieniu, i tak przytrzymał. Jeszcze. I jeszcze. "Jak łatwo byłoby po prostu trzymać jego głowę pod wodą tak długo, aż by się utopił" - pomyślał w zadziwieniu.

Część jego umysłu istotnie go do tego namawiała. "On zabiłby cię bez zastanowienia. Pozbądź się go. Jeśli nie, to co zrobisz, gdy go puścisz? Będziesz z nim walczył od nowa? A jeżeli pójdzie za tobą przez las, aby wyrównać porachunki? Zabij go, Teremonie. Zabij".

Pokusa była silna. Lecz jedynie część jego umysłu pragnęła tak ochoczo zaakceptować panujące w nowym świecie prawo dżungli. Reszta wzdrygała się przed tym; w końcu puścił ramię szalencę i cofnął się o krok. Podniósł pałkę i czekał.

Jednak z napastnika uszła już cała wola walki. Krztusząc się i łapiąc powietrze przysiadł na brzegu strumienia, woda wypływała mu z ust i nosa, drżał, kaszlał i z trudem chwycił oddech. Spoglądał ponuro i bojaźliwie na Teremo-na, ale nie próbował wstać, porzucił myśl o podjęciu walki.

Teremon ominął go, przekroczył rzeczke i odbiegł głębiej w las.

Implikacje tego, co niemal uczynił, nie dochodziły do niego w pełni jeszcze przez następne dziesięć minut. Wtedy stanął jak wryty, oblał się zimnym potem. Naszły go mdłości, powaliły gwałtowne torsje, które wstrzaszały nim tak silnie, że upłynęła dłuższa chwila, zanim zdołał się podnieść.

Tego samego dnia później Teremon doszedł na skraj lasu. Wyjrzał spomiędzy drzew i zobaczył szosę - całkowicie opustoszałą - a po jej drugiej stronie ruiny wysokiej murowanej budowli stojącej na rozległym placu.

Rozpoznał ten gmach. To był Panteon, Katedra Wszystkich Bogów.

Nie zostało z niego wiele. Teremon przeszedł na drugą

277

strone szosy i spojrzal z niedowierzaniem. Wygladalo na to, ze pozar zaczal sie w samym sercu budynku - co oni tam wyprawiali, uzywali lawek zamiast swiec? - i przeniosl sie w gore waska wiezyczka powyzej oltarza, od ktorej zajely sie drewniane belki. Wieza zawalila sie, pociagajac za soba sciany. Caly plac byl usiany ceglami. Dostrzegl ciala wystajace spod gruzow. Teremon nigdy nie nalezal do ludzi szczegolnie religijnych. Nie znal tez nikogo takiego. Jak wszyscy inni uzywal czasem zwrotow w rodzaju "Moj Boze!", "Na Boga!", "O bogowie!" dla emfazy, ale mysl, ze mogli istniec jakis Bog czy bogowie, czy co tam aktualnie panujacy system wierzen utrzymywal, byla mu zawsze obca. Religia robila na nim wrazenie przesadu rodem ze sredniowiecza, osobliwie archaicznego. Od czasu do czasu chodzil do swiatyni na slub kolegi - oczywiscie tak samo niewierzacego jak on - lub by zrobic reportaz z jakiegos oficjalnego obrzadku, ktory mial byc zamieszczony w przegladzie wydarzen, ale w celach religijnych nie zaszedl do zadnej swiatyni od czasu wlasnej inicjacji, kiedy mial dziesiec lat.

Pomimo to widok zrujnowanej katedry poruszył go do glebi. Był obecny na uroczystości jej poświęcenia, dwanaście lat temu, kiedy zaczynał karierę jako reporter. Wiedział, ile milionów kredytów kosztował budynek; podziwiał wspaniałe dzieła sztuki, wzruszała go cudowna muzyka "Hymnu do bogów" Ghissimala, rozbrzmiewająca w olbrzymim wnętrzu. Nawet on, który nigdy nie wierzył w żadne świętości, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jeśli bogowie naprawdę byli obecni w jakimś miejscu na Kalgaszu, to właśnie tu.

A jednak bogowie pozwolili, aby budowla uległa takiemu zniszczeniu! Bogowie zesłali gwiazdy wiedząc, że przyniosą obłęd, który zniszczy nawet ich własny Panteon!

Coż to oznaczało? Co mówiło o niezbadanych i niepojętych wyrokach bogów - założywszy, że w ogóle istnieli?

Nikt nigdy nie odbuduje tej katedry, Teremon był tego pewien. Już nigdy nic nie będzie tak, jak było.

-Na pomoc! - usłyszał czyjś wólanie. Ten słaby dźwięk przerwał tok jego myśli. Rozejrzył się.

-Ratunku! To po lewej stronie. Tak. Teremon ujrzał w słońcu

278

odblask złotych szat. Jakis mężczyzna tkwił na pol pogrzebany w gruzach, daleko w glebi, przy ścianie budynku - zapewne jeden z kapłanów, sadząc po strojnym ubiorze. Był przywalony przez ciężką belkę i machał ręką, najwyraźniej resztkami sił. Teremon zaczął biec w jego kierunku. Przebiegł nie więcej niż dwadzieścia kroków, kiedy jakaś postać pojawiła się po przeciwnej stronie gruzów i pedem ruszyła do przodu - mały człowieczek z kocia zwinnością przedzierał się przez rumowisko.

"Świetnie - pomyślał Teremon. - Razem sobie poradzimy. Wspólnymi siłami odciągniemy te

belke".

Był jeszcze w odległości dobrych dziesięciu metrów i nagle stanął jak skamieniały, sparalizowany grozą. Zwinny człowieczek dotarł do kapłana. Pochylił się i podciął mu gardło jednym szybkim uderzeniem noża, tak zwyczajnie, jakby otwierał kopertę. Potem zaczął pracowicie przecinać sznury, które przytrzymywały bogate szaty kapłana.

Spojrzał w górę na Teremona, przeszywając go wzrokiem pełnym nienawiści. Jego oczy płonęły dzikim, przerażającym blaskiem.

-Moje! - warknął niczym wściekła bestia. - Moje! - Błysnął nożem.

Teremon zadrzał. Przez dłuższą chwilę stał skamieniały, ulegając upiornej fascynacji efektywnością, z jaką rabus obdzierał martwe ciało kapłana. Potem ze smutkiem odwrócił się i uciekł z powrotem przez szosę do lasu. Nic innego nie mógł zrobić.

Tego wieczora, gdy Tano, Sitha i Dovim królowały na niebie rozsiewając melancholijny blask, Teremon pozwolił sobie na kilka godzin snu w gestych zarostach; budził się jednak co chwila, wyobrażając sobie, jak jakiś szaleniec z nożem skrada się ku niemu, chcąc ukrącić buty. Sen opuścił go na długo przed wschodem Onosa. Kiedy w końcu nadszedł ranek, niemal zdziwił się, że wciąż jeszcze żyje.

Pół dnia później spotkał trzeciego z nowej rasy morderców. Tym razem przechodził przez trawiaste lake, blisko jednego z zakoli rzeki, kiedy spostrzegł dwóch ludzi siedzących na ocienionym skrawku ziemi, dokładnie

279

w poprzek drogi, grających w kosci. Wyglądali na łagodnych i spokojnych. Teremon podszedł bliżej i zorientował się, że wybuchła między nimi sprzeczka; w pewnej chwili, niewiarygodnie szybko, jeden z mężczyzn złapał noż kuchenny leżący obok na kocu i ze śmiercionośną siłą wbił go w piers drugiego. Potem uśmiechnął się do Teremona.

-Oszukiwał mnie - wytłumaczył. - Wiesz, jak to jest. Cholernie wnerwia. Nie umiem się powstrzymać, kiedy facet próbuje szachrować. - Brzmiało to w jego ustach bardzo przekonująco. Wyszczерzył zęby i zagrzechotał koscmi. - Hej, zagrasz partyjkę?

Teremon spoglądał w oczy pełne szalenstwa.

-Przepraszam - powiedział tak beznamiętnie, jak tylko potrafił. - Szukam swojej dziewczyny. Szedł nie zatrzymując się.

-Hej, możesz ją znaleźć później! Chodź tu i zagraj!

-Chyba ja widzę! - odkrzyknął Teremon i przyspieszył kroku, nie oglądając się za siebie.

Później był już mniej niefrasobliwy przemierzając las. Znalazł osłonięty zakątek na polanie, która robiła wrażenie mało uczeszczonej, i pod skalnym występem urządził sobie zaciszną siedzibę. W pobliżu rośli krzaki, uginający się pod ciężarem jadalnych czerwonych jagód, a kiedy potrząsnął drzewem rosnącym po drugiej stronie polany, zasypało go okrągłymi żółtymi orzeszkami, które zawierały smaczny ciemny miąsz. Zlustrował niewielki strumień tuż obok rozważając, czy mógłby w nim złapać coś do jedzenia; niestety, nie znalazł nic poza małymi rybkami. Zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby potrafił je złowić, musiałby spożyć na surowo, jako że nie miał niczego, co nadawałoby się do spalania, nie mówiąc już o tym, jak zdolalby to podpalić.

Teremon wcale nie uważał życia na jagodach i orzeszkach za szczyt luksusu, ale mógł to scierpieć przez kilka dni. Już znacznie schudł w pasie, co było jedynym pożądanym efektem całego nieszczęścia. Najlepiej pozostać tu, w ukryciu, aż sytuacja wróci do normy.

Był całkowicie pewien, że wszystko się uspokoi. Po 280 wszechna normalność musiała wrócić wcześniej czy później. Taka przynajmniej miał nadzieję. Wiedział, że on sam przeżył długą drogę powrotną od chaosu, który opanował jego umysł w obliczu gwiazd.

Z każdym mijającym dniem czuł się mocniejszy, bardziej zdolny stawić czoło trudnościom. Miał wrażenie, że był już niemal dawnym sobą, może nieco niepewnym i nerwowym, ale tego należało się spodziewać. Czuł się mniej więcej normalny. Zrozumiał, że noc podziałała na niego słabiej niż na większość ludzi: był bardziej odporny psychicznie, bardziej wytrzymały, mógł lepiej znieść straszliwy wstrząs związany z tym druzgoczącym przeżyciem. Jednak inni prawdopodobnie także zaczęli powracać do zdrowia, nawet ci, którzy ucierpieli bardziej niż on, i będzie można bezpiecznie wyjść, aby sprawdzić, czy ktoś coś robi dla scalenia świata na powrót.

Tymczasem postanowił znaleźć kryjówkę i nie dać się zamordować żadnemu z psychopatów biegających wokół. Niech sami się wykończą nawzajem; on później ostrożnie wysciubi nos, aby sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Nie był to plan zbyt bohaterowski, ale rozsądny.

Intrygowało go, co się stało z innymi, obecnymi w obserwatorium w momencie zaciemnienia. Z Bineyem, Szirinem, Athorem. Z Siferre.

Zwłaszcza z Siferre.

Od czasu do czasu rozważał, czy ryzykując głowę nie wyjść z ukrycia, aby jej poszukać. Ten pomysł coraz bardziej go pociągał. Przez długie godziny samotności snuł płomienne marzenia, jak to będzie, gdy spotka Siferre gdzieś w lesie. Oni, we dwoje, podróżujący razem przez odmieniony i groźny świat, sprzymierzeni wobec niebezpieczeństwa...

Oczywiście podobała mu się od początku. Próbował ją podejść na różne sposoby, choć wiedział, że okazała się nieskuteczna. Była piękna, ale wydawała się typem kobiety

absolutnie samowystarczalne, nie potrzebowała towarzystwa - ani mezczyzn, ani kobiet, jeśli już o to chodzi. Kilka razy udało mu się sprawić, że poszła z nim na kolację, ale przez cały czas umiejętnie i skutecznie trzymała go na bezpieczną odległość.

281

Teremon miał dość doświadczenia, by wiedzieć, że żadne czule słówka, nawet w dużej ilości, nie są wystarczająco przekonujące, aby przebić się przez barierę utrzymywaną z taką determinacją. Dawno temu uznał, że nie można uwieść żadnej z kobiet naprawdę wartych zachodu; można było zaproponować im tę ewentualność, ale w końcu i tak należało zostawić uwodzenie im samym i jeżeli nie miały na to ochoty, niewiele można było zrobić, aby cokolwiek zmienić. Z Siferre przez cały rok wszystko układało się nie po jego myśli. Zwróciła się gwałtownie przeciw niemu - miała pewne powody, jak przyznawał ze skruchą - gdy zaczął swą niefortunna kampanię wysmiewania Athora i grupy naukowców obserwatorium. Tuż przed nastaniem nocy wyczuł, że opór słabnie, że Siferre zaczyna się nim interesować. Inaczej czemu zaprosiłaby go do obserwatorium w dzień zaćmienia wbrew wyraźnym zarządzeniom Athora? Tego wieczora przez krótką chwilę miał wrażenie, że zaczyna nawiązywać się między nimi nic prawdziwego porozumienia.

Lecz wtedy nadeszła Ciemność, gwiazdy, motloch, zamęt. Potem wszystko pograżyło się w chaosie. Jednak gdyby tylko mógł ją teraz jakos odnaleźć...

"Dobrze by nam było ze sobą - pomyślał. - Stanowilibyśmy świetny zespół - twardzi, kompetentni, nastawieni na przetrwanie. Jakakolwiek cywilizacja się wyłoni, znaleźlibyśmy w niej swoje miejsce".

Nawet jeżeli przedtem istniała między nimi bariera psychologiczna, miał pewność, że obecnie wyda się jej zupełnie nieważna. Świat zmienił się całkowicie i ludzie też musieli się zmienić, aby przetrwać.

Jak mógł odnaleźć Siferre? O ile się orientował, nie działały żadne łącza komunikacyjne. Była jedna z milionów, jeśli nie więcej, osób na tym terenie. Sam las zamieszkiwało obecnie prawdopodobnie wiele tysięcy ludzi, a tak naprawdę nie miał powodu zakładać, że znajdowała się w obrębie lasu. Do tej pory mogła już być sto kilometrów stąd. Mogła zginąć. Odszukanie jej było zadaniem beznadziejnym: trudniejszym niż znalezienie igły w stogu siana. Stóg rozciągał się na kilka prowincji, a igła mogła z powodzeniem

282

oddalać się z każdą godziną. Tylko przez zupełnie ślepy traf mógł spotkać Siferre czy w ogóle kogokolwiek ze znajomych. Im dłużej Teremon rozważał szanse odnalezienia jej, tym te zadanie wydawało mu się mniej niemożliwe. Po pewnym czasie wyglądało już nawet na całkiem prawdopodobne.

Być może jego stale wzrastający optymizm był produktem uocznym życia w odosobnieniu.

Uplywał dzień po dniu, a on nie miał nic do roboty poza spędzaniem wielu godzin na siedzeniu nad brzegiem strumienia, oglądaniu przepływających rybek - i rozmyślaniu. Kiedy bez końca rozważał ten sam problem, odszukanie Siferry stawało się kolejno z zupełnie wykluczonego niezbyt prawdopodobne, z mało prawdopodobnego trudne, z trudnego wykonalne, z wykonalnego całkiem możliwe, a z możliwego łatwo osiągalne.

Uznał wreszcie, że powinien wrócić do lasu i zwerbować do pomocy tych, którzy potrafili działać racjonalnie. Wystarczy im powiedzieć, kogo chce znaleźć i podać rysopis. Rozesłać wiadomość wśród ludzi. Zaprzac talenty dziennikarskie. Mogł też wykorzystać swoją popularność. "Jestem Teremon 762 - zacząłby - wie pan, ten z >>Kroniki Saro<<. Czy mógłby mi pan pomóc? Wynagrodzę to panu. Czy chciałby pan, aby pańskie nazwisko znalazło się w gazecie? Mam uczynić pana sławnym? Naprawdę mogę to zrobić. To nie szkodzi, że gazeta na razie się nie ukazuje. Wcześniej czy później znowu zacznie wychodzić, a już moja w tym głowa, by zobaczył pan swoje zdjęcie na pierwszej stronie. Może pan na mnie liczyć. Proszę mi tylko pomóc znaleźć te kobiety, której szukam, a..." - Teremon?

To był znajomy głos, wysoki i pogodny. Teremon wyrwany raptownie z marzeń rozejrzył się bacznie na wszystkie strony mrużąc oczy w blasku południowego słońca przemieszczającego się między drzewami.

Siedział już od dwóch godzin, szukając osób, które zechciałyby rozpowszechnić wiadomość, aby pomóc sławnemu Teremonowi 762 z "Kroniki Saro". Jak dotąd napotkał zaledwie sześciu ludzi. Dwoch z nich wzięło nogi

283

za pas, gdy tylko go ujrzeli. Trzeci nie ruszył się z miejsca. Siedział śpiewając łagodnie do swoich nagich stóp. Inny przycupnąwszy na gałęzi drzewa metodycznie i z maniackim uporem ostrzył o siebie dwa kuchenne noże. Pozostała dwójka tylko wytrzeszczyła oczy, kiedy zakomunikował im, czego chciał; jeden zdawał się zupełnie nie rozumieć, a drugi wybuchnął dzikim śmiechem. Nie mógł oczekiwać zbyt wielkiej pomocy z ich strony. A teraz wydawało się, że to ktoś odszukał jego.-Teremon? Tutaj! Tutaj, Teremonie! Tu jestem. Nie widzisz mnie, człowieku? Tutaj!

33

Teremon spojrział w lewo, na kepe krzewów o dużych kolczastych liściach w kształcie parasola. Z początku nie zauważył nic szczególnego. Potem liście zakolysały się i rozstąpiły, a pomiędzy nich wyszedł na światło dzienne pulchny, okrągły mężczyzna.- Szirin? - zdumiał się Teremon.

-No, widzę że nie upadłeś na tyle, by zapomnieć moje imię.

Psycholog stracił trochę na wadze i wyglądał dziwnie, ubrany w kombinezon i znoszony sweter. Toporek o poszczerbionym ostrzu spoczywał niedbale w jego lewej dłoni. To było

chyba najdziwniejsze ze wszystkiego: Szirin z siekiera! Gdyby Teremon zobaczył go z dwiema głowami lub dodatkowa para rak, uznalby to za mniej osobliwe.

-Jak się masz, Teremonie? O bogowie, cały w lachmanach, a nie minął nawet tydzień! Podejrzewam, że ja wcale nie wyglądam lepiej. - Szirin spojrzal po sobie. - Czy zauważyłeś, jak schudłem? Dieta z lisci i jagod wyszczupła, chyba zgodzisz się ze mną?

-Jeszcze sporo musisz popracować, nim nazwę cię chudym - odparł Teremon. - Wyglądasz nieźle. Jak mnie znalazłeś?

-Nie szukając. To jedyny skuteczny sposób, kiedy

284

wszystko zależy od przypadku. Byłem w Sanktuarium, ale nikogo tam nie zastałem. Teraz zmierzam na południe, do parku Amgando. Szedłem sobie spokojnie ścieżką, która przecina las w poprzek, kiedy nagle cię zobaczyłem. - Psycholog podszedł bliżej i wyciągnął rękę. - Na Boga, Teremonie, co za radość znów ujrzeć twarz przyjaciela! Mam nadzieję, że jesteś przyjacielem? No, chyba nie mordercą? -Nie, nie sędze.

-Tutaj na metr kwadratowy przypada więcej pomyślonych, niż oglądałem w całym swoim życiu, a widziałem ich mnóstwo, powiadam ci. - Szirin potrząsnął głową i westchnął. - Bogowie! Nigdy mi się nie sniło, że będzie tak potwornie. Pomimo mojego zawodowego doświadczenia. Tak, przypuszczałem, że będzie źle, bardzo źle, ale nie aż tak źle.

-Przewidziałeś powszechne szalenstwo - przypomniał mu Teremon. - Byłem przy tym. Słyszałem, co mówiłeś. Przewidziałeś upadek cywilizacji.

-Co innego jest coś przewidywać, a co innego być w samym środku. Teremonie, dla takiego naukowca jak ja to bardzo upokarzające zobaczyć, jak jego abstrakcyjne teorie zmieniają się w namacalną rzeczywistość. Tak się gładko i niefrasobliwie mówiło: "Jutro nie ostanie się żadne miasto na Kalgaszu". Tak glosiłem, ale był to dla mnie po prostu szereg słów, tylko zwykła filozoficzna wprawka, czysta abstrakcja. "Kres świata, który znamy". Tak, tak. - Szirin zadrzał. - I zdarzyło się dokładnie tak, jak przewidziałem. Myślałem, że nie wierzyłem w swoje proroctwa aż do momentu, kiedy wszystko wokół zaczęło się walić.

-Gwiazdy - powiedział Teremon. - Nigdy nie brałeś pod uwagę gwiazd. To one były prawdziwą przyczyną katastrofy. Może oparlibyśmy się Ciemności, przynajmniej większość z nas, czulibyśmy się tylko nieco wstrząsnięci i dezorientowani, ale gwiazdy... te gwiazdy...

-Czy z tobą było bardzo źle?

-Bardzo, na początku. Teraz jest już lepiej. A ty?

-Najgorszy okres przeczekałem ukryty w podziemiach obserwatorium. Prawie w ogóle nie

ucierpiałem. Kiedy

285

wyszędłem następnego dnia, cały budynek był zrujnowany. Nie potrafisz sobie wyobrazić tego pobojuwiska wokół. -Przeklęty Folimun! Ci wszyscy Apostołowie...

-Tak, oni dolali oliwy do ognia, ale pożar wybuchłby i bez nich.

-Co się stało z ludźmi z obserwatorium? Athorem, Bineyem i reszta? Co z Siferra...?

-Nie widziałem nikogo z nich, ale nie znalazłem też ich ciał, kiedy rozglądałem się po budynku. Może uciekli. Natknąłem się jedynie na Imota. Pamiętasz go? Jeden ze studentów, wysoki, niezgrabny? Też się ukrył. - Szirin spochmurniał. - Podróżowaliśmy razem przez parę dni, dopóki nie został zabity.

-Zabity?

-Przez małą dziewczynkę, dziesięcio-, może dwunastoletnią. Z nożem. Rozkoszne dziecko. Śmiejąc się podeszła prosto do niego i dzgnęła bez ostrzeżenia. Potem pobiegła dalej, wciąż się śmiejąc.

-O bogowie!

-Bogowie są teraz głusi, Teremonie. Jeśli oczywiście kiedykolwiek istnieli.

-Nie wierze w to... Gdzie mieszkales, Szirinie?

-Tu i tam. - Psycholog spojrzał niepewnie. - Wpierw wróciłem do swego mieszkania, ale cała dzielnica została spalona. Nic nie ocalało, tylko gładkie ściany. Przespałem się w ruinach. Imot był ze mną. Następnego dnia wyruszyliśmy do Sanktuarium, ale nie sposób było do niego dotrzeć. W mieście szalały pożary, a tam, gdzie wygasły, pozostawały zwaly gruzów, przez które nie można się było przebić. Zupełnie jakby toczyła się wojna. Nadłożyliśmy więc drogi, idąc z powrotem na południe, do lasu. Tam zginął Imot. Chyba najbardziej nienormalni poszli właśnie do lasu.

-Wszyscy tam poszli - rzekł Teremon. - Las jest trudniej pusczyć z dymem niż miasto... Mówiłeś, że kiedy w końcu trafisz do Sanktuarium, znajdziesz je opuszczone?

-To prawda. Dotarłem tam wczoraj po południu i zastałem wrota szeroko otwarte. Zewnętrzna i wewnętrzna brama, a także właściwe wejście do podziemi nie były

286

zamknięte. Wszyscy odeszli. Na drzwiach wisiała przypięta wiadomość od Bineya. -Od Bineya! A więc Bineyowi udało się bezpiecznie dotrzeć do Sanktuarium.

-Najwidoczniej - przytaknal Szirin. - Dzień, może dwa przede mną. Z wiadomości wynikało, że zdecydowano ewakuować Sanktuarium i wyruszyć do Amgando, gdzie grupka ludzi z południowych prowincji próbuje stworzyć tymczasowy ośrodek władzy. Kiedy Biney dotarł do Sanktuarium, była tam już tylko moja siostrzenica Raissa, która najwyraźniej na niego czekała. Oboje również wyruszyli do rezerwatu. Ja też się tam kieruję. Wiesz, moja przyjaciółka, Liliat, była w Sanktuarium. Przypuszczam, że teraz wraz z innymi zmierza do Amgando.

-To brzmi niedorzecznie - zdziwił się Teremon. - W Sanktuarium było bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Czemu, u diabła, mieliby wychodzić na zewnątrz, gdzie panuje ten obłędny chaos, i maszerować setki kilometrów do jakiegoś Amgando?

-Nie wiem. Musieli mieć powody. W każdym razie ty i ja nie mamy wyboru. Chyba zgodzisz się ze mną? Wszyscy, którzy pozostali przy zdrowych zmysłach, tam się gromadzą. Możemy zostać tu i czekać, aż ktoś posieka nas na kawałki, tak jak tamto koszmarnie dziecko zadzgało Imota, albo zaryzykować i spróbować dostać się do rezerwatu. Tutaj jesteśmy nieuchronnie spisani na straty, czeka to nas wcześniej czy później. Jeśli dotrzemy do Amgando - będziemy ocaleni.

-Czy wiesz coś o Siferze? - zapytał Teremon.

-Nie. Dlaczego pytasz?

-Chciałbym ją odnaleźć.

-Może też wyruszyła do Amgando. Jeśli spotkała gdzieś po drodze Bineya, na pewno jej powiedział, gdzie wszyscy poszli i...

-Dlaczego sadzisz, że tak się mogło stać?

-To tylko domysły, Teremonie.

-Ja przypuszczam, że nadal jest gdzieś tu, w pobliżu. Chcę spróbować ją odszukać.

-Nie masz szans...

-Ty jednak mnie znalazłeś, prawda?

287

-Zwykły przypadek. Szanse na to, że zdołasz ją odszukać w ten sam sposób...-Sa całkiem spore - przerwał Teremon. - W każdym razie tak wole myślę. Nieważne, zamierzam spróbować. Mogę zawsze mieć nadzieję na dotarcie do Amgando później, z Siferra.

Szirin posłał mu przeciągłe spojrzenie, ale się nie odezwał.

-Myślisz, że zwariowałem? - ciągnął Teremon. - Coż, może.

-Tego nie powiedziałem. Uważam jedynie, że na próżno nadstawiasz karku. Tu jest dżungla. Zaczyna królować barbarzyństwo i jak widzę, z upływem czasu nic się nie zmienia na lepsze. Teremonie, chodź ze mną na południe. Za dwie, trzy godziny będziemy daleko stąd, a droga do Amgando jest tylko...

-Mówię poważnie, najpierw poszukam Siferry - powtórzył Teremon z uporem.

-Zapomnij o niej.

-Nie zamierzam. Zostanę tu i będę jej szukał.

-Dobrze, zostanę więc. - Szirin wzruszył ramionami. - Ja się wynoszę. Widziałem, jak mała dziewczynka zasztytowała Imota - pamiętaj, na moich oczach, nie więcej niż dwieście metrów ode mnie! Tu jest dla mnie zbyt niebezpiecznie.

-A przypuszczasz, że wędrowka w pojedynkę pięćset czy sześćset kilometrów nie jest niebezpieczna? Psycholog zważył w dłoniach toporek.

-Użyję tego, jeśli będę musiał.

Teremon powstrzymał się od śmiechu. Szirin, człowiek łagodny aż do przesady, miałby się bronić siekiera? Trudno było ten pomysł brać poważnie. - Życzę ci dużo szczęścia - rzekł po chwili.

-Naprawdę chcesz zostać?

-Tak, dopóki nie znajdzie Siferry. Szirin przyjrzał mu się ze smutkiem.

-Zatrzymaj więc szczęście, które mi ofiarowałeś. Myślę, że będziesz potrzebował go bardziej niż ja. Odwrócił się i bez słowa odszedł ciężkim krokiem.

288

34

Przez trzy dni - a może raczej cztery, poczucie upływu czasu się zacierało - Siferra szła na południe, przedzierając się przez las. Nie miała żadnych planów poza tym, że chciała zostać przy życiu. Nonsensem było próbować wrócić do własnego mieszkania. Miasto prawdopodobnie wciąż płonęło. Niska powłoka dymu wisiała w powietrzu, gdziekolwiek się obejrzy, a niekiedy dostrzec można było długie czerwone języki ognia lizające niebo na horyzoncie. Siferra miała wrażenie, jakby codziennie wzniesiono nowe pożary. To oznaczało, że szalenstwo wcale nie zaczynało jeszcze wygasać.

Jej umysł stopniowo powracał do prawidłowego stanu, z dnia na dzień wszystko się

rozjasniało, zyskiwało wreszcie przejrzystość, jak gdyby budziła się z jakiejś straszliwej gorączki. Miała niemiłą świadomość tego, że nie jest jeszcze w pełni sobą - poradzenie sobie z jakimkolwiek ciągiem myśli stanowiło dla niej zmudne przedsięwzięcie i szybko gubiła się w ich plataninie. Jednak była pewna, że wkroczyła już na ścieżkę wiodącą z powrotem ku normalności.

Inni najwyraźniej w ogóle nie powracali do zdrowia. Pomimo iż Siferra starała się trzymać na osobności, od czasu do czasu napotykała różnych ludzi i większość z nich wydawała się pogrążona w obłędzie: szlochali, jeczeli, wybuchali dzikim śmiechem, miotali piorunujące spojrzenia, tarzali się po ziemi. Zgodnie z przewidywaniami Szirina niektórzy doznali tak silnych urazów psychicznych w czasie katastrofy, że najprawdopodobniej już nigdy nie będą normalni. Siferra zrozumiała, że ludzkość pogrąża się w barbarzyństwie albo nawet jeszcze czymś gorszym. Szaleni niechybnie wzniesą pożary dla zabawy. Zabijają też tylko z tego powodu.

Dlatego poruszała się bardzo ostrożnie. Nie dając do żadnego konkretnego miejsca, szła przez las na południe, odpoczywając tam, gdzie znalazła świeżą wodę. Nigdy nie wypuszczała z ręki palki, którą znalazła w wieczorze zaciemnienia. Jadła wszystko, co znalazła, o ile wyglądało na jadalne - nasiona, orzechy, owoce, a nawet liście i kory. 19 - Nastanie nocy 2.07 Nie była to jednak najlepsza dieta. Wiedziała, że jest dostatecznie odporna fizycznie, aby przetrwać z tydzień na takich improwizowanych racjach, ale potem zaczęła odczuwać tego skutki. Już teraz straciła parę zbędnych kilogramów, a siły zaczynały ją powoli opuszczać. Także zapas jagód i owoców wciąż się kurczył, i to bardzo gwałtownie, w miarę jak zbierały je tysiące nowych, wygłodniałych mieszkańców lasu.

Potem, chyba czwartego dnia - jak jej się zdawało - przypomniała sobie o Sanktuarium.

Uświadomiła sobie, że wcale nie musiała tyle czasu żyć jak jaskiniowiec.

Oczywiście! Jak mogła być tak głupia? Dosłownie parę kilometrów stąd kilkuset pracowników uniwersytetu przebywało w bezpiecznym ukryciu, w zaciszu komory starego akceleratora, pijąc butelkowaną wodę i zjadając się żywnością z puszek, które gromadzili przez ostatnie parę miesięcy. A ona ukrywała się w tym lesie pełnym szalenców, grzebiąc się w kurzu i błocie w poszukiwaniu marnej strawy, patrząc wygłodniałym wzrokiem na małe lesne zwierzątka skaczące wysoko po gałęziach drzew! Co za absurd!

Pojdź do Sanktuarium. Na pewno znajdziesz sposób na przekonanie ich, aby przyjechali do ciebie. "Ale mnie te gwiazdy otumanily! - pomyślała. - Tak długo nie mogłam sobie przypomnieć o istnieniu Sanktuarium!" Spostrzegła teraz, że ostatnie kilka dni strawiła na podróży dokładnie w odwrotną stronę. "Wielka szkoda - przemknęło jej przez myśl - że ten pomysł nie przyszedł mi wcześniej do głowy".

Na wprost niej rozciągał się łańcuch stromych Wzgórz Onosa ograniczających las od południa. Spojrzawszy w górę zobaczyła poczerńiałe ruiny położonych na samym szczycie

wzgorz luksusowych budynkow, rysujacych sie przed nia niczym ciemna, wysoka sciana. Jesli dobrze pamietala, Sanktuarium lezalo w zupelnie przeciwnym kierunku, w polowie drogi pomiedzy terenem uniwersyteckim a Saro, przy szosie biegnacej wzdluz polnocnej granicy lasu.

Powrot do przeciwleglego kranca lasu zajal jej poltora

290

dnia. Podczas wedrowki dwukrotnie musiala uzyc palki, by sie obronic. Miala tez trzy niegrozne, ale mimo to nerwowe spotkania z mlodymi mezczyznami, ktorzy taksowali ja wzrokiem oceniajac, czy daloby sie ja poderwac. A raz niespodziewanie natknela sie na zagajnik, gdzie pieciu wychudzonych mezczyzn o dzikich oczach chodzilo rytmicznie w ciasnym kregu, zamierzajac sie na siebie nozami, zupelnie niczym tancerze odprawiajacy jakis dziwny, starodawny rytual. Uciekla stamtad ile sil w nogach. W koncu ujrzala przed soba, tuz na skraju lasu, szeroka szose - Droge Uniwersytecka. Jesli pojdzie na polnoc ta szosa, znajdzie nie rzucajaca sie w oczy wiejska drozke prowadzaca do Sanktuarium.

Tak, odnalazla ja. Ukryta, niepozorna, porosnieta po obu stronach kepami chwastow i gesta trawa, ktorej klosy wlasnie dojrzewaly.

Bylo pozne popoludnie. Onos juz zachodzil, a zimne i bezlitosne swiatlo Tano i Sithy rzucalo ostre cienie na ziemie, ktora wydawala sie lodowata mimo ciepla panujacego w powietrzu. Male czerwone oko Dovima poruszalo sie po polnocnych krancach niebosklonu wciaz bardzo dalekie i niedostepne.

Siferra zastanawiala sie, co stalo sie z niewidocznym Kalgaszem Dwa. Najwyrazniej wykonal swe straszliwe zadanie i ruszyl w dalsza droge. Mogl sie juz znajdowac o miliony kilometrow stad, oddalajac sie od Kalgasza po swojej dlugiej orbicie, mknac wciaz naprzod poprzez czarna pustke, by powrocic dopiero za nastepne dwa tysiace czterdziesti dziewiec lat. "I tak zdarzy sie to przynajmniej o dwa miliony lat za wczesnie" - pomyslala gorzko Siferra.

Zobaczyla tabliczke z napisem:

WLASNOSC PRYWATNA WSTEP WZBRONIONY ZARZADZENIE RADY UCZELNIANEJ
UNIwersytetu SARYJSKIEGO A za nia nastepna, jaskrawoczerwona:

291

!!! UWAGA !!! URZADZENIA BADAWCZE POD WYSOKIM NAPIECIEM WEJSCIE
WZBRONIONE W porzadku. Idzie wiec dobra droga. Siferra nigdy nie byla w Sanktuarium, nawet w czasach, gdy miescilo sie tam jeszcze laboratorium fizyki, ale wiedziala, czego sie spodziewac: szereg bram, a potem stanowisko skanera, ktore podda kontroli kazdego, kto zdolal dostac sie az tak daleko. Po paru minutach dotarla do pierwszej dwuskrzydlowej

bramy, dwa razy wyzszej od niej. Byla to solidna konstrukcja z ciasno plecionej siatki metalowej. Groznie wygladajacy parkan z drutu kolczastego rozchodzil sie w obu kierunkach i niknal w gaszczu krzewow, ktore bujnie sie tu rozrosly.

Brama byla otwarta na osciez.

Siferra przygladala sie jej zdziwiona. Czy to zludzenie? Jakis figiel jej odurzonego umyslu? Nie, nie. Brama rzeczywiscie stala otworem. Nie ulegalo watpliwosci, ze to wlasciwe wejście. Zauwazyla na siatce symbol Strazy Uniwersyteckiej. Ale dlaczego brama byla otwarta? Nic nie wskazywalo na to, aby ja wywazono.

Zaniepokojona przeszla na druga strone.

Dalsza droga byla zarosnieta sciezka, pokryta glebokimi bruzdami i wyrwami. Siferra podazyla jej brzegiem i juz po chwili zobaczyla wewnetrzne ogrodzenie, ktore w tym miejscu nie bylo jedynie parkanem z drutu kolczastego, ale solidna betonowa sciana bez zadnych otworow, robiaca wrazenie zapory nie do sforsowania.

Jedyny w niej wylom stanowila brama z ciemnego metalu, z osadzonym wyzej skanerem.

I ta brama byla otwarta.

Coraz dziwniejsze! Co sie stalo z calym zabezpieczeniem, ktore -jak sie chelpiono - mialo odgrodzic Sanktuarium od powszechnego szalenstwa?

Weszla do srodka. Wszedzie panowal calkowity spokoj. Przed nia widnialy jakies podniszczone szopy i budynki gospodarcze. Byc moze wejście do samego Sanktuarium -

292

Siferra wiedziala, ze byl to wylot podziemnego tunelu - lezalo za nimi. Obeszla zabudowania dookola. Tak, bylo tam wejście do Sanktuarium, owalne drzwi wpuszczone w ziemie, z ciemnym korytarzem w glebi.

Bylo tam takze kilkunastu ludzi. Stali przed drzwiami i lustrowali ja chlodnym, nieprzyjaznym wzrokiem. Wszyscy mieli kawalki jaskrawozielonego materialu zawiazane pod szyja, cos w rodzaju chust. Nie rozpoznala zadnego z tych ludzi. O ile mogla to ocenic, zaden nie byl pracownikiem uniwersytetu.

Tuz na lewo od drzwi plonelo male ognisko. Obok lezal stos porabanych, starannie ulozonych drew, wszystkie kawalki uporządkowane byly pod wzgledem wielkosci z zadziwiajaca precyzja i troska. Bardziej przypominalo to makiete drobiazgowego architekta niz stos drewna.

Ogarnal ja paniczny strach. Nic nie rozumiala. Dokad przyszla? Czy to naprawde

Sanktuarium? Kim byli ci ludzie?

-Nie ruszaj się z miejsca - powiedział mężczyzna stojący na czele grupy. Mówił cicho, ale było coś bezczelnie władczego w jego tonie. - Podnieś ręce do góry.

Trzymał w dłoni mały, lśniący punktowiec. Celował dokładnie w jej serce.

Siferra bez słowa spełniła rozkaz. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat, silna, imponująca sylwetka i zapewne był tu przywódca. Jego ubranie wyglądało na kosztowne, a ze sposobu bycia przebijał spokój i pewność siebie. Zielona chusta na jego szyi miała połysk naturalnego jedwabiu.

-Kim jesteś? - zapytał, trzymając broń wycelowaną prosto w nią.

-Siferra 89, doktor archeologii z Uniwersytetu Saryjskiego.

-No, pięknie. Czy pani doktor zamierza prowadzić tu jakieś badania archeologiczne?

Inni zarechotali, jakby powiedział coś niezwykle zabawnego.

-Usiłuje znaleźć Sanktuarium - odpowiedziała Siferra. - Czy może mi pan powiedzieć, gdzie ono się znajduje?

-Myślę, że to może być właśnie tutaj. Wszyscy ludzie

293

z uniwersytetu uciekli kilka dni temu. Teraz jest to siedziba Straży Ogniowej Prowincji Saro... Niech mi pani powie, czy ma pani ze sobą jakieś środki łatwopalne? - Środki łatwopalne? - Zapalki, zapalniczkę, mały generator, cokolwiek, czego można by użyć do rozpalenia ognia.

-Nic z tych rzeczy. - Siferra potrząsnęła głową.

-Rozniecanie ognia jest zabronione przez paragraf pierwszy Kodeksu Wyjątkowego. Jeśli ktoś naruszy ten paragraf, poniesie surową karę.

Siferra patrzyła na niego nic nie rozumiejąc. O czym on mówił?

-Altinolu, nie ufam jej - odezwał się chudy mężczyzna o ziemistej cerze stojący obok przywódcy. - To właśnie ci uczeni z uniwersytetu wszystko zaczęli. Stawiam dwa do jednego, że ona chowa coś pod ubraniem tak, że tego nie widac.

-Nie mam przy sobie nic do rozpalania ognia - zniecierpliwiła się Siferra.

-Może tak, a może nie. - Altinol pokiwał głową. - Nie będziemy ryzykować, pani doktor. Niech się pani rozbiera.

Siferra spojrzała na niego zdumiona.

-Co pan powiedział?

-Niech się pani rozbierze. Zdejmie swoje ubranie. Dowiedzie, że nie ukrywa przy sobie żadnych nielegalnych narzędzi.

Siferra uniosła palke, gładząc niepewnie ręką jej trzonek.

-Chwileczkę - powiedziała otwierając szeroko oczy ze zdumienia. - Nie możecie tego mówić serio.

-Paragraf drugi Kodeksu Wyjątkowego: straż ogniowa ma prawo podejmować wszelkie środki, które okazały się konieczne, aby zapobiec nielegalnemu wzniesieniu ognia. Paragraf trzeci: może to obejmować natychmiastowa i doraźna egzekucje tych, którzy sprzeciwiają się poleceniom straży ogniowej. Proszę się rozbić, pani doktor. I to szybko.

Skinal punktowcem. Ten gest był bardzo wymowny. Siferra wciąż jednak stała bez ruchu. Nie mogła otrząsnąć się ze zdziwienia.

294

-Kim jesteście? Co ma znaczyć ta straż ogniowa?-Jesteśmy członkami straży obywatelskiej, pani doktor. Usilujemy przywrócić w Saro prawo i porządek po katastrofie. Chyba zdaje pani sprawę z tego, że miasto jest zniszczone. A może pani o tym nie wie? Pożary wciąż się rozprzestrzeniają, a dawna straż pożarna już nie funkcjonuje. I może pani nie zauważyła, że cała prowincja jest pełna szalonych ludzi, którym wydaje się, że nie mieliśmy jeszcze dostatecznie dużo pożarów, więc wciąż rozpalają nowe. Tak dłużej być nie może. Zamierzamy powstrzymać podpalaczy wszelkimi możliwymi sposobami. Jest pani podejrzana o posiadanie środków łatwopalnych. Postawiono zarzut i ma pani szesćdziesiąt sekund, aby się z niego oczyścić. Gdybym był na pani miejscu, zacząłbym zdejmować ubranie, pani doktor.

Siferra widziała, jak po cichu odlicza sekundy.

Rozebrać się? Przed obcymi?! Narastała w niej dzika furia na myśl o takim ponizeniu. Większość z tych ludzi stanowili mężczyźni. Nawet nie usiłowali ukryć swej niecierpliwości. Nie miało to nic wspólnego z podejmowaniem środków ostrożności pomimo groźnie brzmiących cytatów z Kodeksu Wyjątkowego. Oni chcieli po prostu obejrzeć jej ciało i dysponowali siłą, aby ją do tego zmusić. To było nie do zniesienia!

Ale już po chwili poczuła, jak jej oburzenie gdzieś się ulatnia.

"Jakie to ma znaczenie? - pomyślała ze znużeniem. - Świat się skończył. Skromność to luksus, na który pozwalali sobie jedynie ludzie cywilizowani, a cywilizacja jest pojęciem przestarzałym".

W każdym razie rozkaz był jednoznaczny, pod groźbą broni. Zawędrowała w miejsce odosobnione, położone daleko przy wiejskiej drodze. Nikt nie przyjdzie jej tu z pomocą. Sekundy płynęły, a Altinol najwyraźniej nie żartował.

Nie warto było umierać jedynie po to, aby ukryć przed nimi swe ciało.

Cisnęła palke na ziemię.

W bezsilnym gniewie, ale nie pozwalając sobie na żadne

jawne okazanie wściekłości, zaczęła stopniowo zdejmować części swojej garderoby i rzucać je obok na ziemię. -Bielizne również? - spytała złośliwie.

-Wszystko.

-Czy wygląda na to, abym tam miała schowaną zapalniczkę?

-Zostało już tylko dwadzieścia sekund, pani doktor. Siferra rzuciła mu pełne nienawiści spojrzenie i już bez słowa rozebrała się do naga.

Teraz, gdy to zrobiła, zadziwiająco łatwo było stać nago przed tymi obcymi. W ogóle jej to nie obchodziło. Uświadomiła sobie, że to była zasadnicza zmiana, która zaszła w niej wraz z końcem świata. Nic jej nie obchodziło. Wyprostowała się, i stała tak, wysoka, niemal wyzywająco odsłonięta, czekając, co też oni dalej robią. Altinol patrzył uważnie na jej ciało z chłodną pewnością siebie. Zorientowała się, że nawet to jej nie obchodzi. Wszystko się w niej do cna wypaliło, pozostała jedynie obojętność.

-W porządku, pani doktor - rzekł w końcu Altinol.

-Dziękuję - odparła Siferra lodowatym tonem. - Czy teraz mogę się już ubrać?

-Oczywiście - zgodził się wspaniałomyślnie. - Przepraszam za kłopot. Musielismy być zupełnie pewni. - Wsunął punktowiec za pasek i stał z założonymi rękoma, obserwując bez większego zainteresowania, jak się ubiera. Potem zagadnął: - Zapewne myśli pani, że wpadła w ręce dzikusów, prawda, pani doktor?

-Czy naprawdę interesuje pana, co myślę?

-Mogła się pani przekonać, że nie pozeralismy jej wzrokiem, nie sliniliśmy się ani też nie zmoczyliśmy ubrań, gdy pani... hm... demonstrowała, że nie ukrywa żadnych środków mogących wzniecić ogień. Nikt też nie usiłował napastować pani w jakikolwiek sposób.

-To rzeczywiście niezmiernie miło z waszej strony.

-Podkreślam to - ciągnął Altinol - mimo iż zdaje sobie sprawę, że teraz jest pani zła i myśli o nas niepocholebnie. Chce jednak, by pani wiedziała, że stanowimy być może ostatni bastion cywilizacji na tym zapomnianym przez bogów świecie. Nie wiem, gdzie się podzieli nasi

ukochani przywódcy państwowi i oczywiście nie uważam, aby umiłowani bracia. Apostołowie Plomieni, byli w jakimkolwiek stopniu cywilizowani, a pani koledzy uniwersyteccy, którzy się tu ukrywali, odeszli. Wszyscy pozostali zdają się pozbawieni

rozumu. Oczywiście nie licząc nas i pani, pani doktor.-Bardzo mi pan pochlebia, uważając mnie za wyjątek.

-Nigdy nikomu nie schlebiam. Sądząc po pani wyglądzie wnioskuję, że zniosła pani Ciemność, gwiazdy i katastrofę lepiej niż większość. Chciałbym wiedzieć, czy jest pani zainteresowana pozostaniem tutaj jako członek naszej grupy. Potrzebujemy takich ludzi jak pani.

-Co pan ma na myśli? Mam czyścić podłogi? Gotować dla was zupę?

Altinol jakby nie zauważył jej sarkazmu.

-Chodzi mi o pomoc w walce o przetrwanie cywilizacji, pani doktor. Nie chciałbym, aby to zabrzmiało gornolotnie, ale uważamy, że mamy do wypełnienia świętą misję. Dzień po dniu przeczesujemy ten dom wariatów, który jest za parkanem, rozbijając pomyłkowanie, odbierając im sprzęt do wzniesienia pożarów, zachowując wyłącznie dla siebie prawo do rozpalania ognia. Nie możemy ugasić pożarów, które już płoną, przynajmniej jeszcze nie teraz, ale robimy wszystko co w naszej mocy, aby zapobiec wzniesieniu nowych. Na tym właśnie polega nasza misja, pani doktor. Przejmujemy kontrolę nad używaniem ognia. To jest pierwszy krok, aby uczynić świat ponownie nadającym się do życia. Wydaje się pani dostatecznie zdrowa, aby do nas dołączyć, i dlatego panią zapraszam. Co pani na to? Czy chce pani być członkiem straży ogniowej? Czy może raczej z powrotem spróbuje pani szczęścia w lesie?

35

Ranek był mglisty i chłodny. Kleby mgły spowijały zrujnowane ulice zasłona tak nieprzenikniona, że Szirin nie potrafił powiedzieć, które słońca świeciły na niebie. Na pewno Onos, ale jego złociste promienie były rozproszone i skryte za gęstym tumanem. Skrawek nieco jaśniejszego nieba na południowym zachodzie wskazywał na obecność jednej z dwóch par bliźniaczych słońc, ale czy były to Sitha i Tano, czy też Patru i Trey, nie potrafił rozpoznać. Był bardzo zmęczony. Już dostatecznie jasno zrozumiał, że zamiar przebycia samotnie, na piechotę, setek kilometrów dzielących Saro od Parku Narodowego Amgando, był czystym absurdem.

Przeklęty Teremon! Razem mieliby chociaż szansę. Dziennikarz był jednak niewzruszony w swym postanowieniu, że jakos odnajdzie Siferre w tym lesie. A czy to nie był czysty absurd?!

Szirin spojrzał przed siebie, próbując przebić wzrokiem mgłę. Potrzebował miejsca na odpoczynek. Potrzebował czegoś nadającego się do zjedzenia, może także ubrania na zmianę, a już na pewno musiał się umyć. Nigdy w życiu nie był tak brudny. Ani tak głodny. Tak zmęczony. I tak zniechęcony.

Od pierwszej chwili, gdy usłyszał od Bineya i Athora, iż nadejście Ciemności jest

prawdopodobne, Szirin popadał z jednej skrajności w drugą, od nadziei do rozpacz i znowu do nadziei. To patrzył w przyszłość z wiara, to ze zgroza. Rozum i doświadczenie podpowiadały mu jedno, a wrodzony optymizm, będący główną cechą jego przebieżności, zupełnie coś innego.

"Być może Biney i Athor są w błędzie i astronomiczny kataklizm w ogóle się nie zdarzy".

"Nie, kataklizm zdarzy się z całą pewnością".

"Ciemność, wbrew moim własnym wstrząsającym przeżyciom w Tunelu Tajemnic dwa lata temu, okaże się nie aż tak trudna do zniesienia, gdyby nawet rzeczywiście nadeszła".

"Błąd. Ciemność spowoduje powszechne szalenstwo".

298

"Szalenstwo będzie tylko chwilowe, krótki okres dezorientacji". "Większość ludzi oszaleje całkowicie i trwale".

"Świat zostanie sparalizowany na kilka godzin, a potem wszystko wróci do normy".

"Świat ulegnie zagładzie w chaosie, który nastąpi po zaciemnieniu".

I tak w kółko. I jeszcze raz. W górę i w dół. I znowu. Dwoch Szirinów pograżonych w niekończącej się debacie.

Obecnie był w najgorszej fazie tego cyklu i wyglądało na to, że w niej pozostanie, biedny i nieszczęśliwy. Jego energia i optymizm gdzieś się ulotniły, skonfrontowane z tym, co zobaczył w czasie swej kilkudniowej wędrowki. Mina dekady, może nawet sto lat lub więcej, zanim wszystko wróci do normalności. Uraz psychiczny, jakiego doznała ludzkość, był zbyt głęboki, a okaleczenia i zniszczenia żywej tkanki społeczeństwa zbyt rozległe. Świat, który kochał, został zwyciężony przez Ciemność i zdruzgotany bezpowrotnie. To była jego opinia, opinia eksperta, i nie widział powodu, aby w nią wątpić.

Uplwał właśnie trzeci dzień od czasu, gdy zostawił w lesie Teremona i pomaszerował, zawiadując jak zwykle, do Amgando. Teraz trudno było odzyskać te beztrąskie. Udało mu się całkiem wydostać z lasu, choć przeżył chwile strachu; musiał wymachiwać toporkiem i wyglądać przy tym groźnie i wojowniczo - totalny błąd z jego strony, ale skutkowało - a mniej więcej od wczoraj posuwał się mozolnie przez ładne niegdys przedmieścia.

Wszystko wokół strawił ogień. Całe osiedla były zniszczone i opuszczone. Wiele budynków wciąż się tliło.

Główna autostrada biegnąca do południowych prowincji zaczynała się kilka kilometrów za miejskim parkiem - parę minut jazdy samochodem. Ale Szirin szedł na piechotę. Potwornie

meczace podejście z lasu na wyniosłe Wzgorza Onosa przebył praktycznie na czworakach, przedzierając się przez zarosła. Pokonanie tej ledwie kilkusetmetrowej różnicy poziomów zajęło mu całe poł dnia.

Znalazszy się na szczycie zobaczył, że był to raczej

299

plaskowyz niż wzgorza, rozciągający się przed nim aż po horyzont. Chociaż szedł i szedł bez końca, nie mógł dojść do autostrady. Czy obrał właściwy kierunek?

Niewatpliwie tak. Od czasu do czasu mijal na rogu ulic znak drogowy informujący go, że zdąży w stronę Wielkiej Autostrady Południowej. W takim razie jak daleko się znajdowała? Tego znaki nie mówiły. Co dziesięć, dwanaście przecznicy napotykał kolejny znak, to było wszystko. Kontynuował więc wędrowkę. Nie miał wyboru.

Dotarcie do autostrady stanowić będzie dopiero pierwszy krok na drodze do Amgando. Kiedy zdola to uczynić, w zasadzie nadal jeszcze będzie w Saro. Co wtedy? Iść dalej? A co innego miał robić? Trudno będzie złapać okazję. Było mało prawdopodobne, by gdzieś jeszcze jeździły samochody. Stacje benzynowe z pewnością opróżniono już wiele dni temu, o ile nie spalono ich wcześniej. Ile czasu może mu zająć dostanie się pieszo do Amgando? Tygodnie? Miesiące? Nie... to potrwa dużo krocej. Umrze z głodu na długo przedtem, nim znajdzie się choćby w pobliżu rezerwatu.

Nawet jeśli tak miał skończyć, musiał iść naprzód. Bez poczucia celu był skończony od razu i wiedział o tym.

Od zaciemnienia minął chyba tydzień, może więcej. Szirin zaczął tracić poczucie czasu. Już nie jadł ani nie spał regularnie, a był zawsze człowiekiem niezwykle systematycznym. Słońca pojawiały się i znikaly, światło stawało się jasniejsze lub ciemniejsze, było cieplej lub zimniej - czas upływał, ale nie następowały po sobie śniadania, obiady, kolacje i sen. Szirin pozbawiony tych punktów orientacyjnych zagubił się w czasie. Czuł jedynie, że gwałtownie traci siły.

Nie jadł normalnego posiłku od dnia zaciemnienia. Od chwili nastania Ciemności żywił się czymś, co uważał za resztki i odpadki - trochę owoców zerwanych z jakiegoś drzewa, niedojrzałe nasiona, o ile nie wyglądały na trujące, zdzbla traw, cokolwiek. Nie pochorował się, o dziwo, ale też nie wracały mu siły. Wartość odżywcza tego pokarmu musiała być bliska zeru. Ubranie - lachmany całe w strzępy - wisiało na nim niczym śmiertelna koszula. Nie osmielał się pod nie zajrzeć. Wyobrażał sobie skórę zwiśającą w luznych faldach na wystających kościach. Gardło miał przez cały czas wyschnięte, język wydawał się spuchnięty, przeraźliwie pulsowało mu w skroniach. Nieustannie czuł dziwne, mdlące ssanie w żołądku.

"Coż, musiał istnieć jakiś powód, dla którego przez tyle lat z takim zapalem poświęcałem

się budowaniu grubej warstwy tłuszczu - powtarzał sobie w przyływach optymizmu. - Teraz wiem już, co to był za powód".

Jednak chwile optymizmu stawały się z każdym dniem coraz rzadsze. Głód zbierał swe żniwo. Szirin rozumiał, że dłużej tak nie pociągnie. Był potężnej postury; przywykł do regularnych posiłków, i to dość obfitych. Mogł przez pewien czas żyć kosztem zgromadzonych zapasów, ale w końcu stanie się zbyt słaby, aby iść. Już wkrótce może uznać, że łatwiej przycupnąć za jakimś krzakiem i odpocząć wreszcie, odpoczywać bez końca...

Musiał znaleźć coś do jedzenia. I to szybko.

Okolica, w której się znalazł, chociaż wyludniona jak inne, robiła wrażenie nieco mniej zdewastowanej. Tu także widział ślady pożarów, ale płomienie nie uczyniły większych szkód, tylko liżnęły niektóre budynki. Szirin wytrwale szedł od jednego domu do drugiego, próbując wejść do tych, które nie wydawały się zniszczone.

Zamknięte. Wszystkie, co do jednego.

"Jakże pedantycznie działali ci ludzie! - myślał. - Jakże starannie. Świat na ich oczach walił się w gruzy, a oni opuszczając swe mieszkania w panicznym strachu, uciekając do lasu, miasta, uniwersytetu czy Bog wie gdzie, zadają sobie trud, aby - zanim odejda - dokładnie zamknąć drzwi na klucz! Jak gdyby zamierzali zwyczajnie wyjechać na wycieczkę na czas trwania chaosu, a potem wrócić do domu, do swych książek, mebli, szaf pełnych eleganckich ubrań, ogrodów, tarasów. Czy nie zdawali sobie sprawy, że wszystko się skończyło, że chaos będzie trwał wiecznie?" Następne drzwi też okazały się zamknięte.

"Być może wcale nie uciekli - pomyślał Szirin posepnie. -

301

Sa tam, ukryci za tymi zamkniętymi drzwiami, skuleni w piwnicy, tak jak ja wcześniej, czekają, aż wszystko na powrót się unormuje. Lub też spoglądają na mnie z góry okien, mając nadzieję, że sobie pojde". Spróbował otworzyć kolejne drzwi. Jeszcze jedno. I następne. Wszystkie zamknięte. Żadnego odzewu.

-Hej! Czy jest ktoś w tym domu? Wpuszczcie mnie!

Cisza.

Przyglądał się niewesoło masywnym drewnianym drzwiom. Wyobrażał sobie skarby ukryte za nimi: nie zepsuta żywność czekająca na zjedzenie, wannę, miękkie łóżko. Lecz znajdował się na zewnątrz i nie widział sposobu, jak się dostać do środka. Czuł się trochę jak chłopczyk z bajki, któremu dano magiczny klucz do rajskiego ogrodu, gdzie tryskały fontanny miodu, a na każdym krzaku rosły cukierki, ale który był za mały, aby dosięgnąć

dziurki od klucza. Szirinowi chcialo sie plakac.

Wtedy zdal sobie sprawe, ze mial toporek. Wybuchnal smiechem. Glod pewnie sprawil, ze przestal myslec logicznie! W tamtej bajce chlopczyk cierpliwie ofiarowyl swoje rekawiczki, buty i welniana czapke roznym przechodzacych zwierzetom w zamian za ich pomoc, w koncu jedno weszlo na grzbiet drugiego, a chlopczyk wdrapal sie na szczyt zywej piramidy i wlozyl klucz do dziurki. A oto nie taki znowu maly Szirin stal przed zamknietymi drzwiami, w reku zas mial siekiere.

Rozbic drzwi? Tak po prostu rozbic?

To bylo sprzeczne ze wszystkim, co uwazal za sluszne i wlasciwe.

Zerknal na toporek, jakby to narzedzie w jego dloniach zamienilo sie w weza. Rozbic drzwi - toz to bylo wlamanie! Jak on, Szirin 501, profesor psychologii Uniwersytetu Saryjskiego, mogl tak po prostu rozwalic drzwi domu nalezacego do jakiegos prawomyslnego obywatela i zwyczajnie rozgoscic sie tam jak u siebie?

"Bardzo latwo - powiedzial sobie, smiejac sie jeszcze glosniej z wlasnej glupoty. - To sie wlasnie tak robi!" Zamachnal sie toporkiem.

Lecz nie bylo to takie proste. Oslabione brakiem przy 302 wienia miesnie odmawialy mu posluszenstwa. Potrafil uniesc toporek, to nie bylo trudne, i zamachnac sie, ale uderzenia okazywaly sie karykaturalnie slabe, a kiedy ostrze dosiegalo solidnych, drewnianych drzwi, klujacy bol przeszywal ramiona i plecy. Czy udalo mu sie rozlupac drzwi? Nie. Uszkodzic je troche? Moze nieco zarysowac. Znow sie zamachnal. I jeszcze raz. Mocniej. Dalej, Szirinie! Dobrze ci teraz idzie. Wal! Wal!

Po kilku razach juz niemal nie czul bolu. Zamknal oczy, wciagnal gleboko powietrze w pluca i uderzyl. Uderzyl ponownie. Drzwi zaczely trzeszczec. Pojawilo sie dostrzegalne pekniecie. Jeszcze raz... jeszcze... piec, moze szesc mocnych ciosow i pekna na pol...

Jedzenie. Kapiel. Lozko.

Uderzenie. I kolejne. I...

I drzwi otwarly sie przed nim. Byl tak zaskoczony, ze omal sie nie przewrocil. Zatoczył sie i pochylił do przodu, złapał równowagę blokując trzonek toporka w poprzek framugi; spojrzal w gore.

Napotkal spojrzenia kilku groznych twarzy o szklanych oczach.

-Pan pukal? - spytal jeden z mezczyzn i wszyscy zawyli z dzikiej radosci.

Potem rzucili sie na niego, chwycili za ramiona i wciagneli do srodka.

-Nie bedziesz tego potrzebował - powiedział ktos i bez wysilku odebrał Szirinowi toporek. - Tym można się skaleczyć, wiesz?

Znowu śmiech. Oblakancze wycie. Popchneli go na środek pokoju i otoczyli szczelnym kółem.

Było ich siedmioro, osmioro, może dziewięcioro. Mężczyźni i kobiety oraz jeden chłopiec. Szirin na pierwszy rzut oka rozpoznał, iż nie byli prawowitymi mieszkańcami tego domu, który musiał być czysty i zadbane, zanim oni się tu wprowadzili. Teraz ściany były poplamione, połowa mebli powywracana, a na dywanie coś się rozlało - wino...?

Wiedział, co to za ludzie. Dzicy lokatorzy, obszarpani, nie ogoleni i nie umyjni prostytutki. Pewnie objęli ten dom w posiadanie po ucieczce właścicieli. Jeden z mężczyzn

303

miał na sobie tylko koszulę, a jedna z kobiet, jeszcze prawie dziecko, była odziana jedynie w parę szortów. Wszyscy wydzielali cierpki, odrażający won. Ich oczy miały to rozbiegane, pełne napięcia i dzikości spojrzenie, które oglądał tysiące razy w ciągu ostatnich dni. Nie trzeba było praktyki klinicznej, aby zrozumieć, że to oczy oblakanych. Przez cuchnący zapach ludzkich ciał przebijał jeszcze inny zapach, znacznie przyjemniejszy, który także Szirina niemal doprowadził do obłędu - aromat gotującego się jedzenia. Przygotowywali posiłek w sąsiednim pomieszczeniu. Zupa? Gulasz? Coś się tam gotowało. Szirin zachwiał się, przyprawiony o zawrót głowy przez głód i nagłą nadzieję jego ostatecznego zaspokojenia.

-Nie wiedziałem, że dom jest zamieszkały - wyjaśnił łagodnie. - Proszę, pozwólcie mi tu zostać na noc, a rano ruszę w dalszą drogę.

-Jesteś ze straży? - spytał podejrzliwie potężny, mocno zarosnięty mężczyzna. Wyglądał na przywódcę.

-Straż? - powtórzył Szirin niepewnie. - Nie, nic nie wiem na ten temat. Nazywam się Szirin 501 i jestem pracownikiem...

-Straż! Straż! Straż! - zaczęli nagle skandować, okracając go wokół. - ...Uniwersytetu Saryjskiego - dokończył. Efekt był taki, jakby wypowiedział magiczne zaklęcie. Staneli jak wryci, gdy jego spokojny głos przeciał ich piskliwe wrzaski. Ucichli mierzac go strasznym wzrokiem.

-Mówisz, że jesteś z uniwersytetu? - spytał przywódca dziwnym głosem.

-Zgadza się. Wydział Psychologii. Jestem wykładowcą, a ponadto zajmuje się trochę pracą w szpitalu... Słuchajcie, nie chcę sprawiać wam żadnego kłopotu. Potrzebuje tylko trochę miejsca, by odpocząć kilka godzin, i nieco jedzenia, jeśli wam coś zostanie. Naprawdę niewiele. Nie jadłem od czasu...

-Uniwersytet! - krzyknęła jedna z kobiet. Zabrzmiało to jak plugawe bluznierstwo. Szirin słyszał ten ton już wcześniej, w ustach Folimuna 66, w dzień zaciemnienia, kiedy

304

Apostoł zwracał się do uczonych. Przeraził się słysząc to znowu.-Uniwersytet! Uniwersytet! Uniwersytet!

Na nowo zaczęli krzyczeć wokół i skandować, czynili dziwaczne gesty zakrzywionymi na kształt szponów palcami. Nie potrafił zrozumieć ich słów. To była chrapliwa, koszmarna pieśń, bezsensowna zbitka sylab.

Czy ci ludzie należeli do jakiegoś kregu Apostołów Plomieni i zebrali się tutaj, aby odprawić tajemny rytuał? Nie, wątpił w to. Wyglądali inaczej - nazbyt biedni i obdarci, zbyt obłakani. Apostołowie - ci nieliczni, których oglądał - zawsze byli zadbani, powściągliwi i tak opanowani, że niemal budziło to lek. Ponadto Apostołowie nie pojawili się od czasu zaciemnienia. Szirin przypuszczał, że wszyscy zamknęli się w jakiejś świątyni, aby na osobności kontemplować fakt potwierdzenia się ich wierzeń.

Podejrzewał, że ci ludzie są po prostu nie zrzeszonymi, wędrownymi wariatami.

Szirinowi wydało się, iż dostrzegł chęć mordy w ich oczach.

-Słuchajcie - odezwał się - jeżeli zakłóciłem jakąś waszą ceremonię, to przepraszam i jestem gotów natychmiast wyjść. Próbowałem dostać się tutaj tylko dlatego, iż sadziłem, że dom jest pusty, a ja byłem głodny. Nie chciałem...

-Uniwersytet! Uniwersytet!

Nigdy nie widział tak pełnych nienawiści spojrzeń jak te, które posyłali mu ci ludzie. Lecz w ich oczach czaił się także strach. Trzymali się z dala od niego, napięci, drżący jakby z obawy przed jakąś okropną siłą, którą mógł niespodzianie na nich nasłać.

Szirin błagalnie wyciągnął do nich ręce. Gdyby choć na chwilę przestali tańczyć i wyc! Zapach jedzenia przygotowywanego w sąsiednim pokoju doprowadzał go do szalenstwa. Złapał za rękę jedną z kobiet, chcąc ją zatrzymać i poprosić o resztki, miske zupy, cokolwiek. Odskoczyła z sykiem, jak gdyby sparzył ją swym dotknięciem i zapamiętała rozcierając miejsce, gdzie przez moment zacisnęły się jego palce.

-Proszę - powiedział. - Nie chcę wam zrobić krzywdy. Jestem zupełnie nieszkodliwy, wierzcie mi. 20 - Nastanie nocy 305 - Nieszkodliwy! - Przywódca z wrzaskiem wypluł z siebie to słowo. - Ty?! Ty, z uniwersytetu? Jesteś gorszy od straży. Straż przysparza ludziom niewielu kłopotów. Lecz ty... ty zniszczyłeś świat!

-Co zrobiłem?

-Uwazaj, Tazibarze - ostrzegla jakas kobieta. - Wyrzuc go, zanim rzuci na nas urok.

-Urok? - zdziwil sie Szirin. - Ja?

Wytykali go palcami, dzgajac zajadle powietrze w zatrwarzajacy sposob. Niektorzy zaczeli spiewac polglosem - niskie, dzikie zawrozenie w rytmie rozpedzajacego sie silnika, ktory wkrótce wyrwie sie spod kontroli.

-To uniwersytet sciagnal na nas Ciemnosc! - krzyknela dziewczyna w szortach.

-I gwiazdy - dodal mezczyzna w samej koszuli. - Oni zeslali gwiazdy.

-A ten moze je sprowadzic z powrotem! Wyrzuccie go stad! Wyrzuccie!

Szirin patrzyl na nich z niedowierzaniem. Pomyslal, ze powinien byl to przewidziec. Bardzo prawdopodobny rozwoj wypadkow: patologiczna podejrziwosc wzgledem kazdego naukowca, kazdego wykształconego czlowieka, nedorzeczna fobia, ktora musiala sie szerzyc jak wirus wsrod prostych ludzi, ktorzy przezyli te straszna noc.

-Myslicie, ze moze przywolac gwiazdy przytknieciem palcow? Czy tego sie boicie?

-Jestes z uniwersytetu - odrzekl mezczyzna nazwany Tazibarem. - Znaliscie rozne sekrety. Uniwersytet zeslal Ciemnosc, tak. Uniwersytet sprowadzil gwiazdy. Uniwersytet sciagnal na nas zaglade.

Tego juz bylo za wiele.

Nie dosc, ze zostal tu wciagniety i zmuszony do wdychania przyprawiajacego o obled zapachu jedzenia, nie dostawszy go ani troche. Lecz byc obwinianym o katastrofe - pozwolic, aby patrzyli na czlowieka jak na jakas wstretna wiedzme...

Cos w nim peklo.

-Wierzycie w to? - zawolal szyderczo. - Skonczeni idioci! Banda pomylynych, zabobonnych glupcow! Oskar-306 zacie uniwersytet? My sprowadzilismy Ciemnosc? O bogowie, co za tepota! My bylismy jedynymi, ktorzy probowali was ostrzec! Gestykulowal gniewnie, wymachujac piesciami.

-Tazibarze, znow je sprowadzi! Sprawci, ze bedzie ciemno! Powstrzymaj go! Powstrzymaj!

Nagle skupili sie razem, zaczeli sie zbliczac, probowali go dosiegnac.

Szirin stal posrodku, wyciagnal do nich rece w gescie pokory i bezradnosc. Nawet nie probowal sie broniec. Pozalowal teraz, ze ich obrazil, ale nie dlatego, ze ryzykowal zycie - prawdopodobnie oni nie zwazali wcale na wyzwiska, ktorymi ich obrzucal - lecz dlatego, iz wiedzial, ze oszaleli nie z wlasnej winy.

Jezeli juz, to byla jego wina, ze nie probowal bardziej im pomoc w przygotowaniu sie na to, co jak wiedzial, mialo nastapic. Artykuly Teremona... gdyby tylko porozmawial z dziennikarzem, przekonal go w pore, aby zrezygnowal ze swych szyderstw...

Tak, teraz zalowal. Zalowal roznych rzeczy - tych, ktore zrobil, i tych, ktorych nie zrobil. Na wszystko bylo juz za pozno.

Ktos go uderzyl. Stracil oddech z bolu i ze zdumienia.

-Liliat...! - zdolal krzyknac. Potem wszyscy rzucili sie na niego.

36

Na niebie swiecily cztery slonca: Onos, Dovim, Patru i Trey. Teremon przypomniat sobie, ze dni czterech slonc uwazano za szczesliwe. A ten juz z pewnoscia byl szczesliwy. Mieso! Wreszcie najprawdziwsze mieso!

Coz za przepiekny widok!

Jedzenie zdobyl przypadkiem. Tym sie jednak nie przejmowal. Uroki zycia na lonie natury stawaly sie dla niego tym mniej pociagajace, im bardziej robil sie glodny. Obecnie

307

gotow byl przyjac z wdziecznoscia kazde mieso, niezaleznie od tego, jak do niego trafilo. Las byl pelen roznych gatunkow dzikich zwierzat, w wiekszosci malych, przewaznie niegroznych - wszystkie zas okazywaly sie niemozliwe do zlapania, przynajmniej golymi rekoma. Teremon nie znalazl na zakladaniu sidel, nie dysponowal tez niczym, z czego moglby je zrobic.

Te opowiesci dla dzieci o ludziach zagubionych w puszczy, ktorzy natychmiast przystosowuja sie do zycia pod golym niebem i w jednej chwili zmieniaja sie w utalentowanych lowcow i budowniczych, byly tylko tym, czym byly - bajkami. Teremon, jak zwykle mieszkancy miasta, uwazal sie za dosc inteligentnego, ale wiedzial, ze ma takie same szanse na upolowanie ktoregos z lesnych zwierzat, jak na ponowne uruchomienie miejskiej elektrowni. A co sie tyczy budowania, to kresem jego mozliwosci byl prymitywny szalas z galezi i patykow, w ktorym pewnego deszczowego dnia pozostal prawie suchy.

Obecnie znnow bylo cieplo i pogodnie, a Teremon mial prawdziwe mieso na kolacje. Pozostawal tylko problem jego przyrzadzenia. Surowego nie zje, o nie! Za zadne skarby!

Co za ironia losu, ze w swiecie, ktory ledwie pare dni temu prawie doszczetnie strawil ogien, musial przemysliwac nad sposobem upieczenia kawalka miesa. Jednak wiekszosc duzych pozarow zdazyła sie juz wypalic, a reszte zagasil deszcz. Przez kilka pierwszych dni po katastrofie wciaz wzniecane byly nowe pozary, ale obecnie najwyrazniej to sie

skonczylo.

"Cos wymysle - pocieszal sie Teremon. - Moze pocierac o siebie dwa patyczki az do uzyskania iskry? Czy tez uderzajac metalem o krzemien zapalic skrawek materialu?" Kilku chlopcow usluźnie zabilo dla niego to zwierze po przeciwnej stronie jeziora, w poblizu ktorego obozowal. Oczywiscie nie mieli pojecia, ze wyswiadcza mu przysluge - najprawdopodobniej zamierzali zjesc je sami, chyba ze byli na tyle nienormalni, aby scigac nieszczesne stworzenie jedynie dla sportu. Teremon w to watpil. Mieli jasno okreslony cel i dazyli do niego prostymi srodkami, ktore tylko glod mogl podsuwac.

308

Ofiara byl chwytacz - brzydkie, dlugonose zwierzatko o niebieskawym futerku i sliskim, lysym ogonku. Takie stworzenia mozna bylo czasem zobaczyc myszkujace wsrod podmiejskich smietnikow po zachodzie Onosa. Coz, nie o piekno teraz chodzilo. Zgrai chlopcow udalo sie jakos wykurzyc biedne, glupie zwierzatko z dziennej kryjowki i zagonic do niewielkiego wawozu. Teremon patrzyl z drugiej strony jeziora, pelen wstretu i jednocześnie zawisci, jak scigali je niezmordowanie w gore i w dol, obrzucajac kamieniami. Chwytacz, choc zwykly zjadacz resztek, byl nadzwyczaj zwinny, umykal chyzo tu i tam, desperacko probujac wymknac sie swoim przesladowcom. W koncu celny kamien ugodzil go w glowe i zabil na miejscu.

Chlopcy prawdopodobnie pozarliby zwierze natychmiast, jednak w tym momencie powyzej nich pojawila sie kudlata, powlozczaca nogami postac, zatrzymala sie na chwile na krawedzi wawozu i zaczela schodzic w kierunku jeziora.

-Uciekajmy! To Garpik Rozpruwacz! - wrzasnal jeden z chlopcow.

-Garpik! Garpik!

Natychmiast sie rozproszyli, pozostawiajac na ziemi martwego chwytacza.

Teremon obserwowal wszystko, ukryty w cieniu na swoim brzegu jeziora. On takze znal Garpika, choc dotad nie slyszal jego imienia. Ten jeden z naj straszniej szych mieszkancow lasu, przysadzisty, podobny do malpy nagi mezczyzna, nosil jedynie pas, za ktory wtykal kolekcje nozy. Zabijal radosnie i bez motywu, byl szalencem opetany morderca, rasowym zaboja.

Garpik zatrzymal sie na moment, nucac cos pod nosem i glaszczac czule jeden ze swych nozy. Nie zauwazyl martwego zwierzecia lub tez wcale o to nie dbal. Byc moze czekal, az chlopcy wroca, lecz oni wyraznie nie zamierzali tego uczynic. Po pewnym czasie Garpik wzruszyl ramionami i odszedl ociezale w glab lasu, najpewniej w poszukiwaniu innej zabawy, w ktorej moglby wykorzystac swa bron.

Teremon odczekal chwile dluga jak wiecznosc, aby

upewnić się, że Garpik nie ma zamiaru wrócić i zaatakować go. Potem, kiedy już dłużej nie mógł znieść widoku martwego chwytaacza i czekać, aż jakiś inny ludzki czy zwierzęcy rabus nagle wyłoni się, aby zgarnąć łup, zanim sam zdoła to uczynić - pognął biegiem wokół jeziora, porwał zwierzątko i zaniósł je do swej kryjówki.

Ważyle tylko, co małe dziecko. Starczyłoby mu na dwa, trzy posiłki, może więcej, jeśli zdołałby poskromić apetyt, a mięso nie zepsułoby się zbyt szybko.

Z głodu kreciło mu się w głowie. Jak sięgał pamięcią, jadł jedynie owoce i orzeszki. Jego skóra ciasno opinała mięśnie i kości; jeśli wcześniej miał jakiś niewielki nadmiar tłuszczu, dawno już go zużył, a obecnie żył spożytkowując siły niezbędne do walki o przetrwanie. Dzisiaj wieczorem wreszcie urządził sobie małą ucztę!

"Pieczony chwytaacz! Delicje! - pomyślał gorzko, lecz w chwili później dodał: - Bądź wdzięczny nawet za skromne dary, Teremonie.

Pomyślmy... Przede wszystkim rozpalić ognisko..." Najpierw trzeba było mieć chrust. Z tym za jego schronieniem znajdowała się ściana skalna z głęboką, poziomą szczeliną porośniętą zielskiem. Większość roślin dawno zwiędła i uschła - od ostatniego deszczu minęło już sporo czasu. Teremon żywo przeszedł wzdłuż skalnego występu i wyrwijając pozostawiając lodzgi z liśćmi zbierał sterte podobnego do słomy materiału, który powinien dać się łatwo podpalić.

Teraz trochę suchych patyków. Trudniej było je znaleźć, ale przetrzasał las w poszukiwaniu uschniętych krzaków albo przynajmniej pojedynczych gałęzi. Nastąpiło już późne popołudnie, gdy wreszcie zbierał znacznie większą ilość odpowiedniego opalu. Długo opuszczał nieboskłon, a Trey i Patru, które były nisko nad horyzontem, kiedy chłopcy polowali na chwytaacza, teraz przesunęły się na środek nieba niczym para błyszczących oczu, przyglądających się z gory smutnym wypadkom na Kalgaszu.

Teremon ostrożnie ułożył drewno na suchym zielsku, budując szkielet ogniska tak, jak wyobrażał sobie, że

postąpiłby prawdziwy traper: większe konary kręgiem na zewnątrz, a następnie ciensze skrzyżowane w środku. Nie bez pewnych trudności nadział chwytaacza na szpikulec, który zrobił z ostrego, dość prostego kija, i umieścił zwierzę nad przygotowanym ogniskiem. Na razie wszystko się udało. Brakowało jeszcze tylko jednego drobiazgu.

Ognia!

Próbował nie myśleć o tym, kiedy zbierał drewno, mając nadzieję, - że problem jakos sam

się rozwiąże, bez jego udziału. Obecnie musiał mu stawić czoło. Potrzebował iskry. Książkowa sztuczka z pocieraniem dwóch patyków o siebie - Teremon był tego pewien - stanowiła tylko bajkę. Czytał, że pewne prymitywne szczepy uzyskiwały ogień obracając błyskawicznie kijkiem umocowanym w drewnianym kłucie z małą dziurką, ale podejrzewał, że ta metoda nie była aż tak prosta i że zajęłoby mu pewnie z godzinę wytrwałego obracania, aby uzyskać jakikolwiek efekt. W każdym razie i tak zapewne należało w wieku chłopięcym zostać wprowadzonym w arkana tej sztuki przez szamana lub kogos w tym rodzaju, bo inaczej to nie skutkowało.

A więc dwa kamienie - czy można wykrzesać iskry uderzając jednym o drugi?

W to także wątpił. Doszedł jednak do wniosku, iż nie zaszkodzi spróbować. Nie miał przecież żadnych innych pomysłów. Szeroki, płaski kamień leżał w pobliżu, a po chwili szukania znalazł mniejszy, kanciasty, który wygodnie mieścił się w dłoni. Ukląkł koło przygotowanego ogniska i zaczął metodycznie uderzać ostrym w ten płaski.

Nic szczególnego się nie działo.

Zaczęło go ogarniać poczucie beznadziejności. "Oto ja - myślał - dorosły człowiek, który umie czytać i pisać, prowadzić samochód, a nawet jakos tam obsługiwać komputer. W dwie godziny potrafię napisać artykuł do gazety, który każdy w Saro będzie chciał przeczytać, i mogłem to robić codziennie przez dwadzieścia lat, a nie potrafię rozpałcić ogniska na pustkowiu.

Jednak patrzeć na to z drugiej strony - przecież nie zjem tego chwytacza na surowo, chyba że będę absolutnie

311

zmuszony. Nie zrobię tego. Nie zrobię. Nie i jeszcze raz nie. Nie!" Z wściekłością uderzył ponownie kamieniami o siebie. I jeszcze raz. I jeszcze. "Przeklęta iskra! Zabłysznij wreszcie! Rozpał te patyki! Upiecz dla mnie to śmiechu warte zwierze!" Znowu. I jeszcze raz. I jeszcze.

-Co tam robisz, koles? - usłyszał nagle nieprzyjazny głos tuż za swymi plecami.

Teremon spojrział w górę zdziwiony i przestraszony. Naczelna zasada życia w tym lesie brzmiała: "Nigdy żadnemu zajęciu nie poświęcaj się bez reszty. Zawsze powinienes zauważyć podkradających się do Ciebie obcych".

Było ich pięciu. Mężczyźni mniej więcej w jego wieku. Obszarpani jak wszyscy żyjący w lesie. Nie wyglądali na bardzo szalonych, jak wielu innych ludzi w tym czasie - Teremon nie dostrzegł szklanych oczu czy sliniących się ust, a jedynie groźny wyraz twarzy, znużony i zacięty. Nie mieli żadnej groźniejszej broni, tylko pałki, ale byli wyraźnie wrogo nastawieni.

"Pieciu na jednego - pomyslał Teremon. - W porządku, bierzcie sobie tego przekletego chwytacza i udławcie się nim. Nie jestem na tyle głupi, aby zaczynać bojkę".

-Pytałem, co robisz, koles? - powtórzył pierwszy mężczyzna jeszcze bardziej lodowato niż poprzednio. Teremon rzucił mu spojrzenie pełne nienawiści.

-To co widac. Probuje rozpalic ognisko.

-Tak myśleliśmy.

Nieznajomy zrobił krok naprzód. Starannie, nie spiesząc się, wymierzył kopniaka w stertę ułożoną przez Teremona. Z takim trudem zebrane galezie rozsypały się, a chwytacz spadł na ziemię.

-Hej, zaczekaj chwile...!

-Tu nie wolno palić ognisk, facet. Takie jest prawo. - Nieznajomy mówił szorstko, twardo i bez ogródek. - Posiadanie narzędzi do rozpalania ognia jest zabronione. To drewno jest na opał. To oczywiste. Ponadto sam przyznałeś się do winy.

-Do winy? - powtórzył Teremon z niedowierzaniem.

312

-Powiedziałeś, że rozpalasz ognisko. Te kamienie wyglądają na narzędzia do rozniecania ognia, prawda? Prawo jest jasne w tym względzie: zabrania. Na znak przywódcy podeszli dwaj inni. Jeden chwycił Teremona od tyłu za szyję i ramiona, a drugi wyjął mu z rąk kamienie i cisnął je do jeziora. Plusnęły głośno i znikły. Teremon patrząc, jak tona, czuł się tak, jak wyobrażał sobie, że czuł się Biney, widząc swe teleskopy strzaskane przez motloch.

-Puszczcie mnie... - wymamrotał przez zęby, usiłując się uwolnić.

-Puszczcie go - rozkazał przywódca. Znow wsadził nogę w przygotowane ognisko i zaczął wdeptywać kawałki słomy i lodu w piach. - Teraz nie wolno palić ognia - rzekł do Teremona. - Wystarczy już pożarów. Na zawsze wystarczy. Nie możemy pozwolić, aby rozpalano nowe, z uwagi na ryzyko cierpienia i zniszczenia, nie wiesz o tym? Jeśli spróbujesz zbudować nowe ognisko, wrócimy tu i rozwalimy ci łeb, zrozumiałeś?

-To ogień zniszczył świat - dodał jeden z jego ludzi.

-Ogień wygnał nas z domu.

-Ogień jest wrogiem. Ogień jest zabroniony. Ogień jest zły.

Teremon patrzył w zdumieniu. Ogień jest zły? Zabroniony?

A wiec jednak byli szaleni.

-Kara za probe rozpalenia ognia, wysteppek pierwszej kategorii, jest grzywna - tłumaczył przywodca. - Grzywna bedzie to zwierze. W ten sposob oduczysz sie narazac niewinnych ludzi. Listigonie, zabierz mieso. To bedzie dla niego dobra lekcja. Nastepnym razem, gdy ten facet cos zlapie, bedzie pamietal, ze nie powinno sie lamac prawa tylko dlatego, iz ma sie ochote na kawalek pieczonego miesa.

-Nie! - wrzasnal Teremon zdlawionym glosem, kiedy Listigon schylil sie, aby podniesc chwytacza. - To moje, kretyni! Moje! Moje!!!

Rzucil sie na nich z furia, zaslepiony przez gniew i zawiedzione nadzieje.

313

Ktos go mocno uderzyl w zoladek. Teremonowi zaparlo dech i odjelo mowe, zgial sie wpol trzymajac rekami za brzuch. Ktos inny walnal go od tylu. Dostal cios w krzyz, po ktorym niemal runal na twarz, lecz tym razem z calej sily dzgnal lokciem w tyl, poczul miekkie cialo, uslyszal jek bolu. Kiedys bral udzial w bojkach, ale bylo to dawno, dawno temu, a poza tym nigdy nie walczył sam przeciw pieciu. Nie bylo jednak ucieczki. Powtarzal sobie, ze musi utrzymac sie na nogach i wycofac krok za krokiem az do skalnej sciany, gdzie nie mogliby zajsc go od tylu. Potem sprobujcie trzymac ich na dystans, kopiac i walac, a nawet gryzac i drapiac, dopoki nie zostawia go w spokoju.

Odpowiedzial mu jakis wewnetrzny glos: "To kompletni wariaci. Z pewnoscia nie odstapia, az zatluka cie na smierc".

Nic nie mogli na to poradzic. Mogli tylko podejmowac proby utrzymania ich na dystans.

Skulil ramiona, pochyлил glowe i rozdzielal razy na oslep, caly czas uparcie przepychajac sie do skaly. Tloczyli sie wokol, okladajac go ze wszystkich stron. Utrzymal sie jednak na nogach. Ich przewaga liczebna nie byla tak miazdzaca, jak sie spodziewal. W walce wrecz nie mogli dopasc go cala piatka jednoczesnie, a Teremon potrafil wygrac to na swoja korzysc, walac we wszystkich kierunkach i poruszajac sie tak szybko, jak tylko zdolal, podczas gdy oni probowali uniknac bicia sie nawzajem w scisku.

Pomimo to wiedzial, ze dlugo tak nie pociagnie. Mial rozcieta warge, brakowalo mu powietrza, oko zaczynalo puchnac. Celny cios mogli powalic go na ziemie. Jedna reka oslanial twarz, druga walczył zaciekle i nadal cofal sie pod oslone skalnej sciany. Kopnal kogos. Doszedl go jek i przeklenstwo. Ktos inny odpowiedzial kopniakiem. Teremon dostal w udo i zatoczył sie, syczac z bolu.

Zachwiał sie. Desperacko probowal zlapac oddech. Niewiele widzial i z trudem rozpoznawal, co sie dzieje. Otaczali go teraz cala piatka, mlocac piesciami ze wszystkich stron. Nie dotrze do skaly. Nie utrzyma sie juz dluziej na nogach. Upadnie, a oni zadepcza

go na smierc...

314

Na... smierc...W tym momencie uswiadomil sobie, ze do zgielku, ktory powodowali walczac w szesciu, dolaczyl sie inny; uslyszal krzyki, nowi ludzie wmieszali sie w bijatyke, scisk wokol niego zgestnial. "Swietnie! - pomyslal. - Nowa banda szalencow przylacza sie do zabawy. Moze teraz uda sie mi jakos wymknac w tym zamecie..." - Tu straz ogniowa! Przestancie! - zawolal kobiecy glos, czysty, donosny, nie znoszacy sprzeciwu. - To rozkaz! Przestancie, wszyscy! Zostawcie go! Natychmiast!

Teremon zmruzył oczy i zaczął rozcierac czolo. Powiodl wokolo metnym wzrokiem.

Na polance pojawilo sie czworo ludzi. Wygladali na swiezych i wypoczetych, nosili czyste ubrania. Wokol szyi mieli luzno zawiązane zielone chusty. W rekach trzymali punktowce.

Kobieta, ktora najwyrazniej nimi dowodzila, wykonala szybki, rozkazujacy gest bronia trzymana w dloni. Pieciu mezczyzn puscilo Teremona i stanelo poslusznie przed nia Obrzucila ich groznym spojrzeniem.

Teremon nie wierzył własnym oczom.

-O co tu chodzi? - spytala przywodce piatki ostrym tonem.

-Rozpalal ogien... probowal... zamierzal upiec zwierzynie, ale nadeszlismy...

-Dobrze sie sprawiliscie. Nie widze tu ognia. Porzadek zostal zachowany. Odmaszerowac! Mezczyzna skinal glowa. Siegnal po chwytacza.

-Mieso nalezy do mnie - odezwal sie Teremon ochryple.

-Nie - odparl tamten. - Utraciles je. Wymierzamy ci grzywne za naruszenie praw dotyczacych ognia.

-Ja zadecyduje o karze - przerwala kobieta. - Zo staw to zwierz. Odmaszerowac!

-Ale...

-Odmaszerowac albo dopilnuje, abyscie to wy staneli oskarzeni przed Altinolem. Ruszac sie! No juz!

Pieciu mezczyzn wynioslo sie chylkiem. Teremon wcia/ nie mogl uwierzyc w to, co widzial.

31

Kobieta z zielona chusta podeszla do niego.-Mysle, ze przybylam w ostatniej chwili,

prawda, Teremonie?

-Siferra - powiedział ze zdumieniem. - Siferra!

37

Bolalo go sto różnych miejsc. Wcale nie był pewien, czy jego kości pozostały całe. Jedno oko miał tak spuchnięte, że nic nim nie widział. Podejrzał jednak, że uda mu się przeczyc. Siedział oparty o skalną ścianę czekając, aż ustąpi nieco otumanienie bólem. -Mamy trochę kongloryjskiego koniaku w dowództwie - odezwała się Siferra. - Chyba mogę cię upoważnić do wypicia kubeczka czy dwóch, w celach zdrowotnych oczywiście.

-Koniak? Dowództwo? Jakie dowództwo? O co tu chodzi, Siferro? Czy naprawdę tu jesteś?

-Myślisz, że to halucynacja? - Zasmiała się i lekko wbija mu paznokcie w ramię. - Czy to nazwałbyś halucynacją?

-Ostrożnie! - Skrzywił się. - To bardzo wrażliwe miejsce. Zresztą jak każde inne w tej chwili... Po prostu spadł z nieba, tak?

-Patrolowałam las i usłyszeliśmy odgłosy bitki. Przyszliśmy więc sprawdzić przyczynę hałasu. Nie miałam pojęcia, że jesteś w to wmieszany, dopóki cię nie zobaczyłam. Próbuje przywrócić tu jakiś porządek.

-Próbujecie? Kto?

-Straż ogniowa. To najbliższy odpowiednik lokalnej władzy. Siedziba mieści się w Sanktuarium, a dowodzi niejaki Altinol, który kiedyś był dyrektorem jakiejś firmy. Jestem jednym z jego oficerów. To rodzaj straży obywatelskiej, która przejęła kontrolę nad użytkowaniem ognia. Obecnie tylko członkowie straży ogniowej posiadają przywilej...

-Zaczekaj, Siferro. - Teremon unosił rękę. - Powoli, dobrze? Mówisz, że w Sanktuarium pracownicy uniwersytetu utworzyli straż obywatelską? Chodzą po okolicy i gaszą ognie? Jak to możliwe? Szirin powiedział mi, że wszyscy odeszli i udali się na południe, że wyznaczyli sobie spotkanie w Parku Narodowym Amgando.

-Szirin? Czy on jest tutaj?

-Był. Teraz zmierza do Amgando. Ja... zdecydowałem pobyć tu jeszcze trochę. - Wyznanie, że pozostał tu wiedziony nikłą nadzieją odnalezienia jej, nie mogło mu przejść przez gardło.

Siferra skinęła głową.

-Szirin powiedział ci prawdę. Wszyscy pracownicy naukowcy opuścili Sanktuarium w dzień po zaciemieniu. Myślę, że do tej pory są już daleko, w Amgando - nie mam o nich żadnych

wiesci. Zostawili Sanktuarium otwarte na oścież i Altinol ze swą grupą objeli je w posiadanie. Straż ogniowa liczy piętnastu czy dwudziestu członków, wszyscy w niezłym stanie psychicznym. Zdolali ustanowić swą władzę nad mniej więcej połową lasu i częścią terenów podmiejskich, gdzie wciąż żyją ludzie.

-A ty? - spytał Teremon. - Jak się z nimi związałaś?

-Najpierw, gdy tylko zniknęły gwiazdy, poszłam do lasu. Było tu jednak dość niebezpiecznie, więc kiedy przypomniałam sobie o Sanktuarium, skierowałam się właśnie tam i spotkałam Altinola i jego ludzi. Zaproponowali mi wstąpienie do straży. - Siferra uśmiechnęła się jakby nieco smutno. - Właściwie nie zostawili mi wyboru - dodała. - To nie są zbyt delikatni faceci.

-To nie są delikatne czasy.

-Masz rację. Tak więc zdecydowałam, że lepiej przyłączyć się do nich, niż pozostać sama. Dali mi te zielone chusty - wszyscy tu wokół czują przed nią respekt. I punktowiec. Przed tym ludźmi też czują respekt.

-Należysz więc do straży obywatelskiej - rzekł Teremon w zadumie. - Jakos nigdy bym cie nie podejrzewał o takie zapędy.

-Ja siebie też nie.

-I wierzysz, że ten Altinol i jego straż ogniowa to uczciwi ludzie, którzy pomagają przywrócić prawo i porządek?

317

Na twarzy Siferry ponownie zagóścił uśmiech i znowu nie był radosny. -Uczciwi ludzie? Tak, oni się za takich uważają.* - A ty tak nie sądzisz? Wzruszyła ramionami.

-Przede wszystkim chodzi im o siebie, nie ma co udawać. Powstała polityczna próżnia i oni zamierzają ją wypełnić. Uważam, że nie jest to najgorsza koncepcja zbudowania władzy. Łatwiej ich zaakceptować niż inne grupy, które przychodzą mi na myśl.

-Mówisz o Apostołach? Czy też próbują ustanowić władzę?

-Bardzo możliwe, że tak, lecz nic o nich nie słyszałam od czasu kataklizmu. Altinol przypuszcza, że pozostają gdzieś w ukryciu lub też Mondior powiodł ich w jakieś odległe miejsce, gdzie założą swoje własne królestwo. Mamy jednak parę nowych grup fanatyków - niezłych pomylen-ców, Teremonie. Trafiles właśnie na jedną z nich i tylko dziwnym trafem cie nie wykonczyli. Wierzą, że zbawienie ludzkości zależy obecnie tylko od całkowitego wyrzeczenia się ognia, jako że ogień zniszczył świat. Biegają więc wokół niszczyć wszelkie narzędzia do rozpalania ognia i zabijając każdego, kto według ich opinii wzniesie pożary dla zabawy.

-Próbowałem jedynie przyrzadzić sobie kolacje - powiedział Teremon posepnie.

-Dla nich to obojętne, czy gotujesz posiłek, czy zabawiasz się w podpalacza. Ogień jest ogniem, a oni czują do niego wstępną. Masz szczęście, że nadeszliśmy w porę. Uznają autorytet straży ogniowej. Jesteśmy elita, rozumiesz, jedynymi, którym wolno używać ognia.

-Punktowce na pewno pomagają ten autorytet utrzymać - wtracił Teremon. Zaczął rozcierać obolale ramię i spojrzał smutno w dal. - Wspominał, że oprócz nich są jeszcze inni fanatycy...

-Sa tacy, co uważają, że astronomowie z uniwersytetu odkryli sekret przywoływania gwiazd. Obwiniają Athora, Bineya i resztę o wszystko, co się wydarzyło. To stara niechęć do intelektualistów, która zbiera zniwo, gdy tylko prymitywne emocje wydostają się na powierzchnię.

318

-Bogowie! Czy wielu jest takich?-Wystarczająco dużo. Ciemność jedna wie, co robią, jeśli schwytają kogoś z uniwersytetu, kto nie znalazł schronienia w Amgando. Przypuszczam, że powieszą go na pierwszej lepszej galezi.

-A za to odpowiedzialny będę ja - rzekł Teremon ponuro.

-Ty?

-Wszystko, co się stało, to wyłącznie moja wina. Nie Athora, nie Folimuna, nie bogów, lecz właśnie moja, Siferro. Moja. Teremona 762. Wtedy, gdy nazwałeś mnie nieodpowiedzialnym, zbyt łagodnie się ze mną obeszłaś. Nie byłem nieodpowiedzialny, lecz dopuściłem się bezmyślności.

-Przeznacz, Teremonie. Co za sens... Nie daj sobie przerwać.

-Powiniennem dzień w dzień pisać felietony ostrzegające przed zagładą, domagające się stworzenia programu ratunkowego, który objąłby budowę schronów, gromadzenie zaopatrzenia i rezerwowych generatorów mocy, zapewnienie pomocy poszkodowanym i milion innych rzeczy... a co ja robiłem? Wymiewałem się. Stroiliem sobie z astronomów żarty! Sprawilem, że stało się polityczną niemożliwością dla kogoś z rządu braci Athora na serio.

-Teremonie...

-Siferro, powinnas pozwolić tym szalencom zatłuc mnie na śmierć! Spojrzeli sobie w oczy.

-Nie mów jak głupiec! - Siferro była zła. - Żadne rządowe programy nic by nie zmieniły. Ja

tez zaluje, ze pisales te artykuly. Wiesz, co o nich myslalam, lecz co to teraz ma za znaczenie? Wierzyles w to, co pisales. Myliles sie, ale nie klamales. W kazdym razie nie maja sensu spekulacje na temat tego, co mogloby sie stac. Teraz musimy sie zajmowac tym, co jest. Juz dosyc - dodala lagodniej - czy mozesz chodzic? Musimy cie zabrac do Sanktuarium. Bedziesz mial okazje sie umyc, przebrac w jakies czyste rzeczy, dostaniesz cos do jedzenia...

-Jedzenia?

319

-Ludzie z uniwersytetu pozostawili mnostwo zapasow. Teremon zachichotal i wskazal na chwytacza.-Siferro, a wiec nie musze tego jesc?

-Nie, chyba ze naprawde chcesz. Proponuje, bys dal to komus, kto tego bardziej potrzebuje.

-Dobry pomysl.

Podniosl sie wolno i ociezale. Bogowie, jak go wszystko bolalo! Zrobil pare krokow. Niezle, calkiem niezle. Mimo wszystko nic nie wydawalo sie zlamane. Moze tylko uzywane w troche niewlasciwy sposob. Mysl o cieplej kapieli i prawdziwym posilku zaczynala juz leczyc jego rany.

Rzucil ostatnie spojrzenie na sklecony z galezi szalas, na strumien, parszywe krzaczki i zielsko. Tu mieszkal przez te kilka dziwnych dni. To byl jego dom. Nie bedzie za nim zbytnio tesknil, ale tez bez watpienia niepredko go zapomni.

Podniosl chwytacza i zarzucil na ramie.

-Prowadz - rzekl do Siferry.

Nie uszli nawet stu metrow, gdy dostrzegl grupe chlopcow przyczajonych za drzewami. Zorientowal sie, ze to byli ci sami chlopcy, ktorzy wyploszyli chwytacza z jego nory, a potem upolowali. Widocznie wrocili, by go poszukac. Teraz markotnie spogladali z daleka, wyraznie strapieni faktem, ze Teremon unosil ich zdobycz. Byli zbyt zastraszeni przez zielone chusty, oznake patrolu strazy ogniowej, lub moze raczej przez punktowce, aby dochodzic swych praw.

-Hej! - zawolal Teremon. - To chyba wasze? Zaopiekowalem sie tym w czasie waszej nieobecności!

Cisnal chwytacza w ich kierunku. Martwe zwierzecie upadlo na ziemie dosc blisko miejsca, gdzie stali, lecz oni sie wahali, zmieszani i zaklopotani. Bali sie podejsc.

-Jest duzo do zrobienia w tym nowym swiecie po zaciemieniu - powiedzial Teremon ze smutkiem. - Umieraja z glodu, ale nie osmiela sie zrobic jednego kroku. Mysla, ze to pulapka. Sadza, ze jesli wyjda zza tych drzew, zastrzelimy ich tak sobie, dla zabawy.

-Kto moze ich za to winic? - odparla Siferra. - Teraz kazdy boi sie kazdego. Zostaw zwierzeta tam, gdzie lezy. Zajma sie nim, gdy tylko znikniemy im z oczu.

320

Teremon kustykajac podazyl za nia. Siferra i pozostali ludzie z patrolu posuwali sie pewnie przez las, jakby niewrażliwi na niebezpiecznosc czyhajace wszedzie wokol. Rzeczywiscie, nic sie nie wydarzylo w czasie, gdy grupa zdazala - tak szybko, jak na to pozwalal stan Teremona - w kierunku drogi prowadzacej przez las. "To interesujace - pomyslal Teremon - jak blyskawicznie spoleczenstwo zaczyna sie ponownie organizowac. W ciagu zaledwie kilku dni nieregularna formacja w rodzaju tej strazy ogniowej zaczela przejmowac wladze i tworzyc cos w rodzaju rządu. Chyba ze jedynie punktowce i pewnosc siebie tych ludzi trzyma pomylencow na dystans".

W koncu doszli do skraju lasu. Bylo zimno i nieprzyjemnie ciemno. Swiecily jedynie Patru i Trey, inne slonca zaszly. W przeszlosci Teremon nie czul sie zle w slabym swietle, typowym dla godzin, kiedy na niebie pozostawala tylko jedna z dwoch par blizniaczych slonc. Od czasu zaciemienia jednak taki wieczor z dwoma sloncami zawsze wzbudzal w nim lek i poczucie zagrozenia. Teraz bal sie, ze znow nastanie Ciemnosc - choc wiedzial, ze to niemozliwe. Zrozumial, iz nawet najsilniejsi, najbardziej odporni dlugo beda leczyc rany, ktore zadala im Ciemnosc.

-Jeszcze kawalek w dol ta droga i bedziemy w Sanktuarium - powiedziala Siferra. - Jak sie czujesz? - Swietnie - rzekl Teremon przez zacisniete zeby. - Wiesz, nie udalo im sie uczynic mnie kaleka.

Znaczna trudnosc sprawialo mu zmuszanie obolalych nog, aby niosly go naprzod. Odczul radosc i niemala ulge, gdy wreszcie znalazl sie u przypominajacego otworu jaskini wejscia do podziemnego krolestwa, jakim bylo Sanktuarium.

Korytarze prowadzace we wszystkich kierunkach i liczne komnaty tworzyly istny labirynt. Teremon niewyraźnie dostrzegal zawile zwoje i petle jakiejś aparatury, tajemnicze i niezrozumiale, biegnace wzdluz scian i sufitu. Przypomniat sobie, ze znajdowalo sie tu urzadzenie do rozbijania czastek, dopoki nie otwarto nowego wielkiego laboratorium na Wzgorzach Saryjskich. Najwidoczniej fizycy pozostawili znaczna czesc przestarzalego sprzetu. 21 - Nastanie nocy 3 Z I W glownym korytarzu stal wysoki mezczyzna. Bez watpienia on sprawowal tu wladze.

-To jest Altinol 111 - powiedziala Siferra. - Al-tinolu, chce ci przedstawic Teremona 762.

-Z "Kroniki Saro"? - zapytal Altinol. Nie wydawalo sie, by czynilo to na nim jakiegokolwiek

wrażenie; po prostu odnotował ten fakt na głos.

-Przedtem - odparł Teremon.

Chłodno zmierzyli się wzrokiem. Teremon ocenił Altinola na prawdziwego twardziela. Był to mężczyzna wkraczający w wiek średni, w pełni sił i w doskonałej kondycji. Ubranie miał eleganckie, w dobrym gatunku. Z jego sposobu bycia można było poznać, że przywykł, by go słuchano. Teremon przerzucał w myśli bogaty, ułożony w porządku kartotekę zbioru notatek ze zdjęciami znanych osobistości. Po chwili trafił na właściwą fiszkę.

-Koncern Mortena? - spytał. - Ten Altinol? Błysk zdziwienia - a może irytacji? - mignął w oczach Altinola.

-Tak, to ja.

-Zawsze mówiono, że chciałeś być premierem rządu. Coż, wygląda na to, że teraz nim jesteś. Wprowadzisz nie całe republiki federalnej, ale premierem Gruzów Saro.

-Wszystko w swoim czasie - rzekł Altinol. Dobrze panował nad glosem. - Najpierw chcemy skończyć z anarchią, potem pomyślimy o ponownym scaleniu kraju i będziemy się martwić o to, kto zostanie premierem rządu. Nadal mamy, na przykład, problem Apostolów, którzy przejęli kontrolę nad całą północną częścią miasta oraz terenami podmiejskimi i poddali je swej religijnej zwierzchności. Usunąć ich nie będzie łatwo. - Altinol uśmiechnął się chłodno. - Wszystko po kolei, przyjacielu.

-Jeśli chodzi o Teremona - wtrąciła Siferra - pierwszą rzeczą w kolejności jest kąpiel, a potem posiłek. Mieszkał w lesie od dnia zaciemnienia... Chodź ze mną - rzuciła Teremonowi.

Wzdłuż całego dawnego toru akceleratora ustawiono przepierzenia, dzielące go na długi szereg małych pomieszczeń. W jednym z nich ustawiono porcelitowy zbiornik, do

322

którego zamocowane w gorące miedziane rury dostarczały wodę. - Nie będzie zbyt ciepła - ostrzegła Siferra. - Włączamy termy tylko na parę godzin dziennie, ponieważ zapas paliwa jest niewielki. Na pewno jednak będzie to lepsze niż kąpiel w zimnym lesnym strumieniu... Co wiesz na temat Altinola?

-Kierował koncernem Mortena, wielkim konsorcjum przewozowym. Kilka lat temu trafił na pierwsze strony gazet w związku z podejrzeniem o szwindel przy otrzymaniu kontraktu na zagospodarowanie olbrzymich terenów budowlanych na gruntach państwowych w prowincji Nibro.

-Co konsorcjum przewozowe ma wspólnego z budową nieruchomości?

-O to własnie chodzi. Absolutnie nic. Oskarżono go, że posłużył się naciskami ludzi z rządu. Jeśli dobrze pamiętam, mówiło się o czymś w rodzaju oferowania senatorom stałych, darmowych biletów na jego luksusowe linie transoceaniczne... - Teremon wzruszył ramionami. - To teraz naprawdę nieważne. Nie ma już koncernu Mortena, kontraktów na budowę nieruchomości ani też senatorów federacji, których można przekupić. Chyba nie ucieszył się, że go rozpoznałem.

-Pewnie nie dba o to. Dla niego teraz liczy się tylko dowodzenie straża ogniowa.

-Na razie... Dzisiaj straż ogniowa prowincji Saro, jutro cały świat. Słyszałaś, jak mówił o usunięciu Apostolów, którzy rządzą drugą częścią miasta. Coż, ktoś to musi zrobić. A on należy do tych, którzy lubią dowodzić.

Siferra wyszła. Teremon zanurzył się w wodzie.

Nie czuł się może jak sybaryta, ale jednak było to cudowne po wszystkim, co ostatnio przeszedł. Zamknął oczy, wyciągnął się i odpreżył, plawiąc w luksusie.

Kiedy skończył kąpiel, Siferra zaprowadziła go do jadalni Sanktuarium i zostawiła samego wyjaśniając, że musi złożyć dzienny raport Altinowi. Posiłek już czekał - jedna z paczkowanych kolacji, które zgromadzono tu w dużych ilościach przez miesiące przygotowan. Rozgotowane warzywa, ciepłe mięso jakiegoś niewiadomego rodzaju, białozielony napój bezalkoholowy, nieokreślony w smaku.

323

Wszystko to wydało się Teremonowi zdumiewająco smaczne. Siłił się, aby jeść wolno, spokojnie, pamiętając, że jego organizm odwykł od normalnego pożywienia. Wiedział, że musi starannie przeżuwać każdy kęs, jeśli nie chce się pochorować, choć instynktownie pragnął połknąć wszystko jak najszybciej i poprosić o drugą porcję.

Zjadł, rozsiadł się wygodnie i tępo zapatrzył w brzydki cynowy ścian. Nie był już głodny. Jego kondycja umysłowa zaczęła się jednak pogarszać. Pomimo kąpieli, mimo posiłku, mimo komfortowego poczucia bezpieczeństwa w świetnie chronionym Sanktuarium popadał w bezgraniczną depresję.

Czuł się bardzo zmęczony. Przygnębiony i zniechęcony.

Pomyślał, że ten dawny świat nie był najgorszy. Może nie idealny, dość daleki od tego, ale wystarczająco dobry. Większość ludzi była raczej szczęśliwa, nieźle im się wiodło, postęp dokonywał się na wszystkich frontach - w kierunku głębszego naukowego poznania, szybszego rozwoju gospodarczego, intensywniejszej współpracy międzynarodowej. Pojęcie wojny stało się starożytną osobliwością, a odwieczne fanatyzmy religijne w większości odeszły w przeszłość bezpowrotnie... lub też tak się wydawało.

To wszystko umarło w ciągu kilku krótkich godzin, w jednej straszliwej eksplozji Ciemności.

Oczywiście z popiołów starego zrodzi się nowy świat. Zawsze tak było; wykopaliska Siferry w Tombo to potwierdzały.

Lecz co to będzie za świat? Odpowiedź nasuwała się sama. Będzie to świat, w którym ludzie zabijają innych dla kawałka mięsa lub z powodu pogwałcenia jakiegoś przesadu dotyczącego ognia, lub po prostu dlatego, że zabijanie może stanowić miłą rozrywkę. Świat, gdzie pojawia się Altinolo-wie, którzy wykorzystując chaos zagarną dla siebie władzę. Świat, w którym Folimuni i Mondiorzy bez wątpienia planują wyłonic się jako dyktatorzy myśli - może nawet działając ramie w ramie z Altinolami, jak z chorobliwą podejrzliwością pomyślał Teremon. Świat, gdzie...

Nie. Teremon potrząsnął głową. Po co podnosić cały ten mroczny, żalobny lament?

324

Siferra miała rację. Nie ma sensu spekulować na temat tego, co mogłoby być. Trzeba się zajmować tym, co jest. Przynajmniej przeżył, pozostał mniej więcej w pełni władz umysłowych, ciężkie doświadczenia w lesie przetrwał prawie nie tknięty poza kilkoma tylko zadrapaniami i siniakami, które zagoją się w parę dni. Rozpacz była obecnie uczuciem bezużytecznym, luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić, tak jak Siferra nie mogła sobie pozwolić na luksus bycia wściekłą za jego felietony. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz należało się podnieść i ruszyć naprzód, przegrupować, odbudować, zacząć od nowa. Oglądanie się za siebie było szalenstwem. Patrzenie w przód ze zwatpieniem i przerażeniem równało się zwykłemu tchorzostwu.

-Skonczyłeś? - spytała Siferra wrociwszy do jadalni. - Wprowadź to niezbyt wykwintne jedzenie, ale lepsze od chwytaacza.

-No, nie wiem. Nigdy nie próbowałem chwytaacza.

-I myślę, że wcale o tym nie marzysz. Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Była to niewysoka nisza, niezbyt wytwornie urządzona: łózko z bożym światełkiem stojącym obok na podłodze, umywalka i pojedyncza, zwisająca z sufitu żarówka. W kacie wały się rozrzucone jakieś książki i czasopisma, pozostawione zapewne przez ludzi, którzy zajmowali ten pokój w wieczór zacmienia. Teremon skrzywił się, dojrzawszy egzemplarz "Kroniki" otwarty na stronie z jego felietonem. To był jeden z ostatnich, wyjątkowo zjadliwa napasła na Athora i jego grupę. Zacerwienił się i noga odepchnął gazetę głębiej w kat.

-Co zamierzasz teraz robić? - zapytała Siferra.

-Robić?

-Tak, co bedziesz robil, kiedy juz zdolasz troche odpoczac.

-Jeszcze sie nad tym nie zastanawialem. Dlaczego pytasz?

-Altinol chce wiedziec, czy masz zamiar wstapic do strazy ogniowej.

-Czy to propozycja?

325

-Jest gotow cie przyjac. On potrzebuje takich jak ty - silnych, umiejacych postepowac z ludzmi.-Tak. - Teremon pokiwal glowa. - Bylbym w tym niezly, co?

-Niepokoi go jednak pewna rzecz. W strazy jest miejsce tylko dla jednego dowodcy. Gdybys sie przylaczył, musialbys zrozumiec od samego poczatku, ze cokolwiek Altinol powie, jest wykonywane bez szemrania. On nie ma pewnosci, czy potrafisz sluchac rozkazow.

-Ja tez nie jestem tego pewny - przyznal Teremon - lecz rozumiem punkt widzenia Altinola.

-A wiec przylaczysz sie? Wiem, ze sa pewne niedociagniecia w samej idei strazy, ale jest to sila zdolna utrzymac porzadek, a teraz tego wlasnie potrzebujemy. Altinol jest moze wladczy, ale nie jest zly. Jestem o tym przekonana. Po prostu uwaza, ze w tych czasach potrzebne sa stanowcze srodki i zdecydowane przywodztwo. On jest zdolny to zapewnic.

-Nie watpie, ze tak.

-Pomysl nad tym przed snem - dodala Siferra. Jesli chcesz wstapic do strazy, porozmawiaj z nim jutro. Badz z nim szczery. On bedzie na pewno szczery wobec ciebie. Jesli potrafisz go przekonac, ze nie bedziesz stanowic bezposredniego zagrozenia dla jego wladzy, to jestem spokojna, ze ty i on...

-Nie - przerwal gwaltownie Teremon.

-Co "nie"?

Teremon milczal przez dluzsza chwile.

-Nie musze nad tym dlugo myslec - rzekl wreszcie. - Juz wiem, jaka bedzie moja odpowiedz. Siferra spojrzala na niego pytajaco.

-Nie chce rywalizowac z Altinolem - wyjasnil. - Znam ten rodzaj ludzi i jestem absolutnie pewien, ze nie potrafie z nimi wytrzymac ani przez moment. Wiem takze, ze na krutki okres moze i jest konieczne powolanie organizacji w rodzaju strazy ogniowej, ale na dluzsza mete nie przynosi to korzysci, gdyz jesli raz zostana ustanowione i zinstytucjonalizowane, bardzo trudno jest sie ich potem pozbyc. Altinolowie tego swiata nie oddaja wladzy dobrowolnie.

Drobni dyktato326 rzy nigdy tego nie robia. Swiadomosc, ze pomoglem mu dostac sie na szczyt, nie dawalaby mi spokoju do konca zycia. Nie przekonuje mnie idea wskrzeszenia systemu feudalnego, majaca byc sensownym rozwiazaniem obecnych problemow. Wiec, Siferro, odpowiedz brzmi nie. Nie zamierzam nosic zielonej chusty Altinola. Nie ma tu dla mnie miejsca.

-Co w takim razie planujesz? - spytala cicho Siferra.

-Szirin mowil mi, ze prawdziwy rzad prowincji formuje sie w rezerwacie Amgando. Zbieraja sie tam ludzie z uniwersytetow, moze kilku z dawnego rządu, przedstawiciele wszystkich rejonow kraju. Jak tylko odzyskam sily na tyle, aby podjac podroz, wyrusze do Amgando.

Siferra przygladala mu sie bacznie, nie zrobila jednak zadnej uwagi.

Teremon wzial gleboki oddech.

-Chodz ze mna do Amgando. - Wyciagnal do niej reke. - Zostan ze mna dzis wieczorem w tym moim malym, nedznym pokoiku. Rano sie stad ulotnimy i wyruszymy razem na poludnie. Pasujesz do tego miejsca nie bardziej niz ja. We dwojke mamy pieciokrotnie wieksze szanse na dotarcie do Amgando, niz gdyby kazde z nas probowalo odbyc te podroz samotnie.

Siferra wciaz milczala. Nie cofal reki.

-A wiec? Co na to powiesz?

Na jej twarzy odbijaly sie sprzeczne uczucia. Teremon nie smial ich interpretowac.

Siferra wyraznie walczyła ze soba. Nagle walka dobiegla kresu.

-Tak - odpowiedziala w koncu. - Tak zrobimy. Zblizyla sie, ujela jego dlon. Zgasila zwisajaca z sufitu zarowke, ale boze swiatelko przy lozku nadal rzucalo cieply blask.

38

Czy wiesz, co to za osiedle? - spytala Siferra. Patrzyla skamieniala ze zgrozy na zrujnowane domy i porzucone samochody, upiorny krajobraz po pozodze. Zblizalo sie

327

poludnie trzeciego dnia ich ucieczki z Sanktuarium. Ostre promienie Onosa niemilosiernie oswietlaly kazda zweglona sciane i kazde wybite okno. Teremon przeczaco potrzasnal glowa.-Na pewno byla to jakas glupia nazwa. Zlote Pola czy Saryjskie Dzialki, cos w tym rodzaju. Nazwa nie jest teraz wazna. To przestalo byc osiedlem. Ogladamy cos, co bylo niegdys dzielnica mieszkalna, ale co obecnie nalezy juz wylacznie do archeologii. Czesc

zaginionego miasta Saro.

Osiagneli punkt daleko na poludnie od lasu, prawie na obrzezach pasa przedmiesc. Poludniowe peryferia Saro. Dalej rozciagaly sie tereny rolnicze, male miasteczka, a gdzies daleko, niewyobrazalnie daleko, cel ich wedrowki:

Park Narodowy Amgando.

Przebycie lasu zajelo im dwa dni. Raz spali w dawnym szalasiu Teremona, raz - w jakiejś gestwinie w polowie ostrego podejscia na Wzgorza Onosa. Przez caly ten czas nie zauwazyli zadnych oznak poscigu. Altinol najwyrazniej nie zamierzal ich gonic, choc zabrali ze soba bron i dwa plecaki wypchane jedzeniem i picciem. Siferra byla pewna, ze znalezi sie juz poza zasiegiem jego wladzy.

-Wielka Autostrada Poludniowa powinna byc gdzies w poblizu, prawda? - spytala.

-Jeszcze trzy, cztery kilometry. Dojdziemy, jesli bedziemy mieli szczescie i nie napotkamy zadnych pozarow, ktore zablokowalyby nam droge.

-Bedziemy mieli szczescie. Mozesz na to liczyc.

-Wiecznie optymistka, co? - rzucil wesolo Teremon.

-To nie kosztuje wiecej niz pesymizm. Tak czy inaczej, dojdziemy.

-Dobrze. Tak czy inaczej.

Szli nieprzerwanie naprzod. Teremon szybko powracal do sil po obrazeniach doznanych w czasie bojki w lesie i po dniach przymierania glodem. Cechowala go niesamowita odpornosc. Byl na tyle silny, ze Siferra z trudem dotrzymywala mu kroku.

Z trudnoscia takze przychodzilo jej zachowac otuche. Pozornie od momentu wyruszenia w droge nieustannie tryskala optymizmem, zawsze pewna siebie, zawsze prze328 konana, ze dotra bezpiecznie do Amgando i znajda ludzi sobie podobnych, ktorzy juz ostro zabrali sie do pracy nad planowaniem odbudowy swiata.

Tak naprawde Siferra wcale nie czula sie dziarsko. Im dalej wchodzili z Teremonem w te niegdys piekne, podmiejskie obszary, tym trudniej bylo jej odpedzic lek, rozpacz, uczucie calkowitej porazki.

To byl swiat rodem z koszmaru sennego.

Nie bylo uciezki od potwornosci tego swiata. Gdziekolwiek sie obrocila, widziala tylko zniszczenie.

"Spojrz! - nakazywala sobie w myslach. - Patrz!" Spustoszenie... zniszczenia... zwalone

budynki, sciany juz porosniete przez pierwsze chwasty, zajmowane przez for-poczty jaszczurek. Wszedzie oznaki tej straszliwej nocy, kiedy bogowie jeszcze raz zeslali na swiat swe przeklenstwo. Cierpka, drazniaca won czarnego dymu unoszacego sie ze zgliszcz, ugaszonych przez ostatnie deszcze... ten inny dym, bialy i przenikliwy, klebiacy sie nad piwnicami, gdzie ogien wciaz plonal... wszedzie brud... ciala skrecone w agonii... wyraz szalenstwa w oczach tych nielicznych, co jeszcze nie umarli, od czasu do czasu wylaniajacych sie z ruin swoich domostw...

Cala wspanialosc zniknela. Cala wielkosc odeszla. Wszystko w gruzach, wszystko... jakby ocean podniosl sie i porwal wszystkie osiagniecia ludzkosci w otchlan niepamieci.

Siferze nieobce byly ruiny. Wiele lat spedzila kopiac posrod nich. Wykopaliska jednak odslanialy ruiny antyczne, pokryte patyna czasu, zagadkowe i romantyczne, a to, co ogladala obecnie, bylo nazbyt swieze, nazbyt bolesne i nie mialo w sobie nic romantycznego. Upadek zaginionych cywilizacji przeszlosci - to nie wzbudzalo wiekszych emocji. Teraz jej wlasna epoka powedrowala na smietnik historii i z tym trudno bylo sie pogodzic.

"Dlaczego tak sie stalo? - zapytywala sie w myslach. - Dlaczego? Dlaczego?"

Czy bylismy az tacy zli? Czy tak daleko zeszlismy ze sciezki, ktora wyznaczyli nam bogowie, ze zaslugiwalismy na taka kare?"

Nie.

329

Nie!Nie ma zadnych bogow; nie bylo zadnej kary".

Przynajmniej tego Siferra byla nadal pewna. Nie miala watpliwosci, ze zaglade przyniosl slepy los, bezosobowe ruchy bezdusznych, nieczulych planet i slonc tworzacych konkretna konfiguracje co dwa tysiace lat beznamietnym zbiegiem okolicznosci.

To wszystko. Zwykly przypadek.

Przypadek, ktoremu Kalgasz byl zmuszony stawiac czolo nieustannie w calej swej historii, wciaz od poczatku.

Od czasu do czasu gwiazdy zjawialy sie w swym straszliwym majestacie, a ludzkosc w spowodowanej lekiem agonii zwracala sie bezwiednie przeciw swym wlasnym dzielom, oszalala z powodu Ciemnosci, doprowadzona do obledu przez okrutne swiatlo gwiazd. To byl nie konczacy sie cykl. Popioly Tombo opowiedzialy wszystko. I teraz historia Tombo powtorzyla sie wlasnie tutaj. Dobrze powiedzial Teremon: "To miejsce nalezy juz do archeologii". Dokladnie tak.

"Świat, który znaleźliśmy, umarł - pomyślała Siferra. - Lecz my żyjemy. Jesteśmy tu nadal.

Co teraz zrobimy?" Jedyną pociechą wśród ponurych rozważań było dla niej wspomnienie pierwszego wieczoru spędzonego z Tere-monem - jego miłość była tak gwałtowna i niespodziewana, tak cudowna. Nieustannie wracała myślą do tych chwil. Jego dziwnie niesmiały uśmiech, kiedy poprosił, aby z nim została - to nie była żadna uwodzicielska sztuczka! Wyraz jego oczu... Dotyk jego dłoni na jej skórze... jego ramiona, oddech zlewający się z jej własnym...

Ile czasu minęło, odkąd była z mężczyzną! Niemal zapomniała, jak to jest - niemal. Dawniej zawsze towarzyszyło jej niepokojące uczucie, że popełnia błąd, wkracza na drogę donikąd, udaje się w podróż, której nie powinna nawet zaczynać. Z Teremonem było zupełnie inaczej: proste odrzucenie barier, leków i uprzedzeń, radosne poddanie się, ostateczna zgoda na to, że w tym rozdartym, pełnym udreki świecie nie może dłużej pozostawać sama, lecz musi

330

zawrzeć przymierze i ze Teremon, prostolinijny i szczery, wręcz szorstki, silny, zdecydowany i godny zaufania jest sprzymierzeńcem, którego potrzebuje i pragnie. Tak więc w końcu uległa, bez zbędnego wahania i bez żalu. "Co za ironia - myślała - że musiał nadejść koniec świata, abym się zakochała!" Chociaż to jej zostawało. Wszystko inne mogło być stracone, ale miała przynajmniej to jedno.

-Teremonie, patrz! Znak autostrady.

Z latami pod karykaturalnym kątem zwisała zielona metalowa tarcza pokryta szerniałymi plamami sadzy. W trzech czy czterech miejscach znaczyły ją dziury, prawdopodobnie po kulach, lecz jaskrawożółte litery były wciąż dość czytelne: WIELKA AUTOSTRADA POLUDNIOWA, a obok strzałka wskazująca kierunek na wprost.

-To nie może być więcej niż dwa, trzy kilometry stąd - powiedział Teremon. - Powinnismy tam dotrzeć za...

Nic skończył. Rozległ się nagły dźwięk, wysoki i swiszczący, a potem brzęk i ogluszający huk. Siferra zasłoniła uszy. Chwile później poczuła, jak Teremon obejmuje ją ramieniem i ciągnie na ziemię.

-Padnij! Ktoś do nas strzela! - wyszeptał chrapliwie.

W dłoni trzymał punktowiec. Siferra sięgnęła po swój. Spojrzała w górę. Pocisk uderzył w znak autostrady, w którym pojawiła się nowa dziura pomiędzy dwoma pierwszymi słowami. Kilka liter uległo zniszczeniu.

Teremon na czworakach posuwał się szybko ku ścianie najbliższego budynku. Siferra

podazyła za nim, czując się strasznie odsłonięta. To było gorsze niż stać nago przed Altinolem i ludźmi ze straży ogniowej. Stokrotnie gorsze. Następny strzał mógł nadejść w każdym momencie, z dowolnego kierunku, a ona nie miała możliwości obrony. Nawet kiedy minęła róg budynku i w zaułku skuliła się przy Teremonie, oddychając ciężko, z łomoczącym sercem, nie miała pewności, czy jest bezpieczna.

Teremon, skinal na szereg wypalonych w większości domów po drugiej stronie ulicy. Dwa czy trzy z nich były nietknięte: teraz dostrzegła brudne twarze, wycierające się za górnymi oknami najdalszego budynku.

331

-Tam są ludzie - powiedział Teremon. - Załóż się, że to dzicy lokatorzy. Pomyłki.-Widzę ich.

-Nie bój się naszych zielonych chust. Może straż nic dla nich nie znaczy tak daleko od miasta. Lub też strzelali do nas właśnie dlatego, że je nosimy.

-Tak myślisz?

-Wszystko jest możliwe. - Teremon podczołgał się trochę do przodu. - Zastanawiam się, czy chcą nas zabić, czy tylko przestraszyć? Jeśli próbowali nas zastrzelić, tylko nie potrafiały celować, moglibyśmy spróbować tam dobiec. Lecz jeżeli to było ostrzeżenie...

-Tak właśnie podejrzewam. Zabłakane kule zwykle nie trafiają prosto w środek tarczy.

-Chyba masz rację. - Teremon nachmurzył się. - Dam im znać, że jesteśmy uzbrojeni. Zniechęce ich do próby wysłania kilku ludzi, którzy mogliby zająć nas od tyłu.

Wyregulował punktowiec na szeroki strumień i maksymalny dystans. Potem podniósł broń i oddał pojedynczy strzał. Wiązka czerwonego światła zaskwierczała w powietrzu i uderzyła w ziemię tuż przed frontem domu, w którym przed chwilą widzieli twarze. Na trawniku pojawiło się czarne wypalone miejsce, a do góry uniosły się smutki dymu.

-Sądziś, że to zauwazyli? - zapytała Siferra.

-Na pewno, chyba że zwariowali na tyle, że nie zwracają już na nic uwagi. Przypuszczam jednak, że widzieli, i to dobrze. I nie spodobało im się to zbyt.

Twarze wróciły do okien.

-Nie podnos się - ostrzegł Teremon. - Maja jakąś dużą myśliwską strzelbę. Widzę otwór lufy. Usłyszeli kolejny świst i następny potężny huk. Roztrzaskany znak spadł na ziemię.

-Może to i są pomyłki - odezwała się Siferra - ale celują diabelnie dobrze.

-Zbyt dobrze. Bawili się z nami, kiedy strzelali pierwszy raz. Śmieli się z nas. Dają do zrozumienia, że jeśli wy-sciubimy stąd nosy, odstrzela je nam. Jesteśmy tu unieruchomieni i to ich bawi.

332

-Czy możemy się stąd wydostać, idąc do końca tego zaułka?-Tam są tylko gruzy. Po drugiej stronie zaś, jeśli dobrze się orientuje, czeka na nas jeszcze więcej dzikich lokatorów.

-Więc co zrobimy?

-Podpalimy ten dom - zdecydował Teremon. - Wykurzymy ich. I zabijemy, jeśli okaże się na tyle szaleni, aby się nie poddać.

-Zabijemy ich? - Siferra patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

-Tak, zabijemy, jeśli nie pozostawia nam wyboru. Chcesz dotrzeć do Amgando, czy wolisz spędzić resztę życia ukrywając się w tym zaułku?

-Ale nie możesz tak po prostu zabijać ludzi, nawet jeśli ty... nawet gdyby oni...

Głos jej się załamał. Nie wiedziała już, co chciała powiedzieć.

-Nawet kiedy oni próbują zabić cię, Siferra? Nawet kiedy myślała sobie, że to nie była zabawa posłać ci nad uchem parę swiszczących strzałów?

Nie odpowiedziała, Myślała, że zaczyna pojmować prawa rządzące tym nowym, potwornym światem, który narodził się w noc zaciemnienia, lecz zdała sobie sprawę, że dotąd nie rozumiała absolutnie nic.

Teremon znowu podczołgał się nieco w kierunku ulicy. Wycelował.

Rozżarzona wiązka światła uderzyła w białą fasadę domu na końcu ulicy. Drewno momentalnie szerniało. W górę wystrzeliły małe plomyki ognia. Pociągnął serię w poprzek frontowej ściany budynku, przerwał na chwilę, znowu dał ognia, poprawiając drugą serią wzdłuż pierwszej.

-Daj mi swoją broń - powiedział. - Moja się przegrzewa.

Podala mu punktowiec. Ustawił go i wystrzelił po raz trzeci. Palil się już fragment przedniej ściany domu. Teremon nakierował promień do wewnątrz budynku.

"Nie tak dawno ten biały drewniany dom do kogoś

333

należał - myślała Siferra. - Mieszkała tam jakaś rodzina, ludzie dumni ze swego domu i osiedla. Pielegnowali trawnik, podlewali rośliny, bawili się ze zwierzętami, wydawali kolacje dla przyjaciół, siedzieli na tarasie, sączać koktajle i obserwując słońca wędrujące po wieczornym niebie. Teraz to nie ma już żadnego znaczenia. W tej chwili Teremon systematycznie i skutecznie podpala ten dom, leżąc na brzuchu w zaulku usłanym gruzami i popiołem. Bo jest to jedyny sposób, abyśmy mogli się stąd bezpiecznie wydostać i iść dalej do Amgando".Doprawdy, świat rodem z sennego koszmaru.

Nad budynkiem unosił się teraz słup dymu. Cała lewa strona fasady stała w płomieniach.

Z okien na piętrze wyskakiwali ludzie.

Troje, czworo, pięcioro. Krztusili się., z trudem chwytając powietrze. Dwie kobiety, trzech mężczyzn. Spadli na trawnik i leżeli tam przez moment, jakby oszłomieni. Mieli obszarpane i brudne ubrania, rozczochrane włosy. Pomyłenci. Byli kims innym przed zapadnięciem nocy, ale teraz stanowili jedynie cząstkę tej nieprzeliczonej hordy ludzi niesionych z prądem wydarzeń, dzikich, o szalonym wzroku, których równowaga psychiczna została zachwiana, być może na zawsze, przez raptowną, niespodziewaną eksplozję oslepiającego blasku gwiazd, jaki spłynął na ich nie przygotowane zmysły.

-Wstawac! - krzyknął do nich Teremon. - Rece do góry! Już! Szybciej! Rączki, rączki! - Wyszedł z ukrycia, trzymając oba punktowce. Siferra stanęła obok niego. Dom spowijały teraz kleby gęstego dymu, a w glebi widoczne były potężne i groźne płomienie ognia, strzelające w górę ze wszystkich stron niczym łopoczące szkarłatne sztandary.

Czy w środku byli jeszcze uwięzieni ludzie? Ktoż to mógł wiedzieć? Co to miało za znaczenie?

-Ustawic się w szeregu! - rozkazał Teremon. - Własnie tak! Twarza na lewo!

Usiłowali wykonać polecenie. Jeden z mężczyzn nieco się ociągał i Teremon posłał wiązkę z punktowca tuż przy jego głowie, aby zachęcić go do współpracy.

334

-Teraz biegiem! Przed siebie! Szybciej! Szybciej! Jedna ściana budynku zawałowała się ze straszliwym, ogluszającym łoskotem. Widac było wewnątrz pokoi - niczym w domku dla lalek, który przecięto na pół. Wszystko stało w płomieniach. Dzicy lokatorzy byli już niemal na rogu ulicy. Teremon nie przestawał ich przynaglać, pokrzykując i od czasu do czasu strzelając im pod nogi.-W porządku. - Odwrócił się do Siferry. - Zbierajmy się stąd!

Schowali punktowce w kabury i pobiegli w przeciwnym kierunku, zmierzając do Wielkiej Autostrady Południowej.

-A gdyby się nie poddali, tylko zaczęli strzelać? - spytała Siferra, kiedy wreszcie w oddali

zobaczyli wjazd na autostradę. Szli przez rozległe pola w jego kierunku. - Czy naprawdę byś ich zabił?

Teremon obrzucił ją twardym, zaciętym spojrzeniem.

-Myslałem, że już ci odpowiedziałem na to pytanie. Oczywiście, że tak bym zrobił, jeśli byłby to jedyny sposób, w jaki moglibyśmy się wydostać z tego zaułka. Nie miałbym wyboru. Co innego mogłbym zrobić?

-Sadze, że nic - odparła Siferra ledwo dosłyszalnym szeptem.

Wciąż przed oczami miała obraz płonącego budynku. I uciekających ulicą ludzi w lachmanach.

To oni strzelali pierwsi. Oni zaczęli. Trudno powiedzieć, jak daleko by się posuneli, gdyby Teremon nie wpadł na pomysł podpalenia tego domu.

Domu... Czyjegos domu...

"Niczyjegos domu" - poprawiła się w myślach.

-Jesteśmy na miejscu - odezwał się Teremon. - Wielka Autostrada Południowa. Do Amgando mamy milę, przyjemna pięciogodzinna przejazdka. Moglibyśmy tam być przed kolacją.

-Gdyby tak mieć samochód - dodała Siferra.

-Gdyby.

39

Wprawdzie Teremon niejedno widział, ale nie był przygotowany na to, co zobaczył na Wielkiej Autostradzie Południowej. To przerastało najkoszmarniejsze sny inżynierów ruchu drogowego. Teremon i Siferra mijając przedmieścia wszędzie napotykali porzucone na ulicach pojazdy. Bez wątpienia wielu kierowców ogarniętych paniką w chwili pojawienia się gwiazd zatrzymało samochody i uciekło, mając nadzieję na znalezienie jakiejś kryjówki przed straszliwą, obezwładniającą jasnością, która nagle rozświetliła niebiosa.

Lecz opuszczone pojazdy zasmiecające ulice tych spokojnych willowych dzielnic były przypadkowo rozrzucone tu i owdzie. Na tych osiedlach ruch uliczny był najprawdopodobniej dość mały w chwili zaciemnienia, jak zwykle u schyłku każdego powszedniego dnia.

Jednak Wielka Autostrada Południowa - zatłoczona międzymiastowym ruchem przelotowym - musiała zamienić się w istny dom wariatów w tym samym momencie, w którym światem wstrząsnął kataklizm.

-Spojrz tylko - wyszeptal Teremon przejeży groza.

-Niewiarygodne. - Siferra potrzasnala glowa. Nie potrafila nic wiecej powiedziec. -
Niewiarygodne.

Samochody byly wszedzie - zwarte masy zelastwa nagromadzone w chaotycznej plataninie, miejscami stloczone w sterty wysokosci dwoch, trzech pojazdow. Szeroka szosa byla niemal kompletnie zablokowana - prawdziwa sciana wrakow nie do przebycia. Niektore lezaly do gory kolami. Z wielu pozostaly jedynie wypalone szkielety. Jasne kaluze rozlanego paliwa blyszczaly niczym krystaliczne jeziorka. Kupki szklanych odlamkow nadawaly nawierzchni zlowrozbny polysk.

Martwe samochody i martwi kierowcy.

Nie ogladali jeszcze nic tak straszego. Przed nimi rozciagala sie nieprzeliczona armia trupow. Widzieli ciala tkwiace za kierownicami pojazdow, ciala zmiazdzone miedzy samochodami, ciala przygniecione kolami. Ludzkie

336

trupy z konczynami zastyglymi w groteskowych pozach zascielaly obie strony szosy niczym zalosne, porzucone lalki.-Prawdopodobnie niektorzy kierowcy zatrzymali sie natychmiast, kiedy pokazaly sie gwiazdy - powiedziala Siferra. - Inni przyspieszyli probujac zjechac z autostrady i dostac sie do domu. Uderzali kolejno w te pojazdy, ktore staly. Jeszcze inni byli tak oszolomieni, ze zupełnie zapominali, jak sie prowadzi samochod - spojrz tam, ci przejechali przez balustrade i spadli w dol, a ten tu chyba zawrocił i probowal jechac pod prad...

-Straszliwa, kolosalna kraksa. - Teremon z niedowierzaniem krecil glowa. - Pojazdy zderzajace sie ze wszystkich stron naraz. Obracane dookola, przewalane na dach, ciskane w poprzek drogi na przeciwnie pasy ruchu. Ludzie uciekajacy, szukajacy schronienia, uderzani przez nadjezdzejace samochody. Wszystko oszalalo na piecdziesiat roznych sposobow. - Zasmial sie gorzko.

-Co takiego smiesznego w tym widzisz, Teremonie? - spytala zaskoczona Siferra.

-Moja glupote. Czy wiesz, Siferro, ze pol godziny temu, kiedy zblizalismy sie do autostrady, przemknela mi przez glowe szalona mysl, ze moglibysmy po prostu wsiasc do jakiegos opuszczonego wozu, ktory okazalby sie pelen paliwa i gotow do drogi, i pojechac nim do Amgando? Tak zwyczajnie, wygodnie... Ani przez moment nie pomyslam, ze szosa bedzie kompletnie zatkana i ze nawet gdybysmy mieli dosc szczescia, by znalezc samochod nadajacy sie do uzytku, nie zdolalibysmy przejechac nim i dziesieciu metrow...

-Nawet marsz ta droga bedzie wystarczajaco trudny.

-Tak, ale musimy go podjac.

W ponurym nastroju wyruszyli w dluga droge.

Bylo wczesne popoludnie. W cieplych promieniach Onosa posuwali sie ostroznie przez pobojuwisko na autostradzie, przedzierajac sie przez poskrecane i powyginane wraki pojazdow, usilujac nie zwracac uwagi na zweglone trupy, wyschniete kaluze krwi i unoszacy sie w powietrzu fetor smierci.

Teremon czul, jak narasta w nim obojetnosc. To bylo 22 - Nastanie nocy 337 chyba najbardziej zatrwarzajace. Po prostu przestal zauwazac zakrzepla krew, puste oczy trupow, ogrom katastrofy, ktora tutaj miala miejsce. Wdrapywanie sie na spietrzone gory pojazdow i przedzieranie miedzy niebezpiecznie wystajacymi kawalkami ostrego metalu bylo zajeciem na tyle pochlaniajacym uwage, ze zmuszalo go do calkowitej koncentracji i wktotce przestal zwazac na wszystko inne dokola. Wiedzial juz, ze nie mialo sensu sprawdzanie, czy ktos pozostal przy zyciu. Kazdy uwieziony tu przez tyle dni z pewnoscia zmarlby do tej chwili z wyczerpania.

Siferra takze szybko sie przystosowywala do tej koszmarnej scenerii. Szla obok, uwaznie pokonujac przeszkody, czasem zatrzymujac sie, aby wskazac luke w plataninie zelastwa, czasem posuwajac sie na czworakach, aby precisnac sie pod jakas sterczaca blacha. Prawie sie nie odzywala.

Byli niemal jedynymi zywyimi istotami na szosie. Od czasu do czasu dostrzegali daleko przed soba kogos podazajacego na poludnie lub nawet zmierzajacego w kierunku Saro, lecz nigdy nie doszlo do spotkania. Inni podrozni pospiesznie usuwali sie z zasiegu wzroku, kryjac sie w rumowisku lub tez, jezeli byli z przodu, zaczynali zapamietale przedzierac sie dalej w tempie, ktore swiadczylo o panicznym strachu, i wktotce znikali na horyzoncie.

"Czego sie boja? - zastanawial sie Teremon. - Boja sie, ze ich zaatakujemy. Czy teraz kazdy podnosi reke na drugiego?" Raz, w jakas godzinie od rozpoczecia wedrowki Wielka Autostrada Poludniowa, ujrzeli ubloconego mezczyzne, ktory szedl od auta do auta, rabowal dobytek umarlych i szperal w ich portfelach. Na plecach dzwignal wielki worek lupow, tak wypchany, ze poruszal sie z trudem, ugiety pod jego ciezarem.

Teremon zaklal i siegnal po punktowiec.

-Spojrz na te nedzna kreature! Spojrz na niego!

-Teremonie, nie!

Siferra podbila mu reke w tej samej chwili, gdy poslal wiazke w szabrownika. Strzal uderzyl w sasiedni samochod, na moment wzniecajac ognisty blask odbitej energii.

-Dlaczego to zrobilas? - spytał Teremon. - Chciałem go tylko nastraszyć.-Myślałam... że ty...

-Nie. - Teremon ponuro pokręcił głową. - W każdym razie jeszcze nie teraz. Patrz, jak ucieka!

Rabus obrócił się na dźwięk wystrzału, spoglądając w obłędnym, nieprzytomnym zdziwieniu na Teremona i Siferre. Jego oczy były puste, z ust ciekła mu ślina. Gapił się przez dłuższą chwilę, wreszcie porzucił worek i zaczął przemykać się w dzikiej, desperackiej ucieczce po dachach pojazdów. Szybko znikł im z oczu.

Ruszyli dalej.

Była to powolna, mozolna wędrowka. Lśniące znaki drogowe, zawieszane wysoko w górze na podporach, szydziły z ich żalonych postępów ogłaszając, jak niewielki dystans udało im się przebyć. Do zachodu Onosa uszli zaledwie dwa i pół kilometra.

-W tym tempie dotarcie do Amgando zajmie nam blisko rok - zauważył Teremon posepnie.

-Bedziemy się poruszać szybciej, kiedy nabierzemy nieco wprawy - odparła Siferra bez przekonania.

Gdyby tylko mogli iść jakas ulica równoległa do autostrady, nie musząc brnąć po zawałonej wrakami szosie, wszystko byłoby znacznie łatwiejsze. To jednak było niemożliwe. Wielka Autostrada Południowa biegła głównie estakadami, wznosząc się na wysokich słupach ponad połaciami lasu, bagnami i strefami przemysłowymi. Niekiedy szosa stawiała się wiaduktem ponad terenami kopalni odkrywkowych. Czasami w dole lśniła tafla jeziora lub płynęła rzeka. Nie mieli wyboru, musieli iść trasą, która niegdyś stanowiła główne pasy ruchu autostrady, choć przedzieranie się przez nie mające końca szeregi wraków wymagało nadludzkiego prawie wysiłku.

Na ile mogli, starali trzymać się skraju drogi, gdyż było tam mniej rozbitych pojazdów. Spoglądając na tereny w dole, wszędzie dostrzegali oznaki panującego wciąż chaosu.

Nadal szalały pożary, chociaż od zaciemnienia minęło już tyle czasu. Az po horyzont widac było wypalone domy. Sporadycznie niewielkie grupki zablakanych ucho339 dzców, najwyraźniej ogłuszonych i oszłomionych, przedzierały się przez zawałone gruzami ulice w jakiejś beznadziejnej, desperackiej migracji. Czasem zdarzała się znaczniejsza grupa, tysiąc, a może więcej ludzi, obozująca na otwartej przestrzeni. Wszyscy odpoczywali rozłożeni bezładnie, pogrążeni w smutku i jakby sparaliżowani - ich wola i energia zostały doszczętnie zniweczone.

Siferra wskazała na wypaloną świątynię na szczycie wzgórza, niedaleko od autostrady. Mała grupka ludzi w lachmanach gramoliła się po zwalonych ścianach, podważała łomami jeszcze stojące bloki szarego kamienia, aby je obłuzować i zepchnąć na dziedziniec.

-Oni ja chyba burza - zauwazyła. - Po co to robia?

-Poniewaz nienawidza bogow - odparl Teremon. - Obwiniaja ich o wszystko, co sie stalo... Znasz Panteon, wielka Katedre Wszystkich Bogow, tuz za lasem, ze slawnymi freskami Tamilandiego? Widzialem ja w pare dni po zacmieniu. Byla doszczetnie spalona - sterta gruzow, wszystko zniszczone i tylko jeden polprzytomny kaplan wystajacy ze stosu cegiel. Teraz wiem, ze nie byl to przypadek, iz splonela. Ogien podlozono z premedytacja. A kaplan... jakis oblakany zabil go na moich oczach i sadzilem, ze po to, aby ukrasc jego strojne szaty. Lecz moze nie. Moze uczynil to z czystej nienawisci.

-Ale przeciez to nie kaplani spowodowali...

-Tak latwo zapomnialas Apostolow? Mondiora, przez cale miesiace wmawiajacego nam, ze to, co nastapi, bedzie zemsta bogow? Przez kaplanow przemawiaja bogowie, czyz nie mam racji, Siferro? Skoro nie potrafili sprowadzic ludzkosci ze zlej sciezki i bogowie musieli ukarac nas w tak okrutny sposob, to dlaczego nie zalozyc, ze wlasnie kaplani sa odpowiedzialni za nadejscie gwiazd? Tak przynajmniej moga myslec ludzie.

-Apostolowie! - wykrzyknela Siferra z gorycza. - Chcialabym moc o nich zapomniec. Jak myslisz, co teraz robia?

-Przeczekali zacmienie calo i zdrowo w swoim wiezowcu.

-Tak. Musieli przetrwac noc w calkiem dobrym stanie.

340

Byli przeciez przygotowani. Co mowil Altinol? Ze juz sprawuja wladze nad polnocna czescia Saro? Teremon spogladal posepnie na zdewastowana swiatynie.-Moge sobie latwo wyobrazic ten rodzaj wladzy - powiedzial glucho. - Zadekretowana cnota. Mondior wydajacy nowe przykazania moralne w kazdy Dzień Onosa. Wszystkie formy przyjemnosci zabronione przez prawo. Cotygodniowe publiczne egzekucje grzesznikow. - Splunal na wiatr. - O Ciemnosci! Pomyslec, ze moglem zadusic Folimuna wlasnymi rekoma i pozwolilem mu uciec...

-Teremonie!

-Wiem. Co dobrego by z tego wyniklo? Jeden Apostol mniej czy wiecej... Niech sobie zyja. Niech ustanawiaja swoja wladze i kazdemu, kto ma taki niefart, iz znalazl sie na polnoc od Saro, mowia, co ma robic i myslec. Dlaczego mielibysmy sie tym przejmowac? My zmierzamy na poludnie. To, co robia Apostolowie, nas nie dotyczy. Kiedy sie wszystko skonczy, beda po prostu wladcami jednego z piecdziesieciu rywalizujacych ze soba, skloconych panstewek. Moze jednego z pieciu tysiecy. Kazda dzielnica bedzie miala swojego wlasnego dyktatora, swojego wlasnego cesarza. - Glos Teremona zalamal sie nagle. - Och, Siferro, Siferro...

Ujela go za reke.

-Znow siebie obwiniasz, prawda? - spytala cicho.

-Skad wiesz?

-Mowiles z takim przejeciem... Teremonie, powtarzam ci, nie jestes niczemu winien!
Wszystko zdarzyloby sie bez wzgledu na to, co napisales w gazecie. Dlaczego nie mozesz
tego zrozumiec? Zaden czlowiek nie zdolalby nic zmienic. To bylo przeznaczenie. Swiat
musial przejsc przez kataklizm i nikt nie mogl temu zapobiec...

-Przeznaczenie?! - przerwal jej Teremon gwaltownie. - Jak na ciebie, to dosc dziwne slowo!
Zemsta bogow, czy to mialas na mysli?

-Nie powiedzialam ani slowa o bogach. Chodzilo mi jedynie o to, iz bylo nam przeznaczone,
ze Kalgasz Dwa nadejdzie, lecz przeznaczone nie przez bogow, ale przez prawa astronomii,
tak samo jak zacmienie, noc i gwiazdy...

-Tak - rzucil Teremon obojetnie. - Tez tak sadze.

341

Szli przez zatloczony odcinek autostrady. Onos juz zaszedl, swiecily wieczorne slonca -
Sitha, Tano i Dovim. Od zachodu wial chlodny wiatr. Teremon czul narastajace ssanie w
zoladku. Przez caly dzien nie mieli czasu, aby cos zjesc. Teraz zatrzymali sie pomiedzy
dwoma wypalonymi samochodami na odpoczynek i wyjeli kilka porcji zabranych z
Sanktuarium. Teremon ze zdziwieniem stwierdzil, ze nie ma apetytu i wmusza w siebie
kazdy kes. Wykrzywione w przerazajacych grymasach twarze umarlych patrzyly na niego z
pobliskich wozow. Idac wciaz przed siebie, pokonujac przeszkody, byl w stanie je
ignorowac, ale teraz, kiedy siedzial na srodkowym pasie autostrady, najwspanialszej
niegdys drogi w prowincji, nie mogl zachowac obojetnosci. Czul sie tak, jakby osobiscie
zamordowal tych wszystkich ludzi wokol.

Zrobili sobie lozka z miekkich foteli samochodowych i spali obok siebie plytkim, urywanym
snem, ktory nie bylby wiele gorszy, gdyby polozyli sie wprost na twardej betonowej
nawierzchni.

Przez caly czas budzily ich krzyki, chrapliwe smiechy, spiewy w oddali. Teremon raz wyrzal
przez barierke i zobaczyl ogniska na polach w dole, moze o dwadziescia minut marszu na
wschod. Czy ktokolwiek jeszcze spal pod dachem? Czy tez wplyw gwiazd byl tak
powszechny, ze cala ludzkosc wyniosla sie ze swych domow, aby obozowac pod gołym
niebem podobnie jak on z Siferra, w dobrze znajomym swietle wiekuistych slonc?

Zdrzemnal sie w koncu przed switem. Ledwo zdazyl zasnac, gdy wzeszedl Onos, rozowy,
potem zlocisty, i wyrwal go z niespokojnych, koszmarnych snow.

Siferra juz sie obudzila. Byla blada, oczy miala zaczerwienione i podpuchniete.

Teremon zdobył sie na usmiech.

-Wygladasz przeslicznie - powiedzial do niej.

-O, to jeszcze nic. - Obojetnie wzruszyła ramionami. - Powinienes mnie zobaczyc wtedy, gdy nie mylam sie przez cale dwa tygodnie.

-Ale ja chcialem powiedziec...

342

-Wiem, co chciales powiedziec - przerwala. - Przynajmniej tak sadze. Tego dnia zrobili szesc kilometrow, a kazdy krok wymagal od nich wielkiego wysilku.

-Potrzebujemy wody - powiedziala Siferra, kiedy zerwal sie wieczorny wiatr. - Musimy przy najblizszym zjezdzie opuscic autostrade i poszukac zrodla.

-Masz racje - zgodzil sie Teremon. - Bez wody dlugo nie pociagniemy.

Odczuwal niepokoj na mysl o zejsci na dol. Od poczatku podrozy mieli autostrade wylacznie dla siebie, a obecnie czuli sie juz niemal swojsko posrod plataniny rozbitych, zmiazdzonych i wypalonych pojazdow. W dole, polami szly bandy uchodzcow ("Zaraz, zaraz - pomyslal - dlaczego nazywam ich uchodzcami? Czyzbym ja sie wybral na jakas wycieczke?") i Teremon nie mial watpliwosci, w jakiego rodzaju klopoty ich dwoje moze sie wpakowac.

Jednak Siferra miala racje. Musieli zejsc na dol i znalezc wode. Zapas, ktory wzeli ze soba, byl prawie na wyczerpaniu. A byc moze takze lepiej sie poczuja, kiedy spedza troche czasu z dala od nie konczacego sie lancucha zdemolowanych aut i sztywnych, jakby przygladajacych sie im trupow. Latwiej bedzie isc do Amgando.

-Kilometr do najblizszego zjazdu. - Teremon wskazal reka na pobliski znak drogowy.

-Powinnismy sie tam dostac w godzinie.

-Mniej. Droga przed nami wyglada na dosc pusta. Zejdziemy z autostrady, szybko zalatwimy nasze sprawy, a potem wrocimy spac tu na gore. Bezpieczniej jest polozyc sie gdzies miedzy samochodami niz na otwartej przestrzeni.

Siferra uznala to za logiczne. Na tym stosunkowo mniej zapchanym kawalku drogi poruszali sie predko w kierunku zblizajacej sie rampy zjazdowej, podrozujac w tempie, jakiego nie osiagneli na zadnym jeszcze odcinku autostrady. Niemal w mgnieniu oka dotarli do kolejnego znaku drogowego, ktory przypominal, ze zjazd jest za pol kilometra.

Wtedy jednak szczęście przestało im sprzyjać. W tym miejscu szosa była zatarasowana przez tak potężny zwal

343

wraków, iż Teremon uznał, że w ogóle nie będzie w stanie przezeń się przedostać. Musiała się tu rozegrać prawdziwie monstrualna seria wypadków, coś potwornego nawet jak na to wszystko, przez co on i Siferra dotąd przeszli. W samym środku tkwiły dwie olbrzymie ciężarówki, sczepione zderzak w zderzak niczym dwie dzikie, walczące bestie; wyglądało na to, że dziesiątki samochodów osobowych uderzały w nie, wylatując w górę i spadając na inne, które nadjeżdżały z tyłu, tworząc gigantyczną barierę, sięgającą od jednego kranca szosy do drugiego, a nawet poza boczną balustradę. Wystające zewsząd pogięte drzwi i błotniki, ostre jak brzytwa, oraz kawałki rozbitego szkła wydawały złowieszcze dźwięki, kiedy hulał wśród nich wiatr.

-Chodź tutaj! - zawołał Teremon. - Chyba znalazłem przejście: do góry przez tę przerwę, a potem po tej ciężarówce po lewej stronie... nie, nie, to się nie uda, musimy przejść dołem...

Siferra podeszła bliżej. Pokazał jej, dlaczego zrezygnował z pierwotnego zamysłu. Przy drugim kranca zwalowiska grupa samochodów sterczała pionowo w górę. Ich błotniki i kawałki blach jeżyły się niczym ostrza noży.

Zaczeli się przeciskać pod spodem. Było to mozolne, uciążliwe i bolesne czolganie się w brudzie, przez odłamki szkła i lepkie kaluże paliwa. W połowie drogi musieli odpocząć.

Teremon pierwszy wynurzył się po drugiej stronie przeszkody.

-Bogowie! - jeknął. - Co teraz?

Jakies piętnaście metrów przed nimi autostrada była pusta i zaraz wznosiła się druga zapora, przegradzająca drogę w poprzek. Ta jednak została skonstruowana rozmyślnie - sterta drzwi i koł starannie nagromadzonych na wysokość dwóch, trzech metrów.

Przed frontem tej barykady ze dwudziestu ludzi rozłożyło się obozowiskiem na środku autostrady. Teremon tak był pochłonięty przeciskaniem się przez gąszcz wraków, że nie zwracał uwagi na odgłosy dochodzące z drugiej strony.

Siferra wyczolgała się spod zwalowiska i stanęła mu za plecami. Słyszał, jak wstrzymała oddech ze zdumienia.

344

-Trzymaj rękę na punktowcu - wyszeptał - ale go nie wyciągaj. Niech ci nawet przez myśl nie przyjdzie go użyć. Jest ich zbyt wielu. Szesciu czy siedmiu krzepko wyglądających mężczyzn niespiesznie ruszyło w ich stronę. Teremon stojąc bez ruchu obserwował, jak się

zblizaja. Widzial, ze od tego spotkania nie ma ucieczki, zadnej nadziei na odwrot przez labirynt wrakow, ktory wlasnie pokonali. Na tej niewielkiej przestrzeni miedzy dwiema barierkami byli z Siferra zamknieci w pulapce. Mogli jedynie czekac na to, co sie wydarzy, i miec nadzieje, ze ci ludzie okaza sie w miare normalni.

Wysoki, barczysty mezczyzna o zimnym spojrzeniu zblizal sie powoli do Teremona, az znalazl sie z nim niemal twarza w twarz.

-Dobra, chlopcze - odezwal sie. - To jest stacja kontroli. - Ostatnie slowo wymowil ze szczegolnym naciskiem.

-Stacja kontroli? - powtorzyl Teremon chlodno. - A coz to kontrolujecie?

-Nie badz taki madry, bo przelecisz przez balustrade glowa naprzod. Wiesz cholernie dobrze, co kontrolujemy. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Skinal na pozostalych, a ci podeszli i zaczeli obmacywac ubrania ich obojga. Teremon ze zloscia odepchnal rewidujace go rece.

-Pozwolicie nam przejsc - rzekl ostro.

-Nikt nie przechodzi tedy bez kontroli.

-Czyja to decyzja?

-Moja. Zgodzisz sie dobrowolnie, czy trzeba bedzie cie zmusic?

-Teremonie... - szepnela Siferra z niepokojem. Strzasnal jej reke. Narastala w nim wscieklosc. Rozum podpowiadal mu, ze proba oporu jest szalenstwem, gdyz przeciwnicy zdecydowanie przewyzzszali ich liczebnie, a ten wysoki mezczyzna wyraznie nie zartowal.

Ci ludzie nie wygladali na zwyklych bandytow. Bylo cos brzmiacego jakby oficjalnie w slowach tego mezczyzny, jak gdyby znajdowali sie na jakiejys granicy, moze w punkcie

345

celnym. Czego szukali w czasie kontroli? Zywnosci? Broni? Czy ci ludzie sprobuja odebrac im punktowce? Teremon uznal, ze lepiej oddac im wszystko, niz glupio zginac w beznadziejnej probie walki o prawo do swobodnego podrozowania. Z drugiej strony, byc poniewieranym w ten sposob, zmuszanym do uleglosci na publicznej drodze...

Poza tym nie mogli sobie pozwolic na oddanie punktowcow ani zapasu zywnosci. Od Amgando dzielily ich wciaz setki kilometrow.

-Ostrzegam cie... - zaczal wysoki mezczyzna.

-A ja ostrzegam ciebie, trzymaj lapy przy sobie. Jestem obywatelem Federalnej Republiki Saro, ta autostrada jest wciaz otwarta dla wszystkich obywateli, niezaleznie od tego, co sie zdarzylo. Nie masz nade mna zadnej wladzy.

-Gada jak profesor - rozesmial sie jeden z mezczyzn. - Te wywody o jego prawach i cala reszta.

-Mamy juz swojego profesora. - Wysoki mezczyzna wzruszyl ramionami. - Wiecej nie potrzebujemy. Wystarczy tej gadki. Bierzcie go i poddajcie kontroli. Od stop do glow.

-Puscie... mnie...

Jakas reka chwycila Teremona za ramie. Szybkim ruchem wyprowadzil w gore piesc i wpakowal ja w czyjes zebra. To wszystko wydalo mu sie bardzo znajome: kolejna bojka, kolejne lanie, ktore go oczekiwalo. Jednak byl zdecydowany walczyc. Wchwile pozniej ktos uderzyl go w twarz, a ktos inny zlapal za lokiec. Uslyszal Siferre krzyczaca ze strachu i wscieklosci. Sprobował sie uwolnic, znow kogos uderzyl, sam zostal uderzony, uchylił się, obrocil, dostal potezny, bolesny cios w glowe...

-Hej, zaczekajcie! - doszedl go jakis glos. - Przestancie! Batella, zostaw tego czlowieka! Fridnor! Talpin! Puscie go!

Ten glos byl znajomy.

Ale skad?

Kontrolerzy cofneli sie. Teremon, chwiejac sie nieco i starajac utrzymac rownowage, spojrzal na nowo przybylego.

346

Szczuply, zylasty mezczyzna, szc/er/acy do niego /coy w usmiechu, inteligentne blyszczace oczy spogladajace z brudnej od kurzu twarzy...Tak, znal tego czlowieka.

-Biney!

-Teremon! Siferra!

40

W jednej chwili ich sytuacja calkowicie sie zmienila. Biney zaprowadzil Teremona i Siferre do zadziwiajacego przytulnego malego gniazdka zaraz po drugiej stronie barykady: poduszki, zaslony, rzad pojemnikow zawierajacych najprawdopodobniej rozne r/t-./^ do jedzenia. Lezala tam szczupla, mloda kobieta, Lev- i noge miala zabandazowana. Wygladala na chora i rozpalona goraczka, ale gd? w^.zl-', poslala im przelotny blad

u^iiliech.-Na pewno pamielas/ Kaisse 717. prawda, Teicmo-nie? - powiedzial Biney. Raisso. 10 jest Siferra ^-9 z Wydzialu Archeologii. Mowilem ci o niej i ojej odkryciach na temat pozarow w dalekiej przeszlosci. Rai ssa jest moja kontraktowa partnerka - wyjasnil Siferze.

Teremon znal Raisse, spotkal ja kilka razy, widujac sie z Bineyem, ale to bylo w innej epoce, w swiecie, ktory juz umarl. Z trudem ja rozpozna. Pamietal mila, smukla, gustownie ubrana kobiete, zawsze zadbana i elegancka, a teraz... Ta wychudzona, watla i wymizerowana dziewczyna o zapadlych oczach, z posklejanymi wlosami... To cien dawnej Raissy!

Czy rzeczywiscie zaledwie kilka tygodni uplynelo od zmierzchu? Nagle wydalo mu sie to calymi latami. Niemal wiecznoscia - musialo minac kilka epok geologicznych...

-Teremonie, co bys powiedzial na kieliszek koniaku? - zaproponowal Biney.

-Mowisz serio? - Teremon szeroko otworzyl oczy ze zdziwienia. - Czy wiesz, od jak dawna nie mialem alkohol. w ustach? O ironio losu! Ty, abstynent, ktorego musialem ?47 namawiac do wypicia pierwszego lyku Tano Special, ty wlasnie masz tu schowana ostatnia butelke koniaku na swiecie!

-Siferro? - Biney ustawil kieliszki.

-Poprosze. Ale tylko odrobine.

-To jest wlasnie dokladnie tyle, ile mamy. - Astronom nalal trzy porcje wielkosci naparstka. Teremon poczul, ze koniak zaczyna go rozgrzewac.

-Biney, o co tu chodzi? - zapytal. - Co to za kontrola?

-To ty nic nie wiesz o kontroli?

-Nic a nic.

-Gdziescie sie obydwaje podziewali od zacmienia?

-Glownie w lesie. Siferra odnalazla mnie pobitego przez jakichs bandytow i zabrala do Sanktuarium, abym mogl wylizac sie z ran. A przez ostatnie pare dni idziemy ta droga, majac nadzieje dotrzec do Amgando.

-A wiec wiecie o Amgando?

-Od ciebie, tyle ze nie bezposrednio. W lesie spotkalem Szirina. Byl w Sanktuarium niebawem po waszym odejsciu i znalazl twoja wiadomosc na temat Amgando. Powiedzial to mnie, a ja Siferze. I razem zdecydowalismy, ze tam pojdziemy.

-Razem z Szirinem? To gdzie on jest w takim razie?

-Nie szedł z nami. On i ja rozdzieliliśmy się parę dni temu. Szirin wyruszył do Amgando na własną rękę, a ja zostałem w lesie, by odszukać Siferre. Nie mam pojęcia, co się z nim stało... Biney, czy mogłbym dostać jeszcze jeden łyżeczek? Zaczęłaś mówić o kontroli.

Biney nalal Teremonowi kolejną porcję. Spojrzył na Siferre, która przecząco potrząsnęła głową.

-Jeśli Szirin podróżował sam, najprawdopodobniej wpadł w tarapaty - rzekł z niepokojem. - Nie przechodził tą drogą, od kiedy ja tu jestem, a Wielka Autostrada Południowa jest jedynym szlakiem, którym podąża każdy, kto pragnie dostać się z Saro do Amgando. Będziecie musieli wysłać grupę zwiadowczą na jego poszukiwanie... A kontrola to jedno z nowych zajęć, któremu ludzie się teraz z upodobaniem oddają. Tutaj jest oficjalna stacja

348

kontroli. Taka sama znajduje się na granicy każdej prowincji, przez którą biegnie Wielka Autostrada Południowa.-Znajdujemy się zaledwie o parę kilometrów od miasta - zauważył Teremon. - To jest ciągle prowincja Saro.

-Już nie. Żadne dawne władze prowincji nie istnieją. To, co pozostało z Saro, podzielono na kawałki - słyszałem, że Apostołowie Plomieni dostali dużą część po drugiej stronie miasta, a teren lasu i uniwersytetu jest pod kontrolą niejakiego Altinola, który kieruje paramilitarną grupą, nazywającą siebie strażą ogniową. Może natkniecie się na nich?

-Przez parę dni byłem oficerem w straży ogniowej - powiedziała Siferre. - Ta zielona chusta, którą noszę, jest ich oznaką, jakby mundurem.

-A więc wiecie, co się stało - stwierdził Biney. - Stary system się rozpadł, powstało milion marionetkowych ośrodków władzy, wyrastających wszędzie jak grzyby po deszczu. Teraz przekroczyliście granice prowincji. Odbudowa, która rozciąga się wzdłuż autostrady na przestrzeni około dziesięciu kilometrów. Gdy dotrzecie do następnej stacji kontroli, będziecie już w prowincji Szesc Słońc. Za nią jest Boża Ziemia, dalej Nowy Świt, a potem... no, mniejsza z tym. Granice i nazwy zmieniają się co kilka dni, w miarę jak ludzie wędrują do innych miejsc.

-A kontrola? - przypomniał Teremon.

-To nowy obłęd. Wszyscy obawiają się podpalaczy. Wiecie, co to za jedni? Wariaci, którzy uważają, że to, co zdarzyło się w czasie zaciemnienia, było świetną zabawą. Włoczą się dookoła i puszczają z dymem, co się da. Słyszałem, że trzecia część Saro spalono w nocy, gdy ludzie w panice usiłowali odpedzić gwiazdy, ale kolejna jedna trzecia splonęła dopiero potem, mimo że gwiazdy już dawno znikły. To jakaś choroba. Tak więc ludzie, którzy w mniejszym czy większym stopniu pozostali przy zdrowych zmysłach - teraz wśród takich się znajdujecie, gdybyście mieli co do tego wątpliwości - rewidują każdego, poszukując środków do rozpalania ognia. Zabronione jest posiadanie zapalek, zapałniczek,

punktowcow czy czegokolwiek innego, co moze sluzyc do...

349

-Podobnie dzieje sie na obrzezach miasta - wtracila Siferra. - To jest wlasnie glowna idea strazy ogniowej. Altinol i jego ludzie ustanowili siebie jedynymi, ktorzy maja prawo uzywac ognia.-A ja zostalem zaatakowany, gdy probowalem przygotowac sobie w lesie posilek - dodal Teremon. - Mozliwe, ze to tez byli ludzie zajmujacy sie kontrola. Zatlukliby mnie na smierc, gdyby Siferra i jej straz nie pojawili sie we wlasciwym momencie, zupełnie tak jak ty teraz.

-Coz - westchnal Biney. - Nie mam pojecia, na kogo natknales sie w lesie, ale tutaj kontrola jest swoistym rytuałem, związany z tym samym problemem. Wszędzie dookola kazdy kontroluje kazdego bez zadnej taryfy ulgowej. Podejrzliwosc jest powszechna i nikt nie moze byc wyjatkiem. To jak goraczka - goraczka strachu. Tylko niewielkie elity, w rodzaju strazy ogniowej Altinola, moga miec srodki zapalajace. Na kazdej granicy musisz oddac narzedzia i przyrzady do rozpalania ognia miejscowym wladzom, takim jakie akurat tam sa w danym momencie. Teremonie, mozecie rownie dobrze zostawic punktowce u mnie. Nigdy nie dojdziecie z nimi do Amgando.

-Nigdy nie dostaniemy sie tam bez nich - odparl Teremon.

-Moze tak, moze nie. - Biney wzruszyl ramionami. - Na pewno zostaniecie rozbrojeni gdzies po drodze. Kiedy nastepnym razem wpadniecie na ludzi z kontroli, mnie tam nie bedzie. Kto ich powstrzyma?

Teremon rozwazyl to w myslach.

-A jak to sie stalo, ze tych ludzi zdolales naklonic do posluchu? - zapytal. - A moze jestes tu glownym kontrolerem?

-Glownym kontrolerem? - Biney wybuchnal smiechem. - Nie, skadze! Ale mnie szanuja. Rozumiesz, jestem ich oficjalnym profesorem. Czy wiesz o tym, ze istnieja tereny, gdzie ludzie z uniwersytetu sa znienawidzeni? Sa z miejsca mordowani przez tlumy szalencow, ktorzy mysla, ze to my spowodowalismy zacmienie i przygotowujemy nastepne. Ale nie tutaj. Tu uwazaja mnie za pozytecznego ze

350

wzgledu na moja inteligencje - umiem ukladac noty dyplomatyczne do sasiednich prowincji, mam jakie takie pojecie, co nalezy zrobic, aby zepsute rzeczy zaczely na nowo dzialac, moge nawet wyjasnic, dlaczego Ciemnosc nie wroci i dlaczego nikt nie bedzie musial patrzec na gwiazdy przez nastepne dwa tysiace lat. Sluchajac tego czuja sie uspokojeni. A wiec osiadlem posrod nich. Zywia nas i opiekuja sie Raissa, a ja za nich mysle. To taka mila symbioza.-Szirin powiedzial mi, ze wybierales sie do Amgan-do - rzekl Teremon.

-Tak. Tacy ludzie jak ty czy ja powinni pojsc do Amgando. Niestety, my z Raissa wpadliśmy po drodze w kłopoty. Słyszales, jak ci mówiłem, że szalency polują na ludzi z uniwersytetu? My sami niemal dalismy się złapać przez taką gromadę, gdy zmierzaliśmy przez przedmieścia na południe. Wszystkie tereny po południowej stronie lasu są teraz zajęte przez dzikich lokatorów.

-Natknęliśmy się na paru z nich - wtracił Teremon.

-A więc wiecie. Otoczyli nas cała zgraja. Już po sposobie mówienia mogli poznać, że jesteśmy ludźmi wykształconymi, a potem jeszcze ktoś mnie rozpoznał. Teremonie, rozpoznał mnie ze zdjęcia w gazecie. Pamiętasz? Przeprowadzałeś ze mną wywiad na temat zaciemnienia. Ten ktoś stwierdził, że jestem z obserwatorium, że jestem tym człowiekiem, który sprawił, że pojawiły się gwiazdy. - Przez chwilę Biney wpatrywał się pustym wzrokiem w przestrzeń. - Już nas chcieli wykonać, ale mieliśmy szczęście. Pojawił się inny gang - przypuszczam, że jakiś miejscowy rywale. Zaczeli wrzeszczeć, rzucać butelkami, wywijac nożami kuchennymi. Zaczęło się zamieszanie i to nas ocaliło. Zdaliśmy uciec. Ci pomylnicy są jak dzieci, nie potrafią myśleć o dwóch rzeczach naraz. Ale gdy przekradaliśmy się wąską ścieżką między dwoma wypalonymi budynkami, Raissa skaleczyła sobie nogę o jakieś szkło. Przeszliśmy cały ten kawał drogi aż dotąd, ale wdało się zakazanie i Raissa nie mogła pójść dalej.

-Rozumiem. - Teremon pokiwał głową. "Nic więc dziwnego, że tak strasznie wygląda" - pomyślał.

-Wciąż mieliśmy szczęście. Strażnicy na granicy

351

provincji Odbudowa potrzebowali profesora. Wzięli nas do siebie. Jesteśmy tu już od tygodnia, a może od dziesięciu dni. Przypuszczam, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, Raissa będzie zdolna do podróży za tydzień, a raczej za dwa. Potem poproszę zwierzchnika tej prowincji o wystawienie dla nas paszportów, abysmy mogli przedostać się bezpiecznie przynajmniej przez kilka najbliższych państweczek, i wtedy wyruszymy do Amgando. Będzie nam bardzo miło, jeśli zostaniecie z nami do tego czasu, a potem moglibyśmy razem wyprawić się na południe, jeśli zechcecie. Na pewno w ten sposób byłoby bezpieczniej... Czy czegoś chcesz ode mnie, Batello? Wysoki mężczyzna, który próbował zrewidować Tere-mona przy barykadzie, wetknął głowę przez kotary zasłaniające izdebkę Bineya.

-Panie profesorze, właśnie przybył posłaniec z prowincji Imperial. Przyniósł jakieś wiadomości z miasta. Nie możemy zbyt wiele z tego zrozumieć.

-Pozwól mi spojrzeć - powiedział Biney wyciągając rękę i biorąc zwinięty kawałek papieru. - Posłancy kursują przez cały czas, tam i z powrotem, pomiędzy różnymi prowincjami - wyjaśnił Teremonowi. - Imperial rozciąga się na pomoc i na wschód od autostrady sięgając

samego miasta... Większość z tutejszych kontrolerów nie umie za dobrze czytać. Długotrwały kontakt z gwiazdami najwyraźniej uszkodził ich ośrodki mowy czy coś w tym rodzaju.

Biney umilkł. Studiował wiadomość gniewnie marszcząc brwi i zaciskając usta, mamrotał coś na temat charakteru pisma i ortografii po zamienieniu. Po chwili sposepniał.

-Moj Boże! - zakrzyknął. - Ci niedźmi, potworni, plugawi... - Drżały mu ręce. Spojrzał na Teremona dzikim wzrokiem. - Apostołowie Plomieni nadchodzą. Zgromadzili armię i zamierzają pomaszerować do Amgando, usuwając władzę nowych prowincji, które powstały wzdłuż drogi. A kiedy dotrą do Amgando, zniszczą ustanowiony tam ośrodek władzy i ogłoszą siebie jedyną w całej republice legalną siłą rządzącą.

Teremon poczuł na ramieniu zaciskające się palce Siferri.

352

Odwrocił się i dostrzegł przerażenie malujące się na jej twarzy. Wiedział, że sam musi wyglądać bardzo podobnie. - Nadchodzą... - powoli wycedził przez zęby. - Armia Apostołów.

-Teremonie, Siferro, wyruszajcie! - zdecydował Biney. - Natychmiast! Jeśli nie zdążycie przed nadejściem Apostołów, wszystko będzie stracone!

-Mówisz, że mamy iść do Amgando, tak? - upewnił się Teremon.

-Tak, tak! Nie traciejcie ani chwili dłużej. Jest tam obecnie cała społeczność uniwersytecka, która noc przetrwała w Sanktuarium, a także naukowcy z innych uczelni, wykształceni ludzie z całej republiki. Ty i Siferro musicie ich ostrzec. Niech jak najszybciej się rozproszą. Jeśli Apostołowie zastaną ich w Amgando, Mondior zdoła zgnieść jedyny żalazek przyszłego legalnego rządu, wszystkich za jednym zamachem. Może nawet zarządzić masową egzekucję naukowców... Słuchaj, wystawie wam paszporty, dzięki którym przedostaniecie się przez kilka następnych stacji kontroli. Dalej, poza zasięgiem naszych wpływów, musicie poddać się kontroli i pozwolić im zabrać wszystko, co tylko zechcą, i wciąż zdążać na południe. Nie możecie sobie pozwolić na to, by przeszkodziły wam sprawy drugorzędne, jak sprzeciwianie się kontroli. Teremonie, musicie ostrzec grupę w Amgando!

-A ty? Czy zamierzasz po prostu tutaj zostać?

-Co mogę zrobić innego? - spytał Biney ze zdziwieniem.

-Ale... kiedy przyjdą Apostołowie...

-Kiedy przyjdą Apostołowie, stanie się, co ma się stać. Chyba nie przypuszczasz, że zostawie Raisse i ucieknie z wami do Amgando?

-No... nie...

-A wiec nie mam wyboru, prawda? Prawda?! Zostaje tutaj z Raissa.

Teremon scisnal palcami skronie. Czul, ze za chwile z bolu peknie mu glowa.

-Nie ma innego wyjscia, Teremonie - odezwala sie Siferra. 23-Nastanie nocy 353 - Wiem, wiem. Niemniej mysl o tym, ze Mondior i jego banda pochwyca czlowieka tak wartosciowego jak Biney... moze go nawet zabija...

-Kto wie? - Biney usmiechnal sie i na moment polozyl reke na ramieniu przyjaciela. - Moze Mondior zechce zatrzymac parke profesorow jako maskotki? Tak czy inaczej to, co stanie sie ze mna, jest w tej chwili nieistotne. Moje miejsce jest przy Raissie, wasze - na autostradzie. Musicie gnac na zlamanie karku. Chodzie, przygotuje posilek, pozniej dam wam jakies oficjalnie wygladajace dokumenty. A potem w droge. - Zawahal sie. - To tez wam sie przyda. - Nalal resztkie koniaku, nie wiecej niz lyk, do pustego kieliszka Teremona. - Do dna!

41

Na granicy prowincji Odbudowa i Szesc Slonc nie mieli zadnych problemow z przebrnieciem przez kontrole. Urzednik, sprawiajacy wrazenie kogos, kto mogl byc ksiegowym lub prawnikiem w swiecie, ktory juz nie istnial, rzucil tylko okiem na paszporty wypisane przez Bineya, skinal glowa ujrzawszy na dole ozdobny podpis "Biney 25" i machnal reka, aby szli dalej. Dwa dni pozniej, kiedy przechodzili z Szesciu Slonc do Bozej Ziemi, nie poszlo im juz tak latwo. Tu patrol graniczny wygladal jak banda rzezimieszkow, ktorzy rownie dobrze mogli przerzucic Teremona i Siferre przez balustrade estakady, jak chciec w ogole zerknac na ich dokumenty. Przez niepokojuco dluga chwile Teremon wymachiwal im przed nosem paszportem niczym jakas czarodziejska rozdzka. Wreszcie czar podzialal.

-Czy to przepustka? - spytal glowny rzezimieszek.

-Tak, paszport. Zwolnienie z kontroli.

-Od kogo?

-Od Bineya 25, naczelnego zarzadcy kontroli w prowincji Odbudowa. To dwie prowincje stad.

-Wiem, gdzie jest prowincja Odbudowa. Przeczytaj mi.

354

-"Celem przedstawienia wszystkim odnosnym wladzom: zaswiadcza sie, ze posiadacze niniejszego dokumentu, Teremon 762 i Siferra 89, sa akredytowanymi w zgodzie z prawem

przedstawicielami Strazy Ogniowej Prowincji Saro i sa uprawnieni do..." - Straz, ogniowa? Co to jest?-Banda Altinola - mruknal jeden z jego ludzi.

-Aha. - Glowny rzezimieszek skinal glowa na punktowce, ktore wisialy u pasow Teremona i Siferry. - A wiec Altinol chcialby, abyscie maszerowali sobie przez rozne panstwa wymachujac bronia, ktora moze postawic w ogniu cale dzielnice?

-Idziemy z misja specjalna do ludzi w Parku Narodowym Amgando - zaczela tlumaczyc Siferra. - Jest sprawa najwyzszej wagi, abysmy sie tam bezpiecznie dostali. - Dotknela zielonej chusty. - Wiecie, co to oznacza? My gasimy ogien, a nie rozpalamy. Jesli nie osiagniemy Amgando na czas. Apostolowie Plomieni przemaszeruja ta autostrada niszczac wszystko, co probujecie tutaj stworzyc.

" To nie ma wiele sensu - pomyslal Teremon. - Nawet jesli dotrzemy do Amgando, nic i nikt nie obroni przed Apostolami malutkich republik na polnocnym krancu autostrady".

Okazaito sie jednak, ze zdecydowane i pelne pasji wystapienie Siferry bylo skuteczne. Na moment zapadla cisza. Straznik graniczny usilowal zrozumiec tylko co uslyszane slowa. 2Jnarszczyl brwi z irytacja, rzucil towarzyszom zaklopotane spojrzenie, a potem nagle, niemal zapalczywie krzyknal" - W porzadku! Przechodzcie. Zjezdzajcie stad, do diabla, i zebym was wiecej nie widzial w prowincji Szesc Slonc albo pozalujecie... Apostolowie! Amgando!

-Dziekuje uprzejmie - odpowiedzial Teremon z grzecznoscia tak bliska sarkazmowi, ze Siferra chwycila go za reke i popchnela naprzod, zanim zdazyl wciagnac ich w prawdziwe klopoty.

Na tym odcinku trasy mogli poruszac sie szybciej. Dziennie pokonywali dwadziescia kilometrow, a czasem

355

nawet wiecej. Obywatele nowych prowincji, noszacych dumne nazwy Szesc Slonc, Boza Ziemia, Mowy Swit, uprzatneli juz wiekszosc pojazdow, ktore tarasowaly szose po zamieniu. W regularnych odstepach wzniesiono barykady z wrakow - bylo pewne, ze dlugo jeszcze nikt nie bedzie mogl jechac Wielka Autostrada Poludniowa - ale miedzy posterunkami mozna bylo teraz isc rownym krokiem, nie bedac zmuszonym poruszac sie na dworakach czy czolgac poprzez odrazajace zwaly zelastwa.Zmarlych pogrzebano. Wszystko zaczynalo wygladac niemal porzadnie, choc jeszcze nie normalnie. Nawet nie przypominalo normalnosci.

Widzieli teraz po obu stronach autostrady tylko pojedyncze pozary, ale wypalone miasta spotykali wzdluz calej trasy. Obozy uchodzcow utworzono co dwa, trzy kilometry i kiedy sami energicznie maszerowali estakada, dostrzegali w dole smutnych i oszolomionych ludzi z obozow, poruszajacych sie wolno i bez celu w ich obrebie, jakby tej jednej straszliwej

nocy postarzelisi o piecdziesiat lat.

Teremon doszedl do wniosku, ze nowo powstale prowincje byly po prostu lancuchami takich obozow polaczonych ze soba linia Wielkiej Autostrady Poludniowej. W kazdym okregu wyrosli miejscowi wladcy, ktorzy zdolali wykroic dla siebie male krolestwo, marionetkowe panstewko rozciagajace sie na kilkanascie kilometrow wzdluz szosy i najwyzej dwa kilometry po kazdej jej stronie. Pozostawalo tajemnica, co sie dzialo za wschodnimi i zachodnimi granicami tych nowych prowincji. Wygladalo na to, ze nie istnialy zadne radiowe ani telewizyjne srodki lacznosci.

-Czy naprawde nie bylo zadnych przygotowan na wypadek katastrofy? - zapytal Teremon, zwracajac sie raczej w przestrzen niz do Siferry.

Siferra jednak odpowiedziala.

-Przewidywania Athora brzmiaty zbyt fantastycznie, by rzad mogl je potraktowac powaznie. Poza tym to bylaby woda na mlyn Mondiora, jesli wladze przyznalyby, ze cywilizacja moze ulec zagladzie w jednym krotkim okresie Ciemnosci, szczegolnie jezeli nadejście tego momentu mozna dokladnie przewidziec.

356

-Ale zacmienie...-Tak, byc moze czesc ludzi na wysokich stanowiskach byla zdolna zrozumiec wykresy i naprawde uwierzyla, ze nadchodzi zacmienie, a wiec i Ciemnosc, lecz jakze mogli odgadnac znaczenie gwiazd? Gwiazdy uwazano za wymysl Apostolow Plomieni, pamietasz? Nawet gdyby rzad wiedzial, ze przyjdzie cos takiego jak gwiazdy, to i tak nikt nie byl zdolny przewidziec ich wplywu na ludzkie umysly.

-Szinn to przewidzial - rzekl Teremon.

-Nie, on takze nie. Nawet sie tego nie domyslal. Byl wybitnym specjalista od zaburzen wywoływanych przez ciemnosc, a nie przez niewyobrazalna poswiata wypelniajaca cale niebo.

-Patrzac na zniszczenia, na chaos wokol, wygodniej jest myslec, ze to nie bylo konieczne, ze mozna tego bylo jakos uniknac.

-A jednak tak sie nie stalo.

-Moze nastepnym razem bedzie lepiej. Siferra rozesmiala sie glosno.

-Nastepny raz zdarzy sie za dwa tysiace czterdziesci dziewiec lat. Miejmy nadzieje, ze zostawimy naszym potomkom ostrzezenie, ktore wyda im sie bardziej wiarygodne niz Ksiega Objawien wiekszosci z nas.

Odwrocila glowe i spojrzala badawczo na dlugi odcinek drogi, ktory pokonali w ciagu kilku ostatnich dni uporczywego marszu.

-Obawiasz sie, ze ujrzysz Apostolow pedzacych za nami z oguszajacym rykiem? - zapytal Teremon.

-A ty sie tego nie boisz? Mimo ze posuwamy sie ostatnio bardzo szybko, jestesmy wciaz o setki kilometrow od Amgando. Co bedzie, jezeli nas dogonia, Teremonie?

-To sie im nie uda. Armia nie jest w stanie poruszac sie tak szybko, jak dwoje zdrowych, pelnych determinacji ludzi. Ich srodki transportu nie sa lepsze od naszych - para nog na kazdego zolnierza, koniec, kropka. Jest takze cala gama problemow logistycznych, ktore zmusza ich do zwolnienia marszu.

-Mam nadzieje.

-Ponadto z informacji, ktora otrzymal Biney, wynikalo,

357

ze Apostolowie planuja postoj w kazdej nowo powstalej prowincji, aby ustanowic tam swoja wladze. Unicestwienie tych wszystkich upartych, marionetkowych ksiastewek zajmie im sporo czasu. Jesli sami nie natkniemy sie na jakies nieprzewidziane przeszkody, to bedziemy w Amgando na cale tygodnie przed nimi.-Jak myslisz, co sie stanie z Bineyem i Raissa? - zapytala Siferra po chwili.

-Biney to calkiem sprytny chlopak. Podejrzewam, ze wynajdzie jakis sposob, aby na cos sie przydac Mondiorowi.

-A jezeli nie?

-Siferro, czy naprawde musimy tracic nasza energie na wymyslanie okropnych scenariuszy? I tak, do diabla, nic nie mozemy na to poradzić!

-Wybacz - powiedziala ostro. - Nie wiedzialam, ze jestes taki wzraliwy.

-Siferro...

-Juz dobrze. Moze to ja jestem przewzraliwiona.

-Wszystko sie ulozy po naszej mysli - rzekl Tere-mon. - Bineyowi i Raissie nic sie nie stanie. Dotrzemy do Amgando na dlugo przed czasem i przekazemy ostrzezenie. Apostolowie Plomieni nie podbija calego swiata.

-A wszyscy umarli powstana i pojda na spacer. Och, Teremonie, Teremonie... - Jej glos sie zalamal.

-Wiem, wiem.

-Co zrobimy?

-Przyspieszymy kroku, i już! I nie będziemy się oglądać za siebie. Z tego nic dobrego nie wynika.

-Zupełnie nic dobrego - zgodziła się Siferra, po czym uśmiechnęła się i wzięła Teremona za rękę. Oboje w milczeniu szybko ruszyli naprzód.

Teremon z radosnym zdumieniem spostrzegł, że teraz pokonywali drogę w niezłym tempie. Przez kilka pierwszych dni, kiedy szli przedmieściami Saro i przedzierali się przez zatarasowany wrakami północny koniec autostrady, ich wędrowka była bardzo powolna, a wszystkie mięśnie ostro protestowały przeciw wysiłkowi, do którego były zmuszane. Obecnie poruszali się niby dwa automaty skonstruowane specjalnie po to, by iść, doskonale przystosowane do tego

358

zadania. Nogi Siferry były niemal tak długie, jak jego własne, szli więc razem krok w krok - ich mięśnie pracowały sprawnie, serca miarowo tłoczyły krew, płuca wdychały i wydychały powietrze w idealnym rytmie. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa... Oczywiście mieli jeszcze do przejścia setki kilometrów, lecz to nie powinno trwać długo, jeśli utrzymają takie tempo. Może miesiąc, może nawet mniej.

Tu, w rejonach rolniczych, daleko od granic miasta, szosa była prawie pusta. Nigdy nie panował tu tak duży ruch jak na północy, a poza tym wyglądało na to, że wielu kierowcom udało się opuścić autostradę bezpiecznie nawet wtedy, kiedy świeciły już gwiazdy, gdyż byli mniej narażeni na zderzenie z innymi samochodami.

Było też mniej posterunków. Nowe prowincje na tych słabo zaludnionych obszarach obejmowały znacznie większe tereny niż na północy, a ich mieszkańcy wydawali się mniej przejmować takimi sprawami jak kontrola. Teremon z Sifer-ra byli zatrzymywani tylko dwukrotnie w ciągu pięciu kolejnych dni. Na pozostałych punktach granicznych zwyczajnie machano do nich, by przechodzili. Nie musieli nawet okazywać dokumentów, w które zaopatrzył ich Biney.

Pogoda też im sprzyjała. Niemal każdy dzień był ciepły i pogodny; raptem kilka razy spadł przelotny deszcz. Szli przez cztery godziny, potem przerwa na lekki posiłek, marsz przez kolejne cztery, znowu jedzenie, marsz, około szesciogodzinny postój na spanie - robili zmiany, najpierw jedno czuwało przez kilka godzin, a później drugie - i znowu marsz naprzód. Jak automaty. Słońca wschodziły i zachodziły w swoim odwiecznym rytmie, raz świeciły Patru, Trey i Dovim, potem Onos, Sitha i Tano, potem Onos i Dovim, potem Trey i Patru, w końcu cztery słońca razem - i tak bez końca trwał odwieczny korowód na nieboskłonach. Teremon nie miał pojęcia, ile dni minęło od czasu, gdy opuścili Sanktuarium. Same pojęcia

dat, kalendarzy, dni, tygodni, miesiecy wydawaly mu sie archaiczne i bezuzyteczne, byly czymś rodem z minionego swiata.

Siferra po okresie, kiedy byla niespokojna i pograzona w rozmyślaniach, znow poweselala.

359

To bedzie spacer. Dostana sie do Amgando bez zadnych problemow. Przechodzili obecnie przez region nazwany Zrodlna Dolina, a moze Lesnym Ogrodem; slyszeli kilka roznych nazw od ludzi, ktorzych spotkali po drodze. Byl to okreg rolniczy, rozlegly i pogorkowaty; tu spustoszenia nie byly tak apokaliptyczne jak w miastach, zaledwie od czasu do czasu widzieli spalona stodole czy walesajace sie samopas stado bydla - ot i tyle. Powietrze pachnialo swiezoscia, na czystym niebie slonca swiecily pelnym blaskiem. Gdyby nie budzacy groze brak ruchu samochodowego na autostradzie, mozna by pomyslec, ze nie wydarzylo sie nic nadzwyczajnego.

-Czy jestesmy juz w polowie drogi do Amgando? - zapytala Siferra.

-Niezupełnie. Nie widzialem ostatnio zadnego drogowskazu, ale sadze, ze... Przerwal raptownie.

-Teremonie, co sie stalo?

-Patrz! Spojrz na prawo, na te boczna droge. Wyjrzeli zza krawedzi autostrady. W dole, kilkaset metrow od nich, w miejscu, gdzie boczna szosa rozszerzala sie przed skrzyzowaniem z glowna trasa, stala dluga kolumna ciezarowek. Zobaczyli duzy, rojny oboz: namioty, plonace wielkie ognisko, jacys ludzie rabiacy drewno...

Dwustu, moze trzystu ludzi. Wszyscy w czarnych szatach z kapturami.

-Apostolowie! - wyszeptala Siferra.

-Tak. Schyl sie. Na ziemie. Ukryj sie za balustrada.

-Jak zdolali w tak krotkim czasie dotrzec az tutaj? Przeciez polnocny koniec autostrady jest zablokowany.

-W ogole nie jechali autostrada - domyslil sie Tere-mon. - Maja sprawne ciezarowki. O, tam nadjezdza jeszcze jedna. Bogowie, jakie to dziwne, prawdziwy poruszajacy sie pojazd! Po tak dlugim czasie znow slysze warkot silnika! - Poczul, ze zaczyna drzec. - Udalo im sie zachowac od zniszczenia tyle ciezarowek wraz z zapasem paliwa! To oczywiste, przyjechali tutaj z Saro wiejskimi drogami zataczajac wielki luk od zachodu. Teraz dopiero

360

wyjada na autostrade, która, jak sadze, jest przejezdna stad az do Amgando. Moga tam byc dzis wieczorem.-Dzis wieczorem! Teremonie, co zrobimy?

-Jeszcze nie wiem. Mysle, ze jest tylko jedna szansa, co prawda graniczaca z szalenstwem... Co bys powiedziala, gdybysmy sprobowali porwac jeden z tych wozow i pojechali do Amgando? Nawet jesli dotrzemy tam tylko dwie godziny przed Apostolami, to bedzie jeszcze czas, aby wiekszosc ludzi zdazyla uciec. Mam racje, Siferro?

-Chyba tak... ale to czyste szalenstwo! W jaki sposob moglibysmy ukrasc ciezarowke? W momencie gdy nas zobacza, od razu sie zorientuja, ze nie jestesmy Apostolami. Schwytaja nas.

-Wiem, wiem. - Przez chwile Teremon myslal intensywnie. - Gdyby nam sie udalo gdzies na uboczu zlapac dwoch z nich, a nawet zastrzelic, jesli bedzie trzeba, i zabrac im szaty, moglibysmy w przebraniu podejsc do ktoregos z wozow, tak zwyczajnie, jakbysmy mieli do tego pelne prawo, wskoczyc do srodka i odjechac w kierunku autostrady...

-Rusza za nami w dwie minuty.

-Moze. Ale jesli zachowamy kamienny spokoj, to jest szansa, iz pomysla, ze to cos rutynowego, jakas czesc ich planu... a kiedy juz sie zorientuja, ze to nieprawda, bedziemy sto kilometrow stad. - Teremon coraz bardziej zapalal sie do swego pomyslu. - Co na to powiesz? Czy mamy jakas inna szanse? Po co isc dalej do Amgando na piechote, skoro ta podroz zajmie nam cale tygodnie, a oni moga wyprzedzic nas w kilka godzin?

Siferra przygladala sie mu, jakby stracil rozum.

-Obezwladnic dwoch Apostolow... porwac jeden z ich wozow, z rykiem odjechac do Amgando... Teremonie, przeciez wiesz, ze to sie nigdy nie uda!

-W porzadku - rzucil szorstko. - Zostan tutaj. Sprobuje sam to zrobic. To nasza jedyna szansa.

Wstal i schylony zaczal biec wzdluz balustrady w kierunku rampy zjazdowej, oddalonej o jakies sto metrow.

-Nie... zaczekaj, Teremonie... Obejrzal sie i usmiechnal szeroko.

361

-Idziesz?-Tak. Ach, to szalenstwo!

-Wiem, lecz co innego nam pozostalo?

Oczywiscie Siferra miala racje. Plan byl wariacki, jednak Teremon nie widzial zadnej

alternatywy. Raport, który otrzymał Biney, został przekreślony, to było jasne. Apostołowie nigdy nie zamierzali przemierzać Wielkiej Autostrady Południowej prowincja po prowincji, ale wyruszyli bezpośrednio do Amgando w wielkim wojskowym konwoju, obierając drugorzędne drogi, które co prawda prowadziły naokoło, ale były przejezdne.

Amgando jest zgubione. Świat wpadnie w ręce Mondiora.

Chyba... Chyba że...

Teremon nigdy nie myślał o sobie jak o bohaterze. O bohaterach pisał w gazecie - ludziach, którzy w ekstremalnych warunkach osiągały szczyty swych możliwości dokonując wielkich czynów, na jakie zwykły śmiertelnik nigdy by się nie wazył, nie mówiąc już o ich realizacji. I oto on, w tym odmienionym świecie, beztrąsko mówi o obezwładnieniu zakapturzonych fanatyków, porwaniu wojskowej ciężarówki i ucieczce do Amgando, aby zatrzeć na alarm przed zbliżającym się atakiem...

Szalenstwo. Czyste szalenstwo.

A może właśnie dlatego się uda. Kto by się spodziewał, że dwoje ludzi spadnie jak z nieba na to spokojne, sielankowe obozowisko i najzwyczajniej odjedzie jednym z wozów w ślad?

Chyłkiem zeszli po rampie zjazdowej, Teremon nieco z przodu. Między nimi a obozem Apostolów rozpościerała się dawno nie koszona łąka.

-Ukryjmy się w tej wysokiej trawie i spróbujmy podczołgać do obozu - wyszeptał. - Jak napatoczy się dwójka Apostolów, zaskoczemy ich.

Położył się na brzuchu i zaczął człogać przez trawę.

Siferra posuwała się tuż za nim.

Dziesięć metrów. Dwadzieścia. Byle dalej, schylić głowę i naprzód, do tego małego pagórka, a potem zaczekać... zaczekać...

362

Wtem tuż za nimi rozległ się jakiś głos: - Co my tu mamy? Chyba jakieś dwa osobliwe weże? Teremon obejrzał się i wstrzymał oddech. O Bogowie! Apostołowie - było ich siedmiu czy osmiu! Skąd się tu wzięli? Urządzali sobie piknik posrodku łąki? A on i Siferra człogali się obok i nikogo nie zauważyli?

-W nogi! - rzucił do niej. - Ty w tę, a ja w tamtą stronę...

Zaczął biec w lewo, w kierunku słupów podtrzymujących autostradę. Może zdola zostawić

ich w tyle i zniknac w lesie po drugiej stronie szosy...

Nie, nie. Był silny i szybki, ale oni byli jeszcze silniejsi i jeszcze szybsi. Katem oka dostrzegli, jak go doganiają.

-Siferro! - krzyknął. - Uciekaj! U-cie-kaj! Może jej się udało. Znikła mu z oczu. Apostołowie otoczyli go ciasnym kregiem. Siegnął po punktowiec, ale jeden z nich momentalnie chwycił go za rękę, a inny złapał od tyłu za szyję. Wyrwali mu broń. Ktoś kolaniem podbił mu nogi. Upadł ciężko, przetoczył się po ziemi, spojrzał w górę. Odpowiedziały mu spojrzenia pięciu zakapturzonych twarzy, surowych i bez cienia uśmiechu. Jeden z Apostołów trzymał punktowiec Teremona wycelowany prosto w jego serce.

-Wstawaj - rozkazał. - Powoli. Z rekoma do góry. Teremon niezdarnie podniósł się na nogi.

-Kim jesteś? Co tu robisz? - spytał Apostoł władcym tonem.

-Mieszkam tu w pobliżu. Razem z żoną wracaliśmy skrótem przez te lasy do domu...

-Najbliższe gospodarstwo jest o dziesięć kilometrów stąd. Bardzo długi skróty. - Apostoł skinął głową w kierunku obozu. - Pojdź z nami. Folimun na pewno zechce z tobą porozmawiać.

Folimun!

A więc jednak przeżył noc zaciemnienia. I teraz dowodził ekspedycja przeciw Amgando.

Teremon rozejrzał się wokół. Ani śladu Siferro. Miał nadzieję, że jest już z powrotem na autostradzie i co się

363

zmierza do Amgando. Wątpiła to była nadzieja, ale jedyna, jaka mu pozostała. Apostołowie zaprowadzili go do obozowiska. Nagle znalazł się w środku tłumu postaci w kapturach. To było niesamowite. Prawie nikt jednak nie zwracał uwagi, kiedy jego przesładowcy popychali go w kierunku największego z namiotów.

Folimun siedział w głębi namiotu i przeglądał plik papierów. Zwrócił chłodne, błękitne oczy na Teremona i natychmiast jego szczupłą, wyrazistą twarz rozjaśnił pełen zdumienia uśmiech.

-Teremon? Ty tutaj? Co tu robisz? Zbierasz materiał do reportażu?

-Zmierzam na południe, Folimunie. Wybieram się na małe wakacje, jako że w mieście sytuacja jest trochę nieustabilizowana. Czy mogłbyś łaskawie poprosić tych twoich zbirów, by nie wykrecali mi rąk?

-Puszcz go - rozkazał Folimun. - Teremonie, powiedz mi dokładniej, dokąd idziesz?

-To nie powinno cie obchodzic.

-Pozwol mnie o tym decydowac. Idziesz do Amgando, prawda?

Teremon poslal fanatykowi przeciaga, lodowate spojrzenie.

-Nie widze powodu, abym musial ci cokolwiek mowic.

-Ja odpowiedzialem na wszystkie pytania, kiedy przeprowadzales ze mna wywiad. - Swietny dowcip.

-Teremonie, chce wiedziec, dokad sie kierujesz. "Zwodz go - przemknelo Teremonowi przez glowe. - Zwodz go tak dlugo, jak potrafisz".

-Odmawiam odpowiedzi na to pytanie i na kazde inne, ktore mi zadasz - powiedzial stanowczo. - O moich zamiarach bede rozmawial jedynie z samym Mondiozem.

Folimun przez chwile nie odpowiadalo. Pozniej na jego ustach pojawil sie przelotny uśmiech. Nagle zupełnie niespodziewanie wybuchnal smiechem. Teremon zastanawial sie, czy kiedykolwiek przedtem widzial smiejacego sie Folimuna.

364

-Z Mondiozem? - powtorzil Apostol, a jego oczy skrzyly sie wesoloscia. - Mondior nie istnieje, przyjacielu. Nigdy nie istnial.

42

Siferze trudno bylo uwierzyc, ze udalo jej sie uciec, lecz najwyrazniej tak sie wlasnie stalo. Wiekszosc z Apostolow, ktorzy zaskoczyli ich na lace, pobiegla za Teremonem. Kiedy obejrzala sie, zobaczyla, ze osaczyli go niczym psy myśliwskie zwierzynie i powalili na ziemie. Z cala pewnoscia zostal schwytany.

Tylko dwoch Apostolow pobieglo za nia. Jednego Siferra trzasnela w twarz. Ramie miala usztywnione i wyprostowane, uderzyla dlonia na plask, z calej sily, co przy predkosci, z jaka sie poruszala, okazalo sie ciosem nokautujacym. Ten drugi byl gruby, niezdarny i bardzo powolny; momentalnie zostal daleko w tyle.

Biegla z powrotem w strone estakady, ale uznala, ze postapilaby niemadrze wracajac na autostrade. Znow moglaby natrafic na jakas barykade, a z szosy nie prowadzily zadne bezpieczne drogi na dol z wyjatkiem ramp zjazdowych. Siferra nie chciala ryzykowac wpadnienia w pulapke. Nawet jezeli dalej nie bylo zadnych przeszkod, Apostolowie mogli bez trudu dogonic ja ciezarówkami po pierwszych dwoch, trzech kilometrach drogi.

Nie, nalezalo uciec do lasu po przeciwnej stronie autostrady. Tam nie beda mogly jej scigac

pojazdy Apostolow. Ukryje sie w gestych zaroslach i pozostanie tam do czasu, gdy zdecyduje, co dalej.

"A wiec co dalej?" - zastanawiala sie.

Musiala przyznac, iz plan Teremona, mimo ze szalony, nadal pozostawal ich jedyna nadzieja: ukrasc woz, pojechac nim do Amgando i oglosic alarm, zanim Apostolowie zdolaja zwinac oboz i ponownie wyrusza w droge.

Siferra wiedziala jednak, iz nie istnieje nawet najmniejsza

365

szansa na to, ze zdola po prostu podkrasc sie do pustej ciezarowki, wskoczyc do srodka i odjechac. Apostolowie nie byli az tacy glupi. Musialaby sterroryzowac jednego z nich i zmusic, by wyprowadzil woz, a potem oddal kierownice. To jednak wiazalo sie z przeprowadzeniem serii nielatwych do wykonania dzialan: obezwladnienie zablakanego Apostola, zabranie jego szaty, wslizgnięcie sie do obozu i zlokalizowanie kogos, kto moglby otworzyc jej drzwi ciezarowki...Serce w niej zamarlo. Caly ten pomysl byl zbyt fantastyczny. Skoro juz planowala takie wyczyny, moglaby rownie dobrze rozwazac probe uwolnienia Teremona - wtargnac do obozowiska strzelajac na prawo i lewo, wziac zakladnikow, zazadac natychmiastowego zwolnienia wieznia... ach, to juz byl zupelny idiotyzm, romantyczne marzenie, brawurowa akcja bohatera przygodowej ksiazki dla mlodziezy...

No dobrze, ale co robic? Co robic?

Przycupnela w zagajniku porosnietym mlodymi, gesto splecionymi drzewkami o dlugich miekkich lisciach i czekala.

Nie bylo zadnych oznak zwijania obozu; wciaz na tle wieczornego nieba widziala plonace ogniska, a ciezarowki nadal staly zaparkowane przy drodze.

Nadchodzil wieczor. Onos opuscil juz firmament. Dovim znikal na horyzoncie. Na niebie pozostaly jedynie dwa blade i smutne slonca, najmniej przez nia lubiane Tano i Sitha, rzucajace zimny blask ze swego dakikiego zakatka na krancu wszechswiata. Lub raczej z miejsca, ktore ludzie uwazali za kraniec wszechswiata w tych odleglych, bezpiecznych czasach, zanim pojawily sie gwiazdy i uswiadomily im rzeczywisty ogrom kosmosu.

Godziny uplywaly jedna za druga. Zadne rozwiazanie nie wydawalo sie sensowne. Amgando wygladalo na stracone, chyba ze ktos inny zdola przekazac im ostrzezenie - z cala pewnoscia nie bylo sposobu, zeby ona sama mogla tam dotrzec przed Apostolami. Proba uwolnienia Teremona byla pomyslem absurdalnym. Szansa, by w pojedyнке

366

ukrasc woz i dojechac nim do Amgando, wydawala sie tylko troche mniej nierealna. W takim razie co dalej? Ma beczynnie sie przygladac, jak Apostolowie przejmuja wladze nad swiatem?

Nie widziala zadnego wyjścia.

W pewnym momencie doszła do wniosku, że może jedynie pojsc do obozu Apostolów, poddac sie i blagac, aby trzymali ja razem z Teremonem. Przynajmniej byliby razem. Zdumiewalo ja, jak bardzo za nim teskni. Przez cale tygodnie nie rozstawala sie z nim ani na chwile - ona, ktora nigdy w zyciu nie mieszkala z mezczyzna! W czasie dlugiej podrozy z Saro, mimo iz czasem sprzeczali sie, a nawet troche klocili, nigdy jej nie meczylo jego towarzystwo. Ani razu. To, że byli razem, wydawalo sie najnaturalniejsza rzecza na swiecie. A teraz znow zostala sama.

"Idz - mowila sobie. - Poddaj sie. I tak przeciez wszystko stracone".

Chmury przeslonily lodowate swiatlo Sithy i Tano. Zapanowal polmrok. Czyzby zaraz mialy znowu rozblysnac gwiazdy?

"A niech sie ukaza! - pomyslala Siferra gorzko. - Niech zaswieca i znow doprowadza wszystkich do szalenstwa! Coz z tego? Swiat mozna zniszczyc tylko raz i to juz sie dokonalo".

Jednak, naturalnie, gwiazdy sie nie pokazaly. Tano i Sitha, chociaz ukryte za gruba warstwa chmur, dawaly wystarczajaco duzo swiatla, by przeslonic zagadkowy blask tych odleglych punkcikow. Wraz z uplywem godzin nastroj Siferry diametralnie sie odmienil. Ze skrajnego defetyzmu zwracala sie w strone niemal heroicznej nadziei.

"Kiedy wszystko jest stracone, nie pozostaje nic do stracenia" - pomyslala Siferra. Miala juz opracowany plan. Pod oslona tej wieczornej szarowki podkradnie sie do obozu Apostolow i... jakos, w jakis sposob... zabierze jeden z ich pojazdow. A takze uratuje Teremona, jesli tylko zdola. A potem w droge, do Amgando! Nim Onos wzejdzie jutrzejszego ranka, bedzie juz na miejscu, wsród przyjaciol

367

z uniwersytetu, zawiadomi ich, że muszą się rozproszyc, bo nadciaga wroga armia. Beda mieli mnostwo czasu..."Swietnie - uznala. - A wiec do dzieła".

Powoli... spokojnie... ostrozniej niz poprzednio, na wypadek, gdyby w trawie kryli sie wartownicy...

Wyszla z lasu. Moment niepewnosci - czula sie przerazliwie odslonieta teraz, kiedy porzucila bezpieczne ukrycie w gaszczu krzakow. Lecz nadal chronila ja szarowka. Dalej, przez ten otwarty teren, ktory oddzielal las od szosy. Potem miedzy wielkimi metalowymi

podporami podtrzymującymi autostrade i przez te porosnieta lake, gdzie zostali wczesniej zaskoczeni.

Teraz schylic sie i przebiec chylikiem, tak jak to robili przedtem. Jeszcze ta polana... rozgladajac sie bacznie, wypatrujac wartownikow, ktorzy mogliby pelnic sluzbe wokol obozu Apostolow...

W reku trzymala punktowiec, ustawiony na minimalny zasieg, najostrzejszy, najbardziej skoncentrowany, najbardziej smiercionosny promien. Jesli ktos natknie sie na nia, tym gorzej dla niego. Zbyt wiele polozyla na szale, aby zabawiac sie w drobiazgowa moralnosc cywilizowanego swiata. Przeciez zabila Balika w laboratorium Wydzialu Archeologii! Wprawdzie nie chciala tego uczynic, nie wiedziala, co robi, byla wtedy oszolomiona, ale jednak, tak czy inaczej, zabila go; teraz zas ze zdziwieniem odnotowala fakt, ze jest gotowa zabic ponownie, tym razem zupełnie swiadomie, jesli zmusza ja do tego okolicznosci. Miala jasno okreslony cel: zdobyc woz, wydostac sie stad i zanieśc do Amgando wiadomosc o nadciągającej armii Apostolow. Wszystko inne sie nie liczyło. Nawet względy moralności. Wszystko. To była wojna.

Naprzod! Glowa nizej, wytezyc wzrok, przylgnac do ziemi! Jeszcze tylko kilkadziesiat metrow do pierwszych namiotow...

W obozie panowala cisza. Prawdopodobnie wiekszosc z Apostolow spala. Siferze wydawalo sie, ze w mrocznej szarowce widzi pojedyncze postacie po drugiej stronie glownego ogniska, jednakze dym sprawial, ze nie byla tego pewna. Pomyslala, ze sprytnie by bylo ukryc sie w cieniu

368

jednej z ciezarowek i rzucic kamieniem w jakies odlegle drzewo. Straznicy na pewno pojda sprawdzic przyczyne halasu; a jesli sie rozdziela, moglaby zajsc jednego od tylu, zagrozić mu punktowcem, zmusic do milczenia i zdjecia dlugiej szaty...Nie. Nie bedzie mu grozic. Po prostu go zastrzeli, od razu, a potem wezmie jego szate. Wszystko po to, by nie zdołal wszczac alarmu. Przeciez to sa Apostolowie Plomieni. Fanatycy.

Zdziwila sie, ze jest zdolna rozumowac tak bezlitosnie i z zimnym wyrachowaniem.

Naprzod! I jeszcze! Juz byla niemal przy najblizszej ciezarowce, w ciemnosciach po przeciwnej stronie obozowego ogniska. Gdzie jest jakis kamien? Tutaj. Tak, ten bedzie dobry. Na moment przelozyla punktowiec do lewej reki. Teraz trafic kamieniem w tamto grube drzewo...

Uniosla reke do rzutu. I w tej samej chwili poczula, jak ktos chwyta ja od tylu za lewy nadgarstek, i jakas reka zaciska sie na jej gardle.

Zlapali ja!

Przewalaly sie przez nia strach, gorycz i wscieklosc. Z furia kopnela w tyl z calej sily - i jeszcze raz. Uslyszala jek, jednakze uscisk nie oslabl. Z polobrotu kopnela jeszcze raz, usilujac jednoczesnie przelozyc punktowiec z lewej dloni do prawej.

Napastnik szarpnal jej reke do gory krotkim, szybkim ruchem; bol sparalizowal ja na moment i upuscila punktowiec. Ramie opasujace jej gardlo nacisnelo mocniej. Zakrztusila sie i stracila oddech.

O Ciemnosci! Co za glupota, pozwolic komus podkrasc sie do niej, podczas gdy to ona probowala sie podkradac! Lzy wscieklosci palily jej policzki. Z pasja kopnela w tyl, potem jeszcze raz.

-Spokojnie - uslyszala czyjs szept. - Siferro, nie wierzgaj tak, bo mnie uderzysz.

-Teremon?!

-A myslisz, ze kto? Mondior? 24 - Nastanie nocy 369 Uscisk na gardle zelzal. Reka, ktora kurczowo trzymala jej nadgarstek, zwolnila uchwyt. Siferra zatoczyla sie, z trudem lapala oddech. Wreszcie odwrocila sie, by na wlasne oczy zobaczyc, czy to naprawde on.

-Jak zdolales sie uwolnic?

Teremon usmiechal sie od ucha do ucha.

-To byl cud, istny cud... Caly czas cie obserwowalem, od kiedy wyszlas z lasu. Bylas dobra, naprawde dobra. Ale tak sie koncentrowalas na tym, aby ukradkiem tu podejsc, ze w ogole nie zwrocilas uwagi, gdy zachodzilem cie od tyłu.

-Dzieki bogom, ze to ty, Teremonie. Omal nie umarlam ze strachu!... Ale dlaczego tu stoimy? Szybko, bierzmy jedna z tych ciezarowek i uciekajmy!

-Nie. Plan sie zmienil.

-Nie rozumiem... - Siferra oniemiała ze zdziwienia.

-Zrozumiesz. - Ku jej oslupieniu klasnal w rece i glosno zawolal: - Tutaj, chlopcy! Ona jest tutaj!

-Teremonie! Czy ty postradales...

Oslepil ja snop swiatla latarki. Byla wstrzasnieta, jakby w jej oczach znow rozblyslly gwiazdy. Stracila orientacje. Wokolo poruszaly sie jakies postacie, ale Siferra nic nie widziala. Minela dluzsza chwila, zanim jej oczy przystosowaly sie do ostrego swiatla.

Apostolowie.

Spojrzała na Teremona. Wydawał się spokojny i bardzo z siebie zadowolony. W kompletnym oszłomieniu z trudem zaczęła sobie uświadamiać, że Teremon ją zdradził.

Spróbowała coś powiedzieć, ale zdołała wydobyć z siebie tylko niewyraźne monosylaby:

-Co...? Jak...?

Teremon wciąż się uśmiechał.

-Chodź ze mną, Siferro. Chciałbym, żebyś porozmawiała z pewnym człowiekiem.

43

Naprawdę nie ma powodu, aby patrzyła pani na mnie tak groźnie, doktor Siferro - mówił Folimun. - Może trudno w to uwierzyć, ale znajduje się pani wśród przyjaciół.-Przyjaciół?! Czy pan myśli, że jestem aż tak naiwna?

-Nie. Mam o pani wręcz przeciwne zdanie.

-Wdarł się pan do mojego laboratorium i ukradł bezcenne materiały naukowe. Rozkazał hordzie swoich dzikich, zabobonnych wyznawców wtargnąć do obserwatorium i zniszczyć aparaturę, czym uniemożliwił pan astronomom przeprowadzenie doniosłych, unikatowych badań. Teraz zaś zahipnotyzował pan Teremona, tak że biedak słucha bez szemrania pańskich rozkazów. Przecież na pańskie polecenie schwytał mnie i przyprowadził tu jako więźnia! I po tym wszystkim oznajmia mi pan, że jestem wśród przyjaciół?

-Siferro - powiedział cicho Teremon - nie zostałem zahipnotyzowany. A ty nie jesteś więźniem.

-Oczywiście, że nie. To wszystko zaś jest jedynie złym snem: noc, pożary, upadek cywilizacji, wszystko razem. Za godzinę obudzę się w moim mieszkaniu w Saro i świat będzie dokładnie taki sam, jak kiedy kładłam się spać.

Teremon pomyślał, że nigdy nie wyglądała piękniej niż w tej chwili. Jej oczy błyszczały gniewnie. Skóra zdawała się isnić. Emanowała z niej niesamowita energia, której nie potrafił się oprzeć.

Ale nie był to najważniejszy moment na wyznania.

-Pani doktor, w związku z kradzieżą tabliczek mogę jedynie złożyć wyrazy ubolewania - wyjaśniał Folimun. - Była to bezczelna grabież, której, zapewniam panią, nigdy bym nie zaaprobował, gdyby mnie pani do tego nie zmusiła.

-Ja zmusiłam...?

-Tak. Pani nalegała, aby te bezcenne relikty minionego cyklu nie opuściły murów

uniwersytetu. Przecież wiedziała pani, co się wkrótce stanie - nastanie noc, zapanuje chaos, wybuchną pożary... W sejfach uniwersyteckich te skarby byłyby skazane na zniszczenie. Uznaliśmy, że

371

musimy je umieścić w bezpiecznym miejscu, to znaczy u nas, a ponieważ pani nie zgodziłaby się z naszą opinią, uważaliśmy za konieczne zabrać je pani. - Ja znalazłam te tabliczki! Nigdy nie wiedzielibyście nawet o ich istnieniu, gdybym ich nie odkopala.

- To nie podlega dyskusji - odparł Folimun gładko - ale kiedy już zostały odnalezione, stały się prawdziwym bogactwem dla nas... dla całej ludzkości. Sądziłem, że przyszłość Kalgasza jest ważniejsza od pani prywatnego prawa własności. Jak się pani przekona, do tej pory przetłumaczyliśmy już wszystkie inskrypcje, wykorzystując jako materiał porównawczy starożytne teksty, do których tylko my mamy dostęp; znacznie pogłęбилиśmy wiedzę o wyzraniach, jakie cyklicznie napotyka cywilizacja Kalgasza. Przekłady profesora Mudrina były, niestety, bardzo powierzchowne. Tabliczki te zawierają dokładną, wiarygodną, nie skazaną wiekami przekłaman i naleciałości tekstowych wersję kroniki, która dotarła do naszych czasów pod nazwą Księgi Objawień. Księga Objawień, muszę przyznać, jest pełna mistycznych alegorii przystosowanych do celów propagandowych. Inskrypcje z Tombo pochodzą sprzed wielu tysięcy lat. Są bezpośrednimi relacjami z dwóch pojawień się gwiazd, a także zapisem wysiłków, jakie podjęli ówczesni kapłani, żeby ostrzec ludzkość przed zagładą. Możemy obecnie wykazać, że w całej historii i prehistorii Kalgasza małe grupki pełnych poświęcenia ludzi walczyły o to, aby przygotować świat na katastrofę, która go wciąż na nowo spotyka. Oczywiście metody, które stosowali, okazały się niewystarczające. Teraz wreszcie, pamięć na popełnione niegdyś błędy, będziemy w stanie ocalić Kalgasza od kolejnego wstrząsu, kiedy to za dwa tysiące lat dobiegnie końca kolejny Rok Łaski.

Siferra odwróciła się do Teremona.

- Jak to wszystko pięknie brzmi w jego ustach! Usprawiedliwia kradzież moich tabliczek, opowiadając o tym, że umożliwi mu ustanowienie efektywniejszej dyktatury teo-kratycznej, niż kiedykolwiek mógł marzyć! Teremonie, Teremonie, dlaczego tak nikczemnie mnie zdradziłeś? Dla czego nas zdradziłeś? Mogliśmy już być w połowie drogi do Amgando, gdybys...

- Doktor Siferro - wtracił Folimun - zapewniam, że będzie pani w Amgando jutro po południu. Wszyscy się tam znajdziemy.

- Co pan ze mną zrobi? - spytała zapalczywie. - Powlecze mnie w lancuchach za zwycięską armią? Zakuje w kajdany i zmusi do maszerowania w kurzu unoszącym się za rydwanem Mondiora?

Apostol westchnal ciezko.

-Teremonie, badz tak laskaw i wszystko wyjasnij pani doktor.

-Nie! - zaprotestowala Siferra. Oczami ciskala gromy. - Ty glupcze o wypranym mozgu, nie zamierzam sluchac paplaniny, ktora ten maniak wtloczyl ci do glowy! Nie chce nic slyszec od zadnego z was! Zostawcie mnie w spokoju. Zamknijcie mnie, jesli chcecie. Albo okazcie wielkodusznosc i puscie mnie wolno. Przeciez nie moge wam zaszkodzic, prawda? Jedna kobieta przeciwko calej armii? Nie moge nawet przejsc przez lake, zeby ktos nie zaskoczyl mnie od tym!

Teremon, nieco zmieszany, zrobil krok w jej strone.

-Nie! - krzyknela. - Trzymaj sie ode mnie z daleka! Budzisz we mnie wstret. Ale to nie twoja wina, prawda? Zrobili cos z twoja glowa. Folimunie, ze mna uczynisz to samo? Zmienisz mnie w posluszna mala maskotke? Dobrze, o jedno tylko cie prosze. Nie zmuszaj mnie, bym nosila szate Apostolow. Nie moge zniesc mysli, ze bede miala chodzic ubrana w ten smiechu warty stroj. Zabierz moja dusze, jesli musisz, ale pozwol, abym ubierala sie tak, jak ja tego chce, dobrze? Zgadzasz sie, Folimunie?

Apostol zasmial sie cicho.

-Chyba najlepiej zrobie zostawiajac was samych. Widze, ze nic nie osiagniemy, dopoki ja biore udzial w tej rozmowie.

-Nie, niech cie diabli! - krzyknela Siferra. - Nie zostane sama z...

Lecz Folimun juz wyszedl z namiotu.

373

Teremon chcial podejsc do Siferry, ale odskoczyla, jakby byl tredowaty.-Siferro - powiedzial lagodnie - nie zostalem zahipnotyzowany. Nic nie zrobili z moja glowa.

-To jasne, ze tak musisz mowic.

-To jest prawda. Udowodnie ci to. Siferra milczala ponuro, mierzac go lodowatym wzrokiem. Po chwili Teremon powiedzial cicho:

-Kocham cie, Siferro.

-Ile czasu zajelo Apostolom zaprogramowanie ci tej kwestii?

Skrzywil sie bolesnie - Nie. Nie mow tak. Ja naprawde cie kocham, Siferro. Nie bede usilowal cie przekonywac, ze nigdy przedtem nikomu tego nie mowilem, ale naprawde pierwszy raz wypowiedzialem te slowa powaznie.

-Najstarsze zdanie swiata - zadrwila Siferra.

-Zasluzylem na to. Teremon - pozeracz serc. Teremon - największy uwodziciel w Saro. Dobrze, w porzadku. Zapomnij, ze to powiedzialem... nie! Nie, Siferro, mowilem prawde. Te dlugie tygodnie wspolnej wedrowki, kiedy spedzalismy razem cale dni - ranki, poludnia, wieczory i okresy snu... nie bylo chwili, abym patrzac na ciebie nie myslal sobie: "To jest kobieta, ktorej szukalem przez te wszystkie lata. Nie smialem nawet marzyc, ze taka kobieta odnajde ktoregos dnia".

-Jakie to wzruszajace, Teremonie! A najlepszy sposob, w jaki potrafiles okazac mi swoja milosc, to schwytac mnie podchodzac od tyłu, niemalze lamiac mi przy tym reke, i przekazac mnie Mondiorowi. Zgadza sie?

-Mondior nie istnieje, Siferro. Nie ma takiego czlowieka.

-Co? - Na moment zdumienie i ciekawosc wzely w niej gore nad zloscia.

-On jest jedynie stworzona przez elektronike kukla do wyglaszania mow w telewizji. Nigdy nie bylo na sali zadnych widzow, prawda? Nigdy nie pojawil sie publicznie. Wymyslil

374

go Folimun, aby sluzyl jako mowca i rzecznik Apostolow. Poniewaz Mondior nie wystepuje osobiscie, mozna go pokazywac w telewizji jednoczesnie w pieciu krajach, nawet w odleglych od siebie zakatkach swiata; nikt nie byl pewien, gdzie on sie naprawde znajduje, wiec mozna go bylo pokazywac jednoczesnie w roznych miejscach. Prawdziwym przywodca Apostolow Plomieni jest Folimun. Jedynie udawal adiutanta do spraw kontaktow z prasa. On pociaga za wszystkie sznurki i robil to przez ostatnie dziesiec lat. Przedtem byl niejaki Bazart, ale juz nie zyje. Bazart stworzyl Mondiora, ale Folimun przywiodl go do obecnego znaczenia.-Czy to Folimun opowiedzial ci o tym wszystkim?

-Powiedzial mi troche. Reszte odgadlem sam, a on jedynie potwierdzil. Gdy wrocimy do Saro, pokaze mi dzialanie mechanizmu Mondiora. Za kilka tygodni Apostolowie chca wznowic nadawanie telewizji.

-W porzadku - odparla szorstko Siferra. - Odkryles, ze Mondior jest mitem i tak cie to porazilo, iz bez wahania zdecydowales, ze koniecznie musisz przylaczyc sie do grupy Folimuna. Twoim pierwszym zadaniem bylo sprowadzic mnie tutaj, a wiec weszyles wokol i udalo ci sie mnie zaskoczyc. W ten sposob zyskales pewnosc, ze ludzie z Amgando wpadna w lapy Folimuna. Dobra robota, Teremonie!

-Tak, Folimun rzeczywiscie kieruje sie do Amgando - potwierdzil Teremon - ale nie zamierza naukowcom wyrzadzic zadnej krzywdy. Chce zaproponowac im stanowiska w rzadzie.

-Bogowie wszechmogacy! Teremonie, czy ty wierzysz...

-Tak. Tak, Siferro! - Teremon za wszelka cene chcial ja przekonac. - Moze i jestem nieokrzesanym pismakiem, ale przyznaj chociaz, ze nie jestem glupcem. Dwadziescia lat w branzy dziennikarskiej uczynilo ze mnie doskonałego znawce charakterow - przynajmniej tyle. Od pierwszego spotkania Folimun intrygowal mnie. Wydawal sie dokladnym przeciwieństwem szalenca - niezwykle bystry, wybitnie inteligentny i przebiegly. Myslisz, ze przepalem czas spedzony w obozie Apostolow? Nie, przez ostatnie osiem

375

godzin rozmawialem z Folimunem. Odslonil przede mna caly swoj plan. Ujawnil wszystkie szczegoly. Czy zgodzisz sie przyznac, dla dobra dyskusji oczywiscie, ze w czasie osmiogodzinnej rozmowy potrafie rozszyfrowac psychike kazdego czlowieka?-No... moze... - przyznala niechetnie.

-Siferro, albo on jest calkowicie szczery, albo tez jest najlepszym aktorem na swiecie.

-Mozliwe, ze jedno i drugie. To jednak nadal nie oznacza, ze mamy mu ufac.

-Moze i nie. Ale ja mu ufam. Przynajmniej teraz.

-Mow dalej.

-Folimun to czlowiek bezwzglydny, kieruje sie wylacznie rozumem, jest racjonalny w stopniu niemal przerazajacym. On wierzy, ze jedyna rzecz naprawde majaca znaczenie jest przetrwanie cywilizacji. Jako Apostol Plomieni mial dostep do zapiskow historycznych z minionych cykli rozwoju, wiec od wielu lat wiedzial to, o czym my wszyscy przekonalismy sie w najstraszliwszy z mozliwych sposobow - ze Kalgasz jest skazany na pojawianie sie gwiazd co dwa tysiace lat. Wiedzial tez, jak druzgoczacy wplyw gwiazdy wywieraja na ludzi, ze nawet najsilniejsi psychicznie dlugo nie moga wrocic do zdrowia, a slabsi nie powracaja nigdy. Aha, Siferro, Folimun jest sklonny, gdy wrocimy do Saro, pokazac ci wszystkie starozytne dokumenty przechowywane przez Apostolow.

-Saro zostalo zniszczone.

-Ale nie ta czesc, nad ktora oni sprawuja piecze. Diabelnie skrupulatnie dopilnowali, aby nikt nie rozniecal ognia w promieniu kilometra od ich wiezowca.

-Kilometra? O, to rzeczywiscie skuteczna akcja - szydzila Siferra.

-Oni sa skuteczni w dzialaniu. Posluchaj, Folimun wie, ze w epoce totalnego obledu jedynie dyktatura religijna moze przywrocic porzadek. Ty i ja, Siferro, mozemy traktowac istnienie bogow jako bajke, ale - czy chcesz to przyjac, czy nie - miliony ludzi maja inny poglad na te sprawe. Zawsze czuli wewnetrzny niepokoj robiac rzeczy,

376

które uważali za grzeszne, gdyż bali się gniewu bogów i ich kary. Teraz czują paniczny strach. Obawiają się, że gwiazdy mogą powrócić jutro lub pojutrze, aby dokończyć dzieła. No i tu jest miejsce dla Apostołów, którzy twierdzą, że są bezpośrednim ogniwem łączącym ludzi z bogami i dysponują księgami, aby to udowodnić. Mają lepszą pozycję wyjściową dla stworzenia rządu niż Altinol, drobni prowincjonalni władcy, niedobitki z poprzednich ekip czy ktokolwiek inny. W tym momencie Apostołowie Plomieni stanowią największą nadzieję dla świata. - Ty mówisz poważnie - powiedziała Siferra ze zdumieniem. - Folimun ci nie zahipnotyzował, Teremonie. Udalo ci się to zrobić samemu.

- Posłuchaj! Folimun przygotowywał się do tej chwili przez całe życie. Wiedział, że właśnie w tym pokoleniu na Apostołów spadnie odpowiedzialność za ocalenie cywilizacji. Ma szczegółowo opracowany plan działań z uwzględnieniem wielu wariantów. Posunął się już bardzo daleko na drodze do ustanowienia swego zwierzchnictwa nad ogromnymi terenami na północ i zachód od Saro, później zaś ma zamiar przejąć nowe prowincje położone wzdłuż Wielkiej Autostrady Południowej.

- I wprowadzić dyktaturę teokratów, którzy rozpoczną swe rządy od wymordowania wszystkich ateistów, cyników i materialistów z uniwersytetu, takich jak Biney, Szirin i ja.

- Szirin nie żyje. Folimun powiedział mi, że jego ludzie znaleźli ciało Szirina w jakimś zrujnowanym domu. Najprawdopodobniej został zabity kilka tygodni temu przez bandę szalenców wrogo nastawionych do intelektualistów.

Siferra odwróciła głowę, nie mogąc znieść jego wzroku. Po chwili spojrzała na Teremona z jeszcze większym gniewem.

- A więc to tak! - krzyknęła. - Najpierw Folimun wysłał bandę zbirów, aby wdarli się do obserwatorium - Athor także został zabity, prawda? - a potem pozbywa się biednego, nieszkodliwego Szirina. Następnie reszta z nas zostanie...

377

- Siferro, on właśnie próbował ochronić ludzi z obserwatorium. - Nie wyszło mu to jednak zbyt dobrze, co?

- Nie zdołał zapanować nad sytuacją. Miał zamiar uratować wszystkich naukowców, zanim zaczną się rozruchy, ale ponieważ grał rolę dzikiego fanatyka, nie zdołał ich przekonać, aby wysłuchali jego propozycji. A chciał ich bezpiecznie przetransportować do Świątyni Apostołów.

- Po zdemolowaniu obserwatorium.

- Nad tym również nie zdołał zapanować. Świat oszalał tej nocy. Nie wszystkie plany Folimunowi udało się zrealizować.

-Teremonie, jesteś doskonały w wynajdywaniu dla niego wymówek.

-Być może. Tak czy inaczej, wysłuchaj mnie do końca. On chce współpracować z wybitnymi naukowcami z uniwersytetu i z innymi zdrowymi, inteligentnymi i wykształconymi ludźmi, zgromadzonymi w Amgando, aby odtworzyć zasoby ludzkiej wiedzy. On - a raczej rzekomy Mondior - stanie na czele rządu. Apostołowie posługując się religią spacyfikują i utrzymają w ryzach społeczeństwo przynajmniej przez parę lat. W tym czasie naukowcy pomogą Apostołom zebrać i skodyfikować wiedzę, którą zdołali ocalić, i wszyscy razem poprowadzą świat z powrotem ku normalności - tak jak to się zdarzyło już tyle razy przedtem. Być może zdołają rozpocząć przygotowania do następnego zaciemnienia już na jakieś sto lat wcześniej, nie dopuszczają do zamieszek, masowego szalenstwa, wzniesienia pożarów, powszechnego zniszczenia.

-I ty w to wszystko wierzysz? - zapytała Siferra z pogardą. - Ze to ma sens? Mamy stać z boku i przyklaskiwac, gdy Apostołowie Plomieni będą rozsiewać po całym świecie zatruwającą dusze irracjonalną wiarę, budując swój totalitaryzm? Albo, co gorsza, wierzysz, że powinniśmy połączyć z nimi nasze siły?

-Nienawidzę tej myśli - powiedział nagle Teremon. Siferra otworzyła usta ze zdumienia.

-A więc dlaczego...?

378

-Wyjdźmy stąd - zaproponował. - Już prawie świta. Czy dasz mi rękę? -No...

-To nie był pusty frazes, kiedy powiedziałem ci, że cie kocham. Wzruszyła ramionami.

-Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Mieszasz sprawy osobiste z politycznymi...

-Chodź - powiedział Teremon.

44

Wyszli z namiotu. Na wschodzie, tuż nad horyzontem, Onos jaśniał porannym różowym światłem. Blizniacze słońca Tano i Sitha wylonily się z chmur, i stały teraz w zenicie, rzucając osobliwy, cudowny dla oczu blask. Było jeszcze jedno słońce. Daleko na północy, intensywnie czerwona kuleczka, filigranowy Dovim - świecił jak malenki rubin w diademie nieba.

-Cztery słońca - powiedział Teremon. - Symbol szczęścia.

Wokół nich panowała gorączkowa krzątanina. Apostołowie załadowywali ciężarówki, składali namioty. Po drugiej stronie obozu Teremon zauważył Folimuna kierującą grupą robotników. Przywódca Apostołów pomachał do dziennikarza, który w odpowiedzi skinął mu

glowa.

-Nienawidzisz mysli o tym, ze Apostolowie beda rzadzili swiatem - powiedziala Siferra - a mimo to ciagle jestes sklonny poprzysiac wiernosc Folimunowi? Dlaczego? Jaki to ma sens?

-Poniewaz nie ma zadnej innej nadziei - odpowiedzial cicho Teremon.

-Tak uwazasz? Skinal glowa.

-Jesli mialem jakies zludzenia, zniknely po kilkugodzinnej rozmowie z Folimunem. Kazda racjonalna

379

czastka mego umyslu podpowiada mi, abym nie ufal jemu i jego bandzie fanatykow. Owszem, Folimun jest czlowiekiem nietuzinkowym, ale przede wszystkim jest bardzo niebezpieczny - zadny wladzy, bezwzglydny i umie manipulowac ludzmi. Pomysl jednak, co mamy do wyboru? Altinol? Ci wszyscy marionetkowi wladcy wzdluz autostrady? Trzeba by miliona lat, aby nowe prowincje polaczyly sie w ogolnoswiatowy organizm. Folimun moze zmusic swiat, aby padl przed nim na kolana - albo raczej przed Mondiozem. Sluchaj, Siferro, prawie cala ludzkosc pograzyla sie w obledzie. Na swobodzie biegaja miliony szalencow. Tylko ludzie mdrzy i silni psychicznie - tacy jak ty, ja czy Biney - zdolali wyzdrowiec. Ocaleli takze ci najglupsi; ale nim pozostali, czyli przewazajaca czesc rodzaju ludzkiego, znow zaczną logicznie myslec, mina miesiace, lata, a moze nawet nie stanie sie to nigdy. Charyzmatyczny prorok taki jak Mondior jest - niezaleznie od tego, jak bardzo nienawidze tej mysli - jedyna nadzieja.-A zatem nie ma zadnej alternatywy?

-Nie dla nas, Siferro.

-Dlaczego?

-Posluchaj, uwazam, ze tak naprawde liczy sie tylko zaleczenie ran. Wszystko inne ma znaczenie drugorzadne. Swiat otrzymal straszliwa rane i...

-Sam ja sobie zadal.

-Ja widze to inaczej. Pozary byly konsekwencja calkowitej zmiany sytuacji. Nigdy nie mialyby miejsca, gdyby zacmienie nie odslonilo kurtyny, aby ukazac nam gwiazdy. A okaleczenia wciaz postepuja. Jedne sa przyczyna nastepnych. Altinol to rana. Te nowe, male, niezalezne prowincje to tez rany. Szalency mordujacy sie nawzajem w lesie... albo polujacy na profesorow uniwersyteckich - to takze okaleczenia.

-A Folimun? Przeciez on jest rana najwieksza ze wszystkich!

-I tak, i nie. Oczywiście, podsyca fanatyzm i mistycyzm, ale zaprowadzi porządek. Ludzie prawdziwie wierzą

380

w to, co im oferuje, nawet pomylnicy, nawet chorzy umysłowo. On jest rana tak wielka, że wszystkie inne wydają się niczym. Siferro, on może uleczyć świat. A potem, ale tylko od środka, my możemy spróbować uzdrowić to, co on zrobi chorego. Jeśli się do niego przyłączymy, mamy szansę. Jeżeli staniami w opozycji, wytepie nas jak pchły.-Co więc radzisz?

-Możemy wybrać, czy skupić się wokół niego i stać się częścią elity rządzącej, która wydobędzie świat z obłędu, czy też przeistoczyć się we włochozów i banitów. Która ewentualność wybierasz, Siferro?

-Te trzecia.

-Trzecia nie istnieje. Grupa z Amgando nie ma dostatecznej siły woli, aby sformować realny rząd. Ludzie pokroju Altinola są bez skrupułów. Folimun już teraz sprawuje władzę nad połową tego, co niegdyś było Federalną Republiką Saro. Z pewnością opanuje resztę. Siferro, mija wieki, nim powróci władza rozumu, niezależnie od tego, co zrobimy ty i ja.

-A więc mówisz, że lepiej jest przyłączyć się do niego i próbować jakos kontrolować kierunek, w którym zmierza nowe społeczeństwo, niż stawiać opór jedynie dlatego, że nie podoba się nam ten rodzaj fanatyzmu, który reprezentuje Folimun?

-Właśnie. Właśnie tak.

-Ale dopomagać mu w spychaniu świata w szpony religijnego fanatyzmu... - Świat już kiedyś zdołał się wyzwolić z fanatyzmu religijnego, czyż nie? Teraz najważniejsze jest znalezienie jakiegoś wyjścia z chaosu. Folimun i jego ludzie są jedyną dostrzegalną szansą. Wyobraź sobie, że ich wiara jest maszyna, która powiezie cywilizację, w czasie kiedy inne mechanizmy nie działają. Tylko to się teraz liczy. Najpierw musimy naprawić świat; potem miejmy nadzieję, że nasi potomkowie zmeczą się tymi zakapturzonymi mistykami w długich szatach. Czy rozumiesz, o czym mówię, Siferro? Rozumiesz?

Skinela głowa niepewnie, z wahaniem, jakby odpowiadała przez sen. Teremon obserwował ją, gdy wolno odchodziła

381

w stronę ląki, na której poprzedniego wieczora zaskoczyli ich wartownicy Apostolów. Miał wrażenie, że to wydarzyło się całe lata temu. Stała tam przez chwilę samotnie, opromieniona światłem czterech słońc.

"Jaka jest piękna - pomyślał Teremon - Jak bardzo ja kocham! Jakże dziwnie to wszystko się ułożyło..." Czekal. Właśnie kończono związać oboz Apostolów, zakapturzone postacie w długich szatach przebiegały obok Teremona w te i w te.

Podszedł do nich Folimun.

-Co doktor Siferra postanowiła?

-Jeszcze nie podjęliśmy decyzji - rzekł Teremon.

-My...? Miałem wrażenie, że jesteś z nami niezależnie od wszystkiego.

-Jestem z wami, ale tylko razem z Siferra. - Teremon spojrzał mu prosto w oczy. - W przeciwnym razie nie.

-Rozumiem i nie będę stawiał przeszkód. Nie chciałbym jednak utracić człowieka z takimi zdolnościami w kontaktach z ludźmi. A także takiego eksperta od zabytków przeszłości jak doktor Siferra.

Teremon uśmiechnął się blado.

-Zobaczymy, na ile zdolny w kontaktach z ludźmi okazałem się w tym przypadku.

Folimun skinął głową i odszedł, aby dopilnować załadunku pojazdów. Teremon spojrzał w kierunku Siferry. Patrzyła na wschód, tam gdzie świecił Onos. Promienie Sithy i Tano splywały na nią oslepiającym strumieniem, z północy zaś dochodziła niska czerwona smuga światła Dovima.

Cztery słońca. Najlepsza z wrozb.

Nagle Siferra zaczęła biec przez lake. Wracala do niego. Oczy jej błyszczały i zdawało się, że się śmieje.

-Co postanowiłaś? - zapytał Teremon. Ujęła jego rękę w swoje dłonie.

-Dobrze, Teremonie. Niech się tak stanie. Wszechmocny Folimun jest naszym przywódcą i podaje za nim, gdziekolwiek rozkaze mi pójść. Ale pod jednym warunkiem.

-No, o co chodzi?

382

-O to samo, o czym wspomniałam, gdy byliśmy w jego namiocie. Nie będę nosiła szaty Apostolów! Jeśli będzie nalegał na szatę, to umowa zerwana! Teremon pokiwał głową. A zatem wszystko ułoży się dobrze. Po nocy przyszedł świt, a wraz z nim powtorne narodziny. Ze zniszczeń wyrosnie nowy Kalgasz, a on z Siferra będą mieli udział - ogromny

udzial - w tym dziele.

-Mysle, ze to sie da zalatwic - odpowiedzial uszczesliwiony. - Chodz, porozmawiamy z Folimunem. Ciekawe, co na to powie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/